

Moccia Federico

Amore 14

*Giulii,
mojemu prześlicznemu słońcu*

Dziwna rzecz. Lepiej nigdy nikomu nic nie opowiadajcie.
Bo jak opowiecie - zaczniecie tęsknić.
J.D. SALINGER

To jeden z tych dni, które naprawdę zaczynają się z uśmiechem. Wiesz, kiedy rozglądasz się wokół i wszystko wydaje ci się piękniejsze, drzewa, niebo, tych kilka nierozgarniętych chmur, które sprawiają wrażenie, jakby chciały dorzucić swoje trzy grosze. No właśnie, słowem, tworzysz prawdziwą symbiozę ze światem. Tak, masz rzeczywiście dobry *feeling*... I to ze światem na dodatek. Nie to, żebym sama aż tak bardzo oddaliła się od miejsca zamieszkania. No, teraz, jak o tym myślę, to zeszłej zimy po raz pierwszy w życiu przekroczyłam włoską granicę. Byłam w Badgastein.

- Wspaniałe, roześmiane miasto - powiedział mój ojciec. Uśmiechnęłam się, a on poczuł się dumny ze swoich słów. Według mnie gdzieś je przeczytał, pewnie w jednym z tych folderów, które przyniósł do domu, kiedy zdecydował, że wyruszymy w podróż. Nie chciałam się upierać ani się go czepiać i na chwilę zapragnęłam uwierzyć, że on sam je wymyślił. Skądinąd to były pierwsze ferie zimowe, które ojciec sobie zrobił, od kiedy jestem na świecie. Czyli od prawie czternastu lat. Więc się uśmiechnęłam i udałam, że nie ma o czym mówić, chociaż wciąż jeszcze mu nie wybaczyłam. „Nie wybaczyłam czego”, zapytacie... To jednak całkiem inna historia i nie wiem, czy mam ochotę się nią zajmować. W każdym razie na pewno nie teraz. Dziś mam swój dzień i nie chcę, żeby stało się coś, co mogłoby mi go zepsuć. Ma być doskonały. Stąd też trzy rzeczy, których za nic nie potrafię sobie odmówić:

- 1) zakup trzech rogalików Selvaggi, najlepszych na świecie, przynajmniej jak dla mnie. Czterech. Dwa przed i dwa po. „Po czym”, zapytacie... To akurat bardzo chętnie wam wyjaśnię, ale za chwilę;

- 2) napełnienie szklanej butelki cappuccino. Ale takim lekkim, z niespalonej kawy, z chudego mleka, takim, że gdy je pijesz, zamykasz oczy

i prawie ci się zdaje, że widzisz krowę, która się do ciebie uśmiecha, jakby chciała powiedzieć: „Smakuje ci, co?”. A ty potakujesz skinieniem głowy i wokół ust masz cienkie wąsiki muśnięte pianką w kremowym kolorze z domieszką kawy i śmiejesz się, bo masz fajny poranek.

- Przepraszam, mogę dostać trochę bitej śmietany?

- Tyle ci wystarczy, dziewczynko?

- Tak, dziękuję.

O Boże, nie znoszę, kiedy mówią do mnie „dziewczynko”. Przez to czuję się jeszcze młodsza, niż jestem, zupełnie jakby człowiek ze swoimi myślami do pięć im nie dorastał. A to raptem tylko kwestia doświadczenia, które mogłabym mieć albo i nie. Bo przecież nie chodzi o inteligencję. Tak czy owak, puszczam to mimo uszu i po otrzymaniu paragonu idę do kasy zapłacić. Nie zdążam ustawić się w kolejce, a tu jakaś pani, bo na pewno nie dziewczynka, wpycha się przede mnie.

- Przepraszam?

Patrzy na mnie z wyrazem fałszywego zdziwienia i zachowuje się jakby nigdy nic. Ona, farbowana blondynka, złana ciężkimi perfumami, z jeszcze cięższym makijażem, z błękitem, po jaki nie odważyłby się sięgnąć sam Magritte, i to nawet malując któreś ze swoich najbardziej szalonych płócien. Wiem, bo mieliśmy o nim na lekcjach w tym roku.

- Przepraszam? - zwracam się do niej ponownie. To prawda, że nie mam ochoty psuć sobie tego dnia, ale tym samym musiałabym przełknąć zniewagę i jestem przekonana, że jeszcze nieraz dałoby mi to o sobie znać. A nie chciałabym, żeby takie głupie wspomnienie dopadło mnie akurat w chwili szczęścia. Bo jestem pewna, że dziś będę szczęśliwa.

Więc uśmiecham się do niej, dając ostatnią szansę. - Może pani nie zauważyła, ale byłam pierwsza. A, i jeszcze, jeśli chce pani wiedzieć, to za mną jest ten pan. - Co mówiąc, wskazuję na pana, który stoi obok mnie. Elegancki gość koło pięćdziesiątki, może sześćdziesiątki, słowem na pewno starszy od mojego ojca. Koleś się uśmiecha i rzuca: - No, rzeczywiście, ona stała tu przed panią.

Całe szczęście, że nie powiedział „dziewczynka”, a ja, zadowolona, że wyszło na moje, omijam ją i płacę. Kurczę, spotkała mnie kara. Siedem i pół euro za trochę bitej śmietany i trzy cappuccino! Coś podobnego, i bądź tu człowieku mądry.

Chowam do portmonetki dwa i pół euro reszty i wynoszę się stamtąd.

Przed wyjściem widzę, że elegancki mężczyzna uprzejmym gestem przepuszcza pokolorowaną. Ona przechodzi, jakby nigdy nic, co więcej, unosi brew i dziwnie się krzywi, jakby chciała powiedzieć: „No, całe szczęście”. Uważnie się jej przyglądam: ma na sobie spodnie za ciasne w pasie, gigantyczny pasek z literą H na środku, masywny naszyjnik ze złota czy czegoś w tym stylu z dwiema dużymi literami C, a kiedy się odwraca, zmierzając do wyjścia, na okazałych rozmiarów tyłku opinają się jej D i G. Laska jest chodzącym alfabetem! A ten elegancki gość na dodatek jeszcze ją przepuścił!

Szkoda gadać. Faceci, kiedy im pasuje, dają się nabierać, że głowa mała.

Za to facetem, który nigdy nie da się nabrać, jest Rusty James. Ja tak na niego mówię, bo według mnie ma w sobie coś amerykańskiego. Naprawdę nazywa się Giovanni, jest Włochem w każdym calu i, przede wszystkim, moim bratem. Rusty James. Er Jay. R.J. ma dwadzieścia lat, długie włosy, jest zawsze opalony, choć za żadne skarby nie poszedłby na solarkę, do tego ma takie ciało, że wszystkie moje przyjaciółki zgodnie twierdzą, że mega z niego ciacho, a ja podpisuję się pod tym obiema rękami, mimo że nic więcej dodać nie mogę, jako że jestem jego siostrą; w przeciwnym razie dopuściłabym się jeszcze większego grzechu niż ten, który popełnię dzisiaj. Ale o tym później, już to zresztą mówiłam. W każdym razie R.J. jest boski. Zawsze jest blisko mnie i wszystko rozumie. Wystarczy mu jedno spojrzenie i zaraz się do mnie uśmiecha, kręci głową, poprawia sobie włosy, znowu na mnie spogląda, aż się rumienię, bo znaczy to tyle, że w lot wszystko pojął. Kurczę, ale ten R.J. jest zajebisty! A tak w ogóle to nigdy niczego takiego sobie nie powiedzieliśmy, jednak od zawsze łączyła nas wspólna relacja, pełna miłości, bez zbędnych słów, takie milczące porozumienie, za to wymowne, takie, że ktoś rozumie i sam jest rozumiany. Bo ja wiem, jak choćby wtedy, gdy dostałam ochrzan, w październiku, a może to było w lutym? Rzeczywiście, nie sposób wszystkiego spamiętać, miałam karę, już dawno tak mi się nie dostało, a wystarczyło jego jedno szybkie spojrzenie i natychmiast wzięłam się w garść. Przypomni mi się film ze Steve'em McQueenem, *Papillon*.

No właśnie, miałam szlaban i siedziałam u siebie w pokoju, a R.J. do mnie przyszedł, zapukał, otworzyłam. Trzymałam drzwi zamknięte na klucz, uśmiechnął się do mnie, ja do niego i to wystarczyło. Słowem się do siebie nie odezwaliśmy. Ale pomyślałam, że musiałam mieć taki sam wyraz twarzy jak Papillon, bo okropnie ryczałam i kiedy przejrzałam się w lustrze, to aż się przestraszyłam, tak marnie wyglądałam. Znaczy, wcale jakoś strasznie nie tarłam oczu, a i tak były całe czerwone, i nie wiem dlaczego, przecież nie miałam cienia makijażu, bo wciąż jeszcze nie opanowałam sztuki make-upu. Ten temat też zostawiam na osobny rozdział. Wtedy jak zalałam się łzami, miałam smugi na całej twarzy, ale dopiero później to do mnie dotarło. W każdym razie R.J. pogłodził mnie pod brodą, zaraz się uśmiechnął i mocno do siebie przytulił, tak jak tylko on jeden potrafi, a ja od razu poczułam, że mogłabym jeszcze dłużej wytrzymać w tej swojej niewoli. Chociaż, na szczęście, długo nie trwała. Za to osobą, która tamtego dnia kompletnie mnie olała, nawet nie powiedziała cześć, nie zapytała, co słyhać, nie przesłała choćby króciutkiego SMS-a, żeby jakoś okazać swoją solidarność, była Ale. Moja siostra Alessandra. Zresztą sama nawet nie jestem pewna, czy to rzeczywiście moja siostra. Znaczy, jest moim totalnym przeciwieństwem. Wysoka, metr sześćdziesiąt pięć, ma ciemne długie włosy, aż nazbyt kobiece kształty, biust, który na moje oko zahacza już o miseczkę D, do tego tapeta bez umiaru, i ciągle nowi kolesie, których zmienia jak rękawiczki, co kilka tygodni ma innego. Z tego powodu sama też nieraz dostawała karę, tylko że ja zawsze ją wtedy wspierałam, jak na zawołanie, solidarnie, razem z nią, z jej mniej lub bardziej autentycznym bólem. A kim my niby jesteśmy, żeby kwestionować cudze uczucia? I teraz zaczynam trochę filozofować... W każdym razie byłam przy niej za każdym razem, tymczasem ona nawet się nie pokazała.

Może dlatego, że teraz już nie jest tak samo, bo na dodatek zmieniłyśmy pokój. Czy ja wiem? Nie chcę o tym myśleć. Z drugiej strony mam totalne oparcie w R.J.-u i właśnie to się liczy. Bo to akurat on zawsze doładowywał mi komórkę, ona w życiu... Ale nie chcę sprawić wrażenia zbyt interesownej.

Tak czy owak, wróćmy do mojej listy. A kolejna rzecz, której nie potrafię sobie odmówić, to:

3) gazety.

_ Dzień dobry, panie Carlo, co pan dla mnie ma?

_ Właśnie, Caroline, co ja dla ciebie mam?

Nic dziwnego, że jest zbity z tropu. Ostatni raz kupiłam u niego Winx" i „Cioe". Dopiero od półtora miesiąca czytam „Repubblicę". Wcale nie chodzi o to, że mam o sobie Bóg wie jakie mniemanie, ale koniec końców rzeczywiście mnie to wciągnęło. Po tę gazetę sięgałam u niego w domu i zdarzało się, że przesiadywałam w salonie, bo „on" był zajęty swoimi przyjaciółmi. I tak zaczęłam ją czytać. Na początku robiłam to bardziej ze względu na, no, wiecie, żeby traktowali mnie poważniej, lub po prostu byle się czymś zająć. Czyli nie to, że marnuję czas, i wszystko, co robię, zależy tylko od niego i jego widzimisię. A skończyło się na tym, że autentycznie się wciągnęłam. To znaczy, dla mnie to wręcz dziwne, bo aż sama wydaję się sobie przez to jakaś starsza... A jednak teraz kupuję gazetę we wtorki, czwartki i piątki i ogromnie podoba mi się to, co czytam. Jest taki Marco Lodoli, na którego punkcie mam kompletnego fioła. Ma swoją kolumnę ze zdjęciem w rogu, cały rozczochrany, i zawsze potrafi napisać coś takiego, że udaje mu się mnie rozśmieszyć. Wrzuciłam go w Google'a i odkryłam, że napisał też kilka książek. Ale jak dotąd żadnej z nich nie kupiłam.

W moim szkolnym pamiętniku zrobiłam sobie listę z zeszłego miesiąca, czyli czerwca, i muszę przyznać, że na doładowanie komórki, urodziny Clod i dwie koszulki Abercrombie wydałam kupę kasy. Więc, jak to mówi mama, pora zacisnąć pasa. Ale nie dziś. Dziś jest dzień inny niż wszystkie. I nie chcę być niczym ograniczona.

- Proszę „Repubblicę", „Messaggero", „Corriere delio Sport" i... - Przeglądam pozostałe tytuły czasopism, które mam przed sobą, i bez cienia wątpliwości wybieram „Dove". - Wezmę jeszcze „Dove".

Jest tam genialne zdjęcie, obłędna wyspa z wielką palmą, która liśćmi prawie dotyka plaży. Na mój nos to oni te wyspy poddają teraz obróbce komputerowej. Wprost nie chce mi się wierzyć, że tak piękne miejsca rzeczywiście istnieją. Wyciągam czasopismo spomiędzy dwóch innych i kątem oka dostrzegam, że pod spodem leży dwa euro! Pewnie komuś wypadło i nawet nie zauważył. Podaję Carlowi magazyn, a on spod lady wyciąga plastikową torebkę. Dobrze jest. Nie patrzy na mnie. Daję nura i moje szczęście, że chociaż ręce mam jeszcze szczupłe... I tak oto

zgarzam dwa euro. Carlo niczego nie zauważył. Chwila moment. Zastanawiam się nad tym i dociera do mnie, że dzisiejszy dzień jest wyjątkowy.

- Ej, Carlo, tu pod spodem, zobacz, co znalazłam.

Uśmiecha się do mnie. Wyciągam do niego rękę z dwoma euro, a on je łapie.

- Dzięki, Carolina.

I zaraz, spokojnie, jakby nigdy nic, wrzuca je pod ladę do czegoś w stylu pudełka na pieniądze. I znów się do mnie uśmiecha. Kto wie, czy się zorientował. Nigdy się tego nie dowiem. Przypomina mi to trochę *Family Mana*, ten film z Nicolasem Cage'em i sceną, kiedy dziewczyna idzie do supermarketu po zakupy, a koleś przy kasie udaje, że się pomylił przy wydawaniu reszty, specjalnie po to, by zobaczyć, jak tamta dziewczyna się zachowa. A kim jest w filmie tamten gość, pamiętacie? To sam Pan Bóg! Znaczący, facet jest kolorowy i gra Pana Boga. Nie to, żebym coś miała do kolorowych, ale jakoś nie mogę przyjąć, że... No, słowem, jasne, że temat jest ciut drażliwy, ale rozumiem też, że oczywiście nie jakaś odrobina więcej pigmentu będzie przesądzać o sprawie najwyższej wagi, a mianowicie, czy On istnieje naprawdę, czy też nie.

Carlo wkłada gazety do plastikowej torebki.

- Raz, dwa, trzy... to razem siedem pięćdziesiąt.

Zdażyłam się już przyzwyczaić, to moja stała cena! A z tymi, które mu zwróciłam, zapłaciłabym pięć i pół euro, ale dzisiaj muszę sama sobie nabić punkty, wszystko ma być pozytywne, nie ma mowy o żadnych skuchach ani błędach, tak bym mogła na zawsze zachować w pamięci ten dzień jako absolutnie doskonały: bo to ma być dzień, w którym się kochałam.

Okay, wiem... Mam prawie czternaście i pół roku i ktoś mógłby powiedzieć, że to wcześniej. Oczywiście, że nie gadałam o tym w domu, a już na pewno nie z moim bratem. Ani nawet z siostrą. Ona sama i tak, o ile w ogóle jesteście ciekawi, zrobiła to, gdy miała piętnaście lat. A ja odkryłam, że jest już po, podsłuchując kilka lat temu jedną z jej pamiętnych rozmów z Gkwanną, gdy wisiły na telefonie. A większość dziewczyn w szkole była już całkiem blisko, przynajmniej tak utrzymują.

I sprawdziłam nawet w Internecie, przeczytałam kilka artykułów, poszperałam tu i tam i zapewniam was, że jak najbardziej mieszczę się w normie. No, może brakuje mi miesiąca, gwoli ścisłości, jakby powiedział Gibbo, mój szkolny przyjaciel matematyk, ale kiedy mamy do czynienia z miłością, kiedy wszystko jest doskonałe, kiedy nawet planety do siebie pasują (ja Wodnik, on Skorpion, to też sprawdziłam), gdy sam Jamiro - naprawdę ma na imię Pasquale, ale od kiedy zaczął czytać przyszłość z kart na piazza Navona, każe do siebie tak mówić - powiedział, że wszystko zmierza w dobrym kierunku, że nie należy powstrzymywać przyciągania, kumacie, przyciągania... Kim zatem jestem, by mówić miłości nie? Oto właśnie dlatego przygotowuję to megawypasio-ne śniadanie... Bo to dla niego, dla mojej miłości. Niedługo będę u niego w domu. Jego starzy wczoraj wyjechali nad morze i on oczywiście szalał do nocy ze swoimi przyjaciółmi, więc umówiliśmy się, że to ja dziś rano zrobię mu pobudkę.

- Tylko nie przed jedenastą, proszę cię, skarbie... Jutro mogę pospać.

To niemożliwe... Tamto słowo. Skarb. Najśłodsze, najważniejsze, najdelikatniejsze, naj... naj... „kosmiczne”, tak, w sumie, mieści ono w sobie wszystkie gwiazdy, poza Ziemią naturalnie, a wypowiedziane przez niego, i to jeszcze w taki sposób, sprawiło, że pozbyłam się wszelkich wątpliwości. „Zrobię to”, powiedziałam sobie wieczorem po wczorajszym telefonie. I naturalnie nie zmrużyłam oka. Dziś rano wyszłam z domu o ósmej! Coś podobnego nie zdarzyło się, nawet gdy wcześniej wychodziłam do szkoły, żeby odpisać zadania domowe.

Ale chcę wam dokładniej opowiedzieć, co takiego wydarzyło się podczas tego roku szkolnego, a zarazem tego roku mojego życia, byście mogli lepiej zrozumieć, że moja dzisiejsza decyzja jest owocem długiej i wytężonej zadumy, a jednak podejmuję ją pewna swego, pogodna i przede wszystkim zakochana. Jakie to dziwne! Udaje mi się wymówić to słowo. Wcześniej wprost nie byłam do tego zdolna. Ale jak mówi Rusty James, wszystko w swoim czasie i bym mogła wypowiedzieć to słowo, musiały upłynąć całe trzy miesiące. A decyzja o tym, by się kochać, zajęła mi prawie rok. Lecz chcę wam lepiej opisać drogę, którą przebyłam. Słowem, to trochę tak, jakby życie przeleciało ci przed oczami niczym film. Jak sekwencja chwil, sytuacji, faz, zmian, które nieuchronnie doprowadzają

cię do uprawiania miłości! Mówią, że zwykle, kiedy życie przelatuje przed oczami, to dlatego, że właśnie umieramy. No i ja właśnie umieram... z chęci bycia z nim! A ponieważ jest... Patrzę na zegarek, prześliczny IVC z kolekcji tych przezroczystych z koralikami, który dostałam w prezencie właśnie od niego! Jest dziesięć po dziewiątej, mam czasu do woli, by przywołać miniony rok.

Wrzesień

Pięć mocnych postanowień na ten miesiąc:

- schudnąć dwa kilo;
- kupić czarne balerinki z kokardką;
- dostać w prezencie kartę z 500 SMS-ami gratis;
- wybrać się z Alis i Clod na koncert zespołu Finley
- kupić *Tysiąc wspaniałych słońc* Khaleda Hosseini, mówią, że to strasznie piękne.

Imię: Carolina, zwana Caro.

Urodziny: 3 lutego.

Gdzie mieszkasz? W Rzymie.

Gdzie chciałabyś mieszkać? W Nowym Jorku, Londynie, Paryżu. Gdzie nie chciałabyś mieszkać? W domu, kiedy tata się drze. Nr obuwia: mniej, niż bym chciała! A może chodziło o rozmiar?! Okulary: duże, przeciwsłoneczne. Kolczyki: dwa, czasami, ale często wcale. Znaki szczególne: te na sercu.

Pacyfistka czy wojowniczką? Pacywoj. Pacyfistka/wojowniczką w zależności od chwili. Sex? Chodzi o płęć, a może o to, czy już kiedyś uprawiałam?!

Wrzesień to miesiąc, który bardzo lubię, gdyby tylko akurat wtedy nie zaczynała się szkoła i nie kończyły wakacje. Wciąż jeszcze można chodzić w lekkich ciuchach, co tak lubię. Jakie wakacje są wspaniałe... Morze, plaża, przesiadywanie nad wodą, przekopywanie stopami piasku i rysowanie na nim okręgów, doprowadzanie do białej gorączki ratownika, który już po wszystkim, wieczorem, musi usunąć nierówności, by

następnego dnia rano plaża znów była gładka! Za to parasole są, moim zdaniem, zbędne, zresztą i tak wcale pod nimi nie siedzę. Wielkie płachty we wzorki ze zwierzętami mam zawsze całe w piasku i jak dotąd nie udało mi się pojąć, dlaczego cudze są mniej zapiaszczone niż moje. Lato to moja ulubiona pora roku. Wrzesień też jest prześliczny, ale przydałoby się, żeby nie było szkoły, żeby to był ostatni miesiąc wakacji, koniecznie cały. Słyszałam, że na uniwersytecie rozpoczynają rok w październiku. Widać tamci już skumali, w czym rzecz.

Dopiero co kupiłam nowy pamiętnik. Zaczynam go ot tak, bez specjalnej ochoty na pisanie. Właśnie, bo w gruncie rzeczy wolę SMS-y i maile, no i oczywiście MSN. A jednak papierowy pamiętnik do szkoły też jest potrzebny, choćby na wpisy przyjaciółek (zwłaszcza po to!), więc stąd zakup. Naturalnie tylko kultowej serii Comix, przynajmniej raz na jakiś czas się pośmieję!

W budzie trzeba być na ósmą rano i to jest już wystarczający dramat. Od razu na sam początek strasznie ciekawe rzeczy: ta od zetpetów powiedziała nam, żebyśmy narysowali równoległościan na czarnym bry-stolu i kupili blok z papierem milimetrowym. Po czym oznajmiła: - Przynieście też trzy tekturowe kwadraty o długości boku piętnaście centymetrów, nożyczki, klej i ołówek HB. - Znaczący... że niby co ja jestem, sklep papieżniczy? A po kiego grzyba mi równoległościan! Wiem, co to takiego! Moja komórka to równoległościan!

Mija godzina, ale mowy nie ma, by choć na chwilę się wyluzować, bo już wkracza profesor od angielskiego. W jednej ręce dzierży swoją wyświechtaną teczkę, a w drugiej odtwarzacz CD. Wszyscy spoglądamy na siebie zaskoczeni. Przez swoje denka od butelek gapi się na nas wszystkich i zaraz rzuca: - Na jutro przygotujcie tabelki, wpiszeć do nich czasowniki z piosenki, której zaraz posłuchamy. Oczywiście przynieście prace wakacyjne i dwa zeszyty. Powtórzcie sobie wszystko! - Co wszystko? Ledwie zaczęliśmy! Coś mi się zdaje, że w tym roku lekko nie będzie. Alis prosi mnie o pamiętnik. Podaję go jej. Widzę, że gryzmoli coś pod datą osiemnasty września. Po pół godzinie zwraca mi go. Czytam: *Wioi-siowa-nie: Wykluczyć = ustalić, gdzie leżą kluczyki do Range Rovera taty. Wołowina — olbrzymia porcja mięsa czerwonego do wina. Kosmiczny = komik galaktyczny.* Przerwywam lekturę. Patrzę na Alis. Zaśmiewa się jak jakaś stuknięta. Brak mi słów.

Psor od włoskiego, Leone, wypada na deser. - Na jutro napiszcie w zeszycie, co musieli załatwić wasi rodzice, kiedy byli mali. - Jak to? Co musieli załatwić, kiedy byli mali? Akurat załatwić? Wszyscy zanoszą się śmiechem. Nie dziwi nic. Co wy, zmówiliście się czy jak? Trzy przedmioty i to wszystkie na jutro? Już wiem: będę musiała się sprężyć, żeby wyjść na miasto z Alis i Clod. Patrzymy na siebie.

- Spotykamy się o wpół do trzeciej i musimy się uporać ze wszystkim w półtorej godziny. - Bo potem rzeczywiście czeka nas rundka do Ciócco-lati. Wrzesień lubię też dlatego, że ma się świeżo w pamięci całe lato. I to jakie lato! Lato, kiedy się całowałam. Okay. Wyczyn sam w sobie niezbyt oryginalny, zgoda, ale uważam, że żadne życie nie ma w sobie niczego wyjątkowego, chyba że dla tej jednej osoby, której dotyczy. Zresztą akurat

O tym chcę wam opowiedzieć, albo lepiej, wciąż pamiętam, jak zwierzałam się z tego moim dwóm przyjaciółkom od serca: Clod i Alis.

Clod to wspaniała dziewczyna. Je wszystko, co tylko wpadnie jej w ręce, zwinie ci nawet drugie śniadanie, jeśli go nie przypilnujesz, ale jest

I prawdziwym wymiataczem, jeśli chodzi o rysunek, więc tak naprawdę wszystko jej wolno. I rzeczywiście odrabiała zadania za pół klasy, a w zamian wybierała sobie najapetyczniejsze drugie śniadania i wciągała je w nagrodę. Moje, pieczywo na oliwie z nutellą, naturalnie było najbardziej wypasione, więc znikało jako pierwsze. Alis z kolei ma w sobie coś z księżniczki, jest wysoka, szczupła, prześliczna, elegancka, sama nie wiem, ale wydaje się wręcz arystokratyczna, wygląda, jakby w ogóle nie zadawała się z dziewczynami takimi jak my, lecz ni stąd, ni zowąd, o dziwo, potrafi być strasznie zabawna i to wrażenie znika! Chociaż czasami potrafi być okropna...

W każdym razie zebraliśmy się przy wejściu do szkoły, początek września, dopiero co wróciliśmy z wakacji, pierwszy dzień szkoły.

- Juhu! - wydieram się jak walnięta.

- I z czego się tak cieszysz?

Zjawiam się opalona jak jeszcze nigdy dotąd, mam blond włosy, jaśniuteńkie, niczym jakaś Szwedka, i to najnowszy model, w stylu tych piosenekarek, które pojawiają się ni stąd, ni zowąd z czupryną długich prawie białych włosów, obowiązkowo w poszarpanych džinsach, na bosaka, z gitarą w ręku i uwodzicielskim spojrzeniem. No, to ja mniej

więcej tak wyglądałam, tyle że bez gitary i nie na bosaka... O Boże, przez jakiś czas to nawet próbowałam grać na gitarze, ale wiadomo, jak to jest z tymi rzeczami odziedziczonymi po rodzeństwie, które ciebie też kręcą. Koniec końców i tak sobie odpuszczasz, bo okazuje się, że wcale ci to nie pasuje. Wcześniej tę gitarę miał mój brat, ale teraz Rusty James postarał się o nową i on akurat gra wprost obłądnie. No ja tam próbowałam bez ściemniania, kupiłam nuty i wszystko inne, i nawet w szkole na muzyce całkiem nieźle mi szło, znaczy, w lot pojęłam, gdzie się zapisuje nuty, które umieszcza się na liniach, a które w polach między nimi, tylko kiedy potem *staralam* się *zagrać* je na gitarze, na początku jeszcze jako tako mi szło, ale jak już udało mi się odnaleźć nutę na strunie i ją zagrać, to zaraz zapominałam poprzedni dźwięk, a gdy odnajdowałam ten poprzedni i kolejny po nim, wtedy wpadała mama z okrzykiem: - Jedzenie na stole! - Oj, nie wiem, jak to jest, ale moja gra na gitarze jakoś zawsze zbiegała się z porą kolacji! No, słowem, uważam, że wszyscy mamy jakiś talent i że częstokroć dociera to do nas zbyt późno. Chociaż, jak twierdzi nasz psor Leone, nigdy na nic nie jest za późno. Ja sądzę, że odkryłam swoją pasję, i jeśli to rzeczywiście ona, to zajęło mi to zaledwie czternaście lat, czyli akurat tyle, by naprawdę coś z tego zrozumieć, rozejrzeć się i móc wybrać. Nie ma nic piękniejszego od wyboru. I ja wybrałam. - Ciauuu!

Rzucam się na Clod i chwilę później na Alis, aż prawie się turlamy, taka jestem szczęśliwa!

- Czyste szaleństwo, czyste szaleństwo. - Zaczynam skakać wokół nich i dziwnie wymachuję rękami. - Tak, jestem dziwną ośmiornicą! -1 wślizguję się między nie, wykonując powolne ruchy rękami i *nogami*, przemykam, raz jestem odaliską, to znów żyrafą, a zaraz jakimś innym niesamowitym stworem, który potrafi tak dziwnie kręcić głową. One zaś stoją i wpatrują się we mnie osłupiałe. Alis jest boska. Zaznaczę tylko, że jest najbogatsza w całej szkole, a przynajmniej tak właśnie twierdzi Brandi, pełen lizusów radiowęzeł w Farnesinie, czyli mojej szkole. I rzeczywiście musi być najbogatsza, skoro ma tak *obłądny dom*. Wygląda zupełnie jak te domy, które można zobaczyć wyłącznie w reklamach. No, takie, gdzie wszystko działa bez zarzutu, lśni, każda ściana jest wzorem doskonałości, wystarczy wcisnąć jeden guzik, a już świecą się

wszystkie lampy, które dają mocniejsze lub słabsze światło, wszystkie meble są w ciemnym kolorze, na wysoki połysk, czarne, a telewizor jest całkiem płaski i wisi na ścianie, można go włączyć jednym zaledwie muśnięciem, do tego idealna muzyka, piękne dywany i nieskazitelnie czyste szyby. Właśnie, ma dom na via XXIV Maggio, okna wychodzą na starożytne rzymskie ruiny, pochodzące z czasów wielkiego imperium,

O którym uczą nas w szkole. I Alis zaprasza nas do siebie, żebyśmy się mogli o nich uczyć, zwyczajnie wyglądając przez okno, i nas nabiera, specjalnie wskazuje poszczególne fragmenty pałeczką.

- A tu mamy Skałę Tarpejską... To zaś Łuk Konstantyna Wielkiego, a tam niżej, w głębi...

- Koloseum - odpowiadamy chórem z Clod. To jedyny zabytek, którego nie sposób z niczym pomylić.

Pod szkołą Alis zagląda do torebki i wyciąga nokię N95, najnowszy model, i robi mi zdjęcie. - To akurat chcę mieć na pamiątkę, Caro!

- W takim razie nagraj mnie, jak tańczę!

Alis nie trzeba tego dwa razy powtarzać i zaczyna mnie nagrywać swoją komórką, która jest lepsza od wszystkich kamer razem wziętych.

I gdy tak tańczę przed nią, zaczynam wymachiwać rękami jak szalona, jestem lepsza od samego Eminema i 50 Centa razem wziętych, rozstawiam szeroko palce i rapuję, czad, że głowa mała.

- I ja go całuję, pewnie, że go całuję, w tę noc, gdy księżyc w pełni i ochota dzika na niego i tyłeczek kształtny jego mnie przenika.

Alis i Clod zaśmiewają się jak szalone. Alis nie przestaje mnie nagrywać, a Clod tańczy do rytmu, ja zaś śpiewam dalej.

- I jaki pocałunek długi i powalający, w łodzi, pośród kół i kamizelek życie ratujących...

Ale nagle zatrzymują się bez uprzedzenia i zastygają z rozdziawionymi buziami, zupełnie jakby dopiero w tym momencie pojęły, że wreszcie się zdecydowałam i wykonałam ten wielki skok. Więc ja dalej. - Tak, poszłam z nim w ślimaka na całego, wargę mu pokąsałam i trochę też possałam. - Ale nagle dociera do mnie, że ich zaskoczenie wynika z czegoś innego. I rzeczywiście... Psor Leone stoi za moimi plecami. I tak oto ja sama również zastygam z rozdziawioną buzią i w jednej chwili wyobraźnia podpowiada mi to wszystko, co mógł usłyszeć. Uśmiecha się do mnie.

- To były udane wakacje, prawda, Carolino? Widzę, że bardzo się opaliłaś, no i przede wszystkim, że humor ci dopisuje.

- Tak, psorze.

- Ale teraz znów mamy początek roku szkolnego, dla was ostatni. A w ostatniej klasie musicie się przykładać... Ale ty to wiesz, prawda, Carolino, zawsze ci to powtarzałem, wszystko w swoim czasie... Prawda, że pamiętasz?

- Jasne, psorze.

- Właśnie, i tak na przykład wasz czas tutaj dobiegł końca. Teraz pora, żebyście udały się do klasy.

Alis wkłada telefon do swojej torebki od Prądy, z najnowszej kolekcji. Clod podciąga spodnie i wszystkie trzy zmierzamy w stronę naszej kultowej III B.

I proszę, właśnie zasiadłam w nowej ławce tuż przy oknie. Nie to, żebym z okna miała jakiś obłądny widok, ale przynajmniej jest widno! Alis i Clod siedzą obok mnie. Na razie. Bo w mojej klasie utarło się, że co dwa miesiące zmienia się miejsca, losując, w której ławce i w którym rzędzie kto będzie siedzieć. To zwyczaj wprowadzony przez nauczycieli, kiedy byliśmy w pierwszej klasie, żebyśmy się bardziej między sobą zżyli. Koniec kropka, jak tylko się z kimś zakolegowałam, trach, trzeba było się przesiąść. W każdym razie teraz zrobili trzy rzędy po trzy miejsca, całe szczęście, że woźni też bywają kumaci.

Ostatni rok gimnazjum. Mam lekkiego cykora. Przed egzaminem? Bo ja wiem. Raczej przed tym, co będzie potem. Chociaż, jakie to piękne, za rok latem będę wolna, wolna, wolna! Żadnych zadań do odrobienia w czasie wakacji! Trzy miesiące, kiedy mogę robić, co mi się żywnie podoba. Za chwilę wparuje psor Leone. Zacznie się dopytywać, czy przeczytaliśmy pięć książek, które nam zadał, czy napisaliśmy wypracowania, czy skończyliśmy ćwiczenia z podręcznika. A zaraz potem jak zwykle ustali datę testu powtórkowego. Strasznie to upierdliwe. Na pewno na jutro i dlatego dziś wieczór czeka mnie wcześniejszy powrót do domu, bo w przeciwnym razie mama będzie mi truć. Znów spoglądam za okno... Chciałabym sobie siedzieć na tamtym drzewie, na zewnątrz, przycupnąć na gałęzi. I z góry obserwować przechodniów, ruch uliczny, tę szkołę i nabijać się z tych, którzy teraz siedzą w klasie.

Okno. Zupełnie jak w tej piosence Negraraaro: *Jeśli zabierzesz ze sobą świat, zabierz też ze sobą mnie.*

Kiedy tak czekaliśmy na psora, na wszelkie sposoby starałam się zwinąć Alis komórkę, ale nic nie wskórałam. Przysięgła mi, że skasowała filmik.

- Słowo, Caro, dlaczego mi nie wierzysz!

- Więc pokaż mi komórkę, sama sprawdzę.

- Ale dlaczego mi nie wierzysz, co? Powinniśmy sobie ufać.

- Ja ci ufam, ale tym razem chciałabym dostać na chwilę komórkę i to sprawdzić, dobra?

- Okay, więc ci powiem, jak się sprawy mają, co? Nie mogę ci jej dać, bo mam tam esy, których nie możesz przeczytać, okay?

- Jak to? Nie dasz mi ich przeczytać? A to dlaczego, sorry, sama powiedziałaś, że musimy sobie ufać... A tak w ogóle, to od kogo one są?

Słowem tak się spierałyśmy aż do zetpetów i byłam już do tego stopnia poirytowana, że po raz pierwszy wystrugałam i posklejałam wszystkie kawałki drewna tak jak było na rysunku, i to bez patrzenia, a na koniec ten dziwny zlepek, który miał się zamienić w piórnik, rzeczywiście wyglądał jak piórnik! Niesamowite, po raz pierwszy dostałam czwórkę! Jedyny raz, kiedy przytrafiło mi się na zetpetach coś podobnego, miał miejsce w zeszłym roku, wtedy rozciąłam sobie palec wskazujący lewej ręki na tak zwanej żłobaczce! Żłobaczką nazywamy przyrząd służący do robienia nacięć na Adigrafie. To taki kawałek zielonego plastiku, który się nacina. Nacina się też... i palec! Skutek: wezwali mamę, a ta zabrała mnie na ostry dyżur. Trzy szwy. Przed oczami najpierw stanął mi Saturn ze wszystkimi swoimi pierścieniami, potem Mars, Jowisz i Neptun też. I do tego gwiazdy! A po przeglądzie astronomicznej panoramy wróciłam do szkoły. Właśnie tak. Każdy normalnie po czymś takim pojechałby do domu, ale nie ja, bo mama uznała, że wszystko jest w porządku. Tak czy siak ominęła mnie godzina matmy!

Dobra. W każdym razie jeśli chodzi o sądny filmik z psorem Leone za moimi plecami, to nie ma po nim śladu, cienia szansy, by go zobaczyć raz jeszcze, ot tak, dla jaj. Nic. Zresztą ta sprawa z filmikiem... ze śladami, które po sobie zostawiamy... Chcę kupić pudełko, takie ze sztywnego

kartonu, w kwiaty. Wielkie, olbrzymie, by schować w nim rzeczy z tego roku, których już nie będę więcej używać. Bo czuję się trochę doroślejsza. Jest ich całe mnóstwo. Na przykład: serie Bratz, Winx, książki o Lupo Alberto, koszulki z Pinko Pallino, które zawsze kupowała mi mama, chociaż strasznie mnie denerwowały, sekretne pamiętniki, te z malutką kłódką, które są pełne nalepek i przeróżnych wpisów, książki Geronimo Stiltona, DVD z kreskówkami, zdjęcia z podstawówki, kalendarz z moją buzią, kiedy miałam pięć lat i byłam w przebraniu karnawałowym, wyglądałam paskudnie, pudełko z koralikami do robienia bransoletek, plastikowa kredka Bratz, piórnik z kredkami świecowymi, gumki do włosów ze sztucznymi kwiatkami. To wszystko, co wydaje mi się teraz niepotrzebne. Mimo że mam prawie czternaście lat! Czuję się inna niż wtedy, kiedy te rzeczy wydawały mi się wszystkim.

Popołudnie. Alis i Clod siedzą przede mną. Jakoś nie chce im się w to wszystko wierzyć.

- No to wam opowiem...

Rzeczywiście wypadło, żebym tym razem ja im postawiła, zresztą i tak najczęściej funduje Alis, to oczywiście, tak samo jak i to, że wzięłam je do Ciöccolati, małej kafejki na via Dionigi, niedaleko piazza Cavour, w tym samym miejscu co kino Adriano, której zresztą wcześniej nie znały, a czynnej na dodatek cały dzień, bez przerwy.

Clod od razu zabrała się za jedzenie, zamówiła Trilogy, który kosztuje więcej niż pierścień z trzema oczkami w Bulgari, ale za to sto razy lepiej smakuje. Faktycznie zjadła wszystko w okamgnieniu.

- Poprosimy jeszcze dwa razy frappe czekoladowe i herbatę ziołową. Alis nie może usiedzieć spokojnie, widzę, jak się wierci, urodzona

z niej amatorka plotkowania na całego, każdy temat jest dobry. Byle się działo! Aktualne wyczyny Paris Hilton i Britney Spears to dla niej w sumie nuda.

- No więc, Caro! Opowiesz nam czy nie? Już, mów!

Clod też kiwa głową, potakując, i oblizuje sobie palce, jakby i je tak samo chciała zjeść. Chwilę później wyciera się papierową chusteczką i tylko patrzeć, jak spotka ją ten sam marny koniec co i deser!

Clod od zawsze tak ma. Pamiętam, jak wszystkie trzy zapisałyśmy się na katechezę, żeby przystąpić do komunii. W małych celofanowych opakowaniach kupowałyśmy opłatek, a ona, pod pretekstem, że musi ćwiczyć, wyjadała jeden za drugim. Trzymała je pod szkolną ławką, a sama przypominała karabin, tyle że z odwróconym mechanizmem! Pach, pach, pach... strzelała sobie opłatkami do buzi, jakby nigdy nic, i co jakiś czas się zacinała, ale nie dlatego, że została przyłapana przez katechetę... O nieeee! Po prostu raz po raz opłatek przyklejał jej się do podniebienia. No i wtedy starała się przeprowadzić dziwny zabieg z pogranicza chirurgii, próbując oderwać opłatek przy użyciu jedynie dwóch pulchnych palców, na dodatek całych pomazanych flamastrami, bo uwielbia plastykę, jedyny przedmiot, z którym radzi sobie bez problemu, więc wkładała te palce głęboko do buzi i dłubała, dłubała, a obserwowanie jej w akcji było równie wciągające co *Cela* albo *The Ring - Krąg* i nawet sam Wes Craven biłby się z myślami, czy nie zaangażować jej do któregoś ze swoich horrorów!

- Caro, no na co czekasz! Mów, bo dłużej tak nie wytrzymam!

Alis nigdy nie ma oporów, żeby powiedzieć, co myśli, i właśnie to mi się podoba! Może ten jej sposób bycia ma związek z pieniędzmi? Właśnie: pieniądze dają wolność. Czy ja wiem, może zanadto filozofuję.

- Herbata ziołowa? - Kelnerka podchodzi z tacą do naszego stolika.

- Dla mnie, dziękuję. - Od razu podnoszę rękę z oszałamiającą prędkością, zupełnie jak wtedy, gdy od wielkiego dzwonu psor Leone zadaje jakieś ogólne pytanie, a ja przez przypadek, zapewniam was, to czysty przypadek, akurat znam na nie odpowiedź.

- Więc frappé musi być dla was.

Patrzę na nią i śmieję się w duchu. Cóż, najwyraźniej laska nie była orłem z matmy. Odejmowanie, które właśnie wykonała, jest tak banalne, że aż mi słów brak. W każdym razie wszystkie się uśmiechamy¹ potakujemy, przynajmniej ją spławimy i będę mogła zacząć opowiadać. Wreszcie się oddała.

- No i?

- Lore, bo tak na niego mówię, jest takim słodkim chłopakiem. Znam go od dziecka i spotykamy się od zawsze, mimo że jest ode mnie dwa lata starszy... - Popijam herbatę. - Aua, gorące!

Alis kładzie mi rękę na ramieniu. - To za karę, daj sobie spokój z pićciem, mów dalej!

Nawet Clod tak się wciągnęła w opowieść, że zastygła z kawałkiem czekolady przy ustach, rozchyłonymi wargami i wzrokiem utkwionym we mnie. - Tak, Caro, mów dalej...

Wobec tego odstawiam filiżankę na dobre i uśmiecham się do moich dwóch przyjaciółek od serca.

- No weź! Nie każ się prosić! Okay. I w okamgnieniu znów przenoszę się nad morze. A

Anzio. Sierpień. Lato ma się ku końcowi. Wielki las piniowy, Villa Borghese, droga pośród puszczy, pełna liści, igieł sosnowych i cykad. I jeszcze żar słońca przez cały dzień. Dalekie echo, szum morskich fal.

- Niebezpiecznie tu, co?

Idziemy naprzód grupą. Jest nas pięcioro. Stefania, ja, Giacomo, Lorenzo i Isabella, na którą od zawsze mówimy Izabrydka, między innymi dlatego, że naprawdę taka jest. Wędrujemy gdzieś pośród leśnych ścieżek, musimy się skradać, bo nie wolno przekraczać ogrodzenia willi. A my właśnie to zrobiliśmy, postanowiliśmy zaryzykować, wyruszyć na spotkanie wielkiej przygodzie. Idziemy obejrzyć zamek w Villa Borghese.

- Ale to niebezpieczne...

- Jakie tam niebezpieczne! Tyle że jeśli nas złapią, to strażnik wlepi nam karę.

- Tak, ale tu w gąszczu aż roi się od żmij! ;

- Co ty! Wieczorem nie ma żmij!

- Jak to nie. Już prawie zmierzcha i właśnie o tej porze wychodzą, bo robią się głodne!

- Skąd, mówię wam, to nie tak. - Stefania, jak już się uprze, jest przekonana, że sama wie wszystko najlepiej. Nie mogę jej ścierpieć, kiedy się tak zachowuje. Ale jej matka robi tartę palce lizać i na plaży częstuje nią nas w porze obiadu, więc lepiej żyć z dziewczyną w zgodzie. Lorenzo przewodzi grupie, jest najodważniejszy. Giacomo, który od zawsze, a w każdym razie odkąd ich znam, jest przyjacielem Lorenza, wygląda, jakby się bał najbardziej z nas wszystkich, może dlatego, że jest najmłodszy, i

Trach. Lorenzo wystawia ręce i zatrzymujemy się w pół kroku. Głuchy odgłos w krzakach po prawej. - Stójcie, to może być jakieś zwierzę... Wygląda na coś dużego.

- Może to jeź - rzuca Stefania. Ale zaraz słyszymy czyjś śmiech. Odwracamy się wszyscy naraz. Izabrydka stoi na samym końcu szeregu i zanosi się śmiechem jak szalona, gorzej, nie może się powstrzymać, wprost wyje, mało nie pęknie. Z niewielką szyszką w lewej ręce i kawałkiem drewna w prawej. To ona musiała o coś zacześć i stąd ten hałas. Giacomo mruży oczy. - Ale z ciebie... kretyńka! - Lorenzo wzrusza ramionami. Ja tam się nie cackam.

- Jak już coś mówisz, to nazwij choć rzeczy po imieniu... To wredna suka i tyle, mało przez nią nie dostaliśmy zawału.

Stefania kręci głową. - No, spryciara z niej, rzuciła szyszkę akurat w sam środek krzaków, na których rosną te czerwone kulki...

- I co z tego?

- Jak to, nie wiecie, to właśnie pokarm żmij!

Nie mam pojęcia, kim zostanie Stefania w dorosłym życiu. Ale jeśli nie zajmie się ogrodnictwem botanicznym i różnymi zwierzętami, to zrobi olbrzymi błąd! Prawie taki sam, jaki my popełniliśmy, zabierając ją ze sobą! Ale nie zdążam uśmieć się w duchu z własnych przemyśleń, bo akurat w tej samej chwili... - Ej, wy! A dokąd to się wybieracie? - Czyjś tubalny głos przerywa nagle nasze rechotanie. Dostrzegam z daleka mężczyznę, jak przedzierając się pośród drzew, zmierza w naszym kierunku cały srog. Za nim, na poboczu drogi widać jego stare seicento, szare, z otwartymi przednimi drzwiami. Wszystko jasne.

- To strażnik! W nogi! - I zaczynamy pruć przed siebie ile tylko sił, pośród krzaków, między drzewami. Lorenzo bierze mnie za rękę i ciągnie za sobą.

- Chodź, naprzód, dawaj, biegnij pędem! Chodźmy tędy, mamy po drodze jaskinie.

- Ale ja się boję!

- Boisz? Czego? Nie masz się czego bać, jesteś ze mną!

I tak zaczynamy biec przez krzaki, lasem, pośród gałęzi, coraz szybciej, Prosto przed siebie.

Giacomo i Stefania z kolei polecieeli w lewo, za to Izabrydka biegnie najwolniej, prawie się za nami wlecze. Nie ma rady, ta dziewczyna nie ma za grosz kondycji.

- O tak, szybko, chodź.

Lorenzo wciąga mnie za sobą do jednej z jaskiń. Są wysokie na co najmniej dziesięć metrów i nagle robi się w nich zimno i ciemno, ale tak ciemno, że po dwóch krokach przestaje się cokolwiek widzieć, j nas też nikt nie może zobaczyć, więc przywieramy do skalnej ściany, cisza i jakiś dziwny zapach zieleni, jakby wilgotnej, zamokłej. Po chwili dostrzegamy gdzieś w oddali strażnika, widzimy go przez drewniane sztachety, które służą za drzwi do groty, takie, że ledwie przepchać po nich ręką, a od razu wbija się całe mnóstwo drzazg, i boli jak nie wiem co...

Widać niewyraźne światło, zieleń lasu i promienie odbijające się od większych liści. Ale w jaskini jest zimno i kiedy oddechamy, to z ust wypuszczamy małe obłoczki, zupełnie, jakbyśmy palili.

- Słuchaj, Lore, ale...

- Ciii... -1 zasłania mi ręką usta. W samą porę. Bo strażnik zagląda przez sztachety, patrzy w prawo i w lewo, więc my jeszcze bardziej przywieramy do skały. A on nic nie widzi. Więc odchyła głowę i odchodzi, f o kilku sekundach Lore zabiera mi rękę z ust.

- Fiuuu. - Wypuszczam powietrze, które wstrzymywałam aż do tej chwili. - Całe szczęście.

- Bałaś się?

- Nie, z tobą nie.

Uśmiecham się do niego. I w ciemności widzę jego oczy, pada na nie trochę światła, są wielkie, głębokie i piękne, nie mam pojęcia, czy na mnie patrzy, czy też nie, ale się uśmiecha. W ciemnościach jaskini widzę jego białe zęby. Tak naprawdę to trochę się bałam. A trochę nie. Tak czy owak nie chcę mu tego mówić.

- Weź, bałaś się, co? Jakby nas nakrył...

- No! - Ale nie zdążam dokończyć, bo on się nachyla i... mnie całuje. Tak, całuje mnie! Czuję jego wargi na moich i na chwilę zastygam z nieruchomymi ustami, bo nie bardzo wiem, co robić. Ale czuję, że on napiera. Wargi ma miękkie. I jakie to dziwne, ale bardzo powoli je

rozchyła.. - więc ja też rozchyłam swoje. Pierwsze, o czym myślę, to że na szczęście nie mam aparatu! Nosłam go do końca zeszłej zimy i teraz mam piękne, proste ząbki! Ale gdybym wciąż go nosiła, to Lore by się zorientował. Jest taki uważny. Właśnie, mega mi się podoba, bo jest uważnym koleśkiem, znaczy, myśli o mnie, czy się aby nie boję, czy rzeczywiście mi się chce, czy mam ochotę iść do zamku, słowem, jest mną zainteresowany.

Ej, a to co? Czuję coś dziwnego w buzi. Jesteśmy w jaskini, wokół ciemno, jedno przy drugim, nawet nie wiem, czy mi się przygląda. Powoli otwieram jedno oko, podpatruję co nieco, ale nic kompletnie nie widać. Więc je zamykam. To jego język! Ratunku... Choć w sumie... Wcale mi nie przeszkadza. Całe szczęście. Ale fajnie. Zawsze myślałam o tej chwili i może nawet aż za dużo, poważnie. Bo koniec końców wysłuchujemy od innych taką masę opowieści, że z tego wszystkiego martwimy się jeszcze bardziej niż sami o siebie.

I tak oto wreszcie daję się ponieść i go obejmuję, i wciąż się całujemy. Ma takie miękkie wargi, czasami zderzamy się zębami, ale zaraz się śmiejemy i znów wpijamy się sobie w usta, obojgu nam tak lekko, uśmiechamy się w mroku, on całuje zachłannie, aż mam wszystko wokół wilgotne. Ale wcale mi to nie przeszkadza... Poważnie, nic a nic.

Alis i Clod siedzą przede mną, każda ze swoim frappe w dłoni, zastygły ze szklanką przy ustach. Podchodzi kelnerka. - Dziewczyny, macie ochotę na coś jeszcze?

- Nie! - odpowiadają równocześnie, nie zaszczycając jej choćby jednym spojrzeniem. Kelnerka odchodzi, kręcąc głową.

Alis odstawia szklankę. - Nie wierzę.

- Ja też nie... - Clod jednak pociąga słuszny łyk. - No i? Potem?

- Sorry, ale skoro nie wierzycie...

- No, ale weź, opowiadaj, opowiadaj dalej, i tak super nam się Podoba!

Kręcę głową. Oj, nie ma rady, Alis jest na maksa ciekawa.

- Okay, okay, w każdym razie przysięgam, że to wszystko szczerą prawdą! No więc, na czym to stanęliśmy?

Chórem: - Że cię całował!

- A, tak... jasne.

Więc wracam do tej jaskini. Ciemno. Jak w filmie. I czuję, że tuli mnie do siebie, mocno, mocniej... I ja go obejmuję. I wcale mi to nie przeszkadza. Jestem dziwnie pogodna. A wręcz podoba mi się to, co czuję w jego ramionach... Ale on się nie rusza, jego ręce nie wędrują wyżej, żeby rozpiąć mi stanik. Przynajmniej jak dotąd nie. Za to zaczyna mnie pieścić. I nie przestaje całować. A teraz trochę się odchylił i całuje mnie, wodząc językiem po mojej wardze. Zupełnie jakby mnie kąsał, a jego ręka na moich plecach powoli wędruje w górę, wiedziałam... Ale wcale się nie niepokoję. Nagle dociera do nas odgłos czyichś szybkich kroków. Odrywamy się od siebie i patrzymy w kierunku wejścia do jaskini. To Izabrydka, która w biegu mija właz. Biegnie coraz szybciej, gdzieś na zewnątrz, pośród wysokiej zieleni, aż nagle upada na ziemię!

- Aaaa! - drze się jak opętana. - Ratunku! Aua! Aaaa! - I nie przestaje wyć. Niczym syrena alarmowa. Chwilę później przybywa strażnik, który pomaga jej się podnieść.

- Co ci się stało? Co zrobiłaś?

Izabrydka pokazuje mu rękę. - Ukąsiło mnie tutaj zwierzę, strasznie mnie boli, to waż, żmija, umrę, ratunku! Pomocy! - Wydiera się i tupie.

- Stój, nie ruszaj się, spokojnie, chodź ze mną, szybko!

Strażnik bierze ją pod ramię, obiema rękami ściska jej nadgarstek i tak przepadają za drzewami. Izabrydka znika nam z pola widzenia! Lore i ja obrzucamy się szybkim spojrzeniem.

- Chodź, idziemy! - Biegniemy w stronę wyjścia z jaskini i gdy już jesteśmy na zewnątrz, w ostatniej chwili udaje nam się dojrzeć stare szare seicento, które znika za zakrętem. Po chwili dołączają do nas także Giacomo i Stefania.

- Gdzie wyście się podziewali?

- W jaskini.

- W jaskini? Poważnie? - wtrąca Giacomo z niedowierzaniem. - I co tam takiego robiliście?

Spoglądamy na siebie, ale nie dłużej niż sekundę, i zaraz Lorenzo go odpycha.

- A niby co mieliśmy robić? Schowaliśmy się!

- Aha, może i tak. A widzieliście strażnika? Zabrał ze sobą Izę! Myślicie, że ją uprowadził? Brzydka to nic, gość pewnie chce zażądać okupu, bo chyba rodzice Izy pochodzą z Mediolanu i są strasznie dziani! - Giacomo kompletnie odjechał. O Boże, wcześniej z tą jaskinią to nawet był blisko... Ale teraz!

- Coś ty... Izę ugryzła żmija.

Stefania się uśmiecha. - Co wy... To niemożliwe.

- Sami widzieliśmy!

- Ale żmije po zachodzie słońca znikają.

- No, ona tak powiedziała, a strażnik zaciskał jej rękę na nadgarstku, chyba żeby nie dopuścić do rozprzestrzenienia się jadu we krwi.

Stefania wzrusza ramionami. - Phi, a zatem nawet sam strażnik nic nie kuma. To mógł być co najwyżej wąż z rodziny połozowatych.

Lore i ja spoglądamy na siebie. - Co? - A nawet cokolwiek zde gustowani. - Z rodziny połozowatych?

- Tak, to taki wąż, co gryzie częściej, do tego kręci się i po zachodzie słońca, ale nie jest jadowny.

- Ach, pewnie...

- W każdym razie zawróćmy do wejścia do Villa Borghese, bo robi się ciemno.

I tak lecimy przez las, w stronę baru, który znajduje się przy wejściu do willi, tam gdzie są korty tenisowe i sekretariat kompleksu. I kiedy docieramy na miejsce cali zadyszani, widzimy, że masa ludzi zebrała się wokół stołu. Leży na nim wyciągnięta Izabrzydka. Wygląda na wpół martwą. Ale zaraz, jak tylko podchodzimy bliżej, dociera do nas, że jest na wpół żywa. Płacze i pociąga nosem, ściska sobie rękę, a mężczyzna, który stoi obok, dopiero co zrobił jej zastrzyk. Pewnie to jakiś lekarz.

- Już po wszystkim! - Mierzwi jej włosy, na co Iza uśmiecha się niewyraźnie. - Teraz już nie powinno być problemów... - I wyrzuca strzykawkę do kosza obok.

Ja zaś pytam: dlaczego za każdym razem, kiedy z kimś jest źle, a potem z tego wychodzi, udaje mu się przeżyć lub ma na koncie jakiś

dramat, wszyscy takiej osobie mierzwią włosy? Przecież jak nie jest się wtedy spoconym, zresztą mnie by drażniło, gdyby ktoś, kogo nie znam, dotykał moich włosów. No wiecie co. Po chwili podchodzi koleś, który odwiecznie przesiaduje w sekretariacie klubu, a do ubiegłego roku uczył tenisa, i unosi Izie rękę.

- Pokaż no tu! - Patrzy na jej ukąszenie. Mężczyzna się uśmiecha i kręci głową. Powoli opuszcza rękę Izy.

- Możesz wstać, nie ma żadnego zagrożenia, wąż, który cię ukąsił, nie jest jadowity. - I zaraz zwraca się do strażnika. - Zmarnowaliśmy fiolkę odtrutki.

Stefania odwraca się w naszą stronę i rozkłada ręce. - Widzicie, a nie mówiłam? Wąż niejadowity. Pewnie, facet jest strażnikiem, a nawet się nie zorientował...

- Ale jak miał się połapać, skoro nie rozróżnia ukąszeń?

- Wystarczyło, żeby Iza mu powiedziała, jakie miał źrenice: pionowe czy okrągłe.

- Ale kto, wąż?

- No!

- Masz pojęcie, stuknięta jesteś, nie dość, że człowiek się przewraca, a potem zostaje jeszcze ukąszony przez węża, to według ciebie, co? Ma go chwycić, otworzyć mu oko, żeby sprawdzić, jak ono wygląda?

- No tak, pewnie! Bo jeśli jest pionowe, w takim razie to żmija! Tak czy siak już cię ukąsiła... Ale przynajmniej wiesz, że to ona!

Przerywam opowiadanie. Alis się śmieje i kręci głową.

- Ej, ta Stefania jest walnięta.

Clod przyznaje jej rację. - Tak, ty to masz szczęście do takich.

Alis zanurza łyżkę w szklance, nabiera na nią trochę frappe i wkłada sobie do buzi. Po chwili znów sięga do niej i raczy się jeszcze odrobiną. Nawet w tych drobiazgach jest taka dystygowana!

- A co było potem?

- Przepraszam - przerywa Clod - może mi pani podać to? - I wskazuje w karcie Przymak z Czarnej Czekolady.

- Clod!

- słuchaj, mam ochotę tego spróbować. A nuż mi nie posmakuje i zostawię. - jasne, a jeśli ci posmakuje? Utyjesz!

- owszem, ale i tak już od przyszłego tygodnia znów zaczynam gimnastykę- więc będę mogła chudnąć do woli. A poza tym wy nic nie wiecie, a ja przeczytałam w gazecie, że puszyste znów robią się modne. Tak, puszyste. Kumacie? Nie anorektyczki! Włoska moda ma wylansować nową linię na całym na świecie i wreszcie docenić te dziewczyny, które nie są chude jak patyk!

Patrzę na nią i pociągam łyk mojego naparu.

- Coś mi się zdaje, że sama napisałaś ten artykuł!

- No. - Alis myśli tak samo. - Albo któraś z tych, co same nie dają rady schudnąć, więc pokładają nadzieję w takiej modzie! Czysty zysk, nie wydajesz kasy i nie musisz się przemęczać. Wszystko jasne!

Clod wzrusza ramionami. - Myślcie sobie, co chcecie...

W każdym razie deser już zamówiła i rzeczywiście nasza antypatyczna kelnerka przynosi jej go w okamgnieniu. Oho, w życiu nie była jeszcze taka szybka, czasami trzeba czekać w nieskończoność, żeby zrealizowała najprostsze zamówienie, bo ja wiem, zwykłą herbatę, za to teraz, rach-ciach, już jest z powrotem. Coś mi się zdaje, że słyszała naszą rozmowę. Zresztą nie to, żeby Clod rozmyślała o tym nie wiedzieć jak długo. Dla niej to tak jak trzymać przed sobą gigantyczny kubek popcornu, kiedy siedzi w kinie, tyle że to akurat moja historia! A ona delektuje się jeszcze bardziej. Próbuje po kolei różnych rodzajów czekolady, nie wszystko naraz, ma się rozumieć, spryciara, bierze do buzi jakiś kawałek i zaraz odkłada resztę na talerzyk, żeby się przekonać, który powinna zostawić na sam koniec, by ten najsmaczniejszy kąsek mieć na deser! I zaraz oczywiście oblizuje sobie palec.

- No, Caro, i co? Z tym Lorem, co tam było dalej?

- Ej, czego ty się spodziewasz... Nastawiasz się na jakieś porno?

- No, fajnie by było!

- Weź, a idź ty... To już i tak cud, że go pocałowałam!

- No, czego ty nie powiesz!

- A pewnie!

Popatrz no tylko, jakie przemądrzałe te moje przyjaciółki, łatwo im mówić. Bo i co je to obchodzi! Obie już zamknęły rozdział pod tytułem „pocałunek” zeszłego lata. A przynajmniej tak mi powiedziały. Co do Alis, to od razu uwierzyłam, zaś co do Clod - wciąż mam pewne wątpliwości. W każdym razie im było łatwiej, pewnie, one nie nosiły aparatu. Nawet gdy go już nie nosisz, i tak odczuwasz pewien dyskomfort, bo cały czas ci się wydaje, że masz go w buzi, i nawet jeśli ogarnia cię ochota, by kogoś pocałować, już na samą tylko myśl i tak sprawdzasz, mimo że wcale się z nikim nie całujesz... Chodzi o to, że autentycznie się zastanawiasz: ej, ale chyba nie mam tego aparatu?

W każdym razie, jeśli mam wierzyć w ich opowieści, to obydwie całowały się rok wcześniej ode mnie i obie w wakacje. Alis nad morzem, na Sardynii, w tym samym kurorcie, do którego zwykle jeździ, przez cały dzień leżała wyciągnięta na pomoście z kolesiem, którego poznała o dziesiątej na śniadaniu, a pocałowała się z nim o drugiej, po raptem czterech godzinach znajomości! I to w dzikim upale! Nie, chodzi mi tylko o to, jeju, jacy musieli być spoceni! A co z buzią? Na pewno mieli sucho w ustach. Zresztą, wyobraziłam to sobie bez entuzjazmu. Także dlatego, że koleś, jak mi się zdaje, nazywał się Luigi. o czwartej powiedział do niej: - Ej, pójdziemy do mnie do pokoju coś ten teges?

i tak nie wiem, czy Alis poszłaby z nim, czy nie, ale są lepsze sposoby, by zapytać o pewne rzeczy, czyż nie? Owszem, ten kurort na Sardynii to miejsce dla ludzi z kasą, a ci, którzy są dziani, zwłaszcza chłopaki, pewnie dlatego, że akurat takich poznałam, mają beznadziejny sposób bycia, słowem, żeby nazwać rzecz po imieniu, są burakami. A wręcz chciałabym ukuć określenie specjalnie dla nich: to „cheapaki”, chodzi

O to, że czasami mówią rzeczy, które mogliby sobie darować, zupełnie jak tamten Luigi.

Clod z kolei wybrała się na obóz tenisowy, na który zawsze jeździ, i zeszłego lata, kiedy się całowała, nawet awansowała do wyższej grupy. Zgodnie z tym, co opowiedziała, pocałowała bardzo ładnego chłopaka z grupy, który grał w tenisa najslabiej ze wszystkich. Hmm, nie uważam, żeby ładny chłopak nie mógł kiepsko grać, ale wydaje mi się, że Clod nie powiedziała nam, jak było naprawdę. Oj, nie wiem, jak to jest, ale

w życiu tak się składa, że piękni i bogaci zawsze we wszystkim świetnie sobie radzą, i skoro koleś kiepsko grał w tenisa, to coś mi się nie wydaje, żeby mógł być specjalnie urodziwy. Rety, to coś jakby dwa plus dwa nie było cztery... Bo ja wiem, ilekroć w Rzymie zdarza mi się z moimi dziadkami, którzy przepadają za tenisem, oglądać międzynarodowy turniej, to widzę wyłącznie dobrych tenisistów, co ja mówię, super tenisistów, a każdy z nich jest obłądnym ciachem albo lepiej, mega obłądnym ciachem, mam rację? I tak, tamten koleś albo się czym prędzej nauczy grać w tenisa, albo zacznie uprawiać jakiś inny sport, albo też, co wydaje się niestety wielce prawdopodobne, nie jest taki piękny, jak utrzymuje Clod!

W każdym razie wreszcie je dogoniłam i muszę przyznać, że fakt, iż byłam nieco zapóźniona, autentycznie mnie martwił. I nie chodzi tu o moją urodę, w sumie, owszem, to prawda, rzeczywiście nie gram w tenisa, ale w tym wypadku kobiet to nie dotyczy. Być może nie jestem taka elegancka jak Alis, ale okrągła jak Clod też nie, słowem spełniałam wszelkie warunki potrzebne do tego, by się całować co najmniej tyle, ile moje przyjaciółki. Tylko że akurat do tych wakacji jakoś mi się to nie przytrafiło. Ale to, co wydarzyło się potem, w połowie sierpnia, nie przytrafiło się nawet im dwóm.

Więc się im przyglądam i ostatecznie postanawiam. - Okay, chcę wam opowiedzieć wszystko, ale absolutnie wszystko... -1 dostrzegam, jak nagle Alis i Clod zmieniają wyraz twarzy. Od razu się orientują, że to, co usłyszą, będzie czymś rzeczywiście nowym.

Noc. Zaczarowana noc, lekka, urokliwa. Noc spadających gwiazd, szalonych i zwariowanych pragnień, wprost odurzających. To była noc w tym tygodniu, kiedy każdy na widok spadającej gwiazdy wypowiada skryte życzenie. Siedzieliśmy wszyscy razem nad samym morzem, na piasku, Stefano, Giacomo, Izabrydka, która już doszła do siebie po ukąszeniu przez niejadowitego węża, i mnóstwo jeszcze innych ludzi. Ale przede wszystkim Lorenzo. Od tamtego dnia, kiedy się całowaliśmy,

nie zamieniliśmy ze sobą słowa. Zupełnie jakby mnie unikał. Niekiedy próbowałam pochwycić jego wzrok, ale zachowywał się tak, jakby mnie nie widział. Znaczy, docierało do mnie, że patrzy w moim kierunku, ale już po chwili, kiedy chciałam, by nasze spojrzenia się spotkały, nigdy nie dał mi satysfakcji, nie patrzył mi prosto w oczy. Zupełnie jakby uciekał. No i weź tu zrozum niektórych chłopaków. Hmm, nie to, żebym znów miała tylu do wymienienia, Lore był pierwszym, którego pocałowałam... a przede wszystkim jedynym! Ale to mnie wcale nie martwiło, wprost przeciwnie, pod pewnymi względami sprawiał, że czułam się pewnie. Cóż, wiem, że niezbyt jasno się wyrażam, ale to jedna z tych rzeczy, które, gdy ich spróbujesz, same przybierają taki obrót, i tyle. W każdym razie zebraliśmy się wokół roweru wodnego, kilka ręczników leżało rozłożonych na piasku, wszyscy siedzieliśmy, usiłując trzymać tyłki tam, gdzie jest sucho, ale było tak wilgotno, że koniec końców moje dzinsy i tak trochę przemokły.

- O, właśnie udało mi się zobaczyć jedną! Wypowiedziałam życzenie.

- A mnie następną!

- Mnie też, i mnie tak samo!

- A mnie nie udaje się zobaczyć ani jednej! - Znaczy, uważam, że mnie nabierają. Dobrze sobie, że niby wyłącznie oni je widzą.

- Sorry, sorry... Mam pytanie. A jeśli dwie osoby zobaczą tę samą gwiazdę, to życzenie liczy się tylko w połowie? - Na co wszyscy krzywo na mnie patrzą. Ale zasiałam w nich wątpliwość. Widzę Giacomę, jak wpatruje się w Lorenza, który spogląda na Izębrzydkę, ona z kolei obserwuje Stefanię, a ta, popatrując na resztę grupy, tym razem wzrusza ramionami.

- Nie wiem... - przyznaje pokonana. I dla mnie już samo to jest równoznaczne ze zwycięstwem. Chwilę później staram się naprawić sytuację.

- Ależ skąd, przeczytałam kiedyś w „Focus Junior”, że i tak spadająca gwiazda jest jedynie odbiciem tego, do czego doszło lata świetlne wcześniej, i dla każdego, kto ją widział, liczy się tak samo...

Lorenzo wzdycha. - Całe szczęście... - Kto wie, jakie wypowiedział życzenie!

Chwilę później Corrado wyciąga z ciemnego futerału gitarę, taką, że mózg staje, jak sam mówi. Corrado Tramontieri to koleś, który ubiera

się bez zarzutu. No, przynajmniej on tak uważa. Nic tylko chełpi się tym co sobie kupił, i wymienia masę sklepów, o których ja, szczerze mówiąc, w życiu nie słyszałam. Nosi przedziwne koszule, całe w prążki z błękitnym megakołnierzykiem, zapinanym na dwa maksymalne guziki, i mankiety też ma w tym samym kolorze. Corrado Tramontieri jest z Verony, słyszałam, że on też ma kupę kasy, ale według mnie straszny z niego frajer. W ostatnie wakacje przytrafiło mu się wszystko, co najgorsze. Jak choćby to, że ukradli samochód jego ojcu i tego samego dnia, kiedy stał przed lodziarnią kawałek od Villa Borghese, gdzie kupuje się lody wcale nie smaczniejsze, tylko trochę tańsze, zwinęli mu rower. I tak oto ojciec i syn spotkali się w Villa Borghese i opowiedzieli sobie, co im się przytrafiło! Padli sobie w ramiona rozbawieni. Znaczy, żadnemu z nich nie było przykro z powodu kradzieży. No i teraz niech ktoś mi powie, czy to aby nie drwina z ubóstwa.

- Na tej gitarze Alex Britti grał podczas swojego pierwszego koncertu. - Po chwili się rozmyśla, dociera do niego, że brzmi to mało wiarygodnie.

- To taki sam model...

- Aaa...

I gra kilka pierwszych dźwięków. Później spogląda na księżyc, jakby szukał natchnienia. Zastyga tak z zamkniętymi oczami, w ciszy, przed ogniskiem, które rozpaliliśmy. Według mnie nie pamięta słów. Żadnej piosenki. W każdym razie wreszcie wzrusza ramionami i zaczyna.

- *O morze czarne, o morze czarne, o morze cza... kiedyś jasne i przejrzyste jak ja...*

Wiedziałałam, wiedziałałam. Ta sama, którą śpiewał w zeszłym roku. I dwa lata temu! Nie ma co, przy całej tej kasie, którą ma, zamiast nowego roweru mógłby wziąć kilka lekcji gry na gitarze!

Podchodzę do Lor ego i mówię mu to na ucho: - Według mnie zna tylko to...

Lore parska śmiechem.

- Chodź. - Bierze mnie za rękę i ciągnie za sobą, niewiele brakuje, żebyśmy wpadli do ogniska i się spalili, odskakujemy i zanosimy się śmiechem, pędzimy w stronę ciemnej nocy, zdyszani od biegu, ja za rum, nogi grzęzną nam w zimnym piachu. Wlekę się. - Ej, dalej nie dam rady! - Na co on nagle przystaje przed dużą żaglówką, która stoi nad

brzegiem, na stojaku, z dziobem zwróconym w stronę morza. Wygląda, jakby lada moment miała wzbić się w powietrze i wypłynąć naprzeciw ciemności, ku nieznanym horyzontom. Ale tak się nie dzieje. Lorenzo opiera się o kadłub. Ja podchodzę bliżej. Jestem zdyszana.

- Nareszcie... Już nie dawałam rady.

I nagle przyciąga mnie do siebie. Całuje, aż tracę głowę, jakby mnie chciał pochłonąć, wciągnąć, wessać... No, nie wiem, jak to powiedzieć... Wciąż brakuje mi wprawy. A on bierze mnie całą, zapiera mi dech, odbiera siły i nie daje myśleć. I przysięgam wam, że zaczyna mi się kręcić w głowie, więc otwieram oczy i widzę gwiazdy. I przez moment mam przed sobą tam w górze świetlistą smugę i chciałabym powiedzieć: To ona, mam, to moja spadająca gwiazda, i chciałabym pomyśleć tysiące życzeń, ale w końcu mam tylko jedno, on nim jest. To ten moment i o nic więcej nie potrzebuję prosić. Moje życzenie już się spełniło. Jestem szczęśliwa. Szczęśliwa. Jestem szczęśliwa! I chciałabym to wykrzyczeć całemu światu. Ale nie odzywam się ani słowem i nie przestaję go całować. I zatracam się w tym pocałunku. Lore... Lore... Czy to jest miłość? Oboje mamy smak soli, morza i miłości! Bo ja wiem, tak, to chyba jest to. Nasze usta są takie miękkie i śliskie, zupełnie jak wtedy, gdy jesteś w wodzie i zmagasz się z żywiołem, płynąc w pontonie, ale jest tak ślisko, że nie możesz ustać, tracisz równowagę, zanosisz się śmiechem i wpadasz do morza. I trochę się opijasz wodą, zaśmiewasz i na nowo podejmujesz walkę. Ale teraz ze sobą nie walczymy. Nie! Nasze pocałunki są miękkie, najpierw niespieszne, potem się rozpędzają, mieszając się z nocnym wiatrem, szumem fal, smakiem morza. Oddycham głęboko. I szepczę, nie odrywając swoich warg od jego.

- Nareszcie... I Lore łypie okiem i on też, wzdychając, zagaduje: - Co nareszcie?

- Nareszcie znowu mnie pocałowałaś...

- Ej... - uśmiecha się w półmroku - ...nie wiedziałem, czy ci się spodobało.

Tym razem ja się uśmiecham i nie wiem, co by tu powiedzieć. Pewnie, że mi się podobało! I to jeszcze jak. Chyba czasem lepiej wcale się nie odzywać, żeby nie wypaść banalnie, więc nie przestaję go całować, jak gdyby nigdy nic. Wiecie, jak to jest, kiedy jest się takim na maksa wyluzowanym, co? I podoba mi się, bo czuję, jak powoli gładzi mnie

po policzku, przesuwa rękę i wsuwa mi ją we włosy, a ja opieram mu głowę na dłoni... Wiesz, to tak jak te sceny, które znasz z filmów i na maksa ci się podobają? Z oddali na dodatek dobiega muzyka, ale nie ta, którą wygrywa Corrado, czyli w kółko taka sama, to coś fajniejszego, z jakiejś dyskoteki. Wierzyć mi się nie chce. Specjalnie dla nas leci kawałek Ligabue. *Voglio volere*. Totalnie mi się to wszystko podoba, więc tym bardziej daję się ponieść. *Chcę zawsze cię tu znaleźć, ilekroć będę tego potrzebował. Chcę chcieć wszystko i tak chcę zdołać nie dorosnąć. Chcę cię zabrać w miejsce, którego ty właśnie nie możesz znać*. Te słowa brzmią idealnie. .. I zamykam oczy, i śpiewam sobie w duchu, całując go, wyluzowana, pogodna, pewna, aż tu nagle... coś czuję. Dziwny ruch. O Boże, a to co? Nie, może się pomyliłam. Jakie tam pomyliłam! To mój pasek! Tak! Ratunku! Drugą ręką gmera mi przy pasku. Przy moim pasku? Tak! Rozpina mi go. I co teraz pocznę? Ale na szczęście on sam znajduje wyjście.

Uśmiecha się do mnie i rzuca: - Mogę?

I co masz powiedzieć w takim momencie? „Pewnie, ależ proszę...”. Pewnie, ależ proszę? Skąd! Albo: „Tak, tak, bierz, jak dają...”. Bierz, jak dają? Nie, nie mogę mu tak powiedzieć! Lecz: „Przepraszam, ale lepiej nie”, też niekoniecznie... Nawet nie wiem, o co chodzi! Znaczą, trochę mogę sobie wyobrazić... Ale nie wiem, co takiego wydarzy się naprawdę. W końcu na wpół potakuję skinieniem głowy. A Loremu nie trzeba tego dwa razy powtarzać. Nagle nabiera rozpędu i staje się wręcz łapczywy, oddycha szybciej i trochę zaczynam się niepokoić. Dyszy, miota się, walczy z moim zapięciem. W końcu wygrywa i wsuwa mi rękę w dżinsy. Ale tu nagle zwalnia, czuję go... Na szczęście ma ciepłą dłoń, którą przesuwa tuż przy brzegu moich majtek. Lore całuje mnie tym razem dłużej, jakby chciał, bym poczuła się bezpiecznie, a potem, bez namysłu, wsuwa rękę głębiej.

Przerywam opowieść. Pociągam łyk herbaty. Piję powoli i przyglądam im się.

- I co? - Clod jest cała podenerwowana. Alis też wydaje się jakoś dziwnie skupiona. - Tak, tak, a potem?

Clod potrząsa mną i chwyta ręką za ramię, tak że o mało nie rozlewam herbaty.
- No weź! Opowiadaj! Mów dalej! -I nic, tylko w kółko zbiera wszystkie możliwe czekoladowe okruszki, które znajduje na talerzyku, malutkie kawałeczki, zgarnia je pulchnymi palcami, a następnie wkłada sobie do buzi. Uśmiecham się do niej.

- No a potem... dotknął mnie tam.

- Tam... tam? - dopytuje się Clod, wytrzeszczając oczy, cała zaskoczona, zdziwiona, nie wierząc własnym uszom.

- Tam... tam. No pewnie. Tam! A gdzieżby indziej... No wiecie co, jak ona czasem coś palnie!

Alis odzyskała już panowanie nad sobą, sączy swoje frappe spokojnie, jakby nigdy nic, jakby podobnych historii wysłuchiwała co rano. Delikatnie odstawia szklankę na spodek. I zaraz patrzy mi w oczy.

- Podobało ci się?

Clod od razu jej wtóruje. - No, tak, tak... Podobało ci się?

- No, nie wiem... Trochę mnie.

- Co trochę...?

- Trochę co...?

- Bolało?

- Nie, skąd! Był bardzo delikatny.

- Więc sprawił ci przyjemność! - Alis i jej zmysł praktyczny. Jeśli coś nie boli, to musi być przyjemne!

- Nie... on mnie...

- On cię?

- Połaskotał.

- Połaskotał?

- Oj, tak, połaskotał, znaczy, chciało mi się śmiać. Pewnie, nie wybuchłam mu śmiechem prosto w twarz, kiedy mnie dotykał! Ale w głębi duszy mało nie pękłam. Przysięgam, nie macie pojęcia, przez co przeszłam...

Alis kręci głową. - Słuchaj no, a gdzie on cię dotykał?

- Już ci mówiłam...

- Tak, wiem, ale z wierzchu?

- Co znaczy? - Patrzę na nią zaintrygowana.

- Zaraz ci wytłumaczę. Przepraszam? - Alis przywołuje kelnerkę. - Czy mogłaby mi pani przynieść karteczkę i długopis?

_ Tak... - Kelnerka robi zniecierpliwioną minę. Jakby taka pomoc nie należała do jej obowiązków. Pewnie, że nie. Tak czy siak jej płacą. Również za to, żeby była miła, co nie? Kiedy tak czekamy, Alis pociąga ostatni łyk swojego frappe. I zaraz uśmiecha się do nas pewna siebie.

_ Teraz wam pokażę. W każdym razie to jasne jak słońce, widać, że dla Lorego to też był pierwszy raz. _ o to go nie pytałam!

Alis zakasuje sobie rękawy. - Spokojnie, spokojnie, zaraz wam wytłumaczę...

Dokładnie w tej samej chwili na stole ląduje kartka i długopis.

- Proszę... Potem zwróćcie mi długopis.

Kelnerka odchodzi, kręcąc głową. Coś podobnego, wierzyć mi się nie chce! A to wszystko z powodu taniego bica! W każdym razie Alis zaczyna swój wykład.

- Więc tak, wiecie, że Laura, moja starsza siostra, jest lekarzem, prawda? Skończyła medycynę.

- No... i co?

- Więc ona wszystko mi wytłumaczyła! Jak to jest, że odczuwamy przyjemność, a nie, dajmy na to, łaskotki... - I kreśli dziwny rysunek, jakiś taki owalny kształt. Jak tylko się orientuję, co to, zatyka mnie.

- Alis, naprawdę masz zamiar tutaj udzielać nam lekcji seksu?

- Pewnie, a dlaczego nie? Miejsce dobre jak każde inne...

- Okay, jak sobie życzysz.

- Mów dalej. - Ale od razu nachodzi mnie kolejna wątpliwość. - Czy twoja siostra aby nie jest ortopedą?

- Tak, a co to ma do rzeczy?

- Jak to, co to ma do rzeczy, pewnie ci tłumaczyła, co masz robić, kiedy złamiesz rękę lub nogę. A tam to ja sobie jeszcze niczego nie Połamalam!

- Debilka z ciebie!

- Witajcie, dziewczyny, co wy tu robicie? - Rosanna Celibassi. Największa pani snobka, co ja mówię, największa megasnobka w całej szkole. Siada przed nami i patrzy, wścibska i złośliwa jak zawsze. Nie ma rady, wykapana córka. Michela Celibassi. Są identyczne. Córka zawsze

chce wiedzieć wszystko o wszystkich, wręcz wypytuje, zagląda innym do pamiętników, zżera ją ciekawość, co takiego porabiamy. Ja na szczęście trzymam wszystkie informacje, przemyślenia, refleksje, decyzje, a zwłaszcza związki, jakby co, w mojej komórce. W fantastycznej slide nokii 6500. Przywiązałam się do niej do szaleństwa. Nazwałam ją Noki--Toki. Ale to już całkiem inna historia, trochę smutna, a trochę i piękna, sama nie wiem, wiem jedynie, że dziś nie mam najmniejszej ochoty jej opowiadać. Także dlatego, że teraz pojawił się problem Celibassi!

- O, dzień dobry pani, nic takiego... Przyszliśmy na frappe... - Alis szybko składa kartkę i chowa ją do swojego organizera Comix. - Właśnie sobie gadałyśmy.

- Alice, pamiętasz o jutrzejszym wieczorze, prawda?

- Oczywiście, proszę pani.

- Zaczynamy o dziewiątej. Właśnie idę, żeby zamówić dla was wszystko... - Pani Celibassi chowa swój elegancki portfel do torebki. - Michela się ucieszy, prawda? Ona też mówiła mi o tym miejscu, twierdzi, że mają tu najlepszy tort czekoladowy i zabaglione w całym Rzymie. Wiesz może, czy smakuje jej coś jeszcze? Chciałabym, żeby naprawdę była szczęśliwa...

Alis się uśmiecha i lekko przekrzywia głowę. - Nie, nie, to w zupełności wystarczy, nie przychodzi mi do głowy nic innego.

- Okay, wobec tego zobaczymy się jutro. - Pani Celibassi się oddala, pogrążając przy tym wszelkimi możliwymi wisiorkami, łańcuszkami i bransoletkami ze złota, które dyndają jej z każdej strony. Ma tego tyle, że gdyby ktoś z niej to zdjął, to po pierwszym ataku paniki jak nic mógłby za to spędzić dwa tygodnie na Malediwach. Clod czeka, aż kobieta się oddali.

- Ej, słowem nam o tym nie wspomniałaś. Alis jest lekko speszona.

- O czym? .

- Tak, jeszcze udawaj, że nie wiesz, o co chodzi.

- Znaczący... To jutro wieczorem Michela robi imprezę?

- Bo nie chciałam, żeby wam było przykro.

Clod wzrusza ramionami. - Coś ty, w życiu bym nie przyszła... Zanudzić się. Alis potakuje głową.

I zaraz Clod przygląda jej się uważniej. - A kogo zaprosiła, wiesz?
- Te, no... - Alis też wzrusza ramionami. - Nie wiem. Parę osób z klasy...
- Marchetti, Pollini, Faraoni, czyli wszyscy tam będą? - Clod poniosło. Chodzi o Szczury. A wy myślicie, że paczka chłopaków, bardziej lub mniej walniętych, może mieć ksywę Szczury? No, są w innej klasie, w D. Wciąż tylko rozrabiają i zachowują się jak idioci. O Boże, kilka razy udało im się mnie rozśmieszyć, i to jak. Byli na imprezie u Bezzi, Aria-ny, tej, co to prawie uważa się za piękniejszą od Celibassi, i jeden z nich, jak dotąd nie udało się dojść który, choć ja tam mam pewne podejrzenia, rznął głupa. Ale nie na niby. Dosłownie, wpakował kupę do pralki, gdzie były same białe rzeczy. Koszule, bluzki, swetry całej rodziny, po czym ją włączył na wirowanie. No i sami możecie sobie wyobrazić, jaki z tego wszystkiego wyszedł miks? Szczury mają na koncie również inne wygłupy, niektóre przezabawne, ale teraz ich nie pamiętam. Zresztą to Matt i tak zawsze opowiadał mi o wszystkim. Matt, naprawdę ma na imię Matteo, jest raczej pucułowaty, ale ma ładną buzię, nosi długie jasnokasztanowe włosy, trochę ciemniejsze od moich, i jest bardzo fajny, a poza tym zawsze ekstra się ubiera, potrafi dobrze dobrać koszulkę i spodnie, a przynajmniej tak jest od czasu, kiedy przestaliśmy być parą, czyli w lipcu zeszłego roku. Po wakacjach jeszcze go nie widziałam. To on mi powiedział, że mówią na ich paczkę Szczury. Zapytałam go, skąd taka nazwa, ale jakoś nie był skory do odpowiedzi. - Któregoś dnia może ci wyjaśnię... - odparł raczej wymijająco, był taki „cooljo” jak to my, czyli ja i moje przyjaciółki, mówimy, no słowem, kiedy ktoś coś ukrywa, ale ja , mam pewien pogląd na temat ksywki ich paczki, tylko obawiam się, że to coś strasznie obleśnego. A z drugiej strony to Szczury, o ile nie wygadują świństw, wcale się nie bawią.

W każdym razie jakoś nie mogę przeboleć tej historii z imprezą Celibassi. Alis od razu prosi o rachunek.

- Ja zapłacę... - Niemal wyrywa mi go z rąk, kiedy podchodzi kelnerka. Coś mi się zdaje, że ma poczucie winy.

Choć prawdą jest również, że to ona zawsze za nas płaciła! Clod zjadła ostatni kawałeczek czekolady, zwędziła mi go z talerzyka, i w końcu wyszliśmy. Trochę się powąłęsałyśmy, wiesz, takie

przyjaciółki, które chcąc nie chcąc, mają do siebie jakiś żal. Słowem, chyba jak się tak nad tym lepiej zastanowić, to Clod ma rację, Alis powinna nam o tym powiedzieć.

- Cześć, cześć... Do zobaczenia...

Właśnie, od razu się orientuję, że coś jest nie tak, nie mam ochoty rzucić, jak to zwykle ja, ciauuu! I się zbieram. Alis wsiada do swojego miniauta. Clod się z nią żegna i sama pakuje się do swojego microcara. Ja udaję, że nie ma tematu, i idę przed siebie, ale jak tylko znikam za zakrętem, od razu wybieram numer Clod. No! Kurczę, tego tylko brakowało! Skończył mi się kredyt na karcie. Oby do mnie oddzwoniła. Po sekundzie otrzymuję SMS-a. *Co jest?*

Chciałabym móc jej odpowiedzieć, ale nie mam jak. Rety. Zawsze w najtrudniejszych sytuacjach. O Boże, nie to, żeby ta akurat była aż tak znowu skomplikowana. Oby Clod zajarzyła. Po kilku kolejnych sekundach odzywa się moja komórka. To ona. Odbieram.

- Założę się, że skończył ci się kredyt.

- Trafiłaś w dziesiątkę! I co?

- Co co?

- Matko, fatalna ta sprawa z Alis, co?

- Beznadziejna. - Przez kilka sekund milczy, kto wie, co takiego sobie myśli. Zresztą ona płaci. Po chwili, jakby wreszcie skumała. - Może powinnyśmy przestać się z nią kolegować, co?

- Oj, nie wiem, czy to nie przesada...

Znowu cisza. - Tak, masz rację. A co, może cię podwieźć?

- Nie, nie, teraz się przejdę, chcę się odprężyć, ta sprawa za bardzo mnie wkurzyła.

- Wiesz, należałoby dać jej do zrozumienia, że w imię solidarności powinna zrezygnować z imprezy.

- Właśnie...

Ale coś mi się zdaje, że żadna z nas w gruncie rzeczy nie jest do tego przekonana, więc postanawiam kończyć.

- Dobra, to do usłyszenia. Potem się będziemy łączyć na MSN, okay? Zresztą...

W sumie to nie bardzo wiem, co takiego ma oznaczać to „zresztą”, ale ostatnio tak mam, że wciąż je powtarzam. Znaczący uważam, że jest

świetne, bo daje poczucie wolności... W każdym razie pozwala puścić wodze fantazji... To jakby powiedzieć: „Zresztą coś się może wydarzyć...”/ „Zresztą to tylko impreza” albo: „Zresztą życie toczy się dalej”. A w każdym razie ja tego tak używam i tak to rozumiem.

- Jesteś pewna, że nigdzie cię nie podwieźć, co?

- Nie, nie, już ci mówiłam, chcę się przejść. Dzięki, wrócę później autobusem.

- Okay. To na razie.

- No to nara.

Clod czasami jest prawie przerażona. Znaczący, boi się skończyć jakąś rozmowę, zawsze przychodzi jej do głowy dziwne rzeczy, zupełnie, jakby rozłączając się z kimś, traciło się ze sobą kontakt na zawsze. Może dlatego, że jej starzy ciągle pracują i w domu nigdy nikogo nie ma. Bo ja wiem. Nie to, żebym sama była w innej sytuacji, a jednak nie odczuwam tak jak ona tego ciągłego przymusu, by się z kimś słyszeć.

Alis sprawia wrażenie, jakby z nas wszystkich najmniej jej to przeszkadzało. I pomyśleć tylko, że jej rodzice są w separacji, a jej siostry nigdy nie ma w domu. I bądź tu mądry! Życie ma przed nami swoje tajemnice. Co tam, świat je ma. Już choćby sam fakt, że to zawsze ona jest zapraszana na imprezy, chociaż akurat my o wiele częściej od niej gadałyśmy z Celibassi. Ale tym razem tak tego nie zostawię. I w okamgnieniu przychodzi mi do głowy pomysł. I się uśmiecham. Znalazłam sposób, by też się dostać na tę imprezę!

- Dzień dobry, w czym mogę pomóc?

- Chciałam zrobić niespodziankę przyjaciółce od serca, Micheli Celibassi, niedługo ktoś tu przyjdzie odebrać jej tort urodzinowy.

- A, tak, oczywiście.

- Właśnie, więc już tłumaczę, razem z przyjaciółkami wymyśliłyśmy jedną rzecz... -1 nie wiem jak, ale udaje mi się przekonać faceta, który daje mi wolną rękę, zabiera mnie do kuchni i na chwilę zostawia, bo sam ma coś na głowie, dokładnie tyle potrzeba mi, bym mogła wcielić w życie swój szatański plan. - Dziękuję, gotowe! Był pan naprawdę nuty. Sam pan robi te wszystkie desery, prawda?

- No, tak.

- Właśnie, jest pan najlepszym cukiernikiem, jakiego w życiu poznałam! - Na co koleś w swoim pięknym czepku na głowie, oczywiście nie tak wysokim i okazałym jak te, które zwykle pokazują w telewizji, w takim prostszym czepku, w sumie bardziej w stylu tych, które noszą lekarze z *Ostrego dyżuru*, tyle że całym białym, uśmiecha się do mnie szczęśliwy. I zaraz gratuluje swojej asystentce tuż obok, kobiecie, która ma taki sam czepak, i z nią do spółki przyjmuje pochwały, na które ona też zasługuje. - Naprawdę, jesteście znakomici... - I tak ich zostawiam, dumnych z własnej pracy. Ja też się uśmiecham. Z drugiej strony zrobiłam to, na czym mi zależało.

Wychodzę z Cióccolati i czuję się nieco podniesiona na duchu. Dzwoni moja komórka. To Clod.

- Ej, co jest?

- Uważasz, że tylko nas dwóch z całej klasy nie zaprosiła?

- A bo ja wiem... Co cię to obchodzi? W każdym razie w taki czy inny sposób my też pojawimy się na tej imprezie. '

- Jak to? Wkręcimy się?

- Nie w tym sensie... Zrobimy niespodziankę. Potem ci wytłumaczę.

- Caro, jesteś boska!

- Sorry, ale teraz muszę już kończyć.

- Przecież to nie ty płacisz? To ja do ciebie dzwonię! '

- Wiem, wiem, ale muszę jeszcze coś zrobić.

Straszna mendziocha z tej Clod, jak już się przypnie. Życie nie daje. A ja czasami potrzebuję pobyć sama. Dziś akurat mam przyływ weny twórczej! Idę przez most i czuję się zupełnie jak jedna z tych cudzoziemek, które widuję w Rzymie. Zawsze idą przed siebie ulicami, czasami nawet nie mają mapy! Zdają się na to, co zobaczą.

Pierwsza rzecz, jaką chcę zrobić, gdy tylko będę mogła, to podróżowanie. Już sama myśl mega mi się podoba, więc chodzę tak sobie uśmiechnięta, trochę cudzoziemka, a trochę nie, pokonuję most Cavour i w pewnym momencie spoglądam w dół. Jak pięknie. Pod nami ten wielki Tybr, który płynie sobie i tyle już się zdążył naoglądać. Począwszy od starożytnych Rzymian aż po lata sześćdziesiąte, kiedy to ludzie jeszcze się w nim kąpali. Czasami, gdy zostawałam w domu, bo źle się czułam, zdarzało mi się oglądać rano te czarno-białe filmy, w których grał taki

umiężniony aktor, przystojniaczek, z sympatyczną twarzą, zdaje się, że na imię miał Maurizio, ale nie pamiętam dokładnie nazwiska. On i jego przyjaciele wskakiwali do Tybru, samochodów było wtedy jak na lekarstwo, wszyscy sprawiali wrażenie sympatycznych i gościnnych, a imprezy były otwarte dla chętnych.

- Sorry... - I zatrzymuje się przede mną jakiś buras na skuterze, w dużym kasku, co ja mówię, olbrzymim, pod nim ma żółtą bandanę w kolorowe wzory, którą przewiązał sobie masę włosów a la dredy.

O Boże, czego on może chcieć? Dobrze wiem. Będzie próbował mnie poderwać.

- Ej, ślicznotko, wiesz, gdzie jest via Tacito?

Więc po pierwsze, już sam fakt, że gościu tak się do mnie zwraca, a kto cię tam zna? I po drugie to co, mam robić za twoją nawigację satelitarną czy jak?

- Tak, pewnie, słuchaj, musisz zawrócić, za światłami jedź cały czas prosto, potem w stronę via delia Conciliazione i dalej skręć w lewo. To tam.

- Dobra, do zoba... - I rusza na skuterze, dodaje gaz do dechy, ma na wpół rozwalony tłumik. Słowem, strasznie hałasuje.

I po trzecie, nawet mi nie podziękował. Ale to było do przewidzenia

I trochę się tego spodziewałam. Lecz najgorsze jest to, że zaczepiłeś mnie nie po to, by poznać, ale żeby zapytać o drogę! Co to ma być? I tak ruszam przed siebie, na początku trochę wkurzona, ale już po chwili pogodna i rozbawiona. Ja, cudzoziemka we własnym mieście. I się uśmiecham, ogarnia mnie wesołość i biegnę przed siebie po moście. Dalej, dalej, szybko. Bo jak mnie dorwie tamten koleś... Słyszał kto kiedy o via

Tacito?!

- Dzień dobry! - Wchodzę do Feltrinelli w pasażu Sordi, na piazza Colonna, znaczy, najpierw tak naprawdę wstąpiłam do Zary. Wiecie, o który sklep mi chodzi? To ten taki megazajebisty tam naprzeciwko, gdzie sprzedają hiszpańskie ciuchy, tańsze od tych, które są u nas. A materiały też mają ekstra, przysięgam. Tyle że nic sobie nie kupiłam. Wisiała tam taka kurtka, czysty obłęd. Ale ostatnimi czasy jestem

totalnie bez kasy, powinnam jakoś naciągnąć matkę albo brata. Rusty James natychmiast by mi sprawił taką kurtkę, ale i on przędzie teraz prawie tak cienko jak ja. Babcia. Babcia mogłaby mnie wybawić. Babcia Luci. Babcia ma na imię Lucilla, a ja jestem jej pierwszą wnuczką, w sensie ulubioną, jak sama mówi, ale to też jeszcze jedna historia ogromnie romantyczna. Na pewno opowiem wam ją jak należy, tylko kiedy indziej, bo dziś czuję, że mam zdecydowanie większy dryg do nauki.

Ta sprawa z Alis jakoś nie daje mi spokoju i nie pasuje mi, że miałam łaskotki tylko z powodu niedouczenia! Chcę wiedzieć, zebrać informacje, zrozumieć. I nawet nie wiem, czy ja i Lore jesteśmy parą, czy jesteśmy razem, tak, słowem, takie tam... Wiem, że ten pocałunek ogromnie mi się podobał, tak samo akcja z paskiem, spodniami, owszem, słowem, cała reszta też... I przechowuję nawet buteleczkę z piachem i muszlę, żeby nie zapomnieć o naszym spotkaniu. Ale nie chcę już więcej wystąpić nieprzygotowana.

- Przepraszam, gdzie jest dział naukowy?

- Choćby tutaj...

- Aaa. - Rozglądam się wokół. Mają tu wszystkiego po trochu. Mężczyzna z plakietką z napisem *Sandro*, a pod spodem *Feltrinelli*, patrzy na mnie zaciekawiony.

- Czego szukasz? - Mhm... Nie bardzo wiem, co mu odpowiedzieć, jak to ująć?! Ratunku! Przecież nie mogę mu wyjechać, że chcę książkę, która mi wyjaśni wszystko jak należy, bym nie miała łaskotek, kiedy Lore mnie dam dotknąć! Wyobrażam sobie jego minę! Staram się zachować jak największą powagę.

- Książki o wychowaniu seksualnym.

Sprzedawca, zawodowiec w każdym calu, wskazuje mi odpowiedni dział.

- Słuchaj, wszystko, co mamy na ten temat, znajdziesz tam.

Na co ja oddycham głęboko i kieruję się w stronę wskazanego działu. Ej, ale tu jest cała masa książek. Nie wiedziałam, że koniec końców aż tyle trzeba wiedzieć!

Wychowanie seksualne (10-13 lat), Wychowanie seksualne w ramach prewencji. Nowe wzorce dla rodziny, szkoły, instytucji, Seksuologia XXI wieku i nauka miłości.

I jeszcze to... *Kryjówka królika. Rady i sugestie w wychowaniu seksualnym nastolatków. Z planszami instruktażowymi.* Kryjówka królika! Czyli że według tej książki... ja miałabym być króliczką? Trochę tak jak w tych pismach, które raz widziałam u R.J.- a, tak, króliczek „Playboya”! Ratunku!!!

Zaczynam kartkować jedną książkę. Na pierwszych stronach jest cała masa objaśnień technicznych i definicje pojęć. Przedwczesny wytrysk. Oziębłość. Orgazm. Petting. Punkt G. Punkt K i C. Punkt L. Pochwica. I rysunki, które ścinają z nóg w porównaniu z tymi, które podsunęła nam Alis. Otwieram książkę w połowie. I czytam: *Dojrzewanie ze swoimi przemianami fizycznymi (pokwitanie) wymaga również wiedzy, która pozwala nam lepiej zrozumieć, co się dzieje z naszym ciałem i jakie są najważniejsze zmiany w naszym „dorastaniu” i w naszej odmiennej seksualności w wypadku chłopców i dziewcząt.* No jak dotąd... Kartkuję dalej. *Potraktujcie to jak zabawę, w sumie. To tylko kwestia praktyki, a potem i tak można doświadczyć intensywnej przyjemności przy maksymalnym zabezpieczeniu...* I kiedy dociera do mnie, o co chodzi, prawie się rumienię. Zamykam gwałtownie książkę i natychmiast się rozglądam, w nadziei, że nie ma tu nikogo znajomego. Tego tylko brakowało, żebym spotkała kogoś z rodziny albo, jeszcze gorzej, jakiegoś nauczyciela. Właśnie, powiedzmy, kogoś takiego jak psor Boi, ta od razu by wszystko nadała mojej matce. No, pewnie, nie jest to wprawdzie świerszczyk, którego przyniosły ze sobą na tamtą imprezę Szczury.

Pamiętam dzień, gdy Matt miał bierzmowanie, po południu zaprosił nas do siebie do domu. I wszyscy tam poszliśmy. I naprawdę było niczego sobie. Słońce fajnie świeciło i wpadało przez okna do środka, przygotowali bufet, i to rzeczywiście wypasiony, z trójkątnymi kanapkami, ale takimi jak należy, nie jakimiś obeschlými, tylko z wypieczonego i świeżego pieczywa, takimi naprawdę smaczными, z różnymi dodatkami do wyboru. Jedyne co musisz, to zdjąć z góry kanapkę, która ci nie smakuje, i szukać dalej, trochę bardziej pod spodem, póki nie znajdziesz takiej w sam raz. W sam raz... choć jednej idealnej i tak nie ma! Słowem tej, która smakuje akurat tobie, bo ja wiem, na przykład chciałam

kanapkę z kawiozem... Już zresztą później Clod, która wszystko wie o takich rzeczach, wyjaśniła mi, że tak naprawdę to ikra taszy! Albo zjadłabym z przyjemnością kanapkę z jajkiem i salami, bo za nią wprost przepadam, tyle że nigdy jej nie jem, z uwagi oczywiście na hipotetyczną możliwość, że przyjdzie mi się z kimś całować, co wówczas jeszcze nie miało miejsca. Dajmy na to koleś wreszcie do ciebie podchodzi, a nuż wpija ci się w usta, a ty... wystarczy, że na niego chuchniesz, i woń jajka w połączeniu z salami zwali go z nóg! A zatem nie było mowy, bym miała się na taką kanapkę skusić... Dobra, słowem, bufet był taki, że mózg staje, leżały też minipizze z sosem pomidorowym, te zamówione w Cutini na via Stresa, świeże i z gorą pomidorów na wierzchu, prawdziwy rarytas. Na ogół te kupowane gdzie indziej są suche i mają mało pomidorów, nie wiem dlaczego, nie sądzę, żeby kosztowały przez to mniej. Ale tam...

I Clod tam była, prawie leżała plackiem na bufecie, wesoła jak szczypioerek na wiosnę. I to też: „Wesoły jak szczypioerek na wiosnę”, zawsze powtarza babcia Luci. Choć ja nie do końca rozumiem, dlaczego tak się mówi. Chodzi mi o to, że dlaczego akurat na wiosnę ma się być wesołym? Pamiętam, że na przykład Ale, moja siostra, rozstała się z chłopakiem właśnie na wiosnę. I ten czas był dla niej dramatyczny! Na Wielkanoc kupiła wielkie jajo z niespodzianką i przez cały dzień nie ruszała się od stołu i tylko się w nie wpatrywała, i jedno jest pewne, wcale nie była wesoła, wprost przeciwnie! No więc jak, to co się mówi? Była smutna jak szczypioerek zimą? Chociaż akurat jest właśnie wiosna. No, dajmy już temu spokój, również dlatego, że Ale ostatecznie dobrała się do swojego jajka i nawet nie zdążyła skończyć całej czekolady, a już miała nowego koleś, lecz to akurat całkiem inna historia.

A na tamtej imprezie to Clod była największym dziwolągiem. Czyli, że kiedy tak opychała się kanapkami i minipizzami, to jednocześnie dawała radę nakładać je sobie również na talerzyk, jakby istniało niebezpieczeństwo, że się skończą! Wicie, trzeba ją było widzieć, wyglądała jak „ośmiożarnica”, ośmiornica żarłocznic. Nie mam pojęcia, czy istnieje takie zwierzę, wiem tylko, że Clod tak wymachiwała rękami, jakby ich miała z tyś. Lewą wkładała sobie jedzenie do buzi, prawą sięgała po kanapkę i nakładała ją na talerzyk, znów, lewą chwytowała mini

pizzę i brała do ust, a prawa przytrzymała kolejną mini pizzę na talerzyku, słowem, machina wojenna albo lepiej, machina do walki i głodem.

Za to ja trochę się wtedy odchudzałam i krążyłam po salonie, wiesz, nie masz nic do roboty i ogólnie się nudzisz, więc oglądasz sobie zdjęcia, żeby dowiedzieć się czegoś o cudzej rodzinie. Przyglądasz się zdjęciu rodziców z młodości, kiedy się pobrali, a potem rodziców rodziców, gdy ci z kolei się pobierali, i jeszcze zdjęciom z czyichś narodzin, pierwszym zdjęciom Matta, gdy był mały, identycznym zresztą jak te moje, znaczy, kiedy jesteśmy mali, to wszyscy wyglądamy prawie tak samo, wytrzeszczamy oczy na widok aparatu fotograficznego i z pewnością to, co dopiero nastąpi, przekracza naszą wyobraźnię.

W pewnej chwili rozglądam się wokół i dociera do mnie, że nie wiedzieć czemu, ale większość chłopaków, którzy siedzieli w salonie, gdzieś przepadła. Więc podchodzę do Silvia Bertoliniego. O, to fajny koleś. No, może fajny to za dużo powiedziane. Słowem, zdarza mu się być zabawnym. Problem polega na tym, że robi to niechętnie! Nosi okulary z grubymi soczewkami i aparat na zębach, a matka, przysadzista pani, niejaka Maria Luisa, nie odstępowała go na krok. Jak tylko widzi, że wychodzi ze szkoły, od razu poprawia mu szalik i czapkę, ciągnie go za płaszcz, słowem, naprawdę go sobie podporządkowuje, on zaś potyka się, upada, wpada, na co popadnie, krótko mówiąc, wszystko idzie mu nie tak. Ja myślę, że to wszystko wina matki! Tak czy owak mówimy na niego Silvietto.

- Co się stało z całą resztą?

Odwraca się jak oparzony. W rękach trzyma dziwną tartinkę i usiłuje pozbyć się z niej majonezu, bo mu nie smakuje. Rozmazuje go na serwetce, która leży na stole. A gdy go wołam, to podrywa się tak gwałtownie, że tartinka wypada mu z dłoni, robi fikołka i ląduje akurat na serwetce, prosto w majonezie, do którego się przykleja, przez co cały wysiłek, na który Silvio się dopiero co zdobył, idzie na darmo.

- Ej! Co jest?

- Pytałam, gdzie reszta? Nie widzę tu żadnego z chłopaków!

- Tam! - Zniecierpliwiony pokazuje mi na korytarz pograżony w półmroku.

- Okay, dzięki.

Silvietto sięga po tartinkę i znów od początku zabiera się za pedantyczne usuwanie majonezu, jakby nic innego go nie interesowało. Ja przemierzam korytarz: na ścianach wiszą jakieś stare grafiki, nad kaloryferami jest mała półka, a na niej drewniany wazonik. Poznaje go, robiliśmy takie na ostatnich zetpetach. W środku stoi kilka suchych kwiatów, skoro już wazon został wypalony, ale to taka pokraka, że jeśli naleje się wody do środka, to istnieje niebezpieczeństwo podlania całego parkietu, na którym z wilgoci autentycznie mogłyby zacząć rosnąć kwiaty!

Matt nie umiał zrobić go jak należy, cały mu popękał! Mnie wyszedł lepszy, dostałam czwórkę, ale kiedy przyniosłam go do domu, zaraz zniknął. Muszę to zbadać. Coś mi się zdaje, że moja siostra dała go w prezencie któremuś ze swoich chłopaków, zmyślając na dodatek, że to ona sama go zrobiła. Jeśli mam rację, to dziewczyna sporo ryzykuje, zważywszy, że pod spodem farbą olejną jest napisane: CAROLINA III B. Ale nawet gdyby moje obawy się potwierdziły, ona i tak zawsze wie, jak wybrnąć z oparów.

Właśnie, widzę światło. Drzwi do ostatniego pokoju w korytarzu są przymknięte. Słyszę zadziwiająco ciszę. Podchodzę na palcach i staję tuż przy samym wejściu. Może nikogo tu nie ma. Nie, nie. Zaglądam przez szparę, wszyscy siedzą w środku, niektórzy ulokowali się na łóżku, inni na podłodze. Ale dlaczego są tak cicho?

- Ooooch. - Nagły okrzyk zdziwienia i jeszcze kilka komentarzy, ale jakoś nie dociera do mnie, czego dotyczą. Otwieram drzwi i wszyscy się nagle odwracają, zaskoczeni, oszołomieni, zatkało ich, wyglądają na przestraszonych.

- Co wy wyprawiacie?

Matt jest najszybszy z całego towarzystwa. - Nie, nie, nic... - I stara się zamknąć to coś, co leży na łóżku, między chłopakami. Ale ktoś specjalnie mu to uniemożliwia i tym samym udaje mi się zobaczyć, co tam mają. Sylwetki, zdjęcia, i niechący stają z rozdziawioną buzią.

- Niiieeee. Własnym oczom nie wierzę.

Nagie kobiety i mężczyźni, i jeszcze inne kobiety, które trzymają w dłoniach męski „interes”, i jeszcze inne, które wyprawiają niebywale rzeczy.

Matt znów próbuje zamknąć pisemko, ale Pierluca Biondi, od zawsze niewyżyty świntuch, którego ja i moje koleżanki znamy nie od dziś, trzyma go za ramię.

- Ale nie, nie, daj jej popatrzeć, a nuż zdobędzie się na jakąś własną interpretację... - I zaraz się we mnie wpatruje z miną wilka, w stylu postaci z kreskówek, z uniesioną brwią i strużką śliny, która gromadzi mu się w kąciku ust. I się śmieje, oblech. - Więc jak, Caro... co o tym myślisz, co? Jak uważasz?

A ja się krzywię i uśmiecham jeszcze złośliwiej niż on.

- Ach, to... Starość! Musicie zobaczyć najnowszy numer, tam to dopiero się dymają!

Lecz akurat w tej samej chwili czyjaś ręka łąduje mi na ramieniu.

- Moi drodzy, co wy tu robicie? - To mama Matta.

Pisemko tym razem znika w okamgnieniu, łąduje pod poduszką na łóżku, a Pierluca Biondi siada na nim z impetem.

- A ty, Carolino, co takiego mówiłaś?

- E, nie, mówiłam, że to nieładnie tak znikać...

- Rzeczywiście, masz rację.

- Tak, mam, my właśnie się umawialiśmy na następny mecz w piłkę, w niedzielę na szkolnym boisku.

- Tak, Matteo, wiem, ale zrozum, to nieładnie... Wszyscy goście siedzą w salonie, nie ociągać się, chodźcie, porozmawiacie sobie...

I tak powoli, jeden za drugim, Pierluca, Matteo i cała reszta niezdrowo podekscytowanego towarzystwa opuszczają pokój, a matka zamyka drzwi za ostatnim wychodzącym.

- No już, idźcie do salonu, to przyniosę wam słodycze.

- Tak, mam. - Na co ona się uśmiecha. A Matteo znów jest jednym z najgrzeczniejszych dzieciaków na świecie. A przynajmniej tak może sobie myśleć jego mama.

Kiedy wracamy do salonu, widać, że Bertolini wreszcie poradził sobie z tartinką, wyczyścił ją zgodnie z upodobaniem. Przygląda się jej cały dumny z wykonanej pracy, już ma ją zjeść, kiedy Pierluca klepie go w ramię.

Świetnie, SiMe! - I tartinka znów wylatuje chłopcu z rąk, tym razem łąduje na ziemi i posmarowaną częścią przywiera do podłogi.

Sama nie wiem, jak to jest, ale zawsze, ilekroć jakaś rzecz ma być czysta, to leci na ziemię, a już zwłaszcza spada posmarowaną częścią do dołu, brudząc się definitywnie. Dziwna sprawa. Trochę tak jak ten pamiętnik z Prawami Murphy'ego, ten, który tak bawi Rusty'ego Jamesa i jego przyjaciół. Ten z idiotycznymi zasadami typu: jak coś ma pójść źle, to tak się stanie... I tak dalej. Bo ja wiem. Oni tarzają się ze śmiechu. W każdym razie dołączam do Matta w salonie.

- Ej.

- Ej. - Nie patrzy mi w twarz, chyba trochę mu wstyd. - Co jest? Czego chcesz?

- Wreszcie na mnie spogląda. - Cieszysz się, że do nas przyszedłeś, że nas nakryłeś?

Na co ja kręcę głową. - Co ty wygadujesz, lepiej podziękuj, że zasłoniłam drzwi... Dałam wam czas, gdyby weszła twoja matka i zobaczyła was, jak oglądacie tego świerszczyka cali napaleni... Pomyśl tylko, jakbyś wypadł, i to akurat w dniu, kiedy zostałeś bierzmowany!

- A co to ma do rzeczy, przecież to żaden grzech! To było dla zabawy z przyjaciółmi...

- Tak, ale po tym, jak cię zapytała, co robicie, ty ją okłamałeś... I to akurat w dniu, w którym miałeś bierzmowanie...

- Ej, słuchaj, skończyłaś truć? Tak, wkurza mnie, czuję się przez to winny, przyszło mi to do głowy. A ty czego chcesz? Po co mi robisz te wszystkie wymówki, co? Czego ode mnie chcesz?

- Tamto pisemko.

- Świerszczyk? - Wpatruje się we mnie wytrzeszczonymi oczami i zaraz znów się rozpromienia. - Ale czy aby nie mówiłaś, że już to czytałaś?

- Weź... - Nie chcę, żeby widział, jak się peszę, tym razem to ja na niego nie patrzę.

- Okay, Caro, dam ci je... ale mogę cię o coś zapytać?

- Co takiego? - Znów patrzę mu prosto w oczy.

- Na co ci to?

- Nie odpowiada mi, że my, kobiety, zawsze, gdy przychodzi co do czego, to jesteśmy kompletnie nieprzygotowane.

- Aaaa. -1 jakoś tak dziwnie potakuje, kiwając głową, jakby rzeczywiście coś zrozumiał.

No i tak, dalszy ciąg popołudnia minął spokojnie, nie licząc tych kilku głupich spojrzeń podczas imprezy, które posłał mi Biondi, robiąc aluzję do tego, co zobaczyliśmy w pokoju. A na koniec dnia udałam się do pokoju Matta, gdzie już na mnie czekał. Włożył pisemko do koperty i wręczył mi ją w pośpiechu.

Szybko, schowaj sobie do torebki. - I ja w te pędy wciskam je, ale przed wyjściem udaję, że potrzebuję skorzystać z toalety. Sami wiecie, nie chciałabym już po dotarciu do domu przekonać się, że dostałam komiksy o Myszce Miki albo Dylanie Dogu lub jeszcze gorzej, jedną z tych historyjek manga, którymi zasłany jest cały pokój Matta. Więc idę do łazienki, otwieram torbę i w kopercie w środku znajduję właśnie to wyuzdane pisemko, z całą tą treścią dozwoloną od lat osiemnastu. Z miejsca je zamykam, zupełnie jakby mnie mógł ktoś zobaczyć, a kiedy wychodzę, wołają mnie. - Carolina, przyjechała twoja mama, czeka na ciebie na dole. - Więc błyskawicznie dopadam drzwi do salonu, z nikim się prawie nie żegnam, bo serce wali mi jak szalone. Wychodzę na klatkę i jestem przeszczęśliwa, bo lada moment zjadę sobie sama windę. Lecz nieoczekiwanie wsiada Biondi z ojcem i nie starcza mi czasu, żeby wysiąść, bo koleś już zdążył wcisnąć guzik z cyfrą 0. - Zjeżdżasz z nami?

- Tak, pewnie. - I tak oto pokonuję te piętra w towarzystwie Biondiego, który wpatruje się we mnie uśmiechnięty. Aż tu nagle...

- Jakie masz plany, Carolina... Od razu się kładziesz czy będziesz oglądać telewizję, kiedy wrócisz do domu?

- Masz, sama nie wiem, a bo co? - Zaszło mi w ustach.

- No bo nigdy nic nie wiadomo. A nuż się położysz i sobie poczytasz... - i się uśmiecha, a ja mało nie padnę. Matt mu powiedział! I faktycznie patrzy na mnie, następnie na torbę i lekko unosi podbródek, jakby chciał pokazać, że chodzi mu o torbę. - Nie lubisz czytać? - O Boże, czuję, że lada chwila zemdleję, a co, jeśli teraz upadnę jak długa i otworzy mi się torba, a jego ojciec zobaczy tego świerszczyka? Jak ja będę wtedy wyglądać? Ale na szczęście to właśnie jego ojciec przychodzi mi na ratunek.

- No już, zostaw ją w spokoju... Niech robi, co jej się podoba! Skoro jest śpiąca, to niech się położy.

Oddycham z ulgą. Uffff... I to akurat jego ojciec mnie ratuje. - Chodź, wysiadaj, jesteśmy na dole. - I wypycha go z windy. - Pozdrów ode mnie rodziców, Carolino.

- Dziękuję... - Nie bardzo wiem, za co tak naprawdę mu dziękuję, ale ten palant Biondi nie odpuszcza.

- Do zobaczenia jutro w szkole, to już... wtedy mi opowiesz.

Nie mówię mu cześć, olewam go i to równo. Idę do mamy do samochodu i wsiadam, nie ociągając się ani chwili. Patrzy na mnie. Z pewnością zauważa, że jestem blada.

- Ej, co z tobą, impreza się nie udała?

- Ależ skąd! Bałam się, że obleją mnie z góry wodą! - Mama jakoś nie bardzo mi wierzy. Wychyla się, patrzy przez przednią szybę. Na żadnym tarasie nie ma włączonych świateł. Wpatruje mi się w oczy, usiłuje mnie przejrzeć, wychwycić odmienne, choćby najmniejsze, niedostrzegalne drgnięcie powieki. Patrę przed siebie. Zachowuję się wymijająco.

- Mhm...? - Wciąż się we mnie wpatruje. Dłużej nie wyrobię. Pomyśleć, jeśli mi teraz wypadnie z torby to pornograficzne pisemko, to mamę szlag trafi. Więc odwracam się powoli w jej stronę, ciekawa, niewinna, lekko uśmiechnięta, ale bez przesady. Ale przede wszystkim... na wskroś fałszywa.

- O co chodzi, mamó? Dlaczego tak mi się przyglądasz?

- Nie, nic...

W takich sytuacjach najbardziej się oplaca przystąpić do kontrofensywy. Bo w ten sposób zbijasz taką mamę z tropu i to, co mogłoby się okazać jej słusznym przecuciem, staje się jedynie czymś dziwnym, co wyłapała, ale mylnie zinterpretowała. I rzeczywiście mama odpuszcza, wzrusza ramionami, chwilę później włącza silnik i pędem grzeje do domu. Gdy tymczasem ja, ale tak, by się nie zorientowała, oddycham z ulgą.

W nocy nie wyrabiam. Wiercę się w łóżku i nie daję rady zasnąć, co dwie minuty sprawdzam pod krzesłem plecak, w którym trzymam książki do szkoły i przede wszystkim... kultowy pornomagazyn! Myślę o tym przyglupie Biondim, który sobie mnie wyobraził, jak wracam do

domu i zamykam się w swoim pokoju, żeby się zaczytywać! Ej, Biondi... Nie wszyscy są tacy chorzy jak ty! Nawet nie miałam odwagi wyjąć go z koperty! Od razu schowałam do plecaka. Następnego dnia też. Błady strach! W pełnym tego słowa znaczeniu. Do szkoły pojechałam jak zawsze autobusem. Nie wiem dlaczego, ale tego rana wszyscy, którzy ze mną jechali, wyglądali, jakby wiedzieli, tak, jakby mieli do mnie jakieś woty. Wiesz, kiedy widzisz takie cwane twarze, odnosisz wrażenie, jakby ci mówiły: „Ej, ślicznotko... Kogo chcesz poczęstować, no? Weź, nam też pokaż... Wiemy, co tam skrywasz, co ty sobie myślisz!”. A ci bardziej perfidni i obleśni... Ci wyglądają, jakby gapili się wprost na ciebie, tylko na ciebie, i przede wszystkim jakby do ciebie mówili: „Podobało ci się, co? Teraz wreszcie zrozumiałaś, co takiego wszyscy wyprawiamy...”.

Słowem czułam się winna do tego stopnia, że wcześniej wysiadłam i rzuciłam się pędem jak wariatka, żeby zdążyć na czas do szkoły, zanim zamkną bramę. Do środka prześlizgnęłam się, kiedy Lilio, woźny, już miał zamykać.

- Dzień dobry! Leć, leć, Carolino... bo dziś będzie gorąco!

O Boże! Nawet i on o tym wie! A może to powiedział tylko tak sobie?! Dłużej się nie zastanawiam, biegnę dalej, pędem po schodach na górę, po dwa stopnie naraz, a nawet po trzy, ale tylko raz mi się to udaje, bo zaraz się potykam przy drugim podejściu i wpadam cała zdyszana na korytarz, który prowadzi do mojej klasy. Zwalniam na moment. Nie, poważnie, znów nad tym rozmyślam. Co miał na myśli Lilio? Dzisiaj będzie gorąco? Dlaczego mi coś takiego powiedział? Jak to, serio odkryją, że mam świerszczyka? A co takiego może się jeszcze zdarzyć? I tak, targana wątpliwościami, usiłuję się dodzwonić do Ja-miro. Błyskawicznie wykręcam numer do niego na komórkę, ale nic z tego, ma wyłączony telefon. O rany, znaczy, że mój zaufany wróżbita, który czyta przyszłość z kart, śpi do późna? Na co człowiekowi przepowiednie astrologiczne, które zaczynają się dopiero od południa?! Dla nas to ranne godziny są podstawą życia i niestety od tego, czy nam Pójdzie w szkole, zależy, jak spędzimy popołudnie, a w jeszcze większym stopniu to, czy będzie szansa wyskoczyć gdzieś wieczorem! Próbuje raz Jeszcze, nic. Wyłączony. I tym samym nie mam już żadnych wątpliwości.

Muszę samodzielnie podjąć decyzję. I nagle czuję nieprzeparłą potrzebę udania się do toalety. I kiedy z niej wychodzę, wyraźnie jest mi lżej. Chyba dlatego, że pozbyłam się zasadniczego ciężaru, ale wcale nie fizjologicznego... Powiedzmy - duchowego. Tego, który obciążał moje sumienie. Zostawiłam pisemko na górze, za spluczką w łazience. Wiem, jak działa, bo kiedyś w domu pomagałam bratu, R.J.-owi, ją naprawić! Ale były jaja. Zostałam jego asystentką hydrauliczną, na koniec wszystko mieliśmy mokre, bo pękła rura! Nie macie pojęcia, jak się zwijaliśmy ze śmiechu, to jedna z tych rzeczy, które wspomina się do końca życia. I chociaż sika woda i wyrządza szkody, a ty nic tylko ganasz z wiadrami i szmatami, usiłując jakoś zaradzić sytuacji, i tak w końcu wpadasz w poślizg, lądujesz na ziemi, osuwasz się na zasłonę albo za nią łapiesz, zasłona się rozrywa albo sama tłuczesz coś przy okazji, a już chwilę później, ot tak, zwyczajnie, przewraca się wiadro, które dopiero co napełniłaś wodą, ty zaś zaczynasz się śmiać, jakbyś doszczętnie zgłupiała. Coś podobnego przytrafia się i jemu. I to was bawi jeszcze bardziej. Patrzycie na siebie i macie wrażenie, że wszystko dzieje się po to, by was rozśmieszyć, więc zanosisz się śmiechem, i wciąż nie przestajesz, i jeszcze, i wygląda na to, że przeznaczenie podziela twoje wrażenie, tak, naprawdę warto śmiać się do rozpuku. Właśnie, myślę, że nawet dziś to jedna z tych rzeczy, które wspominam z największą przyjemnością, bo spędziliśmy jedno z tych popołudni, kiedy to naprawdę śmiejesz się tak bardzo, że aż boli cię brzuch i masz skurcze. W takich chwilach nie ma nic piękniejszego od tego śmiechu, stopniowo udaje ci się zapomnieć to wszystko, co poszło nie tak, i naprawdę czujesz się w zgodzie z całym światem. Więc przestajesz się śmiać, kilka razy jeszcze rechoczesz histerycznie, ale już po wszystkim masz poczucie satysfakcji i wzdychasz głęboko, niejako z ulgą. Właśnie, to jest życie, takie zanoszenie się śmiechem, do rozpuku, z osobą, którą kochasz i która sprawia, że czujesz się kochana. I chociaż mam nadzieję, że jeszcze dużo się będzie działo, to już wiem, że ta akcja z rurą i wodą będzie jedną z najpiękniejszych rzeczy, jakie zachowam w pamięci!

W każdym razie wpadam pędem do sali, ledwie zdążam przed przyjściem psora na pierwszą lekcję. Nie. Nie mogę w to uwierzyć! Na śmierć zapomniałam. Macie pojęcie, jaki absurd? Pierwszą lekcję mamy z księdzem Giannim! Czyli zaliczyłabym pierwszą lekcję religii z czymś grzesz-

nym przy boku... Wystarczyłoby mu tylko raz na mnie spojrzeć, na moje wypieki, i trach, jak nic, zarządziłby wnikliwe przeszukiwanie.

- Ej, Clod... - Co jest?

_ Zawołaj Alis.

_ Co masz jej do powiedzenia?

- Coś, co tobie też powiem.

- Okay... Alis!

Alis się odwraca i widzi, że obie się w nią wpatrujemy. - Czego chcecie? Jeśli chodzi o śniadanie o tej porze, to mowy nie ma.

- Nie. - Kręcę głową, nie odrywając od Alis wzroku. - Coś ty! Mam dla was coś niebywałego, na długiej przerwie nie idźcie od razu na dół, zatrzymajcie się na piętrze, bo muszę wam coś pokazać.

I tak pierwsze trzy godziny przeleciały, ani się zorientowałyśmy. Już nie wyrabiałam, widziałam, że raz po raz Alis i Clod patrzą na mnie, starając się pojąć cokolwiek więcej. Nic. Udało się, nie pisnęłam ani słowa. I wreszcie długa przerwa.

- Chodźcie, chodźcie tutaj... - Idziemy korytarzem, prawie ocierając się o ściany, wyglądamy jak te trzy laski z serialu, który mega mi się podoba, *Aniolki Charliego*, albo lepiej, żeby nie odbiegać od tematu, te z *Seksu w wielkim mieście*, z kilkoma drobnymi różnicami. My jesteśmy młodsze!

- To tu. Wejdźcie do środka. - Tylko przez chwilę rozglądam się dookoła. A gdy widzę, że nie ma nikogo, popycham obie do łazienki.

- Ej, co ci chodzi po głowie? - Clod jest dosyć zaniepokojona. - Że co, masz dragi?

- Skąd! - Alis wzrusza ramionami. - Co najwyżej przymierza się do jednego z tych frajerskich napisów, które raz na jakiś czas się pojawiają. I chce, żebyśmy jej pomogły.

- Nie... Mam wam coś do pokazania.

Staję na sedesie i odchylam się, z głową tuż przy spłuczce. Wkładam rękę, po chwili sięgam głębiej, jeszcze, i szukam, grzebię, coraz szybciej. Po czym schodzę.

- Nic! Ale kutafony! Ktoś to zwinął.

- Ale co? Co tam miałaś?

Wszystko im opowiadam, o bierzmowaniu Matta, o Szczurach zamkniętych w pokoju, o odkryciu pisemka porno, o skrytce wynalezionej dziś rano i wreszcie o kradzieży. Słuchają mnie z zaciekawieniem, ale na koniec widzę, że są niezdecydowane.

- Co jest, nie wierzycie mi? Patrzę na nie.

- Nie wierzycie, że tam go schowałam?

Alis dziwnie się wykrzywia. - Oj, tak, tak... - Ale widać, że mówi to na odwal się, wcale mi nie wierząc. Clod zaś myśli już kompletnie o czymś innym.

- Słuchajcie, zejdźmy już, bo niedługo przerwa się skończy, co?

I tak, chwilę później jesteśmy na schodach prowadzących na dziedziniec.

- W każdym razie zapewniam was, że to tam było... - Ostatecznie odpuściliśmy temat i korzystamy z uroków przerwy. Clod opycha się jak zwykle, nurkuje w opakowaniu chipsterów, z miejsca zapominając o łazience, świerszczyku i całej reszcie.

Alis, po tym, jak skubnęła kilka kęsów minipizzy, której większość i tak wyrzuciła, bo jej nie smakowała, klepie mnie w ramię. - No już, Caro, to nie było aż takie ważne. - I odchodzi, a ja nadal mam wątpliwości, czy choć przez chwilę w ogóle uwierzyła w całą tę akcję z gazetką porno.

Wiem tylko jedno, na wszelkie możliwe sposoby starałam się unikać spotkania z Biondim i Mattem, którzy wszystko wygadali Szczurom, i ci musieli wiedzieć. I jeszcze jedna rzecz uderzyła mnie tamtego dnia... Kiedy wychodziłam ze szkoły, Lilio, woźny, żegnając się ze mną, nie przestawał się uśmiechać. - Cześć, Carolina! - Nigdy wcześniej tego nie robił. I był jakiś taki dziwny, jakby się zmęczył, ale jednocześnie wyglądał na wesołego i zadowolonego. Czyżby to on gwizdnął mi tego świerszczyka?

Zza moich pleców, gdy tak stoję i wciąż kartkuję książkę, wylania się on, Sandro, sprzedawca w księgarni. - I jak, co zamierzasz, nie kupisz jej?

Mówi tak, jakby chciał mnie sprowokować. Jakbym nie była wystarczająco odważna... Ale mnie to akurat wisi. Na koniec sięgam po inną książkę i nawet nie odpowiadam. Udaję, że nie było tematu. Zlewam gościa równo. Nie lubię być przepytywana i tłumaczyć się swoim starym, a co dopiero temu tutaj! Chodzę sobie swobodnie między półkami. Po chwili postanawiam posłuchać płyty Jamesa Blunta. *All the Lost Souls*. Zakładam słuchawki i wybieram kawałek, który mi się podoba. I tak sobie stoję, odbijając się w lustrze przytwierdzonym do filaru. Właśnie zaczyna się piosenka. Uśmiecham się. Sama, niezależna, z całym dniem tylko do mojej dyspozycji... Ach, jakie to piękne. O teraz, teraz, zaczyna się. *Shine on*. Podoba mi się, kiedy tak leci: *Are they calling for our last dance? I see it in your eyes. In your eyes. Same old moves for a new romance. I could use the same old lies, but I'll sing, Shine on, just, shine on!* To absolutna prawda. Więc zamykam oczy. I daję się ponieść, i dociera do mnie, że lekko się kołyszę... Do rytmu. Ale kiedy otwieram oczy, widzę kolesia, który odbija się w lustrze i mi się przygląda. Ma oczy o intensywnie niebieskim kolorze, ciemne włosy, jest wysoki, szczupły i starszy ode mnie. Po chwili się do mnie uśmiecha. Od tego aż mi serce zamiera. Przymykam powieki i brak mi tchu. O Boże, co się ze mną dzieje? Kiedy podnoszę wzrok, on wciąż tam jest. Teraz wydaje mi się jeszcze fajniejszy. Przekrzywia głowę na bok i nie przestaje się we mnie wpatrywać, z tym olśniewającym uśmiechem i zuchwałym spojrzeniem. Wygląda na trochę zbyt pewnego siebie. A mnie nie podobają się tacy kolesie. Ale za to jaki jest śliczny. Nie mogę w to uwierzyć. Przez niego się zarumieniłam. Znowu spuszcza

wzrok. O Boże, co się ze mną dzieje? Nie mogę w to uwierzyć. To niemożliwe. Ale kiedy znów podnoszę głowę, jego już nie ma. I pach. Przepadł. Jak to, to ja śniłam? A jednak, cóż za piękny sen! Podchodzę do kasy.

- Dzień dobry... Wezmę to.

Znów zjawia się Sandro, sprzedawca. - A, *Wybaczcie, że mam piętnaście lat* Zoe Trope... - Bierze ją i obraca w dłoniach. - To dobra książka. Wiesz, że nie wiadomo, kto tak *naprawdę* jest autorem czy też autorką książki? Zoe Trope to pseudonim, ktoś się za nim skrył. - Uśmiecha się i mi ją podaje. - Wcale nie jest zła.

- Dziękuję... - O co temu facetowi chodzi?

- W każdym razie widać, że osoba, która to napisała, nie ma lat piętnastu.

Nie rozumiem, czy naprawdę koniecznie musi mi się naprzykrzać? Nic a nic nie rozumiem. W środku musi być jakaś informacja albo też Zoe Trope, czy jak mu tam, odbił temu Sandro dziewczynę. Bo ja wiem.

Płaczę. Wychodzę i idę przed siebie. Zatrzymuję się przed witryną. Te buty strasznie by się spodobały mamie. Wyglądają mi na wygodne. Na płaskiej podeszwie, eleganckie, ale i trochę sportowe, czarne lakierki. Mama cały dzień pracuje w wielkiej pralni. To ciężka robota, ciągle ma do czynienia z żelazkiem, gorącą parą. Żar. Człowiek się poci i haruje co niemiara. Prasuje, pierze, nastawia pranie. Te same rzeczy, które ma do zrobienia potem w domu. Tylko że w domu nikt jej nie płaci. Chociaż jeśli w pracy nie wyrobi się na czas albo coś pójdzie nie tak, to ma kłopoty. Niektórzy klienci są niegrzeczni. A przynajmniej tak mówi mama. Tylko raz poszłam tam razem z nią, kiedy byłam mała. Tego jednego dnia, gdy nie miała mnie z kim zostawić, przyglądałam się jej, ani na chwilę nie oderwała się od pracy. Mówi, że dzięki temu dba

o kondycję, i to za darmo! Buty kosztują osiemdziesiąt dziewięć euro, a ja, ponieważ oszczędzam, całość mam już prawie odłożoną. Aż tu nagle czyjś roześmiany głos.

- To ta, prawda? - I oto widzę przed sobą płytę Jamesa Blunta. I w tej samej chwili słyszę muzykę, dokładnie ten sam kawałek, który tak mi się podoba. Zupełnie jak jakieś czary. Jestem przestraszona, rumienię się i uśmiecham. On jest tuż obok, odbija się w witrynie za moimi plecami-

mi, zaraz za mną. Prawie mnie obejmuje. Muzyka sączy się z jego komórki. Po chwili wychyla się zza moich pleców, uśmiechnięty. Jakby mną oddychał. Krąży wokół mnie, patrzy i nic nie mówi, tylko się uśmiecha. - Trzymaj. Kupiłem to dla ciebie. - I wkłada mi płytę do kieszeni torby. Kompakt wpada do środka. - Odniosłem wrażenie, że ci się spodobało...

Uśmiecha się i wyłącza komórkę. A ja stoję tak bez słowa. Przypomina mi to scenę z tamtego filmu, który widziałam raz po kryjomu, kiedy razem z Clod i Alis zwinęłyśmy go z filmoteki R.J.-a. Jaki miał tytuł? A, tak. *Dziewięć i pół tygodnia*. Kim Basinger idzie na bazarek i widzi szal, który szalenie jej się podoba, ale jest za drogi. Więc Mickey Rourke go kupuje, po czym nagle staje jej za plecami i ją nim otula, a robiąc to, jednocześnie ją obejmuje. Ona się uśmiecha. Spodobała mi się ta scena. I ten koleś jest trochę taki jak Rourke, ja jednak wyjmuję płytę z torby. I mu ją zwracam.

- Dziękuję, ale nie mogę tego przyjąć.

- Mama cię tak nauczyła, co? Tylko że to chodzi o cukierki od nieznajomych. Przecież ona akurat nie nadaje się do jedzenia!

I znów podsuwa mi kompakt.

- Możesz go posłuchać, kiedy tylko chcesz... -I się do mnie uśmiecha. Jest uprzejmy. Wygląda na fajnego. Ma pewnie jakieś dwadzieścia lat,

może dziewiętnaście. I podoba mi się bardziej od Mickey'ego Rourke'a. I już nie jest taki pewny siebie jak wtedy przed lustrem, kiedy nasze spojrzenia się skrzyżowały. Uśmiecha się i wpatruje we mnie. Wpatruje się we mnie i uśmiecha. Robi wrażenie czulszego. Niewiele brakuje, żebym powiedziała do niego pieszczochu... ale przecież nie chcę schrzanić wszystkiego już na samym początku, prawda? Więc siedzę cicho i chowam płytę do torby. I zaczynamy iść razem. I nie wiem dlaczego, ale czuję się jakaś taka doroślejsza. Może dlatego, że on jest starszy i się mną zainteresował. I gadamy. Co robisz, a czego nie robisz... Trochę bujam i udaję, że co to nie ja.

- Uczę się angielskiego. - I jeszcze: - Poszłam na przesłuchanie, bo lubię śpiewać... - I mam tylko nadzieję, że nigdy nie będzie sam się chciał przekonać, bo trochę fałszuję.

- Byłaś kiedyś w Cube?

- O, tak, czasami tam chodzę. - I tylko mam nadzieję, że mnie nie zapyta, jak tam jest. I trochę czuję się winna, a trochę nie. Idziemy na lody. - Ty pierwszy wybierz.

- Dobra, dla mnie dwa razy śmietankowy, kasztanowy i pistacjowy!

- Dla mnie to samo.

I podoba mi się na maksa! Smakuje nam to samo, czyli... Tak naprawdę to mnie smakują tylko kasztanowe... Ale biorę to samo co on, bo wygląda, jakbyśmy byli tacy dopasowani.

- Nie, nie, ja tobie stawiam, chociaż tyle.

Więc chowa portfel z powrotem do kieszeni. I mówi „okay”, uśmiecha się i pozwala mi za siebie zapłacić. Otwieram małą saszetkę Ethic i liczę pieniądze, mam same drobniaki. Niiiee! Tylko tego brakowało, ale w końcu, cztery, cztery pięćdziesiąt, cztery dziewięćdziesiąt! Dałam radę, całe szczęście... ale byłby obciach. I sama nie wiem, dlaczego na temat mojego wieku mu nie kłamię, albo lepiej, tylko trochę sobie dodaję. - Czternaście lat... -1 przez chwilę widzę, że jest lekko zbity z tropu, jakby mój wiek mu nie pasował. Szukam jego wzroku, ale udaje, że to nic.

- Co jest?

- Co?

- Nie, wydawało mi się, że... Ale nie daje mi dokończyć.

- Chodź, idziemy! -1 bierze mnie za rękę, zaczynamy biec, wymijając ludzi. Zagranicznych turystów, kolorowych, Niemców, Francuzów i pojedynczych Włochów. Ja o mało się nie potykam, a on ciągnie mnie za sobą, cały niesłychanie rozentuzjasmowany.

- Chodź, chodź, już prawie jesteśmy na miejscu! - A ja biegnę i się śmieję, staram się za nim nadążyć i w końcu, niczym para idealnych turystów, zatrzymujemy się bez tchu przed fontanną.

- Jesteś gotowa? Trzymaj. - Daje mi monetę, po czym się odwraca, zamyka oczy i rzuca swoją przez ramię. Ja robię to samo z moją. Zamykam oczy i wypowiadam w duchu życzenie, moneta leci do góry, obraca się, jeszcze raz, wreszcie ląduje daleko w wodzie i powoli, po serii dziwnych piruetów, spada na dno. Patrzymy sobie w oczy. Kto wie, czy pomyśleliśmy to samo życzenie. On zaś jest wyraźnie bardziej przekonany. A właściwie to nie ma najmniejszych wątpliwości.

- Jestem pewny, że wypowiedzieliśmy identyczne życzenie... -1 patrzy na mnie przenikliwie. Czuję się, jakbym nagle miała osiemnaście lat I na moment się peszę. I to bardzo. I robię się cała czerwona. I serce wali mi jak szalone. I spuszcza głowę, i brakuje mi tchu, i rozglądam się wokół w poszukiwaniu jakiegoś koła ratunkowego. O Boże, tonę... I nagle, tak samo jak dopiero co pozbawił mnie gruntu pod nogami, teraz przychodzi mi na ratunek. - W każdym razie ja mam na imię Massimiliano...

- Miło mi... Carolina. - I wyciągamy do siebie rękę, i tak trwamy, spoglądając sobie głęboko w oczy.

I zaraz uśmiecha się do mnie promiennie.

- Chciałbym cię znów zobaczyć.

Chciałabym powiedzieć: „Ja też...”. Ale nie daję rady. Czuję się do niczego. Mówię tylko: - Tak, pewnie.

Macie pojęcie? „Tak, pewnie...”. A co to niby ma być! Boże, jak się o tym Clod i Alis dowiedzą. Po czym zostawia mi swój numer telefonu. Ale robi to w nietypowy sposób, pisze mi go flamastrem na szybie witryny sklepowej. Jest taki zabawny, zapisuję numer w komórce.

- A ty wprowadź sobie mój. Massimiliano się do mnie uśmiecha.

- Nie. Nie chcę ci się naprzykrzać. Nie chcę twojego numeru... Dzwoniłbym do ciebie bez przerwy. Odezwij się do mnie, kiedy będziesz miała ochotę się pośmiać, jak dziś po południu.

I odchodzi, widzę jego plecy, jak wsiada na motor nieopodal. Odwraca się po raz ostatni i zapamiętuję ten jego uśmiech, zniewalający. Zostawia mnie, tak po prostu, i tylko co do dwóch rzeczy mam faktycznie pewność. Pierwsza: czy to przypadek, czy też fakt, że szukałam książki o wychowaniu seksualnym, sprawił, że go spotkałam? I druga: Lore, bohater ostatnich wakacji, nagle jakoś przestał mi się podobać, albo lepiej, natychmiast spadł na gorsze miejsce.

Błyskawicznie wsiadam do autobusu 311, którym podjeżdżam pod sam dom. Ściśnięta w tłoku, masie ludzi, czuję się prawie samotna. Przyjemnie samotna. Pograżona w swoich myślach. Uśmiecham się. Od razu chciałabym wysłać mu SMS-a: *Przeznaczenie nas ze sobą zetknęło*. Nie, to zbyt batalistyczne. *Dzięki za lody!* Konkretnie. *A może to miłość?* Marzycielka do

przesady. *Ej, wiesz, super z ciebie koleś!* Realistka do przesady. *Dzięki, cudowne popołudnie...* Stara malutka. *Zakasam kiecę i lecę...* Puszczalska. *To mój numer. Zadzwoń, kiedy będziesz chciał.* Frajerka, która ma *cykora* przed wykazaniem się inicjatywą. Wszystko to do dupy! Niecierpliwie się i wzruszam ramionami. I tak postanawiam niczego mu nie wysłać.

Zwalnia się jedno miejsce, bo wysiada jakiś pan. Już mam iść je zająć, ale widzę starszą kobietę, taką jak moja babcia, tyle że o wiele grubszą, z pakunkami w rękach. Jest zmęczona. Patrzy na mnie przez chwilę, a ja wskazuję jej wolne miejsce. - Proszę... - Dziękuje mi i siada, z uśmiechem na twarzy, podciągając nogi. Ma podkolanówki zakrywające całe łydki. Widać je dopiero teraz, jak podwinęła jej się spódnica, starsza pani sapie, ma krótkie nogi, podsuwa pupę do tyłu i opiera się na łokciu, chcąc sięgnąć oparcia. Po czym przyciąga do siebie te wszystkie pakunki i kładzie je sobie na kolanach, wreszcie rozsiadła się wygodnie. Wzdycha głęboko, zadowolona z włożonego wysiłku.

A ja wyglądam na zewnątrz, patrzę na młodzież na ulicy i jak zapada powoli zmierzch. Massimiliano... O proszę, mam już gotowego SMS-a: *Massi, jesteś koleś na maksa.* Dziewczyna na maksa banalna.

Która godzina? Patrzę na zegarek, dziesięć po ósmej. Ale pasztet. Cała moja rodzina siadzie już do stołu, a ja się spóźnię. Ktoś za mną się wychyla i włącza przycisk na żądanie. Następny przystanek, już się świeci. Właśnie. Autobus się zatrzymał. Ktoś, chcąc wysiąść, potrąca mnie. I jeszcze raz. Zostałam przyparta do żelaznego pręta przy samych drzwiach. Kolejna osoba wpycha się na mnie. Znowu. Tym razem trwa to dłużej. Nie dają rady wysiąść. Jeszcze raz mnie popychają i w końcu wysiadają. Widzę, jak wyskakują z autobusu. Dwóch chłopaków. Ostrzyżonych na krótko. Wyglądają na cudzoziemców, może to Rumuni. Jeden klepie drugiego w ramię, a tamten kiwa mu głową potakująco, po czym odwracają się w moją stronę i się uśmiechają. Autobus rusza. A oni znikają, pędem. Ja dalej przyglądam się sklepom, które już właśnie zamykają, zmęczone ekspedientki zaciągają metalowe żaluzje, jedna z nich wsiada do samochodu. Inna przecina pospiesznie jezdnię, jakaś kobieta śmieje się, rozmawiając przez telefon i ustalając plany na wieczór, ktoś inny czeka jeszcze na ulicy, poirytowany czyimś spóźnieniem. Wsiadam z autobusu i pędzę do domu. Nie przystaję ani na chwilę. Biegnę,

biegnę, ulica, plac, w prawo, w lewo, patrzę, przecinam otwartą bramę. Dobrze. Dzwonię, żeby dostać się na drugą klatkę.

- Kto tam?

- Ja!

Z miejsca mi otwierają. Lecę po schodach, pierwsze piętro, drugie, trzecie, czwarte. Nawet najbardziej utytułowane lekkoatletki by przy mnie wymiękły. Drzwi są otwarte, zamykam je za sobą.

- Już jestem. Dotarłam!

- Umyj ręce i siadaj do stołu.

Mija mnie mama z półmiskiem parującego makaronu. Stawia go na stole, tak by jej się nie wyslizgnął, ale nie daje rady go utrzymać.

Alessandra już siedzi przy stole. Nie ma R.J.-a. Tata nakłada sobie jako pierwszy. Idę umyć ręce i tuż przed naciśnięciem dozownika mydła doznaję olśnienia. Właśnie przyszedł mi do głowy pomysł. Nareszcie na niego wpadłam. Dotykam kieszeni dzinsów. Nic. Jak to możliwe? Macam drugą kieszeń, potem z przodu. I jeszcze raz. Nic, nic, nic. A przecież go tu chowałam. Biegnę do siebie do pokoju i otwieram torbę. Nic. Jest tylko płyta, klucze, czapeczka i kilka kosmetyków, ale nic poza tym. Nie mogę w to uwierzyć. Nie, nie. To niemożliwe. Idę do kuchni. Rusty James też już przyszedł.

- Przecież powiedziałem, że się spóźnię.

- No pewnie, ty zawsze robisz, co ci się żywnie podoba, resztę masz w nosie. Nawet nie uprzedziłeś... Zresztą, co tam... My tu wszyscy jesteśmy do usług jaśnie pana, czyż nie? Traktujesz ten dom jak hotel.

Nie mogę w to uwierzyć. Niemożliwe, zawsze to samo, nawet dokładnie te same teksty. - Mamo, prawda, że cię uprzedzałem?

R.J. patrzy na mamę. A ona się uśmiecha. Spuszcza wzrok. - Tak. - mówi cicho, zabiera jeden talerz ze stołu i udaje, że ma coś do zrobienia. Mama nie potrafi kłamać.

- No pewnie! Zawsze go kryjesz. Jakżeby inaczej! Ale ja mam tego Potąd! Jasne? Potąd!

- Tato, mógłbyś trochę ciszej krzyczeć? - Moja siostra Alessandra. Jak zwykle ona. W jaki sposób można ciszej krzyczeć? Albo się krzyczy, albo nie, prawda?

- To mój dom i będę sobie krzyczał, ile mi się podoba! Jasne?

! Rusty James wstaje od stołu. - Straciłem apetyt.

- A ja ci mówię, że nigdzie nie idziesz. - Tata się podnosi i usiłuje przytrzymać go za sweter, ale R.J. jest szybszy, wymyka mu się i ucieka, mało się nie wywraca przez dywan w salonie, ale zaraz odzyskuje równowagę, skręca, mija krzesło i w okamgnieniu zamyka za sobą drzwi do pokoju. Alessandra zaczyna jeść w milczeniu, tata przyczepia się do mamy.

- Świetnie, znakomicie się spisałaś... Jesteś zadowolona? Moje gratulacje... Wyrasta na zucha.

Mama, chcąc go uspokoić, nakłada mu jedzenie. Tata zaczyna jeść, coś mamrocze, ale nie sposób zrozumieć, słowa giną między jednym kęsem a drugim, słysząc tylko strzępy zdań.

- Pewnie, jakżeby inaczej... Jasne, bo to ja jestem skończonym głupcem...

Według mnie zrozumiałe jest tylko to, co on sam tak naprawdę chce, żebyśmy usłyszeli. Przesuwam krzesło i też siadam. Nie mam odwagi powiedzieć, co się stało. Mama się do mnie uśmiecha. I zaczyna nakładać mi jedzenie. Mhm. Dobrze. Czuję zapach. Zrobiła tagliatelle z sosem pomidorowym, stąd ten smakowity aromat. Po chwili biorę głęboki oddech i zbieram się na odwagę.

- Zgubiłam komórkę.

Wszyscy przerywają jedzenie w tej samej chwili i patrzą na mnie. Tata upuszcza widelec na talerz, rozkłada ręce.

- Pewnie, pewnie... Co ją to wszystko obchodzi. Kto wie, gdzie ją posiała!

Mama bierze mnie za rękę. - Skarbie, mówisz o tej, którą dostałaś od nas na urodziny?

Alessandra nigdy nie może usiedzieć cicho. - Tak, mamó, to ta sama. Slide nokia 6500, kosztuje trzysta siedemdziesiąt euro. - Mówiąc to, fałszywie się uśmiecha. - Tak, ta mniejsza od twojej.

Alessandra wzrusza ramionami.

- No pewnie. - Tata znów zabiera się za jedzenie. - Zresztą to i tak ja płacę. Zupełnie jakbym pieniądze znajdował na drzewach.

Niezależnie od tego, że w naszej okolicy niestety nie rośnie zbyt wiele drzew, to i tak ten obrazek jakoś do mnie nie przemawia. Mama ściska moją rękę.

- Może jak się zastanowisz, gdzie byłaś, co porabiałaś...

I w okamgnieniu przypominam sobie całe popołudnie, dociera do mnie, że po raz ostatni miałam komórkę podczas rozmowy z Massimilianem, kiedy... kiedy zapisałam sobie jego numer! To prawda! Tylko tam go sobie zapisałam. A teraz? Co ja teraz pocznę? Już nie mam jego telefonu. Nie mogę do niego zadzwonić. I jak w zwolnionym tempie widzę całą tę scenę. On, kiedy się uśmiecha... „Nie chcę twojego numeru... Dzwoniłbym do ciebie bez przerwy. Odezwij się do mnie, kiedy będziesz miała ochotę się pośmiać, jak dziś po południu”. I zamykam oczy. Już się więcej nie pośmię. Nie mogę się pośmiać. A zwłaszcza... nie mogę do niego zadzwonić! I w jednej chwili znowu staje mi to wszystko przed oczami. Ja, gdy chowam komórkę do kieszeni dzinsów, jak zawsze, i wsiadam do autobusu, i potem ten szczegół: ręka... Ręka, która sięga do mojej kieszeni. I oni, jak mnie popychają, żeby wysiąść z autobusu. Specjalnie mnie pchali! I tych dwóch chłopaków, cudzoziemców, drzwi autobusu, jak się zamykają, i ich wzrok, poklepywanie się po plecach i ten, który się obejrzał z uśmiechem na ustach.

- Kurwa! To on ma moją komórkę!

- Carolina!

Mama zastyga z otwartymi ustami.

Tata odkłada widelec.

- Świetnie, znakomicie, widziałaś? A nie mówiłem? Rób tak dalej, i zobaczysz, co wyrosnie z twoich dzieci. A potem się dziwisz, kiedy w dzienniku podają, że dzieci zabijają własnych rodziców. I co tu się tak dziwić, co? No co?

Tego już za wiele. Dłużej już nie wytrzymam. Wstaję i zmierzam w stronę swojego pokoju.

- A ty dokąd? Co? Dokąd się wybierasz?

- Masz rację, tato. - Wracam i siadam na swoim miejscu. - Mogę iść do siebie do pokoju?

- Jak skończysz jeść. Zaczynam jeść jeden kęs za drugim.

- Jedz powoli. Powoli, masz się nie spieszyć.

Alessandra, a jakżeby inaczej, wtrąca swoje trzy grosze: - *Prima digestio fit in ore.*

Krzywo na nią patrzę. Za to ona się do mnie uśmiecha. Dowcipna. Mam wroga, nie siostrę. Ale dlaczego jest taką wredną suką? A tak w ogóle to coś mi się zdaje, że nawet nie wie, co takiego tamto zdanie znaczy. Pewnie myśli, że trawienie zajmuje godzinę!

Wreszcie zjadam ostatni kęs. Wycieram sobie usta serwetką, jak na dobrze wychowaną dziewczynkę przystało... - Czy mogę wstać?

Ojciec nawet się do mnie nie odzywa, robi ręką gest, jakby chciał powiedzieć: „Idź, idź”. Na co ja zmykam czym prędzej do siebie do pokoju. Rzucam się na łóżko.

Wiem, że nie powinnam tego mówić, ale czasami, kiedy kłócę się w domu tak jak dziś, to myślę sobie, że Alis jest szczęściarą. Nie, nie dlatego, że ma kupę kasy i mieszka w wypasionej willi. Tylko dlatego, że jej rodzice są w separacji. Tak, wiem. To okropne mieć rodziców w separacji, ale rety, przynajmniej ogląda się ich po jednym naraz, a nie cały czas dwoje. No bo jak to możliwe, żeby moja siostra robiła, co jej się tylko żywnie podoba, i nikt jej nigdy nie zwracał uwagi? Dzisiaj w nocy wróciła o trzeciej. I to bez uprzedzenia. We wtorek znów, o trzeciej nad ranem! A dziś rano miała szkołę. Oczywiście chciało jej się spać i nie wstała. Powiedziała mamie, że boli ją głowa, bo się przeziębila. Biedaczka! Kiedy przygotowywałam się do wyjścia, słyszałam, jak rozmawiały u niej w pokoju. Mama mówiła, że to jednak nie jest w porządku, by nie iść do szkoły tylko dlatego, że wróciło się późno do domu. Na co ona: „Ale mamusiu, sorry, wiesz, skąd mogłam wiedzieć, że Henia źle się poczuje i że będziemy musiały zawieźć ją na pogotowie...?”. Właśnie! Dramatyczny zwrot akcji! Kiedy normalne wymówki zawodzą, sięga po większy kaliber. Zawsze wymyśla masę usprawiedliwień, a i tak robi to, na co ma ochotę. A na dodatek mama jeszcze jej wierzy! Bo jest za dobra. To mnie doprowadza do szewskiej pasji. Ze względu na mamę... Zasuwa od rana do wieczora w pracy, zawsze wszystkim gotowa przyjść z pomocą, zawsze gotowa powiedzieć dobre słowo, zrozumieć innych, i nawet w domu ma pełne ręce roboty, a moja siostra co robi? Wciska jej kit.

Tak czy siak, poza moją siostrą tutaj chodzi o coś poważniejszego. Nie mogę w to uwierzyć, miałam w tej komórce dosłownie wszystko! Muzykę: Green Day, Mika, Linkin Park, Elisa, Vasco, The Fray i to mega

ciacho Paolo Nutini... I jeszcze filmik z Cioci, Alis i ze mną z zeszłorocznej wycieczki i letnie skoki do morza, no i jeszcze wszystkie te SMS-y, które specjalnie zachowałam. Nawet ten od Lorego z ostatnich wakacji. .. A przede wszystkim był tam telefon do Massimiliana. Dopiero co zapisany. Nawet nie zdążyłam zrobić z niego użytku, a już zwinęli mi komórkę! Usiłuję się na chwilę skoncentrować, żeby przypomnieć sobie numer. Na początku było 335, nie, 338, nie tam, 334, nie, to było 339, nie, 328, albo nie, wiem 347, nie, nie, to 380, nie, mam! Początek to 393... Po kiego grzyba jest aż tyle sieci! Jedna by nie wystarczyła?! Nie, co?! Za każdym razem, jak tylko znajdzie się coś, na czym się teraz da zarobić, od razu wszyscy się na to rzucają... I bądź tu mądry!

1 co ja teraz mam powiedzieć? No, a dalej, co było? Jakies 2, więcej

2 i jeszcze 8... Może

I tak sięgam po kartkę, i zaczynam pisać cyfry, układając najróżniejsze sekwencje. Wyglądam jak Russel Crowe w tym filmie, jaki on miał tytuł? A, tak, *Piękny umysł*, on w tym filmie wszędzie, gdzie się dało, przyczepiał kartki i widział ludzi, którzy nie odstępowali go na krok, mimo że tak naprawdę wcale nie istnieli! Ratunku, on był wariatem, szalonym matematykiem... Czy idę w jego ślady? Przypomina mi to tę grę, w którą zawsze chciał się bawić mój przyjaciel Gibbo!

Gibbo to mój serdeczny przyjaciel, uwielbia matematykę, również dlatego, że jest to jedyny przedmiot, z którego dobrze mu idzie... I kocha do upadłego grę w Strike and bali! Musisz w niej odgadnąć, strzelając na chybił trafił, cztery numery, a ja muszę powiedzieć, czy wśród tych czterech numerów, które sama wybrałam, i tych czterech, które słyszę, jest strike, to znaczy jakiś identyczny numer, który jednak został podany w innej kolejności, czy też bali, czyli że przeciwnik zgadł nie tylko numer, ale jeszcze jego kolejność. Słowem... głowa od tego pęka! Jasne, potem człowiek, jak Russel, wpada w obłęd i widzi wokół siebie ludzi, bo oni są tym, kim ty nie jesteś, a chciałbyś być!

Ja uważam, że matematyka przydaje się po to, żeby sprawdzić, czy za dużo wydajesz, czy możesz jeszcze coś kupić i przede wszystkim... Czy stać cię na tę komórkę, czy też nie! A jeśli chodzi o mnie, to teraz nic tylko trzeba się zabrać za liczenie... Chociaż nie, lepiej się tym teraz nie zajmować. Muszę zablokować kartę. Wiem o tym, bo coś takiego

przytrafiło się już mamie i tata zrobił z tego aferę międzynarodową, w tym sensie, że z jej karty można było dzwonić nawet za granicę, bo miała stały abonament. W moim przypadku dalej niż do Florencji nie zadzwonią... Zostało mi raptem pięć euro! Czyli... Ledwo co zapisałam sobie jego numer, a już zwinęli mi telefon! Teraz już wiem, co myśleć o tym całym Massim: on przynosi pecha! Albo gorzej, że bym przez niego cierpiała! Albo że z nim byłabym szczęśliwa aż za bardzo, więc ktoś źle mi życzy i nie chce mojego szczęścia. Jeśli o to chodzi, to mam dwie takie osoby, ale to całkiem inna historia.

Siadam przy biurku, od razu otwieram swojego *maca* i loguję się do komunikatora MSN.

Nie miałam cienia wątpliwości! Wiedziałam, że już tu będzie. Piszę szybko do Alis, a ona już po minucie mi odpowiada.

Wszystko OK? Co porabiałaś?

Dramat i szczęście! - odpisuję. - *Z jednej strony poznałam mężczyznę mojego życia. Z drugiej straciłam i jego, i komórkę!*

Coś ty, pocałował cię i w tym samym momencie gwizdnął ci komórkę?

Nie pocałował mnie. A, czyli tylko zwinął komórkę?

To nie on...

A co to za jeden? o Puścił mi muzykę...

Słowem dalej tak sobie piszemy, trochę to trwa, aż tu bez pukania zjawia się moja mama.

- Carolina, to ty jeszcze nie śpisz? Jutro masz szkołę! Natychmiast zamykam kompa.

- Przesłałam Clod zadania, sprawozdanie z filmu, który pokazywali dziś rano w salce projekcyjnej, puścili *Wielką wojnę* Monicellego, z Sordim i Gassmanem, jej nie chciało się tego pisać... za to mnie szalenie się podobał!

Wskakuję na łóżko i od razu daję nura pod kołdrę. Mama do mnie podchodzi i przykrywa mnie pod szyję.

- Rozumiem, ale jak tak dalej pójdzie, to sama niczego się nie nauczy, a poza tym z jakiej racji mamy płacić za prąd z powodu jej nieuctwa... Kompletnie tego nie rozumiem!

Jestem pewna, że to bolączka ojca, wyrażona w sposób łagodniejszy i uprzejmiejszy przez mamę, która już po chwili rzeczywiście się do mnie uśmiecha. Powiedziała o tym, byle mieć to z głowy, sama tak nie myśli, nie ma rady, widać jak na dłoni. I teraz gładzi mnie czule, jak tylko ona potrafi, wcale mnie to nie drażni, bo sprawia, że czuję się kochana i bezpieczna.

- Śpij dobrze, kochanie moje... -I zasypiam z uśmiechem na twarzy.

Teraz sama nie bardzo pamiętam, co takiego mi się śniło, wiem tylko, że kiedy budzę się rano, w okamgnieniu wszystko staje się dla mnie jasne. Docieram do szkoły i pierwsza godzina mija jak z bicza strzelił, także dlatego, że nie czeka mnie żadne odpytywanie, i Clod też nie. Więc nie muszę siedzieć cała czujna, by w razie czego zdążyć jej odpowiedzieć. Alis, nie wiem dlaczego, ale nie przyszła, nie ma jej. Mogła przecież uprzedzić! Też coś... Wczoraj wieczorem gadałyśmy na wszelkie możliwe tematy, a ty mi nawet nie mówisz, że cię nie będzie? Wiecie co, i zrozum tu Alis. Ale nie udaje mi się dokończyć myśli, kiedy rozlega się dzwonek, koniec pierwszej lekcji... No i proszę, przyszła. Alis wchodzi do klasy uśmiechnięta, ma na sobie lnianą koszulę, melanz wielu kolorów z tłoczonym wzorem, do tego długą spódnicę i ciemne kozaki z miękkiej skóry, które opadają wzdłuż kostki. Patrzy na mnie i się uśmiecha. Wygląda bardziej jak modelka na wybiegu między ławkami niż jak moja przyjaciółka od serca.

- Ej, co ty na sobie masz?

Przechodzi tuż obok mojej ławki. - Chciałam sobie dzisiaj zrobić prezent, było mi to bardzo potrzebne... -1 uśmiecha się do mnie. Trochę smutna, a trochę melancholijna, z tym spojrzeniem, w którym zawsze odbija się po trosze brak miłości. Może to wina jej starych, którzy od zawsze są w separacji, brata, którego nie ma, starszej siostry, której jej brakuje. Powtarza mi to codziennie. - Ty to naprawdę masz szczęście, twój dom jest pełen miłości...

A ja się do niej uśmiecham i nie potrafię wydobyć z siebie ani słowa, co najwyżej: „No właśnie”. Przecież nie mogę jej powiedzieć, że mój ojciec jest wiecznie na wszystkich wściekły, moja mama czasami jest zbyt zmęczona, aby się pośmiać, moja siostra wszystko mi

utrudnia, a jedyny brat, którego naprawdę kocham, zawsze jest poza domem!
Padamy sobie w ramiona, ale czuję, że ona coś gmera za moimi plecami... Więc odskakuję zaskoczona.

- Ej, co ty wyprawiasz?

- Ja, nic. - Lekko się rumieni, ale zaraz się uśmiecha i znów jest wesoła, jak często zresztą. - Zegarek mi się rozpiął! - I pędzi do swojej ławki w głębi klasy, akurat wtedy, kiedy wchodzi psor Leone.

- No więc, poproszę, żebyście zajęli już miejsca.

Uczniowie powoli się rozchodzą, każdy, ociągając się, wraca do swojej ławki. Psor rozgląda się trochę, ot tak, żebyśmy nie czuli się zbyt pewnie, po chwili podnosi z podłogi starą teczkę, całą wytartą i wyświechtaną, otwiera ją, wyciąga książkę i zaczyna objaśniać.

- A zatem, to, co wam opowiem, może się wydać bajką, ale to historia... historia, rozumiecie? Historia o tym, jak kawałek ziemi stał się mitem o wolności i okrucieństwie zarazem, jak złoto wszystkich zaraziło gorączką i jak doszło do słynnego zdobycia Dzikiego Zachodu. - I historia, którą psor opowiada, podoba mi się. Wciąga mnie nawet i sądzę, że to ważne, iż ten człowiek, Siedzący Byk, o którym mowa, miał odwagę zrobić to wszystko. I że to na zawsze przeszło do historii! Piszą o tym w książkach, tak że my oraz cała reszta pierwszoklasistów i tych starszych będziemy o nim pamiętać.

- Nie bał się! Miał odwagę strzec swoich ziem.

I podpieram twarz rękami, a łokcie trzymam na ławce. Naprawdę lubię psora Leone. Znaczący lubię, jak opowiada. Widać, że praca to jego pasja. Nie nudzi się, mógłby być dobrym aktorem, tak, aktorem teatralnym, chociaż nie powiem, żebym sama widziała ich w życiu wielu. Podoba mi się, że kiedy wraca do przerwanej opowieści, to zawsze jest przy tym bardzo precyzyjny i podejmuje wątek we właściwym miejscu, w ogóle się przy tym nie myląc. Zupełnie jak w tym serialu, który tak mi się podobał, *Lost* znaczy, za każdym razem robili krótkie streszczenie, po czym akcja toczyła się dalej. Nigdy nic ci nie umykało. Nie to co z mamą, kiedy byłam mała. Każdego wieczoru opowiadała mi jakąś historyjkę na dobranoc, ja miałam swoją ulubioną o Brunelli i Biondinie. I mama mi °Powiadała, że te dwie dziewczynki, trochę wróżki, a trochę czarownice,

żyły naprawdę. Bardzo lubiłam historię o nich! Problem polegał na tym, że kiedy ją prosiłam po kilku dniach, żeby znów opowiedziała mi to samo... cóż, zawsze działało się coś dziwnego.

- Ale, mamó, to nie Brunella gubiła klucze do domu, tylko Biondina...

- Ale nie, mamó, to Biondina była zapraszana na bale do księcia... Słowem, różne fakty jakoś mi się nie zgadzały. Więc na dwoje babka

wróżyła: albo historia o Brunelii i Biondinie była czystym wymysłem mamy, albo była jak najbardziej prawdziwa, tylko moja mama miała kiepską pamięć. Jedno było pewne: jakkolwiek by na to patrzeć, wina leżała po stronie mamy. Ale kiedy jej to mówiłam, ona się uśmiechała, gładziła mnie po policzku i od razu miała na podorędziu gotowe stwierdzenie: „A, nie tak było? Wobec tego muszę się nad tym zastanowić... A teraz śpij, bo czeka na ciebie Morfeusz z rozpostartymi ramionami”. Podciągała kołderkę i wygładzała mi ją pod brodą. Patrzyłam, jak wychodzi z mojego pokoju. Miałam tylko jedną wątpliwość. Jaki okaże się ten Morfeusz? Jesteśmy pewni, że gość jest w porządku? I jaki sen mi ześle dziś w nocy? Zupełnie jakby chodziło o DVD, które ma włożyć do mojego odtwarzacza. A jeśli to będzie koszmar? Skoro tak, to w sumie wykluczone, by faktycznie był taką wspaniałą postacią.

Ale w okamgnieniu wracam do rzeczywistości. Akurat wtedy, gdy psor Leone kontynuuje swoją opowieść o Dzikim Zachodzie, słyszę dzwonek komórki. O Boże, a co to za wariat zapomniał ją wyłączyć? Albo przynajmniej przełączyć na tryb cichy lub wibrę. Ale zostawiać telefon włączony i do tego z dzwonkiem ustawionym na cały regulator, co to, to nie. Przegiećcie. Ale dziwne. Ma taki sam dzwonek, jaki ja miałam. A propos, jak tylko wyjdę ze szkoły, muszę iść do punktu obsługi klienta i wziąć od nich nową kartę. Nic. Komórka wciąż dzwoni.

- A zatem! - Psor uderza pięścią w pulpit katedry. - Wyłączycie w końcu tę komórkę czy nie? - Wszyscy odwracają się do mnie, dokładnie w moją stronę. I patrzą na mnie. Akurat... Fajnie by było, gdyby to mój tak dzwonił. Ale wczoraj mi go zwinęli. Chociaż to w sumie dziwne, bo dźwięk rzeczywiście dochodzi z mojej ławki. I dalej brzęczy. Patrzę na podłogę. Nic. Chyba nikomu nie wypadł i nie wylądował akurat u mnie, co? Bo ja wiem... I ciągle dzwoni.

- No i co! Carolina?! Bolla! - Woła mnie po nazwisku. Zaczyna się złościć na poważnie. - Ale, psorze, ja... - I dokładnie w tej samej chwili, kiedy już mam zacząć się tłumaczyć, nagle do mnie dociera. Patrzę do torby, tej, którą wcześniej miałam na stole, za plecami, akurat wtedy, gdy Alis mnie przytuliła i kiedy poluzowało jej się zapięcie w zegarku... I nagle ją dostrzegam. Jest w środku. Nokia 6500 slide! Nie mogę w to uwierzyć! Ale w takim razie... Znaczący, że zostawiłam ją w torbie? Sięgam po nią, ale wystarczy moment i już wszystko jest dla mnie jasne. Wciąż jeszcze ma folię ochronną na wyświetlaczu! Jest nowa! Ona mi ją kupiła, Alis! Odwracam się i widzę, jak się do mnie uśmiecha. Przerywa połączenie z komórki, którą trzyma na kolanach,

i chowa ją sobie do kieszeni. I zaraz siada prosto, jakby nigdy nic. Patrzę na nią i kręcę głową, a ona się do mnie uśmiecha. Chwilę później odwracam się do psora.

- Przepraszam, panie psorze, ale zupełnie zapomniałam, że jest włączona, to moja mama... W końcu wysłała mi wiadomość... Nie może przyjechać odebrać mnie ze szkoły.

Psor Leone rozkłada ręce, wzrusza ramionami. - Carolina, przecież mieszkasz trzy kamienice stąd...

- Tak, ale rodzice mieli pojechać do babci, bo oni później wyjeżdżają, więc mama poprosiła mnie, żebym się z nią wybrała, a że jeszcze nie wiedzą, co zrobić, bo dziadek nie ma ochoty z nią jechać, wolałby do niej dołączyć później, więc...

- Okay, okay. Dobrze, już dobrze, wystarczy. - Psor Leone się poddaje. - W przeciwnym razie skończy się tym, że będę musiał omówić nową publikację, książkę, która powstała specjalnie dla tej klasy: *Odyseję Caro-liny* ~ Wszyscy zanoszą się śmiechem, jakoś dziwnie nadzwyczajnie rozbawieni tekstem psora... No pewnie, w tym roku mamy egzaminy! Któż nie jest przekonany, że warto zaśmiewać się z każdego durnego tekstu, jaki powie?!

Przełączam komórkę na tryb cichy i udaję, że słucham wykładu. Ale faktycznie trudno, żeby teraz mnie obchodziło, co takiego dzieje się akurat na Dzikim Zachodzie, bo co się ma stać, to się i tak stanie, gdyż zostało, jakby to powiedzieć, już napisane! Wobec tego zdzieram folię z wyświetlacza i chowam się za Pratesi, która jest tłusciutka. Przy Clod

naturalnie wysiada, ale w każdym razie może stanowić całkiem przyzwoitą osłonę!

A więc lepiej się jej przyglądam. Nie mogę w to uwierzyć, kupiła taki sam model, jaki miałam, i ustawiła taki sam dzwonek, moją piosenkę! Alis jest boska! Gdzie ja drugą taką znajdę? Jest taka kochana. Mam na myśli - bezinteresowna. Spragniona miłości, oczywiście, i to okazuje, domagając się zawsze tego, by poświęcać jej uwagę, po wielokroć, ale robi to w sobie właściwy sposób, nie popadając w przesadę. A poza tym zawsze stara się myśleć też o innych, i robi to, jakby chodziło o najprostszą i najbardziej oczywistą rzecz, by potem znaleźć się ostatecznie w środku tego wielkiego kosza, gdzie wszystko się miesza, a to co twoje, jest również moje. Ten kosz to przyjaźń. Oj, wiem, że kiedy mówię takie rzeczy, to jestem trochę, jakby to powiedzieć... zbyt górnolotna, ale wobec takiej niespodzianki jak ta komórka zwyczajnie się wzruszyłam! Cóż mogę na to poradzić? Przysięgam, jestem tak przejęta jak jakaś głupia, choć w ogóle to nie ma nic złego w tym, że ktoś się wzrusza. Wiem. Nie to, żeby dziewczyna, która się wzrusza, miała być od razu głupia! Wprost przeciwnie... Głupszy jest ten, kto wobec takich rzeczy nie odczuwa wzruszenia. No, teraz zaczynam się trochę zapętlać w swoim wywodzie, ale najbardziej absurdalne jest to, że w pewnej chwili dostaję SMS-a.

Ale zrobiłaś z siebie pośmiewisko przed psorem!

To Clod, która jak zwykle niczego nie skumała. Pewnie, przecież z drugiej strony jej akurat nie powiedziałam wczoraj wieczorem o tym, że mi zwinęli komórkę, ale skoro teraz do mnie napisała... A to w takim razie... w takim razie w środku jest i moja karta! Otwieram komórkę! Tak, jest mój numer! Alis jest niesamowita. Nie pojmuję, jak jej się to udało. Niełatwo jest dostać kartę, a już zwłaszcza cudzą - to wprost niemożliwe! Ale na długiej przerwie wszystko mi tłumaczy. Jak tylko schodzimy na dziedziniec, rzucam się na nią.

- Dzięki! Dzięki! Jesteś taka boska! Jak ty to zrobiłaś? Jak dostałaś kartę SIM z moim numerem?

- Poszłam do salonu, tego tuż pod moim domem, pokazałam im mój dokument i wyjaśniłam, co ci się przytrafiło, kradzież komórki i całą resztę...

- A oni?

- Oni mi uwierzyli. - Naprawdę?
- No pewnie! Byli bardzo wyrozumiali, zwłaszcza jak masz taką matkę jak ja.
- Właśnie... - Oj, uwzględnijcie, że mama Alis codziennie zmienia prawie wszystko, bo zawsze musi być modna, rywalizuje ze swoimi przyjaciółkami i pierwsza musi mieć wszystko, co najlepsze! To akurat w bardzo dużym stopniu obciąża Alis. Matka wyjeżdża jej z tekstem typu: „A wiesz, że córka Ambretty, Valentina, zrobiła tak i tak... I wiesz też, że córka Eliany, Francesca, zrobiła tak i tak... A pomyśl, że z kolei córka Virginii, Stefania, zrobiła tak i tak...!”. I ona sama jeszcze nie pojęła, że właśnie dlatego Alis koniec końców zawsze robi coś tak i... na opak! Alis uśmiecha się i wzrusza ramionami.

- Słowem, dotarło do nich, że gdyby mi nie wydali twojej nowej karty, to za nic nie kupiłabym tej nokii... - A ja przez chwilę się rumienię. Świetnie pamiętam, ile kosztuje. Rodzice oszczędzali, żeby móc mi ją kupić, i do tego jeszcze dali moją starą nokię 90 w rozliczeniu. No... W taki czy inny sposób znów jestem w jej posiadaniu i teraz, rozentuzjasmowana z powodu odzyskanej komórki, opowiadam Clod i Alis całą historię o Massim, płycie, którą dostałam w prezencie, spacerze, lodach i całej reszcie.

- W sumie... Sądzę, tak, jestem tego prawie pewna, tak, ja... się zakochałam!
- A Lorenzo?
- Dlaczego mnie tak studzisz... A zresztą, kto go tam jeszcze w ogóle spotka, tego Massiego! Musiałabym wykonać miliardy prób tak wieloma różnymi kombinacjami cyfr, żeby znaleźć jego numer.....
- Jest ich w sumie około dziewięćdziesięciu milionów!
- Gibbo! Podśluchiwałeś!
- Pewnie...

To mój przyjaciel matematyk. Uwielbia film *Buntownik z wyboru*, widział go już dziesięć razy. Co jakiś czas zaprasza nas do siebie do do^{mu} 1 zachęca, byśmy obejrżeli *Buntownika*... raz jeszcze, tłumacząc, że ^{ws}zystko ma związek z matematyką, miłość też, ale nie tyle jako rachunek, ile wymiar. Jak dotąd nie udało mi się tego pojąć.

- Hej, siema stary! - Podchodzi też ten czubek Filidoro. Macie pojęcie, jak mu ojciec z matką dali na imię? Filidoro. Zupełnie jakby chodziło o postać z którejs z tych starych kreskówek. Zresztą teraz przechrcił się na Filo, brzmi nawet całkiem nieźle. Ale tak już na starcie okaleczyć dzieciaka, co... Zabawny koleś z tego Fila, on też jest zawsze modny, ale nie tak jak mama Alis, tylko na polu muzycznym. Kocha każdą nutę.

- Ej, a słyszeliście to? Ostatni kawałek Jovanottiego. Leci tak... -I już nuci cały numer ze wszystkimi słowami. Jest naprawdę niesamowity. Jak on to robi, że pamięta je wszystkie! Za to w nauce jakoś pamięć mu szwankuje.

Gibbo robi się coraz bardziej natarczywy. - Ej, o kim wcześniej rozmawialiście?

- Kiedy wcześniej? - Alis jest nieufna.

- Przed chwilą! Koleś od komórki, którą zgubiła Caro. Zrozum, ja wszystko słyszałem...

- Co ty opowiadasz, coś ci się pomyliło, zobacz, tu jest moja komórka. - I błyskawicznie wyjmuję ją z kieszeni i jeszcze nigdy to, że mam ją przy sobie, nie wydało mi się równie pożądane i na miejscu.

- A widzisz? Gadasz bzdury!

- Może i tak... - Gibbo mówi to bez przekonania, ale na szczęście rozlega się dzwonek, który wybawia nas z opresji.

- Dobra, dziewczyny, my idziemy, siema, bracie, dziś wieczór u ciebie?

- Tak...

- Nie wpadłybyście?

- Tak, pewnie... - i zaraz wszystkie chórem - ...żeby obejrzyć *Buntownika z wyborni*

- No! - Gibbo robi taką dziwno-śmieszłą minę. A my zmykamy, zanosząc się śmiechem.

Już w klasie wysłałam do Alis SMS-a z obrazkiem. Butelka szampana z wystrzelonym korkiem i masą gwiazdek.

Być twoją przyjaciółką to jak świętować każdego dnia! Dzięki!

Ona patrzy na mnie i się uśmiecha, widzę, że coś pisze. I rzeczywiście dostaję SMS-a.

Wszystkiego najlepszego w twoje nie-urodziny!

Alis na maksa podoba się ten film. Może dlatego, że tamta Alicja jest przez wszystkich kochana. Może dlatego, że żyje w Krainie Czarów i nigdy nie jest sama. Ból miłości. Poetka dziś ze mnie i to jaka! Widzę, że Alis zabrała się za pisanie czegoś w pamiętniku, z zapalem, jak to zwykle, kiedy przyjdzie jej coś na myśl. Więc nic już nie odpisuję, tylko patrzę na nią z daleka, uśmiechnięta. Moja przyjaciółka. Moja najdroższa przyjaciółka. Razem z Clod, oczywiście.

- Jak poszło w szkole?
- Świetnie... - Nie byłam pytana, chciałabym dodać, ale dlaczego podkreślać coś takiego? Mama właśnie robi obiad.

- Macie ochotę na stek?

- Kto my?

- Ty i twoja siostra.

- Ale ona jeszcze nie wróciła do domu?

- Jest u siebie w pokoju.

- A... - Muszę teraz wykorzystać sytuację, zanim się tu pojawi. Chcę tylko mamie opowiedzieć o Alis, jaka jest hojna i megafantastyczna ta moja przyjaciółka, o cudownym prezencie, jaki mi podarowała, jak tylko się dowiedziała o mojej komórce!

- Mamo, mam wspaniałą niespodziankę.

- I ja mam niespodziankę dla ciebie...

Nie zdążam jej nic powiedzieć, gdy ona się odwraca. Cała rozgrzana od gotowania, z uśmiechniętą buzią i tym dobrym spojrzeniem mamy. Jak to tylko ona sama potrafi. Ona, która tak ciężko pracuje. Ona, która wstaje wcześniej rano. Ona, która przyrządza kawę tacie, a nam śniadanie i wraca do domu na obiad, a potem po południu z powrotem idzie do pracy. Mama, która tak ciężko pracuje, która jest piękna, która nigdy nie jeździ na wakacje. Mama. Moja mama, jej uśmiech sprawia, że aż serce mi się ściska.

- Popatrz, co takiego ci kupiłam... - I kładzie ją na stole, nową, wciąż jest jeszcze w pudełku. Nokia 90, taka sama, jaką miałam wcześniej, zanim mi gwizdnęli tę nowszą, prosty model, z podstawowymi funkcjami, bez aparatu. Który nie kosztuje kupy kasy. I czuję, jak ściska mi się serce, i nie wiem, co robić, co powiedzieć. Ale zaraz się uśmiecham i reaguję najbardziej spontanicznie jak się da.

- Mamo! Jest przepiękna... Dziękuję!

I obejmuję ją mocno i czule, i czuję na sobie jej lekko wilgotny fartuszek. Mama głaszcze mnie po włosach, tym razem wcale mi to nie przeszkadza. Zamykam oczy i mało się nie rozplaczę, sama nawet nie wiem dlaczego.

- Wiesz, udało mi się wyskoczyć z pracy... Poprosiłam o pozwolenie, pobiegłam do najbliższego salonu z telefonami komórkowymi i kupiłam ci ten... Naprawdę ci się podoba? - Odchyła się ode mnie i patrzy mi w oczy, a ja jestem wzruszona i potakuję skinieniem głowy. I ona już wie, znów mnie przytula.

- Tyle tylko, że nie chcieli mi dać karty telefonicznej z twoim numerem, powiedzieli, że musisz się do nich zgłosić osobiście. Masz pojęcie! Nie mogę załatwić sprawy za swoją córkę. - Stropiona, przez chwilę się nie odzywa. - Może obawiali się, że mogłabym używać twojego numeru, bo ja wiem, żeby czytać twoje SMS-y. Czy oni nie wiedzą, że my nie mamy przed sobą żadnych tajemnic?

I wypuszcza mnie z objęć. Wraca do gotowania, stoi do mnie plecami, z włosami zebranymi do góry nad długą szyją, wzdłuż której układają się miękko pojedyncze, ciemniejsze pukle. Po chwili odwraca się z tym swoim pięknym uśmiechem na twarzy, szczęśliwa z prezentu, z dobroci, która najchętniej nie znałaby granic. - Ej, a ty co mi miałaś do powiedzenia? Jaką masz dla mnie niespodziankę?

Na co ja przez chwilę patrzę na nią, wytrzeszczając oczy przepelnione obawą, że mogłabym skłamać i zostać zdemaskowana. Po chwili staram się odnaleźć niewzruszony spokój, nie wspomnieć słowem o Alis, o mega drogiej komórce, którą od niej dostałam. I jak na lepszą od Meryl Streep, Glenn Close, Kim Basinger i nawet Julii Roberts, idealną aktorkę przystało, byle tylko jej nie sprawić zawodu, uśmiecham się i mówię:

- Mamo, wiesz co?

- Co takiego, kochanie?

- Dostałam czwórkę!

Później, po obiedzie.

Schowałam komórkę od Alis, czyli tę nową, musiałam ją wyłączyć, bo jak na świetną, ale niezbyt sprytną aktorkę przystało, nie powiedziałam, że mam już kartę SIM, choć tak naprawdę to przecież i ją zdobyła Alis.

Wymiana zdań przy stole z Ale, która, na widok mojego nowego telefonu od mamy chce zmienić swój.

- Ale mam, a z moim to co... Popatrz, bateria trzyma się na gumkę! A ja głupia dałam się złapać w jej sidła.

- Tak, ale twój działa bez zarzutu i na dodatek ma aparat...

Mama od razu się martwi. - Ale jak to, Caro, to twój nie ma? - Nie, bo ma małą pamięć! Alessandra jest naprawdę nedorzeczną, mało tego, nie odpuszcza.

- Więc teraz już wiem... Mam udawać, że zgubiłam telefon albo że mi go ukradli, a wtedy też dostanę nowy.

- Zrozum, naprawdę mi go ukradli! Zdaje ci się, że sama wymyślam takie rzeczy, chcąc wymusić na mamie, żeby dała mi w prezencie komórkę? - I ja mam się z nią kłócić, choć ten problem wcale mnie nie dotyczy. Teraz akurat to ja mam dwie komórki i nawet nie mogę się do tego przyznać!

Jedyna pozytywna rzecz w związku z Ale: straciłam apetyt. To nawet lepiej, bo postanowiłam trochę się poodchudzać. Mama nalegała, żebym zjadła, ale gdy się zorientowała, że nic z tego, obrała mi jabłko.

W tym samym czasie, od razu po kłótni, po której ja i Ale przestałyśmy się do siebie odzywać, zjawił się Rusty James, od razu siadł do stołu i z przyjemnością zjadł moją porcję makaronu, obiad nie zdążył jeszcze wystygnąć, wciąż był ciepły, a zresztą i tak Rusty'emu się trafiło, skoro właściwie miało go nie być na obiedzie.

- Ej, co się dzieje? Co to za grobowa cisza... To do was niepodobne! Rusty ma taki niepojęty sposób bycia, chodzi o to, że zawsze zjawia się

wtedy, gdy najmniej się go spodziewasz, i ma dar mówienia w sprzyjającej chwili czegoś, czego absolutnie mówić nie należy! Alessandra się złości i idzie do siebie do pokoju, ja, cała zadowolona, jem swoje jabłko, a Rusty mój makaron. Mama wraca do pracy, a mnie przykazuje tylko jedno: - Z łaski swojej, nie kłóć się z siostrą...

Jak tylko rozlega się trzask zamykanych drzwi, Rusty wypytuje zaciekawiony.

- Sorry, ale co się stało?

Więc ja mu wszystko opowiadam. Mówię też o komórce od Alis. Jego akurat nie mogę oszukiwać, wyciągam obydwa telefony z torby i kładę je na stole.

- Właśnie, widzisz... teraz mam dwa! Rusty się śmieje i kręci głową.

- Jesteś fenomenalna, sorry, ale nie mogłaś od razu powiedzieć

o wszystkim mamie... Co w tym złego?

- Skąd... Byłoby jej strasznie przykro! W pracy poprosiła, żeby ją wcześniej wypuścili, wydała swoje oszczędności, żeby mi kupić komórkę

i zrobić niespodziankę, a pewnie nawet posprzeczała się o to z tatą... A ja co... mam jej powiedzieć, że już dostałam komórkę? No weź, nie masz za grosz wrażliwości!

Rusty śmieje się rozbawiony. - Teraz to moja wina... Okay, okay, w każdym razie mam pewien pomysł...

I mówi mi o nim, po czym zaśmiewa się i żartuje. I faktycznie to jest myśl, poważnie. Nie wpadłam na to.

- Ej, Rusty, wiesz, że jesteś zajebisty...

- Wiem. - I się do mnie uśmiecha. - Caro, co teraz robisz?

- Oj, nie wiem, pouczę się trochę a potem może gdzieś wyskoczę...

Rusty poważnieje. - Ja też muszę się uczyć, ale rzyg, nie mam najmniejszej ochoty. Pomyśl tylko, wciąż mam kupę egzaminów na medycynie, a tata nie ma pojęcia, co takiego postanowiłem.

Patrzę na niego zaciekawiona. - A co takiego postanowiłeś?

- Jeszcze nie czas na to... - I idzie do siebie, zostawia mnie samą w kuchni. Biorę do buzi ostatni kawałek jabłka i wracam do swojego Pokoju. Włączam komputer. Pod pretekstem zbierania informacji, nauki i całej reszty zdołałam nakłonić rodziców, by mi go sprezentowali. Spłacają raty od niepamiętnych czasów. Loguję się i od razu wchodzę na MSN. Masz, wiedziałam. Gibbo do mnie napisał.

Więc pomyślałem, że po odjęciu numerów znajomych, jeśli chcesz znaleźć ten do swojego nieznanego „ukochanego”, zostaje około osiemdziesięciu dziewięciu Mionów sześciuset pięćdziesięciu tysięcy możliwości... Chyba że wyślesz jednego

SMS-a do wszystkich, co by znaczyło, że jesteś bogatsza od Berlusconiego i wujka Kaczora Donalda Sknerusa McKwacza razem wziętych lub też zadzwonisz pod numer: 347 8002001 i dasz sobie z tym spokój.

Ale głupek z niego. Oczywiście to numer do niego. Ma rację. To niemożliwe. Jednak czasami w życiu... I zamykam oczy, staram się w taki czy inny sposób przywołać ten numer. Żartem napisał mi go na sklepowej witrynie i prawie go widzę... 335, nie, 334... Mam, tak, 334... I nie przestaję sobie wyobrazać, póki nie zobaczę go czarno na białym, póki jasno i wyraźnie nie stanie mi przed oczami.

Zupełnie tak jak wczoraj widziałam jego. Zatem zapisuję ciąg cyfr na kartce, a potem w komórce i wreszcie tak zastygam z tym numerem w stanie zawieszenia. Nie wiem, co dalej. I zaraz, szybko otwieram skrzynkę z wiadomościami i piszę krótko.

Ej, jak się masz? To ty, Massi, prawda? Wczoraj świetnie się razem bawiliśmy. To ja, Carol -1 wysyłam ją pod ten numer, mając nadzieję, marząc, fantazjując. I staje mi ten chłopak przed oczami. Oto on, jak żywy, Massi. Pewnie akurat się uczy albo gra w tenisa lub w piłkę, a może wiosłuje na basenie, w łódce przytwierdzonej do brzegu. Właśnie wyobrażam go sobie, kiedy słyszy, jak dzwoni lub wibruje mu komórka. To przesłany SMS. Otwiera go, czyta i się śmieje... Śmieje się! Po chwili, niezdecydowany, zaczyna się zastanawiać, co by tu odpisać. Potem uśmiecha się w duchu. Już. Wcisną klawisz wysyłania i wiadomość wyrusza, przemierza miasto, chmury, niebo, ulice i powoli przeciska się przez metalowe żaluzje do mojego domu, następnie do mojego pokoju, a wreszcie do mojej komórki.

Bip, Bip.

Słyszę sygnał. Och, naprawdę właśnie przyszedł do mnie SMS. Nie mogę w to uwierzyć! Natychmiast odblokowuję komórkę, przechodzę do skrzynki z otrzymanymi wiadomościami. Jest, widzę ją. Niepodpisana. Więc to nie od żadnego przyjaciela ani znajomego. To z tego numeru. A więc to on. Nie mogę w to uwierzyć! Dorwałam go. Przypomniałam sobie numer. I zaraz czytam SMS-a.

Może to pomyłka. W każdym razie mam czterdzieści lat, jestem mężczyzną, nieżonatym. A zatem, droga Caro, może byśmy się spotkali?

W okamgnieniu kasuję wiadomość i wyłączam komórkę. Groza. *Droga Caro.* Na dodatek dowcipniś. A w każdym razie dramatycznie starają-

cy się na takiego wpaść. Nic. Okrutne życie. To nie był on. I tym samym, niestety, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko zabrać się do nauki. Szkoda. Czasami marzenia rozpadają się ot tak, na twoich oczach. Zwłaszcza kiedy ma się do wyboru pragnienie ponownego ujrzenia Massiego albo ślęczenie nad lekturą *Roland zakochany*.

I tak, nie to, żeby ten Roland był taki znowu kiepski, mam świadomość, że jego historia jest przepiękna. I rzeczywiście, w miarę, jak ją czytam, rozwiązanie samo mi się nasuwa. Zwłaszcza w pewnym momencie. *Żaba do moczarów przywiązana, gdy na górę trafi, wnet do niziny lgnie sama. Ani gdy ciepło, ani gdy zimno, ani na krótko, ani na długo żabę od błota odciągnąć wielce trudno...* - No pewnie. Można powiedzieć, że nieuchronne ma to do siebie, że jest nieuchronne. Caro od Massiego odciągnąć wielce trudno... Nie mam cienia wątpliwości, jakżeby inaczej. Jak to się stało, że wcześniej o tym nie pomyślałam. Mam dwie możliwości.

- Wychodzę. - Biorę kurtkę i zarzucam ją na siebie. I zaraz chowam do kieszeni moją drugą możliwość. Przyklepuję ją w przekonaniu, że dzięki niej z pewnością odnajdę Massiego i zdobędę wszelkie informacje na jego temat.

Biegiem wypadam z klatki i dokładnie w tej samej chwili widzę nadjeżdżający autobus.

- Moment! - krzyczę do kierowcy, jakby mógł mnie usłyszeć. Już to widzę. Człapię, usiłując dotrzeć na przystanek, zanim autobus się na nim zatrzyma i po chwili ruszy. Nic. W życiu nie dam rady. Już jest na przystanku. Kierowca chyba spojrzął w lusterko.

- Już jestem, już jestem... - Przyspieszam, ale ledwo zipię. Pędzę z językiem na wierzchu. Obawiam się, że lada moment ruszy. Ludzie dawno wysiedli, a kto miał wsiąść, już to zrobił. Jestem pewna, że na mnie nie poczeka, pewnie zrobi mi na złość, ruszy akurat w chwili, kiedy go dogonię. Nic. Nie mam szans. Lecz autobus wciąż stoi na przystanku i czeka na mnie z otwartymi drzwiami, dopadam go biegiem i wsiadam, i to w chwili, kiedy byłam święcie przekonana, że za Chiny nie dam rady. - Uff... dałam radę. - Drzwi się zamykają. - Dziękuję... - Udaje mi się wydusić ostatkiem tchu. Kierowca uśmiecha się do mnie, widzę w lusterku, chwilę później znów chwyta wielką kierownicę w ręce i włącza się do ruchu. Patrzy na mnie, gdy ja tymczasem sadowię się na

jednym z wolnych miejsc. Autobus jest prawie pusty i grzeje do centrum. Na ulicach też jest pustawo. A ja, rozmyślając nad tym, jak zadać to pytanie, powoli przestaję dyszeć.

- Przepraszam...?

- Tak... - Jakaś młoda sprzedawczyni idzie mi naprzeciw. - W czym mogę pani pomóc?

A ja chciałabym jej powiedzieć: „Wie pani... Wczoraj widziałam prześliczne buty, które jednak i tak są za drogie. Ale w gruncie rzeczy to nie dlatego tutaj jestem...”. Nie jest to najlepsze podejście. Lepiej mówić wprost.

- Wczoraj na waszej witrynie był napis... Numer telefonu.

- Proszę mi o tym nie wspominać. Ja nawet zadzwoniłam pod ten numer telefonu. To numer jednego chłopaka, najwyraźniej się z kimś umówił. Zaczął się śmiać... Nie był z nikim umówiony. Powiedział, że to dla jego przyszłej dziewczyny!

- Tak powiedział? - I chce mi się śmiać. Wariat z niego.

- Tak, właśnie tak powiedział... I co z tego? O co chodzi, dlaczego się śmiejesz? To twój przyjaciel?

- Nie, nie.

- W każdym razie to jakiś cham, zaczął się śmiać, a potem się rozłączył.

Tylko to przychodzi mi do głowy: - Nie, tyle że miał moją komórkę w swoim plecaku i zabrał ją ze sobą, a ja nie mam do niego numeru. Nie wiem, czy mi wierzy, ale jej odpowiedź jest krótka i zniechęcająca.

- My też go nie mamy. Usunęliśmy go... i zapomnieliśmy. - I zaraz odwraca się na pięcie, i odchodzi.

Wychodzę na ulicę i przyglądam się witrynie. Ale skąd, nie ma ani śladu. Usiłuję czegoś się dopatrzeć. Wypolerowali ją na wysoki połysk. Staję pod światło. Pochylam się i przystawiam twarz do samej szyby. Nic, jest czyściuteńka i jakby tego było mało, po drugiej stronie szyby dostrzegam sprzedawczynię, która mi się przygląda. Nasze spojrzenia się krzyżują, a ona kręci głową, odwraca się i staje do mnie plecami. Znowu. Prostuję się. Massi bardzo dobrze zrobił, że rzucił słuchawką. A z niej nie

lada szczęściara, że mogła do niego zadzwonić. Fakt, a teraz nie pozostaje mi nic innego, jak tylko skorzystać z mojej drugiej i ostatniej szansy.

- Witam... - Za ladą w Feltrinelli przy kasie trafiam na bardzo ładną dziewczynę z kasztanowymi włosami, zebranymi do góry. Ona też ma plakietkę, a na niej imię: *Chiara*.

- Dzień dobry, słucham cię.

Wyjmuję z torby płytę kompaktową, którą dał mi w prezencie Massi.

- Właśnie, chodzi o tę płytę, którą wczoraj kupiłam... Dziewczyna ją otwiera, ogląda z boku, przekłada i sprawdza mały srebrny hologram.

- Tak... to od nas. O co chodzi? Ma jakiś defekt? Poczekaj chwilę, zawołam kogoś, kto doskonale się na tym zna. - I wciska guzik tuż przy swoim stanowisku.

Nie zdążam nic więcej dodać, a tu zjawia się on. Sandro. Ten od książki o wychowaniu seksualnym. Niestety mnie rozpoznaje. Patrzy na mnie i się uśmiecha.

- Co się dzieje? Namysliłaś się? - Chiara przejmuje kontrolę nad sytuacją.

- Cześć, Sandro, sorry, że cię wezwałam, ale ta dziewczyna kupiła wczoraj tę płytę i wydaje mi się, że jest jakiś problem. - I zaraz, jakby sobie nagle o tym przypomniawszy... - A tak w ogóle to masz paragon? Bo jeśli nie, to nie będziemy mogli wymienić płyty.

Nie zdążam odpowiedzieć, bo wtrąca się Sandro.

- Ale przepraszam, szukałaś książki o wychowaniu... - Patrzy na swoją koleżankę i postanawia mnie oszczędzić. - Potem wybrałaś Zoe Trope, jednak w końcu zdecydowałaś się na płytę... W ten sposób niczego się nie nauczysz.

Uśmiecha się do mnie aluzyjnie, jest wkurzający.

- To nie dla mnie.

- Ma jakiś defekt, dobrze odtwarza?

- Świetnie...

- Okay, a masz paragon? Nie chcę jej wymienić.

- Więc w czym problem?
- Otóż... - Patrzę na nich lekko speszona.
- Rozumiem. Nic nie mów. - Sandro mi się przygląda i poważnieje. - Udało ci się wykiwać ochronę. Ukradłaś płytę i teraz masz poczucie winy, więc przysłaś ją zwrócić! Bo takie już jesteście, macie te swoje *baby gangi*, wypuszczacie się w miasto, okradacie ludzi, zwijacie im komórki, kasę, nawet kurtki... Stoisz na czele bandy?

Nie mogę w to uwierzyć! I nie mam pojęcia, jak go powstrzymać. Tak, nakrył nas pan: to nasza ekipa, ja, Alis i Clod. Trzy buntowniczkę z Farnesiny. Mamy na koncie nawet napad: pół tabliczki czekolady na głowę!

- Przepraszam, może mi pan da coś powiedzieć? Wreszcie się uspokaja.
- Tę płytę dostałam wczoraj w prezencie od jednego chłopaka. Opowiadam mu całą historię, o witrynie, o tym, jak napisał tam swój

numer, i jeszcze o autobusie, o tym, jak zwinęli mi komórkę, o dwóch młodych Rumunach. Jak nic działają w *baby gangu*, choć nie przesadzałabym z tym *baby*. Opowiadam im nawet o dzisiejszym prezencie od Alis.

- Masz świetną przyjaciółkę, była przemiła. - Sandro przez chwilę jest zakłopotany. - Ale w takim razie co ja mogę dla ciebie zrobić?

- Właśnie, chciałabym się dowiedzieć, kim jest ten chłopak, a nuż zapłacił kartą, to wtedy jest i nazwisko, albo poprosił o fakturę, są na niej jego dane, adres...

A Sandro wciąż mi się przygląda, zaintrygowany, zmieszany, w końcu lekko wstrząśnięty. Po chwili unosi brew, chyba nie do końca przekonany do mojej opowieści. Staram się na wszelkie możliwe sposoby dać mu do zrozumienia, że to prawda, i nie widzę żadnego innego wyjścia, jak tylko mu się przyznać.

- Koleś, który dał mi w prezencie tę płytę, podoba mi się na maksa... I po raz pierwszy widzę, że się uśmiecha. I może dlatego, że myśli, iż

mogłabym być jego bratanicą lub siostrzenicą albo że to jest lub mógłby być początek miłosnej historii lub po prostu dlatego, że tym razem mi wierzy, że nie bujam, zwraca się do mnie: - Chodź ze mną, pójdziemy na zaplecze.

Przemierzamy długi korytarz. Nad drzwiami wisi tabliczka z napisem: BIURA. WSTĘP WZBRONIONY.

- Chodź, dalej, śmiało... Nic się nie martw.

Otwiera drzwi i mnie przepuszcza, po chwili sadowi się przy biurku, włącza komputer, wyciąga z szuflady paragony i zaczyna je sprawdzać.

- Więc tak, piętnasty września... Książki, książki, film, podwójna płyta, znowu książki, książki... O, mam. Ta osoba kupiła tylko jedną płytę. James Blunt, *Ali the Lost Souls*, paragon numer pięćset dziewięć. - Sprawdza w komputerze. - Zakup dokonany o osiemnastej dwadzieścia pięć.

Tak, godzina się zgadza. To on. Dopiero co wyszłam. Sandro wpatruje się w monitor, żeby sprawdzić, jaka była forma płatności. Czuję, że serce wali mi coraz mocniej, coraz szybciej. Sandro się uśmiecha. Ale trwa to tylko jedną chwilę, moment. Zaraz ten uśmiech znika mu z twarzy. Wygląda do mnie zza monitora. Patrzy w moją stronę i już jest poważny.

- Nie. Przykro mi. Dwadzieścia czterdzieści. Zapłacił gotówką.

- W każdym razie dziękuję.

Wychodzę z Feltrinelli ledwo żywa. Nic. To była ostatnia szansa. Już w życiu nie zobaczę Massiego. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, jak bardzo się myliłam.

Wsiadam do autobusu i wszystko wydaje mi się jakieś takie smutniejsze, mniej kolorowe, prawie czarno-białe. Jest mało ludzi i wszyscy wyglądają, jakby byli pozbawieni blasku, ani jednej pary, kogoś roześmianego czy słuchającego muzyki i kiwającego głową do rytmu. Nic się nie da zrobić, kiedy pryska marzenie, wtedy nawet rzeczywistość wydaje się szpetniejsza. Ej... A jednak! Tę myśl muszę sobie zapisać w pamiętniku moich cytatów. Wprawdzie go jeszcze nie posiadam, ale bardzo chciałabym go sobie kupić! Owszem, zebrałam kilka swoich cytatów, zapisałam w pamiętniku szkolnym i w komórce, którą tamci mi gwizdnęli.

Nagle przychodzi mi na myśl mail, którego wczoraj dostałam od Clod. Właśnie czyta książkę Giovanniego Allevi, który, tak nawiasem mówiąc, podoba jej się na maksa, znaczy nie jego gra, ale wygląd, a książka ma *tytuł Muzyka w głowie*. Przepisała mi jedną rzecz, która według mnie jest super i teraz pasuje w sam raz: *Kiedy podążasz za jakimś' marzeniem, na swojej drodze spotykasz masę znaków, które wskazują ci kierunek, ale jeśli się boisz, to go nie widzisz*. Właśnie. Nie widzisz ich. A raczej oglądam się za

siebie podejrzliwie. Chyba nie urządują mnie tak samo i nie zwiną mi teraz komórki, którą dostałam od Alis? I tak, żeby się pewniej poczuć, przekładam ją do przedniej kieszeni. A, dobrze, czuję niejaką ulgę. Jak brzmiało to zdanie, które miałam w komórce? Tak, bo szczerze mówiąc, w sumie to zapisałam tylko jedno zdanie. Tak, pamiętam: *Nie ma nic piękniejszego niż cos', co zaczęło się przez przypadek i dobrze się skończyło!*

Podoba mi się na maksa i nie wiem dlaczego, ale sprawia, że znów myślę o Massim i o tym wszystkim, co by mogło być, i... Ej, ale to mój przystanek! W ostatniej chwili naciskam guzik na żądanie i autobus gwałtownie hamuje. Kierowca jak zwykle patrzy na mnie w lusterko i zaraz kręci głową. Jakaś pani, trochę grubaska, nie daje rady w porę chwycić żelaznej poręczy i ląduje w ramionach starszego pana. Ale on wcale się nie złości. Wprost przeciwnie, uśmiecha się. Kobieta przeprasza na wszelkie możliwe sposoby. A on nie przestaje się uśmiechać.

- Ależ nie ma problemu. Nic mi się nie stało. - Tymczasem ja wysiadam i na koniec też się uśmiecham. Kto wie, a nuż to moje roztrzepanie zmieniło czyjeś przeznaczenie.

Autobus rusza, mijają mnie, kiedy idę. Widzę ją i jego, starszego pana i panią grubaskę, jak rozmawiają i się śmieją. A nuż skojarzyłam nową parę. Może nigdy się tego nie dowiemy, ale czasami to właśnie za naszą sprawą zmienia się życie innych osób. Czasami robimy to umyślnie, a czasami nie. Docieram pod dom i nagle widzę ich wszystkich tutaj, jak zawsze. Jak wtedy. Dziewczyny siedzą na murku, chłopaki grają w piłkę. Biegają po podwórku cali spoceni i przejęci, między umownymi bramkami, za jedną robi zardzewiała żelazna żaluzja, a zielony hydrant naprzeciwko to słupek drugiej, trochę poźółkły od słońca, a tuż obok, kilka metrów dalej, leżą rzucone na ziemię kurtki. Chłopaki z podwórka. Biegają, drą się, krzyczą do siebie po imieniu.

- Naprzód Bretta, dalej Fabio! Podaj, weź! Fabio, Ricky, naprzód Stone, dalej. - Podają sobie piłkę, prawie kapeć, mocno już pociemniałą, skopaną. I biegają. Biegają w ostatnich promieniach słońca, spoceni, po całym popołudniu gry w nogę, w byle jakich butach, starych, odświętnych mokasynach, popękanych od biegania po kamieniach pośledniej jakości asfaltu. I jeszcze one, podwórkowi kibice. Anto, Simo, Lucia, Adele. Jedna liże chupa-chupsa, druga kartkuje znudzona stary

numer „Cioe”, poznaję go. Jest sprzed co najmniej dwóch miesięcy. W środku był plakat Zaca Efrona. Trzecia szuka desperacko jakiejś piosenki w swoim iPodzie, choć tak naprawdę to stara empetrójka. Widzą, jak nadchodzę. Adele się ze mną wita.

- Cześć, Ca.

Anto unosi głowę i podrzuca lekko podbródek, Simo się do mnie uśmiecha. Lucia nie przestaje lizać chupa-chupsa i mamrocze niewyraźnie: - Cze... - Powinno być cześć, tyle że dziewczyna koniecznie chce utyć.

I wracają do oglądania tego dosyć niewydarzonego meczu. A ja je pozdrawiam jak zwykle swoim kultowym: - Ciauuu! - I już mnie nie ma. Pędem wpadam na klatkę i ściągam windę. Ale ponieważ nie chce mi się czekać, pokonuję biegiem schody, po dwa stopnie naraz. Kiedy się tak wspinam, przez okna na klatce widzę ich, jak grają. Riccardo gna jak wariat. Jest przy piłce. Nikomu jej nie podaje. Bretta też tam jest, u jego boku, biegnie nieopodal, w ślad za nim. Są razem w drużynie.

- Weź, podaj! Podaj! - Ale Fabio, który gra w przeciwnym składzie, jest szybszy i przejmuję piłkę, po czym wraz ze Stonem rusza do bramki naprzeciwko. Bretta się wścieka, odwraca i też pędzi w stronę swojej bramki.

- Mówiłem ci, żebyś ją podał, przecież ci mówiłem! - Za późno. Stone i Fabio strzelają gola szybkim kopniakiem w żelazną żaluzję przerdzewiałego garażu, a echo niesie się aż na klatkę schodową. Ricky zastygł na środku podwórka, trzyma się pod boki. Oddycha głęboko, jest zdyszany. I zaraz ręką odgarnia sobie do tyłu włosy. Są mokre od potu, jak zawsze długie. Bretta przechodzi blisko niego zły i kopie zepsuty spinacz, który spadł komuś ze sznura.

- Jest trzy zero dla nich...

- Też coś! Teraz nadrobimy.

- Taa, akurat...

Po chwili Ricky spogląda w górę, w stronę klatki. I widzi mnie. Nasze spojrzenia się krzyżują. Uśmiecha się do mnie. A ja trochę się rumienię¹ uciekam. Pędzę po schodach i w okamgnieniu znów tam jestem. Wtedy. Trzy lata temu. Miałam jedenaście lat, on trzynaście. Byłam po uszy zakochana w Riccardzie. Tą miłością, że sama nawet nie wiesz, co

takiego znaczy czy też gdzie się zaczyna, a gdzie kończy. Bo z przyjemnością go oglądasz, spotykasz, rozmawiasz z nim, czujesz do niego sympatię i po tym, jak dłużej go nie widzisz, to ci go brak. Słowem, taką właśnie miłością, która ma w sobie tyle piękna... bo jest niedorzeczna. To miłość w czystej postaci. Bez cienia troski, tylko szczęście i uśmiechy. I chęć obdarowywania prezentami, takimi jak te, które pragniesz dostawać od rodziców, a których czasami oni ci nie dają, bo tak się składa, że to nie ich zadanie.

Czternasty lutego. Walentynki. To był mój pierwszy raz. Mój pierwszy prezent dla mężczyzny. Mężczyzny... chłopaka! Chłopaka... dziecka. Dam sobie z tym spokój, bo po tym, co odkryłam na jego temat, sama nie wiem, jakie określenie najlepiej by pasowało.

Dryń. .

- Carolino, idź otwórz, mam mokre ręce, gotuję...

- Dobrze, mam.

- Zanim otworzysz, zapytaj kto to. Przewracam oczami. No nie, na okrągło powtarza mi to samo.

- Jasne?

- Tak, mam. - Podchodzę do drzwi. - Kto tam?

- Riccardo. - Otwieram, stoi naprzeciwko mnie, z tymi swoimi długimi włosami, takimi długimi... i dla odmiany uczesany. Ma na sobie lekką dżinsową koszulę, akurat mu pasuje do niebieskich oczu, uśmiecha się szczęśliwy, wcale niespieszony, i w końcu podsuwa mi zawiniątko, które trzyma w rękach.

- Masz, to dla ciebie.

- Dziękuję. - Wciąż stoję w drzwiach. Po chwili biorę od niego paczuszkę, obracam ją w palcach, przyglądam się jej uważnie. To mała żelazna ławka z dwoma siedzącymi na niej sercami. Są z czerwonego materiału, jedno z nich ma warkoczyki, a drugie czarne włosy.

- To ty i ja... - Uśmiecha się Ricky. - A pod spodem masz czekoladki.

- Potrzymaj. - Zwracam mu pudełeczko. - Poczekaj, poczęstuj się. Ja zaraz wracam.

Wkrótce jestem z powrotem, dokładnie w chwili, kiedy zdążył zdjąć wstążkę i pozbył się przezroczystego celofanu, i wreszcie wyjmuję czekoladkę z pudełka, i jej się przygląda, żeby sprawdzić, jaki ma smak. Ale ja jestem szybsza. Nie spodziewa się tego.

- Trzymaj. - Daję mu paczuszkę, Ricky patrzy na nią zdezorientowany, obraca ją w palcach.

- To dla mnie? - Pewnie, chętnie bym mu wypaliła: „A dla kogóż by innego?”. Ale tylko się uśmiecham i potakuję skinieniem głowy. A on jest przeszczęśliwy i rozpakowuje swoją paczuszkę. I już trzyma niespodziankę. To czapeczka. - Jaka fajna. Niebieska, tak jak lubię. Sama zrobiłaś?

- Skąd! - Śmieję się. - Inicjały, owszem! - I pokazuję mu je z brzegu: R i G. Ricky Giacomelli. Ale tak naprawdę to kłamie. Kto by tam potrafił coś takiego! Szycie? Wystarczy, że tylko wezmę igłę do ręki, a zaraz jestem cała pokłuta. Gorzej niż z różami z ogrodu. Ale za to musiałam niezliczone mnóstwo razy sprzątnąć kuchnię, by zdobyć się na odwagę i poprosić mamę o wyszycie mi tych inicjałów. I nie tyle chodziło o sprzątnięcie tej kuchni, ile o pytania, które jak nic musiały paść w związku z tymi literami. A dla kogo to? Z jakiej okazji taki prezent? A co zrobiliście? Jak to „co zrobiliśmy”, mammo! To chyba nasze sprawy. Także dlatego nie ma nic gorszego niż brak odwagi, by się przyznać, choćby przed samą sobą, że nie masz zielonego pojęcia, co takiego zrobić... Kompletnie niczego takiego nie jesteś w stanie sobie wyobrazić.

Ricky zakłada czapeczkę.

- I jak wyglądam?

- Świetnie. - Uśmiecham się i tak sobie stoimy w drzwiach, wpatrzeni jedno w drugie. Po chwili Ricky sięga po czekoladkę.

- Lubisz gorzką czekoladę?

- Tak, bardzo. - I mi ją podaje. On bierze nugatową. Równocześnie je rozpakowujemy, patrzymy na siebie, uśmiechnięci, robiąc kulki ze sreberka. Chwilę później bierze ode mnie z ręki moją kulkę i oblepia nią swoją, robiąc jedną, większą, wypuszcza ją z dłoni i błyskawicznie kopie, kulka leci po łuku i wypada przez otwarte okno klatki schodowej.

- Gool... - Wyglupia się i unosi ręce do góry. A ja klaszczę, rozbawiona. - Świetnie! Znakomicie się spisałeś! - Ale już po chwili na klatce schodowej zapada cisza. W to zimowe popołudnie, o krok od tej mżawki, która pada tuż obok, tam, gdzie wylądowała ta mała kulka, która posłużyła za piłkę w tym niby-futbolu. I tak stoimy w milczeniu i patrzymy się na siebie. Ricky zdejmuje czapkę. Bawi się nią, teraz lekko speszony. Patrzy w dół, spuszcza wzrok na swoje ręce, a już po chwili znowu spogląda mi w oczy. Ja też tak robię. I nagle Ricky pochyla się w moją stronę, jego twarz jest coraz bliżej mojej... Zupełnie jakby... Jakby... Tak, chce mnie pocałować. I ja się do niego nachylam. Akurat dzisiaj, pierwszy pocałunek, walentynki, święto...

- Jacy słodcy! Zakochana para, która zaraz się sobie wpije w usta! Moja siostra, Ale, co za kretynka!

- Chcieliśmy tylko się pożegnać!

- Tak, tak... Więc szybko się żegnajcie, bo mama powiedziała, że jedzenie już gotowe.

Alessandra na szczęście zaraz się zmywa.

Patrzymy na siebie tylko przez moment, speszeni. Po chwili Ricky stara się zaradzić sytuacji.

- Przyjdiesz dzisiaj wieczorem?

- Dokąd?

- Do Bretty do domu, robi imprezę.

- A tak, prawda! Na śmierć zapomniałam!

I tkwimy tak w drzwiach. Patrzymy na siebie w milczeniu.

- Do stołu! - Znowu przyłazi moja siostra. I zanosi się śmiechem. Przysięgam, że jej nienawidzę.

- No, to cześć. Do zobaczenia wieczorem. - I zamykam drzwi. Ricky biegnie po schodach przeszczeniwy, zakłada sobie czapkę.

I się uśmiecha. Dziś wieczór znów ją zobaczę. Ale nie chodziło mu o mnie! Chodziło mu o Rossanę. A wiecie kto to? Mama Bretty. Właśnie, bo odkryłam to akurat wieczorem na imprezie. I cały świat mi się zawalił. Niesamowite rozczarowanie. Potem zrozumiałam, że świat facetów nie może się zawalić. Już tak mają.

Teraz wam opowiem, co właściwie się takiego wydarzyło, co takiego działo się od tygodni, podczas gdy ja nie miałam o niczym pojęcia.

Zebrałam wskazówki, szczegóły, a kilka rzeczy opowiedział mi nawet sam Bretta. Ale nigdy, ale to przenigdy bym nie uwierzyła, że Riccardo, ten romantyczny i ładny chłopak, który podarował mi ławeczkę z dwoma zakochanymi sercami, może się posunąć do czegoś takiego.

Riccardo mieszka na poddaszu, na ostatnim piętrze w naszym budynku, i dokładnie naprzeciwko jego mieszkania jest kamienica Bretty. Bretta naprawdę ma na imię Gianfranco. Skąd i w jaki sposób wziął się Bretta, jakoś nigdy nie udało mi się dociec. Ale to całkiem inna historia. I prawdę mówiąc, jak dla mnie zbyt skomplikowana. W każdym razie któregoś dnia Riccardo uczył się u siebie w pokoju. Było to leniwe popołudnie, jakich wiele, kiedy to nie udaje się niczego zapamiętać. Siedział u siebie, słońce właśnie zachodziło, a on uczył się przy biurku naprzeciwko okna, gdzie wciąż miał dobre światło, więc jeszcze nie włączył lampy przy stole, kiedy to nagle, w kamienicy naprzeciwko, w mieszkaniu u Gianfranca, znaczy Bretty, żeby wam się nie pomyliło, zapala się światło. Jeden moment. Jakby coś się miało wydarzyć. Ten pusty pokój, to włączone światło, nikt nie wchodzi do środka, to oczekiwanie, które powoli buduje napięcie. I oto do pokoju wkracza Rossana. Jest naga, kompletnie naga, nie ma nic na sobie. Dopiero co wzięła prysznic. Wyciera włosy w ręcznik. Riccardo nie wierzy własnym oczom. Wstaje od stołu i zamyka drzwi do siebie do pokoju, chociaż nikogo nie ma w domu, tak sobie, żeby czuć się bezpieczniej. I nie przestaje się jej przyglądać.

Ona, Rossana, matka jego przyjaciela, niespecjalnie piękna, ale za to z jakim wielkim biustem. I jeszcze do tego, bo ja wiem, fakt że... tak, słowem, że ją w pewnym sensie podgląda. No, to go podnieca jeszcze bardziej. Rossana rzuca ręcznik na łóżko i znika, wychodzi z pokoju.

Riccardo jeszcze trochę siedzi przy stole i czeka. Ale sekundy mijają, po nich minuty, a on wciąż odczuwa pożądanie. I tak, po jakiejś chwili, nie mogąc dłużej wytrzymać, wpada na pewien pomysł. Idzie do matki do pokoju, wtedy jeszcze nie miał komórki, ale wiedział, że u Bretty w domu nie mają telefonu stacjonarnego z wyświetlaczem, i wybiera numer do Bretty, do mieszkania. Chwilę później znowu biegnie do stołu

w swoim pokoju i siada cały zdyszany i jeszcze bardziej podniecony. Po chwili widzi, jak w sypialni znowu zjawia się Rossana. Wciąż jest naga. Ale włosy nie są już takie mokre, idzie szybko do telefonu, podnosi słuchawkę, ale oczywiście po drugiej stronie nikt się nie zgłasza.

- Halo? Halo?

Riccardo się uśmiecha, po chwili się rozłącza, przyglądając się jej, jak naga kręci głową. Wyciera sobie włosy, otwiera szafę, nie bardzo wie, co ma na siebie włożyć. Zastyga tak, jej ciało, nagie i różowe, raz po raz wyłania się zza na wpół otwartego skrzydła szafy. Widać jej plecy, które z daleka pachną mydłem i kremem. I jeszcze ten ręcznik, całkiem już mokry, rzucony na łóżko, i ta zmysłowość, która sączy się przez uchylone okno. Rossana znów wychodzi. Riccardo ponownie wybiera numer. I ona wraca, jak i wcześniej naga. Podchodzi do telefonu. Riccardo znów stoi naprzeciwko, przy swoim biurku. I widzi, jak odbiera, tak samo naga.

- Halo? Halo? - Rossana czeka sekundę, wpatrując się w niemą słuchawkę. - Słucham?

I zaraz odwraca się akurat w jego stronę, z tym swoim nagim biustem, wielkim, jeszcze większym w świetle sypialni. Riccardo uśmiecha się w półmroku, w ciszy pokoju rozlega się tylko odgłos rozpinanego rozporoka, tego od jego spodni. I chwilę później podniecone westchnienie, które ginie w jego ruchach i ruchach kobiety tam, naprzeciwko. Kobieta się pochyla, powoli wkłada majtki, które wyjęła z szafy, z samego dołu, tak że wszystko stało się jeszcze bardziej podniecające. A ta historia, że Riccardo przesiaduje sam w domu, ciągnie się całymi tygodniami.

Rossana to kobieta, która codziennie pod wieczór uwielbia wziąć prysznic i bez skrępowania chodzi nago po domu. Często jest sama i zbyt często zmuszona jest odbierać te głuche telefony. Gdy tymczasem Riccardo jest tam każdego dnia, czai się w półmroku swojego pokoju i się jej przygląda. Uśmiecha się. Wyobraża sobie, że jest tam razem z nią. Blisko niej, w pokoju obok. Siedzi na łóżku. Jeśli przypadkiem ona gdzieś się oddali, Riccardo dostrzega, że w salonie lub łazience zapala się światło, wówczas wybiera jej numer, by ściągnąć ją z powrotem do sypialni, znów na nią patrzeć, podziwiać w całej jej nagości. Ona, taka obfita, taka pełna, z tym swoim wielkim biustem. I wszystko wydaje się przebiegać prawie bez zarzutu, na pograniczu nudy.

Aż do tamtego wieczoru.

Czternasty lutego, walentynki, święto zakochanych. I jednocześnie urodziny Bretty.

- Cześć! Cześć! Jak się miewasz?

Całują się po kolei, cała paczka chłopaków i dziewczyn, którzy łądają się do Bretty do domu. Jest Anto, Simo, Lucia i wszystkie dziewczyny i chłopaki z obydwu kamienic. Bretta wszystkich zaprosił, i słusznie. Riccardo też już dotarł i grzecznie się wita z mamą Bretty, Rossaną.

- Dobry wieczór, pani...

- Cześć, Riccardo, jak leci?

- Dziękuję, dobrze, a co u pani? - I się do siebie uśmiechają, tacy szalenie dobrze ułożeni, każde w swojej roli. Riccardo widzi ją, jak się oddala w tej swojej długiej sukni, przygląda się, jak sunie powoli pośród gości. Mama Bretty wita się z innymi i chociaż kobieta ma na sobie ciemną tunikę, to Riccardo i tak widzi jej krągłości, które zna aż za dobrze.

Kto wie, czy włożyła ten stanik, cały z robionej ręcznie koronki, a może ten drugi, czarny, przezroczysty... Ale nagle zostaje ściągnięty na ziemię albo lepiej, przywołany do rzeczywistości.

- Ricky, siądziemy obok siebie?

Patrząc na niego i się uśmiecham, wciąż mając w pamięci ławeczkę z dwoma sercami, którą mi podarował, czekoladkę, którą zjedliśmy razem, i tę krępującą, lecz jakże romantyczną ciszę... I jeszcze moją siostrę, która z kolei jest wredną suką!

- Pewnie! Chodź, usiądźmy od razu obok siebie, zanim inni zajmą nasze miejsce.

I tak już chwilę później siedzimy przy stole. I zaraz podchodzą wszyscy inni, jakbyśmy to my dali sygnał do rozpoczęcia kolacji.

- Chodź, ja siądę tutaj.

- Ja chcę u szczytu stołu. - Nie, to miejsce Marii.

- A to Lucii.

I na koniec, po paru niegroźnych sprzeczkach, siedzimy wszyscy. Liczę. Jest nas osiemnaścioro. A ja jestem taka szczęśliwa. Riccardo siedzi z mojej prawej strony i w pewnym momencie odchyła obrus. - Popatrz... - I wskazuje mi swoją lewą kieszeń.

Nieeee... jaki kochany! Z kieszeni wystaje mu niebieska czapeczka, którą dostał ode mnie w prezencie. Z moimi inicjałami. Mhm, to znaczy mamy, ale on nic nie wie. Uśmiecha się do mnie, ściskam mu rękę pod obrusem i dokładnie w tej samej chwili zjawia się mama Bretty.

- Macie tu coś do jedzenia na początek. Więc tak, zrobiłam różne smażone przysmaki, mozzarellę, suppli, kwiaty cukinii, ale najpierw oliwki faszerowane w panierce. Nałożę wam na talerze, co...

I tak staje za plecami każdego z nas i częstuje pierwszą porcją smażonych przysmaków.

- O proszę, oliwka dla ciebie, i dla ciebie, i dla Lucii... - Która siedzi kawałek przed nim, ale kiedy Rossana dociera do Ricky'ego, jakoś dziwnie go omija. - O, a to dla ciebie, Carolino. Ta dla ciebie... a ta dla ciebie, Adele. - I kończy rundkę. Każde z nas zjada swoją oliwkę... Ja odgryzam tylko połowę.

- Chcesz kawałek? - Podsuwam resztę Riccardowi do ust, lecz on kręci odmownie głową.

- Nie, nie, dziękuję, nie mam ochoty.

Więc wkładam sobie drugą połówkę oliwki naraz do buzi. Właśnie, najwyraźniej jej powiedział, że za nimi nie przepada! Dokładnie w tej samej chwili Rossana zjawia się ponownie z drugim wielkim półmiskiem.

- A teraz suppli! -1 zaczyna kolejną rundkę. - To dla ciebie, a to dla ciebie... - Są gorące, bierze je z półmiska przez serwetkę, żeby się nie poparzyć, i kładzie na talerzach, przed którymi siedzimy. - To dla ciebie, a to dla ciebie, Lucio... - znów omija Riccarda - i dla Caroliny!

Riccardo tym razem odwraca się do niej z uśmiechem na twarzy.

- Przepraszam, pani Rossano, ale to już drugi raz... nie położyła pani nic na moim talerzu.

Rossana się zatrzymuje, odwraca w jego stronę i się uśmiecha. - No, a co to ma do rzeczy... Dla ciebie robię striptiz, czyż nie?

Riccardo nagle cały czerwienieje, reszta siedzi i słowem się nie odzywa, popatrują na siebie, nie bardzo rozumiejąc, co takiego Rossana chciała przez to powiedzieć. Bretta i Stone z kolei śmieją się między sobą i patrzą na Riccarda, który chciałby zapaść się pod ziemię. Lecz kolacja trwa w najlepsze, on siedzi w milczeniu, z nikim nie rozmawia i naturalnie wcale nie je. Całą resztę wieczoru spędza w kącie salonu, z dziwnym

uśmiechem na twarzy, i przygląda się nam, jak gramy przy stole w inteligencję. Raz po raz się odwracam, patrzę w jego kierunku i się uśmiecham, byle go trochę podnieść na duchu, ale nawet nie wiem, co by mu takiego powiedzieć i czy proponować, żeby z nami pograł. On też się do mnie uśmiecha, ale wygląda na strasznie smutnego, za to my bawimy się w najlepsze, gdy tymczasem on pewnie czeka tylko na to, by ten wieczór wreszcie się skończył. Począwszy od następnego dnia, Riccardo w pokoju, w którym się uczył, trzyma już zawsze opuszczone żaluzje. A u Bretty w domu skończyły się te dziwne, głuche telefony i oczywiście nasza *love story* rozpoczęła się i zakończyła tamtego czternastego lutego.

I tak oto wracam do terażniejszości. I przyglądam się, jak wciąż grają na podwórku. Jakby czas zatrzymał się w miejscu! Mało tego, udaje im się strzelić gola Stone'owi i Ricky obejmuje Brettę! Czysty obłąd. Jeśliby ktoś tak podglądał moją matkę, to rozkwasiałabym mu gębę, nigdy więcej bym go nie objęła. Kto wie, jak na to wpadli. To jedna z tych rzeczy, których nigdy się nie dowiem. I tak oto rozstaję się z moimi przyjaciółmi z podwórka. Być może na zawsze. Trochę mi będzie ich brakować. Jak fajnie było bawić się razem popołudniami, po odrobieniu tych kilku zadań, którymi obarczała nas szkoła. Najchętniej graliśmy w raz, dwa, trzy, baba jaga patrzy, w klasy i w gumę. W gumę byłam nie do pobicia, w klasy taka sobie, a raz, dwa, trzy mnie nudziło. Najbardziej bawiła mnie gra w chowanego. Raz udało mi się znaleźć najlepszą kryjówkę, bo przeszłam przez ogród naszych sąsiadów. Mają tam pełno zarośli i pokrzyw, a po przeciwnej stronie - krzewów jeżyny. A ja się tam zaszyłam jak, nie przymierzając, najnowszy Rambo! I w końcu... zaklepałam za siebie i innych! Całe popołudnie rządziłam. Może dlatego, że nikomu nie udało się zaklepać i ja byłam jedyną, która mogła ich wybawić, i tak też się stało. A wiecie, kto przegrał? Riccardo. Wtedy nic jeszcze nie wiedziałam o tamtej sprawie. I pomyśleć tylko, że co wieczór zapisywałam jego imię w swoim pamiętniku. Nie miałam jeszcze komórki, w której mogłabym wszystko ukryć. Ech... Niekiedy życie pozwala ci się zemścić, nawet jeśli akurat nie masz o tym pojęcia.

Dzwonię do drzwi. Wciąż nie mam swoich kluczy. Nie zdążam wejść do domu, a już mama mnie dopada.

- Można wiedzieć, gdzieś ty się podziewała?

- W szkole. Musiałam razem z przyjaciółkami zebrać materiały.

- A dlaczego mnie nie uprzedzasz? Wystarczy krótka wiadomość. Cokolwiek! Jak to możliwe, że zawsze muszę się o ciebie zamartwiać?

Widzę, że ma rozpaloną twarz. Jest wykończona pracą, zmęczona. Właśnie prasowała i to po całym dniu harówki. Mamo, poszłam poszukać śladów Massiego! Ale to chyba akurat nie jest odpowiedni moment, by jej to zakomunikować.

- Mamo, popatrz... - Wyjmuję z kieszeni nową komórkę, którą dostałam w prezencie od Alis. - Odnalazłam ją!

- Dobrze... Ogromnie się cieszę. - I wzdycha. Wciąż jest zła. Ale w końcu mnie obejmuje. Pochyla się i mocno przytula. Po chwili odchodzi i patrzy mi w oczy. - Nie przysparzaj mi trosk, córeczko. To, że nie wiem, gdzie jesteś, doprowadza mnie do szaleństwa. Już wystarczy, że się zamartwiam o twoje rodzeństwo... - Czochra mi włosy. - Chociaż ty mi tego oszczędź.

Akurat w tej chwili nadciąga Ale. Uśmiecham się do niej, kiedy się zbliża.

- Znalazłam starą komórkę. Trzymaj. - Wkładam rękę do drugiej kieszeni i wyciągam nokię od mamy. - To dla ciebie...

I jej daję. Alessandra bierze komórkę i się jej przygląda. Po chwili krzywi się i świdruje mnie wzrokiem.

- Ach, pewnie... Bo ja według ciebie przyjmuję odpadki! - Odwraca się na pięcie i odchodzi. Wzrusza ramionami, nadąsana i poirytowana. Lecz tymczasem nową komórkę, czyli odpadek, jak sama to określiła, zabiera ze sobą.

Reszta popołudnia mija mi beztrąsko. Uczę się przykładnie w kuchni, gdy tymczasem mama jest zajęta szyciem. Co pewien czas powtarzam sobie coś na głos i widzę, że kiedy tak robię, ona się uśmiecha. Wyłączyła telewizję, którą i tak oglądała prawie bez głosu. - Bo jeszcze będzie cię rozpraszać...

Aż tu nagle czuję, jak wibruje mi komórka. Wyjmuję ją z kieszeni, tak żeby mama się nie zorientowała. Wchodzę do otrzymanych wiadomości i widzę, że mam SMS-a. To Alis. Zerkam na mamę. Wcałe się nie zorientowała. Otwieram. Nieee! Ale ekstra!

Cześć. Udało mi się załatwić dla was obydwu zaproszenie do Celibassi, Clod dojedzie na własną rękę. Ja podjadę pod ciebie o wpół do dziewiątej, OK?

I niewiele myśląc, wysyłam SMS-a z potwierdzeniem. Doskonale! I do tego uśmiechnięta buźka. Tylko jak powiem o tym mamie. Ona chce wiedzieć o takich wyjściach z trzydniowym wyprzedzeniem. I zupełnie, jakby nagle coś ją tknęło, mama odwraca się do mnie.

- Słuchaj, masz ochotę na makaron z tuńczykiem dziś wieczór? Alessandrze też smakuje... A Giovanniego i tak nie ma. Co ty na to?

- Właśnie... mamó. Jeśli o to chodzi, to chciałam ci coś powiedzieć... Znaczy, wiem, że powinnam cię była uprzedzić o tym wcześniej, ale sama nie wiedziałam, znaczy, nie tyle nie wiedziałam, ile miałam nadzieję, miałam nadzieję, bo nie byłam zaproszona. - Słowem, tak jej kituję, ale tak, że w końcu właściwie jest bez wyjścia, musi się zgodzić, a wręcz czuje, jakby to jej spadł kamień z serca. Powiedziałam, że wszystkie dziewczyny się tam wybierają, moi rówieśnicy, a nawet sami nauczyciele, i że będzie mowa o tym, jakie szkoły mamy potem wybrać, przyjdą wszystkie moje przyjaciółki, i wciąż jej powtarzałam: - Ale jeśli chcesz, to nigdzie nie pójde, wiesz... - Co jest najlepszym sposobem, żeby ją zmiękczyć. A... i że sama impreza ma być elegancka.

Aż w końcu stanęło na tym, że usłyszałam: - Proszę, idź, idź, posłuchaj mnie. Będę szczęśliwa, jeśli też tam pójdziesz!

I nie daję sobie tego powtarzać dwa razy. Z udawanej depresji i lekkiego niezdecydowania popadam w nastrój euforii, bo mam na koncie małe zwycięstwo.

- Dziękuję, mamó! - I skaczę na nią, obejmuję, całuję. Wtulam się jej mocno w szyję i wyciskam na niej pocałunek miłości, ale przede wszystkim mówię jej to, co akurat przychodzi mi całkiem łatwo: - Kocham cię, mamó, ciauuu! - I zmykam do swojego pokoiku. Zaczynam wyciągać rzeczy z szafy. Czarny top. Ciemne dżinsy. Może będą Szczury? Muszę w takim razie olśnić Matteo, znaczy Matta, jak chce, żeby go nazywać. A Massi? O Massim już nie myślisz? Właśnie, fakt. Wrzucam

płyte i słucham jej, tańczę, kiedy tak przygotowuję się do wyjścia. Wybieram coś, wkładam na siebie, zresztą i tak nikomu nie wolno wchodzić do mojego pokoiku. Teren prywatny! Wstęp wzbroniony! Zwłaszcza dla was! Na drzwiach wiszą nawet trzy tabliczki. Lecz Alessandra nigdy nic sobie z tego nie robi. Wchodzi bez pukania. - Sorry, czy możesz ściszyć, uczę się!

Cała ona. I nie mówi nic więcej, znika, jeszcze bardziej opryskliwa niż zwykle. Ostatecznie wybieram te trzy rzeczy: spodnie bez bajerów Miss Sixty, pod mamę. Po chwili spostrzegam, że Ale, chociaż przyciszyłam muzykę, poszła do salonu, więc daję susa do niej do pokoju i od razu znajduję to, czego szukałam. Cały absurd sytuacji polega na tym, że od pasa w dół ja i moja siostra mamy taki sam rozmiar... Na szczęście więc mogę jej zwinąć, co mi się żywnie podoba, dokładnie tak, jak to właśnie zrobiłam. Niestety jeśli chodzi o odcinek od pasa w górę... Cóż, to jeszcze trochę potrwa. Ale wcale się nie martwię, bo jestem na dobrej drodze. Wracam do pokoju, biorę dwie inne rzeczy, które według mnie idealnie na mnie leżą, i jeszcze kosmetyki, choć jak na razie tylko pociągam sobie delikatnie tuszem po rzęsach. Wkładam wszystko do małej plastikowej torebki, po czym, bezszelestnie wymykam się na klatkę i ściągam windę. Właśnie. Już jest. Wchodzę na palcach do środka i chowam na górze plastikową torebkę, w tym schowku pod żarówkami. I już nieco spokojniejsza wracam do domu. Zamykam delikatnie drzwi i po cichu wracam do siebie do pokoju. Znowu puszczam piosenkę od Massiego. Jest taka piękna, że aż nie mogę. Tańczę przez chwilę z zamkniętymi oczami i marzę... I nagle otwieram oczy. Może nie spotkam go nigdy więcej, i to mnie dobija. Rzucam się na łóżko i szybko kartkuję książkę, którą teraz czytam, *Wybaczenie, że mam piętnaście lat*, i po raz kolejny przypominam sobie zdanie, które tak mnie wczoraj poruszyło: *Znasz się lepiej, niż niektórzy ludzie zdołają poznać siebie. Oni kończą zgodnie ze schematem przewidzianym z góry i zatrzymują przepływ krwi w swoich sercach, uśmiechają się, jakby to była rzecz najnaturalniejsza na świecie.* Ale teraz, kiedy o tym myślę, to nie wiem, czy wciąż tak to do mnie przemawia. Inne zdanie, które z kolei rzeczywiście zrobiło na mnie wrażenie, to: *Gubię samą siebie, zatracając się w czymś, czego nawet nie potrafię odnaleźć. Może w tym tkwi problem. Nie umiem tego odnaleźć. Nie jestem w stanie uchwycić. Nie daję rady*

do tego dotrzeć. I wyglądam przez okno. Wieczór, który zapada. Pierwsze gwiazdy, które dostrzegam, już lśnią. Jaka ze mnie poetka... Bo chodzi

O to, że mam ochotę się zakochać. I akurat w tej samej chwili znów leci ta piosenka z płyty od Massiego, to przeznaczenie! I jakby tego było mało, na dodatek włącza się wibra w komórce, która leży na stole. To Alis.

- Schodzisz? - Odbieram od razu.

- *Five minutes.* Dziś jestem w nastroju lekko *english.*

Zjawiam się w kuchni, cała w mojej stonowanej krasie. Mama odkłada na stół igłę, nitkę i skarpetkę, którą cerowała. I zaraz mi się przygląda, taksuje mnie wzrokiem od stóp do głów, przypatruje mi się uważnie z każdej strony i się uśmiecha. - Tak.

Wszystko zmierza w jak najlepszym kierunku.

- Czy już po ciebie podjechali?

- Tak.

- Okay, idź, tylko nie wracaj zbyt późno. Pamiętaj o włączonej komórce, miej ją pod ręką, a o jedenastej masz być z powrotem.

W pośpiechu całuję ją w policzek i czym prędzej wybiegam z domu, zanim tata wróci. Z nim nie poszłoby mi tak łatwo. Wypadam na klatkę

I akurat w tej samej chwili pojawia się nasz sąsiad z naprzeciwka. O nie, tylko nie to. I co teraz? Koleś jest sympatyczny. Nazywa się Marco, pracuje w telewizji i ma ze cztery dychy. Muszę zaryzykować. Otwieram drzwi windy i już zaraz spoglądam na niego uśmiechnięta.

- A pan na piechotę, żeby dbać o formę, czy jednak windą? Marco patrzy na mnie nagle zmieszany, unosi brew.

- A co? Uważasz, że przytyłem?

Na moje oko to przybrał na wadze parę kilo. Ale jeśli mu to powiem, a on potem się obrazi? Nie... Z takich rzeczy ciężko wybrnąć. Trzeba zachować się dyplomatycznie, a ja niestety czasami taka nie jestem. Albo wykazać się poczuciem humoru. To mi akurat lepiej wychodzi.

- Co pan woli... Kłamstwo czy brutalną prawdę?

- Zrozumiałem. - Uśmiecha się do mnie, ale wygląda, jakby trochę wziął to do siebie. - No to schodzę!

- Ależ nie... Ja tylko żartowałam! - Lecz nie zostawiam mu czasu

do namysłu, jeszcze gotów się rozmyślić. Wsiadam do windy, zamykam

drzwi i wciskam guzik 0. Jak tylko rusza, ledwie pokonuje jedno piętro, a już włączam guzik stop. Mam raptem kilka minut na przebranie się. I migiem, raz-dwa, szybko. Zdejmuję plastikową torebkę z góry, wydaję rzeczy, które mam w środku, i szybko się rozbieram. Ściągę buty, spodnie i koszulkę, wkładam top, krótką spódnice i kozaki. Zbieram wszystkie rzeczy z ziemi i chowam je do plastikowej torebki, po czym sięgam po kosmetyki. I zaczynam się malować, przejeżdżam tuszem po rzesach, róż na policzki, robię kreskę eyelinerem, właśnie, tak, już jestem gotowa. I w tej samej chwili słyszę, że ktoś na parterze wali w drzwi i krzyczy.

- Winda! Winda!

I jeszcze jakiś drugi głos. - Co jest, stanęła?

Kosmetyki też chowam do torebki i wciskam guzik 0. Czuję się, jakby to był jeden z filmów akcji typu *Mission Impossible*, tyle że ja nie jestem Tomem Cruise'em, a zwłaszcza... nie mogę jak on zmienić sobie twarzy. I tak, gdy docieram na parter, otwieram drzwi. Obok pani Volpini, tej z drugiego piętra, stoi Marco.

- Co to się stało?

- Ech... - Uśmiecham się niewinnie, chcąc wypaść tak młodo i dziewczęco, jak tylko się da. - Nie wiem, zacięła się.

Ale Marco, który najwyraźniej jest spostrzegawczy i do tego ma dobrą pamięć, najpierw zagląda do windy, by sprawdzić, czy przypadkiem jakaś druga Caro nie została w środku, po czym kręci głową.

- Masz, oto dlaczego tak nagle przybrałem na wadze.

- Właśnie... - Uśmiecham się i zmięzam do wyjścia. - Widział pan? Trochę ruchu i od razu się pan pozbył tych kilku kilo!

I zmykam. Po chwili staję, coś mnie tknęło. A gdyby było tak, jak podejrzewam? Czy by się zorientowała? Oj, myślę, że tak. Mama nigdy niczego nie przegapi, nawet z daleka. Sięgam po komórkę i od razu dzwonię do domu. Odbiera Ale.

- Dasz mi mamę?

- A gdzie jesteś?

- Daj mi mamę. - Nie odpowiada. Odkłada słuchawkę i słyszę, jak woła, oddalając się od aparatu. - Mamo, telefon... - Trzymam komórkę tuż przy uchu, wychylam się trochę z bramy i widzę, jak dokładnie

w tej samej chwili odchodzi od okna. Wiedziałam, że tam stała! Dłużej nie czekam i biegnę do bramy. Jednocześnie słyszę głos mamy w słuchawce.

- Tak, kto mówi? -To ja.

- Caro, co się dzieje? Gdzie ty jesteś?

- Jestem już z Alis w samochodzie.

- A po co do mnie dzwonicz?

- Chciałam ci coś powiedzieć. Strasznie cię kocham, mamó. Słyszę jej śmiech po drugiej stronie telefonu, jest jeszcze bardziej

kochana i matczyzna niż zwykle, i przez chwilę mam poczucie winy.

- Ja ciebie też! Ale nie wracaj zbyt późno.

- Pewnie, mamó... - I się rozłączam, robi mi się raźniej, przechodzi mi poczucie winy i wsiadam do samochodu Alis, jednej rzeczy będąc absolutnie pewna: - Dziś wieczór dajemy czadu!

Alis wrywa do przodu. - Pewnie, że tak! Wiesz, kto będzie? -I zaczyna wymieniać ciurkiem wszystkich po kolei, masa ludzi, tak że po kilku minutach nic już prawie nie pamiętam. Mówi i jednocześnie prowadzi z zawrotną prędkością. Alis rzeczywiście jeździ swoim microcarem jak szalona. Auto jest ekstra, ma aixama w kolorze śmietankowym, do środka zamówiła sobie różową tapicerkę, a na zewnątrz ma namalowaną parę olbrzymich oczu a la Hello Kitty. I jeszcze do tego łączy do iPod'a! I tym sposobem możemy słuchać naszej muzyki. Od razu zapuszczam kawałek, który na maksa mi się podoba: *Stop! Dimentica* Tiziano Ferro. I podryguję w rytm muzyki. Chwilę później nachodzi mnie wątpliwość.

- Ej, ale jak ci się to udało?

- Co?

- Jak udało ci się załatwić dla nas zaproszenie, dla mnie i dla Clod?

- O, banał. Powiedziałam, że macie zamiar zorganizować megaimprezę w Supper, wiesz, w tym lokalu całym białym, gdzie tak trudno jest się dostać.

- Ale my niczego tam nie organizujemy.

- A skąd ona niby ma wiedzieć, że nie?

- A jak to odkryje?

- Znaczący, że się rozmyśliłyście! A co, nie wolno się rozmyślić?

- Wariatka z ciebie!

- Tak, całkiem jak szalony motyl! -1 parkuje, skręcając gwałtownie, aż ląduje na drzwiach i pewnie bym wyleciała, gdyby nie to, że auto jest zamknięte!

- Ej, ale masz hamulce!

I się śmieje. Odłącza iPoda i chowa go do kieszeni. Wsiadamy. Aż roi się tu od microcarów: chatenety, aixamy i liegery. Wszystkie je rozpoznałem. Samantha, Simona, Elettra, Marina. Jakżebym chciała sama też mieć taką brykę. Niedługo skończę czternaście lat. Kto wie, może moi starzy biorą pod uwagę taki prezent. Dałam im to do zrozumienia na wszelkie możliwe sposoby, nawet nieraz zdarzyło mi się zasnąć z katalogiem Chatenet na twarzy, jakby to była gazeta! Choćby takie używane, jeśli już chcą trochę zaoszczędzić! Moi starzy ciężko pracują i nie śpią na pieniądzach. Jasne, mam swoje kieszonkowe, chodzę do dobrej szkoły i nie mogę narzekać. Moja siostra Ale dostała skuter mniej więcej pół roku po tym, jak skończyła czternaście lat. Rusty James, jak miał piętnaście, ale od tamtej pory niczego więcej nie chciał i zawsze dawał sobie radę sam, wynajdując tysiące różnych drobnych zajęć, począwszy od imprez w lokalach, aż po robotę w pubie, wszystko, by móc pozwolić sobie na motor, którym teraz jeździ. Marzy o samochodzie, zawsze to powtarza. - Chciałbym starego merca pagodę, takiego, jak miał Richard Gere w *Amerykańskim żigolo*, pomalowałbym go na jasnoblękitny kolor...

Ja tego filmu nie widziałam, ale skoro tak o nim mówi, to auto rzeczywiście musi być piękne!

Przyglądam się lepiej minicarom przyjaciół, stoi jeden nowy, ciemnoniebieski metalik, na drzwiach ma jasne cyfry różnej wielkości. Wygląda to na jakąś dziwną sekwencję: jedną z tych skomplikowanych kombinacji z *Kodu da Vinci*, kto wie, do kogo należy.

- Dobry wieczór! - Alis wita się ze stojącym w drzwiach mężczyzną, który trzyma listę. - Sereni i Bolla.

Koleś sprawdza na liście i zaraz z uśmiechem odsuwa się na bok, pozwalając nam wejść. Ale chałupa! Jakie obłędne miejsce! Wejście jest na wysokości zakrętu na Parioli, mnóstwo o nim słyszałam, ale nigdy tu nie byłam.

- Ej, przyjechałyście! - Zza drzewa za zakrętem z ukrycia wylania się Clod.

- Coś ty robiła?

- No, zgadnij. Czekałam na was.

_ Przecież tam jest pół klasy, mogłaś się przyłączyć.

- Oooo, ale przynudzasz... Wstydziłam się, weź, razem wejdziemy.

I tak też robimy. Pokonujemy zakręt i widzimy dom w całej okazałości. Wygląda na jedną z tych starych posiadłości, jakie można zobaczyć na zdjęciach z wiejskimi pejzażami, tylko że one zwykle znajdują się w Toskanii czy Umbrii, a w każdym razie poza Rzymem, za to ta willa jest w samym centrum! I do tego muzyka gra na cały regulator.

- To Finley! - Didżej w rogu, w głębi portyku, rusza głową w rytm muzyki, przygryza sobie wargę, na głowie ma czapkę z daszkiem do tyłu, i pozdrawia nas, kiwając głową w naszą stronę. -1 dalej! - Puszczą kolejny kawałek, skraczając przy tym. - Jedziesz!

Alis odłącza się od grupy i podchodzi do dziewczyn kołyszących się nad samym basenem, błyskawicznie pozbywa się butów i tańczy na bosaka. Muzyka jest obłędna. A koleś się zorientował, że ludziom się podoba, i podkreślił jeszcze głośniejsze woofery w kolumnach niosą muzykę aż hen do gwiazd. Alis jest ślicznie ubrana. Dopiero teraz to dostrzegam. Ma sukienkę całą we frędzlach, białą, z mnóstwem sznureczków czy czymś w tym rodzaju, które tańczą w rytm muzyki. Otwiera torebkę, którą położyła nieopodal, i wyjmując przepaskę, zakłada ją sobie na czoło, wymachuje ręką w górze, kręci nią i wykrzykuje: - Juhu... - Jakby była dziką dziewczyną na koniu, nie ma rady, ona, która zwykle jest taka przykładna, szaleje, gdy tylko usłyszy muzykę. I nie przestaje, wskakuje w tłum, co chwila tańczy przy kimś innym.

- Co robimy, przyłączamy się? - Patrzę na Clod w oczekiwaniu na odpowiedź.

~ Nie... Ja się wstydzę!

- Niby czego! Chodź, rozerwiemy się, słyszysz, jaka muza. - I biorę ja za rękę. Ciągnę za sobą. - No chodź, dalej! - Trochę się opiera i ja się potykam.

- Ej! - i się śmieje. -Co? - i ja też się śmieję.

- Wiesz co! - Jest taka ciężka. W każdym razie widać po Clod, że trochę ma ochotę, choćby po tym, że gdyby się tylko serio zapała, to kto by tam dał radę ją ruszyć? I tak w końcu w ten głupawy sposób udaje nam się znaleźć blisko Alis i zaczynamy tańczyć, a ja dostrzegam, że są też inne dziewczyny z klasy: Martina, Vittoria, Stefy, Giuli, i jeszcze Lallo oraz reszta... Są też Szczury. Widzę Lucę i Fabia... Ktoś puka mnie w ramię.

- Ej! To ty, Caro! - Odwracam się i uśmiecham: to Matteo, Matt! Nie przestaję tańczyć, teraz na wprost niego, i podnoszę głos. Drę się, chcąc przekrzyczeć muzykę.

- A kogo szukałeś?

- Ciebie... Tylko cię nie poznałem. Prześlicznie wyglądasz. - Lekko się rumienię. Ale wciąż tańczę naprzeciwko niego, patrząc mu w oczy. Kurczę, księżycu, weź mi pomóż, powiedz mi, że nie jestem czerwona jak burak. Powiedz mi, proszę cię. I wciąż tańczę, patrzę mu w oczy, uśmiecham się, jestem kompletnie oglupiała. Dlaczego tak mi się robi, kiedy go spotykam i on rzuci mi jakiś komplement? Coś mi się zdaje, że on sam na to wpadł i robi to specjalnie. Chwilę później wreszcie udaje mi się powiedzieć coś w miarę do rzeczy. - Mówisz tak tylko dlatego, że jestem bardziej umalowana.

- Coś ty... Nawet nie zauważyłem. Chodź!

I tym razem to on bierze mnie za rękę i ciągnie tak mocno, że mało się nie potykam. I biegnę za nim, gdy tymczasem Alis i Clod widzą, jak znikam im z oczu, zupełnie jakbym miała przywiązaną gumkę, za którą ktoś pociągnął.

- Ej, a oni dokąd? - Clod nachyla się do Alis.

- Co ty, to nie wiesz, że Matt, jak Caro go nazywa, podoba jej się od niepamiętnych czasów?

Na szczęście nie zdążam usłyszeć, co mówią, jestem już daleko, zostawiliśmy za sobą ogród, góry jedzenia, pędzę za wariatem kipiącym entuzjazmem, jakim jest Matt. Widzi, że spojrzałam na suto zastawione stoły.

- Chodź, potem wrócimy coś zjeść, okay? - Potakuję skinieniem głowy. Ale nie ma o czym mówić, wisi mi to. I tak ciągnie mnie za sobą do domu, przebiegamy przez pokoje urządzone antykami, pełne obra-

zów, posągów, marmurowych popiersi ustawionych na eleganckich cokołach. Jest trochę tak, jakbyśmy się znaleźli w jednym z tych muzeów, w których kilka razy wylądowaliśmy ze szkolną wycieczką.

- Chodź, muszę ci coś pokazać... - I Matt się do mnie uśmiecha. Wydaje mi się jeszcze piękniejszy, niż go zapamiętałam. O Boże, jak to było? Ach tak, zmienił szkołę, bo rodzice się przeprowadzili. Jest wysoki, szczupły, ma ciemne blond włosy, piwne oczy. To połączenie Colina Farrella, Brada Pitta i Zaca Efrona. Słowem, rozumiecie, o kim mowa?

O takim ciachu, że głowa mała. I jakby tego było mało, obłędnie się ubiera: dzinsy bojówki, buty North Sails, obcisły sweter w serek, łąty na łokciach z podwójnym ścięciem, w kolorze zdechłego niebieskiego, lekko ciemniejszym od swetra. Marzenie. Ale co ja wam tam będę mówić? „To nam nie mów!\", odparłyby Clod i Alis. Całe szczęście nie słyszą, co mi chodzi po głowie... I całe szczęście on też nie słyszy! Przynajmniej taką mam nadzieję.

- Ale o czym myślisz?

- Co? - Widzę, że się śmieje. - Nie, o niczym. O niczym... O tym, jak duży jest ten dom? - Uśmiecha się do mnie. Coś mi się zdaje, że mi nie wierzy. Dziwisz się. Znów się rumienię. To już drugi raz.

- Właśnie, jesteśmy na miejscu! - Wchodzimy do pokoju pełnego broni.

- Popatrz... - Pełno tu zabytkowych strzelb, rusznic, i jeszcze szpad, i długich lanc, i hełmów, i dziwnych flag. Matt prowadzi mnie za rękę pośród tych wszystkich starych okazów broni, chorągwi, herbów, aż dochodzimy do nieprawdopodobnej sukni, w którą ubrano manekina, zrobiono ją z pereł i drobnych kamieni, a te skrzą się tysiącem kolorów, z gorsecikiem ze srebrnych rombów i białego złota, trochę jaśniejszego, ze złoconymi brzegami, które się krzyżują niczym magiczne ścięgi. I ręką popycha mnie wprost do sukni, i tak mną kieruje, że ląduję tuż za manekinem.

- Właśnie, stań tam... - I wyjmuję z kieszeni nokię N95. Poznają ją z daleka. To był mój drugi w kolejności ulubiony model. - Stój... Nie ruszaj się. Właśnie tak, trzymaj głowę prosto!

I zastygam tak, nieruchoma, za manekinem, jakbym ja sama też miała na sobie tę ceną, zabytkową suknię. A on kieruje na mnie

komórkę, robi ujęcie i pstryka. Flesz. - O tak... -1 się uśmiecha. - Jesteś moją księżniczką. - Kurczę. Koleś specjalnie się nie cacka. Ale nawet nie zdążam pomyśleć niczego więcej, a on znów bierze mnie za rękę i okręca, tak że prawie wykonuję pełen obrót. Biegnę za nim, potykając się. A on mija dwie inne proste zbroje i wreszcie zatrzymuje się w głębi pomieszczenia, patrzy na mnie, ma w sobie coś z szelmy i spryciarza.

- Ciii, tędy. To sekretne przejście! - I przemyka się za kominkiem, wąskim przejściem, które prowadzi do schodów oświetlonych małymi lampkami rzucającymi słabe światło, prawie rozedrgane, niczym płomienie świec. A ja idę za nim po tych drewnianych stopniach, krętych niczym skorupka ślimaka, aż na samą górę, do małej furtki.

Iii... - skrzypi przy otwieraniu. I wychodzimy na zewnątrz, na wielki taras. Zupełnie jakbyśmy wyszli na niego wprost z małej mansardy. Olbrzymia przestrzeń pod samym niebem, w rogu tego tarasu znajdują się cztery wieżyczki.

- To musiał być najprawdziwszy w świecie zamek! Chodź. - Matt znów bierze mnie za rękę i ja, oczywiście, podążam za nim. W mroku nocy docieramy na brzeg tarasu. Jest tam tylko stara biała balustrada, trochę odrapana. Matt się o nią opiera i lekko wychyla się do przodu.

- Popatrz, tam na dole są wszyscy, tańczą.

Też się wychylam. Widzę Alis pośród tłumu, jak szaleje w tańcu razem z Clod, Simoną i całą resztą dziewczyn ze szkoły. Teraz robią coś w rodzaju wężyka, muzyka dolatuje do nas lekko przytłumiona, przerywana raz po raz mocniejszym podmuchem wiatru, który unosi gdzieś dalej pojedyncze dźwięki.

- Chodźmy popatrzeć z drugiej strony... - I tak przechodzi do przeciwległej balustrady. Daleko od wszystkiego i od wszystkich. Od tego hałasu. Nad nami wielkie, ciemnozielone drzewa, tak czarne jak noc wokół nas, jak miasto, które stąd wydaje się dalekie. A tam w oddali tylko tysiące świateł wzdłuż ulic, które wiodą do centrum.

- Widzisz, tam w dole mamy Ołtarz Ojczyzny. - Wyciąga rękę, pokazując mi punkt w oddali. Staram się patrzeć tam, gdzie wskazuje palcem, póki sama nie zobaczę. A przynajmniej tak mi się wydaje, że to o to chodzi.

I zaraz ja też coś mu pokazuję. - A to, tam na dole, w głębi, całe oświetlone, to co takiego?

Matt się do mnie uśmiecha. - Pokaż... - Prawie przywiera policzkiem do mojego ramienia, po czym przysuwa się coraz bliżej i bliżej, usiłując dociec, co takiego mu pokazuję, jakby mój palec był celownikiem. - Czy właśnie o to ci chodziło?

- Tak, tak, właśnie... - Czuję jego rozgrzany policzek na swoim ramieniu, po chwili Matt chwytą mnie za rękę i do siebie przyciąga. Patrzy mi w oczy.

- Nie mam pojęcia, wiem tylko, że masz zimne ręce. - Już mi to ktoś mówił. O Boże, kto? Ach, tak. Lorenzo. A ja co odpowiedziałam? Coś potwornego. .. Zimne ręce, gorące serce. Koszmarna odpowiedź, i oklepana. A jednak potem Lorenzo mnie pocałował. Tak, ale Matt jest inny. Zaryzykuję.

- To prawda, trochę. Ale nie jest mi zimno...

Uśmiecha się do mnie. Łapie mnie za drugą rękę. Teraz trzyma obie moje dłonie w swoich.

- Rzeczywiście, drugą masz trochę cieplejszą.

Wciąż patrzy mi w oczy, głęboko, aż za bardzo. Przejeżdża palcami wzdłuż moich ramion, aż do łokci, powoli przyciąga mnie do siebie. I sam też coraz bardziej się przybliża. Nie mogę w to uwierzyć. Po dwóch latach. Dwa lata. Nie, coś takiego... Dwa lata! Chciałabym to wykrzyknąć. Od dwóch lat mi się podoba!

- Matteo!

Nagle czyjś głos. Obydwoje odwracamy się w stronę furtki, przez którą tu weszliśmy. Stoi tam jakaś dziewczyna i jeszcze kilka innych osób. Jeden moment i jakby czar przysł. Matt od razu wypuszcza moje ręce i odsuwa się ode mnie. Z głębi, w towarzystwie dwóch innych dziewczyn, nadchodzi ta, która go zawołała.

- Gdzieś ty się podziewał? - Matt wygląda, jakby nagle znalazł się w tarapatach.

- Byłem tu na górze...

- Tak, wiem. Zobaczyłam cię z dołu. A ona?

- Ona też tu była.

Przez chwilę stoimy w milczeniu. Wydaje się, że to cała wieczność.

Dwie towarzyszki gapią się na mnie.

Matt odzyskuje mowę. - Spotkaliśmy się tutaj... Ona też była ze mną w klasie, wcześniej... Ale laska wygląda, jakby go wcale nie słuchała.

- Jestem jego dziewczyną.

I chciałabym jej powiedzieć: „A to ci dobrze” albo lepiej: „A kogo to w ogóle obchodzi”, albo wręcz: „A ktoś to ciebie w ogóle o coś pytał?”. Ale zamiast tego rzucam tylko jakieś nikomu niepotrzebne: - Ach, dobrze... - I cała sytuacja mogłaby się nawet wymknąć spod kontroli, lecz akurat w tej samej chwili nadchodzi moje wybawienie. Oto oni, stoją z tyłu, za plecami tamtych.

- Gibbo! - Są z nim Alis i Clod. - Widziałeś, to ona, a nie mówiłam! I zaraz zwraca się do mnie: - Widziałyśmy cię z dołu!

O masz, to zamiast tańczyć, wszyscy oni jak jeden mąż tylko gapili się w górę. Wicie co. I tak zbieram się do odejścia.

- Carolina... - Po raz ostatni odwracam się do Matta.

- To, co pokazywałaś, to Bazylika Świętego Piotra.

Patrzy na mnie i się uśmiecha. Chyba też jest lekko zawiedziony. Chyba.

Odwracam się i odchodzę, bez słowa odpowiedzi. Po drodze zgarniam pod rękę Gibba.

- Chodź, idziemy potańczyć!

- Ale ja dopiero co tańczyłem.

- Chodźmy, ten kawałek jest boski.

- Przecież stąd nic nie słyszeć...!

- Oj, idziemy! - I ciągnę go za sobą w dół po schodach, tak, żeby wreszcie przestał gadać!

Alis i Clod się przyłączają. Odwracam się do nich.

- Ej, to wy wiedziałyście, że Matt *ma* dziewczynę? Alis rozkłada ręce. - No pewnie.

- I ty też?

Clod potakuje skinieniem głowy. - A kto by tam nie wiedział!

- Ja! To nie mogłyście mi o tym powiedzieć?

- Ale sama przecież zniknęłaś, jak tylko cię wziął...

- Jeśli już, to porwał!

Clod uderza mnie w ramię.

- Serio?

- No, owszem... Sorry, ale skąd wy to wiedziałyście? . .
- Alis i Clod patrzą na siebie przez chwilę i zaraz wybuchają śmiechem.
- Bo od zawsze nam też podobał się na zabój!
- O zgrozo... I nigdy nic mi nie powiedziałyście!
- No, widziałyśmy, że od zawsze opowiadałaś o nim z takim przejęciem, jak mogłyśmy pozwolić sobie na to, by ci cokolwiek powiedzieć...
- Potem, jasne, jak nam sprzedawałaś tę historię z Lorem z tegorocznych wakacji i tę z Massim z przedwczoraj, to sobie pomyślałyśmy: no, teraz wreszcie Matt może być nasz!
- Ani mi się ważcie!
- I rzucając się na nie, żartując i starając się im przyłożyć. Gibbo tuż za nami staje jak wryty. - Ej! Co wy wyprawiacie? Co jest? Spokojnie, bo te schody runą jak nic! - Alis i Clod wyszarpują mi się i biegną pędem na dół.
- To wojna... Kto da radę... ten wygra!
- Staram się je dogonić, ale potykam się i spadam z ostatnich trzech schodków. Ostatecznie na szczęście wyciągam ręce i udaje mi się zahamować.
- Aua, aua... Aaaa! - Patrzę na swoje dłonie, żeby sprawdzić, czy się nie pokaleczyłam. Skąd, nic takiego, wszystko w porządku.
- Ej... - Zjawia się Gibbo i pomaga mi się podnieść... - Co ty wyprawiasz?
- Boli mnie. - Masuję się z tyłu, tam, gdzie kończy mi się spódnica.
- Stłukłam sobie tyłek! -I zaraz, zmartwiona, że podpadnę Ale, oglądam się przez ramię. - A to co, czy przypadkiem nie podarłam spódnicy?
- Pokaż... - Odwraca mnie. Chwilę czekam.
- No i? - Odwracam się i widzę Gibba, jak się szczyrzy.
- Nie, nie, nic... Jak dla mnie, wszystko jest w porządku, wszystko ^w jak najlepszym porządku!
- Kretyn! Chodź tańczyć! - I rzucając się przed siebie, lekko obolała, ale spragniona tego, by żyć, tańczyć, krzyczeć, marzyć... I zakochać się, nic sobie nie robiąc, Matt, z ciebie i z tej twojej dziewczyny. I tak wpadam w sam środek, między innych, i tańczę jak szalona, nie Me jak, lecz lepiej od nich, i ruszam się do rytmu, ale czad, i śpiewam.
- *Długo czekałam na coś, czego nie ma, zamiast patrzeć, jak wschodzi słońce...*

- Przysięgnijcie mi jedno...

Clod patrzy na mnie zaskoczona i unosi brew.

- Teraz? Co cię dzisiaj wieczorem napadło?

- Tak, teraz! Bo to ważne: teraz, od razu i na zawsze! Alis jest bardziej zgodna.

- Okay, mów o co chodzi...

- Słuchamy.

- Że żaden mężczyzna nas nie skłóci, że byle nie zdradzić naszej przyjaźni, już raczej będziemy siedzieć zamknięte na klucz w domu, nigdy niczego nie spieprzymy w taki sposób, mowy nie ma, żebyśmy miały przez siebie płakać, zaufanie po wsze czasy, totalny spokój, tajemnice tylko przed innymi...

Po chwili patrzę na nie niezdecydowana i rozkładam szeroko ręce, wewnętrzną stroną dłoni zwrócone ku górze. - Proszę was... Przysięgnijcie!

Jedna chwila. I zaraz się uśmiechają. Obejmujemy się wszystkie trzy i tańczymy dalej, jakbyśmy były jednym ciałem, podskakujemy raz po raz, szczęśliwe, w rytm muzyki. I patrzymy sobie w oczy, razem, na dobre i na złe, śpiewamy, drąc się na całe gardło. I w tej chwili jestem najszczęśliwszą osobą na świecie. Zamykam oczy i zaczynam tańczyć, przytulona do swoich przyjaciółek od serca, i nawet nie potrafię wyobrazić sobie tego, co któregoś dnia dopiero się wydarzy.

- Patrzcie, jest tort! - ktoś krzyczy i wszyscy gromadzą się wokół stołu. Tort ma na środku całą masę długich świeczek we wszystkich kolorach, które tworzą liczbę 14, a pod nią widnieje napis: *Sto lat, Michela!* I rzeczywiście, jubilatka natychmiast podbiega, a wszyscy się rozstępują, żeby ją przepuścić, ona zaś staje tuż przy torcie, gdzie właśnie zrobili jej miejsce.

I zaraz się uśmiecha, patrząc na nas wszystkich: gości, przyjaciółki, przyjaciół, jakichś krewnych, zastęp kelnerów, stojących w pełnej gotowości z talerzami i sztućcami, i kawałek dalej na matkę, która już dzierży aparat fotograficzny, jest cała przejęta i lekko go przekrzywia, wpatrując się w wyświetlacz i starając o jak najlepsze ujęcie... *swojej wspaniałej córki!* Michela spogląda na wszystkich wokół.

- Mogę?

- Już! Śmiało! - krzyczy ktoś z zebranych.

Ktoś inny, chcąc sprawić wrażenie zainteresowanego przebiegiem imprezy, wyciąga komórkę i robi kilka zdjęć. I zaraz Michela nabiera powietrza i wypuszcza je w stronę płomyków, daje radę zdmuchnąć ostatnie świece dopiero po powtórny nabraniu powietrza, choć udaje, że zgasła wszystkie za pierwszym razem.

- Poczekaj, poczekaj, zdmuchnij jeszcze raz... Wcześniej przegapiłam. - To mama. A jakżeby inaczej.

- Mamo, rety... - Michela myśli to samo, co my.

- Weź, mamo, tak nie można, jeśli zdmuchnę raz jeszcze, to już nie będzie się liczyć...

Ale ktoś, widząc rozczarowanie matki, wyciąga błyskawicznie zapalniczkę z kieszeni spodni, deklarując tym samym wszem i wobec, że już jara, ale dając zarazem matce Micheli drugą i ostatnią szansę.

- Masz, już się palą, śmiało!

- Mamo, tylko teraz nie przegap, bo więcej nie będę zdmuchiwać, jasne?

- Dobra.

- Ale na pewno? Bo pamiętaj, że nie będę tego powtarzać.

- Tak, powiedziałam, że tak... Michela! Tyle czasu marnujesz na targowanie się, że dawno byś już zdążyła parę razy to zrobić!

Michela znów dmucha w świece, a matce na szczęście udaje się uwiecznić ten moment.

I zaraz Michela idzie do didżeja, od razu widać, że podoba jej się na maksa.

- Ej, Jimmy, puścisz mi to, co tak lubię, proszę?

Jimmy wygląda raczej na dość obojętnego w stosunku do towaru marki Michela.

- Ale co?

- No weź, to, co leci tak: *nananana...* Próbuje coś zanucić, ale beznadziejnie jej to idzie.

- Ej, dlaczego właściwie się nie zgłosisz do *Jaka to melodia*, już prędzej tam coś wygrasz, niż ja tutaj coś zrozumieję.

No weź! - Michela się uśmiecha, puszczając to mimo uszu, i nie wyjeżdża mu z tekstem, że to jej urodziny, ale przede wszystkim raz Jeszcze usiłuje zanucić ulubioną melodię. - *Nananana...* - Jimmy kręci

głową. - Weź, przestań się ze mnie nabijać! Doskonale zrozumiałeś, o który kawałek mi chodzi, weź, to ten, co go śpiewają Negramaro!

- A... Trzeba było tak od razu!

I tak Jimmy puszcza w końcu utwór, który faktycznie w najmniejszym stopniu nie przypomina tego dziwaczego zawodzenia Micheli. Wygląda to na jakiś znak, wszyscy kelnerzy zaczynają podawać zgłodniałym nastolatkom talerze z porcją tortu, który dopiero co pokroili. Ja stoję tuż przy Clod, kiedy akurat wręczają jej kawałek. Zaraz po niej ja też dostaję swój.

- Proszę, to dla pani.

- Dziękuję.

To śmieszne, kiedy osoby o tyle od ciebie starsze, niekiedy nawet tak, że mogłabyś być ich córką albo co najmniej młodszą siostrą, zwracają się do ciebie per pani.

Mhm... ale ten tort pachnie. Najszlachetniejsza czekolada, w sam raz gorzka. Nabieram trochę na łyżeczkę. W środku jest ciepły, wypełniony kremem, też czekoladowym, który wypływa na zewnątrz. Pachnie tak, że musi być pyszny. No pewnie, wciąż go pamiętam, zamówili go w Cióccolati. Tam, gdzie potem... ponieważ nie zostałyśmy zaproszone na imprezę... Już mam włożyć łyżeczkę do buzi, kiedy nagle doznaję olśnienia.

Nieeee! Jakże mogłam o tym zapomnieć.

- Clod, stój! - Łatwo powiedzieć. Patrzy na mnie, gdy akurat już ma wziąć do buzi olbrzymi kawał tortu. - Nie jedz go... - Już to widzę, jak ją powstrzymam... Co takiego mogłoby powstrzymać dziewczynę pokroju Clod właśnie w tej chwili, którą ona kocha nade wszystko? I rzeczywiście wzrusza ramionami, jakby chciała powiedzieć: „A dlaczego by to”. I połyka cały kawałek na raz, mieści jej się w buzi, chociaż jest gigantyczny, dwa szybkie ruchy szczęką i już się uśmiecha, z pełnymi policzkami, wyraźnie zadowolona, a po samym torcie - ani śladu. I po chwili kręci nieznacznie głową, uśmiechnięta.

- Dlaczego niby miałabym go nie jeść? Jest przepyszny.

- Ach, tak...? Jest tylko jeden problem, został nafaszerowany papryczką.

Patrzy na mnie i posykuje, jakby chciała powiedzieć: „Co ty wygadujesz?”.

- Pamiętasz? Powiedziałam ci. W taki czy inny sposób pojawimy się na tej imprezie... Kto mógł się spodziewać, że dzięki Alis zostaniemy zaproszone!

Ledwie skończyłam zdanie, a Clod już wybałusza oczy, rozdziawia usta i krzyczy, ale jakby zabrakło jej tchu. - Aaach, pali! Pali! Potworność! Od razu idę po szklanę wody i przynoszę jej biegiem.

- Masz, masz, pij... - Clod bierze ją ode mnie i wypija haustem. - Tylko pamiętaj, nikomu ani słowa. - Oddaje mi pustą szklanę, kręcąc głową.

- Jeszcze, jeszcze...

Pędzę natychmiast po więcej wody, zupełnie jakbym musiała zawrócić, by ugasić pożar. Rzeczywiście, ma poparzone gardło. Reszta też nie jest w lepszym stanie.

- Ratunku!

- Aaach!

- Pali! Co to? Pali, że można się wściec.

- Chcą nas otruć! Matka Micheli, fotograf od siedmiu boleści, podchodzi do tortu, przejeżdża po nim palcem, po czym wkłada go do buzi, niczym rasowa rozpuszczona dziewczynka. Nagle wykrzywia usta, orientując się, co jest grane. - Papryczka! - I zaraz pada kolejne stwierdzenie, znacznie groźniejsze. - Jutro ci z Cióccolati będą mieli ze mną do czynienia.

A ja mam tylko jedną troskę, czy ci z Cióccolati... zorientują się, że to moja sprawka? Clod patrzy na mnie, krzywiąc usta. - Ile tego dosypałaś?

- Mnóstwo! Było mi tak przykro, że tylko nas dwóch nie zaprosiła na swoją imprezę.

- Wcale ci się nie dziwię... - I kręci głową.

Trącam ją. - Słuchaj, połowę dodałam od ciebie, wiesz. Tymczasem inni krzyczą. - Wody, nie ma już wody... Możecie jeszcze przynieść?

A kelnerzy dwoją się i troją, jakby wyrosli spod ziemi, przynoszą przeróżne butelki z wodą, niektóre są chłodniejsze od pozostałych, podają Je gościom, są tacy, którzy piją prosto z gwinta, inni, lepiej wychowani - nalewają wodę do szklanek spragnionym desperatom z wypisanym

na twarzy „piecze na zabój”. I w tej kolejce po wodę, w tłumie skupionym wokół stołów i kelnerów z butelkami, widzę Matta. Trzyma za rękę tę, która przedstawiła mi się jedynie jako „jego dziewczyna”. Stoi z wywalonym językiem, który sobie wachluje ręką, jakby ten pseudo-wachlarz mógł mu przynieść jakąkolwiek ulgę. I dobrze! Kompletnie

O nim zapomniałam, ale jak widać, zemsta zawsze da się uzasadnić.

I tak oto przychodzi mi do głowy nowa maksyma do zapisania w pamiętniku: *Zemsty nigdy nie należy marnować.*

- Ej, pójdziesz ze mną? - Zjawia się Gibbo i bierze mnie za rękę. Co to dzisiaj jest, wieczór porwań?

- Dokąd?

- Tu na zewnątrz, to niespodzianka. - Rozglądam się trochę wokół. - No chodź, ta historia z papryczką zamiast dać imprezie kopa, doprowadziła do prawdziwej stypy. Didżej też poparzył sobie gardło! Słyszysz, jaka koszmarna muza... Wiesz, ile czasu trzeba, żeby znów można się dobrze bawić? Przynajmniej czterdziestu dwóch minut, jeśli w ogóle... Chciałbym wiedzieć, kto wpadł na pomysł z papryczką na torcie... O ile naprawdę nie była to pomyłka cukiernika...

Chciałabym mu się przyznać. Ale chyba lepiej za bardzo nie rozpowiadać tej historii.

- Dlaczego?

- Bo to geniusz.

Cholera, mogłam mu powiedzieć. - A dlaczego geniusz?

- Bo dzięki temu mam możliwość z tobą uciec. Bierze mnie za rękę i ciągnie za sobą.

W okamgnieniu jesteśmy już poza domem.

- Proszę, zatrzymaj się tutaj i zamknij oczy.

- Dlaczego? - Patrzę na niego zaniepokojona. Uśmiecha się do mnie i rozkłada ręce. >

- Już ci powiedziałem, to niespodzianka!

Chwilę się namyślam. Gibbo z pewnością nie jest kolesiem, który, jak tylko zamknę oczy, to się na mnie rzuci i zacznie całować. A nawet gdyby... Po rozczarowaniu z Mattem nie byłoby to wcale takie złe. Dziś wieczór nawet ekstra wygląda: ma wąskie džinsy z wywiniętymi wysoko nogawkami, bluzę Abercrombie w kolorze ciemnego granatu, czapeczkę

w błękitno-białą i niebieską szachownicę. Wygląda obłędnie! W każdym razie on nigdy by tak nie postąpił, a przynajmniej nie tak podstępnie. Zamykam oczy. Czuję, jak się zbliża i bierze mnie za rękę. Przez chwilę odczuwam strach. ..

- Chodź za mną. Cały czas mam zamknięte oczy.

- Ej, żebyś tylko się przez ciebie nie przewróciła. I nie wdepnęła w jakiś zwiastun zawrotnej fortuny!

Gibbo się śmieje. - W życiu nie widziałem takiej czystej ulicy. Coś mi się zdaje, że przysyłają tu specjalną załogę do zamiatania. Trochę zwalnia.

- Jesteś gotowa? Dotarliśmy. Otwórz oczy!

Aż do teraz naprawdę nie patrzyłam, po pierwsze dlatego, że lubię być uczciwa, no, oczywiście, kiedy nic nie stoi na przeszkodzie, a po drugie dlatego, że uwielbiam niespodzianki. A to rzeczywiście była superniespodzianka, słowem, wyjątkowa, nieprawdopodobnie wyjątkowa! Tak, jedna z tych niespodzianek, których nie sposób opisać słowami.

- I co, podoba ci się?

- Masz microcara! Czy mi się podoba? - Krążę wokół auta i dosłownie pozeram je wzrokiem. To to samo, które zobaczyłyśmy tuż po przyjeździe. No pewnie, do kogo innego mogłyby należeć te wszystkie numery? I jeszcze do tego w całości metalik, ciemnoniebieski, z błękitnym połyskiem.

- Sam sobie taki zamówiłeś?

- Pewnie! Widziałaś pasy na krawędziach, biało-błękitne, namalowane od przednich kół aż po tył?

- Obłędne!

- To zobacz, jak wygląda w środku! Wciska guzik i natychmiast migają światła.

- Masz też alarm!

~ No pewnie, po tym wszystkim, co sobie zainstalowałem, jeśli mnie okradną, to tak, jakby obrobili sklep ze sprzętem AGD!

- Gadanie!

A jednak rzeczywiście, kiedy otwiera drzwi, włączają się błękitne światła zimne jak lód, które oświetlają auto od spodu.

- No weź, wyglądają jak te z tamtego filmu...

- *Szybcy i wściekli*... Oglądaliśmy go u ciebie i ogromnie ci się podobały. Dlatego je zainstalowałem.

A ja się uśmiecham. I nie wiem, czy to prawda. Ale tak czy siak podoba mi się już samo to, że tak powiedział. Więc wsiadam. Gibbo zajmuje miejsce obok mnie. - Jesteś gotowa?

- Zawsze gotowa!

Gibbo odpala i ruszamy. Ale myślałam, że przejedzie jakieś kilka metrów, tak by mi pokazać, jak prowadzi, lecz on ani myśli się zatrzymać!

- Dokąd jedziemy?

- Urządzimy sobie bajeczną przejażdżkę.

- A Alis i Clod?

- Zobaczysz je jutro w szkole.

Ach, właśnie, w gruncie rzeczy ma rację.

- Zresztą impreza i tak już się skończyła, sama wiesz.

- Okay, ale zatrzymaj się na chwilę, muszę wziąć jedną rzecz od Alis. Gibbo skręca i zawraca, tymczasem ja wysyłam jej SMS-a. Po chwili

Alis wychodzi przez furtkę.

- Co się dzieje? Wsiadam błyskawicznie.

- Muszę zabrać worek, który mam u ciebie w samochodzie.

- Idziesz już? Tylko mi nie mów, że Matt zmienił zdanie!

W tej samej chwili Gibbo wysiada ze swojej nowej minibryki.

- Ach, Gibbo...

- Cześć.

- Cześć. ¹ Alis otwiera samochód i podaje mi worek.

- Och, teraz, od kiedy Lore cię tak rozpałił... to kto cię, dziewczyno, powstrzyma...

- Coś ty, mamy się tylko przejechać.

- Tak, tak, możesz to sobie nazywać przejażdżką.

- Ma nową minibrykę.

- Każdy pretekst jest dobry!

- Ale to prawda!

Podchodzi do nas Gibbo. - Podoba ci się? To mój nowy chatenet. Chcesz się z nami przejechać?

Patrzę na nią i się uśmiecham, jakbym chciała powiedzieć: „A widzisz?”.

I pakuję się razem z Gibbem do środka, a on z miejsca rusza na pełnym gazie.

- Popatrz. - Wciska guzik i wysuwa się monitor.

- Masz też telewizję!

- Pewnie, a spójrz tutaj. - I wciska jeszcze inny guzik, na ekranie wyświetla się teledysk Elisy.

- Nie! Nie mogę w to uwierzyć. Kocham ją na zabój! To czyste szaleństwo, wariactwo, megaobłąd, przeznaczenie, właśnie teraz to leci na MTV!

- Skąd! To DVD! - Otwiera kieszeń i wyjmuję płytę. - Trzymaj, to dla ciebie, wiedziałem, że na maksa ci się podoba!

- Dzięki! - Przyciskam płytę do serca. - To najpiękniejsza rzecz, jaką mogłeś mi podarować.

Kołyszę się, kiwając rytmicznie głową, i nucę: *Ilu rzeczy o mnie nie wiesz, ilu rzeczy nie możesz wiedzieć... ile rzeczy do zabrania we wspólną podróż...* Chwilę później przyglądam się uważniej wnętrzu auta.

- Kurczę, ale masz tu bosko.

Matowo-świecące numery w niebieskim kolorze na tapicerce. Dwa małe głośniki z przodu i olbrzymi woofer z tyłu. Z przodu płaski monitor wideo.

- Ile ma?

- Piętnaście cali, tyle samo, co duży komputer. I kazałem też zamontować przyciemniane szyby, żeby w dzień również dało się oglądać!

Patrzy na mnie cały dumny i jedzie dalej.

- Masz megawypasioną brykę! Świetnie... strasznie mi się podoba. - Uśmiecham się do niego i Gibbo jest wyraźnie przeszczęśliwy. Jak ja bym chciała mieć takiego microcara, nawet w wersji podstawowej, bez tych wszystkich dodatków, bo faktycznie z wszystkimi bajerami, które sobie zainstalował, to tak, jakby kupił dwa samochody. Więc w gruncie rzeczy to jeden mógłby mi sprezentować! Zupełnie jakby mi czytał w myślach.

- W każdym razie, Caro, teraz będę mógł po ciebie zawsze podjechać! Mogę cię nawet odwozić do domu.

- Aleja mieszkam dwa kroki od szkoły!

- Dobra tam, co to ma do rzeczy, przyjadę po ciebie, zabiorę cię na śniadanie, a potem podwiozę do szkoły!

- O tak, to rozumiem, wobec tego wiesz, dokąd masz mnie zabrać, na cappuccino do baru Due Pini.

- Pewnie, że tam pojedziemy. - Niespodziewanie Gibbo bierze ostry zakręt. Trzymam się klamki w drzwiach, a on się zaśmiewa, przyspiesza, pędzi przed siebie, z muzyką włączoną na cały regulator i ryczącą rurą wydechową.

I zaraz patrzy na mnie z szelmowskim wyrazem twarzy. - Słysząc, że zamontowałem rurę wydechową Aston? Dzięki temu szybciej jedzie.

- Słysząc, słysząc...

- Musimy jeszcze głośniejsze nastawić muzykę, żeby dało się słyszeć słowa. - Gibbo skręca na samym początku Trastevere, wjeżdża w małą uliczkę po prawej. San Pancrazio. Szybko śmiga raz w prawo, raz w lewo i chwilę później już jesteśmy na Gianicolo.

- Widzisz, dokąd cię przywiozłem?

- Tak, cudownie...

Chatenet niebieski metalik sunie teraz powoli przez plac. Tłumik już tak nie jazgocze. Gibbo parkuje w pustym miejscu, niedaleko murku, za którym rozpościera się miasto.

- Wysiadamy? - pytam.

- Jasne.

Idziemy przed siebie, dochodzimy do murku, opieram się o niego, jest lodowaty.

- Popatrz, Caro... Spójrz na te samochody, które pędzą tam na dole. Widzisz, jak migają im światła? Piękne, co?

- Tak, a nuż to same microcary. Ale żaden z nich nie jest taki piękny jak twój!

- Ale jesteś kochana.

- Naprawdę tak myślę. - I tak stoimy, trochę milczymy, zapatrzeni w cały ten szmat miasta pod nami.

- Zimno, co?

- Trochę. Kulę się w sobie.

_ To dlatego, że tu jest pełno drzew. - Gibbo się uśmiecha. - Tak, ta okolica jest co najmniej w siedemdziesięciu procentach zielona. Wiesz, to rośliny produkują ten chłód, bo w rzeczywistości co cztery minuty dotleniają powietrze aż do sześćdziesięciu procent i tym samym powietrze się ochładza! To dlatego tam, gdzie mamy zieleń, jest chłodniej.

- O, nie wiedziałam. - A tak naprawdę coś mi się zdaje, że nie wiem nawet jednego procenta tych wszystkich niesłychanych rzeczy, na których się zna.

- Za to, Gibbo, wiem, na co teraz miałabym ochotę.

- Na co?

- Na czekoladę!

- Spróbujmy się zorientować, czy w pobliżu jest coś otwarte.

- Chodź, fajnie by było... Tak bym się napiła! Wiesz, na którą mam największą ochotę? Na tę z Cióccolati, ich ciemną, gorzką czekoladę. - Spoglądam na zegarek. - Ale o tej porze jak nic już jest zamknięte.

Gibbo się uśmiecha i idzie przed siebie nonszalanckim krokiem.

- A gdybym zrobił ci czekoladę u mnie w aucie?

- Tak, pstryk i już! I to jeszcze pewnie tę z Cióccolati, co... .

- Tak, dokładnie tę samą.

- A co, masz magiczny ekspres?

- Właśnie tak. To jak?

- No weź, pokaż! - Idę w stronę microcara. Ale Gibbo mnie zatrzymuje.

- Nie, nie mam!

- Widzisz? Wiedziałałam.

- Ach tak? A pewna jesteś?

- Na sto procent, całkiem tak jak z tą historią z drzewami, słowem, że jak jest zimno, to w gruncie rzeczy ich wina...

Gibbo się śmieje. - Więc się załóżmy...

- Okay, o co chcesz? Gibbo unosi brew. Zaczynam się martwić.

- Ej, tylko bez przegieć!

- Więc sama coś wymyśl.

- Nie, ty wymyśl.

Gibbo chwilę się zastanawia.

- Okay, więc jeśli ja zrobię ci w samochodzie gorącą czekoladę...
- O smaku ciemnej, gorzkiej czekolady z Cióccolati.
- O smaku ciemnej, gorzkiej czekolady z Cióccolati, to ty... Chwilę się namyśla... Patrzy na mnie.

- To ja?

I zaraz wzdycha.

- To ty mnie pocałujesz. Zastygam w milczeniu.

- Pocałuję... tak na serio?

- No pewnie, a bo może czekolada nie ma być prawdziwa? Zastygam w milczeniu. Chce, żebym go pocałowała? Stoi uśmiechnięty, gdy tymczasem ja się zastanawiam.

- Sorry, powiedziałaś, że i tak tego nie mam... to co ci wisi, hę? Nie możesz przegrać.

Specjalnie tak mówi. Błefuje. Albo nie.

- Gibbo, ponieważ ty zawsze potrafisz szybko wszystko policzyć, powiedz, jakie mam szanse?

- No, skoro należy jeszcze wziąć pod uwagę fakt, że nie może to być pierwsza lepsza czekolada, ale ciemna, gorzka czekolada, którą podają w Cióccolati...

- A, pewnie, to kluczowa sprawa!

- To wobec tego masz trzydzieści procent szans, że to ja wygram, i siedemdziesiąt, że ty. -1 rozkłada ręce. Przez chwilę patrzę mu w oczy. Staram się go rozgryźć. Chcę się przekonać, czy aby nie kłamie. Przybiera spokojny wyraz twarzy kogoś, kto nie ma niczego do ukrycia.

- Okay. Przyjmuję.

Wsiadamy do samochodu. Gibbo się uśmiecha, wciska guzik i... pstryk. Nie wierzę. Spod deski rozdzielczej wysuwa się mała szufladka, jest garnuszek, woda, mała płyta elektryczna, przewód, który łączy się z zapalniczką i... masa różnych saszetek z Cióccolati: mleczna, nugatowa i o smaku ciemnej, gorzkiej czekolady! Mało tego, można jeszcze wybrać, jak bardzo ma być gorzka, siedemdziesiąt pięć, osiemdziesiąt pięć, czy dziewięćdziesiąt procent kakao.

- Ale tak to się nie liczy!

- Pewnie, dla ciebie zawsze się nie liczy, ilekroć przegrywasz!

- Tylko że ty o tym wiedziałeś!

- A ty mogłaś odmówić...

Gibbo od razu otwiera buteleczkę z wodą i wlewa ją do garnuszka, który stawia na małej płytce elektrycznej, podłącza kabel do wtyczki zapalniczki i odpala silnik.

- Przecież cię nie zmuszałem, tak?

- To prawda...

Gibbo bierze saszetki do ręki.

- Siedemdziesiąt pięć, osiemdziesiąt pięć czy dziewięćdziesiąt?

- Osiemdziesiąt pięć.

Wsypuje czekoladę do garnuszka i miesza ją łyżeczką. Ma nawet łyżeczkę! W okamgnieniu czekolada jest gotowa.

- A jednak wmówiłeś mi, że niczego takiego nie masz.

- Nie, tak nie było. To ty mi powiedziałaś: „A co, masz magiczny ekspres?”. A ja ci na to, że nie, nie mam. - Nalewa czekoladę do dwóch filiżanek. - Bo to prawda. - I podaje mi moją porcję. - Niczego zaczarowanego tutaj nie ma. Jedynie dobra organizacja.

Po chwili spuszcza wzrok na filiżankę. - Nieee, nie mogę w to uwierzyć. Tu jest napisane moje imię!

- Tak. - Uśmiecha się i popija swoją czekoladę. A ja swoją, jest przepyszna.

- Mhm, pycha. Naprawdę super smakuje.

I na koniec zapada milczenie. Więc Gibbo wrzuca kolejną płytę z genialną muzyką. To chyba Giovanni Allevi, słyszałam ją w jakiejś reklamie. A ja staram się przeciągnąć sprawę, sącząc swoją czekoladę, ale już mi prawie nic z niej nie zostało.

On się orientuje, co jest grane, zabiera mi filiżankę i odstawia ją do szufladki. Podaje mi chusteczkę. - Masz.

- Dzięki... A co, masz tu jeszcze inne filiżanki z imionami wszystkich dziewczyn, które zabierasz na przejażdżkę?!

- Nie, jest tylko jedna taka filiżanka. - Przysuwa się. - Z twoim imieniem. ..

- Tak?

Jeszcze bliżej.

- Tak...

I przysuwa się jeszcze bliżej. Uśmiecham się.

- Już późno. Powinnam wracać do domu.
- Ale musisz jeszcze odrobić przegrany zakład. Odwracam się i wyglądam na zewnątrz. Po chwili zmieniam zdanie, obracam się do niego, patrzę mu w oczy, kręcę głową.
- Nie wierzę! Gibbo, od zawsze jesteśmy przyjaciółmi.
- Nie. Od ośmiuset dwudziestu czterech dni, czyli od kiedy się poznaliśmy, a od około ośmiuset dwudziestu trzech mi się podobasz.

W takiej sytuacji autentycznie nie bardzo mogę cokolwiek poradzić. - Ale, sorry, mogłeś to powiedzieć wcze...

Nie daję mi skończyć. Całuje mnie. Przez chwilę się opieram, ale potem daję się ponieść... W gruncie rzeczy przegrałam, a jeśli się przegrało zakład, trzeba dotrzymać słowa, poza tym... smakuje czekoladą, mniem!

Po dłuższej chwili przerywamy.

- Właśnie. To jesteśmy kwita... - Udaję, że jestem trochę zła. - Jedziemy już?
- Tak, pewnie. - I Gibbo odpala silnik, wykręca i wyjeżdża na trasę, która prowadzi do mnie do domu. O Boże, i co teraz, jak już się pocałowaliśmy? Jak to wpłynie na naszą przyjaźń? Nie ma mowy o przyjaźni. Patrzę na niego kątem oka, widzę, jak się uśmiecha.
- Co jest? O czym myślisz?

Odwraca się do mnie. Jest wyraźnie rozbawiony.

- Pomyśl tylko, co to będzie, jak się Filo dowie! - A to dlaczego, powiesz mi?
- Nie, nie. - tłumaczy się. - Ale a nuż jakoś to wyjdzie i inni się dowiedzą!
- Niby jak? Jeśli ani ja, ani ty nie piśniemy słowa, to nie bardzo wiem, skąd mieliby się dowiedzieć... - I zaraz uważniej mu się przyglądam. - Ej... Chyba się z nim nie zakładałeś?
- Co ty opowiadasz?
- No, że dziś wieczór się ze mną pocałujesz. Słuchaj, jeśli to prawda, to przyznaj się od razu, bo jeśli ja cię zdemaskuję, to już nigdy więcej się do ciebie nie odezwę.

Gibbo puszcza kierownicę, unosi lewą rękę w górę, a prawą kładzie na sercu.

- Przysięgam, że tak nie jest.
- Trzymaj kierownicę!
- Okay. - Chwyta ją oburącz. - Ale wierzysz mi? Przyglądam mu się przez chwilę, patrzy na mnie, starając się mnie przekonać, nie spuszcza oczu.
- Okay, wierzę ci. Chociaż wcześniej zrobiliśmy len sam numer i mnie nabrałeś.
- Ale wtedy to co innego...
- A to dlaczego?
- Bo chciałem cię pocałować!
- Kretyn!
- Coś ty, żartowałem, nie kłóćmy się...
- Okay.

Wzdycha. Ja też. Miejmy nadzieję, że Filo rzeczywiście się nie dowie. Kiedyś poprosił mnie, żebym go pocałowała, ale ja się nie zgodziłam, mówiąc mu, że w ten sposób zniszczylibyśmy naszą przyjaźń. Ni stąd, ni zowąd ogarnia mnie ciekawość.

- Sorry?! A co, jeśli zamiast o czekoladę poprosiłabym o cappuccino, które też bardzo lubię, to nie musiałabym cię całować?!

Gibbo jest wyraźnie zakłopotany.

- Chcesz usłyszeć prawdę?

- Zawsze!

Znów otwiera tę szufladkę i obraca ją wokół własnej osi. Po drugiej stronie ma wszelkie możliwe rodzaje kawy, włącznie z bezkofeinową.

- Okay, okay...

Łapie się za głowę. - Zawieź mnie do domu!

Na szczęście wrzuca Lenny'ego Kravitz'a. *I'll Be Waiting*. I robi się jakoś znośniej. *He broke your heart, he took your soul, you're hurt inside, cause there's a hole, you need some time, to be alone, then you will find, what you've always known, I'm the one who really love ya, baby, I've been knockin' at your door.*

I co teraz? Co ja teraz pocznę, kiedy się pocałowaliśmy?! Nie, nie mogę w to uwierzyć, znaczy, najbardziej niedorzeczne jest to, że właściwie było pięknie. Tyle że za bardzo się lubimy, świetnie się ze sobą bawimy, mówimy sobie wszystko... A jeśli, począwszy od teraz, przestanie się

między nami układać? Znaczy, naprawdę znajdę się w tarapatkach. Tym bardziej że... zawsze pomaga mi w matmie!

- Proszę, już jesteśmy.

- Zaparkuj kawałek dalej.

Gibbo wjeżdża w głąb via Giuochi Istmici i tam się zatrzymuje.

- Musisz coś dla mnie zrobić. Gibbo się uśmiecha.

- Jasne, wszystko, czego tylko chcesz.

Uśmiecha się aż za bardzo! Ratunku. Chyba nie myśli, że jesteśmy j parą... No, nie chcę o tym myśleć. - Wsiądź i sprawdź, czy nikt nie idzie, okay?

- A ty?

- Ja zostanę w środku.

- Po co? - Nic dziwnego, że Gibbo wcale nie rozumie.

- Mam swoje powody.

- Ale jakie? - No, z drugiej strony to chłopak ma rację. To jego samochód, a poza tym już po wszystkim zobaczyłby, jak wysiadam.

- Muszę się przebrać. Wysłałam zupełnie inaczej ubrana.

- Ach... - Teraz wygląda, jakby zrozumiał, wysiada z samochodu i odchodzi. Po chwili się zatrzymuje i staje do mnie tyłem. Ale nie życzę sobie niespodzianek. Opuuszczam szybę.

- Ej, nie waż mi się podglądać. - Gibbo się odwraca, uśmiechnięty.

- Nie, nie, możesz być spokojna.

- Ale właśnie się odwróciłeś! ;

- To dlatego, że mnie zawołałaś.

- Ej, więcej tego nie rób. - Zaczynam naciągać na siebie spodnie, nie zdejmując spódnicy.

- Nawet jak mnie zawołasz?

- Nie, nawet wtedy nie. A zresztą, nie zawołam. Na co on znowu się odwraca.

- Jesteś pewna? A jak się coś stanie?

- Weź... przestań!

Gibbo się odwraca, a mnie czeka rzecz najbardziej skomplikowana. Przygotowuję sobie bluzeczkę; zerkam kontrolnie i zdejmuję top. Gibbo stoi do mnie plecami, na szczęście. Cały czas tkwi nieruchomo w głębi

ulicy, tyłem do mnie. Ale akurat w tej samej chwili... Łup, łup. Ktoś wali w szybę, a ja mało nie padnę. - Caro... Co ty wyprawiasz?

Jestem na pół goła, w trakcie przekładania bluzeczki przez głowę. Wychylam się, uśmiechnięta.

- Nic! - Na szczęście to Rusty James. W okamgnieniu zakładam buty i wysiadam.

- Jak to nic?

- No weź, nic, przebierałam się. - I układam rzeczy w plastikowej torbie. - No bo mama nie chciała, żebyśmy wyszły tak ubrane, więc...

Gibbo, widząc, że mam towarzystwo, podchodzi.

- To Gustavo, podwiózł mnie do domu! Oczywiście o całej reszcie słowem nie wspominam...

- A to mój brat Giovanni.

- Cześć. - Witają się, nie podając sobie ręki.

- No to ja już spadam do domu, spotkamy się jutro w szkole.

- O której będziesz?

- Od samego rana.

- Okay, cześć.

- Cześć... Gibbo.

Ładuje się do samochodu i odjeżdża pospiesznie. Rura wydechowa wyje nieznośnie pośród nocy.

- Nie sposób nie zauważyć, że się rozbija aioxamem...

- To chatenet...

- Robisz się tak samo skrupulatna jak tata. - R.J. patrzy na mnie i się uśmiecha. - Mam nadzieję, że nie wdałaś się w niego na poważnie, bo jeśli tak, to ty i ja w życiu się nie dogadamy. Będziemy się coraz bardziej od siebie oddalać, wraz z twoim dorastaniem...

I w tej właśnie chwili ogarnia mnie smutek, którego nie potrafię pojąć. Wiesz, kiedy przytłacza cię coś takiego, bez żadnego specjalnego powodu. A na dodatek aż do teraz tak świetnie się bawiłam. Więc go popycham.

- Nie mów tak nawet żartem. - I zaraz staję tuż obok. Opieram się

o niego, a nuż mnie przytuli, jak to tylko R.J. potrafi. I rzeczywiście tak właśnie robi, aja czuję się totalnie bezpieczna. Więc unoszę lekko głowę i spoglądam na niego.

- Nigdy się od siebie nie oddalimy, prawda? Na co on się śmieje. - Jak księżyc i gwiazdy...

I ja się uśmiecham. - Zawsze na niebieskim niebie. Ze sobą mam ciebie! - I zaczynamy się śmiać. Nie wiem, skąd nam się to wzięło, ale wymyśliliśmy to sobie pewnej letniej nocy. Patrzyliśmy w niebo, polowaliśmy na spadające gwiazdy i w końcu, ponieważ nie udało nam się zobaczyć ani jednej, wymyśliliśmy sobie ten wierszyk. Jakiś czas później umieściłam go nawet w swoim wypracowaniu, lecz psor Leone mi to poprawił, a wtedy ja mu wyjaśniłam, że to „ze sobą mam ciebie...” może i nie jest najbardziej poprawne, owszem, ale to licencja poetycka, żeby był rym. Słowem na koniec i tak dostałam dostateczny. Chociaż według mnie to wypracowanie zasługiwało na znacznie lepszą ocenę.

- Caro, chodź, chcę ci coś powiedzieć. - I idziemy usiąść na ławkę na via deU'Alpinismo, bardzo blisko szkoły, gdzie jest mały skwerek do wychodzenia z psami. I trochę się martwię. Kiedy R.J. tak robi, ma zawsze jakąś wielką nowinę.

Ostatni raz, kiedy tu usiedliśmy, chciał mi powiedzieć, że się rozstaje ze swoją dziewczyną. Debbie, tak się nazywa, jest świetna i do tego jeszcze bardzo piękna. R.J. zawsze miał śliczne dziewczyny, ale wyglądało na to, że z Debbie zanosi się na coś dłuższego.

Debbie mnóstwo się śmiała, zawsze była wesoła, wyglupiała się ze mną i mówiła, że ja i R.J. jesteśmy do siebie ogromnie podobni. Brała mnie na kolana, gadała ze mną i cieszyła się na mój widok. A raz, kiedy pojechała odwiedzić swojego ojca, który mieszka w Nowym Jorku, to mi nawet przywiozła czaderską koszulkę Abercrombie.

Brakuje mi Debbie i wcale nie dlatego, że dostałam od niej tę koszulkę, ale tego akurat nie mogę powiedzieć R.J.-owi, z drugiej strony, skoro postanowił się z nią rozstać, to chyba musiał mieć swoje powody.

- Chodź, siądź tu blisko mnie.

No to siadam i się nie zamartwiam. Na skwerku panuje dziwna cisza, gdzieś jest nawet trochę ciemno, ale przy R.J.-u się nie boję.

- Jesteś gotowa, Caro? - Potakuję skinieniem głowy. A on sięga ręką do kieszeni w kurtce i wyjmuję kartki jakiejś gazety, które rozkłada, cały zadowolony.

- Masz, tutaj.

- I pokazie im tekst podpisany na samym dole jego imieniem i nazwiskiem.

- To ty!

- Ej, no właśnie, to ja. A to mój pierwszy artykuł. Znaczy, to opowiadanie. - I zaczyna je czytać. Podoba mi się i słucham go z przyjemnością. To opowiadanie o chłopaku, który ucieka z domu w wieku dwunastu lat, po awanturze z ojcem, bierze rower z garażu i odjeżdża. Gdy go tak słucham, to sobie przypominam, jak kiedyś dawno temu opowiedział mi, że sam zrobił właśnie coś takiego. Zabawne jest to opowiadanie, pełne szczegółów, napisane z pasją. Toczy się wartko, nie przynudza, bawi i wzrusza, słowem, może podoba mi się też z uwagi na to, jak mi je czyta. Raz po raz się śmieję, bo ta postać, Simone, bywa fajtłapą i naprawdę jest zabawny. R.J. kończy i odwraca kartkę.

- No i? Co o tym myślisz? To moje pierwsze opowiadanie.

- Jest cudowne... - Chciałabym powiedzieć mu coś innego, ale jedyne, co przychodzi mi do głowy, to: - Aż chce się marzyć!

-- No, to nie byle co.

- Jest też trochę autobiograficzne, nie?

- No, z grubsza rzecz biorąc, każdemu raz czy dwa zdarzyło się pokłócić z własnym ojcem.

- A, pewnie.

Z naszym akurat to całkiem proste. I przychodzi mi do głowy najbardziej niedorzeczne na świecie pytanie, zadaję je i od razu zaczynam tego żałować, ale jest już za późno.

- A zapłacili ci? - R.J. się nie gniewa, wprost przeciwnie, jest przeszczęśliwy.

- Pewnie! Niewiele, ale zapłacili. - Chowa gazetę do kieszeni.

- Sama pomyśl, to pierwsze pieniądze, jakie zarobiłem pisaniem.

- No właśnie...

Wstaje z ławki. - Chodź, Caro, idziemy do domu, najwyższy czas, już prawie północ, mama pewnie się o ciebie zamartwia!

I tak zmierzamy do naszej kamienicy. Robimy to w milczeniu i podoba mi się ta chwila. Aż tu, ni stąd, ni zowąd, przystaję i sama nie wiem dlaczego, wyrzucam z siebie pytanie:

- A spotykasz się jeszcze z Debbie?

R.J. uśmiecha się do mnie. - Jesteśmy w kontakcie... - Ale nic więcej nie chce mi powiedzieć.

- Bardzo ją lubiłam. - Nie wspominam mu o koszulce i całej reszcie.

- O, ja też. To dlatego do niej oddzwoniłem!

I zaczyna się śmiać. Chwilę później otwiera bramę i mnie przepuszcza.

- No, wchodź.

- R.J., zrobisz coś dla mnie?

- Znowu? - Zawsze tak mówi. I ponownie się uśmiecha.

- Dalej, no mów, Caro.

- Dasz mi swoje pierwsze opowiadanie? Chcę je oprawić w ramki.

Giovanni, brat Caroliny

Nazywam się Giovanni. Rusty James, jak na mnie mówi Carolina, moja siostra. Marzę o tym, by pisać. Zmieścić cały świat na papierze. Słyszeć postukiwanie klawiszy komputera albo jeszcze lepiej: widzieć, jak schnie atrament wiecznego pióra w notesie, który mało co się nie rozleci i którego kartki trzymają się tylko dzięki resztkce kleju i gumce recepturce. Oto moja pasja. Czuję, że żyję, kiedy czytam napisane już zdanie, fragment, pomysł, który na zawsze utrwaliłem na białej kartce. Przekształciłem tę biel i sprawiłem, że stała się moja. Trudno to uzmysłować komuś, kto uważa, że życie to jedynie wrak marzenia, w które kiedyś wierzyłeś, i kto przestał się wzruszać, ulegając wielu trudnościom, jakie niesie życie. Jakby były one jedynie zawracaniem głowy, a nie, jak w istocie, okazjami, możliwościami pokazania, że umiemy sobie poradzić. Jestem idealistą? Świrem? Marzycielem? Nie wiem. Mam dwadzieścia lat, rozglądam się wokół i widzę, jakie życie jest ciężkie. Tak, ale i wspaniałe. Wiem, z jakimi problemami boryka się świat, nie chowam głowy w piasek, ciężko jest brać kredyt na zakup mikroskopijnego gniazdka, ciężko jest znaleźć pracę, która da ci więcej niż tylko niezbędne minimum, ale pozwoli się wyrazić i godnie pracować. Wiem również, jak wiele wokół nas niesprawiedliwości i przemocy. A jednak wciąż żywię nadzieję. Wzrusza mnie wschód słońca, oddałbym przyjacielowi wszystko, co mam, i wcale bym przez to nie zubożał. Tańczę z życiem, zapraszam na parkiet, przyciskam do siebie, ale bez przesady, patrzę w oczy, okazując szacunek i miłość, tak jak kocham wzrok zakochanej kobiety. Właśnie. Chciałbym być w tym spojrzeniu, w głębi, zawsze, być jej marzeniem, sprawić, by czuła się doceniona i jedyna niczym kropla rosy, która o poranku rozświetla nagle płatek fiołka. Jestem przeciwieństwem mojego ojca i trochę nad tym ubolewam. Chciałbym, żeby mnie rozumiał. Ale według niego mam tylko dwadzieścia lat, więc co ja tam mogę wiedzieć o życiu? Przychodzi mi do

głowy Ligabue, który śpiewa: *Kiedy masz tylko osiemnaście lat, o ilu rzeczach nie masz pojęcia, kiedy masz tylko osiemnaście lat, może zaś już wiesz o wszystkim, i nie potrzeba ci być dorosłym...* To absolutna prawda i może nie da się tego uniknąć. Za to znakomicie dogaduję się z nią, Caroliną. Moją Caro. Jej entuzjazm, uśmiech i energia, z jakimi wszystko przeżywa, są rzeczywiście porywające. Jesteśmy bratnimi duszami, rozumiemy się prawie bez słów. Kocham ją i mam nadzieję, że będzie miała szczęśliwe życie. W pełni na to zasługuje. Ona, która mi ufa, wierzy we mnie, szanuje i jest szanowana. Ona, która jest taka lojalna, taka inna i dojrzała. Mądra. Tak, Caroliną jest mądra, choć sama jeszcze tego nie wie! I tak jest dobrze, chciałbym, by zachowała tę marzycielską niewinność, która wcale nie świadczy o tym, że się jest zbyt naiwnym czy fałszywym, ale kimś, kto wciąż potrafi się dziwić. Jest jeszcze moja matka, którą kocham nad życie, bo zawsze się poświęcała, bez słowa skargi, tylko po to, byśmy mieli wszystko, czego potrzebujemy, i przede wszystkim - byśmy byli otoczeni miłością. Podobają mi się jej dłonie, trochę spracowane, uśmiech, który czai się w jej oczach, kiedy z nami rozmawia, zapach skóry, gdy stoi przy kuchni. To woń dawnych czasów, czegoś, co przypomina mi dzieciństwo. Ładna. Za to Alessandry, drugiej siostry, nie potrafię zrozumieć. Chciałbym, żeby się bardziej przy mnie otworzyła, właściwie jej nie znam, nigdy nie porozmawialiśmy tak naprawdę. I na dodatek sprawia wrażenie, jakby była nieomal zazdrosna o Caro, i za każdym razem, właśnie dlatego, że mam takie obawy, staram się okazać jej zainteresowanie i daję odczuć, że jest ważna, a ona zachowuje się, jakby mnie odrzucała. Staje się nieprzystępna, a ja nie pojmuję dlaczego. Uwielbiam moich dziadków, korzenie tego, kim jestem, ich zwyczajną szczerą mądrość, którzy poznali świat i jego sprawy. Uwielbiam ich i za sześćdziesiąt lat chciałbym być właśnie taki, wciąż zakochany w życiu i, mam nadzieję, w kobiecie, która będzie ze mną dzieliła i zmieniała. Prawdziwy zakład do przyjęcia z lojalnością. Teraz kocham kobietę, piękną, słodką, szczerą. Jestem zakochany i mam nadzieję, że to uczucie nie wygaśnie, że sprawi, iż będzie mi dobrze, tak jak teraz. A jednak raz na jakiś czas ogarnia mnie dziwny lęk, jakby to się miało wkrótce skończyć albo jakbym obrał złą drogę. Nie wiem dlaczego. Przeczucia. Tymczasem przeżywam to życie także dlatego, że jest naprawdę piękne. Niech żyje życie.

Październik

Wishlist

Najnowsza płyta Radiohead i Finley.

Wstażka do włosów, lśniąca i czarna, w stylu lat trzydziestych. Zaczesać sobie włosy do tyłu i nie porzygać się, kiedy spojrzę w lustro. Kupić całą serię *High School Musical*.

Wybrać się do Pulp Fashion na via Monte Testaccio, by poszperać trochę w towary vintage z lat siedemdziesiątych. Pójść do solarium! Po czym tata mnie zabije.

W październiku nic specjalnego się nie wydarzyło. Znaczący... nie licząc kłótni z księdzem Giannim, z którym mamy religię w szkole, sprzeczki z Gibbem na temat ciągu dalszego naszego pocałunku, pocałunku z Filem, by pogodzić jednego z drugim. I jeszcze mało nie zapomniałam, Rusty James wyniósł się z domu. Słowem, jakby się tak lepiej zastanowić, w tym miesiącu całkiem sporo się wydarzyło, ale po kolei.

- Dzień dobry, dzieci.

Nie zdążył nawet jeszcze na dobre wejść, a już czworo uczniów opuściło klasę, to ci, którzy są zwolnieni z religii. I tak, sama nie wiem, czy właśnie na tym polega grzech, ale według mnie liczy się to, żeby zostać, nie porzucać placu boju. Nawet za cenę spierania się i nieprzebierania w słowach, nigdy jednak nie wolno się wycofywać. To trochę tak, jakby dać komuś wygrać, myślę sobie. Aż do pamiętnego dnia.

Ksiądz Gianni patrzy na wychodzących i po chwili wzdycha: - Biedacy - Nie wiedzą, co czynią.

To akurat mógł sobie darować, bo jeśli ktoś wychodzi i opuszcza lekcję, bo zgodnie z przepisami jest zwolniony z zajęć, to znaczy, że musiał zapytać o zgodę w domu, rozmawiał o tym albo wręcz sami rodzice mu podsunęli tę myśl. Słowem, z całą pewnością wie, co czyni! A zresztą można by machnąć na to ręką, bo to taka jego stara śpiewka, częste powiedzonko. Ale tego, co potem powiedział, w życiu nie zapomnę.

- Dziewczęta, dziś nareszcie możemy porozmawiać o konkretnym przypadku, który pozwoli nam lepiej zrozumieć różne aspekty miłości...

Jak tylko to usłyszałam, od razu zamknęłam pamiętnik, odłożyłam na bok komórkę, którą miałam dobrze schowaną pod piórnikiem, i zamieniłam się w słuch, zaintrygowana tematem.

- Tak, bo jedna wasza przyjaciółka opowiedziała mi o swoich doświadczeniach i ja chciałbym przywołać je jako przykład, żeby wam wytłumaczyć pewne zachowania... Paolo Tondi, mogę się powołać, prawda?

Na co Paola, Paoletta, jak na nią mówimy, zapada się w sobie, jakby miała zaraz znaleźć się pod krzesłem. Po chwili rozgląda się niepewnie wokół i na koniec się wychyla niczym wojenny okręt podwodny, który nagle wynurza się z morza susem na powierzchnię wody, by pruć przez fale.

- Oczywiście, tak, oczywiście...

Zresztą cóż innego miała niby odpowiedzieć? Słowem, przysięgam, że niespodzianka była totalna. Znaczy, żadna z nas w życiu by się nie spodziewała, że akurat ona, Paola Tondi, Paoletta, żebyśmy się dobrze zrozumieli, może posłużyć za przykład dla naszych seksualnych doświadczeń!

Nie, znaczy, już wam mówię. Wysoka, znaczy niska na metr czterdzieści, raczej szeroka, aparat na zębach oczywiście metalowy i to z tych rzucających się w oczy, włosy zmierzwione i do tego szopa, cera lekko dziobata, haczykowaty nos i nieco wylupiate oczy. Jakby tego było mało, na dodatek śmierdzi! Teraz macie pojęcie, o kim mowa? Ja sama chciałabym wiedzieć, kto się zdobył na odwagę, kto był tak nieustraszony, kto się porwał na coś podobnego!

A ksiądz Gianni wykorzystuje sposobność. Paoletta w chwili dla siebie szczególnej, któregoś dnia, gdy akurat potrzebowała z kimś porozmawiać i nie wiedziała, do kogo się zwrócić, opowiedziała o wszystkim

księdzu Gianniemu, a on co robi? Wykorzystuje to, wraz z całym arsenałem najdrobniejszych szczegółów, żeby nam na tej podstawie zrobić wykład. Macie pojęcie?

- Dziewczęta, posłuchajcie dobrze tego, co wam teraz powiem: miłość nie ma wieku i nawet trzynastolatka czy czternastolatka taka jak Tondi może stanąć w obliczu następującej wątpliwości: a może jest zbyt wcześnie na współżycie?

Ksiądz Gianni patrzy na nas, starając się coś wyczytać z naszych twarzy. Trzyma ręce przed sobą, prawie na samej krawędzi pulpitu katedry, i przechyla się do przodu, przygląda się bacznie każdej z nas po kolei, niczym karabin, gotów lada moment wypalić. Ale my nic, prawie udajemy, że nas nie ma, niezmiennie słuchamy z tym samym, nieprzeniknionym wyrazem twarzy, świadczącym o absolutnej czystości, obojętności i nieświadomości. I wszystkie milczymy jak zakłute, choć pewnie znalazłyby się takie, które najchętniej by się złamały i mu rzuciły: „Nie, wcale nie jest wcześnie!”.

I rzeczywiście mamy Lucię, Simonę i Eleonorę, każda z nich już od ponad roku jest z chłopakiem, tak mi się zdaje. Ale oczywiście to by było wcześnie. Choć w gruncie rzeczy to przede wszystkim ich sprawa. A ja po prostu nie rozumiem, skąd Paoli Tondi przyszło do głowy, by z czegoś podobnego zwierzać się księdzu Gianniemu, i najważniejsze, co takiego mu opowiedziała, co jest prawdą, a co nie!

- A zatem, Paolo, ty musisz być przykładem dla swoich przyjaciółek i kolegów... Musisz im pomóc, by nie mieli wątpliwości, jak to się przytrafiło tobie. Więc byłaś sama w domu, bo twoi rodzice wyjechali na weekend, mam rację?

Paoletta potakuje skinieniem głowy.

- Ty zaś powiedziałaś babci, że rodzice wyjadą znacznie później, wieczorem, tak by po południu mieć dom tylko dla siebie, mam rację?

Paoletta znów potakuje skinieniem głowy.

- Wówczas zadzwoniłaś do tego chłopaka, który podoba ci się już od jakiegoś czasu, mam rację?

Paoletta potwierdza.

I na tym nie koniec. - Który jest synem właściciela sklepu spożywczego u ciebie pod domem... - I opowiada dalej. Staje się to coraz

bardziej krępujące, bo ksiądz wdaje się w jeszcze dokładniejsze szczegóły, i także dlatego, że Paoletta przez cały czas słowem się nie odzywa, nawet głową nie kiwnie. A do tego raz po raz ksiądz Gianni się uśmiecha, co mi przeszkadza. I to właśnie sprawia, że podrywam się na równe nogi.

- Przepraszam? Ale dlaczego ksiądz się śmieje? No, pytam, dlaczego się ksiądz śmieje? Bo tak, może to jest historia miłosna, namiętność, nawet błąd wobec Pana Naszego, jasne... Ale ksiądz zamiast zrozumieć, pokazać nam, że wie, co przeżywamy, wygląda, jakby się dobrze bawił, i gdzie tu nauka?

- Bolla, nie widzę powodu twojego wystąpienia. Staram się was nauczyć, jak się macie zachowywać w określonych sytuacjach, i dotyczy to wszystkich, ciebie również... Bo może sama potrzebujesz.

- A co, przepraszam, ksiądz chce przez to ostatnie zdanie powiedzieć? I to po tym wszystkim, co wy sami, księża, macie na koncie, ksiądz przychodzi do mnie i mówi mi, że to ja tego potrzebuję? A niby czego? Na pewno nie tego, by przyjść do księdza się zwierzać, skoro potem ksiądz robi z tego taki użytek... Gratuluję, nie widzi ksiądz, jak niezręcznie się teraz czuje Paola, po tym, co ksiądz tu naopowiadał?

- To nieprawda.

- A właśnie, że prawda.

- No to się jej zapytam. - Ksiądz Gianni zwraca się do naszej Paoletty z plugawym uśmiechem. - Powiedz no, Tondi, czy niezręcznie się czujesz?

- Niech ksiądz poczeka, nie no, tak to się nie liczy, w ten sposób zmusza ją ksiądz, by odpowiedziała po jego myśli, a nie to, co sama tak naprawdę uważa. - Podnoszę się z ławki i staję naprzeciwko Paoletty, zasłaniając księdza Gianniego.

- Czy czujesz się niezręcznie? Mnie możesz powiedzieć.

- O nie, tak też się nie liczy. - I ksiądz schodzi z katedry, i staje z przodu, a wszystko ciągnie się jeszcze przez jakąś chwilę.

- Czujesz się niezręcznie? Powiedz to mi.

- Nie, mnie powiedz, mnie możesz to powiedzieć...

- Nie, masz mi powiedzieć! - Aż wreszcie sama Paoletta nie wytrzymuje tego wszystkiego i ucieka z płaczem. Na widok takiej sceny

ta czwórka, która się zwykle zmywa i olewa religię, wraca czym prędzej do środka.

- Właśnie, mieliśmy rację! -1 cała klasa wpada w amok, i zaczynamy rozrabiać, niektórzy krzyczą, inni walą pięściami w ławki, jeszcze inni rzucają różnymi przedmiotami. W końcu ksiądz Gianni wychodzi z klasy, czemu towarzyszy okrzyk w rodzaju owacji. - Hurrrrra! - Wszyscy się zaśmiewają i rozrabiają jeszcze bardziej, aż do przyjścia dyrektora. Słowem, morał z tej historii jest taki, od przyszłego tygodnia ja również nie będę przychodzić na religię. I pomyśleć, że w gruncie rzeczy to miałam z tego nawet lekki ubaw.

Siedzę sobie sama w szkolnym ogrodzie na długiej przerwie. Alis i Clod wygłupiają się razem z innymi dziewczynami. Nie wiem dlaczego, ale ni stąd, ni zowąd zapragnęłam pobyć sama, z własnej nieprzymuszonej woli. Nie pytajcie mnie dlaczego, bo nie potrafię powiedzieć. W każdym razie właśnie wypełniam jedną ze swoich *wishlists*.

Piosenka, którą chciałabyś napisać:

L'alba di domani, Tiromancino.

Ta, którą byś chciała, żeby dla ciebie napisano:

Se è vero che ci sei, Biagio Antonacci.

Ta, która ci przypomina twoje dzieciństwo:

Partami d'amore, IMegramaro.

Piosenka twoich rodziców:

Almeno tu nell'universo, Mia Martini.

Ta na wieczór:

Que Hiciste, Jennifer Lopez.

Ta, która opisuje piękną chwilę w twoim życiu:

Girlfriend, Avril Lavigne. ■

Ta, którą byś zagrała razem z przyjaciółmi:

What Goes Around, Comes Around, Justin Timberlake.

Ta, którą byś zadedykowała jemu:

How To Save a Life, The Fray.

Ta do słuchania, kiedy jesteś wkurzona:

Makes Me Wonder, Maroon 5.

Ta z najlepszym początkiem:

Hump de Bump, Red Hot Chili Peppers.

- Ej, co z tobą, już od jakiegoś *czśminnie* unikasz! Gibbo dopada mnie w ogrodzie.

- Ja?

- Tak, nie udawaj, że nie ma o czym mówić. Jest! Nie smakowała ci czekolada?

- Patrzy na mnie i się uśmiecha. Zawsze taki fajny i miły, no i jeszcze daje mi odpisywać zadania. Ale jest jeden problem, podoba mi się w sam raz na jeden pocałunek i nic poza tym. Tylko jak ja mam mu to powiedzieć? Cóż, spróbuję.

- Właśnie, Gibbo... Fatalnie się z tym czuję...

- Z czym? Co się stało?

- Z tym, że myślę, iż mógłbyś przestać być moim przyjacielem.

- Ale dlaczego? Wprost przeciwnie, teraz wszystko stało się jeszcze prostsze.

- To znaczy?

- No bo w końcu ta myśl mnie nie opuszczała i gdyby to się nie stało tak dla zabawy, przez ten przegrany zakład, to i tak istniałoby bardzo wysokie prawdopodobieństwo, ponad siedemdziesiąt siedem procent, że w tym wypadku nasza przyjaźń by się skończyła. -I zaraz na mnie patrzy, uśmiecha się i nachyla, jakby znów chciał mnie pocałować.

- Za to teraz, kiedy jesteśmy razem...

I próbuje mnie pocałować, ale jak tylko zbliża swoje usta do moich, ja się odwracam, on wpija mi się w policzek.

- Właśnie, dokładnie o to mi chodziło. - Wstaję. - My nie jesteśmy razem. Przeciwnie, właśnie w tym tkwi niebezpieczeństwo, gdyby to się miało dalej rozwinąć, to na koniec nie zostanie nam ani jedno, ani drugie... I stracimy się z oczu.

Gibbo rozkłada ręce. - Sorry, a nie widziałaś *Kiedy Harry poznał Sally?*

- A bo co?

- On i ona bardzo się przyjaźnią, mało tego, do tego stopnia, że wciąż jedno drugiemu kogoś szuka, ale w końcu rozumieją, że jedynymi osobami, które do nich pasują, są oni sami, ona dla niego i on dla niej, innych możliwości nie ma.

I znów się nachyla, żeby mnie pocałować, ale ja szybko odwracam twarz w drugą stronę i tak dostaję całusa w drugi policzek.

- Właśnie, jest tylko jeden mały szczegół...

- Jaki?

- Że ich historia to film, gdy tymczasem my to smutna rzeczywistość.

Odwracam się na pięcie i odchodzę. Trochę przegięłam, co? Wybrnęłam z tego zajebiście, rzucając mu taki tekst, żeby go zatkało, ale przynajmniej się chłopak zastanowi. Gibbo zostaje sam w głębi ogrodu i rozkłada ręce. - Ej, sorry, dlaczego smutna rzeczywistość? Wydawało mi się, że ty i ja świetnie się ze sobą bawimy!

Udaję, że nie słyszę, wracam do budynku i wchodzę po schodach. I rzeczywiście wygląda to jak film. Ale nie mija chwila, a już spotykam Fila, który łapie mnie za rękę.

- Sorry, możesz pójść ze mną na moment?

Ciągnie mnie za sobą przez korytarz, aż kilka osób opierających się o ścianę zwraca na nas uwagę i przyglądają się zaskoczone.

- Chodź, chodź, wejdź tutaj.

Otwiera drzwi do łazienki dla nauczycieli i wpycha mnie do środka.

- Aua, Filo, boli mnie przez ciebie ręka!

Puszcza mnie.

- Nie, wyjaśnij mi to, co usłyszałem, wytłumacz mi.

Staje na wprost mnie i ustawia mnie w rogu. Na wszelkie sposoby staram mu się wymknąć, ale podnosi ręce na wysokość mojej głowy i opiera się dłońmi o ścianę.

- Ale co? - Chociaż obawiam się, że wiem, o czym mówi. Alis i Clod... nigdy nie potrafią trzymać buzi na kłódkę. Świetnie się spisały! Nie, ja sama świetnie się spisałam, bo nic, tylko wciąż im o sobie opowiadam.

Staram się mu wymknąć, ale Filo za każdym razem zagradza mi drogę.

- No i?

- Co i?

- To prawda?

- Ale co?! - wydzieram mu się w twarz.

- Że całowałaś się z Gibbem?

- Tak...

- Jak to tak? - prawie się drze.

- Znaczy nie.

- Ach, więc nie... - Uspokaja się.
- Znaczy, i tak, i nie.
- Co chcesz powiedzieć?
- Już ci powiedziałam, tak i nie. - Uciekam mu dołem, udaje mi się go wyminąć, ale zaraz znów zagradza mi przejście.
- Co znaczy: tak i nie? To niemożliwe, albo go pocałowałaś, albo nie. Wytłumaczysz mi?
- Dobra. Tylko mnie zostaw, co, masz mnie zostawić, masz mnie wypuścić, okay? Daj mi trochę przestrzeni, bo brakuje mi tchu. Okay?
- Okay.
- Filo wygląda na spokojniejszego. Kawalek się odsuwa, ale cały czas jest czujny, tak by mi nie dać uciec.
- Więc zgoda. - Patrzę mu w oczy. - Teraz ci powiem. Wzdycham głęboko. - Pocałowałam go.
- Filo zaciska powieki. - Nie. Nie mogę w to uwierzyć. To nieprawda. Wciskasz mi kit!
- A to niby dlaczego, sorry, sam mnie zapytałeś, nie?
- Ale dlaczego go pocałowałaś? Kiedy ja ciebie o to poprosiłem, powiedziałaś mi, że nie, że to niemożliwe, że za bardzo się przyjaźniliśmy! A co, z nim to się niby nie przyjaźnisz?
- Tak, rzeczywiście, dlatego powiedziałam ci, że i tak, i nie.
- To znaczy?
- Że go pocałowałam, ale już mu powiedziałam, że więcej tego nie zrobię.
- Filo jest przez chwilę zbity z tropu. Po chwili unosi brew. - Dobra, ale ponieważ ja pierwszy cię o to poprosiłem, to powinnaś mnie pierwszego pocałować.
- Rozumiem, ale najwyraźniej nie był to najlepszy moment. Potem wydarzyły się pewne rzeczy, a może się zmieniłam.
- Zmieniłaś się?
- Tak, sprawiam wrażenie, jakbym była taka sama, ale się zmieniłam.
- Okay, wobec tego, już jako odmieniona, teraz musisz pocałować także i mnie.
- Co takiego? Mowy nie ma.

I szybko niczym strzała udaje mi się go zmylić i wyjść z łazienki. Chwilę później Filo jest już przy mnie i chwyta mnie za ramię. Ścisną trochę za mocno.

- Weź, Caro, to nie fair!

- Nie ścisną tak, Filo.

- Okay, ale to nie fair. Ja byłem pierwszy. Mnie też musisz pocałować, to nie w porządku. Potem znów wszyscy będziemy przyjaciółmi... Nikt nie będzie miał forów, tak samo jak wcześniej.

I patrzę na niego, marudnego dzieciaka, chyba naprawdę zranionego i w gruncie rzeczy jakoś ładniejszego niż zawsze, z tym nadąsanym uśmiechem na twarzy i potarganymi włosami. Filo ma ciemną karnację, jest wyższy od Gibba, szczupły, ma długie włosy i pełne usta, ciemne oczy i kilka niesfornych piegów na policzkach. Filo podoba się całej masie dziewczyn i sama nie wiem dlaczego, ale już od jakiegoś roku coś mu odbiło i przypiął się do mnie, że niby mamy być razem. Przystaję i patrzę mu w oczy. A on się uśmiecha.

- Prawda, Caro? Bądźmy szczerzy... Nazwijmy rzeczy po imieniu. Mam rację?

- Jaką znów rację! Pocałunek to pocałunek. On o mnie zabiegał, zrobił mi niespodziankę, rozśmieszył mnie. Wpadł na fajny pomysł, mowy nie było o żadnym zamykaniu w łazience... i zmuszaniu do pocałunku!

I zostawiam go samego. Odwracam się na pięcie i odchodzę. Filo stoi jak wryty na środku korytarza i nie odrywa ode mnie wzroku. Po chwili krzyczy.

- Okay! Dobra! Fajny pomysł, co? Niech ci będzie. Wobec tego ja też coś wymyślę!

Nie odwracam się, idę dalej, uśmiechnięta, chociaż on akurat nie może tego zobaczyć.

A jednak, jak bardzo faceci muszą się namęczyć, by mieć szansę nas zdobyć. Nas też to dotyczy. Co zrobić, żeby wyrwać kolesia, który nam się podoba? Znaczą, nie licząc tych, którym same od początku wpadłyśmy w oko i którzy na własną rękę się za nami uganiają, bo to całkiem inna historia, ci zresztą, nie wiem dlaczego, ale akurat nigdy nam się nie podobają albo jeśli nawet wcześniej się podobali, to po tym, jak

odkrywamy, że my im też, bach, i cały czar pryska. Nie, naprawdę, tak właśnie jest. Ja zaś mówię o tych, którzy podobają się nam, ale my im nie, to znaczy, oni nawet nie mają o niczym pojęcia, a my w jakiś sposób chcemy im to dać do zrozumienia. Alis zawsze powtarza: „Warto zgrywać «mroczny przedmiot pożądania», który wciąż się wymyka”. To pierwsza zasada Alis! Utrzymuje, że to najlepsza taktyka. Clod zaś uważa, że w ten sposób marnuje się tylko kupę czasu, bo a nuż tak naprawdę się temu kolesiowi podobamy, ale w końcu mu przejdzie. Trzeba wyklądać kawę na ławę, powiedzieć mu od razu, bez zbytniego roztrząsania. To pierwsze prawo Clod! Alis mówi też, że trzeba się kontrolować, żeby się za bardzo nie rumienić, kiedy on akurat przechodzi... bo wtedy to on pomyśli, że na początku nam się podobał, ale teraz już nam tak nie zależy. I właśnie, tak jest najlepiej, bo jeśli akurat przypadkiem mu się podobamy, to pomyśli, że właśnie nas traci! No, wszystko jasne... Jakby tak tylko można było kontrolować wypieki! I jeszcze mówi, Alis naturalnie, żeby nie zwracać na niego przesadnej uwagi i pokazywać na każdym kroku, że z innymi chłopakami też się gada. I zobaczyć, co wtedy zrobi. W każdym razie ja mam inny problem do rozwiązania, podobamy się sobie do szaleństwa i nawet sobie o tym powiedzieliśmy! Ale gdzie ty jesteś, Massiii! Och, jakby tego było mało, na czwartej lekcji psor od włoskiego dał nam, tak się przypadkowo złożyło, ksero z tematami do opowiadania pod tytułem: *Czego naprawdę szukacie*. Znaczący, że... Przyjrzałam się temu i już miałam go zapytać... A co, chodzi może o mnie?

Dom dziadków Luci i Toma. Jest taki piękny. I to nie dlatego, że jest jakoś wyjątkowo wielki czy bogaty. Tylko ciepły. To szczególne ciepło, kaloryfery nie mają tu nic do rzeczy. Ono kryje się w wielu rozmaitych drobiazgach. W obrazach, zdjęciach, które uwieczniają chwile z życia mamy, z czasów, gdy była mała i kiedy dorastała. W dbałości babci Luci o te wszystkie rzeczy.

- Caro, tylko zwawiej! Bo w przeciwnym razie nie wyjdzie jak należy!

Nigdy mi się nie udało zrobić ciasta na pizzę tak, żeby dobrze wyrosło. Zawsze jest za mało wyrośnięte i za bardzo się rozłazi. To wcale nie

takie proste, żeby wyszło jak trzeba! Na stolnicę wysypuję mąkę i robię w środku wgłębienie. Dorzucam pokruszone drożdże piwne, wcześniej rozpuszczone w kilku łyżkach letniej wody. Do tego dodaję sól i oliwę. Jednak zawsze mam wrażenie, że mylą mi się proporcje albo kolejność. I tu dopiero zaczyna się najlepsze: chodzi o to, żeby ciasto było zwarte, jak mówi babcia. A to wymaga siły!

- Musisz zagnieść je tak, żeby samo odchodziło ci od ręki. Potem robisz z niego kulkę i obsypujesz mąką, przykrywasz ściereczką i odstawiasz do wyrośnięcia, z dala od przeciągów, na jakieś dwie godziny. W każdym razie, póki ciasto dwukrotnie nie zwiększy swojej objętości.

Tylko że mnie jakoś nie chce wyrosnąć! Dlatego się poddaję i zostawiam to babci, żeby sama zrobiła. Inna rzecz, która nigdy mi nie wychodzi, ale dobrze się bawię, kiedy ją z babcią przyrządzam, to risotto z grzybami. Strasznie mi smakuje, a mama prawie nigdy go nie robi, chociaż babcia Luci pokazała jej co i jak.

Fajnie jest przesiadywać z nią w kuchni. Mam nawet swój własny fartuszek, z wyhaftowanym moim imieniem i dwiema łyżkami po bokach, uszyty własnoręcznie przez babcię. Można na spokojnie porozmawiać o tylu rzeczach, kiedy się kroci warzywa, robi zasmażkę, wybiera mięso i tak dalej. Wspólne gotowanie to jak zacieśnianie więzów. Przypomina mi się scena z filmu *Czekolada*, kiedy Vianne chce się wynieść z miasteczka, które jej nie akceptuje, bo uważa że jest niebezpieczna i za bardzo odbiega od normy. I tak, mimo protestów własnej córki, pakuje walizki. Idzie w dół po schodach, otwiera drzwi do kuchni i widzi tych wszystkich ludzi, którzy wspólnie przyrządzają czekoladowe przysmaki. Są wśród nich osoby, które jeszcze kilka dni wcześniej nie mogły się porozumieć, nie odzywały się do siebie, a teraz są razem, jedna obok drugiej, i wyglądają na szczęśliwe i zżyte. I to również jej zasługa. Toteż kiedy *niespokojny wiatr Północy opowiada Vianne o krajach, które czekają na odwiedzenie, o przyjaciółach w potrzebie, których jeszcze nie poznała, o bitwach do stoczenia...*, ona zamyka okno i osiada tam, gdzie ma tylu przyjaciół, których sobie zjednała. Uwielbiam ten film. Obejrzałam go z babcią Luci.

Mama nigdy nie ma czasu na wspólne gotowanie. Tylko czasami, w niedzielę, ale nie to, żeby przyrządzała jakieś wykwintne przysmaki.

I do tego jeszcze Ale zawsze wchodzi w paradę, nabija się z nas albo, co gorsza, doprowadza do szału, lub tata, który nas popędza i nie pojmuję, czemu może służyć spędzanie całych godzin na przygotowywaniu wymyślnych dań, skoro makaron na maśle w zupełności by wystarczył. Słowem, nigdy tak naprawdę nie jesteśmy same i nie jest to już takie fajne. Za to u dziadków jest o niebo zabawniej, bo dziadek Tom rzadko kiedy się pokazuje, tylko czasami staje w drzwiach i mówi: „Moje kobiety!”. I wraca do siebie, bo nie chce wiedzieć, co takiego przygotowujemy, uwielbia niespodzianki!

Kiedy ciasto na pizzę rośnie, co z pewnością nie jest moją zasługą, w oczekiwaniu, aż zabierzemy się za risotto, rozmawiam z babcią, która zawsze ma tyle wspaniałych historii do opowiedzenia. Zaczynamy od jednej rzeczy i nigdy nie wiadomo, na czym skończymy. Dzisiaj dajmy na to mówiłyśmy o urodzie, o szczupłych kobietach, o tych okrągłych, i tak dalej. Babcia mi powiedziała, że w jej czasach, gdy kobieta miała te kilka kilo więcej, to była przeschęśliwa, bo mężczyznom podobały się krągłości.

- Tym dzisiejszym, babciu, też się podobają!

- Bo ja wiem, trudno powiedzieć, wokół mężczyzn pełno samych chudzielców, co tylko się zamartwiają każdym dodatkowym gramem. Chodzi o to, że problem tkwi nie w tym, czy być szczupłym, czy nie. Wystarczy równowaga, dobre samopoczucie.

- Tak, babciu, ale łatwiej to powiedzieć, niż zrobić. W szkole są dziewczyny trochę bardziej przy kości, które wcale się sobie nie podobają i ciągle tylko narzekają. Mało tego, gorzej, koniec końców są nieprzyjemne dla dziewczyn, które według nich są ładniejsze, i trzymają je na dystans. I tak tworzą się tak jakby dwie frakcje: ładnych i brzydkich. Ale kto przesądził, które mają być w której grupie?

- Tak, ale ty masz przyjaciółkę, która nie zawraca sobie tym głowy, i faktycznie wszyscy ją lubią.

- To prawda, ale Clod jest jedyna w swoim rodzaju, chciałoby się, żeby wszystkie były takie wyluzowane. Ma wspaniały charakter. Lubi jeść, to je. Podoba jej się jakiś chłopak, to nie wycofuje się onieśmielona. Lubi ładnie wyglądać, więc nosi fajne ciuchy. Jeśli ktoś się z niej nabija, ona to olewa. Mało tego, ją samą to śmieszy. Dajmy na to wczoraj na

dłuższej przerwie był taki koleś z trzeciej F, który jest strasznie wkurzający, i rzucił Clod: „Ej, Clod, jesteś taka gruba, że jak masz się przespać, to robisz to na raty...”. A ona mu na to: „A ty jesteś taki niby oryginalny, co, a może wreszcie byś zmienił źródło, zamiast wciąż tylko zżynać z kabaretu Zelig”. I to bez żadnej spinki, kompletnie się nie wkurzyła!

- Dobrze. To znaczy, że ma poczucie własnej wartości. I to jeszcze dodaje jej uroku. Bo prawdziwe piękno to nie kwestia rozmiaru czy ładnej buzi. Mówiłam ci już, co powiedziała Audrey Hepburn?

- Nie.

Babcia wstaje i zdejmuje książkę z półki, taką dużą, piękną, pełną zdjęć aktorki. Siada z powrotem i przerzuca kartki.

- O masz, tutaj... posłuchaj. - Zaczyna czytać swoim wciąż jeszcze pewnym głosem. - *By mieć pełne usta, zwracaj się do innych życzliwie. By mieć spojrzenie pełne miłości, szukaj w ludziach ich dobrej strony. By być szczupłą, dziel się swoim posiłkiem z cierpiącymi głód. By mieć piękne włosy, pozwól, by dziecko choć raz w ciągu dnia pogładziło cię po głowie. Jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebować pomocnej dłoni, pamiętaj, że masz ją w zasięgu swoich własnych rąk. Kiedy osiągniesz sędziwy wiek, odkryjesz, że masz dwie ręce: jedną, by pomóc samej sobie, i drugą, by pomóc innym. Z upływem lat kobieta staje się coraz piękniejsza. Jej prawdziwa uroda nie tkwi w wyglądzie zewnętrznym, ale odbija się w jej duszy...* - I zamyka książkę. Jest przy tym wyjątkowo pogodna, co tak bardzo mi się w niej podoba.

- Jakie piękne...

- Postaraj się to sobie zapamiętać, Caro, bo tak właśnie jest. Rzecz nie w kilogramach, ale w harmonii. Chodź, zabierzmy się za risotto... Ani się obejrzałyśmy, a tu minęły prawie dwie godziny! Ja będę rozwałkować pizzę i ją przyprawiać, a ty zacznij przygotowywać risotto... I tak ci pomogę. Suszone grzyby już wstawiłam do letniej wody, a rosół z warzyw masz gotowy. Weź garnek, nalej trochę oliwy na dno i wrzuć odrobinę masła. Na razie nie stawiaj na palniku.

Posłusznie wykonuję polecenia babci.

- Ile czasu zajmie przygotowanie?

- Około czterdziestu pięciu minut. Teraz weź białą cebulę, jest na desce, już ją pokroiłam, i posiekaj grzyby.

Naprawdę się przykładałam. - Tak dobrze?

- Tak. Postaw patelnię na gazie i rozpuść masło. Potem wrzuć cebulę i grzyby, i niech się teraz wszystko zeszkli. Dodaj szczyptę soli.

- A jak się przypali?

- To będziemy uważać, tak? Nic się nie martw, dobrze ci idzie. Niedługo dodamy jeszcze trochę wody, w której moczyły się suszone grzyby. Nie wylałaś jej, prawda?

- Nie, nie.

- Teraz trzeba dorzucić ryż, niech się praży.

- Skwierczy!

- No, ma skwierczeć, zostaw go tak na kilka minut. Weź białe wino, jest w kieliszku obok zlewu. Wlej na patelnię. Podkręć gaz. Kiedy wyparuje, zgasimy i zostawimy na dziesięć minut, niech postoi.

To właśnie lubię w babci Luci: dokładny pomiar czasu. Nigdy się nie myli. A na dodatek przy niej wszystko wydaje się takie proste, przy niej czuję, że świetnie sobie radzę, jak prawdziwa kucharka. Ona tymczasem zdążyła już wstawić do pieca wielką blachę z pizzą. Podzieliła ją i przyprawiła na cztery różne sposoby, ćwiartka margherity, druga z grzybami, później z kielbasą i na koniec z samym sosem pomidorowym, bez mozzarelli.

- Babciu, a ty kiedy nauczyłaś się gotować?

- Gdy byłam małą, praktycznie rzecz biorąc. Byłam najstarsza, moi rodzice chodzili zawsze razem do pracy do zakładu dziewiarskiego taty, więc do moich obowiązków należało nakarmienie braci. Ale pomagała mi moja babcia, na szczęście. To ona mnie wszystkiego nauczyła. Teraz znów zapal gaz, nastaw średni ogień. Musimy stopniowo dodawać rosół. Po jednej łyżce. I cały czas mieszać... Przy okazji się pogimnastykujesz. A, sprawdź, czy jest wystarczająco słone.

Próbuję i wyglądam, jakbym naprawdę znała się na rzeczy. Babcia patrzy na mnie i się uśmiecha, jednocześnie nakrywając do stołu.

- Dobrze!

- Nie przerywaj. Chcesz, żebym cię zmieniła?

- Nie, babciu, już dziś ja ugotuję!

Babcia się uśmiecha i potakuje. I nakrywa do stołu z miłością i wyczuciem, jak zawsze. U dziadków nigdy nie brakuje choćby małego wazonika z kwiatami na środku stołu.

Babcia zawsze sprawia, że czuję się ważna. Utwierdza mnie też w przekonaniu, że potrafię gotować! W rzeczywistości ona zrobiła to wszystko, już wcześniej też przygotowała składniki, a ja tylko je połączyłam.

Mijają minuty. Wciąż dolewałam rosółu i mieszałam. Babcia podchodzi spróbować.

- Mhm, znakomicie się spisałaś! Dobre! Teraz weź talerz ze startym serem grana i kawałkami mozzarelli na pizzę. Właśnie, świetnie, zgaś palnik pod patelnią i dodaj sery. - Tak robię. - Przykryj wszystko... -1 podaje mi szklaną pokrywkę, która zaraz po przykryciu natychmiast cała zaparowuje. - Teraz musimy poczekać pięć minut.

Chwilę później bierze trzy miseczki i od razu nakłada w nie risotto.

- Proszę, jeszcze tylko posypiemy siekaną pietruszką...

- Mhm... Jak pysznie pachnie! Jestem taka głodna...

- Do stołu... - woła donośnie babcia.

- Idę! - odpowiada dziadek z pokoju w głębi.

- Tak, ale szybko... - krzyczy mu na to babcia, stawiając talerze na stole. - Chodź, to dla ciebie, Caro... - Idę tuż za nią z pieczywem.

- Twojego dziadka zawsze trzeba wołać z godzinnym wyprzedzeniem, przesiaduje w swoim gabinecie i rysuje, zachowuje się, jakby nie miał poczucia czasu... - Stawiamy wszystko na stole. Uśmiecham się do babci.

- Najwyraźniej bardzo lubi to, co robi...

- Tak, ale potem nie chce jeść risotta, które rozmiękło albo wystygło! Nie można mieć wszystkiego!

- Już jestem... Już jestem... Widzisz, jak punktualnie się zjawiam?

- Uśmiechają się do siebie i całują delikatnie w usta, a ja, nie wiedząc czemu, czuję się trochę skrępowana i patrzę w drugą stronę.

Siadamy do stołu wszyscy troje, dziadek bierze pierwszy kęs i robi zaskoczoną minę. - Ale to jest przepyszne... Kim jest ta wspaniała kucharka?

- To ona... - mówimy zgodnym chórem z babcią, wskazując jedna drugą, wybuchamy śmiechem i oddajemy się przyjemności, rozkoszując się tym wszystkim, co przygotowałyśmy i co smakuje zupełnie inaczej niż to samo w restauracji. Na koniec obiadu dziadek się podnosi.

- Wy siedźcie... Nie ruszajcie się z miejsc. - Babcia Luci usiłuje wstać.

- To ja nastawię kawę.

- Nie, nie, jedną chwileczkę... Zaraz wracam. - I znika pospiesznie w salonie tuż obok, ale chwilę później jest już z powrotem. Trzyma w rękach swój aparat fotograficzny. - Już mam, już mam, w porządku, w porządku... -1 stawia aparat na półce w pobliżu, wciska samowyzwalacz i biegnie w naszą stronę, obejmuje nas, w samą porę. Pstryk! - Oto zdjęcie naszej trójki, jak sobie siedzimy najedzeni do syta! -1 obejmuje nas mocno. - Masz, Carolina, to dla ciebie... - I bach... Zza pleców wyjmuję książkę.

- Dziadku, dziękuję!

Patrzy na mnie cały dumny i szczęśliwy. - Jestem pewny, że wyrośniesz na wspaniałą kucharkę... - A ja biorę książkę i idę z nią do salonu, opadam na wielki bordowy fotel z podnóżkiem. Jest taki wygodny, zresztą babcia, gdy zmywa naczynia i porządkuje kuchnię, nie lubi, jak wchodzę jej w paradę. Dostałam w prezencie *Kuchnię Banany Yoshimoto*. Otwieram.

Nie ma takiego miejsca na świecie, które kocham bardziej niż kuchnię. Wszystko jedno gdzie się znajduje, jak wygląda: byle to była kuchnia, w której się przygotowuje rzeczy do jedzenia, tam jest mi dobrze. O ile to możliwe, wolę te funkcjonalne i wysłużone. Najlepiej takie, w których pięttrzą się suche i świeże ściereczki, a białe kafelki aż lśnią. Szalenie podobają mi się też kuchnie nieprawdopodobnie wprost brudne. Lubię te, które mają podłogę zasłaną skrawkami warzyw, tak brudne, że podeszwy butów natychmiast robią się czarne, no i duże, i to duże aż do przesady. Z gigantyczną lodówką pełną zapasów, które spokojnie starczyłyby na całą zimę, z lodówką tak wielką, że bez obawy można się oprzeć o jej wielkie metalowe drzwi...

Zamykam książkę i kładę ją sobie na kolanach. Patrzę z salonu, jak babcia w kuchni wkłada naczynia do zmywarki, uprzednio je opłukawszy. Lubię kuchnię dziadków, bo naprawdę z niej korzystają, tętni życiem. Chwilę później wchodzi dziadek i zbliża się do babci. Bierze szklanę, nalewa wody i zaraz mówi coś do babci, po czym oboje się śmieją. Babcia wyciera ręce w fartuszek, którym jest przewiązana w pasie i poprawia włosy. Ile oni mają sobie jeszcze do powiedzenia. A ja znów zagłębiam się w lekturę książki, którą podarował mi dziadek. Właśnie. Lubię ich kuchnię, bo jest pełna miłości.

Dwunasty października. Psor kazał nam sobie poczytać o odkryciu Ameryki, bo właśnie wypadła rocznica. Przypomnił nam, że dzięki Krzysztofowi Kolumbowi możemy jeść dzisiaj czekoladę! I oczywiście Clod ze swojej ławki cały czas wysyłała do mnie sygnały, typu V jak *victory*, a potem, trzymając rękę nad głową, łączyła palce w kółko i pokazywała aureolę! Święty Krzysztof! Tylko że potem od czekolady robią jej się pryszczki, a wtedy narzeka! Październik to też miesiąc kasztanów. Czasami mama, kiedy pracuje na poranną zmianę i wraca koło drugiej, mimo że wstała o świcie (o szóstej, biedaczka!), zabiera się za robienie ciasta castagnaccio! Za nim też przepadam. Zawsze wybieram wszystkie orzeszki piniowe, jeden po drugim, i zjadam je jeszcze przed samym ciastem! Tak, październik to naprawdę fajny miesiąc... Miesiąc żółto--pomarańczowy, miesiąc pierwszych kurtek wyciągniętych z pawlacza, oczekiwania na Halloween. Ale to też miesiąc poprzedzający listopad, którego z kolei nie lubię wcale.

W każdym razie cały wieczór przesiedziałam na komunikatorze MSN, z Clod i Alis, wciąż przerabialiśmy temat Fila.

Clod nie miała wątpliwości.

Ale dlaczego go nie pocałowałaś'? Zrobił się z niego superkoleś, a na dodatek jest megafajny, no i jako pierwszy odpicował swojego microcara, na długo przed Gibbem!

Alis z kolei była wręcz przeciwnego zdania.

Świetnie zrobiłaś', niech cierpi, bo zresztą tacy kolesie wykorzystują okazję, co ty myślisz, to tylko rywalizacja między facetami, gdybyś nie pocałowała Gibba, myślisz, że Filo w ogóle zwróciłby na ciebie uwagę? Właśnie, to musi być drugie prawo Alis! Słowem cała seria ocen, które oczywiście do niczego nie prowadzą. Także dlatego, że ja sama odpowiadałam błyskawicznie, starając się jednej i drugiej wyjaśnić swoje podejście.

Poza tym tylko że rok wcześniej to właśnie on mnie poprosił, żebym go pocałowała!

A na to Alis i Clod: *Tak, tak, zgoda, ale co teraz zrobisz? Skłócisz ich ze sobą? Co wy, oszalałyście? A moje pocałunki to niby co, akt miłosierdzia! Skąd, tyle że on jest taki ładny...*

Może być nawet, ale mi teraz w głowie tylko Massi.

Ale skoro pocałowałaś Gibba.

A co to ma do rzeczy! Tylko dlatego, że przegrałam zakład, to była taka zabawa, w przeciwnym razie w życiu bym tego nie zrobiła. Myślę tylko o Massim!

Na co Clod: *A kiedy ty go tam w ogóle zobaczysz! To wyłącznie rojenia twojej wyobraźni, jak dla mnie, to podoba ci się właśnie dlatego, że go nie ma! Alis jest jeszcze bardziej nieprzejednana: A widzisz? Chciałaś Lorenza i jak już go miałaś... Pach, teraz nic, tylko uganiaasz się za innymi.*

„Miałaś”, dobre sobie. To bardzo wymowne słowo... Ale nie zdążam odpowiedzieć, bo właśnie wchodzi mama.

- Caro! A ty wciąż przed komputerem? A spać to kiedy, jutro masz przecież szkołę... A...

Rety, ile tych „a”!

- Ale mamo, właśnie omawialiśmy ostatnie rzeczy na temat pracy semestralnej. Zostawiam jej ledwie chwilę na złapanie tchu.

- Choć teraz już go wyłączam, bo rzeczywiście zrobiło się późno! I wskakuję do łóżka.

- Umyłaś zęby?

- Jasne, wcześniej, zaraz po jedzeniu! Powąchaj... - I chucham jej przeciągle. Mama zaczyna się śmiać i wachluje się dłonią tuż przy twarzy. - Uuu, straszne... Są jeszcze młode brokuły, które wam zrobiłam dziś wieczór!

- Ale mamo... - I udaję, że się obraziłam, i naciągam sobie na głowę prześcieradło! Po chwili, gdy nie dochodzą mnie żadne odgłosy, odwracam się twarzą do niej i dostrzegam, że wpatruje się w ścianę. Wisi na niej artykuł Rusty'ego Jamesa, który oddałam do oprawienia Salvatoremu, panu, co pracuje w głębi via Farnesina.

Mama patrzy na niego i wzdycha przeciągle. Siadam na łóżku i patrzę na nią.

- Piękne, prawda? Uważam, że to przepiękne opowiadanie, mówi o młodzieńczych marzeniach... Wiesz, że mnie jako pierwszej je pokazał? Sam mi to powiedział!

- Tak, czytałam je po wielokroć. Dobrze pisze. - I zaraz wychodzi z pokoju. Lekko zasmucona i zmartwiona, kto wie. Pewnie, dla nas Rusty James jest absolutnie zdolny... Ale czy tak jest naprawdę? Cóż,

dla mnie jak najbardziej! I jest to moja ostatnia myśl przed zaśnięciem. Sama dobrze nie wiem, co takiego mi się śni. Ale kiedy się budzę, czuję, że ten dzień będzie inny niż wszystkie. Wiesz, czasami ma się takie przeczucie, ale takie... że koniec końców czujesz, iż po prostu musi się coś zdarzyć! Więc wstajesz z łóżka, przygotowujesz się, jesz śniadanie, żegnasz się ze wszystkimi w biegu, wychodzisz pędem i rozglądasz się wokół... Czujesz, że jesteś spóźniona na całą linię i na szczęście udaje ci się wejść do szkoły, zanim zamkną bramę, a w szkole wszystko idzie ci jak z płatka.

Nikt nie wywołuje cię do odpowiedzi, nie wdajesz się w żadną kłótnię ani z księdzem, ani z innymi psorami. I wreszcie, po wyjściu ze szkoły... Niespodzianka!

Wiedziałam, wiedziałam, czułam to tak wyraźnie! Ktoś przyczepił do bramy kopertę z napisem: Caro III B, ja podchodzę, sięgam po nią, w środku jest liścik napisany drukowanymi literami, charakteru pisma kompletnie nie rozpoznaję.

PODĄŻAJ ZA MNĄ... PROFILOWANA NIĆ CARO! Jest i łyżeczka z przywiązaną do niej nicią, taką miękką, dziwną, jakby gumową, której, jak sędzę, używa się do wiązania roślin. Więc zaczynam za nią podążać i zwijam ją, idąc. I wydaje mi się, jakbym była bohaterką bajki, ale sama nie pamiętam dobrze której, biorąc pod uwagę zamieszanie, jakie zawsze wprowadzała moja mama, ilekroć mi którąś opowiadała, gdy byłam młodsza.

Przechodzę teraz przez mały park na tyłach szkoły, mijam ludzi, którzy mi się przyglądają, gdy tymczasem ja nawijam tę dziwną nić... Caro! Dziewczynki na huśtawce pokazują mnie sobie, rozbawione widokiem tej śmiesznej dziewczyny, podążającej za nicią, i to taką, której końca nie widać.

Wreszcie docieram do rogu tego małego parku, nić gdzieś znika za krzakami. Zamykam oczy i sama skręcam. To sen... co ja mówię, to cud. Zaraz tam zajrzę i zobaczę jego, Massiego. I tak powoli mijam krzaki, wciąż trzymam w rękach nić, a tam z tyłu nikt inny, tylko on: Filo.

- Nieee! - Wybucham śmiechem. - Oszalałeś!

Włożył na siebie biały fartuszek, a przed sobą na drewnianym stoliku ma porozkładane różne pucharki z lodami. Z kartki w kratkę, złożonej

kilka razy, zrobił sobie nawet czepek, taki sam, jak mają lodziarze. A przynajmniej ci, których ja znam! W ręku trzyma pałeczkę, w kieszonce koszuli zaś łyżeczki w różnych kolorach. - A zatem, panie i panowie... Pozwólcie, że zaprezentuję teraz produkty naszej nowej lodziarni: FIC! Tylko nie zrozumcie mnie źle... Filo Ice Cream.

Daje z siebie wszystko, z angielskim włącznie! Po pierwszym rozczarowaniu, że nie znalazłam przed sobą Massiego, teraz bawię się na maksa. I klaszczę w dłonie, i cieszę się jak dziecko.

- Tak, tak, zobaczymy. - Siadam na krześle, które przytaszczył aż tutaj, razem ze stolikiem, i potakując, słucham propozycji tego osobliwego lodziarza.

- A więc, o ile dobrze pamiętam... Proszę, to pani ulubione smaki: biała i gorzka czekolada, śmietankowe, zabaglione, nugatowe, pistacjowe i oczywiście kasztanowe!

Pamiętał o wszystkich, oprócz...

- I kokosowe...! ...

I o nich też! Niesamowite. Filo uśmiecha się do mnie.

- Mam rację? Nic tylko widzę, jak zajadasz bounty!

- Ale pamięć, a skąd je masz?

- Z Mondy.

- Mhm, moje ulubione. Więc proszę mi nałożyć pucharek... -1 zaczynam zamawiać jeden po drugim. I pochłaniam je ze smakiem. Te lody są tak pyszne, że na śmierć zapominam o swoich mocnych postanowieniach w związku z dietą. Zresztą i tak ważę czterdzieści dziewięć kilo, więc mogę trochę sobie odpuścić.

Na koniec Filo siada na ziemi obok mnie i on też ze smakiem zjada porcję lodów. Ma także papierowe chusteczki i nawet trochę bitej śmietany. No, nie ma co. To naprawdę była wspaniała niespodzianka. Za to teraz przyszła pora na mały wykup. Mały... Zależy dla kogo. I tak oto, już po tej wspaniałej i słodkiej wyzerce, odnosimy krzesła i stolik do baru i zmierzamy w stronę domu.

- Widziałaś? To bardzo miło z ich strony, nie? - Owszem.

Przez chwilę milczę, gdy tak wracamy do siebie. Wreszcie postanawiam, że najlepiej będzie od razu poruszyć wiadomy temat.

- Siuchaj, Filo, ta niespodzianka naprawdę ci się udała.
- Dzięki. - Patrzy na mnie z zaciekawionym, po chwili unosi brew. - A „jednak”... Odwracam się, uśmiechnięta.
- A jednak?
- Tak, zrozumiałem, masz zamiar powiedzieć mi coś, co zaczyna się od jednak...
- Uśmiecham się. - Rzeczywiście. Myślę, że będzie lepiej, jeśli nie będziemy się całować.
- Ominęłaś „jednak”, ale sens jest taki sam. Sorry, ale sama powiedziałaś, że ma być niespodzianka, więc zrobiłem ci niespodziankę, a może ci się nie podobała?
- Jak najbardziej, podobała mi się.
- I rzeczywiście, sam widziałem, nie została ani jedna porcja lodów, palcem wyjadłaś nawet resztki bitej śmietany.
- Tak, zgadza się, wszystko było przepyszne.
- Więc w takim razie co ci nie pasuje? Sorry, poprosiłem cię o pocałunek, jeszcze zanim Gibbo to zrobił, powiedziałaś, że on miał dla ciebie niespodziankę, więc ja też się postarałem. Chyba wszystko się zgadza, prawda?
- Nie. Nie zgadza się. To powinno się stać ot tak, spontanicznie, a tak jest za bardzo...
- Co za bardzo?
- . - Za bardzo wyreżyserowane!
- Oj tak, tak... Weź, wymyśl coś lepszego! Gdybym ci zrobił niewyreżyserowaną niespodziankę, toby była łatwizna, a ja przygotowałem się porządnie, wymyśliłem profilowaną nić, smaki, które lubisz... i teraz się okazuje, że to za bardzo wyreżyserowane!
- Ale co to ma do rzeczy, nie chodzi o niespodziankę... tylko o samą sytuację!
- Ale skoro sama mi tak powiedziałaś!
- Co takiego?
- Ze ma być niespodzianka! Przecież to się nie może wydarzyć spontanicznie, bez jakiegoś scenariusza, bo jak bez tego można zrobić niespodziankę? To niemożliwe!

- Dobra, dajmy sobie spokój, poddaję się. - Co znaczy poddaję się? Za nic! Ja zrobiłem ci niespodziankę! Teraz masz mnie pocałować!

- Ciii, co się tak drzesz! Powiedziałam, że się poddaję, bo nie mam siły ci tego tłumaczyć. Chodź.

Otwieram bramę i wpuszczam go przodem. Idziemy dalej i na szczęście drzwi na klatkę są otwarte. Wchodzimy do środka.

- Chodź za mną. - Otwieram kolejne drzwi.

- Ale dokąd idziemy?

- Ciii, bo nas usłyszą... Jesteśmy w piwnicy. - Zamykam za sobą drzwi. Stoimy w mroku. Zaledwie kilka wątych smug światła sączy się dołem przez żelazne drzwi, które wiodą do garaży.

- Fajnie tu.

- Właśnie... - Rozglądam się wokół. - Chodź, pospieszmy się. Tym razem to on narzeka.

- Ale tak to ja nie mogę. Tak to jest za bardzo...

- Dosyć, mam już tego potąd. - Zbieram się w sobie i go całuję. Po kilku sekundach odrywam swoje usta od jego.

- Wyreżyserowane... - rzuca Filo, uśmiechając się w półmroku.

- Odpuść sobie, głupku! No, teraz chyba jesteśmy kwita, co?

- Skąd, dla mnie to się nie liczy.

- A to dlaczego?

- Bo to ja miałem cię pocałować.

Przekrzywia głowę na bok. Jeszcze. I zaraz się do mnie uśmiecha. Jest słodki. I czuły. I powoli nachyla się i całuje mnie w usta. Wreszcie. To się nazywa pocałunek. Mhm... smakuje jagodami. Pycha! On dla siebie wziął wszystkie smaki owocowe. Dla mnie inne. Filo całuje namiętnie, obejmuje mnie, przyciąga do siebie. I dokładnie w tej samej chwili słyszę, jak się otwierają drugie żelazne drzwi, te z przeciwnej strony, w głębi piwnicy, te, które prowadzą do dużego garażu, gdzie mój brat zostawia swój motor. Mój brat? Patrę w stronę drzwi w głębi... I to jest mój brat!

Biorę Fila za rękę i mówię do niego półgłosem: - Chodź, szybko! - I biegnę w stronę drzwi, które prowadzą do bramy. Otwieram je Pospiesznie. I zamykam za plecami.

- Chodź, chodź, szybko! - Odprowadzam go do drzwi na klatkę.

- Ale tak to się nie liczy! A pocałunek?

- Już ci dałam, mało tego, i to nie jeden, ale aż dwa!

- Owszem, ale nie tak, jak to sobie wyobrażałam.

Otwieram drzwi na klatkę i wypycham go na zewnątrz. - Już, wychodź! Filo się do mnie uśmiecha.

- Ale ja chciałam... żeby to było takie trochę bardziej... wyreżyserowane!

- Weź spadaj! -1 zamykam, zaraz idę do windy, i akurat w tej samej chwili otwierają się drzwi od strony piwnic.

- Cześć.

- O, cześć!

Udaję zaskoczoną, starając się nie patrzeć mu w oczy. Za to widzę, że on się we mnie wpatruje.

- Jak poszło w szkole?

- Dobrze.

Zerkam na niego, uśmiecha się. Odwracam wzrok.

- A więc w szkole poszło dobrze... A wcześniej jak poszło?

- Co? - Znów na niego spoglądam. Widzę, że już się wręcz zaśmiewa.

- W piwnicy...

- A, wcześniej, nie tam, nic. Wiesz, coś zginęło i... - Usiłuję coś wymyślić, ale absolutnie nic nie przychodzi mi do głowy. Więc daję za wygraną.

- Nie... W każdym razie... Nie szło.

- Ach tak? Wiesz, co by było, gdyby tata cię nakrył? - mówiąc to, kręci głową, po czym wsiadamy do windy. Wjeżdżamy na czwarte piętro. Wiecie, jak to jest, kiedy czasem zapada cisza, a im dłużej ona trwa, tym bardziej jest przytłaczająca, a im bardziej jest przytłaczająca, tym bardziej nie przychodzi ci do głowy nic, co by można powiedzieć, a im bardziej nie przychodzi ci do głowy nic, co by można powiedzieć, tym bardziej nie możesz się doczekać, by wreszcie dotrzeć na miejsce. I rzeczywiście, gdy winda staje, wyskakuję czym prędzej, dzwonię do drzwi i jak tylko się otwierają, wpadam niczym burza do środka.

- Cześć, mamó! Dobrze mi poszło w szkole. Dostałam cztery mniej z klasówki z historii...

Przemierzam pędem korytarz i wparowuję do siebie do pokoju, bardziej po to, by się odprężyć, niż po cokolwiek innego, co za napięcie! Puszczam płytę od Massiego, wyciągam się na łóżku i opieram nogi o ścianę. Leżę z głową w dole, i słucham kawalka, za którym wprost przepadam. Zbieram myśli i ostatecznie czuję się poniekąd winna. Czyli tak: zakochałam się w chłopaku, z którym się nie całowałam, a zdążyłam całować się już z trzema, przy czym w żadnym nie jestem ani odrobinę zakochana! Tak być nie może. Nie, mowy nie ma. Dosyć, nie pocałuję już ani jednego więcej, przynajmniej dopóki... No, lepiej nie wyznaczać sobie celów, których nie sposób zrealizować. Dopóki... dam radę! Właśnie, tak jest już lepiej, o wiele lepiej.

- Siadamy do stołu! - woła mnie mama.

- Idę! - Wstaję z łóżka. Dobrze, z tym nowym pocałunkowym planem czuję się znacznie bardziej odprężona, a nawet trochę zgłodniałam, nie za bardzo jednak, bo przecież zjadłam całą masę lodów.

Spokojne popołudnie. Do piątej uczyłam się sama w domu. Alessandra wyszła z przyjaciółką, taką jedną Sofią. Nic, tylko łążą po sklepach. Ale ma taką masę ciuchów, że w szafie jej się już nie mieszczą, a wielu z nich nigdy nie nosi. Nie przypadkiem tamtego wieczoru nawet się nie zorientowała, że wzięłam jej spódnice. No, to i lepiej, zresztą jej sprawa, ja dobrze na tym wychodzę i tyle. Potem mama Clod przyjechała po mnie i razem pojechaliśmy na gimnastykę.

Bywa, że przez Clod nie wyrabiam. Znaczący, siedzimy na sali gimnastycznej w CTI na Lungotevere, która strasznie się Clod podoba, tyle że całej masy ćwiczeń nie robi wcale, bo się wstydzi. Mimo że w ogóle w gimnastyce artystycznej świetnie jej idzie. Jasne, jest trochę okrągła. Trochę bardzo okrągła. Ale ma wycucie rytmu, zapal i determinację. Tylko raz, na poręczach mało się nie udusiła.

Aldo akurat też wtedy tam był.

Aldo to nieprawdopodobnie zabawny koleś, cały czas się wygłupia, śmieje się, żartuje, naśladuje masę osób, tyle że za każdym razem, kiedy się pod kogoś podszywa, to rzuca: „Jesteście gotowe? A kim teraz jestem? Co? Kim jestem?”. I udaje czyjś głos. A my z Clod popatrujemy na siebie. Ja nigdy nikogo nie rozpoznaję i nawet nie przychodzi mi do głowy niczyje imię, jakiegokolwiek. Clod za to wymienia wszystkich znanych Włochów, zarówno tych z przeszłości, jak i teraźniejszości, cudzoziemców też, bo ja wiem, Brada Pitta, Harrisona Forda, Johnny'ego Deppa, co zresztą jest niedorzeczne, bo tak czy siak nie mówią po włosku, więc w takim razie powinna zgadywać imiona i nazwiska aktorów dubbingujących.

Słowem Clod za wszelką cenę próbuje odgadnąć. Ja prawie od razu sobie odpuszczam, bo nie sposób zrozumieć, o kogo chodzi, i mi się odechciewa, za to Clod nadal wymienia najdziwniejsze postaci, najbar-

dziej niedorzeczne, o niektórych w życiu nawet nie słyszałam. Według innie specjalnie je sobie wcześniej przygotowuje. Zresztą koniec końców sama jest nieprzytomna. Ja już jakiś czas temu sobie darowałam, a Aldo patrzy na nas rozbawiony, najpierw na nią, potem na mnie, później jeszcze raz na nią i znów na mnie.

- Poddajecie się, co? Poddajecie?

Patrzę na Clod. I nie mam już żadnych wątpliwości. - Tak, tak, słuchaj... poddajemy się.

- To był Pippo Baudo!

- Pippo Baudo?

- No, tak!

Odwracam się i odchodzę. Za to Clod nie rusza się na krok.

- Świetnie, słuchaj, znakomicie. To prawda, rzeczywiście jak żywy... Faktycznie! Miałam to na końcu języka. Nie mogłam sobie przypomnieć, jak się nazywa!

Kiedy przychodzi do damskiej przebieralni, od razu ją dopadam. - Nie wierzę! Jak możesz być taka nieszczerą. To mógł być każdy, tylko nie Pippo Baudo! Na okrągło masz go w telewizji i co, nie poznajesz? Skoro tak, to już ja sama o wiele lepiej go udaję!

- I co z tego? - Jest wkurzona, siada na ławce i zmienia jedynie buty.

- Jak to co z tego?

- Nawet jeśli to robię, by mu sprawić przyjemność, co ciebie to obchodzi?

- Mnie? Nic! Tylko że może powinniśmy być w porządku wobec samych siebie, postępować uczciwie.

Clod wstaje i wkłada na siebie bluzę od dresu. - Jak to możliwe, że nic nie rozumiesz?

- Słuchaj, kompletnie nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

- To nie takie trudne... Wprost przeciwnie, akurat dla ciebie to łatwizna! -1 zbiera się do odejścia. Więc ją dopadam, chwytam za ramiona i odwracam do siebie.

Sorry, ale co chcesz przez to powiedzieć? A co mnie to w ogóle obchodzi, czy tamten koleś potrafi naśladować innych, czy też nie? Jeśli o mnie chodzi, to może nawet występować w konkursach. Co miałaś na myśli, mówiąc: „Akurat dla ciebie to łatwizna”?

- Nic.

- Jak to nic! Przecież tak powiedziałaś! I co? Co takiego to dla mnie łatwizna?

- Łatwizna. Łatwizna, bo... Dokładnie w tej samej chwili wchodzi Carla, mama Clod.

- Jesteście gotowe?

- Dla ciebie to łatwizna... bo ty całowałaś się już z trzema! - I wybiega, zostawiając mnie sam na sam z Carlą, która patrzy na mnie z otwartymi ustami. Udamę, że nic się nie stało, zmieniam koszulkę i wkładam dres.

Przysięgam wam, że droga powrotna do domu była koszmarem. Po pierwsze dlatego, że nie mogłam porozmawiać ze swoją przyjaciółką, gdyż była z nami jej mama, a po drugie, bo sama sprzedała swojej matce taką wiadomość. I jak to, co teraz ma sobie myśleć ta kobieta? Czy powie o tym mojej matce? Czy uzna, że spodziewała się po mnie czegoś lepszego? Znaczący, nie pozwoli, bym nadal spotykała się z jej córką, bo jestem zepsutą dziewczyną? Bo ja wiem. Przysięgam wam, że to było straszniejsze od najgorszego bólu głowy. I jeszcze ta cisza w samochodzie. Przytłaczająca cisza. I masa myśli, których nie potrafiłam powstrzymać, lawina, burza. Uczucie nienawiści do Lorenza, do Gibba i zwłaszcza do Fila. I na dodatek uczucie nedorzecznego nienawiści do Alis i Clod, które o wszystkim wiedziały, i jeszcze bardziej absurdalne uczucie nienawiści do samej siebie, że im o tym opowiedziałam! I uczucie szczególnej nienawiści do Carli, mamy Clod, że musiała wejść akurat w takiej chwili! Cholera jasna!

Wysiadam z samochodu.

- Do widzenia... i dziękuję. - I zmykam w stronę wejścia na klatkę, nie dodając nic więcej. Wbiegam po schodach na górę. Kto wie, o czym będą rozmawiać w samochodzie, w drodze powrotnej. Nietrudno zgadnąć! Będą mnie obgadywać.

Otwiera mi Ale.

- Cześć. - I idę do siebie do pokoju. Zdejmuję kurtkę i od razu wchodzę na MSN. Na szczęście jest Alis i wszystko jej opowiadam.

To normalne, że się pokłóciliście, nigdy nie pomyślałaś, dlaczego to akurat ona powiedziała, że dla ciebie to łatwizna?

Więc ja się dopytuję, o co jej chodzi, lecz Alis ostatecznie mówi, że sama muszę do tego dojść. Więc wyciągam się na łóżku. Puszczam płytę od Massiego, jestem pewna, że jakoś mi pomoże. Głowią się, aż w końcu przychodzi mi coś do głowy. Ale czyżby to naprawdę było to? Od razu wchodzę na MSN i na szczęście Clod też już jest aktywna, odnajduję ją.

Przepraszam... Nie pomyślałam. Chyba już wiem... Ale mnie też wcale tak łatwo to nie przyszło! IŁY... Nie piszemy nic więcej, dajemy sobie słowo, że porozmawiamy o tym w szkole.

I tak, następnego dnia, na długiej przerwie, odchodzimy razem na bok.

- Clod... To nieprawda, że ty też w tamte wakacje całowałaś się z chłopakiem, tak? :

Clod patrzy na mnie z poważnym wyrazem twarzy.

- Dlaczego?

- Powiedz sama, czy zgadłam.

- Mhm... - potakuje zmartwiona. A ja się do niej uśmiecham i wzruszam ramionami.

- To nie takie ważne. Mnie przytrafiło się to przypadkiem, sama się nie spodziewałam. Tak właśnie było z Lorenzem.

- Tak, a potem z Gibbem i Filem! To już zaliczyłaś trzech!

- Ale to bez znaczenia! Ja muszę pocałować Massiego.

- I jego też!

- Wyłącznie! Całowałam się z tymi, których nie chciałam, więc w pewnym sensie to się nie liczy.

Clod zanosi się śmiechem. - Słuchaj, jesteś niemożliwa, potrafisz odwracać kota ogonem! Moja mama zawsze tak mówi...

- Ha! A co powiedziała wczoraj, gdy się pożegnałyśmy?

- Zaczęła się ciebie czepiać...

- To znaczy?

- Powiedziała, że to niewłaściwe zachowanie. Ale ja stanęłam w twojej obronie, powiedziałam: „Słuchaj, mamo, co ty możesz o tym wiedzieć? Nic nie mów, bo nie masz prawa się na ten temat wypowiadać, skoro nic nie wiesz, to nie w porządku. A poza tym Caro to moja Przyjaciółka”. A ona na to: „Tak, ale fakt, że jest twoją przyjaciółką,

nie jest równoznaczny z tym, że może postępować niewłaściwie!". A ja jej na to: „Wcale nie postąpiła niewłaściwie... tylko została w to zamieszana". A ona: „No, wobec tego mam nadzieję, że ty nie będziesz zamieszana w takie rzeczy". „A właśnie, że tak", ja jej na to! „Mam nadzieję, że też będę zamieszana!". I wysiadłam z samochodu.

Patrzę *na nią*. Wystąpiła w mojej obronie, mimo że przeszkadza jej to, co zrobiłam, bo ona sama ma to jeszcze wciąż przed sobą. Wstawiła się za mną przed własną matką. To wielki dowód przyjaźni. Uśmiecham się do niej.

- Clod, nie martw się. Dojdzie do tego, kiedy najmniej się będziesz spodziewać. To nie takie ważne. - Na co ona mi się przygląda. Ma lekki smutek w oczach.

- Rozumiem, ale wszystkie jesteście już tyle przede mną. Alis przez cały zeszły rok była parą z Giorgiem, tym z trzeciej D. Całowali się nawet pod szkołą, na oczach wszystkich. Wiesz, jaka ona jest, specjalnie to robiła, być może nawet było jej wszystko jedno, ale i tak to robiła! A kiedy ja się będę z kimś całować?

Uśmiecham się i rozkładam ręce. - Niedługo, zobaczysz, bardzo niedługo... - I otaczam ją ramieniem, obejmuję i idziemy razem. - Postawię ci drugie śniadanie, chcesz? Jeszcze nie zjadłam swojego. Dobre, chleb na oliwie z nutellą.

Ale kiedy je rozpakowuję, przeżywam lekki zawód. O nie... Mama zmieniła koncepcję. Dała mi kanapkę z salami, pokrojoną w cieniutkie plasterki. Też mi atrakcja! Powiedziałam, żeby mnie uprzedzała, kiedy zmienia dodatki do kanapek! Oj, nic to, zresztą, tak już ma.

- Ale ci dobrze, twoja mama tak o ciebie dba! - rzuca, wyjmuję mi kanapkę z ręki i od razu bierze wielkiego gryzą. Kiedy odrywa buzię, w ręku zostaje jej niespełna połowa. A to ci dopiero! Ale nic nie mówię, obejmuję ją, gdy tymczasem ona zjada moją kanapkę. Zaraz się odwraca, patrzy na mnie i się uśmiecha.

- Tylko jedna rzecz, Caro. Ani mi się waży całować z Aldem! Przytulam ją trochę mocniej.

- Nie wiem, moja droga, po prostu nie wiem, muszę się zastanowić... A zresztą, sorry... Chciałyście mi gwizdnąć sprzed nosa Matta! A poza tym same powiedziałyście, że jesteśmy przyjaciółkami i mamy się

wszystkim dzielić! Czy nie tak? A, i zostaw mi kawałek drugiego śniadania! - Wyrrywam jej swoją kanapkę i zwiewam.

- Okropna...

- Ciauuu! - Ale już mnie nie dorwie, bo właśnie wpadam do sali.

Popołudnie bez rewelacji. Październik, słodkie nieróbstwo... Czy to przypadkiem nie chodziło o kwiecień? Bo ja wiem. A zresztą pada. Po kiego grzyba ten deszcz? Wymyślam sobie taką zabawę. Jeden krok - znajdę cię. Dwa kroki - nie. Trzy - może jutro. Cztery - za jakiś czas. Pięć - nie nadaje się dla mnie. Wymyślam nową zabawę z kwadratowymi płytkami u mnie na posadzce. Skaczę z zamkniętymi oczami. Jeśli wyląduję na jednej płytce, to się równa tyle, co jeden krok, i odnajdę Massiego. Jeśli zaś stanę na dwóch, to już go więcej nie spotkam. Jeśli przypadkiem skoczę bardziej zamasyście i stanę na trzech naraz, być może właśnie jutro go spotkam. Jeśli będzie tak, że wyląduję na czterech, to zobaczę go znów za tydzień, a jeśli skończy się na pięciu, to pomyliłam się na całej linii. Kiedyś babcia mi opowiedziała o pocałunku wywróżonym z płytek. A może chodziło o taniec? Tak czy owak nie mam ani z kim się całować, ani tańczyć, zresztą w moim przypadku chodzi o jedną i tę samą osobę, o Massiego. Dobra, spróbować można. Proszę... skoczyłam z lekko rozstawionymi nogami. Nie wierzę. Wylądowałam na tej samej płytce. Massi... Znajdę cię! A skoro dzisiaj tak dobrze mi idzie, postanawiam zrobić sobie test.

Znalazłam mnóstwo takich testów-ankiet w Internecie, z różnymi pytaniami. Podobają mi się. Jeśli po upływie jakiegoś czasu człowiek przeczyta sobie odpowiedzi, to zobaczy, jak bardzo się zmienił!

Która godzina? 19.00

Gdzie jesteś? U siebie w pokoju.

Co robiłaś? Słuchałam Tokio Hotel, puściłam sobie wideo *By Your Side* na YouTube.

Jesteś w dobrym humorze? Dosyć, ale dziś rano byłam w lepszym. Co wczoraj robiłaś? Wyszłam się spotkać z Alis i Clod.....

Myślisz, że dasz radę odpowiedzieć na kolejne pytania? Jeśli Huibu mnie nie porwie, to tak.

Podobają ci się pizamy Benettona? W jakim sensie? Dlaczego akurat te? Masz w tym jakiś interes?

Podoba ci się zapach dopiero co zgaszonej zapalniczki? Tak.

Lubisz, jak obejmują cię osoby wysokiego wzrostu? Tak, kojarzą mi się z *dachem*.

Często składasz obietnice? Tylko te, które mogą być spełnione. Czy jesteś teraz dobrej myśli? Tak.

Czy ostatnio zmieniłaś zdanie na jakiś temat? Tak, na temat miłości od pierwszego wejrzenia!

Miejsce, w którym cię teraz nie ma, i jesteś z tego powodu naprawdę szczęśliwa? Klasa.

Miejsce, w którym chciałabyś być? Na motorze z Massim.

Chciałabyś się nazywać Chantal? W sumie to nie.

Co masz na podkładce do myszki? Psa.

Popatrz na prawo, co widzisz? Półki z książkami i taboret.

Popatrz na lewo... Drzwi.

Co zwykle robisz w sobotę wieczorem? Po południu wychodzę się spotkać z Alis i Clod, rzadziej po kolacji, ale o dwudziestej trzeciej muszę być z powrotem i nie wypuszczam się za daleko od domu.

Lokal, który najbardziej lubisz? Mała herbaciarnia Ombre Rossę na Trastevere.

Lubisz pić? Wodę, tak.

Gdybyś miała zmienić wygląd? Postawiłabym na gotyk... Ale nie wiem, czy byłoby mi do twarzy. Conversy albo vansy, czarne paznokcie, wyprostowane włosy z asymetryczną grzywką. Coś mi się zdaje, że Clod lepiej by wyglądała. W każdym razie znalazłam superstronę: www.starstyle.com, która pomaga naśladować styl gwiazd! Zgadnijcie, kto mi o tym powiedział? Alis!

Po teście wyszłam i znów powędrowałam do księgarni Feltrinelli, żeby sprawdzić, czy przypadkiem Massi nie pojawił się tam ponownie.

Gdy jechałam autobusem, próbowałam sobie wyobrazić, jak wygląda

jego życie, co robi, kim jest... Według mnie... Nie według mnie. Niektóre rzeczy wiem. A zatem: jest z Rzymu, ma około osiemnastu, dziewiętnastu lat. Wtedy odjechał na nowym, wypasionym, sportowym motorze, zatem musi pochodzić z zamożnej rodziny. Mógłby też mieszkać w centrum. Oj, mało się nie wywrócić! Autobusem zarzuca na całego. Kierowca, a jakże, dodaje gazu... Trzymam się rączki, która zwisa z góry, i staram się nie stracić równowagi. Wyglądam na zewnątrz i przez chwilę mam wrażenie, że go widzę. Mijamy jakiegoś chłopaka. Nie, to nie on. O Boże, mam zwidy! Wszędzie go widzę, ale ten koleś jest za wysoki! A jednak... Niezły. Nie, absolutnie się nie nadaje, jest z jakąś laską. A poza tym... nie umywa się do Massiego. A zresztą w życiu nie dałabym rady związać się z facetem, który już ma dziewczynę. No bo, sorry, jest nas całe zatrzęsienie, to niby z jakiej racji miałabym akurat wybrać sobie kogoś, kto już jest zajęty? Chodzi o to, że gdy się całujecie, to on wciąż ma smak tamtej poprzedniej. Ble! Ale rzyg. A jednak gazety i telewizja nie trąbią o niczym innym. Jak już wreszcie pocałuje mnie koleś taki jak Massi, to będę go pilnować i nikomu nie oddam, bo kto by pozwolił takiemu uciec? Też dlatego, że uważam go za chodzący ideał. Mógłby być wielkim sportowcem, powiedział mi, że jest studentem, poznałam go w księgarni, więc chyba czyta. W każdym razie nie jest kujonem, bo na dodatek ma pojęcie o muzyce. Dał mi w prezencie Jamesa Blunta! Ale znał też Amy Winehouse i Eddiego Veddera! Zatem musi być super! Nie wiem... Przez dłuższą chwilę widziałam go w księgarni Feltrinelli i wcale się nie rzucił do grania na tych głupich PlayStation ani nie robił tych wszystkich innych rzeczy, którymi zajmują się niektóre małolaty. I niektórzy dorośli też. W tym akurat mój brat też różni się od reszty gości, których znam. O Boże, nie to, że bym ich aż tylu znowu znała... W każdym razie dla mnie Rusty James nie ma sobie równych, mój chłopak powinien być właśnie taki jak on! Taki, który kocha pisać, malować, fotografować, który jest twórczy, słowem, zawsze pełen marzeń. A to jego opowiadanie było cudowne. Podobało mi się na maksa, a skoro je opublikowali, to musiało też zrobić wrażenie na kilku ważnych osobach! Nikt go przecież nie protegował, a zatem to, co napisał, jest wartościowe. Z pewnością poruszył wyobraźnię. Albo Poszedł tam, do redakcji gazety, wziął ze sobą tekst i się okazało, że

szefem jest kobieta. Tak, właśnie, kobieta, trochę od niego starsza. To też jest coś dziwnego. W naszych czasach wszystko jest możliwe... Jednak to, że kobieta zakocha się w młodszym od niej chłopaku, sprawia, iż czuję się nieswojo. Chyba dlatego, że nawet własnych rówieśników czasami uważam za tak strasznie infantylnych. Jeśli miałabym być trochę starsza od szkolnych kolegów, to jeszcze mniej bym się z nimi liczyła! A zresztą! Poza tym mężczyźni od zawsze mają przy boku młodszą kobietę. No, jeśli chodzi o historię, to sama dobrze nie pamiętam. Adam i Ewa, dajmy na to, z pewnością byli właśnie takim przypadkiem, chociaż chyba różnica mniej rzucała się w oczy, skoro ona jest niczym innym jak pochodną jego żebra. Nie ma co, dziwni to oni byli, przebywali w bajecznym miejscu, zero pojazdów, cisza i spokój, zieleń, żadnych napisów, zero smogu, zero szkoły... Nie, słowem, w raj, i czy naprawdę koniecznie trzeba było wszystko popsuć, i tylko po to, by zjeść sobie jabłko! A weźże ty idź na dietę, co? Albo wybierz sobie jakiś inny owoc. Mówili ci, żeby tego nie ruszać, to nie ruszaj! W końcu to żadna filozofia, by oprzeć się pokusie zjedzenia jabłka. A zresztą kto ci powiedział, żeby go nie ruszać! Nie byle kto! To On powiedział! A ty co robisz? Sięgasz po nie, jakby nigdy nic! A skoro tak, to się zwyczajnie prosisz!

Zresztą, lepiej się nad tym nie zastanawiać. Wchodzę do Feltrinelli. Koniec końców te księgarnie bardzo się zmieniły w porównaniu z tym, co było wcześniej. Jest dużo muzyki, bar w środku, kanały telewizyjne, płaskie ekrany i wideo na okrągło. Jest ochrona, która sprawdza wszystkich wychodzących, i nie wiem dlaczego, ale raz na jakiś czas bramka piskliwie dźwięczy. Uważam, że tak naprawdę ochroniarz zatrzymuje przypadkowe osoby, oceniając potencjalnego złodzieja na podstawie wyrazu twarzy czy tego, jak jest ubrany.

- Przepraszam panią... - I zatrzymuje kobietę, całkiem poważną, ale tak poważną, że zanim ona coś ukradnie, ja już zdążę obrobić cały bank.

- Tak. - Kobieta się uśmiecha. Coś mi się zdaje, że ona sądzi, iż koleś chce ją wyrwać!

- Mogę? - Ochroniarz wskazuje jej plastikową torebkę. Rozchyła ją, sięga po paragon, który leży na dnie, i podstawia sobie pod nos, czyta, sprawdzając, co takiego rzeczywiście kobieta ma w środku.

- Dziękuję... - Wygląda na to, że wszystko jest w porządku. Kobieta nic nie odpowiada. Unosi brodę, następnie zadziera głowę, prostuje się i pełna nieskrywanej wyższości, odchodzi! Najwyraźniej miała nadzieję, że ochroniarz będzie chciał ją wyrwać. I po tej przezabawnej scenie postanawiam sama zrobić rundkę. Przechodzę wzdłuż półek. Nic. Ani śladu Massiego. Właśnie, dokładnie w tym miejscu widzieliśmy się po raz pierwszy. Mało tego, tu skrzyżowały się nasze spojrzenia... moje i jego. Sięgam po słuchawki i znów włączam Jamesa Blunta, tę płytę, którą mi podarował. Gdyby to było takie magiczne zaklęcie, które sprawia, że za jego sprawą on się pojawia... Zamykam oczy i słucham dalej. Trzymam dłonie na słuchawkach, lekko kiwam głową. Proszę, spraw, żeby czary zadziałały. I trochę też nucę, myśląc o nim. Właśnie kawałek który mi się podoba, dobiega końca. Powolutku otwieram jedno oko, potem drugie. Nic. Miejsce, w którym wtedy się zjawił, jest puste. I zaraz, nieee, nie mogę w to uwierzyć.

- Cześć, Carolino. A ty aby nie masz już tej płyty? Czy to nie ta sama, którą ci podarował tamten chłopak, co przepadł?

To Sandro, tutejszy sprzedawca. Zdejmuję słuchawki. Ale jak to możliwe? Czy to ktoś potrzebny od zaraz, czy zaraza? Za każdym razem, kiedy tu zaglądam, trafiam na niego... Zawsze mnie dopada! Chyba jednak pracują na zmiany, nie?

- O, tak, mam ją, ale chciałam przesłuchać jeden kawałek... Tak mi się zachciało.

Sandro unosi brew, zdaje się, że nie bardzo mi wierzy. Ale po chwili postanawia zająć się tym, za co mu płacą. - Myślałem, że słuchasz Tokio Hotel! Wiesz, że jest nowa płyta Justina Timberlake'a, rewelacja! Strasznie się podoba dziewczynom w twoim wieku.

Patrzę na niego. A to dlaczego, że niby ile ja mam lat? Wiecie co! Ale szczerze mówiąc, wisi mi to.

- No, ja tam za nim nie przepadam, wolę Finley, a tak w ogóle to przyszłam, bo muszę kupić książkę.

~ O, dobrze, wreszcie skończyłaś tamtą... Podobała ci się Zoe Trope? - Dosyć.

Dotrzymuje mi towarzystwa, gdy tak przemierzamy różne działy. Faktycznie, potem już niczego nowego nie przeczytałam, może to dlatego,

że szkoła zajmuje mi kupę czasu, lub też, jak mi się zdaje, ostatnio nie ma niczego sensownego do czytania. Słowem, mam na myśli taką książkę, że gdy tylko ją zaczniesz, to od razu cię trafia! Wcześniej czytałam horrory R.L. Stine'a, które były całkiem niezłe. Niespecjalnie przypadł mi do gustu Geronimo Stilton, za to świetnie się bawiłam przy Harrym Potterze, ale przy trzecim tomie dałam sobie spokój.

- Czytałaś kiedyś Moccie? - Sandro niczym granat ręczny gwałtownie wrywa mnie z zadumy.

- Nie! - Chyba jestem jedyna w całej klasie, która go nie czytała, ale uważam za niedorzeczne to, że gość opowiada takie historie.

- Jak to? Jest ogromnie popularny, zwłaszcza wśród twoich rówieśniczek!

- Właśnie dlatego! Nie rozumiem, dlaczego opowiada wyłącznie

O pięknych ludziach bez ani jednego pryszczka, na dodatek z kupą kasy, wszyscy mają wypasione fury, chodzą na wszelkie możliwe imprezy, mieszkają w obłądnych miejscach, potem się zakochują i lądują trzy metry nad niebem!

Uśmiecha się do mnie. - No, pewnie, ludziom podobają się piękni i bogaci, ale jest coś jeszcze, Carolino, słuchaj, to wcale nie tak...

Oj, a co to za jeden... czyżby przyjaciel Moccii? - Cóż, ja tak uważam... A poza tym widziałam film ze Scamarcio...

- Podobał ci się?

- Aktor tak, film ujdzie...

Przechodzi obok nas śliczna dziewczyna, to musi być jakaś koleżanka

Sandra. Też ma plakietkę, nazywa się Chiara. - Cześć, Sandro, właśnie dotarły nowe moleskine'y, jeśli będziesz ich szukał, to położyłam je za pierwszą kasą.

- Okay. - Widzę, jak się rumieni. Idziemy kawałek dalej. Odwraca się na chwilę i popatruje na dziewczynę. Ona idzie szybko, jest wysoka, ma długie, mocne nogi, kasztanowe włosy, które opadają jej swobodnie i falują powyżej czarnej spódnicy, do której włożyła bordową kamizelkę, taką samą, jak ma Sandro, to najwyraźniej coś w rodzaju stroju służbowego.

- Ładna...

Sandro patrzy na mnie.

- No.

- Bardzo ładna.

Sandro znów na mnie spogląda, ale tym razem nic nie mówi, wprost przeciwnie, stara się zmienić temat. - Wiesz, która książka mogłaby ci się spodobać? *I Love Shop-ping* Sophie Kinselli. Opowiada o tym, że zakupy bez umiaru to tak naprawdę sztuka.

_ Mnie akurat laska, która podpowiada, jak wydać kupę kasy, wkurza na dzień dobry.

Sandro zanosi się śmiechem. - Tak, masz rację, rozumiem cię.

Podchodzimy do regału pełnego książek z napisem: Proza. Patrzę na niego. - Ty dużo czytasz?

- Dosyć, lubię czytać, a poza tym uważam, że chcąc dobrze wykonywać ten zawód, trzeba naprawdę wiedzieć o tym, co sprzedajesz, znać historie, wiedzieć, co takiego chciał ten czy tamten autor przekazać... Nie możesz się ograniczyć tylko do informacji z plecków czy skrzydełek okładki, czy też do tego, co przeczytasz, kiedy na chybił trafił otworzysz książkę, albo jeszcze gorzej, polegać na tym, co piszą w gazetach krytycy, lub tym, co ci opowiedzieli niezorientowani sprzedawcy. Lektura książki to szczególny moment, kiedy nagle ożywają jakieś postaci, a ty, czytając to co mówią, czują, przeżywają i jak cierpią, możesz się przekonać, czy dany pisarz jest dobry. Bo każde jego słowo stało się częścią tych postaci, które tym samym ożyły... Ale tylko dla tych, którzy naprawdę o nich przeczytali, stają się one rzeczywiście żywe. - Patrzy na mnie i się uśmiecha. Pewnie ma około trzydziestki.

- Kurczę... Ładnie powiedziane. Znaczący, te poglądy, które przedstawiłeś, naprawdę robią wrażenie... Szczęściarz z ciebie.

- Dlaczego mi to mówisz?

- To nie ja. Moja mama zawsze tak mówi. Szczęściarzem jest ten, kto wykonuje pracę, którą lubi. - Dokładnie w tej samej chwili znów mijają nas jego koleżanka Chiara. - Ej, lubicie swoje towarzystwo, co? Gadacie jak najęci! Fajnie... -1 zaraz się oddała. Sandro tkwi w miejscu, zachwycony, patrzy na nią i się uśmiecha. Aua... Wyczuwam kłopoty. Albo szczęście. - Jesteś podwójnym szczęściarzem.

Sandro się do mnie uśmiecha. - A z ciebie niezła spryociuła. Trzymaj... Zdejmuje książkę z półki. - Masz ją ode mnie w prezencie.

Wracam do domu i jestem bardzo zadowolona. Teraz Sandro wydaje mi się sympatyczny. Na początku myślałam, że jest jednym z tych

dziwnych koleśków, którym podobają się maolatki, nie to, żebym sama była aż taka znów niedoroślą, a jednak, jeśli jakiś trzydziestolatek zafiksuje się na takiej dziewczynie jak ja, to to nie może być normalne. W każdym razie ja nigdy bym się nie związała z facetem w tym wieku. Za to Sandro jest bardzo pracowity, na dodatek kocha swoją pracę, i w końcu zrozumiałam, że jego zachowanie wynikało z czystej sympatii. Mało tego, autentycznie wziął sobie do serca moją desperacką i skazaną na porażkę próbę wytropienia Massiego... I z tego powodu nawet pomyślałam sobie przez chwilę, że jest on takim trzydziestolatkiem, któremu nie podobają się maolatki... tylko mężczyźni. Nie mam pojęcia, dlaczego przyszło mi coś podobnego do głowy. Chyba dlatego, że w dzisiejszych czasach wydaje mi się rzadkie, by ludziom udawało się znaleźć czas na zajmowanie się kimś innym, tak by za tym nie krył się jeszcze jakiś powód. Ale potem, gdy zobaczyłam, jak patrzy na Chiare, przestałam mieć jakiegokolwiek wątpliwości. Nawet nie to, że podobają mu się kobiety. Więcej! Jest ślepo zakochany w tej ślicznej dziewczynie i kto wie, czy w ogóle próbował ją poderwać, bo ja wiem, czy tylko wodził za nią nieprzytomnym wzrokiem, jak jakiś głupek. Nie ma nic gorszego niż człowiek, którego kompletnie zatyka, gdy ma do czynienia z pięknem miłości. Cholera jasna! Aż tak często nam się to w życiu nie przytrafia. Ja to wiedziałam i rzeczywiście, kiedy zjawił się Massi, byłam gotowa postawić wszystko na jedną kartę. Tyle że przeznaczenie podstawiło mi nogę. Kradzież komórki to doprawdy przegięcie, nie mogłam tego przewidzieć. Dostyc, nie chcę więcej o tym myśleć.

Wracam autobusem do domu. Udało mi się nawet znaleźć miejsce siedzące. Ta książka, którą mi podarował Sandro, jest przezabawna. Wystarczy coś sobie pomyśleć, otworzyć ją na jakiejś stronie i ma się przed sobą odpowiedź. To *Księga przepowiedni*. Kultowa rzecz. Zwykle sama sobie zadajesz masę pytań i nigdy nie znajdujesz odpowiedzi, a zwłaszcza nie masz odwagi zwrócić się po nie do kogoś innego, bo jakby się tylko dowiedzieli, co myślisz, pewnie większość tarzałaby się ze śmiechu. Za to taka książka to doskonała rzecz. A poza tym... nie wybuchnie śmiechem! No tak, pierwsze pytanie jest pewnie łatwe do przewidzenia, ale koniecznie muszę je zadać. Czy spotkam znów Massiego? *Zamykam oczy*. Kładę dłonie na książce, tak sobie, żeby spłynęło

na nią trochę mojej ufności i przede wszystkim by autentycznie odczuła moje pragnienie ujrzenia go raz jeszcze... Nie, chcę, żeby to naprawdę do niej dotarło. Po chwili otwieram oczy i pewna siebie zaglądam do książki, tak mniej więcej w połowie. Na samym środku strony króluje zdanie, zupełnie, jakby coś czytało mi w myślach.

Nie rozpaczaj. Niedługo się stanie.

Dobrze! Co ja mówię... Rewelacja! To właśnie chciałam usłyszeć. Dziękuję, księgo. Ty rzeczywiście potrafisz wysłuchać moich modlitw. Ale jeszcze tylko jedno pytanie, dobrze? Tak żeby trochę doprecyzować... Co znaczy „niedługo”? Nie, wiesz, bo czasami może to oznaczać kilka dni lub tydzień albo całe miesiące, nawet lata! I słowem, chciałabym to „niedługo” dobrze odczytać. Więc chwilę się namyślałam, zamykam oczy, kładę dłoń na okładce, by przelać całą swoją ciekawość, i znów zaglądam do książki tak w połowie. Tym razem odpowiedź rzeczywiście domaga się poważnej interpretacji.

Należy być praktycznym.

I komu ty to mówisz! Praktycznie od razu przeszłabym z Massim do rzeczy! Ale kwas. Ale, księgo moja, co chcesz powiedzieć? Ze nadal mam go szukać, mam się bardziej postarać? A może bycie praktyczną oznacza, że mam sobie go odpuścić i znaleźć kogoś nowego, co byłoby łatwiejsze? Słowem, tysiące pytań rodzi się w mojej głowie. I kiedy już chcę spróbować odszukać nową stronę w książce, dociera do mnie, że jednej rzeczy mogę być absolutnie pewna: przegapiłam swój przystanek! Natychmiast wciskam guzik postojowego na żądanie. Tym samym mam gwarancję, że zatrzyma się na następnym przystanku, tylko że stamtąd mam bardzo daleko do domu!

- Przepraszam... - zwracam się do kierowcy. - Czy mógłby się pan tu zatrzymać? *Przegapiłam przystanek.* Bardzo pana proszę.

Odpowiada, nawet na mnie nie patrząc. - Nie wolno nam, to wbrew regulaminowi...

- Dziękuję, a jakże. - Dziękuję, lecz w rzeczywistości myślę coś całkiem innego. Beznadzieja, niecierpliwie się i wracam do środkowych drzwi. Pewnie, że wam nie wolno, bo to ja nie wiem? Dlatego tak grzecznie go o to poprosiłam! Co to za odpowiedź? Tak niewiele trzeba,

by okazać życzliwość bliźniemu. Nic, do dupy... Muszę teraz wysiąść na

następnym przystanku. A tak w ogóle, to nie mogliby go zrobić trochę bliżej? Kobieta, która usłyszała, jak pytałam kierowcę, wrywa mnie z zadumy.

- Nie mogą otwierać za każdym razem, kiedy ktoś ich o to prosi, w przeciwnym razie na co komu przystanki?

Patrzy na mnie, jakby chciała powiedzieć: „Jak to możliwe, że sama nie rozumiesz?”. Chciałabym jej odpowiedzieć: „Co do przystanków, to mogę się zgodzić, ale na co komu taka upierdliwa baba? Zrozumże, kobieto, iż sama to wiem! A co masz do dodania, no? Co więcej masz mi, kobieto, do powiedzenia?”. Ale dokładnie w tej samej chwili autobus staje, przyklejam się do drzwi i jak tylko się otwierają, wyskakuję pędem i zaczynam biec jak szalona w stronę domu. -

Dzwonię domofonem.

- Kto tam?

- Ja.

Biegiem pokonuję schody. Dzwonię do drzwi, otwiera mi Ale.

- Cześć... - Po chwili przemierzam korytarz. - Mamo, wróciłam. Gdzie oni się podzieli? Nikogo nie ma w kuchni. Przeszklone drzwi

od salonu są zamknięte. Alessandra przechodzi tuż obok mnie. - Są tam. Według mnie trochę im to zajmie... Ja już jem. - I idzie do kuchni. Chyba się do niej przyłączy. Ale wcześniej chcę wiedzieć, co się dzieje. Zżera mnie ciekawość. Toteż podchodzę bliżej. Słyszę głos mamy.

- Może się jeszcze rozmyśli.

Ojciec jak zwykle się wydziera. - A pewnie, to dlatego... To twoja wina, bo za każdym razem go bronisz!

I przez szparę obserwuję całą scenę. Widzę rodziców i brata. Rusty James z poważnym wyrazem twarzy między mamą i tatą. - Ale dlaczego się kłóćcie? Tato, dlaczego podnosisz głos? Czemu zawsze czepiasz się mamy? To nie jej wina. To moja decyzja. Mam prawie dwadzieścia lat... Mogę podejmować własne decyzje, słuszne lub nie, czy nie mogę?

- Nie! Dobrze? Nie, bo są niesłuszne... Jasne? Rzucasz uniwersytet! Co może być w tym słusznego?

- To, że nie odpowiada mi studiowanie medycyny.

- O, pewnie, wolisz się poświęcić swojej pasji. Chcesz zostać scenografem.

- Scenarzystą.

R.J. kręci głową i siada na oparciu fotela. A ojciec znowu swoje: - Ach, pewnie... A wszystkie pieniądze, które wydałem, żebyś mógł studiować, żebyś skończył medycynę, żebyś jutro mógł mieć pracę? Co z nimi? Przepadły, pieniądze wyrzucone w błoto. Zresztą, co ciebie to obchodzi, prawda?

Rusty James wzdycha.

- Zwrócę ci je, chcesz? Oddam ci wszystko, co na mnie wydałeś. W ten sposób będziemy kwita.

Widzę ojca, jak wstaje od stołu, idzie do niego, chwyta za kurtkę, ciągnie za rękaw, mało chłopak nie spadnie z oparcia, i potrząsa nim z wściekłością. - Słuchaj, nie zgrywaj mi tu gościa, który ma wszystko w dupie... - Rusty James o mały włos nie łąduje na ziemi. Podnosi się i staje przed nim, twarzą w twarz. Tata jest od niego niższy. Ale i tak kończy się tym, że gotowi są skoczyć sobie do oczu i ojciec łapie go za kołnierzyk. - Zrozumiałeś? Co? Zrozumiałeś? - Wydziera się jeszcze głośniejsze, rozdziawia szeroko usta i trzyma Rusty'ego przy samej szyi za kurtkę, przystawiając swoją twarz do jego, dzieli ich przy tym zaledwie kilka milimetrów. Krzyczy coraz głośniejsze. - Zrozumiałeś czy nie? - Miejmy nadzieję, że nic się nie stanie. Przypomina to trochę te sceny z filmów, w których okazuje się, że ktoś ma nóż albo pistolet bądź pojawia się facet, który mówi najczęściej: „Ręce do góry”, i tak czy owak strzela, ktoś tam zawsze upada jak długi na ziemię, martwy. Ale jednak takie rzeczy to są na filmach. Gdy tymczasem tutaj... Tata i Rusty są coraz bliżej siebie. Tata trzyma go za kurtkę, pod samą szyją. Rusty jest niewzruszony, twardy, po chwili zaczyna napierać na niego kłatą, zmuszając, by się wycofał. Tata też napiera, nogi ślizgają mu się na parkiecie w salonie, na zniszczonym dywanie. Tata się cofa, Rusty na niego napiera, tata stawia opór, ale nie daje rady. Rusty się uśmiecha. Tata puszcza jedną ręką kołnierz kurtki i podnosi ją na wysokość twarzy Rusty'ego Jamesa, on zaś odchyła głowę w drugą stronę, niczym rumak, który wierzga, który wymyka się swojemu właścicielowi, zbuntowany, wzburzony, oszołomiony, jeszcze chwila i obaj się na siebie rzuca.

- Przestańcie, przestańcie! - Mama staje między nimi. Zanim będzie za późno, zanim sprawa trafi do gazet, zanim ta głupia próba sił

przerodzi się w coś więcej. - Stójcie! - Całe szczęście... Niewiele brakowało, żebym sama wparowała do pokoju. No, słowem, tak, chyba bym tak zrobiła. - Dosyć... Nie kłóćcie się, przestańcie...

Rusty James odchodzi na bok. Oddycha głęboko. Ma taki wyraz twarzy, jakiego jeszcze nigdy u niego nie widziałam. Tata też dyszy, ale ma krótszy oddech. Jakby brakowało mu powietrza, jakby kosztowało go to za dużo wysiłku w tych dziwnych zawodach - co tu dużo mówić - gwałtownych, na przepychanie. Po chwili odzyskuje głos, przyczesuje sobie rzadkie już, rozczochrane włosy i prawie sapie, kiedy się odzywa.

- Ja mu nie płacę za jedzenie i mieszkanie, żeby ni cholery w życiu nie osiągnął. Sam wstaje codziennie rano o świcie i idę do pracy do szpitala, żeby otworzyć przed nim drogę, gdy pewnego dnia, po skończeniu studiów, zostanie lekarzem, a on co? Ma to w dupie, pluje na pieniądze, które mu dałem, na jedzenie, na nasz dom.

- Nigdy na nic nie plułem...

- Teraz to robisz! Powinieneś mieć szacunek! Powinieneś mieć przynajmniej odwagę to przyznać. Nie pasuje ci? W takim razie nie godzisz się też, by żyć pod jednym dachem i jeść razem z nami, a potem, jakby nigdy nic, robić, co ci się żywnie podoba... Powinieneś mieć odwagę odejść z domu... - Tata patrzy na niego uśmiechnięty, jakby mu rzucał wyzwanie... Po chwili opada na jedno ze starych krzeseł w salonie. I nie przestaje się w niego wpatrywać, prawie się przy tym śmiejąc, z szyderczym wyrazem twarzy, jakby miał to gdzieś, robi to złośliwie, jak tylko on potrafi.

- No właśnie, ale ze mnie głupiec... Brak ci odwagi...

I Rusty James robi coś, czego w życiu bym się po nim nie spodziewała. Prawą ręką sięga nagle do tylnej kieszeni dżinsów. O Boże, zaraz wyjmie nóż albo gorzej, pistolet, jak już wcześniej mówiłam. Ale nie. Wyjmuje kopertę. To list. Przyglądam się uważniej. Jest na niej napis: „Dla mamy”. I rzeczywiście ją jej wręcza. - Trzymaj... to dla ciebie. - I kiedy mama bierze od niego kopertę, on po raz ostatni patrzy na tatę. - Widzisz... Już wcześniej wiedziałem, co takiego powiesz. Jesteś taki przewidywalny. - I tym razem to on się śmieje, na odchodnym. Ale ten jego śmiech jest smutny, gorzki, rozczarowany, pozbawiony autentycznego rozbawienia. W ostatniej chwili udaje mi się schować. Idę do

drugiego pokoju, gdy tymczasem on wychodzi pospiesznie. Przemierza korytarz i kieruje się w stronę drzwi wyjściowych. Słyszę trzask. Więc wracam od razu na swoje miejsce, do kryjówki, z której śledziłam dotychczasowy przebieg wydarzeń. Mama otworzyła kopertę, wyjęła list, rozkłada go. A ja podchodzę trochę bliżej do drzwi. Właśnie. Mama zaczyna czytać ze wzrokiem pełnym obaw, szybko z góry na dół i od lewej do prawej, pochłania słowa, zupełnie jakby czegoś szukała, czegoś,

O czym sama już wie. A tata na nią patrzy, chyba poirytowany, przymyka oczy, trochę pokonany przez to, że Rusty James przewidział wszystko z góry. Po chwili uderza ręką w stół.

- No! Może zechcesz mi coś przeczytać! Co to jest, czy ja w ogóle mam coś do powiedzenia w tym domu?

Mama oddycha głęboko i po chwili zaczyna: *-Mamo, nie miej mi za złe, ale jeśli dostałaś ten list, to znaczy, że stało się tak, jak myślałem. Uważam, że jesteś cudowną osobą... Która codziennie ciężko pracuje, zrywa się wcześniej rano...*

- No właśnie! Bo ja to niby śpię, ja to nic nie robię, nie pracuję, skąd, prawda? - Mama na chwilę przerywa. Patrzy na tatę. A on unosi rękę. - Tak, tak, czytaj dalej, czytaj!

Mama kontynuuje: *- Noszę ten list w kieszeni już od sześciu miesięcy. Dziś wieczór go przepisałem, bo wiedziałem, że gdy powiem tacie, iż zamierzam przerwać studia, wydarzy się to, co się właśnie stało, i że nie będzie już czasu, by Ci go zostawić. Przez te wszystkie lata było mi dobrze...* - Na chwilę przerywa, jakby łkała. Po chwili oddycha głęboko, i znowu, i jeszcze raz, głębiej,

I wraca do czytania. *- Ale sądzę, że jako dwudziestolatek powinienem nadal dążyć do szczęścia. Kiedy tata zapisał mnie na medycynę, na wszelkie możliwe sposoby starałem się dać mu do zrozumienia, że to nie tym chciałbym się zajmować w życiu. Ale on nic, jest taki uparty i na dodatek przekonany, że zna całą lekarską arystokrację...*

- No pewnie, bo on za to zna prawdziwych mędrców. Ale chcę zobaczyć, co takiego będzie robił, kiedy przerwie studia, ciekawe, co zrobi? Za co się naje? Gdzie będzie żyć? I tak musi tu wrócić!

Mama patrzy na niego i zaciska powieki, nagle sztywnieje, tata nie wie, że biada temu, kto zacznie się czepiać Rusty'ego Jamesa.

Po chwili mama oddycha głęboko, jeszcze głębiej niż poprzednio, i wraca do lektury.

- *Wiem, jak ciężko pracujesz, znam Twoją cierpliwość i miłość, i nie mam wątpliwości, że zrozumiesz mój wybór, by zarzucić medycynę i poświęcić się temu, co naprawdę mi się podoba: pisaniu. Pamiętasz, jak ci czytałem wypracowania z włoskiego? Raz mi powiedziałaś, że dobrze się przy nich bawiłaś, doprowadzały Cię do śmiechu i że Cię wzruszały. Właśnie, mam. Chciałbym, żebyś rozumiała, że w jakiś sposób to Tobie zawdzięczam tę odwagę, by nie lekceważyć swojej pasji. Nie chcę wieść smutnego życia sprowadzającego się do tego, że mija dzień za dniem, i liczyć jedynie na to, że czas będzie sobie płynął, bez uśmiechu, emocji, nadziei na upragniony sukces, tak, jestem gotów nawet upaść, a potem się podnieść z jeszcze jednym postanowieniem, by starać się osiągnąć cel, poradzić sobie. Mam możliwość przeżywania tego entuzjazmu, który nawet Ty sama w jakiś sposób musiałaś w sobie zagłuszyć. Chcę zostać pisarzem, pisać dla filmu, dla teatru lub po prostu powieści, lubię czytać, uczyć się, poznawać teksty innych autorów, lubię to wszystko, co nigdy nie interesowało taty. Tysiące razy próbowałem powiedzieć mu, czego pragnę, a on za każdym razem miał coś lepszego do roboty: a to oglądał mecz, a to czytał „Corriere delio sport”, a to chodził grać w karty z przyjaciółmi. Nie sądzę, żeby tak naprawdę obchodziła go moja decyzja. On już taki jest, nie chce przyznać, że przynajmniej inni mają swoje pasje. Dziękuję, mam, za to wszystko, co mi dałaś, a przede wszystkim za to, że to właśnie Tobie zawdzięczam tę odwagę. Jestem tego pewny, tylko od Ciebie mogła ona pochodzić i mierzyć wysoko w górę, by wieść inne życie od tego, które ktoś inny, bez miłości do mnie, już wcześniej dla mnie wybrał.*

Tatę krew zalała. Nagle podrywa się, wrywa mamie list. - Świetnie. Znakomicie, widziałaś? To twoja wina, że o tej porze, po całym dniu pracy, muszę wysłuchiwać tego pieprzenia! - I drze go na co najmniej trzy kawałki.

- Nieee! Stój! - Mama rzuca się na tatę. I walczą. Udaje jej się go zatrzymać, zanim podrze papier na tysiące kawałków. Chwilę później lądują na ziemi pojedyncze fragmenty listu. Mama się pochyla, zaczyna je zbierać, ojciec tymczasem kręci głową i wychodzi z salonu. Pędzę i wślizguję się znowu do mojej kryjówki, i widzę, jak i on przechodzi obok i zmierza do sypialni. Trzaska drzwiami. To znak. Znowu wychodzę. I powoli zaglądam do salonu. Mama klęczy, wciąż zbiera kawałki listu, po chwili mnie dostrzega, patrzy z trochę smutnym wyrazem twarzy, ma czule i zmartwione spojrzenie, lekko szklą jej się oczy, jakby

chciała płakać, ale powstrzymywała łzy. Więc pochylałam się obok niej i powoli pomagałam zebrać wszystkie skrawki papieru. I chwilę później, kiedy na podłodze już nic nie leży, wstajemy, rozkładamy je na stole i zaczynamy układać, tak żeby do siebie pasowały. Staramy się je wygładzić, bo niektóre są zbyt zniszczone. A ja, sama nie wiem czemu, ale wyjeżdżam z tekstem: - To tak jak układanie puzzli... - I wolałabym wcale tego nie powiedzieć, ale na szczęście mama się uśmiecha. I kiedy już wreszcie udaje nam się wszystko dopasować i każde zdanie, nawet przerwane, ma właściwy sens, swoje znaczenie, mama się oddala, idzie do szafy, tej przeszklonej, ze starymi, cennymi talerzami, których używamy wyłącznie od święta. Otwiera szufladę i wyciąga taśmę klejącą, kładzie ją na stole i zaczyna odlepiać, a gdy ma już długi kawałek, po chwili odrywa go, sama przygryzając, bo zębki przy plastikowej obudowie już się stępiły. Bierze pierwszy kawałek taśmy i przykleja go do kartki, tak by zatrzymać te poszarpane słowa, a ja obydwoma rękami trzymam kartkę, żeby była nieruchoma. I w milczeniu udaje jej się połączyć ten pierwszy kawałek strony. Potem odrywa kolejny pasek taśmy, odwija go, przygryza zębami i przykleja do następnej podartej części, tym razem w pionie. I na mnie patrzy, uśmiecha się, zboląła. Kładzie swoją dłoń na moich, rozprostowuje kartkę, przyciskając świeżo przyklejoną taśmę, żeby lepiej trzymała. I pracujemy dalej, w milczeniu, trochę to zajmuje.

Na koniec mama podnosi delikatnie ze stołu tę posklejaną kartkę. Trzyma ją oburącz. Wygląda to jak dopiero co odnaleziony papirus, wyciągnięty z jakiegoś wykopaliska, z zaznaczonymi na nim wskazówkami do nieznanego skarbu. Naszego skarbu. Rusty'ego Jamesa... który na razie przepadł bez wieści.

- Ej, można wiedzieć, co wy wyprawiacie? Nie przychodźcie na jedzenie. - W drzwiach staje Ale. Właściwie to wciąż jeszcze przeżuwa. ~ Oj, ja tam już skończyłam. Miałam potąd czekania... Idę do siebie do pokoju! - Mama nic nie mówi. A ja myślę tylko o jednym: czy zamiast Rusty'ego Jamesa nie mogła się wprowadzić ona?

I tak razem z mamą idziemy do kuchni, żeby zjeść. Dostaję talerz spaghetti z sosem pomidorowym, pycha. I chociaż powinnam się trochę poodchudzać, to tak naprawdę przybyło mi tylko pół kilo, a dwa

straciłam, więc wciąż mogę sobie pofolgować i postanawiam oddać się przyjemności i już tego nie roztrząsać.

- Mhm, pyszny ten makaron! Trochę piecze w język, ale smaczny...

Mama się uśmiecha. Dodała czerwonej papryczki! I jemy, zaśmiewając się i gadając o wszystkim i o niczym. Postanawiam opowiedzieć jej o Massim, tak sobie, żeby ją rozerwać.

- Wiesz, mamó, poznałam takiego jednego...

Ale widzę, że nagle zmienia wyraz twarzy. Coś mi się zdaje, że ten temat jakoś jej nie bawi... Wprost przeciwnie, martwi ją! Toteż natychmiast robię w tył zwrot. - Na początku mi się podobał, ale po tym, jak pogadaliśmy, przestał mi się podobać. Czy to normalne? Czy znajdzie się kiedyś ktoś taki, kto spodoba mi się od początku do końca? - I tak, za sprawą tego ostatniego, fałszywego pytania, widzę, jak się odpręża.

- O tak, nie martw się na zapas, wszystko w swoim czasie...

I dalej gadamy, słucham jej, a jednocześnie pomagam sprzątnąć ze stołu. Wstawiamy brudne naczynia do zlewu, do lewej części, a mama mówi, opowiada o tym, jak była w moim wieku... O pierwszym chłopaku, którego poznała. I co pewien czas ja też ją o coś pytam. - A ładny był ten koleś? - Na co mama się uśmiecha. A ja wcale nie mam poczucia winy z powodu Massiego, tak, powiedziałam jej, że mi się nie podobał, ale to tylko po to, żeby się nie martwiła, i jeśli nawet potem pewnego dnia spotkam go ponownie, to przecież mama nie będzie miała pojęcia, że to właśnie o nim jej opowiadałam i że nadal mi się podoba. Mama obiera mi jabłko, razem je zjadamy, a potem się kładę i jak zwykle przypomina mi o tym samym. - Caro... a zęby?

- Pewnie. - I już chwilę później wślizguję się do łóżka. Ale słyszę, że się kłóca. Tata z mamą. Krzyczą, sprzeczą się, a nawet trzaskają drzwiami i hałasują na wiele jeszcze innych sposobów. Więc biorę sobie iPod. Z mojego pokoju widać pokój R.J.-a. Drzwi wciąż są otwarte. Rusty James nie wrócił. Wiedziałam, nie chce ulec. Już taki jest. Nie sądzę, żeby wrócił. I na moment ogarnia mnie ochota, by do niego zadzwonić, powiedzieć mu kilka słów, w każdym razie dać mu do zrozumienia, że jest mi przykro z powodu tego, co się stało, że jest moim bratem i że już za nim tęsknię. Ale są takie chwile, kiedy nie można ulec chęci wykonania telefonu, bo może tak być, że ta druga osoba jest

w złym nastroju i potrzebuje побыć sama, nie słyszeć się z nikim, nawet z tymi, którym jest droga. Ale za to mogę o to, co tak bym chciała wiedzieć, zapytać księgę przepowiedni. Kładę ją sobie na brzuchu. W uszach mam słuchawki od iPoda. Nastawiłam na losowe wybieranie, więc poleci mi jakaś pierwsza lepsza piosenka. Lubię niespodzianki, jeśli chodzi o wybór muzyki, kiedy tak zdaję się na przypadek, finał jest taki, że słucham kawałka, którego się nie spodziewam, bo go nie wybrałam, ale kto wie, to może coś znaczyć... Po chwili kładę dłoń na okładce książki. Gładzę ją i zadaję pytanie wprost: Czy Rusty szybko wróci? Po kilku sekundach rozkładam książkę. Opieram ją sobie pionowo na brzuchu, żeby móc lepiej przeczytać.

Lepiej, by pewne rzeczy potoczyły się w taki właśnie sposób. I gdy czytam to zdanie, czuję, że robi mi się słabo. Nie wierzę. To niemożliwe. Nie. Nie wróci nigdy więcej. I mało się nie rozplaczę. A na tym nie koniec, dokładnie w tej samej chwili z iPoda leci Ligabue. To moje życie... sam za wszystko płacę... jeszcze się nie zdarzyło, by płacili za mnie inni... I gorące łzy płyną mi po policzkach, i nagle czuję się taka sama, pozbawiona tej pewności, którą tylko on zawsze potrafił mi dać: mój brat. I nie przestaję płakać. Tak bardzo chciałabym komuś opowiedzieć o wszystkich rzeczach, które przychodzą mi do głowy. Ale nie wiem, do kogo się zwrócić. Albo chciałabym, żeby nagle do mojego pokoju weszli ojciec z bratem i do mnie powiedzieli: „Przepraszamy, Caro, nie płacz! My tylko żartowaliśmy”. Ale tak nie jest. I nawet nie miałam pojęcia, jak wiele jeszcze innych rzeczy miało się zmienić.

Silvia, mama Caroliny

To ja, mama Caroliny. Mam na imię Silvia. Skończyłam czterdzieści jeden lat, nie poszłam na studia, chodziłam do liceum językowego, ale na nic mi się to zdało. Pracuję w pralni. Mam jedno marzenie: chcę widzieć szczęście swoich dzieci. Naprawdę. Wszystkich. By były zadowolone i zdolne same poradzić sobie w życiu. To właśnie dlatego wstaję rano i wracam do domu zmęczona, po wielu godzinach pracy. Wcale nie jest mi za ciężko. To moje dzieci i kocham je ogromnie. Każde inne, delikatne. Giovanni i Carolina są ze sobą bardzo silnie związani, wiem, że zawsze będą sobie pomagać, i jestem dzięki temu spokojniejsza. Alessandra jest przesadnie skoncentrowana na tym, jak wygląda, i ma swoje słabości, które czasami sprawiają, że zachowuje się, jakby była inna, niż jest naprawdę. Bo Ale jest dobra, ja to wiem. Giovanni jest taki piękny. I tak znakomicie sobie radzi. Nie tyle na studiach, bo zdał bardzo mało egzaminów i wiem, czuję, że to nie dla niego, że robi to wbrew sobie, byle tylko zadowolić nas, a zwłaszcza ojca. Mówię o pisaniu, o tym, jak mu się udaje mnie wzruszyć, kiedy coś opowiada. Carolina też zawsze to powtarza. Ona w niego wierzy. Jakże bym chciała, żeby Rusty James, jak nazywa go Carolina, dopiął swego. Naprawdę na to zasługuje. Ale boję się, że spotka go rozczarowanie. Jego ojciec go nie wspiera i tak jak on postąpią też inne osoby, które uważają, że pisarz to nie zawód, ale hobby, z którego nie ma chleba. Słyszy się, że wydawani są tylko ci, którzy mają plecy, a on z pewnością ich nie ma. Nie mamy liczących się znajomych, którzy by mu pomogli, niestety. Nie w tej branży. Dario, mój mąż, zainwestował dużo czasu i uwagi w kontakty z „arystokracją”, lekarzami, którzy krążą w fartuchach po korytarzach, gdzie pracuje. Mam nadzieję, że Rusty James ma wystarczająco dużo siły, by stawić czoła wszystkim „nie”, które usłyszy, i że mimo to nie

odpuści. Przede wszystkim chciałabym się przekonać, iż właśnie to wpoiliam swoim dzieciom: że życie należy do nas i nie dostajemy od nikogo niczego w prezencie, że to my je kształtujemy w oparciu o to, czego naprawdę pragniemy. Ale trzeba być bardzo pewnym swego, w przeciwnym razie stanie się coś dokładnie odwrotnego. Nasze lęki przeważą i sami wszystko zaprzepaścimy, obwiniając za to innych. Moje życie jest zwyczajne i w oczach innych może chyba nawet uchodzić za skromne i pozbawione satysfakcji. Ale tak nie jest. Żyję, jak umiem, i w sposób, który pozwala mi tak czy inaczej, choć nie bez wielu wyrzeczeń, dbać o moją rodzinę. Właśnie taką rodzinę, jakiej bardzo chciałam. A Carolina, moja Caro, która w sumie najlepiej mnie rozumie, czasami mówi mi, że mnie szanuje i że wcale nie potrzeba, bym zarabiała mnóstwo pieniędzy albo wykonywała nie wiadomo jaką „lanserską” pracę. Mówi, że jestem wspaniałą mamą, szczerą i prawdziwą. I z tego jestem dumna.

Miłość. Chciałabym, by to uczucie w moim życiu było takie jak między moimi rodzicami, ale coś podobnego rzeczywiście rzadko się zdarza. Nie jestem zazdrosna, kocham męża, ale wiem, że on być może, z czasem, trochę się zatracił w swoich frustracjach. W gruncie rzeczy to dobry człowiek i pamiętam, ile planów i pomysłów miał za młodu, kiedy chciał zawojować świat i zapewnić mi „wygodne życie”. Chyba nigdy nie zrozumiał, bo być może sama nie potrafiłam dać mu tego odczuć, że miałabym „wygodne życie”, gdybym tylko mogła się przekonać, że on sam jest pogodniejszy, gdybym nie musiała patrzeć, jak go ponosi i jak krzyczy, co czasami robi. Chociaż wiem, że w ten sposób okazuje uczucie, prosi o zrozumienie. O czym marzę? Abym mogła być naprawdę dumna ze swoich dzieci, a one tylko w jeden sposób mogą sprawić, bym się tak poczuła: same mają być naprawdę szczęśliwe, odważne, silne i ufne w stosunku do życia. Świadome, że życie jest doprawdy wspaniałym darem, że inni, wszyscy, także ci, co wydają nam się odmienni lub dalecy, w głębi mają coś dobrego, o ile tylko okaże się im ufność. I że to nieważne, czy ma się dużo, czy mało pieniędzy, bo prawdziwe wartości, kiedy silnie w nas tkwią, stanowią niewyczerpane bogactwo. I tak właśnie zawsze sama starałam się żyć. I jestem z tego powodu szczęśliwa.

Listopad

Kiedy będę miała osiemdziesiąt lat, chciałabym; móc powiedzieć, że:

- spędziłam weekend na Alasce;
- wykonałam taniec brzucha;
- całowałam się z ponad pięcioma chłopakami, a ostatnim z nich był Massi;
- kupiłam długą białą suknię;
- korzystałam z automatycznego tosterka;
- kupiłam jedną z tych amerykańskich megalodówek;
- napiłam się kawy z piosenkarzem zespołu Finley!

Byłam z mamą na cmentarzu. Po każdym takim wyjściu muszę szukać pocieszenia w towarzystwie Clod i Alis. Choćby to miał być wspólny wypad do lodziarni i na miasto. Bo tak strasznie mnie to zasmuca... Mama od razu zabiera się za układanie kwiatów, dopiero co kupionych w budce przed bramą. Ja nigdy nie wiem, co powiedzieć. Wszystkie te osoby pogrążone w bolesnym wspomnieniu. Coś, czego dobrze nie rozumiem, bo na szczęście jeszcze nikogo nie straciłam. Wciąż mam przy sobie dziadziusiów, Luci i Toma, i wszystkie najdroższe mi osoby. Może dlatego właśnie tak nieswojo się tutaj czuję. Wiem, mogłabym nie iść, ale mama zawsze mnie o to prosi, mówi, żebym dotrzymała jej towarzystwa, bo w przeciwnym razie będzie zupełnie sama. Tata nigdy nie chodzi na cmentarz. O siostrze nawet nie wspominam. Najpierw to Rusty jej towarzyszył, teraz mama poprosiła o to mnie, a zresztą przykro by mi było zostawić ją samą. Są tam pochowani jej ciocie i wujkowie. Pomagam mamie przynieść drabinę, podaję kwiaty, biorę wodę i czekam, aż ją ode mnie weźmie. I mama zabiera się do porządkowania. Gdy na nią czekam, krążę w pobliżu i czytam najstarsze napisy i modlitwy na nagrobkach. Są wśród nich takie całkiem krótkie, które trochę

dziwnie brzmią. Chwilę później przyglądam się tym zupełnie wyblakłym fotografiom, na których ledwo widać rysy twarzy. I do tego jeszcze imiona, których prawie się już dzisiaj nie spotyka, imiona tak odległe jak życie noszących je osób... Chwilę później mama mnie woła i opuszczamy cmentarz. Po prostu. Tak samo, jak przyszliśmy.

Listopad okazał się specyficzny, był miesiącem zmiany, jednym z tych, o których jeszcze długo się pamięta. Po raz pierwszy poczułam się... jakby to powiedzieć... kobietą. A to dzięki R.J.-owi. Był wtedy piątek. Ten dzień jest zawsze trochę dziwny, kiedy jest się w szkole. Może dlatego, że czujesz, jak niewiele brakuje do soboty i niedzieli, a to tylko zachęca do większych wybryków.

- Weź, nie rób jej tego! Przez ciebie dostanie zawału!

Ale Cudini nie chce nikogo słuchać. Co z niego za koleś. Chudy jak patyk i do tego długaśny. Zawsze ubrany w superbluzy, mówi, że dostaje je w prezencie od wujka z Ameryki, który wiecznie wyjeżdża gdzieś służbowo. Dziś ma na sobie obłądną bluzę wojskową, połączenie niebieskiego z szarym i zielonym, prosto z Los Angeles. Wujek Cudiniego wszystko kupuje za granicą i potem przywozi do Włoch: filmy telewizyjne, towar do sklepów, obrazy dla przyjaciół, kostiumy dla dziewczyn, koszulki i džinsy dla sklepów odzieżowych, piwo dla lokali. I zawsze ma otwarty bilet lotniczy, dla swojego siostrzeńca tak samo. I to oprócz tych wszystkich prezentów, które mu daje. A Cudini kocha bluzy, a przede wszystkim uwielbia nabierać psorkę Fioravanti, tę od zetpetów. Nazywa ten żart „usychaniem z miłości”. Zaczepia kaptur bluzy o zamontowany w sali wieszak na odzież i po chwili sam bezwładnie zwiesza się całym ciężarem „zasuszonego trupa”, jak to on mówi! I kiedy zjawia się psorka Fioravanti, no, to wtedy dopiero zaczynają się dziać niestworzone rzeczy.

Już idzie, idzie, zaraz będzie!

Alis pędem wpada do klasy. Ogromnie ją bawi wystawanie na czatach. - Juz szybciej, siadajcie!

Wszyscy zajmujemy miejsca, każdy wraca na swoje i wyglądamy na idealną klasę, kiedy wchodzi Fioravanti. Staje tuż za plecami Cudiniego, zwisającego z wieszaka.

- Co się dzieje? Tacy jesteście grzeczni i słowem się nie odzywacie... Coś się stało? Czy mam się martwić?

Nie zdążyła dokończyć, gdy Cudini zaczyna wierzgać, rzucać się, szarpać, krzycząc do tego: - Aaa, aaa! - Drze się jak szalony, niczym ranny kruk lub drapieżne ptaszysko, które odfruva w stronę nie wiadomo jakiej doliny. I macha rękami, rusza nogami, zawieszony za kaptur bluzy, a wieszak raz po raz uderza o ścianę. - Aaa, aaa...

Fioravanti podskakuje jak oparzona.

- Ratunku, co się dzieje! - Chwyta się ręką za serce. - Ale się przeraziłam! Co to takiego?

I widzi tego niby-ludzkiego nietoperza przyczepionego do ściany, który krzyczy, wydziera się i miota. - Aaa, aaa, aaa... - Cudini wrzeszczy tak, że głośniej już nie można! Toteż Fioravanti bierze swoją teczkę i kilkakrotnie okłada mu nią plecy, mocno, starając się poskromić to dziwne zwierzę. Cudini, pod gradem ciosów, które spadają mu na plecy, w końcu się potyka, nie daje rady dłużej utrzymać się na nogach i traci równowagę. Teraz całym ciężarem wisi na wieszaku, zaczepiony bluzą

O haczyk, i w końcu wcale już się nie podpira. Bluza się rozciąga, kaptur jakoś wytrzymuje obciążenie, jeszcze przez chwilę udaje mu się wytrwać w górze... Ale po chwili Cudini spada na podłogę, a na niego zwała się drewniany wieszak, który z gwoździami odrywa się od ściany

I ląduje na ziemi, z głośnym łoskotem. - Aua! - Cudini turla się po ziemi, a wieszak przygniata mu plecy. My wybuchamy śmiechem, rozlega się ryk, kilku wariatów staje na ławce, wszyscy krzyczą, rozrabiają, naśladują odgłosy dziwnych zwierząt.

- I ja, i ja!

- Glu, glu!

- Roar, roar!

- Chrum, chrum!

Fioravanti z teczką w rękach nie przestaje okładać Cudiniego, nawet teraz, kiedy ten leży na ziemi przygnieciony drewnianym wieszakiem.

- A masz, a masz...

W końcu udaje mu się wygrzebać spod wieszaka, zrzuca kaptur bluzy i pokazuje twarz.

- Cudini! To ty? Myślałam, że to jakiś złodziej!

Cudini wstaje obolały. - Aua, aua... Spłatali mi figła, koledzy mnie tu powiesili...

- Jak to możliwe, że kolejny raz spłatali ci takiego samego figła, i to akurat tobie! A ty zawsze dajesz się nabierać. Cokolwiek by mówić, za głupka to ja cię nie uważam!

Wobec tego Cudini nie miał nic więcej do gadania. Dostał uwagę i musiał spędzić popołudnie, asystując przy tynkowaniu ściany i ponownym przytwierdzeniu wieszaka. A przede wszystkim musiał przekazać rodzicom rachunek za te prace. Wygląda na to, że tym razem nie miał już do czynienia z teczką Fioravanti, ale kopniakami, od ojca. W każdym razie cała scena żartu włącznie ze zbliżeniami z „usychającym z miłości” została nagrana przez Bettoniego, odwiecznego przyjaciela Cudiniego, jego komórką. A potem zrobił wrzutę na stronę www.scuolazoo.com, no i wygląda na to, że nagranie dostało się do rankingu! Tak czy owak w życiu jeszcze się tak nie śmialiśmy. Ale najbardziej mnie zaskoczyło to, co się wydarzyło przy wyjściu.

- Cześć, Gibbo! Cześć, Filo.

- Ej, Clod, dzwoniemy się później?

- Pewnie, a co robisz?

- Chyba Alis miała ochotę na wypad do centrum.

I dokładnie w tej samej chwili: - Biiip, biiip! - Słyszę klakson. I nie mogę nie zgadnąć, kto to taki. To on! Mój brat. Nie widziałam go ani nie słyszałam od tygodnia. I było mi przykro. Znaczą, myślałam, że od razu po ostatniej kłótni z tatą wróci do domu, no, może na drugi dzień, najpóźniej po upływie dwóch dni. On jednak wytrzymał poza domem cały tydzień, nie wiem, u kogo spał, a potem po prostu wpadł po swoje rzeczy! Ale ten Rusty James jest ekstra! Znaczą, z jednej strony to mi go brakowało, ale podobają mi się osoby, które jak już coś powiedzą, to potem to robią.

- No i co teraz porabiasz?

Uśmiecha się do mnie, siedząc na swoim motorze, przepięknym tnumphie, niebieskim, ze srebrnymi rurami wydechowymi, chromowanymi, i czarnym, długim skórzanym siedziskiem.

- Przejedziesz się ze mną? - Patrzy na mnie, podając mi drugi kask.

~ Mam dla ciebie niespodziankę. - I zaraz obłądnie się uśmiecha. Nie

ma rady. Rusty James podoba mi się na maksa. Zawsze jest opalony, może dlatego, że ma ciemną karnację i takie białe zęby, które wzmacniają ten kontrast. To chyba dzięki temu, że jeździ na motorze i wciąż gdzieś krąży. Albo dlatego, że, jak mówi mama: „Słońce rozpieszcza pięknych!”. No, sama nie wiem. W każdym razie biegnę w jego stronę, biorę od niego kask, szybko wkładam na głowę, przytulam się do brata i wskakuję pędem na motor, opieram nogę na podnóżku i już przekładam drugą nogę, zupełnie jakbym siadała na koźle do gimnastyki. Obejmuję go mocno w pasie. A Alis, Clod i inne dziewczyny mi się przyglądają. Rusty bardzo się podoba... a nawet więcej! Wszystkie by chciały takiego brata, i też takiego przyjaciela albo nawet faceta, słowem, tak czy inaczej każda z nich chciałaby teraz być na moim miejscu... Ale ono należy do mnie!

- Ciauuu!

Zdążam się z nimi pożegnać, uwalniając z uścisku prawą rękę, którą do nich macham. Ale trwa to tylko chwilę. Rusty wrzucił jedynekę i motor wyrywa do przodu. W samą porę zdążam znów go objąć, bo już wpadamy między inne pojazdy. Wiatr we włosach. Spoglądam w lusterko, które mam przed sobą. Przemykam oczy, a kosmyki włosów, blond pasma o jasnym odcieniu, wystają mi spod kasku. Odnajduję w worku raybany. Zakładam je sobie jedną ręką, powoli, zausznik od okularów najpierw wplątuje mi się we włosy, potem z kolei zaczepia się o ucho, wreszcie udaje mi się wsunąć go prawidłowo. Właśnie tak. Teraz wiatr mniej mi przeszkadza. Dobrze widzę drogę. Lungotevere. W kierunku centrum. Oddaliśmy się od szkoły, od domu...

- Ej, dokąd jedziemy? - krzyczę, tak żeby mógł mnie usłyszeć,

- Co?

- Dokąd jedziemy?

Rusty James się uśmiecha. Widzę go w lusterku, nasze spojrzenia się krzyżują. - Powiedziałem ci, że to niespodzianka! ? I trochę bardziej przyspiesza, ja mocniej się do niego przytulam i tak pędzimy przed siebie, z dala od wszystkich i wszystkiego, unoszeni na skrzydłach wiatru.

Trochę później. Rusty James zwalnia, redukuje biegi i skręca w lewo. Zjeżdża niżej, sunie wzdłuż rzeki. Podnosi się na nóżkach motocykla, by przeskoczyć ostatni mały schodek. Idę w jego ślady, żeby nie obijać sobie tyłka na siedzisku. Widzi to i się uśmiecha. - Zuch dziewczyna!

Chwilę później obydwójce podskakujemy, znowu siadamy, a on się rozpędza, wrzuca kolejne biegi, przyspiesza, dodaje gazu, i tak dalej, wzdłuż ścieżki rowerowej, wzdłuż rzeki, teraz już bliżej jej brzegu.

- Oto jesteśmy... - Wkrótce zwalnia. - Przyjechaliśmy...

Gasi silnik jeszcze w trakcie jazdy i ostatnie metry przejeżdżamy w ciszy pól, które rozpościerają się wokół nas. I tylko nieliczne krążące w górze mewy przerywają swoim krzykiem leniwy szum Tybru.

Rusty James odgina stojak i pomaga mi zsiąść.

- Jesteś gotowa? To masz... - I wskazuje na przepiękną łódź przed nami. - Od dziś, jak będziesz mnie szukać, to już wiesz, gdzie można mnie znaleźć. Proszę!

- No coś ty... Poważnie, jest twoja? Kupiłeś ją?

- Ej, za kogo ty mnie masz? No chodź, włącz. Przepuszcza mnie. - Nie, nie, najpierw ty.

- Okay.

Więc pierwszy wchodzi na kładkę, która łączy łódź z brzegiem.

- Może któregoś dnia ją kupię, kto wie. Na razie ją wynajmuję i nawet udało mi się wynegocjować dobrą cenę.

Nie pytam go jaką. Już i tak się wygłupiłam, myśląc, że mógłby ją kupić. Ale on sam dba o to, by zaspokoić moją ciekawość.

- Pomyśl tylko, wynajęli mi ją za jedyne czterysta euro miesięcznie. Jedyne, myślę sobie! To tyle, ile mnie się udaje odłożyć przez cały

rok. Ale skoro mi tak powiedział, to znaczy, że ta cena jest naprawdę przystępna i że powinnam mu okazać swój entuzjazm.

- No, świetnie... Ta cena wydaje się rozsądna.

- Rozsądna? Jest rewelacyjna. Więc tak, tu jest salon. - I pokazuje mi pomieszczenie z dużym stołem pośrodku i starymi fotelami poustawianymi z boku. Wszystko jest bardzo stare i zniszczone, ale nie chcę, by się zorientował, że rzuca mi się to w oczy.

Całkiem duży jak na salon...

- Tak, jest trochę przestarzały, od dawna nikt tu nie mieszkał. Chodź, tu jest kuchnia.

Wchodzimy do całego białego pomieszczenia, bardzo widnego. Sufit jest przeszklony i obok stoi drabina, która prowadzi na dach. Na środku znajdują się duże palniki, wszystkie wykonane z żelaza, wcale niezardzewiałe.

- Widzisz. - Otwiera szailcę. - Tutaj pod spodem jest butla z gazem.

- Zupełnie jak na pełnym morzu! - mówimy jednocześnie i zanosimy się śmiechem. Patrę na niego przez chwilę i się nie odzywam. Więc Rusty James wyciąga prawą rękę.

- Tak, wiem, o czym myślisz, dobra, zrobmy to...

Więc obydwójce wyciągamy prawą rękę, moja dłoń tuż przy jego, oplatom swój mały palec wokół jego, uśmiechamy się i robimy taką dziwną huśtawkę, nie puszczając się naszymi małymi palcami: - Raz, dwa, trzy... Myk! - I się puszczamy.

- Dobrze! - Zaczyna się śmiać. - Więc to, czego sobie zażyczyliśmy, spełni się!

I oczywiście nie mówię mu swojego życzenia, bo w przeciwnym razie by się nie spełniło, wam też nie powiem. Ale zresztą i tak sami możecie się domyśleć, prawda?

- Chodź, tutaj jest sypialnia... - I po chwili otwiera drzwi w głębi. - Z łazienką... I jak ci się podoba?

Rozkładam ręce i wyrzucam dłonie w górę. - No, nie wiem, co ci powiedzieć. Jest... jest... obłędna. - I zaraz wracam do salonu. - Jest olbrzymia, masz kupę miejsca!

- Właśnie, tutaj chcę sobie postawić stół. Tu powieszę dwa obrazy, a tam wstawię małą szafę... - Rusty krąży po całym salonie i pokazuje mi poszczególne miejsca. - Tutaj będą białe zasłony, a tu ciemniejsze, w tym miejscu lampa stojąca, tu szafka, a na niej telewizor. Tu duża kanapa do oglądania telewizji, a tutaj mały stolik, żeby było gdzie odstawiać różne rzeczy...

Chodzę za nim, podoba mi się, wygląda na to, że wie, co gdzie postawić, jakie wybrać kolory, gdzie umieścić lampy.

- Z tej strony, z której, jak sprawdziłem, wschodzi słońce, chcę zawiesić błękitne zasłony, a tu na zewnątrz będą kwiaty. - I zaraz przy

staje. Wygląda, jakby się uspokajał. - Znalezienie tych wszystkich rzeczy trochę potrwa, nie mówiąc, naturalnie, o samej kasie.

Patrzy w moją stronę i mnie rozbraja, po raz pierwszy wydaje mi się młodszy, niż jest. Ale to tylko chwila.

- Oj, to żaden problem... Odłożyłem już nawet parę groszy, wciąż piszę i staram się tym zainteresować innych, prędzej czy później coś opublikują. Tyle że na razie mowy nie ma o kanapach, meblach i stołach... Wszystko kosztuje fortunę!

- No, ale jest to miejsce, jak ono się nazywa, ciągle je reklamują na billboardach wzdłuż jezdnii, gdzie wszystko kosztuje śmiesznie mało! A, tak, Ikea. Tylko że sam musisz sobie wszystko skrócić!

- O, wiesz, Caro, podsunęłaś mi znakomity pomysł! Poczekaj, wykonam jeden telefon... - Sięga do kieszeni po komórkę i wybiera numer. Nie wierzę. Rusty James ma też telefon do Ikei?

- Mamo... - Patrzy na mnie i się uśmiecha. - Cześć, jestem tu z Caro. Chciałem ci powiedzieć, że wróci później... Tak, zje ze mną, okay? Nie, nie w McDonaldzie, przysięgam! Co? Kiedy się zobaczymy... Kiedy się zobaczymy. ..

- Patrzy na mnie i puszcza oczko. - Niedługo, bardzo niedługo... Muszę ci coś pokazać... No, tak, jak tylko będzie gotowe, to się zobaczymy! Okay, tak, zadzwonię niedługo. Cześć, mamo. - I zaraz wyłącza telefon. - Widziałaś? Załatwione! Przysięgnij, że nic mamie nie powiesz. Chcę jej zrobić niespodziankę i zaprosić, jak już wszystko urządzę.

- Przysięgam.

- Dobra, więc chodźmy.

- Dokąd?

- Jak to dokąd? Miałaś taki genialny pomysł... do Ikei!

No, niedługo potem dotarliśmy na miejsce i przysięgam wam, że w życiu się tak dobrze nie bawiłam. Więc, po pierwsze, zjedliśmy tam na miejscu i było trochę tak, jakbyśmy wybrali się do Szwecji. Znaczący, tak naprawdę w życiu tam nie byłam, ale w sklepie mają coś w stylu baru samoobsługowego, gdzie produkty mają szwedzkie nazwy, tak samo dania, rysunki i to, co jemy. Oprócz samych kasjerów, którzy musieli być z Tufello albo z okolic, bo posługiwali się taką odmianą dialektu rzymskiego, że poza kilkoma noszowymi, przyjaciółmi taty z polikliniki, gdzie Pracuje, w życiu nie słyszałam, żeby ktoś tak mówił. W każdym razie

wzięliśmy po kawałku pysznego łososia z obłądnymi pieczonymi kartoflami, a do tego jeszcze dziwne ciemne pieczywo, też szwedzkie, z drobnym i zwartym mięszem, który wygląda, jakby to pieczywo nie było tuczące! I ta myśl w gruncie rzeczy dodała mi otuchy. A potem było cudownie! Ikea to prawdziwe miasto! Pełne mebli wszelkiego rodzaju, pokoiów, przeszklonych pokoików z pozasłanianymi oknami, salonów, wszystko jest już zainstalowane, tak żeby można było zobaczyć, jak to naprawdę wygląda. A do tego jeszcze talerze, szklanki, lampy, ręczniki, świece. Słowem, jeśli czegoś szukasz, to znajdziesz właśnie tam! I tak zaczęliśmy krążyć, towarzyszył nam sprzedawca, niejaki Severo, niezłe imię, co? Ale tak poważnie to wszystko wcale nie wyglądało, wprost przeciwnie... Na dobrą sprawę to ja i Rusty James zgrywaliśmy parę i ja zawsze miałam ostatnie zdanie, jak to bywa w niektórych związkach. Na koniec i tak zawsze kobieta dokonuje wyboru, zwłaszcza jeśli chodzi o rzeczy do domu. A mężczyzna... no, mężczyzna płaci!

- Właśnie, Rusty, chciałabym tamte zasłony i do tego tamtą komodę, i jeszcze dywan do pokoju, i tamten stół, a do tego to... i jeszcze tamto... - A Rusty James się śmieje, potakuje i pozwala mi wszystko wybierać. I tylko czasami namawia mnie, bym niektóre swoje wybory jeszcze raz przemyślała. - Nie lepiej, żebyśmy wybrali coś jaśniejszego? Pamiętasz kuchnię? Jest biała.

- Tak, to prawda, masz rację.

A Severo wciąż tylko patrzy w dół i sprawdza kody każdej rzeczy, którą wybieramy. W końcu kupiliśmy całą masę gratów.

- No, gotowe, chyba wszystko już mamy! - Severo podaje Rusty'emu kartkę, a ten sprawdza, czy się zgadza.

- Tak, wszystko w porządku.

Po chwili obydwaj udają się do kasy. Severo tłumaczy, że jeśli Rusty dopłaci niewielką kwotę, to za dwa dni dostarczą mu meble na łódź, a za kolejną niewielką dopłatą sami wszystko mu zmontują.

- Nie, tym zajmę się sam, ale fajnie by było, gdyby dowieziono mi rzeczy na miejsce.

I tak Rusty James podpisuje, co trzeba, i obydwójce zadowoleni udajemy się do wyjścia.

- Poczekajcie, poczekajcie...

Severo biegnie za nami.

- Zapomnieliście o tym... -1 daje nam ksero ze spisem wszystkiego, co wybraliśmy, i do tego katalog Ikea. - Jeśli zauważycie, że czegoś jeszcze wam brakuje, możecie tu sobie sprawdzić... - I wręcza nam katalog. I zastyga przed nami, uśmiechnięty.

- Mogę wam coś powiedzieć? - Ale nawet nie czeka na nasze tak. - Bardzo udana z was para. Jeszcze nie widziałem, żeby ludzie byli tak zgodni. -1 uśmiecha się do nas zadowolony. Co za koleś z tego Severo! Severo znaczy surowy, ale to ma się nijak do niego, bo ja wiem, od tej chwili raczej nazywałabym go Przesłodki albo Przesympatyczny lub Wesoły, a może właśnie Sereno, Pogodny! Ale z pewnością nie Severo!

W każdym razie Rusty James mnie obejmuje i się do niego uśmiecha.

- To, że tak świetnie się dogadujemy, to w pełni jej zasługa. -1 przytula mnie mocniej, i zabiera ze sobą, zupełnie jakbym naprawdę była jego dziewczyną. I przysięgam wam, że w tamtej chwili wydawało mi się, jakbym miała przynajmniej piętnaście lub szesnaście lat, albo osiemnaście, słowem, poczułam się kobietą. A nade wszystko kobietą najszczęśliwszą na świecie.

Simple Plan, *When Fm Gont*. Słucham iPod'a i myślę, jakby to było, gdybym nagle odeszła. Nie, nie chodzi mi o śmierć. Gdybym się wyniosła. Tak jak to zrobił Rusty James. Ale, powiedzmy, do Londynu. A wszyscy by tu zostali. Pisałabym wyłącznie do mamy i do brata. I może tylko im byłoby przykro z powodu mojego wyjazdu. A tak poza tym, bo to przecież tylko mrzonki, to dziś rano Cudini usiłował pobić rekord i dostać się do rankingu na www.scuolazoo.com. Uważam, że gryzło go to, iż niejaki Ricciardi, ze szkoły w Talenti, był wyżej od niego. Podczas angielskiego pokazał nam zdjęcie na portalu w laboratorium wyposażonym w komputery, które oczywiście służą do innych celów. Ale dobra, w końcu to też jakiś rodzaj wiedzy.

- Popatrz... popatrz... Ma twarz frajera, a jest pierwszy! Czyli że taki Ricciardi jest lepszy ode mnie. Macie pojęcie?

Chodzi o to, że ten Ricciardi, który mnie akurat wydaje się całkiem niezły i ma ładną buzię, spłatał swojemu psorowi naprawdę zajebistego figła! Przyszedł na szczudłach przebrany za księdza, pobłogosławił klasę i opuścił pomieszczenie, pochylając się w drzwiach, i ani razu nie spadł!

- No, to zabawne!

- Tak, ale do tego Ricciardi kibicuje Romie!

- A co to ma do rzeczy?

- No, dla mnie ma.

Zupełnie jakby ta rywalizacja nie miała granic i toczyła się o wszystko. I teraz Cudini jest wściekły. Nie ma zamiaru tak tego zostawić.

- No, to moje zdanie. W każdym razie mam pewien pomysł. Bettoni, chodź tutaj. -1 zaczynają się naradzać w rogu. Cudini mówi mu wszyst-

ko na ucho i raz po raz się odchyła. - Zrozumiałeś? - I po chwili znów zaczyna nadawać Bettoniemu coś na ucho. - Zajebiste, co?

Bettoni śmieje się jak szalony. - O, świetnie, genialne... Jak nic pobijesz tego kutasa Ricciardiego.

Więc teraz już wszyscy po nim jadą. Żeby chociaż był jakiś powód. Aj tam!

Solidarność Farnesiny. Tak będę na nią mówić, od nazwy naszej szkoły.

Wracamy do klasy, bo niedługo zaczyna się włoski. Wszyscy jak zwykle gadamy w oczekiwaniu na psora, oprócz Bettoniego, który już się zainstalował ze swoją komórką, usiłując przygotować ją jak najlepiej, jakby całe życie nic innego nie robił, tylko kręcił filmy.

- Jak ma być, z zoomem? A może wolisz w ujęciu panoramicznym? Cudini patrzy na niego zdezorientowany. - Ej, co ty, jaja sobie ze

mnie robisz? Filmuj jak uważasz! Byłe coś ci się nie pomyliło, ma mnie być dobrze widać. O, słuchaj, dubli nie będzie, bo potem wszyscy się skapują, a tak to się nie liczy!

Właśnie, największy absurd polega na tym, że już od jakiegoś czasu komórkami można zrobić wszystko. Znaczą, najpierw służyły tylko do rozmawiania. Teraz są iPodami, małymi kamerami, komputerami, dzięki którym można się łączyć z Internetem, i kto wie, ile innych funkcji jeszcze mają, na których ja, szczerze mówiąc, wcale się nie znam. I oto dlaczego tyle kosztują. I dlaczego zwinęli mi moją komórkę! Której to szczególnie wartość polegała na pamięci z numerem do Massiego! Ale nie chcę o tym myśleć. Dokładnie w tej samej chwili wchodzi psor Leone.

- Dzień dobry, dziewczęta i chłopcy. Już, zajmijcie swoje miejsca! Psor zmierza w stronę katedry i siada. Stawia torbę, otwiera ją i wyciąga dziennik.

- Więc tak, dzisiaj, zgodnie z umową, będę was odpytywał. - Otwiera swoją listę i sprawdza nazwiska, które sobie zaznaczył. Cudini patrzy na Bettoniego i kiwa do niego głową, jakby chciał powiedzieć: "Ej, wszystko w porządku? Wszystko okay, nagrywamy!". Bettoni jak zwykle kciukiem wysyła mu sygnał: „Spokojnie, spokojnie, wszystko okay”.

Bo jeśli chodzi o Bettoniego, to nigdy nie ma powodu do obaw, tak przynajmniej uważa on sam. Za to mnie Cudini wydaje się niesłychanie spięty.

Psor Leone palcem wskazującym wodzi po liście nazwisk.

- Więc tak, jako pierwszy ma przyjść do odpowiedzi... ma przyjść do odpowiedzi... Cudini!

Psor Leone unosi głowę w jego stronę. Cudini przez chwilę spogląda na Bettoniego, który już zaczął nagrywać, i potakuje skinieniem głowy, filmuje teraz psora. Po chwili Bettoni kieruje komórkę na Cudiniego, który przełyka ślinę i się odzywa.

- No, psorze, psor mnie dziś nie będzie odpytywać, a wie psor dlaczego? Bo ja biorę nogi za pas! -1 mówiąc to, rzuca się przed siebie, wskakuje na ławkę Raffaelli, największego kujona w klasie, i wylatuje przez okno.

- Aaaaaaa! - Po chwili słychać bum! Dziki łomot! Psor Leone, my za nim i Bettoni też, wszyscy rzucamy się do okna. Cudini wylądował na środku dziedzińca, leży jak długi, z wykręconą kompletnie nogą.

- O Boże, toż to wariat! Złamał sobie nogę! Zrobił sobie krzywdę! - krzyczy psor Leone.

Bettoni nie przestaje nagrywać. Ja kręcę głową. - O, Cudini to naprawdę wariat! Wyskoczył z drugiego piętra! A może myślał, że wciąż jesteśmy w II B, kiedy to mieliśmy zajęcia na pierwszym piętrze...

Bettoni wyłącza komórkę. - Dobrze, wystarczy. Koniec zdjęć! Jakie tam pierwsze czy drugie piętro. Cudini myślał, że pod tym oknem też jest taras!

Bettoni patrzy na Raffaelli, jak wyciera swoją ławkę, na którą Cudini wskoczył, zanim rzucił się przez okno. - Ja tam zawsze mówiłem, że ona przynosi pecha.

I tak Cudini został zabrany do szpitala. Morał: wsadzili mu nogę w gips i będzie go musiał nosić przez cały miesiąc. Pan Leone, by uchronić go przed przebojami z kuratorem, powiedział, że Cudini poślizgnął się podczas wyglupów, mimo to psor i tak musiał mu wpisać naganę do dziennika. Jednak najważniejsze, że samo video, wraz z finałowym dupnięciem, znakomicie nagrane przez Bettoniego, teraz podbiło ranking www.scuolazoo.com, i to na dodatek zajęło pierwsze miejsce!

Przebiło Ricciardiego, kibica Romy, jak go nazywa Cudini.

- Dawaj!

Zażyczył sobie, by go kręcić też w szpitalu, byle się znów znaleźć w Internecie.

- Ej, żeby pokazać wszystkim, że to żaden fotomontaż, do którego wielu się ucieka... Ja jestem autentyczny!

Skończony świr z tego Cudiniego. W każdym razie wybraliśmy się do niego w odwiedziny, grupami, kiedy kto mógł.

- Ej, tylko nie pozwólcie, by przyszła tu Raffaelli, bo w przeciwnym razie, nie bardzo wiem jak, ale głowę dam, że drugą nogę też będę miał połamaną!

- No weź, nie mów tak. Niefajnie jest, kiedy przyłgnie do ciebie etykieta, że przynosisz innym pecha...

- Że przynosi innym pecha, co? Jednak na razie postaraj się, by tu nie przychodziła! A my potem nikomu ani słowa na jej temat nie powiemy, dobra?

Cudini się uśmiecha i otwiera czekoladki, które przyniosła mu Alis, a Clod, naturalnie, już jest przy nim! Clod jest wprost niepoprawna. I Cudini na swój sposób też. Ale nabrałam do niego sympatii. Nie wiem, czy przez to, że ucierpiał. Chyba dlatego, że z powodu tej historii z gipsem musiał przestać się tak miotać i siłą rzeczy trochę się uspokoił. Wcześniej nic, tylko go nosiło. Filo zawsze mówi, że Cudini jest opętany przez diabła i zanim zaprosi się go do domu, należy wezwać egzorcystę. W każdym razie tamtego dnia, kiedy też przyszedłam do szpitala, był bardzo grzeczny, uprzejmy, jak dobrze wychowany chłopak.

- Zrobisz mi fajny napis na gipsie? Postaraj się, Caro, bo na twoim mi zależy... Znaczący, twój na pewno będzie piękny! Świetnie rysujesz.

Tak naprawdę to słyszałam, jak mówił to samo Silvii Capriolo i Paoletcie Tondi, a zresztą akurat one dwie naprawdę dobrze rysują, znaczący, znają się na perspektywie, wymiarach, świetle i światłocieniach. Ja, powiedzmy, lepiej radzę sobie w konkurencji komiksowej. I rzeczywiście.

Jak to, tym będziesz mi rysować?

Oj, Cudini, specjalnie przyniosłam z domu flamastry. Nie truj, co! I tak w try miga skupiam się na gipsie. Wybieram błękitny i niebieski, pomarańczowym robię dziób, kontur na czarno, i do tego jeszcze

dorysowuję buty! Na koniec, mniej więcej po półgodzinie, unoszę głowę znad gipsu, Cudini mało nie wyjdzie z siebie.

- No weź, przesun się, przesun się, bo chcę zobaczyć... - Zżera go ciekawość.

- Ja cię nie mogę... - Zastyga z rozdziawionymi ustami.

- Podoba ci się?

- Na maksa! - Patrzy na niego zadowolony. A ja nachyłam się z czarnym flamastrem.

- Ej, co robisz, nie zepsuj mi go, nic nie ruszaj, idealnie ci wyszedł.

- Ale chcę się podpisać! - I piszę swoje imię, gdy tymczasem Cudini uśmiecha się do mnie.

- Ej, Caro, ten orzełek, którego mi narysowałaś, jest mi szczególnie drogi. Białobłękitny, jak moje serce, jak niebo, jak majtki dziewczyny moich marzeń...

- Daruj sobie!

Dokładnie w tej samej chwili wchodzi matka Cudiniego.

- Francesco, jak się czujesz? Jak noga? -1 zaczyna całować go w policzek. - Synku mój, tak się o ciebie martwiłam. Po nocach nie śpię. - I nie przestaje zasypywać go pocałunkami.

- Mamo, weź przestań, nie przy ludziach.

Ja, Alis i Clod patrzymy na siebie uśmiechnięte.

Alis, która zawsze ma refleks, mówi: - Niech się pani nie przejmuje.

Ale Cudini rzuca się na łóżku. - Tak, ale to moja noga. Mamo, przygniotłaś mi ją.

- Przepraszam, przepraszam. Popatrz, kogo ci przyprowadziłam. Nawet ciocia Giorgia i Michèle przyszli cię odwiedzić. -1 wchodzi kobieta, która robiłaby wrażenie szalonej elegantki, gdyby nie to, że za bardzo się wyperfumowała i ma na sobie niedorzeczne futro, strasznie napuszone... Ja czegoś takiego w życiu nawet na filmach dokumentalnych o dzikich zwierzętach nie widziałam na oczy. Do tego mocny makijaż, gigantyczne kolczyki i łańcuchy, jest nimi skuta i jeśli by się nie daj Boże potknęła i przewróciła, to weź, szukaj frajera, który by ją potem podniósł.

- Francesco... co ty wyprawiasz? -1 teraz ciocia, siostra warta mamy, rzuca się na Cudiniego i zaczyna go obcałowywać.

- Aua, ciociu!

_ A cóż to znowu.....

- Nie byle co... Razem z torbą wylądowałaś mi na gipsie.

- A, przepraszam. .

- O nie, sama zobacz. -I zaraz Cudini wita dwójkę swoich kuzynów. _ Cześć, Giorgia, jak się masz?

- To ty jak się masz! - Uśmiecha się dziewczyna. Bardziej wstrzemięzliwa od huraganu mama-ciocia o sile cztery w pięciostopniowej skali jest trochę mniej śmiała i bardzo ładna, ma delikatny makijaż, jasnokasztanowe proste włosy, dzinsy i sweter w pomarańczowym kolorze. Za to jej brat przyszedł w dresie. Ma na sobie fajną czarną bluzę, spodnie Adidasa i przewieszoną przez ramię torbę, a w niej dwie rakiety tenisowe.

- Ej, wyglądasz jak Nadal. - Cudini się śmieje, pokazując na niego. Michèle uśmiecha się niewyraźnie. - Jeśli już, to Fédérer. Gram bardziej w jego stylu i jestem mniejszym wieśniakiem.

- Tak, tak, ale na razie, to Nadal zawsze jest górą!

- Na kortach ziemnych. - Michèle wygląda zupełnie inaczej niż Cudini. Jest niższy, ma lekko rudawe włosy, obcięte na krótko. Jest zadbany, szczupły, ale bez przesady, słowem krzepki. Ładny, a do tego wygląda na dobrze wychowanego. Dlatego jest całkowitym przeciwieństwem Cudiniego. Clod oblizuje sobie palce, na których ma resztki czekolady, i rzuca, jak to zwykle ona, jeden z tych swoich tekstów.

- Czyli że grasz w tenisa...

Mowy nie ma, żeby Cudini przegapił taką okazję. - Nie, te rakiety służą mu do zamiatania ulic... Ej, jak się postarasz, to jesteś zabawna, potrafisz odbić piłeczkę! - Po chwili Cudini udaje, że ogarnia go smutek. - Szkoda, że sama nie jesteś tego świadoma...

Alis i Giorgia się śmieją. Michèle stara się nie wprawiać jej w zakłopotanie. - Tak, rozgrywam tu w pobliżu turniej. I niedługo tam idę... A oprócz tego raz na jakiś czas po południu daję lekcje tenisa, żeby trochę zarobić. - Patrzę na niego. Nasze spojrzenia się krzyżują i on się do mnie uśmiecha. Jest ładny. A poza tym fajna sprawa z tą nauką tenisa, żeby zarobić parę groszy. Trochę jak Rusty James. Słowem, Michèle też nie chce brać pieniędzy od rodziców, choć nie sądzę, by

akurat dla nich był to jakiś problem, w odróżnieniu od naszych rodziców.

- Czy taka jedna lekcja dużo kosztuje? - Postanawiam się wtrącić do rozmowy.

- O... niewiele, a poza tym zawsze jakoś się dogaduję. Tenis jest zbyt piękny, by choć raz nie spróbować sobie pograć.

Uśmiecham się do niego. - Miałabym ubaw...

Michèle przybiera poważny wyraz twarzy. - A ty umiesz grać?

- W życiu nie próbowałam, a nuż jestem do tego stworzona. Dobrze mi idzie w sporcie.

Clod potakuje, potwierdzając, że nie kłamię. Alis lekko się krzywi. Nie wiem dlaczego, czasami jest trochę zazdrosna o to, co robię. Ale, sorry, sama mogłaś się odezwać, nie? Myślałby kto, mieliśmy tak wszyscy tylko stać i milczeć.

Clod trochę się otrząsnęła i postanawia się wtrącić. - Ja tam raz próbowałam... Całkiem niezłe dawałam sobie radę. - Cudini korzysta z okazji.

- Tak, świetnie radzi sobie w sporcie... Na zajęciach z koszykówki na przykład robi za piłkę! - I wybucha śmiechem, sam jeden. Jak zwykle musi wszystko zepsuć, akurat w tej chwili na szczęście wchodzi dwie pielęgniarki.

- Przepraszamy, koniec odwiedzin... Musimy tu posprzątać, sprawdzić stan chorych przed obchodem. Dziękujemy. - Jedna z nich jest blondynką, trochę pulchną, ale bardzo ładną, może nieco zbyt mocno umalowaną, ale z takim biustem, że nawet moja siostra, jeśliby sobie założyła push upa, nie mogłaby się z nią równać. I rzeczywiście Cudini opiera się łokciami o łóżko i podsuwa do góry, jakby się chciał lepiej ułożyć, byle okazał się prezentować, zakładając, że to w ogóle możliwe. I po raz pierwszy wygląda na to, że zgadza się z jakimś oficjalnym wymogiem.

- Tak, tak, musicie wyjść... - Mama i ciocia cmokają go w policzek, tym razem w większym pośpiechu, i na koniec wszyscy lądujemy na szpitalnym korytarzu.

- Cześć... - Michèle i Giorgia żegnają się z nami.

Michèle wygląda, jakby jeszcze chciał coś powiedzieć, ale po chwili się rozmyśla i odchodzi. Mama Cudiniego też się z nami żegna. - Do

widzenia, dziewczęta, dziękuję, że wpadłyście. I ciocia też. - Tak, to bardzo miło z waszej strony.

I tak stoimy jeszcze chwilę na korytarzu i gadamy.

_ o... A to tu nie mają dystrybutora z czekoladą i innymi napojami?

- Clod, przecież dopiero co zjadłaś Cudiniemu wszystkie czekoladki...

- A i owszem, dlatego teraz nie jestem przecież głodna, tylko chce mi się pić. Możliwe, żeby nie mieli tu nawet wody, czegokolwiek?

- Tak, tak, już widzę, jak to chce ci się pić.

- Chce mi się pić, pić, umieram z pragnienia... A poza tym wiecie, że picie pomaga schudnąć, rozpuszcza tłuszcze.

- Tak, ale akurat to, czego ty chcesz się napić, nie... Nie czekolada!

- Matko jedyna, ale ty łapiesz człowieka za słowa... W tej samej chwili przechodzi lekarz.

- Przepraszam. - Clod podchodzi do niego. - Czy może są tu gdzieś kraniki, takie, co wystarczy odkręcić... Słowem, z wodą pitną? -1 patrzy na nas, a gwoli ścisłości na mnie, jakby chciała powiedzieć: „Widziałaś... A co myślałaś?”.

- Tak, naprzeciwko łazienki, tam w głębi.

I tak Alis, Clod i ja przemierzamy korytarz. Clod, chyba dlatego, że wreszcie ugasi pragnienie, wygląda na rezolutniejszą.

- Ej, w każdym razie kuzyn Cudiniiego był całkiem niezły. Wygląda na to, że Alis też tak uważa. - Cokolwiek by mówić, to jest lepiej wychowany... A oprócz tego rzeczywiście ładny.

Ja też się z nimi zgadzam. Poza tym widziałam, że się na mnie patrzył, i nie ma rady, ale kiedy się orientujemy, że jakiś chłopak się za nami ogląda, to automatycznie on też podoba się nam trochę... A przynajmniej ja tak teraz mam.

Clod zaczyna się śmiać.

- Co jest, dlaczego się śmiejesz? O czym myślisz?

Clod podchodzi do kranu z wodą pitną. - Że naprawdę niezłe z niego ciacho... Do tego cały w sportowych ciuchach...

Alis unosi brew i patrzy na Clod. - No, jak to mówił wcześniej Cudini, ty jesteś piłką do kosza, ja zaś chciałabym być jego piłeczką tenisową!

Clod przekręca kurek i zaczyna pić.

- Ej, ale jedziesz Cudinim.

Clod przestaje pić i mi się przygląda. Wciąż jeszcze ma mokre usta i wyraz twarzy małej dziewczynki. - Co chcesz przez to powiedzieć, Caro?

- Że z Alis robi się coraz większa wieśniara!

- Tak, bo akurat uwierzę, że tobie się Michèle nie spodobał.

- Nie spodobał mi się - deklaruję pogodnie, bez problemu.

- Ale patrzył na ciebie...

- Słuchajcie, co robimy? - Clod się wcina i przerywa naszą sprzeczkę. - Dlaczego nie wybierzemy się do...

- Nie, ja się muszę uczyć...

- Ja też, a poza tym jutro mamy klasówkę z matematyki.

- Na drugiej lekcji... Zdążysz się pouczyć do woli.

- A co mamy na pierwszej?

- Religię.

- Dokładnie... Spoko, możesz się nawet pomodlić w nadziei, że dobrze ci pójdzie.

I tak wychodzimy ze szpitala, zaśmiewając się rozbawione. Pewnie, jak człowiek się tak lepiej zastanowi, to nie powinnyśmy się tak zachowywać, zważywszy, że osoby, które tam trafiają, borykają się z problemami. Ale fakt, że Cudini tak dobrze się czuje, no, nas wyłącznie cieszy i szpital w sumie staje się takim samym miejscem jak szkoła... Czyli że jeśli akurat coś nie dotyczy ciebie, to jest naprawdę super! Ale kiedy wychodzimy przed bramę i docieramy do microarów Clod i Alis, to w miejscu, gdzie tak bardzo bym chciała, żeby czekało na mnie zaparkowane i moje autko, stoi on: Michèle. Zastygł z torbą z rakietami tenisowymi na ramieniu, wygląda na lekko speszonego.

Alis, Clod i ja popatrujemy na siebie. Clod się uśmiecha.

- Czeka na mnie.

Lecz Alis jest w takich wypadkach okrutna. - Tak, akurat! Czeka na Caro... "

- Jesteś pewna? :

- Na tysiąc procent.

Nie powiedziałam ani słowa. Czasami lepiej nie mieszać się do niektórych rozmów. Choć na koniec, żeby Clod nie zrobiło się przykro, rzuciłam: - Ale dlaczego tak mówisz?

im bardziej się do niego zbliżamy, rzeczywiście nie ma mowy o wątpliwościach. Michèle podchodzi prosto do mnie. Alis unosi brew i patrzy na Clod.
- Widziałaś? I czego się spodziewałaś?

Clod, która nie wie, jak jej odpowiedzieć, stara się jakoś z tego wybrnąć. - Mówiłam tylko ot tak sobie... Żartowałam.

Michèle jest już prawie naprzeciwko mnie. Clod i Alis uśmiechają się do mnie promiennie, jakbyśmy były megaprzyjaciółkami, którymi w istocie jesteśmy, i to jakimi, tyle że przez niego wystawiłyśmy naszą przyjaźń na niewielką próbę.

- Caro, to my idziemy...

- Tak, widzimy się jutro w szkole.

Michèle żegna się z nimi, kiwając głową, i czeka, aż odejdą. "

- Też masz swoje miniauto?

No i dupa, właśnie, ładnie się zaczyna, rozdrapuje niezagojoną ranę.

- Nie.

- A więc pozwolisz, że cię podrzucę?

- Pewnie, dlaczego nie.

Rusza z miejsca.

- Ale sorry, nie masz aby turnieju?

Michèle się uśmiecha. - Tak, ale musiałbym grać przeciw Grazziniemu. Na pewno bym przegrał. Nie ma sobie równych. Więc lepiej, bym nie szedł, tak zawsze będę mógł sobie wyobrazić, że miałbym szansę go pobić.

Uśmiecham się. - Słusznie. A jednak prędzej czy później będziesz musiał stanąć do walki z tym Grazzinim.

- Prędzej czy później. Lepiej później! - I śmiejąc się, otwiera przede mną drzwi do ślicznego smarta cabrio. Najnowszy model, Doubletwo. Okrąża samochód i chowa torbę do tyłu. Kurczę, ładnie ma tu w środku, skórzana tapicerka, deska rozdzielcza cała czarna, radio z odtwarzaczem płyt kompaktowych i płaski ekran do DVD. Prześlizgnij. To samochód jak dla dorosłych. Więc on jest dorosły! O Boże, o tym nie pomyślałam... Wślizguje się do smarta z uśmiechem na ustach. Ja też się uśmiecham, wprawdzie lekko speszona. Matko jedyna, to ile on ma lat? Właśnie dlatego jest taki przykładny, turniej, samochód, ten sposób mówienia, J'ęgo odpowiedzi obliczone na to, żeby Clod czuła się swobodnie... Dosyć, dłużej nie wytrzymam. Lepiej od razu go zapytać.

- Sorry, ale... Ten samochód jest rzeczywiście piękny. - Nie dałam rady. Bo jak to, pierwsze pytanie, z którym wyjeżdżam do kolesia, to: „Ile masz lat?”. To jakbym sama się przyznała, że czegoś się boję. A zresztą niby czego? Na szczęście przerywa moje rozmyślenia.

- Podoba ci się... Dostałem go od rodziców dwa miesiące temu... Na urodziny. - Patrzę na niego i się uśmiecham. A jednak mógł powiedzieć, ile lat skończył, nie? - Na moje osiemnaste urodziny.

Zupełnie jakby czytał w moich myślach. Po chwili Michèle patrzy na mnie.

- A... - Uśmiecham się cała szczęśliwa.

- Mogę cię o coś zapytać?

- Pewnie...

- A ty ile masz lat? Przez chwilę się nie odzywam.

- Ja?

- Tak. - Znow się do mnie uśmiecha. A niby kogo innego miałby zapytać, głupia ty.

- Czternaście... - Dodaję sobie kilka miesięcy. Czasami w grę wchodzi takie szczegóły, które nie są w gruncie rzeczy aż takie ważne, prawda? Michèle się uśmiecha. Wygląda na zadowolonego z mojej odpowiedzi.

- Słuchaj, a musisz od razu wracać do domu czy też możemy się kawałek przejechać? Z turnieju już i tak nici.

- Przejedźmy się.

Więc rusza z miejsca i jest przezabawny. Wydawał się taki poważny, ale wcale nie jest! Chowa dach i podaje mi czapczkę oraz okulary.

- Wiesz, zawsze wożę ze sobą zapasowe. A nuż osoba, która jedzie ze mną, akurat nie będzie miała.

- Właśnie. - Uśmiecham się, wsuwam na głowę czapczkę i przytrzymuję ją sobie ręką. Zakładam też okulary. Wielkie D&G z przyciemnianymi szklami i olbrzymim logo na zausznikach, trochę w stylu lat siedemdziesiątych, ale całkiem niezłe. Dobrze zasłaniają oczy i wiatr wcale nie przeszkadza. W rzeczywistości mam parę okularów w torebce. Ale jakoś tak uznałam, że sprawiłabym mu zawód, gdybym mu się przyznała. Jest taki uprzejmy. A smart bardzo ładny. Jeszcze w życiu takim nie jechałam, a do tego ze złożonym dachem wygląda naprawdę

prześlicznie. Rusty James też by strasznie chciał mieć samochód. A o kabrioletcie to wprost marzy. Powiedział mi, że najbardziej to mu się śni taki stary mercedes, błękitna pagoda. Mówił, że te stare kosztują kupę kasy. Oczywiście, kto wie, kiedy sobie będzie mógł na takie auto pozwolić, na razie stać go na wynajem łodzi, a i to jak dla mnie fajna sprawa. No i jeszcze meble z Ikei, chociaż powiedział mi, że zapłaci za nie w ratach. A właśnie, ciekawe, czy mu je przywieźli. Później do niego przekręcę.

- Ej, masz ochotę na coś ciepłego?

Tak, rzeczywiście mamy już listopad, to lekki absurd tak jeździć. Wyglądamy jak nawiedzona para w Miami, w czapczkach i okularach przeciwsłonecznych, która pędzi samochodem wzdłuż plaży. Tyle tylko, że tutaj faktycznie jest trochę chłodno.

- Tak, chętnie!

Michèle się do mnie uśmiecha i skręca, wiezie mnie w niewiadomym kierunku. Nie pytam go o nic. Nie spieszy mi się. Jestem ciekawa i odpężona. Odchylam się na oparciu i czuję się trochę tak, jakby świat należał do mnie. Kto wie, a nuż któregoś dnia i ja będę miała swoją minibrykę. Przydałoby się trochę muzyki.

- Michèle, masz jakieś płyty?

- Mów do mnie Lele... Trzymaj, puść to. - Podaje mi iPoda. - W desce rozdzielczej jest kabelek. Potem wybierz sobie kawałek, który chcesz.

- Okay, dzięki... Caro.

- Co takiego? Dlaczego mówisz do mnie: „Dzięki, Caro”?

- Nie, sorry. - Wybucham śmiechem. - Podziękowałam ci za iPoda, a potem powiedziałam „Caro”, bo ty z kolei możesz do mnie mówić Caro!

- A, nie załapałem. - I dalej w śmiech. I rzeczywiście cała sytuacja była zabawna, na koniec wybieram Moby'ego, który podoba mi się na maksa, *In My Heart*. Pewnie, nie chciałabym, żeby to wyglądało na jakąś aluzję. Ale Michèle się śmieje, znaczy, Lele. I nie wygląda, by zwracał na to szczególną uwagę. Jest mi dobrze i nie chcę się nad tym zastanawiać. W końcu zabiera mnie do ekstra miejsca na via del Pehegrino, nazywa się Sciam i mają tam wszystkie rodzaje herbaty i różne ziołowe napary. I można tam nawet zapalić sziszę. No to palimy.

Przypomina mi to trochę faję, coś w stylu tych, które pali czasem Cudini, i już samo oddychanie oparami działa ogłupiająco! Znaczący, to prawda, że chce się śmiać. Ale musi też szkodzić. Clod, która trochę popała, kiedyś spróbowała parę razy się zaciągnąć, a po południu rzygała. Była zrozpaczona. Coś mi się zdaje, że raczej z tego powodu, iż w jakiś sposób udało jej się schudnąć, aniżeli z innego względu. W każdym razie świetnie się bawimy, ja i Lele. Wybieram sziszę o smaku dzikiej róży i miodu. Niezła. A potem przynoszą nam słodycze, naprawdę dobre, więc częstuję się kilkoma, są lekkie, a poza tym fajnie jest, bo wokół nas unoszą się przeróżne zapachy: lubczyku, jaśminu, owoców tropikalnych i naturalnych esencji zmieszanych z tytoniem. Później podchodzi do nas niejaki Youssef, coś mi się zdaje, że to właściciel, i pokazuje nam wiszący na ścianie plakat z napisem: PALENIE ZABRONIONE.

- U nas nie wolno palić cygar ani papierosów, tylko szisza jest dozwolona. To coś absolutnie naturalnego... - I tak daje nam spróbować fajki dla dwóch osób, palimy sobie trochę tytoniu tokańskiego z miodem i esencją jabłkową! I raz się śmieję, raz zbiera mi się na kaszel, ale koniec końców to było mocne przeżycie. Właśnie, znów siedzę w smarcie, mam w ustach przyjemny smak, lekko słodki, wcale mi nie przeszkadza, wydaje się, że oboje pachniemy kadzidełkiem.

- Ej, dzięki, było bardzo fajnie.

- Nie ma za co, ja też się ubawiłem. Tutaj mieszkasz?

- Tak. - Pokazuję mu swoją kamienicę. - Na czwartym piętrze.

- A jak masz na nazwisko?

- Bolla...

- Okay, masz, tu ci zapisałem numer do mnie na komórkę. -1 podaje mi wizytówkę lokalu, w którym byliśmy. - Tak będziesz mogła wybrać. Albo pójdziesz na herbatę z którąś ze swoich przyjaciółek, albo też zadzwonisz do mnie... Wydałem dyspozycje, żeby cię nie wpuszczali w towarzystwie innego chłopaka. *Sorry, to miejsce akurat ja dałem ci odkryć!*

- Dobra... - Biorę wizytówkę i chowam ją do kieszeni. I chciałabym powiedzieć coś dowcipnego. Ale ostatecznie, myślę, jakoś nic specjalnego nie przychodzi mi do głowy. - Wobec tego ty też masz tam nie przyprawiać żadnej innej dziewczyny.

Lele uśmiecha się do mnie. - Pewnie.

Wysiadam z samochodu i uciekam. Wydaje mi się, że powiedziałam już aż nadto.

Kiedy wpadam do domu, dostaję ochrzan od mamy. - Gdzieś ty się podziewała? Twoja komórka nie odpowiadała. Dostałaś ją od nas w prezencie, żebyśmy nie musieli się o ciebie martwić...

Rety, trochę mnie wkurza, skąd mogłam wiedzieć, że nie ma zasięgu, naprawdę nie zauważyłam. Czy ja mam nic innego nie robić, tylko w kółko się zastanawiać: to ma ta moja komórka zasięg czy nie? Nie czuję się wolna! Ale ja nie jestem wolna i to rzeczywiście mnie wkurza. Chciałabym jej powiedzieć, że akurat tę komórkę dostałam w prezencie od Alis, ale sobie odpuszczam.

- Przepraszam, mam, nie zorientowałam się, że nie miałam zasięgu. Pojechaliśmy odwiedzić w szpitalu Cudiniego, tego, który złamał sobie nogę.

- Wiem, który to... Któżby tam zapomniał. Wolałabym, żebyś nie zadawała się z takimi jak on...

- Mamo, ale wszystkie dziewczyny do niego poszły.

- Wszystkie, czyli kto?

- Alis, Clod... - I dorzucam jeszcze trzy czy cztery z klasy, akurat tyle, by stało się jasne, że nie mogło mnie zabraknąć. - Gdyby mnie tam nie było, toby potem głupio wyszło.

Mama podchodzi bliżej i wygląda na spokojniejszą. Po chwili mnie całuje. - A co ty... - Robi dziwną minę, lekko zaskoczona. - Caro, no co ty, paliłaś?

Zatyka mnie. Wcale o tym nie pomyślałam! Przecież to czuć! I weź się jej tu teraz tłumacz, że nie paliłam, albo że paliłam, ale sziszę, a tak naprawdę to tylko wdychałam, bez zaciągania. Już to widzę, padłaby na miejscu. Szisza. Już widzę, jak mnie wysyłają do ośrodka dla trudnej młodzieży... Słowem, niewiele brakowało, żebym jej powiedziała, ale natychmiast zmieniłam zdanie.

- Ależ skąd, mam... Myślisz, że to możliwe? No bo wszystkie chciały zapalić, w szpitalu nie można, chyba że w łazience, i poszły wszystkie do łazienki, więc ja razem z nimi, bo co, miałam tak sama stać na korytarzu, ale byłam tam tylko dla towarzystwa!

Ma dziwny wyraz twarzy. Nie wie, czy ma mi wierzyć, ale ostatecznie w taki czy inny sposób postanawia puścić to płazem. - Dobrze, idź do siebie do pokoju albo do salonu, jak będzie gotowe, to cię zawołam... - Zbieram się do odejścia. Ale wiem, że to nie koniec. -1 umyj ręce...

- Tak, mammo!

Ostatecznie wieczór upływa w ciszy i spokoju. Wysłałam Rusty'emu Jamesowi SMS-a: *I jak tam nasza łódź? Meble dotarły?* Odpowiedział mi po sekundzie. *Jeszcze nie! Martwiłaś się, co? To dlatego miałaś wyłączoną komórkę!*

Kurczę, to on też mnie szukał? Sprawdzam połączenia. Faktycznie. A i owszem. No, to lepiej, że meble jeszcze nie dotarły. Dla mnie to frajda móc mu pomagać w składaniu.

Cudowna kolacja: hamburger i podwójna porcja frytek. Spójrzmy prawdzie w oczy: uległam pokusie. Jak w tej reklamie, którą widziałam na ulicach. Podoba mi się na maksa. *Potrafię się oprzeć wszystkiemu z wyjątkiem pokusy. Oscar Wilde.* Uważam, że koleś jak nic był geniuszem. Znałam jeszcze jedno, Alis mi je powtórzyła, bo sama przeczytała na jakimś blogu: *Modne jest to, co ja noszę, niemodne to, co inni.* No po prostu czad. W każdym razie najtrudniej jest nam oprzeć się pokusie wtedy, gdy coś lubimy, przecież nie kiedy indziej. Kiedy mamy tę pokusę na wyciągnięcie ręki, jak na przykład takie frytki. Oj, ja tam nie wiem, jak mama je robi, ale te własnoręcznie przez nią pokrojone i lekko zrumienione, cóż, mogłabym jeść bez opamiętania, choćby i całą górę. Z innymi pokusami jest już inaczej. Na przykład: „Czy Lele mi się podoba?”. Na razie nie. Znaczący, jest zabawny, był uprzejmy, dla mnie zrezygnował z udziału w turnieju, żeby się ze mną przejechać. Strasznie fajny. Jest wszystko, co potrzeba. Ale żeby mi się miał spodobać, to jeszcze przed nim daleka droga. Dajmy na to, Massi podoba mi się na maksa, bo od samego początku wszystko było dziwne, to, jak się poznaliśmy, to, co się stało, nasze wałęsanie się po mieście. A poza tym już sam fakt, że pojawił się tak nagle w tamtej księgarni, słowem, taki przypadek... Nieuchronne przeznaczenie! To samo cholerne przeznaczenie, które sprawiło, że straciłam komórkę z wszystkimi numerami. Pamiętam, że Rusty James na plecaku, który nosił w liceum, napisał sobie: *Najbardziej*

ekscytujące jest przyciąganie się dwóch przeciwieństw, które nigdy się nie spotkają. To słowa niejakiego Andy'ego coś tam, dziwnego malarza, który, by stać się sławny, wymyślił sobie, że wszystkie jego obrazy z wizerunkiem Marilyn Monroe i puszką coca-coli będą w różnych kolorach. No a na ile może być pociągające spotkanie kogoś w szpitalu? Znaczący, Lele zjawił się w moim życiu w szpitalnym pokoju Cudiniego, który ma złamaną nogę. Więc co najwyżej może być mowa o zwyczajnym zainteresowaniu, w ostateczności może trochę skostniałym od tego całego gipsu. Ha, ha! Jedno jest pewne: jeśli przypadkiem zgubię kartkę z namiarami Lelego, to i tak go odnajdę, kiedy tylko sama będę chciała. Na wszelki wypadek i tak zapiszę go sobie w komórce. I jeszcze w pamiętniku. A na koniec schowam karteczkę do pierwszej szuflady w biurku. Słowem, drogi Lele, jeśli będę chciała do ciebie zadzwonić, to twój numer znajdę z łatwością. Jest tylko jedno pytanie: Lele, ale czy ja... chcę do ciebie zadzwonić? I jakby ten mój osobisty dylemat nie wystarczył, nawet nie zdążam na dobre podłączyć się do MSN, a one już mnie dopadają! Niczym dwie szarogęszące się kwoki albo i gorzej, niczym dwa sępy nad surowym mięsem lub sroki nad skrzącą się błyskotką. Czy te wszystkie porównania do ptaków nie są aby znaczące?! Ratunku... Coraz gorzej ze mną! W każdym razie oto one, Alis i Clod, dwa drapieżniki złaknione plotek!

No i? Całowałaś się z nim? Jaki jest? Sympatyczny? Co robiliście? Jesteście parą?

A to co znowu, są gorsze niż komputerowe karabiny maszynowe. Nie mam pojęcia, czy coś takiego istnieje! Nawet mama, kiedy się martwi, przy nich wymięka!

Od razu je uspokajam. *Nie, dziewczyny, nic się nie stało.*

Oczywiście mi nie wierzą. Oj, nie wiem, na czym to polega, ale kiedy mówię prawdę, to mowy nie ma, żeby mi uwierzyły. Kłamstwo łatwiej przechodzi. Ale w pewnych sprawach nie można kłamać. Nie. W pewnych wypadkach po prostu nie i już. Jakby to powiedzieć: rachunek musi się zgadzać. Tyle że mnie akurat, nazajutrz, jakoś wcale me chciało wyjść tyle, ile powinno! Miałam klasówkę z matmy! I na śmierć o tym zapomniałam. Znaczący, tak naprawdę przypomniałam sobie o niej, kiedy akurat zasypiałam. Ale było już za późno. Zupełnie Jakbym słyszała głos babci Luci: „Kiedy Morfeusz przybywa, nie wolno

mu się opierać A któraż bardziej niż ja chciałaby zostać natychmiast pokonana? Prawdziwym problemem w szkole okazały się moje posiłki. Tamtego dnia sprawy nie potoczyły się zgodnie z moimi oczekiwaniami. Moje szkolne podstawy mnie zawiodły a raczej jedna podstawa - Gibbo!

- Ej, co robisz? Podaś mi moje czy nie? No weź!

Gibbo odwraca się w stronę mojej ławki i rzuca: - Ciii, mam obsuwę, nie wyrabiam z własnymi zadaniami. Nie rozpraszaj mnie... Mamy jeszcze czas!

I tak usiłowałam coś wyrzeźbić w pierwszym zadaniu, potem w drugim i w trzecim, a na końcu to nawet i w czwartym na ostatniej stronie. Porzeźbić to żadna sztuka. Chodzi o to, żeby mieć wynik, w pełnym tego słowa znaczeniu. Och, usiłowałam rozwiązać te zadania na masę sposobów, ale ani razu nie udało mi się uzyskać dwukrotnie tego samego wyniku. Jestem prawdziwym buntownikiem z wyboru! Znacząco, oglądałam ten film w telewizji również poprzedniego wieczoru, nawet go sobie nagrałam, i podobał mi się na maksa. Gra tam Matt Damon, na którego punkcie oszalała Clod, i Ben Affleck, który na maksa podoba się mnie i Alis. Zresztą powiedziałyśmy Clod, co o tym sądzimy.

- Sorry, ale mogłabyś nam wytłumaczyć, jak ktoś taki jak Matt Damon może ci się w ogóle podobać, skoro w tym samym filmie jest taki koleś jak Ben Affleck?

A ona nam na to: - Bo ja jestem większą realistką. Bo ja szansę, że ktoś taki jak Matt Damon zwróci na mnie uwagę, jakąś tam mam, a wy, że Ben Affleck na was - żadnej!

Normalnie trzeba być nieźle stukniętym. No bo skoro już marzyć, to na całego, nie? A zresztą postać Matta Damona nie umywa się do tej, którą gra Ben. Pamiętam takie zdanie, które psor Sean, czyli Robin Williams, mówi do Willa Huntinga, Matta Damona. Specjalnie po kawałku przewijałam kasetę, żeby dobrze zrozumieć słowa, i zapisałam je sobie w pamiętniku: *Nie wiesz, czym jest prawdziwa strata, bo ona jest tylko wtedy, kiedy coś kochasz bardziej od siebie samego. Wątpię, czy kiedykolwiek*

ośmieliłeś się kochać kogoś do tego stopnia. Patrzę na ciebie i nie widzę człowieka inteligentnego, pewnego siebie. Widzę łobuza, który robi pod siebie ze strachu; ale ty, Will, jesteś geniuszem, któż może temu zaprzeczyć? Nikt nie może pojąć tego, co masz w głębi, ty zaś masz czelność utrzymywać, że wiesz o mnie wszystko, bo widziałeś raptem mój jeden obraz i zniszczyłeś to moje zasrane życie. O, właśnie, gdyby do mnie jakiś psor tak powiedział, to bym się rozpląkała. Ale chyba nie ma już takich zaangażowanych nauczycieli jak tamten...

W każdym razie dzisiaj rano jest tutaj u nas jak w koszarze.

- Gibbo... i co?

- Co tam się dzieje z tyłu? Ciszej bądźcie.

Psorka się zorientowała, że gadamy. Przesrane! Zawsze jest zajęta czymś innym, czyta gazetę albo kartkuje jakieś kolorowe pisma, liżąc sobie co sekunda ten swój palec wskazujący, a gdy już naprawdę potrzebuję, by na poważnie zajęła się czymś innym, to naraz robi się czujna. Oj, nigdy nie można mieć do niej zaufania. Próbuję ponownie. Wychylam się z ławki i mówię półgłosem:

- Gibbo, i co? No weź, zaraz będzie dzwonek.

- Sam się jeszcze nie wyrobiłem ze swoimi...

- Okay, ale ty masz rewelacyjną średnią! Za to u mnie kompletna katastrofa! Weź, zrób mi chociaż jedno...

Oj, lepiej było tego nie mówić, bo potraktował sprawę dosłownie. Raz-dwa machnął mi zadanie i wręczył tylko to jedno jedyne, tłumacząc się gęsto.

- A, dałem radę zrobić tylko to jedno! - I rzucił mi kartkę na ławkę.

- Jak to? Tylko jedno? - A zresztą, takie oburzanie się to kompletna szopa. Bo nie to, żeby można było się specjalnie wkurzać na kolesia, który i tak wyświadcza ci przysługę. A jednak, żeż cholera jasna. Ja, o ile wszystko dobrze pójdzie, dobiję średnią do naciąganego dostatecznego. Dobra, wierzyć się nie chce. W końcu usiłowałam jeszcze sama coś rozwiązać, zostało dziesięć minut, więc kombinowałam. Z drugiej strony zawsze lepiej jest zrobić cokolwiek, chociaż spróbować, niż wręczać czysta, kartkę. Bo w takim wypadku można być pewnym tylko jednego... Sromotnej porażki! I muszę przyznać, że moje koncepcje okazały się nadspodziewanie trafne.

Dwa dni później psorka wchodzi do sali z naszymi klasówkami.

- Na miejsca, na miejsca, migiem. Jak to możliwe, że zawsze powodujecie takie zamieszanie? O czym wy tak gadacie? Dalej, siadajcie, szybciej, chcę zobaczyć na własne oczy, czy za chwilę też wam tak będzie do śmiechu.

Faktycznie, ma rację. Oto nasze wyniki.

- Pała, niedostateczny, pała... - Wygląda to na katastrofę. Przypomina procesję. Po kolei podchodzimy do katedry, odbieramy klasówkę, sprawdzamy tylko, czy rzeczywiście jest taka ocena, i wracamy na miejsce. O ile na poprzedniej lekcji, na włoskim, wszyscy śmiali się i żartowali, teraz zapanowało ogólne przygnębienie. Nawet ci najlepsi, w sensie kujony, nie wyrabiają. Tak samo Raffaelli, orzeł z matematyki. Nie dała rady. Niedostateczny. Katastrofa.

- Bolla - wzywa mnie, teraz moja kolej, mam swój moment, a zarazem już po mnie.

- Więc tak, twój przypadek otwiera nam bardzo dziwny rozdział... Chodź, chodź tutaj, to ci wyjaśnię.

Podchodzę do katedry.

- A zatem, pierwsze ćwiczenie masz zrobione dobrze, bez cienia wątpliwości. - Napotykam wzrok Gibba, uśmiecha się do mnie i kiwa głową, jakby chciał powiedzieć: „A co... Widziałaś, niby czego się spodziewałaś?”. - W trzech pozostałych jednakże dałaś mi kilka możliwości do wyboru. - Rozkłada kartkę ze sprawdzianem i pokazuje mi ją ze wszystkich stron. - Znaczący... Do każdego ćwiczenia trzy możliwe wyniki. Ale, Carolino! W rzeczywistości tylko jeden wynik na trzy jest prawidłowy.

- Hmm, jednak w taki czy inny sposób podałam dobry wynik, prawda?

- Tak, ale ty opierasz się na rachunku prawdopodobieństwa. Czy można oddawać klasówkę z trzema różnymi wynikami? Dwoma błędnymi i jednym prawidłowym dla każdego ćwiczenia?

- Pani profesor, moja babcia Luci zawsze mi powtarza, że są tacy, którzy widząc szklankę, mówią, że jest do połowy pełna, oraz inni, dla których ta sama szklanka jest do połowy pusta. To zależy od tego, jaki człowiek ma stosunek do życia.

No, po tym wystąpieniu, pewnie nie uwierzycie, ale psorka dała mi tróję na szynach. Pewnie, z dwoma minusami, ale ocena główna to dostateczny! Dobrze, co? A potem mówią, że nie jestem genialna. Matt Damon w tamtym filmie naprawdę potrafił rozwiązywać zadania, ja się kompletnie do tego nie nadaję, a i tak dostaję tróję na szynach. To jestem genialnym buntownikiem z wyboru czy nie?

Nie wierzę. Nie mogę w to uwierzyć. Wróciłam do domu, a tam czekał na mnie prezent, na dodatek z liścikiem. Mama i Ale siedzą w salonie i wpatrują się we mnie.

- Spodziewałaś się go? Kto ci to przysłał? Kto to taki? Pomyśleć tylko. Moja siostra dosłownie wychodzi z siebie.

- No przecież nawet jeszcze nie zajrzałam do liścika, skąd niby mam wiedzieć? Zachodzę w głowę. Gibbo. Gibbo, który się tłumaczy, bo zrobił za mnie tylko jedno zadanie z matmy. Mhm. Jemu takie sprawianie innym przyjemności do głowy nie przychodzi. A może Filo, w ramach przeprosin za skradziony pocałunek? Minęło za dużo czasu. Że niby co, koleś tak późno się zreflektował? Alis i Clod? Nie, obecnie to raczej one oczekiwałyby ode mnie prezentu... Jakbym się musiała tłumaczyć z tego, że ostatnio aż tyle razy zapunktowałam. I tak zaczynam się zastanawiać. Przychodzą mi na myśl najróżniejsze osoby. Matt, który się rozstał z dziewczyną i chce mi pokazać nie wiadomo jakie jeszcze widoki Rzymu. Akcja w stylu: fajnie by było, ale to niemożliwe. Lorenzo! Cierpi na swój sposób, bo do lata wciąż daleko. Ale skoro się nie kontaktowaliśmy w ciągu roku szkolnego. .. Zdaje mi się, że nawet nie wie, gdzie mieszkam! I nagle wpadam na absurdalny pomysł. A jeśli to Ricky, który przełamał wstyd i chce się jakoś zrehabilitować? Minęło zbyt wiele lat. Co najwyżej znów podniósł roletę. I nagle olśnienie, cud, rodzaj sądu... ostateczno-uczuciowego. A gdyby Massi znalazł mój adres? Gdybym tamtego dnia, kiedy rozmawialiśmy, zostawiła po sobie jakiś ślad, powiedziała coś, dała wskazówkę, jakiś szczegół, i on, po wielu poszukiwaniach, wreszcie by mnie znalazł? Biorę paczkę i przez chwilę ważę ją w rękach. Podrzucam do góry. Lekka. Jeśli w środku jest pantofelek Kopciuszka, to musi być kłapek z korka!

- To co, otworzysz czy nie?

- *jak*, weź, strasznie jesteśmy ciekawe. - Teraz i mama przyłączyła się do nagabywania. Patrzę na nie i się uśmiecham.

- Ale jeśli teraz otworzę, to koniec z niespodzianką.

Widzę, że je zatkało. A ja tak właśnie uważam. Póki jakaś rzecz jest zapakowana, póki jakiś liścik jest nieotwarty, wszystko jeszcze może się wydarzyć. Prawdziwe szczęście to to wszystko, co poprzedza spełnienie! Tam w środku jest Massi, jego wyznanie, okulary, które tak mi się podobają, albo iPod Touch, zapakowany tak, żebym się nie domyśliła, bądź jakiegokolwiek inne marzenie!

- Okay. - Postanawiam w każdym razie nie być niefajna. - Zróbmy tak: najpierw rozpakuję prezent, a potem otworzę liścik, dobra?

Nie to, żeby mogły się nie zgodzić. Wszystko należy do mnie. Alessandrze jak zwykle udaje się być nieznośną. - Oj, dosyć tego, rusz się! Bo potem muszę wyjść.

„To już wychodź”, chciałabym jej rzucić. Kto cię tu trzyma! Strasznie upierdliwe to... Ale jej tego nie mówię, bardziej ze względu na mamę niż z jakiegoś innego powodu. Zaczynam rozpakowywać prezent. Szybko mi idzie i wreszcie trzymam go w rękach. Obydwie wyciągają głowy, żeby lepiej widzieć.

- Co to takiego?

- Czapeczka z moim imieniem. - Patrzę na nią zbита z tropu. Jest ładna, blad różowa, miękka, z zatraskiem z tyłu i wypukłym napisem CARO z przodu.

- Ale kto ci to przysłał?

- Bo ja wiem. - Poważnie. Zero pomysłu. Nie przychodzi mi na myśl żadna osoba. Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko otworzyć liścik.

Cześć. Chętnie udzieliłbym ci kilku lekcji tenisa, gdzie chcesz, kiedy chcesz, z czapeczką na głowie lub bez niej. Nauczyciel obiecującej uczennicy do jej całkowitej dyspozycji. A niżej podpis: Lek. PS Jeśli przypadkiem paliłaś sziszę z innym, to moja propozycja odpada... Żartuję! PPS Coś ty, naprawdę paliłaś ją z kimś innym?

Zaczynam się śmiać. Ładna ta końcówka z postpostscriptum!

- No i co, można się dowiedzieć, kto to taki? - Alessandra na maksa się niecierpliwi. Mama też ledwo może usiedzieć, ale nic nie mówi.

- Taki jeden mój przyjaciel chce mnie nauczyć grać w tenisa.

Ale odchodzi, wzruszając ramionami. - Też coś, a ja się spodziewałam Bóg wie czego.

Mama jest miłsza, przynajmniej udaje, że ją to ciekawi. -1 co zrobisz?

- Chcę zacząć od razu, kiedy tylko się nauczę celnie trafiać w piłkę, to dopiero Ale ode mnie oberwie.

Zadzwoiłam do Lelego i za wszystko mu podziękowałam, włącznie z czapeczką i propozycją lekcji tenisa.

- Oj, Lele, tylko że musisz wykazać się cierpliwością... Słuchaj, ja nie gram dobrze. Ale to wcale, wiesz.

- Będę chodzącą cierpliwością. Kiedy zobaczyłem, jak ci idzie palenie sziszy i jak potem kaszlesz, to jestem pewien, że z wszystkim innym poradzisz sobie śpiewająco.

Nie powiem, że bym zrozumiała, co takiego miał na myśli, ale zaśmiałam się, bo wypadło. - No właśnie.

- Więc podjadę po ciebie w przyszły poniedziałek, zagramy o trzeciej, to najlepsza pora.

- Okay, doskonale. -1 się rozłączamy. Jest tylko jeden drobny szczegół: nie mam rakiety. Mało tego, gwoli ścisłości, jest jeszcze kilka drobnych szczegółów: nie mam piłeczek, a przede wszystkim nie mam stroju do tenisa, nie mam butów, koszulki, frotek tenisowych, podkolanówek, słowem nie mam niczego, a przede wszystkim... nie mam ani centa! Za to mam mamę... Najdroższą mamę, która wszystko w lot pojęła, nie musiałam nic mówić, i zrobiła mi wspaniałą niespodziankę. Zostawiła mi kopertę, w której było sto euro i kochany liścik. *Na twoją lekcję tenisa. Żeby zawsze wszystko układało się po twojej myśli. Były tylko Ale od ciebie nie oberwała. Twoja mama, która ogromnie cię kocha.*

A to zdanie: „Były tylko Ale od ciebie nie oberwała” strasznie mnie rozśmieszyło. Lecz już chwilę później poczułam, że jestem wzruszona. Przysięgam wam, miałam w oczach dwie wielkie łzy i nie wiem, jak to się stało, że nie popłynęły. W końcu to wszystko strasznie mnie zasmuciło. Zamiast sprawić mi radość, spowodowało, że zaczęłam myśleć o tacie, który zawsze źle traktuje mamę, który nie potrafi zrozumieć, jaka

jest kochana i ujmująca, ile rzeczy robi i ile chciałaby zrobić, gdyby tylko mogła. A teraz jeszcze ta sprawa z wyprawą Rusty'ego Jamesa, jestem pewna, że ona, chociaż nic nie mówi, fatalnie to znosi. Nie zawsze ludzie okazują to, co czują. A już zwłaszcza mama. Chyba dlatego że sama zawsze chciałaby wiedzieć, że wszyscy są szczęśliwi. Uważam, że jeśli jedno na troje jest, to już można mówić o cudzie. A zresztą... Szczęście. Można by pomyśleć, że to łatwe, ale coś mi się zdaje, że to coś trudnego, znaczy, wszyscy o nim mówią, ale nikt tak naprawdę nie wie, co to takiego, i przede wszystkim, gdzie go szukać. Poszukałam trochę w Internecie i uświadomiłam sobie, że już od czasów starożytnych Grecy, Rzymianie, filozofowie, naukowcy, także współcześni, starali się jakoś dojść, na czym ono polega. Inni, znacznie liczniejsi, po prostu starali się je osiągnąć. Teraz ja jestem szczęśliwa w pewnych momentach i po tym wszystkim, co przeczytałam, co zostało powiedziane, napisane i zrobione w sprawie szczęścia, uważam, że wiele zależy od nas samych. Jedyne, co wydaje mi się niedorzeczne, to to, gdy mama czasem mówi, że się nie uczę.

Wyjście ze szkoły. Pędem wskakuję do minibryki Clod.

- Tylko ty możesz mi pomóc!

- A to co, jedna z twoich *mission impossible*?

- Mniej więcej. Dałam znać w domu, że nie wracam. Weź, wyślij esa rodzicom...

- Okay. - Zabiera się za pisanie, raz-dwa, na swojej różowej komórce LG. Clod jest zajebista. To przyjaciółka idealna. Nie dopytuje się. Wykonuje. Jest szczęśliwa, że spędza ze mną czas. Muszę powiedzieć, że Alis też jest trochę taka! Ale na tę *mission* Clod jest lepsza. Alis zrobiłaby wszystko zgodnie z własnym widzimisię. Sama chciałaby rozwiązać mój problem i czułabym się za bardzo skrzępowana. Już i tak przeszła ta historia z komórką i mama dała się przekonać. Tym razem to by się nie udało.

Clod zamyka menu w komórce. - Okay, gotowe! - I zaraz się do mnie uśmiecha.
- No i? Dokąd jedziemy?

Bo ja wiem, to ty mi powiedz. Mam sto euro i muszę się ubrać od stóp do głów, żeby zagrać w tenisa.

- Sorry, sto euro... Dla mnie co najmniej dwa big maki!
- Ale Clod, przynajmniej dzisiaj...
- Przechyla się w moją stronę i otwiera mi drzwi. - Już, spadaj, nie ma cię. Wobec tego nie mogę ci pomóc...
- A to dlaczego?
- Bo jak nie zjem, to nic nie kumam.
- Tak, dobra. - Zamykam drzwi. - Czego ty nie wymyślisz, co? Chodź, idziemy.
- I oczywiście pojechaliśmy prosto do McDonalda.
- To silniejsze od ciebie, prawda?
- No, ale sorry, jest zestaw w promocji. Dwa maki, frytki i cola tylko dziesięć centów więcej niż dwa maki bez niczego! Nie ma porównania. Jak chcesz, to dam ci trochę coli.
- Też coś... Ale się wysiliłaś!
- Dobra, z nią akurat walka o jedzenie to krótka piłka. A ponieważ nie chcę przestać na „krótkiej piłce”, tym bardziej że mówimy o tenisie, to idę Clod na rękę. No i sama podbieram jej kilka frytek.
- Je już tak dłuższą chwilę, aż w końcu rzuca:
- Wiesz, przedwczoraj wysłałam esa do Aida.
- Coś ty. I co mu napisałaś?
- Nic, takie tam.
- Tak, ale jakie tam? - Widzę, że nie bardzo chce rozmawiać. - No, sorry, najpierw mi coś mówisz, a potem zamykasz temat.
- Okay, nic takiego. - Uśmiecha się do mnie. - Napisałam mu, że podobają mi się jego parodie.
- Nie! Nie wierzę! - Szybko wcinam dwie kolejne frytki. Oj, ale głód mnie ogarnął. Jak to było? A, tak, jedno z tych powiedzeń babci Luci: „Kto z kim przestaje, takim się staje”. Albo jeszcze: „Gdy wejdiesz między wrony, musisz krakać jak i one”. Ja bym to przerobiła na: „Kto z Clod przestaje, to się naje!”.
- Oj, o czym tak znowu myślisz?
- Tłumczę się. - Nie, o niczym, o niczym... - Znów skupiam się na przyjaciółce.
- Znaczący, nie mogę w to uwierzyć, Clod. Ty temu koleśowi robisz fałszywe nadzieje, poczuje się parodystą z prawdziwego zdarzenia, jeszcze gotów na koniec serio uwierzyć, że nadaje się do telewizji, do programów rozrywkowych, do występów w teatrze! Dlaczego mu nie

powiesz, że ci się podoba i już? - Wcinam jeszcze dwie frytki i widzę, że Clod patrzy na mnie z autentycznym niepokojem. Gryzę i mówię jednocześnie. - A nuż dzięki temu zdecyduje, że da sobie spokój z tymi swoimi parodiami. - Jem kolejną frytkę. - A potem, jeśli nadal będzie chciał to robić... - kolejna frytka - ...to znaczy, że ma taką pasję, i wszystko jest w porządku, bo nie będzie w tym twojej winy! Także dlatego, że, powiedzmy to sobie szczerze... Aldo się do tego nie nadaje!

- I po tym uściśleniu zjadam jeszcze jedną frytkę. - Zgadzasz się?

- Tak, tak, zgadzam... - Zabiera wszystkie frytki i kładzie je po swojej stronie. - Zwłaszcza co do tego, że niezła z ciebie spryciara, bo robisz mi kazanie, odwracasz uwagę i jednocześnie wcinasz mi wszystkie frytki!

- Co ty opowiadasz! - Usiłuję sięgnąć między jej rękami, żeby capnąć jeszcze jedną, ale ona jest szybka, przesuwa się i zasłania je przede mną. Więc próbuję z innej strony, drugą ręką, ale ona zakrywa je, chowając w objęciach. Ja nie odpuszczam, usiłuję się przebić i wyswobodzić zniewolone frytki, rozkładam jej ręce.

- Nie, weź, nie! - Ciągnę ją za jedno ramię i za drugie, łapię za rękę.

- Nie, ratunku. - A tymczasem Clod prawą ręką stara się chwycić choć kilka frytek i wpakować je sobie do buzi. - Sprawię, że wszystkie znikną!

- Nie, oddawaj. - I ciągnę ją jeszcze mocniej. A ona się opiera.

- Nie, powiedziałam, że nie! - Więc puszczam ją ni stąd, ni zowąd. A ona leci do tyłu, jakby dawała nura, spada z taboretu. Frytki wzbijają się w górę, razem z talerzem i tacą oraz resztkami coli. Clod ląduje na podłodze, czemu towarzyszy rechot jakiegoś młodszego chłopaczka, który pokazuje ją palcem, zanosząc się śmiechem. Od razu podchodzą dwie trochę starsze osoby, które pomagają jej się podnieść.

- Nic ci się nie stało?

Clod wstaje. - Nie, nie, wszystko w porządku... - Otrzepuje sobie spodnie z tyłu na pupie i zaraz uśmiecha się zadowolona: - Całe szczęście, że zdążyłam już zjeść hamburgery!

Patrzę na nią i rozkładam ręce. - Widzisz, skąpstwo nie popłaca!

Morał. *Pewnie, byliśmy młodzi, byliśmy bezczelni, byliśmy śmieszni, byliśmy egzaltowani, byliśmy w gorącej wodzie kąpani, ale mieliśmy rację.* Abbie Hoffman. Kurczę, ale ma rację. W słynnych cytatach odnajduję odpowiedzi,

których często mi brakuje. Podobają mi się. Ten akurat znalazłam przedwczoraj w Internecie i zapamiętałam! Zawsze zapisuję je sobie w pamiętniku! I uważam, że tym razem pasuje idealnie. Bo miałam rację!

- Jedź powoli, powoli, skreć tutaj, pamiętaj o kierunkowskazie, Caro. Prowadzę jej minicara. Clod siedzi obok mnie i trochę mnie szkoli.

W razie gdybym też kiedyś miała swoje autko. Bardzo bym chciała.

- Właśnie, teraz jedź prosto, tędy, prosto, a potem w prawo. Włącz kierunkowskaz... - Tak naprawdę pozwoliła mi prowadzić tylko dlatego, że kazała sobie kupić jeszcze jedną porcję frytek i teraz je zajada w spokoju, pewna, że o żadnych atakach z mojej strony nie będzie w tej chwili mowy. - Właśnie... - Zjada frytkę, oblizuje palec i zaraz pokazuje mi miejsce: - Zaparkuj tutaj, bo można.

Jeden sprawny manewr i już zajmuję wolne miejsce. Nie mam pojęcia, jak jej się udało je zauważyć!

- Biiiiiiip! - Trąbi samochód za nami. - Kierunkowskaz! - drze się starszy mężczyzna, który jak nic ma już skończone trzydzieści pięć lat, i najwyraźniej ruch uliczny oraz samo życie bardzo dały mu się we znaki.

Błyskawicznie wychylam się przez okno. - Przecież włączyłam! .

- Akurat! To się robi wcześniej! - I szybko odjeżdża, tym samym mowy nie ma o kontynuacji naszej wspaniałej awantury „aerodrogowej”.

Clod patrzy na mnie i kręci głową. Ja rozkładam ręce. - Zresztą z tobą to i tak zawsze moja wina! - I zwijam jej ostatnią frytkę, wyskakując czym prędzej z auta.

Chwilę później idziemy z zadartymi głowami, porażone wielkością.

- Ej, jak ty odkryłaś to miejsce? Jest genialne!

- Raz przywiozła mnie tu matka. Kupiliśmy masę rzeczy na Boże Narodzenie dla wszystkich moich krewnych. I udało nam się nie przekroczyć budżetu!

- Ekstra!

Idziemy w milczeniu. Clod nie ma rodzeństwa. Ma tylko całą masę kuzynek i kuzynów zarówno ze strony ojca, jak i matki, którzy z kolei sami mają zatrudnienie braci i sióstr, i pragnieniem ich wszystkich było powiększenie rodziny. Słowem, przy okazji dużych świąt jej dom zamienia się w coś w rodzaju placu zabaw. Pęka w szwach. Wszyscy tam są,

począwszy od noworodka aż po tych trochę starszych i tych już całkiem wyrosniętych, co to zdążyli się już pobrać. Słowem, nie brak żadnej grupy wiekowej. Brakuje tylko pieniędzy. Tyle że dotyczy to prawie wszystkich, tym samym nie ma tej nieuniknionej zawiści, która zawsze panuje w rodzinach. A tak się składa, że tata Clod zajmuje się mieszkaniami i budynkami, to znaczy jest administratorem. I on zawsze powtarza, że gdyby dostawał jedno euro za każdą awanturę, której musi wysłuchać, to już dawno byłby milionerem. Ale tak nie jest. Clod ma zwyczajny dom. Śmiesznie urządzone, wszędzie wiszą inne zasłony i każdy pokój jest pełen kolorów, dziwnych foteli, każdy utrzymany w innym stylu, może dlatego, że jej mama ma dziwny sklep w centrum, gdzie sprzedaje różne meble. Ale w sumie Clod nie narzeka. Udało jej się dostać używanego minicara i rodzice dbają, by niczego jej nie brakowało. A poza tym są zgodni, nigdy nie słyszałam, żeby się kłócili. Kto wie, dlaczego Clod wobec tego tak się objada. Może dlatego, że lubi i tyk. Bo ja wiem... A zresztą.

- Jak się nazywa ten sklep?

- Mas! Chodź, pójdziemy na drugie piętro, tam mają dział sportowy! Biegniemy po schodach na górę. No, przysięgam, miejsce jest wprost obłędne. W każdym zakamarku wiszą stroje sportowe, ale nie sto, tylko tysiąc, i wszystkie po trzy euro! Do tego koszulki wszelkich możliwych marek, Nike, Adidas, Tacchini, Puma i to po dwa i pół euro.

- Popatrz na tę, i jak wyglądam? - Clod przystawia sobie jedną, ładną, białą z niebiesko-czerwonym wykończeniem na rękawach. Ale uważam, że jest dla niej za krótka. Gorzej, wcale nie pasuje. - Ładna, ale po co ci?

- Bo ja wiem. - Odkłada ją na stos. - Na gimnastykę! Opowiedziałam jej całą historię z Lelem. Według niej to przemile, że przysłał mi tę paczkę.

- Od razu było widać, że mu się spodobałaś.

- Dobra, Clod, skoro ty tak mówisz. Zrobmy w ten sposób, jeśli potem zrobię postępy w tenisie, to sama ciebie nauczę.

- Tak, tak, chciałabym to zobaczyć! - Bierze drugą koszulkę. - A ta?

- Lazurowa z jasnoblękitnym i białym wykończeniem. Jest trochę szersza od tamtej.

- Lepiej. Bardziej mi się podoba. - Patrzy na cenę, cztery euro. Uznaje, że to za dużo.

- Weź, kup ją albo ja ci ją kupię!

W rzeczywistości po zakupie hamburgerów już i tak moje sto euro stopniało do dziewięćdziesięciu trzech i czterdziestu centów, po odjęciu ceny jej T-shirta zostaje osiemdziesiąt dziewięć euro i czterdzieści centów. Teraz to ja jestem już całkiem jak buntownik z wyboru, nie do zagięcia, przynajmniej na tym nie mogę się już wyłożyć. Clod oczywiście też nie! Spośród tych wszystkich koszulek wybrała najdroższą!

- A ta ci się podoba? - Pokazuję jej białą w beżowe i niebieskie prążki z przodu.

Clod na nią patrzy, przekrzywia głowę. - Niezła, ale coś mi się zdaje, że to żadna znana marka. Co tam masz napisane, na górze, z przodu?

- IL.

- Coś takiego... w życiu nie słyszałam. Biorę koszulkę i patrzę na metkę. - Tu jest napisane Fila.

- Tak, chwila moment! Z nimi nie przyjmiesz ani jednej piłki.

- Co ty gadasz? To znana marka. - I pokazuję jej ścianę. Wiszą na niej zdjęcia największych tenisistów, którzy nosili rzeczy tej firmy.

- Neeee, ale super... - Clod czyta nazwisko na jednym z paneli, pod zdjęciem. - To grał w ich rzeczach nawet... Dmitrij Tursunow!

- A kto to?

- Bo ja wiem, koleś ze zdjęcia. Skoro go tu powiesili, to znaczy, że nie może być kiepski.

- Ale ty głupia jesteś!

- Tak, za to ty ją bierz, zobaczysz, że świetnie będzie ci się grać!

- A ta? To Sergio Tacchini! - I tak w kółko, wyławiając kolejne rzeczy z wielkich żelaznych koszy, pełnych rozmaitych koszulek i strojów sportowych, trendy i niemodnych, wszystko całkiem nowe, nieużywane, po niebywałych cenach. Razem z nami nurkują w koszach najróżniejsze osoby. Dorosłe i potężne kobiety, szczupli i niepozorni chłopcy, jakiś czarnoskóry koleś, gość z Azji, staruszek, trzydziestolatka, czterdziestolatka i para dwudziestolatków. A kawałek dalej są spódniczki tenisowe, w następnym koszu skarpetki, a obok znowu koszulki i dalej półki z wszelkimi możliwymi rodzajami butów sportowych i setkami

rakiet, które kosztują od piętnastu do stu pięćdziesięciu euro. Te najdroższe zostały spięte cienkim, żelaznym łańcuchem i jeśli chce się którąś z nich, to trzeba wezwać sprzedawcę lub sprzedawczynię, taką jak tamta dziewczyna, która akurat pomaga jakiemuś dziadkowi znaleźć dres Adidasa, który by na niego pasował.

- Ma być czarny z białymi paskami. I już bez żadnych innych kolorów, zwykły, taki jak te, które robili kiedyś! Wie pani, o co mi chodzi?

I sprzedawczyni nie przestaje przekopywać kosza. - Taki? - Wyciąga coś spod spodu. Staruszek na nią patrzy, unosi lekko okulary, żeby lepiej widzieć. - Ale ten jest niebieski... A co, myślała pani, że nie zauważę?

Sprzedawczyni wrzuca dres z powrotem do kosza. - Ależ skąd! Chodziło mi o to, czy to taki model...

- Tak, ale ja chcę czarny... Czarny. - I staruszek tupie nogami i kręci głową, jakby w jednej chwili postradał całą swoją mądrość, wynikającą z sędziwego wieku, i znów był dzieckiem.

Trochę później jesteśmy z powrotem na zewnątrz. Więc tak, od stóp do głów: buty do tenisa, skarpetki, spódniczka ze spodenkami Adidasa pod spodem, koszulka Fila, dres Nike, rakietka i dwie frotki tenisowe. Pewnie, każda rzecz innej marki, ale za to wszystko razem jest bardzo kolorowe, a przede wszystkim koszt całej operacji...

- Wiesz, ile wydałyśmy?

- Ile?

- Osiemdziesiąt jeden i pół!

Clod zaciera ręce przeszczęśliwa. - Dobra nasza! Zaoszczędziłyśmy! To jeszcze nam starczy na dwie pyszne gorące czekolady...

- Ale, Clod...

- Przecież jest zimno!

- Tak, wiem, ale może chociaż jakaś szczątkowa dieta, co? No, przecież właśnie dlatego, jest zimno, więc i tak spalasz!

No i masz. Dosłownie przegrzała nam się dziewczyna. Dochodzimy do samochodu i dokładnie w tej samej chwili strażnik miejski zostawia mandat przy jej minibryce. Clod rzuca się pędem, usiłując go wyprzedzić.

- O nie, przepraszam! Nie, już jesteśmy, tutaj, właśnie przyszliśmy!
- Oj, wiem, mandat również!
- Ale, proszę pana, wysiadliśmy tylko na chwilę i wróciliśmy natychmiast!
- Co ty mówisz? Zdążyłem obejść wszystko wzdłuż i przynajmniej od pół godziny, jak tu jestem, to auto stoi tak zaparkowane...
- No bo w sklepie jest mnóstwo ludzi... - Clod orientuje się, że taka wymówka to za mało. - A na dodatek moja przyjaciółka nie mogła się zdecydować, co kupić. - Widzi, że to wciąż nie wystarczy. - A poza tym były gigantyczne kolejki do kasy!
- Przepraszam w takim razie... - rzuca strażnik - ..ale skoro pojawiło się aż tyle trudności, to czy nie lepiej było zapłacić za postój? Dwa euro za dwie godziny parkowania i kłopot z głowy. Za jednym zamachem, mało to ma człowiek problemów...
- A pan nie może teraz wszystkiego tak za jednym zamachem rozwiązać? Bardzo proszę.
- Przykro mi, ale nie mogę. Następnym razem, przypominam, pomyśl, kiedy będziesz parkować.
- No i masz. Pasowałoby tu dobrze takie zdanie, które pewnego razu powiedziała mi babcia Luci: „Obudzić się z ręką w nocniku”. Ale tego Clod nie mówię, bo jeszcze gotowa się zezłościć.
- Dziękuję, co? - Czekaj, aż strażnik się oddali. - Co go kosztowało wyświadczyć mi taką uprzejmość, złamasy z nich i tyle. Co ich to obchodzi, zresztą... - Sięga po mandat i go rozkłada. - Popatrz, siedemdziesiąt trzy euro! A kto ma taką kasę! Jak mama się dowie, to się wścieknie!
- Przykro mi, to moja wina.
- Ależ nie, sama ci powiedziałam, żebyś tu zaparkowała. Zresztą nawet nie było widać niebieskich pasów.
- W rzeczywistości widać je było doskonale, tyle że nie pomyślałyśmy w porę.
- Weź, podzielimy się tym mandatem...
- Oj, nie...
- Właśnie, że tak, przyjechałaś aż tutaj dla mnie. No, trzymaj, mam dziesięć euro. Jestem ci jeszcze winna dwadzieścia pięć, nie, dwadzieścia sześć pięćdziesiąt, zgadza się?

Clod bierze ode mnie dychę. - Weź, jest okay, kiedy będziesz mogła, dasz mi pozostałe dwadzieścia pięć. A ja te tymczasem sensownie ulokuję...

- Dasz je mamie, żeby zapłaciła mandat?

- Pięć tak, resztę wydam w Cióccolati na dwie ekstra gorące czekolady z bitą śmietaną. Wchodzisz w to? No weź! Ja stawiam!

Wróciłam do domu. Mama chciała zobaczyć, jak wyglądam w nowych rzeczach.

- To nie mieli gotowego całego kompletu, żeby spódnica była taka sama jak koszulka? - Siadła na łóżku trochę zaskoczona.

- Ale, mammo, teraz w tenisa gra się w takich ciuchach, nie wszystko jest tak idealnie dobrane. Nie widziałaś Nadała?

- Nie, kto to?

- Weź, ten, co zawsze wygrywa, jest świetny, a na dodatek strasznie śliczny. No, on, dajmy na to, zakłada szerokie niebieskie spodnie, spuszcza je sobie na biodra, tak że ma krok na tej wysokości. -1 ręką pokazuję jej gdzie. - Mega z niego ciacho!

Moja mama robi niesłychaną minę, prześmieszoną. - I jak daje radę grać w tenisa i się nie potknąć?

- Ale, mammo, one są elastyczne!

- Aaa...

- I do tego nosi zawsze wyciętą koszulkę.

- To znaczy?

- Jest cała wycięta, bez rękawów.

- I mega z niego ciacho?

- Na maksa!

- Skoro ty tak mówisz. Chodź, umyj ręce, bo niedługo jemy kolację.

- Okay.

- Ostatnia rzecz... Tylko mi nigdy takiego jak Nadal do domu nie Przyprawdzaj.

Śmieję się. Tak, akurat by się dał nabrać. Ale tego jej oczywiście nie mówię.

Wychodzi z pokoju. Przeglądam się w lustrze. Ekstra wyglądam w tym komplecie... vintage. Właśnie, tak go mogę nazwać. Komplet

vintage. Zakładam czapkę z napisem CARO. I przekręcam ją sobie. Daszkiem do tyłu. Właśnie tak. Po chwili odbijam piłkę na niby, ale bez rakiety, bo w przeciwnym razie jak nic bym coś rozwaliała. Mój pokój jest za mały *na* smash. Stock. Wypóbowuję uderzenie, pewna i niewzruszona. Niezłe przyjęcie, nie ma co. W tej samej chwili przechodzi Ale.

- Rany, świetnie. Nie wstydzisz się pokazywać ludziom na oczy w takim stroju? Coś ty, postawiłaś na softball?

- Na tenis. - I zatrzasnę jej drzwi przed nosem. Zresztą obietnica złożona mamie, że Ale ode mnie nie oberwie, i tak się nie liczy!

Tydzień minął jak z bicza strzelił. Spokojnie. Ani razu nie byłam odpytywana tak na serio. Wypracowanie z włoskiego dobrze mi poszło, dostałam czwórkę, chociaż psor Leone na koniec w nawiasie zanotował mi na kartce komentarz: *Uważaj, żeby nie popaść w zbytnią pewność, że masz racje, za bardzo odbiegasz od tematu.* Ostatnim razem mi napisał, że byłam zbyt lakoniczna. Zawsze im coś nie pasuje! Ładne rzeczy! Na dodatek sam temat był specyficzny: *Czym jest prawdziwe piękno.* Właśnie. Skąd masz wiedzieć, czy jesteś piękna? Bo co, istnieje pięknościomierz? Głupie pytanie, ale w końcu wszystkie dziewczyny je sobie zadają. Od kogo zależy, czy jestem piękna? Od chłopaków, którzy na mnie patrzą? Sama uważam, że jestem ładna... ale jak bardzo? Komplementy rodziców się nie liczą. Trudno uznać je za prawdę. Wszyscy rodzice myślą, że ich dzieci są najpiękniejsze na świecie. Tata, dajmy na to, mówi, że jestem całkiem normalna. Właśnie, i co? Normalna. Jedna z wielu. Ale ja to ja! Carolina! Jedyna! Rety. Dlaczego tak się nie czuję? Szkoda, że nie jestem taka jak Alis. Ona jest niesamowita, super. Przypomina trochę Angelę Hayes z *American Beauty*, tego filmu, który Rusty James pokazał mi w zeszłym roku na DVD. Tyle tylko, że ma ciemniejsze włosy. No i jak tu się dowiedzieć, czy w sumie jestem piękna? Od przyjaciółek? Alis mówi, że jestem ładna, ale mogłabym popracować nad wyglądem. Clod z kolei twierdzi, że mi zazdrości, bo mam ładną figurę, ale z twarzy mniej jej się podobam. O rany. Ja sama czasami się sobie podobam, ale kiedy indziej myślę, że jestem Paskudna. W każdym razie w wypracowaniu napisałam całą masę rzeczy, które wtedy przyszły mi do głowy. Nie sądzę, żeby na wszystkie tematy człowiek wypowiadał się zawsze tak samo! O pewnych rzeczach Możesz powiedzieć więcej i bardziej cię one interesują, o innych za

to piszesz wypracowanie, bo musisz. W każdym razie ten temat mi się spodobał. Pamiętam z kolei inny, który psor Leone zadał nam w zeszłym roku. *Znaczenie recyklingu*. No co takiego można o tym napisać? Bo wiadomo, że środowisko i natura zagrożone są zanieczyszczeniami, można, powiedzmy, zacytować Ala Gore'a, wspomnieć coś o samochodach na wodór i tyle, koniec kropka. Właśnie, fajnie byłoby dostać taki temat, który potem, jak już cię zmęczy, może stać się przyczynkiem do kolejnego, na który będziesz chciała się wypowiedzieć, a gdy już to zrobisz, przyjdzie ci do głowy jakiś następny pomysł, a to wszystko w ramach tego samego sprawdzianu. Trochę tak jak podczas rozmowy. W gruncie rzeczy szkoła jest po to, żeby człowieka przygotować do życia w społeczeństwie. A bo co, kiedy ciebie gdzieś zapraszają, ty w kółko tylko powtarzasz to samo? Stałbyś się potwornie nudny i nikt by już więcej cię nigdzie nie zaprosił. Dobra, jeśli któregoś dnia tak by się złożyło, że zostałabym, bo ja wiem, o właśnie, ministrem edukacji, zmieniłabym mnóstwo rzeczy. I tak, dajmy na to, nie pozwoliłabym na klasówki na pierwszych lekcjach w poniedziałek. To by było pierwsze rozporządzenie! Może się tak zdarzyć, że człowiek w niedzielę wróci późno do domu, to oczywiste. Często to jedyny wieczór w tygodniu, kiedy rodzice puszczają na imprezę, i następnego dnia człowiek musi jakoś dojść do siebie, nie może od razu pisać sprawdzianu albo być odpytywany. Albo kiedy to psor się pomyli przy sprawdzaniu klasówki, tak jak na przykład było kiedyś na matmie. Raffaelli znalazła u siebie niesłuszną poprawkę, więc jak to, sorry, temu profesorowi, który popełnił błąd, należy się konstruktywna kara. Znaczy, bo ja wiem, powinien być odpytywany po kolei przez wszystkich w klasie! Dlaczego nie? Oni często wymyślają kary, których nie ma. Jak choćby wtedy, gdy narozrabialiśmy w klasie i psorka od matmy kazała nam napisać list z przeprosinami! List z przeprosinami! Musieliśmy przeprosić za nasze zachowanie i *zapropionować rozwiązania, by coś podobnego już się nie powtórzyło*. Widział ktoś coś podobnego? Tak czy owak kiedyś poproszono mnie, bym została przewodniczącą, ale ja kategorycznie odmówiłam. Znaczy, przyszły do mnie Alis z Clod i jeszcze trzy czy cztery inne dziewczyny. I ani jeden chłopak. Oj, chłopakom tam w sumie wisi, kto będzie w samorządzie i jakie decyzje będą podejmowane w pewnych sprawach. Oni tylko

rozrabiają i już. Za to potem, kiedy zapada decyzja i im akurat nie pasuje, wówczas zaczynają się kłótnie. Tyle że wtedy jest już za późno! Na co oni znów dowodzą, ot co. Słowem, dla nich każda wymówka, każdy pretekst są dobre. Okay, zresztą to inna historia. Ale ja na samą tylko myśl, że musiałabym dodatkowo przychodzić do szkoły popołudniami, po lekcjach, żeby występować jako przewodnicząca klasy, no, chyba im się rzuciło... A bo to co, mają mnie za wariatkę? I tak ostatecznie to Raffaelli została wybrana na przewodniczącą, jedyna, która, jak sędzę, na poważnie chciała nią być, choć stwarzała pozory, że aż tak bardzo to jej tam znowu nie zależy. Uważam, że udawała tylko ze strachu, że jej nie wybiorą. Zresztą bycie przewodniczącą idealnie do niej pasuje. Bo ona jest naprawdę walnięta! W każdym razie ja wróciłam wtedy do domu przeszczęśliwa.

Po południu gimnastyka artystyczna i żadnych parodii w wykonaniu Aida. Niesłychane! Więc mu się poprawiło! Dotarło do niego, że mu nie wychodzi, że musi jeszcze popracować, poćwiczyć w domu, na własną rękę, w zaciszu własnego pokoju, gdzie nikt go nie widzi. Nie, sprawa okazała się znacznie prostsza. Nie przyszedł, bo źle się czuł. Clod przesłała mu esa.

Przykro mi.

A on jej na to: *Mnie też.*

Czy to może zapoczątkować ewentualny związek? Bo ja wiem. Zbyt mało mam danych, aby wyrazić jakąś opinię. To, co nas najbardziej rozbawiło, to to, że w pewnym momencie Aldo przesłał jej dziwne zdanie i w końcu wiecie, co napisał? *Zgadnij, kim jestem?!?*

I co, macie pojęcie? Parodia w SMS-ie. A najbardziej niedorzeczne jest to, że Clod mu odpowiedziała: *Pippo Baudo!*

Świetnie! Więc dobrze mi idzie!

Tak, zmieniłam zdanie, może zostaną parą. Bo z drugiej strony, jeśli to nie jest miłość...

Wieczór na megaluzie. Tata nie wrócił na kolację, umówił się z kolegami z pracy. Ale wyszła do kina z przyjaciółmi i tak oto wreszcie doczekałam się spokojnej kolacji tylko z mamą. Zrobiła mi frytki, które

tak lubię, i mięso po sycylijsku, czyli sznycel panierowany w tartej bulce, ale który się piecze, a nie smaży, pycha, takie mięso najbardziej mi smakuje. Problem w tym, że Ale też je lubi i muszę się z nią dzielić, a ona zawsze wybiera największe kawałki.

- Mhm, dobre są, mamó, naprawdę przepyszne.

- Te same co zawsze.

- Nie, lepsze! - I wkładam sobie dużą porcję do buzi, jakoś dziwnie mama nic nie mówi, tylko się uśmiecha. I powiem szczerze: gdybym miała wybrać idealną przyjaciółkę, to wybrałabym właśnie ją.

Trochę później siedzimy przed telewizorem, nadał same w domu, niczym dwie przyjaciółki, które mają do swojej dyspozycji cały salon. Siedzimy obie na kanapie z podkulonymi nogami, które wsunęłyśmy pod poduszki. Mama jest kochana. Oglądamy *Amid*, chociaż ona akurat niespecjalnie jest fanką tego programu.

- Sama powiedz, czy to tak się wam podoba, bo śpiewają ładne piosenki?

- Ale, mamó, Maria też jest fajna!

- Kiedy prowadzi *Ce posta per te*, to też mi się podoba. Tam, owszem, gdy doprowadza do spotkania ludzi, którzy tyle się nie widzieli, kiedy za jej sprawą pary się schodzą, gdy udaje jej się na nowo zbliżyć do siebie rodziców i dzieci. Właśnie, taką Marię lubię, tam świetnie jej to wychodzi!

Niezła ta moja mama. Zupełnie jakby w tym drugim programie Maria była jakąś inną osobą. Dzwoni moja komórka. Patrzę kto to.

- Rusty James!

Mama się śmieje. - Wciąż tak na niego mówisz?

- Pewnie, zawsze! - Wciskam klawisz i odbieram czym prędzej. - Cześć, R.J., co słychać? Na jakim jesteś etapie?

- Na rewelacyjnym.

- Więc kiedy mogę przyjechać?

- By skończyć to, co ledwie zaczęłaś? - Śmieję się. Rzeczywiście wyszło to od czapy. Tego dnia, gdy przywieźli mu wszystko, co zamówił w Ikei, przesłał mi esa. - *Wszystko już mam. Pomożesz mi?* Odpowiedziałam, że okay. Więc czekał na mnie pod szkołą i pojechaliśmy do niego.

Oj, nie uwierzycie mi, ale części z Ikei są niemożliwe! Mają dołączone kartki z bardzo prostymi objaśnieniami do mebli, które z kolei są strasznie skomplikowane, wszystko trzeba dopasować, są śruby, które musisz wkręcić i zamocować, do nich inne, które trzeba założyć bardzo precyzyjnie, żeby zablokować te już wkręcone, a wtedy meble nie będą się trzęsły. *Słowem, jeśli ci się uda*, to naprawdę szczerwany z ciebie lis. Ja, powiedzmy, jestem liskiem. Znaczący, skręciłam tylko jedno krzesło i byłam nieprzytomna. Skuliłam się na ziemi i kiedy Rusty mnie zobaczył, powiedział: - Okay, załapałem, chodź... -1 rzucił mi kurtkę. - Odwiozę cię już do domu...

Przyjechałam, zjadłam, wzięłam prysznic i natychmiast położyłam się spać! Jak żyję, jeszcze tak nie miałam! Byłam nieprzytomna. I jak sobie pomyślę, że do skręcenia zostało pięć krzesel, dwie szalki nocne, łóżko, trzy stoły, dwie szafy i nawet nie pamiętam, co jeszcze takiego... No, to równie dobrze mogliby mnie od razu wziąć do szpitala.

- Poważnie, Rusty, na jakim jesteś etapie?

- Wszystko skręciłem. Gdybym miał na ciebie czekać... to już prędzej bym się doczekał bankructwa Ikei! Gdzie jesteś?

- W domu z mamą... -1 zaraz patrzę na nią i się uśmiecham. - Same, tylko we dwie!

- Dobrze! Postanowiłem, że jeśli zastanę ciebie i mamę w domu, to was do siebie zaproszę! Więc czekam w niedzielę w porze obiadu, macie ochotę?

Podskakuję na kanapie, podciągam nogi i dalej skaczę. Mama na mnie patrzy. Musi uważać, że ma szurniętą córkę. Jestem przeszczęśliwa.

- Co jest? Co się dzieje?

- Zaprosił nas! Mamo, świetne miejsce, ekstra, na maksa super! Podaję jej komórkę.

- Cześć, jak się miewasz?

- Dobrze, mam, wszystko w porządku... - Słyszę, jak głos Rusty'ego Jamesa lekko skrzeczy w głośniku.

Widzę, że mama cicho przełyka ślinę. Oby nie zaczęła płakać. Przystaję Podskakiwać.

~ Na pewno? Nie masz żadnych problemów... Brakuje ci czegoś?

- Ależ skąd, mamó, wszystko w porządku, naprawdę, a poza tym mówiłem już Caro, w niedzielę zapraszam was do mnie na obiad, chcecie?

Mama lada moment wybuchnie płaczem. Zasłania sobie ręką nos i usta, zupełnie jakby chciała coś powstrzymać. Może zbyt silne emocje.

- Halo, mamó, jesteś tam?

Mama zamyka oczy. Oddycha głęboko, jeszcze głębiej. Po chwili unosi powieki. - Tak, tak, jestem...

- A to co, już się martwisz, co takiego wam dam do jedzenia? Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem!

- Ale głuptas z ciebie...

- W każdym razie same proste rzeczy! Bo tak dobrze jak ty to ja nie gotuję. Założę się, że Caro zażyczyła sobie to mięso, które jej tak smakuje, i frytki?

Mama zanosi się śmiechem. - Tak, świetnie trafiłeś... - Wygląda na to, że wzruszenie już minęło. Patrzy na mnie, uśmiecham się do niej.

- A zatem do zobaczenia?

- Przyjdziemy na pewno. Mogę zabrać też Ale, jeśli nie będzie zajęta? Wierzgam nogami na łóżku. Wymachuję pięściami. Dlaczego? Słyszę śmiech po drugiej stronie telefonu. - No pewnie, naturalnie. O ile Caro się zgodzi! Patrzy na mnie.

- Caro powiedziała „dobrze”.

Mama kłamie i się rozłącza.

- Ale to nieprawda, nieprawda. Ja się nie zgadzam! Nie powiedziałam, że dobrze!

- Oj przestań, bądź grzeczna, bo potem będzie ci przykro, że nie powiedziałas o niczym siostrze.

Podnosi mnie z kanapy, rzuca na poduszki i zaczyna ze mną walczyć.

- Nie, mamó! Nie dam rady! Nie łaskocz mnie! Nie wyrobię! - Wierzgam, rzucam głową w prawo i w lewo, staram się uwolnić.

- Prawda, że chcesz, by Ale z nami poszła?

- Tak, tak, dosyć, wystarczy, będę przeszczęśliwa, jeśli pójdzie! Aua! Dosyć!

Mama mnie puszcza. - O, właśnie taką moją małą córkę lubię.

poprawiam się na kanapie. - Okay, niech idzie, ale jeśli po tym, jak jej powiemy, nie będzie chciała pójść z jakiegoś sobie tylko znanego powodu, bo będzie miała coś innego do roboty, to przysięgam, że jak się nauczę dobrze grać w tenisa, to oberwie ode mnie jak nic!

Mama zaczyna się śmiać i udaje jej się powiedzieć jeszcze tylko: - Nie przysięgaj, Caro!

Zawsze się zastanawiałam, jak ludziom udaje się umieścić statek w szklanej butelce. Trochę mi to przypomina sytuację, gdy usiłuję wbić sobie do głowy reguły z geometrii. Są zbyt liczne, jak na pojemność mojej głowy!

Dziadek Tom ma trzy takie butelki w salonie i za każdym razem, kiedy na nie patrzę, nie mogę się nadziwić.

- Dziadku, wiem, że tłumaczyłeś mi to już, kiedy byłam mała, ale zapomniałam!

- Co takiego, Carolino?

- Jak to się robi, żeby umieścić je w środku, skoro są większe od szyjki butelki?

Dziadek się odwraca i widzi, że stoję tuż przy samej półce, ze statkiem w ręku. Sadowi się wygodniej na swoim wielkim czarnym krześle przy stole do pracy. Rozsiada się i uśmiecha.

- Pewnie, że ci opowiadałem.

- Ale powiedz jeszcze raz, to może uda mi się coś pojąć z geometrii...

- A co geometria ma tu do rzeczy?

- Potem ci wyjaśnię. No, opowiedz! - I siadam po turecku na podłodze.

- Dobrze... Więc kiedyś ludzie bali się wypływać w morze, nie było tak jak dzisiaj, statki były mniej bezpieczne, podróżowało się przez wiele dni i nie wiadomo było, co się wydarzy. I tak marynarze zdawali się na pomyślny los i na modlitwy. Aby poczuć się choć trochę pewniej, zabierali ze sobą różne amulety, trochę tak jak ty teraz, kiedy bierzesz ze sobą tego włochatego stwora, gdy idziesz do odpowiedzi.

- Chodzi ci o tego małego misiaczka, mój breloczek?

- Tak.

- Już go nie noszę od niepamiętnych czasów, dziadku! _ Świetnie, widać, że teraz duża z ciebie dziewczynka.

Nabija się ze mnie. - Ależ skąd! Najwyraźniej stracił swoją moc... podczas ostatniego przepytywania dostałam niedostateczny! - Dziadek zanosi się śmiechem.

- Widać za mało mu ufałaś. Za to marynarze musieli wierzyć do tego stopnia, iż myśleli, że jakiś święty posążek, amulet lub pukiel włosów zdoła ich ustrzec przed sztormem, buntem czy piratami. Problem polegał jednak na przechowywaniu i zabezpieczeniu tych przedmiotów, zwłaszcza takich, które najłatwiej się niszczyły, chodziło o to, by osłonić je przed wilgocią. Przecież wtedy ani im się śniły sejfy osobiste czy hermetyczne pojemniki. Jedynym rozwiązaniem była właśnie butelka! I powoli przedmiotem, który coraz częściej zaczął się pojawiać w butelkach, był właśnie symbol ich życia, statek. A umieszczali go tak: przez szyjkę do środka butelki wkładali kompletny model, ze złożonymi żaglami i omasztowaniem, a do nich przytwierdzali długie nitki, za które potem ciągnęli i podnosili omasztowanie.

-Ach!

- Służyły im za amulety, ale również jako towar na wymianę.

- A ty kiedyś zrobiłaś taką butelkę?

- Tak, jedną z tych trzech! Tę największą.

- Nieeee! W jaki sposób?

- Najpierw trzeba skonstruować statek na zewnątrz, potem się go instaluje w środku za pomocą nitek.

- Ale to pochłania masę czasu!

- I cierpliwości! Zupełnie jak w życiu.

- Dziadku, zrobimy też taki?

- Ale sama przecież powiedziałaś, że to pochłania masę czasu... Caro, znudziłaś się po dziesięciu minutach. To hobby wymaga wytrwałości!

- Tak, jednak w takim razie chcę coś z tobą zrobić, ty tyle potrafisz! Wymyśl coś!

- Dzisiaj wieje, prawda?

Tak, dlaczego?

- W takim razie co ty na to, żebyśmy zrobili babci prezent?

- O tak! Jaki?

- Taki wiatraczek, żeby go mogła wetknąć do jednej z doniczek na tarasie. W ten sposób za każdym razem, kiedy wiatrak się zakręci, babcia pomyśli o tobie. Powiesz jej, że sama go zrobiłaś, bez niczyjej pomocy. A co tam, zrobimy ich więcej! Zupełnie, jakby to było domowe pole śmigłowe.

- Dobra, ale świetnie! Jak to się robi?

- To dziecinnie proste. Przynies z mojej szafki papier kolorowy. Posłusznie wykonuję polecenie. Otwieram szafkę i biorę arkusz w kolorze żółtym, zielonym i czerwonym.

- Trzeba je pociąć na mniej więcej takie części. W kształcie kwadratów. - I pokazuje mi jakie. - Caro, tak żeby babcia się nie zorientowała, idź do kuchni i weź kilka słomek. Są w szufladce pod marmurowym stolikiem, tam gdzie sztucce.

- Dobra!

Czuję się całkiem jak wtedy, gdy byłam mała i musiałam zwinąć coś z kredensu, a serce waliło mi jak opętane. Dobrze, babcia jest u siebie, słyszę hałasy. Porządkuje coś w szafach. Znalazłam słomki. Biorę kilka i wracam do gabinetu dziadka.

- Teraz potrzebny nam klej, flamastry i kredki, ale wszystko mam tu u siebie.

- Zupełnie jak w papierniku!

- Zobacz, robisz tak... - Dziadek składa kwadraty po przekątnej. - Teraz pokoloruj trójkąty tak, jak ci się tylko podoba.

I zabieram się do pracy niczym mała dziewczynka, a on tymczasem tnie pozostałe arkusze.

Kiedy już skończyliśmy, dziadek przykleja rożki mniej więcej na środku kwadratów, a potem wycina koła i przykleja je na tych rożkach, żeby się nie poodklejały. Następnie sięga po szpilki, te z trochę większymi łebkami, robi dziurkę na środku wiatraka i zostawia w niej szpilkę. Z drugiej strony wtyka słomkę i całość umacnia taśmą klejącą, uważając, aby zostawić trochę miejsca między wiatraczkiem i samą słomką. Robię tak samo i przygotowuję trzy kolejne wiatraczki. Po kilku minutach mamy wszystko gotowe. Są prześliczne!

Babcia, która nigdy nam nie przeszkadza, gdy siedzimy w gabinecie, nie ma o niczym pojęcia. Dziadek puszcza do mnie oczko i po chwili otwiera drzwi od gabinetu. - Kochanie, zaparzysz nam dobrej herbaty? Bo Carolina i ja chętnie byśmy się napili...

Głos babci dobiega z sypialni. - Ależ oczywiście...

I tak biorę wiatraczki i wychodzę na taras, bezszelestnie. Wsadzam je do doniczek z kwiatami. Już gotowe. Są cudne. Natychmiast nadciąga mocniejszy podmuch wiatru, który wprawia je w ruch.

Chowam się za rogiem i czekam.

Po chwili babcia pojawia się ze swoją filiżanką zielonej herbaty w dłoni. - Gdzie jesteście? - Rozgląda się wokół. Podpatruję ją zza pędów jaśminu. Widzę, jak zmienia jej się wyraz twarzy.

- Tom! Tom!

Wchodzi dziadek. - Słucham!

- Mamy wiatraczki!

- Wiatraczki?

- Tak, tutaj, to ty je tam powsadzałeś?

- Ja nie.

- A gdzie jest Caro?

I zaczynają mnie szukać, dziadek - mój współnik, udaje, że nie wie, o co chodzi. Po kilku minutach wyskakuję z ukrycia.

- Tutaj jestem, babciu!

- A co ty tu robisz?

- Podoba ci się nasz prezent?

- Nasz? - pyta dziadek. - Przecież sama to zrobiłaś! - Po chwili spogląda na babcię Luci, która doskonale wie, jak się sprawy mają. - Naprawdę, przysięgam ci... To wszystko jej dzieło!

- Nie przysięgaj...

I po delikatnym pocałunku, który sobie dają, siadamy razem na tarasie, żeby popatrzeć na wiatraczki, a te kręcą się jak szalone w doniczkach, po chwili wiatr ustaje i przestają się obracać, ale nagle nadciąga kolejny podmuch i znów wprawia je w ruch. I kiedy kręcą się tak szybko, to te różne kolory mieszają się i stają jedną barwą. Wygląda to przepięknie, a ja pociągam łyk herbaty. Z dziadkiem spoglądamy

na siebie dumnie. Muszę przyznać, że tu u nich jest naprawdę tak dobrze.

Ostatnie dni listopada. Dziś w szkole nie tylko miłość. I to miłość pełna udręki! Psor od włoskiego opowiedział nam o Dinie Campanie i Sibilli Aleramo. Nie podoba mu się, że Campana wciąż pozostaje poza programem, bo to autor, którego nigdy się nie przerabia, a powinno. I postanowił zacząć od historii ich dwojga: jego i jej. Ja coś tam wcześniej słyszałam, bo Rusty James pokazał mi film na DVD. Piękny. Chociaż strasznie smutny. Ileż rzeczy on dla niej napisał. Ale dlaczego jest tak, że właśnie ta miłość, która nie ma szans powodzenia, czyni nas najbardziej kreatywnymi? Kiedy psor czytał nam: *Znaleźliśmy róże, to były jej róże, to były moje róże, na tę podróż mówiliśmy miłość*, wszyscy oprócz mnie byli zajęci czymś innym, ja jedna siedziałam dziwnie skupiona. Uważam, że kiedyś namiętniej mówiło się o miłości. Posługiwano się innymi słowami. Co o miłości powie Massi? Miejmy nadzieję, że nie gada o tym z jakąś inną! Oj nie, ja jestem pierwsza w kolejce. Co ja mówię, tak w ogóle tylko ja jestem! Pewnie, związek z mężczyzną, który mówi takie rzeczy, musi być cudowny... *Boja nie mogłem zapomnieć róż, szukaliśmy ich wspólnie...* Ja też nie mogę zapomnieć. I pomyśleć tylko, że w życiu nikt mi nie przyniósł róży. Miłość to kwiat, którego nikt ci nigdy nie ofiarował, a o którym zawsze będziesz pamiętać. Ja też jestem poetką! A potem wielka niespodzianka! Wychodzę ze szkoły i dostaję esa.

Pamiętasz, że dzisiaj mamy pierwszą lekcję? Piłki są, korty i instruktor również, brakuje tylko uczniacy! Podjechać po ciebie? Korty mamy od trzeciej.

Wpadam do domu niczym huragan... Gorzej. W okamgnieniu mierzę wszystkie rzeczy. A oto i mój wielki dylemat. Strój z krótkimi spodenkami czy też ze spódniczką? Ostatecznie decyduję się na dres i postanawiam tak wystąpić. Siadam do stołu. Mama dała radę wrócić, żeby nam coś przyrządzić, ale ja oczywiście jestem zbyt zdenerwowana!

- Co robisz? Caro, nie jesz?

Nie zdążam odpowiedzieć. Alessandra jest ode mnie szybsza i odzywa się z pełną buzią.

- Nie! Dziś ma softball.

Mama patrzy na mnie zaskoczona. - A nie mówiłaś, że będziesz grać w tenisa?

- Tak, tylko ona się wydurnia... Ktoś dzwoni! Ja pójdę! - Pędzę do domofonu.

- Cześć... Tutaj trener, czyjego ulubiona uczennica może już zejść?

- Pewnie! Zaraz będę... - Lecę do pokoju po raketę. - Mamo, ja wychodzę.

- Nie wracaj późno!

- Dobra!

Siostra na chwilę przerywa jedzenie. - Udanego softballu!

- Śmieszne.

Ściągam windę, ale jestem zbyt przejęta. Podskakuję w miejscu. W końcu nie daję rady czekać. Wychodzi pan Marco, ten z telewizji.

- Ściągnęłam panu windę, proszę jechać.

- Dziękuję.

- Tak, tym razem sama jestem na diecie.

Zeskakuję z ostatnich stopni i już jestem na półpiętrze. Widzę, jak sąsiad kręci głową. Uśmiecham się i pędzę w dół po schodach, nie zwracając na niego większej uwagi. Wychodzę przez bramę.

- Już jestem!

Lele wychyla się z mojej strony i otwiera mi drzwi. Wskakuję błyskawicznie do smarta i zatraskuję je za sobą. Lele rusza, gdy tymczasem ja przypinam się pasem. - Oj, może i jestem twoją ulubioną uczennicą, ale chyba i najsłabszą...

- Może, ale z pewnością jesteś tą ulubioną.

Dlaczego mi to mówi? To mile, ale powiedział to w taki dziwny sposób... Robi do czegoś aluzję? O nie, co... Czegoś nie skumałam. Lele patrzy na mnie i się uśmiecha. - Jesteś moją jedyną uczennicą!

Podsumowanie tenisa.

A zatem, macie pojęcie, jak wyglądają zawodniczki softballu? To dziewczyny, które czekają nieporuszone na piłkę, a potem w nią trafiają z dziką siłą, tak że aż ląduje ona poza boiskiem. I które biegają powoli,

od bazy do bazy, wyrzucając do góry ręce, całkiem spokojne, właśnie dlatego, że posłały piłkę tak daleko. Otóż to, wyglądałam tak samo. Tylko że jak tak robisz w softballu, to jesteś mistrzynią, natomiast w tenisie - pierdołą! Alessandro, a niech cię! Miała rację. Każdą piłkę, którą dostawałam, przebijałam na drugi kort, ale nie na stronę przeciwnika, tylko sąsiedni. Czyli zamiast grać w tenisa, grałam w „najmocniej przepraszam”.

- Najmocniej was przepraszam, to pomyłka.

- Właśnie widzimy! - Dwóch wesołych chłopaków na sąsiednim korcie.

Za to Lele sięgał do kosza po kolejne piłki i cały czas posyłał mi je w to samo miejsce, zawsze z taką samą prędkością, w tym samym rytmie. Niczym maszyna wojenna... Niestrudzenie.

- Pochyl się, patrz na piłkę, odbij do przodu... Świetnie!

- Ej, trenerze, nie wciskaj kitu swojej uczennicy! - Nasi sąsiedzi, jeszcze weselsi.

W sumie popołudnie było całkiem zabawne. Po lekcji usiedliśmy w klubie przy kortach, żeby się czegoś napić. Przyjemnie schłodzony powerade stawia na nogi, chociaż ja, poza ganiem tu i tam, żeby zebrać piłki, aż tak się znowu nie nabiegałam. Jednak trochę się spociłam, a to dobrze. A zresztą w moim dresie tak czy owak byłam „laską ostrą jak tabasco”. Dwóch sąsiadów z kortu obok minęło nas pod koniec.

- Daj znać, kiedy znów będziecie grać... to przyniesiemy sobie parasol! Lele zaczął się śmiać, po chwili zwrócił się do mnie.

- No, może następnym razem weźmiemy sobie kort gdzieś bardziej w głębi!

- Okay, chętnie... - Uśmiechnęłam się, pociągając ostatni łyk powerade'a. Bardzo dobrze wychowana. Bardzo ładna. Bardzo tenisistka. I tylko jedna rzecz nie daje mi spokoju: czy naprawdę ten Lele jest aż tak cierpliwy? A zatem... rzeczywiście będzie następny raz? Dobrze. Na tym etapie już nie tylko dziewczyna bardzo tenisistka, ale na dodatek niepozbawiona pewności siebie. Włożę strój ze spódniczką... I uśmiecham się rozbawiona na samą myśl. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, co dopiero miało się wydarzyć!

Niedziela.

- Zobacz, kup tę, jest ładna. - Którą?

- Tamtą, z tymi kwiatami.

- Okay. - Wyskakuję pędem z samochodu. - Poproszę tę roślinę.

- Tę?

- Tak, dziękuję.

Mama jest w samochodzie i na mnie czeka. Odwracam się do niej.

- Może jeszcze kupię bilecik? Zgódź się, to napiszemy mu coś ładnego.

- Dobrze.

Kwiaciarz pakuje roślinę w celofanowy rękaw i mi ją wręcza.

- Dwadzieścia euro, proszę. Płacę i wsiadam do samochodu.

- To gdzie mam jechać?

- Cały czas prosto, na Lungotevere.

- Ale czy to blisko?

- Bliziuteńko!

Mama jedzie przed siebie spokojnie. - Skoro ty tak mówisz!

- Już tam byłam! - „Nawet skręciłam krzesło”, chciałabym dodać, ale wydaje mi się to zbyt umniejszać mój wkład. - Nawet pomogłam mu złożyć meble.

- Ach...

Tak brzmi to lepiej. W nogach trzymam roślinę, chaber pnie się do góry i pachnie intensywnie, ale raz po raz prawie dotykam go twarzą, aż mnie trochę szczypie w nos, więc kręcę się to w prawo, to w lewo, żeby nie wylądować z buzią w liściach. Lecz i tak przeszkadza mi znacznie mniej niż Ale, która, jak się spodziewałam, nie mogła się z nami zabrać.

- Mamo, co mu napiszemy?

- A bo ja wiem... Ty tu jesteś pisarką! Nic, tylko piszesz ten swój Pamiętnik!

Przypomina mi się, że wczoraj rano Alis dała mi do przeczytania Prześliczne zdanie, które znalazła w Internecie: *Miłość jest wtedy, gdy dziewczyna spryskuje się perfumami, chłopak - wodą po goleniu, po czym*

obydwoje wychodzą, żeby się powąchać. Martina, lat 5. Naprawdę, boskie na maksa. I na maksa prawdziwe. Przydałoby się coś równie śmiesznego!

- Ale skąd, to, co piszę w pamiętniku, jest mi potrzebne, by pamiętać, co robiłam... Jeśli już, to raczej on jest pisarzem!

- Oby! - Mama dziwnie się krzywi. Jest zmartwiona. Ale ostatecznie postanawia się tym nie denerwować. - Mam jechać prosto?

- Tak, cały czas prosto, niedługo będziemy na miejscu. Właśnie, wpadłam na coś, jesteś gotowa?

Mama patrzy na mnie. Uśmiecha się.

- Tak, pewnie. Mów.

- Byś doczekał się pełnego rozkwitu tego, czego pragniesz... - Patrzę na nią pytająco. Prawdę mówiąc, to zdanie bardziej pasuje mi do kwiaciarza niż do pisarza. Sama sobie odpowiadam. - Nie, nie, to jakaś głupota. - Wciąż intensywnie myślę. Mam: - Dla twojego nowego domu... - Nie! Także dlatego, że to w końcu Łódź, chociaż tego jeszcze mamie nie powiedziałam. Jest, pomysł na nowe zdanie.

- Dla ciebie z całą naszą miłością.

Mama jest zadowolona. - To mi się podoba! Rozmyślałam się.

- Tak, ale jest jakies takie za bardzo komunijne.

- To znaczy?

- Napawa smutkiem!

- Ale co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie jest wesołe. Nie pasuje, nie pasuje. - I nie przestaję rozmyślać, rozważam całą masę zdań, sama nie wiem, skąd się biorą. W pewnym momencie wyjeżdżam nawet z czymś w stylu: - Na niebiańską przyszłość... - Bo tak się składa, że nasza roślina ma akurat kwiaty w tym kolorze! W końcu udaje mi się wpaść na coś, co się nam obu podoba.

- Skręcaj, skręć tutaj!

Zagapiłam się i mówię jej to w ostatniej chwili. Mama od razu stosuje się do moich wskazówek, bierze zakręt, ścina, kierując się w dół na zjazd, który prowadzi do Tybru. Samochodem lekko zarzuca, wyglądamy na dwie wariatki.

- Zjeżdżamy do rzeki.

- No... - I nic więcej nie mówię. Przejeżdża jeszcze kilka metrów.

_ Już, jesteśmy na miejscu.

Mama zastyga z otwartymi ustami. - Ale to łódź!

- Tak, piękna, prawda? - Trąbię klaksonem, przekładając rękę między ramionami mamy, która dzierży kierownicę, i wysiadam szybko z samochodu, zabierając ze sobą roślinę.

- Rusty... Przyjechałyśmy, już jesteśmy!

R.J. wychodzi uśmiechnięty z łodzi i wbiega na trap.

- Proszę, moje ulubione kobiety! - I bierze mnie w ramiona, wykonuje obrót i zastyga, trzymając mnie tuż nad wodą, razem z rośliną, oczywiście.

- Ratunku! - Ale w jego objęciach wcale się nie boję. Po chwili mnie odstawia, opuszczając na drewniane deski pokładu, tuż za trapem, i biegnie na brzeg po mamę.

- Chodź... Chodź, to ci wszystko pokażę.

- Ale czy to aby nie jest niebezpieczne? Nie ma tam szczurów?

- Skąd! Zobacz, co zrobiłem... - Pokazuje ziemię, na której poustawiał wzdłuż drogi, jeden za drugim, talerzyki, a na nich położył sardele. - Mam warujące koty... Myszki Miki nie dadzą rady się przebić, chyba że w formie komiksu. Chodźcie, chodźcie, musicie wszystko zobaczyć. - I wchodzi do środka, pokazuje nam całą łódź. - Więc tak, tu mam kuchnię, tu salon, a tu z kolei sypialnię.

Podążamy za nim, zachwycone. Nie mogę w to uwierzyć, naprawdę wszystko pozmieniał, łódź wygląda jak zupełnie inne miejsce. Błękitne, lazuruowe i białe zasłony, jasne stoły z Ikei, idealnie poskładane.

- Właśnie, przy skręcaniu tych wszystkich mebli pomogła mi Caro... Mama patrzy na mnie zadowolona.

- Ale to nieprawda, pomogłam tylko odrobinę.

- Nie, nie, zrobiła dużo. I rzeczywiście, popatrz tutaj. - I prowadzi nas do małego pokoju, jest cały jasny, ma widok na rzekę, piękne okno na zewnątrz i wielki stół, na nim komputer, który ogromnie mi się Podoba... także dlatego, że jest nieporównanie szybszy od mojego!

- To twój pokój, Caro. Kiedy zechcesz, możesz przychodzić się tu uczyć. Niedługo podłączę szybki Internet i wtedy nie będziesz tęsknić za swoimi przyjaciółkami, Alis i Clod, oraz całą resztą ludzi, z którymi wisisz na MSN...

- Nie! Nie mogę w to uwierzyć, i jeszcze do tego pomyślałeś o zdjęciu Johnny'ego Deppa! Kurczę, ten pokój jest świetny! - Również dlatego, że jest znacznie większy od mojego. Ale tego nie mówię.

- Mamo, będę tu mogła czasami przychodzić, żeby się pouczyć?

- Jasne, obyś tylko naprawdę się uczyła, bo mnie się wydaje, że nie uda ci się tu skupić.

Rusty mnie obejmuje. - Ależ skąd. Tutaj panuje taka cisza, spokój, nikt nie krzyczy ani nie hałasuje. Jest o niebo spokojniej niż w domu.

Patrzę na siebie z mamą. Przez chwilę się nie odzywają. Ale zaraz Rusty dostrzega roślinę, a może tylko udaje, że dopiero teraz ją zauważył.

- Ej, jaka piękna! Co takiego mi przyniosłyście... Chaber. - Podchodzi i bierze bilecik. - *Dla naszego pisarza, żebyś zawsze był szczęśliwy!* - Rusty się uśmiecha. Składa bilecik i chowa sobie do kieszeni kurtki. - Jestem, teraz, kiedy jesteście tu razem ze mną, to jestem. Śmiało, zapraszam do stołu!

No, zapewniam was, cudowne popołudnie. Rusty James nakrył stół w salonie, tuż przy największym oknie, tym od słonecznej strony. Bo dzisiaj, chociaż mamy już koniec listopada, świeciło wspaniałe słońce.

Salatka ryżowa, na początek najróżniejsze przystawki, te, które tak mi smakują, małe mozzarelle, paróweczki, i jeszcze oliwki, małe pomidorki z przyprawami, małe papryki, z tych krągłych, faszerowane tuńczykiem i kaparami. Słowem wszystko małe.

- To prawdziwy przysmak, specjalnie go wam kupiłem... Tomini w ziołach.

No, nie wiedziałam, co to takiego. Mama też nie. Ale spróbowałyśmy i nam smakowało. Miękki ser, niezbyt tłusty, niezbyt ostry, z mieszanką ziół na wierzchu. A do tego schłodzony szampan, lodowaty. Bum! Fajnie, kiedy korki same strzelają i ich nikt nie przytrzymuje. Rusty otworzył butelkę, wystawiając ją za otwarte okno, w stronę rzeki. I korek poszybował hen daleko, a potem... plusk! Wylądował na środku Tybru, wpadł pod wodę, ale zaraz wypłynął na powierzchnię. Patrzyliśmy, jak odpływa, właśnie tak, swobodnie, wraz z prądem, w nieznanym kierunku.

- Mamo, mogę też się napić?

- Ale tylko dzisiaj...

- Tak, pewnie. - Pociągam łyk i zaraz zabieram się za próbowanie tej smakowitej sałatki. - A to co?
Rusty się uśmiecha. - Liście szpinaku.
- Takie wielkie?
- Tak, takie wielkie.
Mama kroí je nożem. - Mhm, dobre, dodałeś gruszki, parmezan... - Odsuwa na bok liście i sięga na dno. - Orzeszki piniowe i rodzynki!
- Tak, i przyprawiłem octem balsamicznym.
Sama się wczuwam. - A co to za smak, ten taki lekko szczypiący?
- Nie ma nic szczypiącego!
- Ciebie zawsze wszystko szczypie! - I zanosimy się śmiechem. I czuję się jak w domu, co ja mówię, w nowym domu, spokojniejszym. To prawda, nie ma żadnych hałasów. Tak tu fajnie. Jemy w milczeniu. Rusty ma nawet małe stereo w salonie. W pewnym momencie wstaje i puszcza płytę. Coldplay. X&Y. Coś pięknego, słyszałam ją tylko raz, ale już wtedy mi się spodobała. Może dlatego, że jest na niej piosenka z tym tekstem: *You don't have to be alone, You don't have to be... all alone at home...*
Potem idzie do kuchni i po chwili znów jest z powrotem. Niesie mały tort czekoladowy, ten, za którym wprost przepadam. Ze świeczką pośrodku!
- No coś ty, ale ekstra, co świętujemy?
- Wszystkiego najlepszego na nie-urodziny! Wie, że uwielbiam Alicję.
- No nie, żartuję, to dlatego, że jesteście tutaj pierwszymi gośćmi. Kto wie, czy to prawda, ale fajnie jest tak myśleć. Wszyscy troje zdmuchujemy świeczkę. A po chwili mama zaczyna kroíć tort i dzieli go na trzy identyczne kawałki, idealne porcje, to jeden z tych rzadkich przypadków, kiedy są dokładnie takie, jak powinny, ani odrobinę mniejsze i ani odrobinę większe.
I zaraz Rusty robi kawę, ale tylko oni ją piją, wychodzimy na zewnątrz, wyciągamy się na leżakach, żeby się poopalać, z nogami opartymi o poręcz.
Moje krzesło stoi najbliżej, bo jestem najkrótsza. Ale zamykam oczy i jest mi tak dobrze, jak rzadko mi się to zdarza. Pewnie, chciałabym

mieć Massiego obok siebie na leżaku. Ale akurat dzisiaj byłby tu kompletnie od czapy. Rusty James patrzy na nas zadowolony.

- Fajnie tu, co? -Mama ściska go za rękę. - Tak...

I przynajmniej co do tego jesteśmy zgodni.

Chwilę później rozlega się dziwny hałas. - Plusk... plusk... - I w odległości kilku metrów od nas przepływa kajak z dwoma chłopakami, którzy rytmicznie razem wiosłują.

- Ciauuu! - Witam się z nimi i macham ręką, a oni, nie przestając wiosłować, uśmiechają się. Jeden z nich nagle podrywa brodę do góry, jakby chciał się pożegnać, i zaraz obydwaj znikają tak, jak się pojawili, szybko, w ślad za nurtem Tybru.

W takim razie znów siadam, wyciągam się na słońcu na leżaku, opieram plecy i zamykam oczy. Tak. Bardzo tu fajnie i mogę to wręcz powiedzieć: to było najpiękniejsze popołudnie całego listopada.

Dario, tata Caroliny

Jestem ojcem Caroliny. Nazywam się Dario. Mam czterdzieści osiem lat, skończyłem studia i pracuję w poliklinice. Jedyna rzecz, jakiej nie cierpię, to całe to jałowe gadanie. I nie ma nikogo, kto by się zajął rzeczami, które naprawdę są potrzebne. Tymi praktycznymi. Tymi poważnymi. Tymi, dzięki którym świat od zawsze się kręci. Całe życie harujesz, uganiaasz się za różnymi rzeczami, a sam siebie stale zaniedbujesz. Myślisz, że zrobiłeś, co do ciebie należy, że wystarczająco się poświęcałeś, ale jak przychodzi co do czego, to zawsze bilans jest ujemny i począwszy od rodziny, nikt ci nie zwróci tego, co ci się należy. I tak to wygląda, póki żyjesz. Życie. Wszyscy tylko czegoś chcą, niczego nie dając w zamian. Wszyscy kradną i świetnie na tym wychodzą. A ty, ilekroć starasz się być uczciwy, za każdym razem dostajesz za swoje. W domu to samo. Nigdy tu nie mogę posiedzieć w spokoju. Chciałbym choć raz przyjść po pracy i zastać wszystko zrobione, żeby szło jak po maśle. Chciałbym zobaczyć, jak Giovanni, mój syn, uczy się do egzaminów z poważnych książek, zamiast tracić czas na te bezsensowne bzdury, które sobie uroił, i to swoje pragnienie, by pisać. I tak nic z tego nie będzie. Ten świat nie należy do marzycieli. Wystarczy się wokół rozejrzeć. Za to z dyplomem z uczelni medycznej w kieszeni przynajmniej coś by wykombinował. I to jeszcze przy tych wydatkach na chesne. Przynajmniej kupiłby sobie dom i u nas zrobiłoby się trochę luźniej. Bo nikt się nad tym nie zastanawia, ale nie powiem, żebyśmy tu mieli pod dostatkiem przestrzeni. A kiedy człowiek wychowuje dziecko, póki nie skończy ono dwudziestu lat, to chciałby być z niego dumny, Prawda? Mam nadzieję, że Alessandra najmniej mnie rozczaruje. W szkole nie idzie jej najlepiej, ale wydaje mi się, że maturę da radę zrobić, a potem mogłaby iść na sekretarkę do jakiejś kancelarii prawnej

albo biura handlowego. Widziałbym ją w jakimś takim miejscu. Zresztą jej na studiach nie zależy. Wolałbym też, żeby ubierała się trochę lepiej. Jest bardzo ładna, tak, ale czasami przesadza i za bardzo się stroi. Mówi, że teraz taka moda. Mnie się tam nie podoba, a przede wszystkim nie odpowiada mi, że ludzie gadają. Staram się jej coś przekazać, ale w tej sprawie jestem bezsilny. To matka zawsze jej pozwala robić, co chce. Caroliny jeszcze nie rozgryzłem. Im starsza, tym bardziej przypomina mi Giovanniego. I to mnie martwi. Kiedy kłócę się z synem, ona staje po jego stronie, moja żona tak samo. A to źle, bo rodzice powinni stanowić jeden zgodny front, nie mówić każde co innego i to przy dzieciach. Nic dziwnego, że potem wyrastają na coś podobnego. Chciałbym, żeby Carolina więcej czasu spędzała w domu, ma tylko czternaście lat. Potem wszyscy narzekają, że źle to wygląda, i w telewizji mówią o takich przypadkach. Potrzebna jest dyscyplina. A ojciec, który cały dzień spędza w robocie, żeby zarobić na dom, chciałby, żeby żona bardziej nad wszystkim panowała, prawda? Bo w przeciwnym razie, co ma innego do roboty? Po co komu rodzina? A poza tym doprawdy za dużo jałowego gadania w wykonaniu tych moich dzieci. Obracają się w towarzystwie, które zawsze przychodzi na gotowe, i nikt nie musi się o nic starać. Marzenia i miłość! Dobrze by było! Ale najpierw trzeba zarobić pieniądze! Jak już je masz, to możesz być pewny, że spełnisz swoje marzenia, a miłość sama się znajdzie. Ale pieniędzy się nie zarobi, wykonując taką skromną pracę jak ta moja czy mojej żony, a już na pewno nie, pisząc książki. Pytam, czy tak ciężko jest moim dzieciom to zrozumieć? Bo jeśli im mówię, żeby się bardziej przyłożyły i mniej bujały w obłokach, to robię to dla ich dobra, a nie po to, by przeze mnie cierpiały. Ale wygląda na to, że nikt tego nie rozumie, i zawsze koniec jest taki, że przez nich szlag mnie trafia i krzyczę. Nikt mnie nigdy nie wesprze, tylko czasami Alessandra, lecz bardziej po to, żebym na więcej jej pozwolił, aniżeli z jakiegoś innego powodu. Chciałbym, żeby żona była bliżej mnie. Wieczorem idziemy spać o różnych porach, ona wcześniej, ja po niej, i kiedy się kładę, ona już śpi. Nawet nie wiem, czy się kochamy, czy raczej jesteśmy ze sobą z przyzwyczajenia... Na dodatek się zaniedbała, niespecjalnie przywiązuje wagę do swojego wyglądu.

Gdybym chociaż czasami, po powrocie do domu, mógł ją zastać trochę

bardziej odpaloną, uczesaną i umalowaną, zamiast jak zwykle oglądać tę jej bladą twarz i ją samą ubraną wiecznie w te same rzeczy. W każdym razie osobiście uważam, że miłość w związku kończy się zawsze najpóźniej po roku. Potem, jak dobrze pójdzie, ludzie się szanują i są sobie drodzy. Miłość jest dobra w filmach albo w książkach.

Grudzień

Trzy rzeczy, których nienawidzę: kiedy nie dotrzymuję obietnicy, zadania z geometrii bryt, włosy, które układają się, jak im się podoba. Trzy rzeczy, które kocham: ręcznie robione kartki bożonarodzeniowe, prezenty pozostawione nocą dwudziestego czwartego w skrzynce pocztowej, trzydziesty pierwszy grudnia.

Trzy rzeczy, które uwielbiam jeść: ryż po kantońsku, czekolada, frytki robione przez mamę.

Trzy rzeczy, których nie może zabraknąć w moim plecaku: i Pod, dezodorant, pamiętnik.

Trzy rzeczy z mojego pokoju, które kocham: maskotki, poduszki, mnóstwo zdjęć na biurku.

Trzy rzeczy z mojego pokoju, które chciałabym zmienić: szafka, stary dywan w kółka, jedna z popsutych szuflad komody.

Grudzień był miesiącem jeszcze bardziej niewiarygodnym. Odkryłam coś, czego nie potrafiłam sobie wyobrazić, a raczej, o czym słyszałam i co w jakiś sposób starałam się zrozumieć. Ale myślałam, że to wszystko przesada, że to niemożliwe. Koniec miłości.

Najpierw jednak opowiem o czwórce z plusem, którą dostałam z włoskiego. Słuchałam *Parlo eon te Giorgii*. Cisza. Ta pustka, która czasami jest wokół nas. Jakie to prawdziwe. Ileż słów mówię ludziom, nie mówiąc im ich wcale. To chyba dlatego, że jest grudzień. To chyba dlatego, że krótkie dni wprawiają mnie w melancholię. To chyba dlatego, że jutro jest klasówka z angielskiego i muszę skończyć szukanie materiałów na sztukę, a nie mam na to ochoty. To chyba dlatego... Ale kiedy słucham tej piosenki, wydaje się taka prawdziwa. Delikatna, moja. To chyba dlatego, że, jak mówiłam, dzisiaj rano dostałam z powrotem wypracowanie z wło-

skiego. Czwórka z plusem. Chociaż nie rozumiem, za co ten plus. Pełna czwórka? Prawdziwa czwórka? Ale co tam. Już sam temat wywołał mój uśmiech i wprawił w dobry nastrój: *Opisz siebie swoim rodzicom. To, czego nie wiedzą, to, co chciałbyś im powiedzieć, i to, czego nigdy nie odważyłbyś się im zdradzić.*

Jedno słowo. To oczywiście, że zawsze trzeba trochę skłamać. Ale podjęłam wyzwanie, chociaż uważam, że nauczyciele zadają takie tematy, bo są gorsi od służb wywiadowczych. Koniec końców coś napisałam i jakoś z tego wybrnęłam.

„Drodzy Mamo i Tato, nazywam się Carolina, ale to już wiecie, bo sami wybraliście to imię. Przyjaciele mówią do mnie Caro. Myślę, że dobrze opisują mnie piosenki *Fango* Jovanottiego i *Parlo eon te* Giorgii. Ludzie mówią, że jestem ładna. Wy też tak mówicie, ale ja w to nie wierzę. Dziwne jest to, że kiedy oglądam się w lustrze i patrzę na was, wydaje mi się, że nie jesteśmy do siebie za bardzo podobni, ale pani profesor od biologii, która uczy też matematyki, mówi, że to normalne: że to genetyka. Wiele rzeczy bym w sobie zmieniła. Na przykład wzrost. Ale nie jestem tego taka pewna.

Czytam dużo książek, również te, których nie rozumiem od razu, ponieważ poruszają wiele zagadnień i są trudne. Ale próbuję. To książki z półki mojego brata Giovannięgo, zwanego Rustym Jamesem. Bardzo lubię muzykę i chciałabym być didżejką, ale się wstydzę. Mam dwie serdeczne przyjaciółki, Alis i Clod, które tak naprawdę nazywają się Alice i Claudia, ale Alis i Clod brzmi ładniej. Jak wiecie, chodzę do trzeciej klasy gimnazjum i idzie mi... to zależy, ani dobrze, ani źle. «Kuję jak dzięcioł», jak mówi profesor Leone, ale chodzi mu nie tyle o te trochę bezmyślne ptaki, które godzinami drążą dziury w drzewach, ile o niespodziewane wyniki, które podciągają moją średnią. Mam wiele marzeń, ale jak na razie me mam odwagi na ich realizację. To znaczy, wierzę w nie, ale jeszcze się boję. Chciałabym, żebyśmy jadaliby razem obiady przy wyłączonym telewizorze, ale nigdy tak nie jest. Dogaduję się ze swoim rodzeństwem, gorzej z siostrą, lepiej z bratem. Kocham zachody słońca, gdyż oznaczają, że Przeżyłam kolejny, pewnie piękny, dzień. Kocham morze, bo tam jest woda, a woda jest miękka i staje się tym, czym chcesz. Lubię szkołę, mimo że dużo zadają i odpytują. Zawsze staram się robić wszystko najlepiej jak

umiem. Kiedy idę do tablicy, trochę jestem zawstydzona i się czerwienię, ale dużo mówię i koniec końców sobie radzę. Ludzie często nie rozumieją, że zachowuję się tak właśnie dlatego, że jestem nieśmiała, nawet jeśli tak to nie wygląda, bo jestem gadułą. Tobie, Tato, chciałabym powiedzieć, żebyś trochę więcej słuchał, że czasami może inni też mają rację i że nie zawsze musisz być stroną atakującą, że życie jest piękne i powinieneś się nim cieszyć. Mamo, jesteś fantastyczna, łagodna i powinno być więcej takich osób jak ty. Swojej siostrze chciałabym powiedzieć, żeby była mniej powierzchowna, a bratu, że jest boski. On jest moim wzorem, kocham go całym sercem, bo realizuje swoje wybory z odwagą, i wierzę, że daleko zajdzie. Być może to do niego z całej rodziny jestem najbardziej podobna. Natomiast Ale jest jak tata... A mama, która wydała nas na świat, stoi pośrodku między nami i dba, żeby nikt się nie kłócił. O czym nigdy nie miałabym odwagi powiedzieć rodzicom? Ale jeżeli zdradziłabym to tutaj, wyszłoby na to, że odchodzę od tematu! Co więcej, okazałoby się, że tak naprawdę nie mam odwagi powiedzieć im tego wprost, czy to rozumowanie nie wydaje się panu słuszne, panie profesorze? Tak czy inaczej mam wesołe usposobienie, jestem trochę niezdarna, ale jak mówią, stanowi to część mojego miłego charakteru. Ale przede wszystkim jestem bardzo bezpośrednia, co czasami jest zaletą, a czasami wadą. Tym razem, i mówię to szczerze, ten temat bardzo mi się podobał".

Następnie na zakończenie dodałam parę cytatów! Trzy i pół strony! Refleksje o odwadze, żeby na serio powiedzieć rodzicom o kilku sprawach, i o odchodzeniu od tematu oraz bezpośredni zwrot do profesora, moim zdaniem, podwyższyły ocenę. W sumie poszło superdobrze i bardzo się z tego cieszę. Jednak to, co naprawdę nadało sens temu grudniowi, to koniec miłości. Ale po kolei...

Zrobiłam postępy w tenisie. To niewątpliwie ważna wiadomość. Moja siostra Ale już przestała się ze mnie nabijać i widziała, jak wychodziłam z domu przynajmniej kolejne cztery, pięć razy ubrana, jak sama mówiła na początku, w strój do softballa. Według mnie dotarło do niej, że mogłabym wyrzucić jej piłką krzywdę. Przystudiowałam ustawienie, ona dotrze do skrzyżowania, gdzie przeważnie zatrzymuje się na skuterze. A ja będę czyhać na nią w odległości około pięciu metrów i trafię ją dokładnie w ramię lub w kask, a jak dobrze pójdzie, to i w sam

policzek. Jedno jest pewne, będzie bolało. Ją. Pomyślałam o tym. Albo zagram jej top spina lub slajsa. Jak to się mówi, opanowałam również terminologię. A tak, bo Lele był megacierpliwym nauczycielem. Nawet ludzie grający na sąsiednim korcie, kiedy kolejny raz mnie zobaczyli, powiedzieli: „Zrobiłaś postępy! Już czasem przerzucasz piłkę przez siatkę!”.

Żarty żartami, ale myślę, że zauważyli jakieś zmiany. Naprawdę, nie mówię tego, żeby się chwalić. Zrobiłam postępy.

Ale potem, siódmego grudnia, całkowicie zmieniła się nasza relacja i to nie tylko jeśli chodzi o tenis.

- To co robimy? Dasz radę wziąć szybki prysznic i pójdziemy coś zjeść?

- Jasne, dlaczego nie...

Wchodzę na górę i pytam mamę o zgodę. Dziwnie szybko udaje mi się ją przekonać. Prawdę mówiąc, zaangażowałam w to całą klasę, generalnie, jest super impreza w pizzerii z okazji urodzin Giacominięgo.

Przed wyjściem zapisuję to w pamiętniku, nie chciałabym, aby w przyszłości te same osoby świętowały urodziny kilka razy. Mama nie ma dobrej pamięci, ale niektóre rzeczy po prostu pamięta. Albo je wyczuwa, albo, co bardziej prawdopodobne, orientuje się, kiedy ją okłamuję. Kiedyś myślałyśmy z Clod, że nie byłoby źle, gdyby istniały lekcje kłamstwa. W naszej szkole jest kółko teatralne i zauważyłam, że po popołudniowym kursie kilka osób zrobiło postępy i na koniec roku recytowało lepiej niż wcześniej. Ale wszystkim przydałyby się takie lekcje kłamstwa. Każdy musi czasem skłamać, żeby uchronić innych przed cierpieniem, rozczarowaniem lub po prostu, żeby zachować dyskrecję. Jeśli nie jesteś przygotowana, natychmiast się rumienisz i to nie jest fajne! Ja, na przykład, od razu czuję, że spiekłam raka, że ten, kto na mnie patrzy, też to widzi, więc robię się jeszcze bardziej czerwona! To pułapka, która nie ma końca...

Z Clod pomyślałyśmy, że idealną nauczycielką byłaby Alis. Potrafi kłamać jak nikt! Chłodno, spokojnie, z uśmiechem... Przypomina mi Hilary Duff, nie dlatego, że ona też tyle kłamie, o rany, tego w ogóle nie wiem, ale dlatego, że dobrze gra i bardzo ją lubię. Biorąc pod uwagę zdolności Alis, wydaje mi się, że porównanie jej do Hilary jest właściwe.

Nadal pamiętam jeden dzień kiedyś u niej w domu. Tańczyłyśmy i skakałyśmy na jej oczywiście ogromnym łóżku, jest jedyną czternastolatką, która ma małżeńskie łóżko. Telewizor włączony na maksa. MTV. Klip *Questo sono io* zespołu Finley. Świetnie ich naśladowałyśmy! Uwielbiam, kiedy się tak we trójkę wygłupiamy! Dodatkowo Alis, bo to zawsze musi być ona, paliła papierosa i chciała, żebyśmy też spróbowały, na co w ogóle nie miałyśmy ochoty.

- No dalej, spróbujcie.

- Ale nie chcemy.

- Ale to jest super! - Nagle nieruchomieje.

- Ćśśś... cicho!

- Co jest, Alis? Co się dzieje?

- Winda... To na pewno moja mama.

Otwiera okno i wyrzuca papierosa, bierze gumę i szybko ją żuje. Oblizuje usta i wyrzuca gumę do kosza. W samą porę.

- Alice? Alice, jesteś?

- Tak, mam, jestem w pokoju.

Wchodzi mama. - Cześć... Och, jesteś z koleżankami?

- Dzień dobry pani.

Grazia, mama Alis, rozgląda się i dla pewności pociąga nosem dwa razy.

- A co to, paliliście?

Alis patrzy na nią i spuszcza oczy. - Tak, mam...

Mama jest zaskoczona, a Alis natychmiast zmienia się wyraz twarzy.

- No co ty, żartuję! Wpadł wcześniej Giorgio i to on palił.

- Ale...

- Powiedziała mu, że ty sobie nie życzysz, i otworzyłam okno... Przepraszam, mam. - Biegnie do niej, przytula się i daje pachnącego miętą buziaka.

- Dobrze, dobrze... Ale powiedz temu Giorgio, że palenie jest szkodliwe... Skoro zaczyna w tym wieku!

- Dobrze, mam, powiem mu.

Mama wychodzi z pokoju uśmiechnięta, wszystko za sprawą swojej, jakże niewinnej, córki. Widzicie to? Ona jest genialna. Zażartowała sobie, żeby mama uwierzyła, że Alis była w stanie jej powiedzieć to, co i tak okazało się w końcu nieprawdą. A tymczasem to wszystko prawda!

A kiedy wyszła i minęło niebezpieczeństwo, że mogłaby wrócić i poczuć zapach dymu - co zrobiła Alis? Zapaliła kolejnego papierosa! Czyż ona nie jest mistrzynią kłamstwa! Tak czy inaczej, wtedy siódmego grudnia też sobie poradziłam albo to może mama chciała mi uwierzyć, w każdym razie powiedziałam jej, że przyjdzie po mnie Lele, przyjaciel niby-świętującego Giacominię, który ma piętnaście i pół roku. Udało mi się również dlatego, że tamtego wieczoru mama na szczęście była w domu sama i z okna mogła spokojnie wziąć smarta Lelego za aixam.

- O co chodzi, Caro, dlaczego się śmiejesz?

- Nie, to nic takiego, Lele...

- To nie może być nic takiego.

- Okay, śmiałam się, bo już wiem, że dziś wieczorem zaniedbam moją dietę!

Lele patrzy na mnie i się uśmiecha. - Dobrze! Uwielbiam tych, którzy uwielbiają jeść, a poza tym po takiej dawce sportu, jaką mieliśmy, jesteś super usprawiedliwiona.

Uśmiecham się do niego. W rzeczywistości myślałam, że zacznę kombinować z wiekiem. Zachowuję się trochę jak Alis. Mamie powiedziałam, że Lele ma piętnaście i pół roku, a Lelemu powiedziałam, że mam czternaście i pół!

- To prawda. - Znowu się do niego uśmiecham. - Czuję super usprawiedliwiony głód!

Piazza Cavour. Chińszczyzna, która od samego zapachu wydaje mi się wyśmienita. Siadamy i po chwili podchodzi Paolo, żeby przyjąć zamówienie. To znaczy, Chińczyk, który nazywa się Paolo. Niezłe, co nie?

- To co zamawiasz?

- Sajgonki, ryż po kantońsku i kurczaka w limonce.

- Dla mnie to samo, ale z kurczakiem w migdałach. Aha, proszę też Przynieść wodę.

Następnie zwraca się do mnie: - Może wolisz mineralną?

~ Nie, nie, zwykła jest super.

~ W takim razie jedną wodę i jedno chińskie piwo.

Paolo zbiera się do odejścia, a Lele uśmiecha się do niego. - Dziękuję.

No właśnie, podoba mi się, kiedy ktoś jest miły również dla tych, którzy nam usługują. Bo nawet jeśli chodzimy w różne miejsca i płacimy, a oni i tak muszą być dla nas mili, to fajnie jest zwracać na nich uwagę. W tej kwestii na przykład Alis jest dziwna. Ona nigdy nikomu nie dziękuje. Kiedy dokąds idzie, zachowuje się jakby wszystko się jej należało. To dziwne. Dla nas jest zawsze miła, liczy się z nami i czujemy się tak, jakbyśmy były ważniejsze od niej i od wszystkich dookoła. Ach...

Tymczasem przynieśli dania, które zamówiliśmy, i od razu zabieramy się do jedzenia, i prawie nic nie mówimy, oprócz: - Hm... ale pycha.

- Mogę?

- Jasne.

- Twoje też dobre. Uśmiechamy się do siebie. Naprawdę wszystko jest smaczne. Lele

bardzo ładnie je. O rany, wiem, że to dziwna myśl, ale dla mnie ma duże znaczenie, czy ktoś ładnie je. Czyli z zamkniętą buzią, wolno przeżuwać, biorąc małe kęsy, bez pośpiechu, rozmawiając od czasu do czasu. Są osoby, z którymi nie czujesz się tak dobrze przy stole. Przykłady? Mój tata. Moja siostra Ale, która, moim zdaniem, wszystko po nim odziedziczyła, gdy tymczasem ja i mój brat wrodziliśmy się w mamę. Również Clod, ale ona nawet jeśli tak je, potrafi mnie rozbawić. Nie wiem, może jestem subiektywna. Opowiadam Lelemu trochę o szkole i o moich przyjaciółkach.

- Jest w klasie kilka dziewczyn, które grają w tenisa, ale wszystkie udają, że nie potrafią, na wypadek gdyby okropna Raffaelli, która poza tym przynosi trochę pecha, zechciała z nimi zagrać. A ty?

- Co ja?

- No, jak ci na uniwersytecie?

- A, w porządku, spokojnie. Jestem na pierwszym roku. Przygotowuję się z prawa rzymskiego. Przepraszam... - woła Paolo, który od razu podchodzi. - Masz ochotę na coś jeszcze?

- Zjadłabym takie kulki...

- Smażone lody? -Tak.

- Okay, proszę nam przynieść trzy kulki smażonych lodów i rachunek, dziękuję.

Chwilę później jemy kulki i się śmiejemy. Ja wybrałam czekoladową, bo jest najlepsza. Potem Lele zamawia różaną grappę i wychodzimy, jest noc. Dziesiąta. Zimno.

- Idziemy do Zodiaku?

- Dobrze, a co tam jest?

- Powinna być już szopka.

jedziemy krętymi uliczkami. Bez problemów udaje nam się zaparkować smarta. Kilka osób, większość starszych, ogląda szopkę.

- Zauważyłeś? Brakuje jeszcze Jezuska.

- Położą go w Boże Narodzenie.

- No tak.

Idiotka. Idziemy dalej. W ciszy. Spacerujemy wzdłuż małej uliczki, z której rozpościera się widok na miasto.

- Nocą Rzym stąd jest piękny...

- Tak...

Lele opiera się o ogrodzenie. Uśmiecha się do mnie. - Ty też...

Potem bierze mnie za rękę, bawi się nią przez chwilę, następnie przyciąga mnie do siebie i całuje. Zamykam oczy i zatracam się w jego ustach.

Wieje orzeźwiający, ale niezbyt zimny, lekki wiatr. Poddaję się jego pocałunkom. Nie wiem co myśleć, to znaczy, podoba mi się, tak, dobrze smakuje. Jednak... No właśnie! Tak naprawdę to się tego nie spodziewałam!

Skończyliśmy się całować, stoimy jeszcze przez chwilę w ciszy z ustami blisko siebie. Odsuwamy się i uśmiechamy. Lele bierze głęboki oddech, bardzo głęboki.

- Przepraszam.

- Za co? - No... przyciągnąłem cię z całej siły i...

~ Nie, nie, wszystko w porządku...

Znowu się do mnie zbliża. - Świetnie grasz w tenisa. - I ponownie mnie całuje. Tym razem powoli, bez pośpiechu. Słodko, głaszcząc mnie po włosach. Okay. Wszystko w porządku. Ale to zdanie mógł sobie naprawdę darować! Co to znaczy! Chciał mi dać coś ekstra? To znaczy, że jeśli nie

byłabym świetna, toby mnie nie całował? Może przesadzam. Może za dużo myślę. Ale to pierwszy raz, kiedy spotykamy się poza kortem. Tak czy inaczej nie spodziewałam się, że mnie pocałuje dziś wieczorem! Potem w samochodzie, w drodze do domu, ogarnia mnie dziwne krępujące uczucie, zapada niezręczna cisza, która im dłużej trwa, tym bardziej zaprzęta twoje myśli i nie wiesz, od czego zacząć. A potem, jak to zwykle bywa...

- Co ty na to...

- Dlaczego nie...

Zaczynasz mówić w tym samym momencie. A po chwili znowu robisz to samo.

- Nie, chciałam zapytać... .

- Właśnie mówiłem...

W końcu się śmiejesz, ale trzeba podjąć jakąś decyzję. .

- Okay, Caro, ty pierwsza.

- Nie, chciałam tylko zapytać, czy twoim zdaniem mogłabym zagrać kiedyś mecz? To znaczy, czy dam radę?

- No jasne, oczywiście... Właśnie to miałem zamiar ci powiedzieć, któregoś razu moglibyśmy naprawdę zagrać, prawdziwe współzawodnictwo, więcej się biega, jest w tym więcej sportu. A potem możesz naprawdę zjeść tyle, ile chcesz!

Śmieję się, ale po chwili w duchu zadaję sobie pytanie: co właściwie ma na myśli? Że tak naprawdę za mało biegałam? Że jak gram, to tak, jakbym nie grała wcale? Dlaczego więc powiedział, że gram świetnie? Żeby mnie pocałować? No właśnie, ciągle dochodzimy do tego samego... Hm, właśnie dojechaliliśmy do domu.

- No to jesteśmy.

Lele nie podjeżdża pod samą klatkę.

- Cieszę się, że spędziliśmy ten wieczór razem. ;

- Ja też...

Lele mi się przygląda. Nic nie mówi. Spuszczam głowę i patrzę na klucze, które wyjęłam z kieszeni. Bawię się nimi. Wreszcie. W końcu mi je dali, ale, jak sądzę, tylko na ten jeden wieczór.

Lele kładzie swoją dłoń na mojej. - Chciałbym się z tobą jeszcze spotkać.

Patrzę na jego rękę. Potem na niego. Nie rozumiiałam tych jego wywodów na temat tenisa, ale jednego jestem pewna i chcę mu to powiedzieć.

- Ja też bardzo chciałabym się z tobą znowu spotkać, ale muszę ci coś powiedzieć.

- Co?

- Nie mam jeszcze czternastu lat, tylko trzynaście i pół.

- Aha. - Lele zabiera swoją rękę z mojej. Potem powoli odwraca się w stronę okna. Przez chwilę milczę. Patrzę na niego. On spogląda na zewnątrz.

- Lele, przepraszam, nie chciałam cię okłamać. Nie wiem nawet, dlaczego tak powiedziałam... Ale to jestem ciągle ta sama ja. Albo ci się podobam, albo nie. Nie sądzę, aby te pół roku więcej mogło mnie zmienić.

Nadal cisza. Następnie Lele odwraca się do mnie i natychmiast uśmiecha.

- Masz rację. Nie wiem, co mi się stało. Zagramy w poniedziałek?

- Jasne! Zagramy mecz!

I tym razem to ja się do niego przysuwam i go całuję. Ale w policzek. Potem odwracam się, żeby otworzyć drzwiczki. A on przytrzymuje mnie za ramię i przyciąga do siebie. Całuje. W usta. Troszkę dłużej niż za pierwszym razem. Nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że tym razem jest bardziej poruszony. Jego język chyba oszalał. Chce mi się śmiać, ale nie mogę. A na koniec czuję, jak kładzie mi rękę na piersi! Nie! Robi to za szybko, prawie ją ściska, to nie piłka! Ale numer! Udaje mi się wyswobodzić z jego uścisku i spokojnie, łagodnie mówię: - Muszę iść... Pogadamy jutro. - Wymykam się ze smarta i biegnę do drzwi, nawet się nie *ogłądając*.

Winda. Cała się trzęsę. Oddycham głęboko. Coraz głębiej. Muszę się uspokoić. Skądinąd... lepiej niż Kopciuszek, hm... Jest wpół do dwunastej. Z pewnością nikt jeszcze nie śpi. Cicho przekręcam klucz w drzwiach. No właśnie. .

- Caro, to ty?

- Tak, mamó.

Wychodzi do mnie z salonu. - I jak? Wszystko dobrze? Jak udał się wieczór?

- Świetnie, poszliśmy tu niedaleko do pizzerii.
- Kto był?
- Cała grupa... - Widzę, że szuka mojego wzroku.
- Grupa, aha.
- Tak, ludzie ze szkoły, nie znasz ich. - Idę do mojego pokoju.
- Caro?
- Tak, mamo, o co chodzi?
- Chciałabym buziaka.

Podchodzę do niej i czuję, jak całując mnie, jednocześnie pociąga nosem. Pewnie sprawdza, czy paliłam. Przynajmniej tutaj wszystko idzie gładko. Widzę, jak uśmiecha się uspokojona.

- Ach, i jeszcze coś, Caro.
- Co?
- Klucze.

Wyciągam z kieszeni spodni i oddaję jej. To tak a propos. Mama się uśmiecha.

- Zobaczysz, niebawem je dostaniesz. To kwestia czasu. I zaufania. Idę do swojego pokoju. Rozbieram się. I nagle natłok myśli niezwiązanych z tym, co się wydarzyło. Może by ukryć emocje. Żeby zanurzyć się na chwilę w normalnych sprawach. Jutro jest święto Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia. Nie ma szkoły! Do późna w łóżku! Tak bym chciała... Mama nigdy mi na to nie pozwoli. Obudzi mnie najpóźniej o dziewiątej i każe sprzątać pokój. Moja siostra Ale też powinna. Jak nic wróci późno, będzie śpiąca, wstanie w południe, zje obiad, weźmie prysznic, zrobi się na bóstwo i znowu wyjdzie. I gdzie tu czas na sprzątanie? I tak na ratunek przychodzi mama... Mama. Która dzisiaj powinna była przynieść lampki, ozdoby i sztuczną choinkę, jako że jesteśmy ekologiczną rodziną. Nie mogę się doczekać, kiedy będzie dwudziesty czwarty, żeby iść w nocy sprawdzać prezenty. Tak, nadal to robię, chociaż wiem, że Święty Mikołaj nie istnieje. Ale dlaczego teraz o tym myślę? I natychmiast, jakby przemknęła moja osobista kometa: och, Lele mnie pocałował! Włączam komputer. Internet. MSN. Chociaż mama by tego nie chciała, nie mogę się powstrzymać. To silniejsze ode mnie.

Jesteś?

Po sekundzie Alis odpowiada.

Jasne, a gdzie miałabym być? No i jak poszło?

Opowiadam jej wszystko ze szczegółami, od początku do końca, również o tym, że go okłamałam i że mi wybaczył, i o piersi potraktowanej jak piłką tenisową. W końcu Alis pisze mi całe mnóstwo rzeczy, uspokaja mnie i daje do zrozumienia, że historia z Lelem mogłaby mieć ciąg dalszy i że epizod z piłką potwierdza tylko fakt, że nad chłopakami górę biorą czasami nagle pragnienia, których nie potrafią poskromić. Lubię Alis. Mówi mi dokładnie to, co chciałabym sama powiedzieć, to, co chciałabym móc opowiedzieć komuś, jak mojej mamie, ale za bardzo się wstydzę, a poza tym nie wiem, jak by zareagowała. W każdym razie Alis jest w tym świetna, powiedzmy, że jest jak wirtualna mama, bardziej elastyczna od tej prawdziwej.

Och, ledwo o niej pomyślałam, a już otwiera drzwi.

- Caro! Co robisz? Jeszcze jesteś przy komputerze?! Późno wróciłaś i musisz iść spać!

- Masz rację, ale musiałam sprawdzić jedną rzecz z pracy domowej na przyszły tydzień.

- Teraz?

- Tak, miałam wątpliwości i jeśli bym tego nie sprawdziła, nie mogłabym usnąć.

Wyłączam komputer. Wskakuję do łóżka i szybko opatulam się kołdrą. Mama podchodzi i podwija poszewki.

- Czy teraz już wszystko w porządku?

Kiwam głową, że tak, a ponieważ wiem, jakie będzie następne pytanie, uprzedzam je. Otwieram buzię. - Zęby umyte... zobacz... - I chucham jej w twarz.

Mama się śmieje i jeszcze raz mnie całuje, i delikatnie przyciska moją głowę do poduszki.

- Mamo...

- Tak, wiem.

I wychodząc, zostawia drzwi odrobinę uchylone. Może nie jest wirtualna, ale ona też świetnie mnie rozumie. Z uśmiechem zanurzam się w poduszkę i chwilę później pogrążam się w świecie snów.

To, co bardzo lubię i co jednocześnie mnie martwi w grudniu, to fakt, że zbliża się Boże Narodzenie. Lubię robić prezenty. A martwi mnie to, że nie mam pieniędzy. A żeby być już do końca szczerą, to najbardziej martwi mnie to, że nie dostaję takich prezentów, jakie bym chciała. Wszyscy wiedzą, że bardzo chciałabym mieć psa. Naprawdę powiedziałam to każdemu, nawet kioskarzowi i chłopakowi z baru, gdzie w te nieliczne dni, kiedy jestem wcześniej w szkole, czasami jem śniadanie. Przyznaję, że to się zdarza bardzo rzadko... Chociaż według mnie ostatni rok trochę pokrzyżował wszystkim plany, ponieważ zapragnęłam innego prezentu. Ostatnio nawet Franco, pracownik pizzerii na via Farnesina, kiedy właśnie wzięłam porządny kawałek pizzy z szynką i ziemniakami, chciał, żebym mu to wyjaśniła. Hmm... To jest superobiad! On sam wymyślił tę pizzę. Ja nazywam ją Pizza Piłka! Bo moim zdaniem jeszcze jej nie skończyłaś, a już wyglądasz jak piłka.

Tak czy inaczej powiedziałam mu o swoim nowym wymarzonym prezencie. Biorąc pod uwagę fakt, że mama, kiedy wraca późno, często zamawia u niego pizzę, pomyślałam sobie: niech wie, bo może jak kiedyś mama do niego przyjdzie, to wspomni jej o tym. Franco spojrział na mnie zaskoczony i powiedział: - Caro, ale... To nie miał być pies? Teraz chcesz minibrykę? Konia z rzędem temu, kto cię zrozumie!

- Dlaczego? To takie proste... - Poszłam, zającując wspaniałą Pizzę Piłkę. Minibryka i pies jednocześnie! To niemożliwe? A kto tak powiedział? Mimo wszystko psa nadal bym chciała, chociaż im jesteś starsza, tym masz więcej obowiązków i mniej czasu na psa. Hm. Tak przynajmniej mi się wydaje. Nie chcę o tym myśleć. Jeżeli dostanę psa, wezmę go. A jeżeli подарują mi minibrykę, też ją przyjmę. Kilka dni temu szukałam nowego cytatu do mojego pamiętnika, bo zauważyłam,

ze cytaty wykorzystywane z umiarem świetnie sprawdzają się u psora Leone, i znalazłam ten: *Wolnością nie jest wybór między białym a czarnym, jest nią umiejętność uchylecia się od tego narzuconego wyboru.* Powiedział to jakiś Adorno i ja się z nim absolutnie zgadzam. Zatem, między psem a minibryką... wybieram i psa, i minibrykę!

Inny prezent, który bym chciała, to... Massi! Ja i ty. Połączeni na zawsze, nawet jeśli jeszcze o tym nie wiesz. Ponad czasem. Idealni partnerzy. Różni, ale w przeciwnym razie jaki to ma sens? Zdajesz sobie z tego sprawę? Widzisz mnie? Jest taki piękny teledysk Rooney *Tell Me Soon*: dziewczyna siedzi w różowej sypialni, do której wchodzi zespół i śpiewa dla niej piosenkę! Na końcu pojawiają się też wszystkie jej przyjaciółki. Mnie to się nigdy nie przytrafi, prawda? Poza tym, okay, lider jest boski. W mojej szkole takich nie ma! Filo trochę go przypomina, ale lepiej mu o tym nie mówić. Inaczej zorganizuje mi koncert i na koniec znowu będzie chciał mnie pocałować, mówiąc, że to tak, jakby całował mnie prawdziwy piosenkarz!

Muszę przyznać, że w tym roku lepiej sobie radzę. Zrobiłam telefonem zdjęcia najbliższych mi osób i zrzuciłam je do komputera. Jak tylko skończę konfigurować bloga, którego Gibbo otworzył mi w prezencie na Splinderze, umieszczę je tam wszystkie. Może zrobię pokaz slajdów, co pięknie wygląda, kiedy tak prześlizgują się jeden po drugim, dodam jakieś efekty specjalne... Tymczasem nad tym pracuję. Chcę zrobić śliczne kolorowe kartki bożonarodzeniowe, ze zdjęciami i cytatami sławnych ludzi, które umieszczę pod spodem. Znalazłam fantastyczne. Na przykład: dla psora Leone: *Nauczanie to jak uczenie się po raz drugi*, Joseph Joubert. Niezłe, co nie? I dla pani Boi od matematyki. Zdjęcie plus podpis. Na przykład ten super, który znalazłam w Internecie: *Z pewnością można nauczyć indyka wchodzić na drzewo. Dlaczego jednak nie zatrudnić od razu wiewiórki?* wzięty z podręcznika o technikach doboru kadr i zarządzania nimi! To dla matematyczki, a biorąc pod uwagę fakt, że z tego przedmiotu idzie mi najgorzej, muszę dobrze wypaść. Czerwona kartka. Zrobiłam zdjęcie, na którym na szczęście korzystnie wyszła, o co niełatwo, bo jest trochę pulchna, a przede wszystkim ma okrągłą jak księżyc twarz, którą

okalają napszone płowe włosy, mające niewiele wspólnego z lokami. Z cytatów wybrałam: *Trzeba uczyć ludzi, by poznanie swe czerpali nie z ksiąg, ale z ziemi i nieba*, Jan Amos Komeński. Nie wiem, czy dobrze to brzmi, ale wydaje mi się, że prawdziwie, poza tym, kiedy to już dostanie, mogłaby przymknąć oko na moje braki i być może pomyśleć, że nie uczę się za dużo z ksiąg, ale bezpośrednio z życia! A raczej, w przypadku matmy... od Gibba!

Na pewno będę musiała zrobić prezenty dla mojej rodziny, dla Gibba, Fila, Clod i Alis. Moim przyjaciółkom chciałabym podarować osobiste prezenty. Obie mają już minibryki! I dlatego chciałabym im... zatankować do pełna! Właśnie tak, benzyna jest strasznie droga, więc kupię bony na stacji i im je podaruję! Jeden dla Alis i jeden dla Clod! Będą mogły jeździć po Rzymie dzięki mnie! Poza tym Clod, która dopiero co przysłała mi zwiariowanego esa: *Dwa kurczaki rozmawiają dwudziestego czwartego grudnia w piekarniku. „Jest Wigilia Bożego Narodzenia, nie wiem czy nam się upiecze”*, może podaruję dodatkowo zbiór gotowych bardziej stosownych SMS-ów! Ach, i jeden prezent oczywiście dla Lelego. Bardzo chciałabym też zrobić prezent Massiemu. A może on w ramach gwiazdkowego upominku po prostu by się odnalazł? I tu przychodzi mi do głowy cytat z Heraklita: *Kto nie spodziewa się niespodziewanego, ten nie odkryje go*. Wybrałam to zdanie na pocztówkę ze zdjęciem dla psora od angielskiego.

Nie jest to może nic szczególnego, ale kto wie... Może przytrafi się właśnie to „niespodziewane”. Tak bardzo mi się spodobał ten cytat, że umieściłam go na biurku. Fakt, że zbliża się Boże Narodzenie, sprawia, że myślę o cudzie serio. Naprawdę. Wydaje mi się prawdopodobne, że ponownie spotkam Massiego. I z tą nadzieją w sercu znowu idę do Feltrinelli. Ale nic, ani śladu. Nic nie można zrobić. To jak noc spadających gwiazd nad morzem. Jak tylko zobaczysz jedną, musisz mieć gotowe życzenie, bez cienia wątpliwości. Bo potem może być tak, że nie wiadomo kiedy pojawi się kolejna. Mnie się tak parę razy zdarzyło. Spadała gwiazda, a ja nie zdążyłam na czas wypowiedzieć życzenia, bo miałam ich za dużo i byłam zaskoczona! Jak mówił Hugo: *Dusza pełna jest spadających gwiazd*. Może więc mamy już w sobie spadające gwiazdy i nie ma potrzeby spoglądać w niebo? Hm...

Chcę zrobić prezentowe lotto. Co dostanę? Kolejną płytę Finley czy Gkwanniego Allevi? Kosmetyczkę, której i tak będzie używać moja siostra? Książkę? Szalik i rękawiczki od mamy? Pendrive'a do komputera? Karnet do kina od Rusty'ego Jamesa? Czy podaruje mi sezon *Tajemnic Smallville*? Jednak megaprezentem byłaby znaleziona w skrzynce na listy pewna kartka z życzeniami, wykonana ręcznie... z pewnym podpisem. Tymczasem odbywam swoją rundkę po Feltrinelli i...

- Dzień dobry, Carolina.

- Witam.

Hm, Sandro pamięta już moje imię. A poza tym prawdą jest, że wykończyłam go opowieścią o Massim.

- Mam dla ciebie książkę, chodź! Idę za nim między regałami.

- Oto ona... *Trzy metry nad niebem*. Masz ochotę?

- No, nie wiem. Moja przyjaciółka ją przeczytała i bardzo jej się podobała... Ale na końcu się rozstają!

~ Wiem, ale w kolejnej części, *Tylko ciebie chcę*, autor daje nam do zrozumienia, że nie można przywiązywać się do historii, która już minęła...

Patrzę na niego. Unoszę brew. Co on, mówi o mnie? Oby! Ale ja i Massi jeszcze niczego nie przeżyliśmy. Nie poszło źle czy się źle skończyło. Nawet się nie zaczęło. Nie mam wątpliwości.

- Nie, dzięki... Teraz mam ochotę na coś śmiesznego.

- Okay, no to to jest bardzo zabawne... *Dziennik Bridget Jones*. To historia dziewczyny, która właśnie skończyła trzydziestkę, jej przyjaciółki są zamężne albo przynajmniej mają kogoś, narzeczonego, natomiast ona jest jedyną singielką. Umrzesz ze śmiechu!

Ale co ja z tego mogę mieć? A może to sposób na uniknięcie takiej ewentualności? Do trzydziestki brakuje mi szesnastu lat i dwóch miesięcy. Chyba nie skończę tak jak ona! Okay, lepiej sprawdzić, co mogłoby się wydarzyć... aby tego uniknąć!

- Okay, wezmę ją. Tak naprawdę przyszłam po prezenty dla moich dwóch przyjaciółek. I dla moich dwóch przyjaciół...

Nie wiem nawet, czy Lele w ogóle czyta, a poza tym nie znam go zbyt dobrze.

Dobra, daj mi jakieś wskazówki, jacy są, a zobaczymy, co mogę dla nich znaleźć.

I zaczynam opowiadać o Clod, Alis, Gibbie i Filu. Muszę przyznać, że nakreśliłam portret całkiem fajnej paczki. Każdy ma swój charakter, swoje znaki szczególne, ale wszyscy są czadowi. I nie wiem dlaczego, ale to ja czuję się spoiwem tej grupy. Ale to prawda: nieznanym łatwiej jest mówić o swoich przyjaciółach bez zmyślenia, co więcej, można przedstawić ich w lepszym świetle i nie bać się, że zostaną osądzeni, a my razem z nimi. „Po co się z nią zadajesz?”, tak na przykład zareagowałyby mama, gdybym powiedziała jej wszystko o Alis. Albo: „Co kombinuje Gibbo?”. W końcu, sama nie wiem jak, zaczynam opowiadać o Rustym Jamesie i wydaje mi się, że mówię godzinę bez przerwy. A Sandro śmieje się, słysząc wszystko.

- Jesteś naprawdę zakochana w swoim bracie!

- O, tak! Chciałabym znaleźć takiego faceta jak on, choć być może nie ma takiego drugiego. - Chciałabym dorzucić „oprócz Massiego”, ale wtedy zaczęłyby mnie wypytywać, więc daję spokój. - Jest jeszcze moja siostra Ale, nic w życiu nie przeczytała.

- Nie wierzę!

- Możesz sobie nie wierzyć. Ogląda tylko *Big Brothera* i czasami *L'isola...* i to wszystko!

Sandro się uśmiecha. - Jesteś zbyt surowa, ani trochę w to nie wierzę... Masz coś przeciwko siostrze?

- To ona ma coś do mnie.

Sandro wybucha śmiechem. - Rozumiem. Tu potrzeba dobrego prezentu. Dobrej książki, która was obie pojedna.

- Nie da rady, jesteśmy po prostu zbyt różne. Mnie wszystko się w niej podoba, natomiast ona ciągle się ze mnie śmieje i mnie nie akceptuje!

Właśnie wtedy przechodzi jego koleżanka Chiara, która bardzo mu się podoba. Widać to po tym, jak na nią patrzy. Tym razem ma rozpuszczone włosy.

- Kogo ja widzę, papużki nierozłączki... Jestem zazdrosna! -I śmieje się. I odchodzi. Uśmiechnięta. Wesoła osoba, naprawdę, pełna radości, która emanuje z każdej części jej ciała. Może w rzeczywistości to nie

prawda, może ma normalne życie bez szczególnego farta, co ja tam wiem, może nawet pełno problemów. Ale liczy się to, że innym pokazuje swoją najlepszą stronę, uśmiech. Może to jej sposób na radzenie sobie z kłopotami. Tak przynajmniej myślę. Albo tak przynajmniej mi się wydaje, kiedy przechodzi obok, rozmawia z ludźmi czy przebywa w ich towarzystwie. I nie sądzę, że zachowuje się tak, bo jest sprzedawczynią, przyzwyczajoną do bycia miłą. Pewne rzeczy się ma albo nie i moim zdaniem można to wyczuć. Ona wydaje mi się dobra i szlachetna. Jest może zbyt perfekcyjna jak dla Sandra. Ale tak naprawdę, to co ja o tym wiem? Jednak tego mu nie powiem. Chiara już jest daleko. Przyszło mi natomiast do głowy coś innego.

- Dlaczego jej tego nie powiedziałaś? Sandro patrzy na mnie zdziwiony. - Czego?

- No, nie wiem, mogłaś jej na przykład odpowiedzieć: „Skoro jesteś zazdrosna... możemy być nierozłączni, ty i ja!”.

Sandro się zaczerwienił. Rozumiem go i może nie powinnam była nic mówić, postąpić jak większość, udawać, że nic się nie dzieje, a tak przynajmniej dałam mu impuls. Poza tym fajnie jest się interesować innymi ludźmi. Nie robię tego, bo jestem plotkarą, wręcz przeciwnie, zależy mi, żeby inni byli szczęśliwi, a skoro chcesz tego dla innych... sama w końcu też będziesz szczęśliwa! To słowa Ligabue. *Wierzę temu, który mówi, że miłość przynosi miłość...*

I dlatego kontynuuję: - Wiedz, że kobiety chcą usłyszeć pewne rzeczy... Może też jej się podobasz... Ale jeśli nie spróbujesz, to jak się tego dowiesz?

- Zatem?

- Zatem musimy znaleźć jakąś książkę także dla ciebie, musisz się zadeklarować!

Sandro kręci głową i znów wybucha śmiechem. - Chodźmy poszukać książek dla twoich przyjaciół.

I tak półtorej godziny później wychodzę lżejsza o dziewięćdziesiąt dziewięć euro i cięższa o torbę prezentów, a dokładniej o:

Spotkanie po latach Uhlmana dla mojej siostry Alessandry, obyśmy się naprawdę odnalazły... Następnie *Outsiderzy* dla Rusty'ego Jamesa, ponieważ jego imię pochodzi z tego filmu, który ciągle cytuję, a którego

nigdy nie widział, bo go nie ma; dla Gibba etui na komórkę z materiału z napisem *Zbuntowany geniusz* oraz książeczka z testami z matematyki; dla Fila bilet do teatru na musical *Noc przed egzaminem*; dla Clod *Czekolada* na DVD i pudełko truflí w czekoladzie d'Alba; dla Alis *Diabeł ubiera się u Prądy* na DVD, natomiast dla Lelego nie znalazłam nic. To znaczy nie znalazłam niczego, co by mnie satysfakcjonowało. Poza tym nie znamy się zbyt dobrze i nie spotykamy się za często, nie licząc gry w tenisa i wieczoru w Zodiaku. Tego wyjątkowego wieczoru! Uważam, że prezentów nie można kupować na chybił trafił i trzeba wybierać to, co sami byśmy chcieli dostać.

Co dla Lelego? Sama nie wiem, chciałabym mu podarować bluzę, tak, piękną niebieską bluzę! A nawet lepiej! Przyszedł mi do głowy superpomysł. Muszę sprawdzić, czy uda mi się to zrobić!

Kręcę się trochę po centrum i znajduję prezent dla rodziców, jest ekstra, według mnie przyda im się i nie jest drogi. Kupuję go i idę dalej. Jakie to dziwne, te ulice w grudniu wyglądają zupełnie inaczej. Rozwieszono świecące gwiazdki, na każdym sklepie wizerunek Świętego Mikołaja, a na wystawach wata udająca śnieg. Chłopaki i dziewczyny spacerują roześmiani, niektórzy trzymają się za ręce, inni przemykają samotnie w pośpiechu, Bóg jeden wie z jakimi myślami. Dwie przyjaciółki, trochę starsze ode mnie i od Alis i Clod, idą objęte. Jedna z nich trzyma rękę w tylnej kieszeni jeansów drugiej. Potem tą drugą wyciąga jej coś z torebki, chyba jakąś karteczkę, i ucieka. Wtedy ta zaczyna ją gonić.

- Stój! Daj spokój! Nie chcę, żebyś to czytała!

I znikają w tłumie, który płynie dalej, powoli jak rzeka, rzeka ludzi ze swoimi myślami, ze swoim bólem, ze swoim szczęściem.

Dobra, koniec tych dziwnych myśli. Czuję się jak Carolina filozof... A wolałabym jak Carolina zakochana. Dotarłam do przystanku autobusowego. Poczekał tu. Rozglądam się wokół. Za mną jest wystawa pełna ciuchów, koszule po sto siedemdziesiąt euro, swetry po dwieście osiemdziesiąt, kurtki po trzysta siedemdziesiąt. Kto może sobie pozwolić na takie ubrania? Co robią w życiu rodzice laski, która nosi takie rzeczy?

Hm, prawdę mówiąc, Alis ma nawet droższe. A co robią jej rodzice?

Są rozwiedzeni! Nie rozumiem tylko, czy to dzięki rozwodowi stajesz

się bogata, czy też będąc bogata, stajesz się rozwódką. Muszę zapytać o to Alis. Byle w odpowiedni sposób.

Jest i autobus. Przejeżdża mi przed oczami. Cofam się odrobinę, bo prawie o mnie zawadza. No nie... Nie wierzę. Zatrzymuje się, otwierają się drzwi i wysiada dwóch kolesiów, którzy ukradli mi komórkę. To oni! Nie mam wątpliwości. Jeden z nich ma tę samą okropną kurtkę. Pamiętam go, jakby to było wczoraj. Popchnął mnie kilka razy, zanim wysiadłam, a ja widziałam tylko tę kurtkę, jasnozieloną, obrzydliwą jak jego włosy, twarz i jego głupkowaty śmiech... rumuńskiego złodzieja. I nie mówię tego, bo jestem rasistką. Cholera, jasne, że nią nie jestem. Jak dla mnie mógł być nawet z Parioli. Szanuję ludzi. Ale chciałabym, żeby inni szanowali mnie i moje rzeczy. Niezależnie od pochodzenia. Tak samo nienawidzę cwaniaczków z bogatych włoskich rodzin, którzy kradną w szkole i grożą innym. Nienawidzę tchórzy, nienawidzę tych, którzy wykorzystują innych, skądkolwiek pochodzą i jakkolwiek się nazywają czy ubierają. Nienawidzę tych, którzy nie szanują życia i spokoju ducha innych ludzi. Nienawidzę też tych, którzy zamiast poprosić o coś, kradną to. I tak cię zostawiają, bezbronno, bezsilnego, wyrolowanego i smutnego. I chciałoby się być superbohaterem z tajną bronią i o nadprzyrodzonych siłach, któremu wystarczy spojrzeć na takiego typka i paf! Unicestwić go.

Drzwi się zamknęły i autobus odjechał. Ale ja nie wsiadłam. Stoję za nimi. Z bożonarodzeniową paczką z talerzem dla mamy i taty i z torbą prezentów dla moich przyjaciół.

I co ja im teraz powiem? Hm, coś wymyślę. Muszę być miła. Muszę sprawić, by dobrze się poczuli. O czym ja mówię? To absurdalne! Sprawić, aby dobrze poczuło się tych dwóch, którzy ukradli mi telefon i tym samym numer do Massiego.

Im dłużej za nimi idę, tym więcej o tym myślę. Im więcej o tym myślę, tym bardziej się denerwuję. Im bardziej się denerwuję, tym bardziej chciałabym być duża, postawna i wzbudzać strach. Albo po prostu mieć u boku Rusty'ego Jamesa. O tak, wtedy obaj byliby w kłopotach. Tak naprawdę wcale nie są tak dobrze zbudowani. Dwaj zwykli kolesie. Ups... Ale jest ich dwóch... I właśnie się zorientowali, że za nimi idę.

- Masz coś do nas?

- Eee... tak... to znaczy nie... znaczy tak.

- To tak czy nie?

I żeby chociaż byli Rumunami! Ta dwójka jest z Rzymu. Hm, może lepiej się dogadamy.

- No więc, wydaje mi się, że jakiś czas temu zgubiłam telefon, nokię 6500 slide, taką jak... - Przychodzi mi do głowy, żeby wyjąć z kieszeni nowy telefon, który podarowała mi Alis. Ale jeśli ten też mi ukradną? - Taką jak ta, którą widać na reklamach...

- Nie wiem, o co biega - mówi jeden z nich, ten postawniejszy, który wydaje się też straszniejszy.

- Nieważne... Zgubiłam go w autobusie, w tym samym, którym wy też jechaliście.

- My?

- Tak, rozmawialiście, zwróciłam na was uwagę, i jeśli przypadkiem znaleźliście go i zabraliście...

Patrzą na mnie.

- No tak, wysiadałam, a on mi wypadł i wy go podnieśliście i może chcieliście mi go oddać, ale zamknęły się drzwi i autobus od razu odjechał... i wy nie mogliście...

Teraz obaj wydają się trochę zdezorientowani.

- Co ty, robisz nas w konia?

- Nigdy bym sobie na to nie pozwoliła... Chciałam was tylko zapytać... Nie macie przypadkiem mojej karty, mojej karty SIM?

Jeden z nich unosi brew. Drugi też. I jak ja teraz z tego wybrnę? Nie wiem, co robić. Co jeszcze powiedzieć. Mogłabym wyciągnąć jakiś prezent i dać im go w zamian. Ale co takich może obchodzić *Czekolada* albo tym bardziej *Spotkanie po latach*? Oni myślą, że robię ich w konia. W takim razie uderzam w litościwy ton.

- Miałam tam numer do mojego przyjaciela... Bardzo mi na nim zależało. Nie ma go, zniknął, nie mogę go odnaleźć. Może już nie żyje. Tak źle się czułam... Chciałabym go usłyszeć przynajmniej w święta... Jeśli do niego nie zadzwonię, co sobie pomyśli? I jego numer był na tej karcie SIM, tylko na niej! Nie potrzebuję telefonu, tylko karty SIM... Mojej karty SIM...

Patrzą na mnie po raz ostatni. - Spadamy... - I odwracają się, i tak po prostu odchodzą, nie zaszczycając mnie nawet odpowiedzią, jakąkol

wiek odpowiedzią. Może to nawet lepiej. Myślę, że się z tego wykaraskałam... Uff.

Massi... Nie możesz powiedzieć, że nie wykorzystałam każdej szansy.

Wróciłam do domu i schowałam prezenty w szafie.

Wzięłam szybki prysznic, zjadłam lekką kolację, nie odezwałam się do Ale i poszłam spać. Czasem bywa tak, kiedy jest się tak zdruzgotaną, ale tak strasznie, że się nie czeka na nic innego, jak tylko na sen. Szkoda, że nie ma Rusty'ego Jamesa. On przyszedłby do mnie i coś mi opowiedział albo przeczytałby fragment swoich opowiadań. Dziwne, jak nagle wszystko się zmienia, kiedy brakuje jednej osoby tam, gdzie przyzwyczajeni jesteście, że są wszyscy. Przynajmniej ja tak to odczuwam. I z tym dziwnym uczuciem pogrążam się wykończona w moich snach. Ale zanim zasnę, przychodzi mi do głowy jedna myśl. Uśmiecham się. Wszystko wydaje mi się piękne. Jestem w swoim minicarze, jest lato, obok jest Massi i słuchamy oczywiście Jamesa Blunta. On obie nogi trzyma za oknem i porusza się w rytm muzyki, jest dowcipny i pozwala mi prowadzić. Ja mam okulary, które bardzo mi się podobają, i też rytmicznie poruszam głową... Po prawej stronie widać morze. Jesteśmy w Sabaudii, na promenadzie, którą tak bardzo lubię, byłam tu kilka razy z rodzicami. U stóp lasu piniowego leżą wydmy uformowane przez wiatr. A ja jestem tu z Massim. Wysiadamy z samochodu. Stoimy na plaży, morskie fale, orły na niebie, on trzyma mnie za rękę i jestem szczęśliwa.

No właśnie, chciałabym przeżyć taki sen na jawie. I z tą myślą naprawdę zasypiam.

Jakże podobają mi się te szkolne zebrania zwoływane przez przedstawicieli klas, zwłaszcza te mało istotne dotyczące na przykład tego, jakie filmy dla młodzieży powinny być wyświetlane w kolejnym roku w salce projekcyjnej. A jeszcze bardziej lubię, kiedy projekcje odbywają się na ostatnich dwóch godzinach w piątkowe przedpołudnie. Można decydować, czy się zostaje, czy, za pozwoleniem rodziców, wychodzi

wcześniej. Mama mi je podpisała, bo powiedziałam jej, że to i tak nic mi nie da i że wolę wrócić do domu i pouczyć się do klasówki, która będzie w poniedziałek. I tak oto jestem tu o wpół do dwunastej! Jeślibym chciała być takim prawdziwym leniuchem, to oczywiście byłoby lepiej, gdyby filmy wyświetlano na pierwszych dwóch godzinach, przynajmniej mogłabym dłużej pospać, no ale nie można mieć wszystkiego.

O tej porze w piątek w domu nie ma nikogo. Mama jest nadal w pracy, tata w szpitalu albo z przyjaciółmi w barze, bo akurat teraz ma przerwę, a Ale w szkole. Najpiękniejsza chwila. Lubię być w domu, kiedy nikogo nie ma. Jest cicho i mogę robić to, na co mam ochotę. Na przykład lubię w pokoju rodziców przymierzać ubrania mamy, jakiś sweter albo spódnicę. Nie wiem dlaczego. Może chcę się poczuć blisko niej. Może po to, by założyć na siebie coś innego. Nie żeby mama miała modne ubrania, wręcz przeciwnie, znacznie więcej ma ich oczywiście Ale, ale jej ciuchy mi się nie podobają. Moja siostra nie ma gustu, ubrałyby się w prowokacyjne i opięte ubranie nawet na wizytę u lekarza. Mama ma proste rzeczy, niezbyt kolorowe, wszystkie trochę do siebie podobne. Jednak są jej i wkładam je po kryjomu od dziecka. Wtedy wyglądałam śmiesznie, bo były na mnie za duże. Otwieram szafę i spostrzegam, że na wierzchu leży koszulka, której nigdy wcześniej nie widziałam. Musi być nowa. Wczoraj mama była na bazarku i może tam ją sobie kupiła. Mama praktycznie nie chodzi po sklepach. Mówi, że na bazarku można kupić to samo za mniejsze pieniądze i że nie ma sprzedawczyń, które prawią ci fałszywe komplementy. Ludzie z bazarku są bezpośredni i naturalni, możesz przymierzać ubrania i nikt cię nie stresuje. Koszulka jest ładna, biała w niebieskie paseczki z brzegami wykończonymi na czerwono, trochę w stylu marynarskim, który jest modny w tym roku. Mamie powinno być w niej do twarzy. Może parę razy podkradnę ją na jakieś wyjście. I tak się nie zorientuje. I już-już mam ją przymierzyć teraz, kiedy jestem sama. Właśnie chcę zdjąć podkoszulek, ale słyszę dzwonek.

Dryń.

Dzwonek.

Dryń.

Znowu. Hrrrm, może innym razem.

Idę. Kto to o tej porze? Może mama, która wie, że jestem w domu. pewnie chciała zrobić mi niespodziankę, ale zapomniała kluczy. To wydaje mi się dziwne. To raczej nie tata. Moja siostra nie wraca przed drugą. Listonosz? Mama mówi, że przychodzi zawsze około południa. Podnoszę słuchawkę domofonu.

- Tak?

- Hm, cześć.

Nie rozpoznaję głosu. - Kto tam? ..

- Debbie.

- Debbie! Cześć! Już otwieram!

Otwieram drzwi przyciskiem na domofonie i czekam. Debbie? Dawno jej nie widziałam. Za długo! Szkoda, bo według mnie ona jest super. Ciekawe, czego chce. I to o tej porze. Otwieram drzwi do mieszkania i słyszę, jak jedzie winda. Zatrzymuje się. Debbie wychodzi i widzi, że na nią czekam.

- Cześć, Caro, a więc to ty odebrałaś domofon. Nie wiedziałam, że jesteś w domu. Myślałam, że to twoja mama.

- Debbie! Chodź, wejdź. Dziś wcześniej skończyliśmy. Mama jest w pracy...

Wchodzi za mną i zamykam drzwi.

- Chodź, pójdziemy tu. Chcesz coś do picia?

- Nie, dzięki. - Wydaje mi się jakaś dziwna. Rozgląda się wokół.

- Jesteś sama?

- Tak, nikogo nie ma. Niebawem wrócę. - Nie rozumiem, co tu robi.

- I jak, Debbie, co słyhać? Co mi powiesz?

- No, wszystko raczej dobrze.

- Nadal pracujesz w sklepie?

- Tak, w tym z ciuchami. Podoba mi się, poza tym to na pół etatu i rano mogę chodzić na zajęcia na wydział. A co u ciebie?

- Ach, w szkole jak zawsze, w tym roku mam egzamin, nadal przyjaźni? się z Alis i Clod!

- A z rodzicami wszystko dobrze?

- Tak, to co zwykle. Kłótnie, bo ich zdaniem za często wychodzę, Ale denerwuje mnie jak jakaś stara baba, a R.J. jest po prostu R.J.-em, ale to sama wiesz.

Uśmiecham się do niej porozumiewawczo. Zapada dziwna cisza. Bardzo lubię Debbie, jest miła, inteligentna i zawsze traktowała mnie jak siostrę. A poza tym jest dziewczyną Rusty'ego Jamesa, a on zawsze dokonuje trafnych wyborów! Ale dzisiaj coś nie gra. To nie ta sama

Debbie.

- Posłuchaj, Caro...

- Tak?

Bierze torebkę. Otwiera. Rozpoznaję ją. To podarunek od Rusty'ego. Pamiętam, jak mi ją pokazywał. Jest duża, kwadratowa i płaska, do noszenia przez ramię. Debbie czegoś szuka.

- Mogłabyś oddać mi przysługę?

- No jasne!

Wyciąga bardzo ładną błękitną kopertę z ozdobnego papieru, która wygląda jak haftowana. Jest zamknięta, ale nie zalepiona.

- Mogłabyś dać ją Giovanniemu, kiedy wróci?

Są takie pytania, które wprawiają w osłupienie. Nie wiadomo, czy ich nie rozumiesz, bo to ty jesteś głupia, czy dlatego, że one nie mają sensu. Milczysz pełna wątpliwości. Jak to, „kiedy wróci?“, myślę. Giovanni nie wróci. Czy to znaczy, że Debbie o tym nie wie? Niemożliwe. Nie jestem w stanie nic jej powiedzieć. O co chodzi? Co się dzieje?

Debbie wręcza mi kopertę. Biorę ją.

- Przepraszam, ale czy nie możesz sama mu jej dać, jak go zobaczysz? - pytam.

Debbie milczy. Patrzy na swoje stopy. Dziadek Tom mówi, że ci, którzy patrzą na swoje stopy, chcieliby uciec. Cholera, czy w takim razie... Debbie chce uciec? Dlaczego? Chciałabym coś z tego zrozumieć.

- Jest piątek, spotkacie się wieczorem, kiedy będziesz wychodziła ze sklepu, prawda? Poza tym z tego, co wiem, ty częściej widzisz Rusty'ego...

- W jakim sensie?

- Jak to w jakim? Od kiedy się wyprowadził, nie widuję go już codziennie. To znaczy, chodzę na barcę, mam tam nawet swój pokój, ale nie przesiaduję tam...

Debbie gwałtownie podnosi głowę. Patrzy na mnie. - Dlaczego, przepraszam, już tu nie mieszka? Jaka barka?

I w tym momencie niczego już nie rozumiem. Czyż nie rozmawiam z Debbie, z sympatyczną Debbie, boską dziewczyną mojego brata? _ Barka, ta na Tybrze!

Debbie patrzy na mnie jak dziewczynka, która zgubiła się w lunaparku i nie może znaleźć rodziców. To niemożliwe, żeby nic nie wiedziała. Albo to ja przeoczyłam jakiś ważny odcinek. Idę na całość.

- Przepraszam, Debbie, ale jak długo nie widziałaś się z moim bratem?

- Trochę...

- Trochę, czyli kilka godzin, czy trochę, czyli całkiem długo? Debbie patrzy na mnie i widzę, że wilgotnieją jej oczy. Zdaję sobie

sprawę, że być może nie przeoczyłam wielu odcinków, ale za to z pewnością ten najważniejszy. Chyba się definitywnie rozstali. Uśmiecha się do mnie trochę zakłopotana.

- Nie wiedziałam, że już tu nie mieszka... -l mówi to takim tonem, jak ktoś, komu właśnie wymierzono niespodziewanie silny policzek, z początku wydaje się, że, to nie boli, ale nie możesz złapać tchu. A ja nie wiem, co robić, co powiedzieć, ani jak z tego wybrnąć, ale na szczęście ona mnie ratuje i spogląda na zegarek.

- Wybacz, Caro, jest późno i muszę iść. - Odwraca się uśmiechnięta i lekka jak zawsze, kieruje się do wyjścia prawie w podskokach. - Możesz to dla mnie zrobić i oddać mu kopertę, jak go zobaczysz?

- Tak, tak - mówię i odprowadzam ją do drzwi. Nawet jeśli jest jej źle, nie daje tego po sobie poznać. Otwiera drzwi i ściąga windę, która od razu przyjeżdża. Musiała być piętro niżej.

- Cześć... I dziękuję. - Uśmiecha się do mnie pięknie, wchodzi do windy, wybiera piętro i znika.

Wracam do mieszkania. Siadam na kanapie. Patrzę na kopertę, którą położyłam na szklanym stoliku, jak tylko Debbie wstała. Co się między nimi wydarzyło? Zaraz zadzwonię do Rusty'ego i każę mu wszystko wytłumaczyć. A niech to... Dlaczego nawet taka udana para musi się w końcu rozstać? Chyba nikt nikogo nie zdradził? On? Ona? Nieee, nie wierzę, to niemożliwe. Jeśli jednak tak się stało, to powiem Rusty'emu, co o tym myślę. A jeśli to ona, to jej powiem. Już mam wybrać numer, Jednak rezygnuję. O pewnych sprawach nie można rozmawiać przez telefon. Piszę do niego SMS-a.

Cześć! Kiedy możemy pogadać? Mam też coś dla ciebie. I wysyłam.

Znowu patrzę na kopertę. Nie jest zamknięta. Może tam w środku jest odpowiedź. Wystarczyłaby chwilka. I tak nikt się nie zorientuje. Biorę ją i obracam w rękach. Nie podoba mi się, że się rozstali. Jednak nawet jeśli otworzę i przeczytam list, co mi to da? Przecież tylko oni sami mogą wiedzieć, co robić... Tak, ale ja też chciałabym to wiedzieć! A poza tym, skoro mam być doręczycielem, to chyba należy mi się jakaś nagroda, nie?

Otwieram pomału błękitny papierowy trójkąt. Wyjmuję ze środka złożoną na pół kartkę. Czytam. *Kochanie, wybacz...*

Słyszę chrzęst wkładanego do zamka klucza. Wpada Ale. Wsuwam z powrotem list do koperty i szybko chowam ją za poduszką.

- Cześć... Jesteś w domu? Wstawiłaś wodę na makaron?

- Nie.

- No to na co czekasz?

- Na ciebie...

- No tak, okay... Idzie do sypialni.

Biorę list, wkładam go starannie do środka. Może przeczytam potem, na spokojnie. A może nie. Może lepiej, żeby te słowa pozostały ich i koniec. I z takim ostatecznym postanowieniem idę do *swojego* pokoju.

W szkole nic się nie dzieje, wraz ze zbliżającym się Bożym Narodzeniem *narasta* dziwne podniecenie. Nie mówię już o ostatnim dniu lekcji, kiedy odbywa się święto choinki. Tego dnia każdy przynosi jeden prezent, a później jest losowanie. To strasznie zabawne, tylko że chłopcy wymyślają absurdalne upominki, czasami wręcz ohydne. Robią to specjalnie, bo bawi ich bycie ponad prawem, chcą popsuć święta i ich atmosferę.

Cudiniemu zdjęli gips. Wyzwał psora Leone na żonglowanie piłką. Powiedział, że jeśli podbije ją więcej razy od niego, psor nie będzie go pytać przez cały styczeń i na koniec miesiąca postawi mu czwórkę. Profesor przyjął wyzwanie.

- Gotowi? Jedziemy! Jeden, dwa, trzy...

Liczę razem z całą klasą, ale oczywiście wszyscy są przeciwko psorowi.
- Czternaście, piętnaście...
Niezły jest. Żongluje piłką spokojnie i liczy dalej.
_ Dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy...
_ Fiuu - ktoś gwizdże, inny uderza w ławkę. Ale bałagan, szkoda słów! Na wszelkie sposoby próbują go zdekoncentrować! Ale on żongluje dalej!
- Trzydzieści pięć, trzydzieści sześć... - Napina się z ogromnym wysiłkiem. - Trzydzieści siedem! Aaaa... aaa! - Nie daje rady, nie daje rady.
- Oooch...
Upuścił ją! Wszyscy walą w ławki, rusza fala jak na piłkarskim stadionie.
- Ćśśś, nie hałasujcie! Jeśli wejdzie dyrektor, będą problemy... Jak mu wytłumaczę ten *certamen*?
- Hm?
- *Certamen...*, turniej, Cudini, turniej. *Certamen* znaczy turniej.
- Profesorze, mówi pan jak arystokrata. Chce pan, żeby wszystko nam się pomieszało?
Moi koledzy... Jak słyhać, sami brytyjscy lordowie.
- Dalej, teraz twoja kolej!
Cudini bierze piłkę i zaczyna żonglować.
- Jeden, dwa, trzy...
Liczę. Jednak podskakiwanie sprawia mu trudność. Ma jeszcze słabe nogi i żongluje tą, którą złamał.
- Dziesięć, jedenaście, dwanaście...
Cudini zbyt oddala się z piłką, podrzuca ją daleko, próbuje ją dogonić, skacze na jednej nodze, jeszcze raz ją podrzuca.
- Trzyście... - I kiedy próbuje jeszcze raz, ślizga się i upada na ziemię.
- Auua! - Lewą ręką łapie się za łokieć. - Aua, ale boli! Stłukłem sobie łokieć!
- Pokaż. - Psor Leone natychmiast klęka obok niego i ogląda rękę. - To nic... Na szczęście! Już się bałem, że ją też złamałeś!
- Ale, profesorze, piecze jak diabli! Widzę gwiazdy!
- Oczywiście, uderzyłeś się w newralgiczne miejsce. Stąd odchodzą nerwy.

I tu zaczyna się wyjaśnianie, jak nie profesora od włoskiego! Wydaje się, że to profesor medycyny. A najbardziej niewiarygodne jest to, że na koniec, kiedy Cudini wstaje, podchodzi do niego jego najlepszy przyjaciel, Bettoni.

- Popatrz. - Pokazuje mu komórkę i fragment filmu. - *Dziesięć, jedenaście, dwanaście...* - I bach. Upadek Cudiniego.

- *Aua, ale boli!*

Cudini się śmieje, oglądając siebie. - Niech mnie, ale numer! Czadowy, zabawny jak nie wiem co. Daj go, to od razu wrzucę na YouTube.

- No jasne, to dlatego ci go pokazałem... Z tym filmem zdobędziesz punkty. Wejdiesz do klasyfikacji jak burza! - I śmieją się jak wariaci, odchodzą, trzymając się pod ramię, dumni z upadku i z prawdopodobnego wejścia do klasyfikacji.

- Cudini, niemniej jednak to ja wygrałem, więc przygotuj się, bo jutro będę cię pytać.

- Ale, psorze... rewanż!

Spokojne popołudnie. Byłam na obiedzie u dziadków.

Opowiadali mi o tym, jak się poznali. Na przyjęciu. Wtedy były inne przyjęcia. Z tego co mi mówili, bardziej otwarte i wszyscy naprawdę się przyjaźnili. Dzisiaj chyba już tego nie ma. Wydaje mi się, że jest więcej zawiści.

W pewnej chwili dziadek wziął babcię za rękę i pocałował ją z miłością. Babcia zamknęła oczy, trochę jakby z jakiegoś powodu cierpiała. Potem je otworzyła, odetchnęła i uśmiechnęła się, jakby starała się odzyskać spokój. Nie wiedziałam, jak się zachować, więc nalałam sobie wody, udając, że chce mi się pić.

Trochę później, po deserze, kiedy babcia sprzątała, zabrałam się za przeglądanie biblioteki. Wzięłam książkę i zaczęłam ją kartkować.

- *Jamie, kocham cię.*

- *Wiem - odpowiedział szeptem - oczywiście, że wiem, skarbie. Pozwól, że ja powiem ci we śnie, jak bardzo cię kocham. Bo kiedy jesteśmy na jawie, nie mogę powiedzieć ci nic prócz ciągle tych samych, ubogich słów, które w kółko powtarzam. Natomiast kiedy śpisz w moich ramionach, mogę powiedzieć ci rzeczy, które na jawie zabrzmiałyby głupio, ale twoje sny będą wiedziały, że te słowa są prawdziwe.*

To był *Powrót* Diany Gabaldon. Ja też chciałabym któregoś dnia móc powiedzieć takie słowa Massiemu. Tak, właśnie jemu. Bo skoro po tym, jak widzieliśmy się tylko jeden raz, nadal jest obecny w moich myślach, skoro wszystko, czego doświadczam i co czuję, i wszystko zabawne, co mi się przytrafia, generalnie wszystko, co najlepsze, dedykuję jemu, to siłą rzeczy musi być wyjątkową osobą. A może to ja jestem zdesperowaną marzycielką?

No cóż, wolę myśleć, że to raczej jego zasługa niż moja wina. Tak czy inaczej nie zdążyłam jeszcze wrócić, a już na dole przed domem spotykam Gibba. Przyjechał oczywiście swoim nowym minicarem.

- Co tu robisz?

- Cześć, Caro! Szukam kierowcy do mojego miniauta, chcesz? Gibbo jest boski.

Dzwonię domofonem do domu i uprzedzam, że jadę na przejażdżkę. Oczywiście odbiera Ale, która jak zwykle, kiedy ktoś coś do niej mówi, nie odpowiada. Dzwonię ponownie.

- Zrozumiałaś?

- Tak.

- No to powiedz to. Uprzedź mamę, żeby się nie denerwowała, przekaż jej, że mam rozładowany telefon.

Alessandra odkłada słuchawkę. I znowu dzwonię.

- Zrozumiałaś, że mam rozładowany telefon?

- Powiedziałaś, że tak.

- Nie. Powiedziałaś „tak” co do pierwszej sprawy.

- Okay, zrozumiałam.

- Co?

- Masz rozładowany telefon.

Gibbo trąbi z samochodu.

- Caro, chodź!

W końcu wsiadam do minicara i odjeżdżam.

- Wy zawsze tak?

- Zawsze. Moja siostra jest strasznie upierdliwa! Dokąd mam jechać?

- Prosto! Później skręć w prawo.

Na pełnym gazie dojeżdżam do końca ulicy i gwałtownie skręcam w prawo.

Gibbo mocno się trzyma, żeby na mnie nie wpaść. Wchodzę w zakręt z impetem, potem prostuję kierownicę i samochód odzyskuje równowagę.

- Hej, dałem ci prowadzić, ale nie zgadzam się, żebyś go rozwaliała! Ups, niedobrze...

Gibbo patrzy na mnie.

- Co?

- Za dobrze zaczęłaś prowadzić samochód. ,

- I co z tego?

_ Wolalem cię taką, jaka byłaś wcześniej. Mniej pewną siebie. Wiesz, że pewność siebie jest w sześćdziesięciu pięciu procentach przyczyną błędów?

Gibbo. Patrzę na niego. Strasznie mnie bawi. Nic nie da się zrobić. Taki już jest. *Testy z matematyki* bardzo mu się spodobają. - Okay, masz rację. - Uśmiecham się i prowadzę spokojniej.

Chwilę później.

- Zatrzymaj się tutaj.

- Gdzie jesteśmy?

- Nic się nie martw.

Wyjmuje z plecaka swój mały komputer. Polem wysiada i daje mi znak, żebym szła za nim.

- Nie wierzę!

Staję jak wryta, słysząc te odgłosy.

- To jest schronisko!

- Tak, chodź. - Bierze mnie za rękę.

- Dzień dobry, Alfredo.

Wychodzi nam naprzeciw mężczyzna o sympatycznym wyglądzie, z wielkimi białymi wąsami i wydatnym brzuchem.

- Dzień dobry! A kim jest twoja przyjaciółka?

- Ma na imię Carolina.

- Milo mi. - Podaje mi wielką, miękką dłoń, w której moja ginie z łatwością. - Witam.

- Czujcie się jak u siebie w domu. Gustavo, ty i tak znasz drogę, prawda?

- Tak, tak, dziękuję.

Gustavo. Dziwnie się czuję, gdy słyszę, jak się do niego zwraca. Dla mnie to od zawsze Gibbo i już. Alfredo znika w małym domku na końcu ścieżki. Zaciekawiona biorę Gibba pod rękę i zarzucam go pytaniami.

Skąd go znasz? Jak znalazłeś to miejsce? Często tu przyjeżdżasz? Po co, chcesz wziąć psa?

He, he. Spokojnie! Znam go, bo mój kuzyn wziął stąd psa, wcześniej byłem z nim tu tylko raz. A teraz chcę zrobić prezent mojej innej

kuzynce, która marzy o psie i wszystkich nas tym zadrecza. Popatrz - wyjmuję z kieszeni kopertę. - Tu są pieniądze, które dali mi rodzice, mam wpłacić na schronisko. Fajni, co nie?

- Tak. - Spuszczam wzrok zasmucona.

- O co chodzi, Caro? Co ci się stało?

- Nie wiem. Od zawsze tak bardzo chcę mieć psa... A teraz jestem tu i patrzę na te wszystkie piękne psy... uwięzione... i mogę wybrać tylko jednego... i do tego... dla twojej kuzynki!

- Jeżeli to cię pocieszy, to moja kuzynka jest bardzo miła i ładna. Pamiętaj jednak, że kiedy dostałem minibrykę, to pierwszą osobą, którą chciałem zabrać na przejażdżkę, byłaś ty! No, a poza tym...

- Poza tym?

- Jej nie całowałem!

- Wariat. - Szturcham go w ramię.

- Aua! Uważaj, bo otworzę wszystkie te klatki i poszczuję cię psami.

- Dobrze, ale one pogryzą cię. Mnie uratują, od razu się zorientują, że ich los nic cię nie obchodzi, jesteś nędznym oportunistą!

- Również. Daj spokój, pomóż mi, potrzyмай to. - Podaje mi kabelek, potem bierze telefon i podłącza go do komputera.

- Co zamierzasz?

- Zrobimy zdjęcia tym psom, które najbardziej nam się spodobają, i potem się nad nimi zastanowię.

- A ja ci jestem potrzebna, bo sam nie mogłeś tego zrobić!

- No co ty, ty się na tym znasz... Powiesz mi, który wydaje ci się najładniejszy i najzdrowszy.

- Wszystkie są ładne i zdrowe.

- No właśnie. Okay, ale musimy wybrać jednego. Pomożesz mi?

- No dobra - wzdycham. - Męski szowinista!

- A co to ma do rzeczy! - Gibbo wybucha śmiechem i robi pierwsze zdjęcie mnie. Od razu pojawia się na ekranie jego komputera.

- Hej, ale ja nie jestem psem!

- To było na próbę. Caro, idziemy. - Podchodzimy do klatek. Ale te psy są super, mają strasznie pocieszne pyszczki, są łagodne. Przechylają na bok głowę i patrzą na nas, niektóre szczekają. Według mnie wiedzą, że od naszej decyzji zależy będzie ich przyszłe życie. Ja zabrałabym je wszystkie.

A ten? - Pokazuję jednego. - A tamten? Może ten tu? - Ależ jesteś niezdecydowana!

- Jeśli chodzi o psy, to masz rację. - I wzduszam ramionami. Gibbo kręci głową, a mnie podobają się wszystkie. Teraz trochę się oswoiły. Biegną w moją stronę, szczekają i jak tylko wyciągam rękę, łaszą się. Mają ochotę na pieszczoty.

- Potrzebują miłości.

- Jak siedemdziesiąt procent ludzi.

- Gibbo! - Dalej robimy zdjęcia. I nadajemy psom imiona. A Gibbo zapisuje też rasę i znaki szczególne! Nie wiem, jak to robi, ale z pomocą telefonu i komputera łączy się z Internetem i wie, z jakiego rodzaju kundlem, czyli porzuconym psem, mamy do czynienia. W końcu nie mam wątpliwości. Pies, który trafi się tej szczęściarce, nazywa się Joey! Ja mu nadałam to imię!

- Jak nazywa się twoja kuzynka?

- Gioia.

- Super! Co za zbieg okoliczności.

Zbiegiem okoliczności okazał się również mój powrót do domu.

- To na razie.

- Dzięki, Caro, że mi pomogłaś. Nie wiedziałbym, którego wybrać.

- Ej, daj spokój, to megazabawa. Wyślesz mi potem mailem zdjęcia tego drugiego?

- Którego?

- Spaniela.

- Dlaczego? Bardziej ci się podobał?

- Nie, moim faworytem jest Joey! Ale Lilly też, jeżeli któregoś dnia mogłabym... No cóż, bardzo bym chciała. Przynajmniej będę mieć zdjęcie! Poprosiłabym cię o zdjęcie Joeya, ale potem będzie mi smutno, że ma go twoja kuzynka!

Gibbo się śmieje. - Dobra, do zobaczenia jutro w szkole. Nie zdążyłam wejść do klatki, kiedy jakaś ręka zza krzaków zatrzymuje mnie w locie.

- Gdzie byłaś?

- Cholera, ale się przestraszyłam! Lele... Co ty tu robisz? ; Dzwoniłem do ciebie, ale miałaś wyłączony telefon.

- Tak, rozładował się. i

- Pokaż.

- Coś ty, Lele... - Jest dziwny. Absurdalny. Wydaje się jakiś inny. Wzbudza we mnie niepokój. - Naprawdę chcesz go zobaczyć? Mówię ci prawdę. Nie miałabym powodu, żeby kłamać. - I w tej chwili zaczynam myśleć... Ale ja... Nie powinnam się usprawiedliwiać. Poza tym z czego? Przed nim? Z jakiej racji? Jednak wkładam rękę do kieszeni i wyjmuję swoją nokię. Właśnie mam mu ją pokazać. Nagle zmienia wyraz twarzy. Odpreża się. Uspokaja.

- Nie, nie. Przepraszam. Masz rację. Tylko że przez chwilę... - Nie mówi już nic więcej, jedynie stoi tak w ciszy. - Bałem się, że coś ci się stało.

To nieprawda. To nie dlatego tak się o mnie martwił. Martwił się

O siebie, bał się, że mogłam umówić się z kimś innym.

- Pójdziemy coś razem zjeść dziś wieczorem? Uśmiecham się do niego. - Nie mogę. ;

- Proszę. Chcę zawieszenia broni.

- Ale my się nawet nie pokłóciliśmy. Jeżeli powiem rodzicom tak późno, nie puszczą mnie.

- Wymyśl coś.

Tak naprawdę mogłabym powiedzieć, że idę do Alis. Zdarza się, że czasami jemy u niej kolację. Tak jak tamtego wieczoru, kiedy postanowiłyśmy zrobić u niej pizzę, taką już częściowo przygotowaną. Nie było kucharki, a mama Alis wyszła na przyjęcie. Tak więc w willi były tylko psy i służba, dwoje Filipińczyków, którzy są tu na stałe, ale przeważnie nie zwracają nam głowy. Clod narobiła bałaganu! Chciała przyprawić pizzę, zwykle mrożone margherity, gotowaną szynką, kaparami i anchois. W lodówce znalazła też cukinię i boczek. Rezultat: wszystko to dorzuciła. Wyszła z tego mega ciężkostrawna pizza. Ale jaka zabawa! Gdyby były kasztany, Clod też by je dodała! Kiedy robimy takie eskapady do Alis i uprzedzam rodziców przynajmniej dwa dni wcześniej, puszczają mnie, pod warunkiem jednak, że Clod po mnie przyjedzie, a potem odwiezie mnie przed jedenastą. Teraz ciężko byłoby coś wymyślić i szczerze mówiąc, sama nie wiem... Hm, może z powodu tego, co się przed chwilą stało, w każdym razie nie bardzo mam na to ochotę.

- Lele, będzie awantura z rodzicami... - Przez chwilę nic nie mówi. Spuszcza głowę. Następnie chyba przekonuje go to, co powiedziałam, podnosi głowę i się uśmiecha.

- A jutro masz ochotę zagrać?

- Jasne, zagramy mecz!

Całuję go w policzek i kiedy się odsuwam, widzę, że jest nadąsany, jakby mu było przykro. Ma osiemnaście lat, a zachowuje się jak młodszy ode mnie. Spogląda na mnie i mówi: - Tak się ze mną żegnasz?

Przysuwam się do niego i delikatnie całuję w usta, jednak zanim zdążam się odsunąć, on mnie obejmuje i całuje znacznie dłużej. I głębiej! Ale jak! I to tuż przed moją klatką! Zwariował! Czuję, że nie zwalnia uścisku. Poddaję się temu. Dalej mnie całuje. Z językiem, a ja mu na to pozwalam. To dla mnie dziwne, tu na zewnątrz, w to zimno, a pocałunek taki... gorący. Całe szczęście, że Rusty James już tu nie mieszka. Brzmi to trochę jak tytuł filmu. Jeśliby mnie przyłapał, koniec ze mną. Ale dlaczego, kiedy całuję się z Lelem, myślę o tym wszystkim? O czym się myśli podczas całowania? Muszę spytać Alis. Raczej nie Clod. A już na pewno nie mojej siostry Ale! Tak czy inaczej nadal mnie całuje. A jeśli ktoś zobaczy?

- Ehm, ehm! - Kto by przypuszczał. Słyszę chrząknięcie i oboje automatycznie odsuwamy się od siebie. Zrobione. No nie, tylko jej tu brakowało! Pani Marinelli. Drugie piętro. Największa plotkara w całej kamienicy. Mama mówi, że to taka baba, która zawsze wszystko wszystkim rozpowiada.

- Pani syn źle parkuje skuter. Pani córka wyrzuca niedopałki przed klatką...

A moja mama na to: - Ale co my możemy poradzić na to, że pani nie potrafi manewrować? A poza tym... Pani się myli, moja córka nie pali!

I co jej teraz powie?

- Pani córka Carolina blokuje wejście do kamienicy, całując się przed klatką.

Każdy, tylko nie ona. Pani Marinelli wyciąga z torebki klucze i posyła mi dziwny uśmiech. Wymuszony.

- Wybaczcie, hm, chciałabym wejść.

- Proszę... - Odsuwam się. Lele, korzystając z okazji, żegna się ze mną.

- No to cześć, zadzwonię jutro.

On też jest odrobinę speszony i, lepiej niż niejeden mało uzdolniony iluzjonista, nagle znika. Mija trochę czasu, zanim Marinelli znajduje klucz do klatki, i kiedy wreszcie jej się to udaje, słyszę za plecami głos.

- Proszę nie zamykać! - Moja mama! Nie wierzę! Co to jest? *The Ring - Krag?* Nie, jest znacznie gorzej, dodatkowo wszystkie części PzYy! To superhorror.

Mama zbliża się w dobrym nastroju, jest może tylko trochę zmęczona, ale ma dwie siatki zakupów.

- Cześć, Caro!

- Mamo, poczekaj, pomogę ci! - Podbiegam do niej i biorę jedną siatkę.

- Nie, weź tę.

- Są tak samo ciężkie!

- Tak, ale w tej są jajka.

Mama i jej wielkie zaufanie do mnie. A jeśli przyszłaby trochę wcześniej? Jak to się mówi? Byłyby niezłe jajka! Co ja mówię, to by była jajecznicza! Patrzę na nią i się uśmiecham. Ona do mnie też. Potem wznosi oczy do nieba, jakby chciała powiedzieć: „Że też właśnie musiałyśmy trafić na Marinelli?”. Co tu po niej, jest taka upierdliwa. Mów mi jeszcze!

Unoszę brew, w myślach odpowiadając mamie: „Eh, trudno”. Ale w rzeczywistości tylko dzięki temu „ehm, ehm” Lele i ja odkleiliśmy się od siebie, czyli wszystko zawdzięczam Marinelli! Gdyby nas minęła, to mama by chrząknęła! Aj!

I co teraz zrobię? Stoimy we trzy przy windzie. Pójdę jak zwykle po schodach i zostawię je same? I co sobie powiedzą? Marinelli tylko na to czeka, jasne... Powie wszystko, cały nasz sekret... Nie mogę ich zostawić. Ledwo przyjeżdża winda, jeszcze zanim drzwi całkiem się otworzą, już wskakuję do środka. Mama patrzy na mnie zaskoczona: - Nie idziesz na piechotę?

- Nie. Pojadę z wami. - Uśmiecham się do niej. - Pomogę ci nieść zakupy.

Marinelli patrzy na mnie i pewnie sobie myśli: „Tak, tak, jasne. Tylko dlatego z nami jedziesz, co nie?”.

Rozpoczynamy naszą podróż windą, milczymy we trzy, ale nasze miny mówią wszystko.

Marinelli unosi brew z wyrazem ostrej, złośliwej dezaprobaty, a potem patrzy na mnie z pytającym uśmiechem, jakby mówiła: „Powiesz o tym mamie, prawda?”.

A ja patrzę na nią ze skruszoną miną, odpowiadając w myślach: „Oczywiście, popełniłam błąd, ale wszystko jej powiem...”.

Potakuje głową i uśmiecha się uspokojona: „I tak to wiesz, prawda? Jeżeli ty jej tego nie powiesz, moja droga, to prędzej czy później ja to zrobię”.

A ja uśmiecham się łagodnie: „Tak, wiem, może właśnie dlatego postanowiłam, że usłyszy to ode mnie”. Tak. Winda zatrzymuje się na piętrze Marinelli i ta wysiada.

- Do widzenia... - Potem patrzy na mnie z dziwnym uśmiechem. - Miłego wieczoru. - A ja słyszę: „Miłej pogawędki”.

Mama naciska guzik naszego piętra. Jak tylko zamykają się drzwi, spogląda na mnie.

- O co chodziło pani Marinelli?

- Ja nic nie wiem!

- Wydawała się jakaś dziwna, patrzyła tak na ciebie i robiła miny... Nic nie da się zrobić, mamy wszystko zauważą.

- Noo, tak... - Lepiej od razu stawić czoła problemowi. - Mamo, wiesz, Lele, ten chłopak, z którym gram w tenisa...

- Tak, co on?

- Staliśmy przed klatką, kiedy przyszła ona.

- I co?

Mama jest coraz bardziej zaciekawiona, nawet trochę zaniepokojona. Winda dojeżdża na nasze piętro i szybko wysiadam.

- Och, no wiesz, mamo... To, co zawsze...

Mama biegnie za mną, zatrzymuje się przed drzwiami i stawia na ziemi zakupy.

Nie, nie wiem. - Teraz naprawdę wygląda na zaniepokojoną. - Co to jest to, co zawsze?

- To, co może wydarzyć się między chłopakiem i dziewczyną. Mama na mnie patrzy i wytrzeszcza oczy. Jest zbyt wystraszona.

Dlatego postanawiam powiedzieć jej wszystko.

- Chciał mnie pocałować, ale ja się nie zgodziłam!

- Aha. - Oddycha z ulgą.

- To wszystko, powiedziałam ci wszystko. - No, tak naprawdę, to powiedziałam jej prawie wszystko, co nie? Na początku faktycznie nie chciałam go pocałować. No właśnie. Uznajmy, że opowiedziałam jej ten fragment zdarzenia... Ale byłam pewna, że to nie wystarczy. W końcu rozmawialiśmy cały wieczór. Byłyśmy same, ponieważ tata miał wrócić późno, a Ale wyszła. Mama powiedziała bardzo ładną rzecz: „Wreszcie! Jak dwie przyjaciółki, tylko ja i ty, same!”.

Tylko że przyjaciółce możesz mówić wszystko. A mamie? Gdybym tylko powiedziała jej połowę tego, co wiedzą Alis i Clod, nie wychodziłabym z domu przez tydzień. Co ja mówię, przez miesiąc. A może i dwa! I tak musiałam opowiedzieć trochę o Lorenzu, ale nie za dużo, trochę o Lelem, ale nie wystarczająco, praktycznie nic o Gibbie i Filu i absolutnie nic o Massim! Na końcu dałyśmy sobie po buziaku, mama głośno odetchnęła i poszłyśmy spać, jak dwie szczęśliwe i spokojne przyjaciółki. Życie jest proste, co nie?

Przyjęcie w szkole! Choinka! Najbardziej lubię ten właśnie dzień. Jest tuż przed Bożym Narodzeniem, zamiast się uczyć, losujemy prezenty i o ile wszystko pójdzie dobrze, można trafić na coś fajnego! Zabawne jest to, że wszyscy próbują się dowiedzieć, która paczka jest od Alis, bo to ona kupuje najfajniejsze i zazwyczaj najdroższe rzeczy. W zeszłym roku podarowała aparat cyfrowy Canona. Straszne jest natomiast to, że jej prezent dostała Raffaelli, znana kujonka, która wszystkich wkurza. Wzruszyła się, kiedy go otworzyła, podniosła rękę do ust, cała rozentuzjasmowana, jakby nie wierzyła. Cudini, jak to zwykle bywa, wtrącił swoje trzy grosze.

- Wow, jeśli samej sobie zrobisz zdjęcie, to ten aparat tego nie wytrzyma! - Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Oprócz Alis, która się skrzywiła, i wtedy już nie mieliśmy żadnych wątpliwości, od kogo ten podarunek. Bo i kto może pozwolić sobie na taki megaprezent? Niestety trudno jest oszukać. Każdy musi przynieść jeden prezent. Paczki zostają ponumerowane od jednego do dwudziestu pięciu, bo tyle jest nas w klasie. Każdy losuje karteczkę z numerem, który odpowiada danemu prezentowi, a te z kolei trzyma w pojemniku psor Leone i oczywiście nie spuszcza ich z oka. Niefajne jest to, że chłopcy przynoszą zawsze kiepskie prezenty. Nadgryzione jabłko, bilet na koncert, który już się odbył, albo jeszcze gorzej - brudne i śmierdzące skarpetki. Ale tego roku pobili wszelkie rekordy.

- Pokaż, co dostałaś?

- No co ty, ładny szalik!

- Ja czapeczkę!

- A ty?

O nie! Hagę Romy! Spalę ją, kibic uję Lazio.

Ani mi się waż, bo sam cię podpalę.

I tym podobne.

- A co to jest? Jaki ładny... balonik! Ale jaki ma dziwny kształt. Padło właśnie na Raffaelli. Wszyscy chłopcy zaczynają śmiać się jak

szaleni. A ona, co gorsza, brnie dalej. - Dlaczego się śmiejecie? A Cudini, oczywiście, nie odpuszcza.

- Bo ni fiuta nie rozumiesz! - I dalej się śmieją.

- To prezerwatywa! - Cudini oczywiście ją nadmuchał. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, czy to od niego ten prezent, czy nie. Wiadomo tylko, że dostał uwagę, a jego przyjaciel Bettoni sfilmował go telefonem, i że oczywiście powrócił do zestawienia na www.scuolazoo.com.

Następne popołudnie spędziłam na dostarczaniu prezentów. Jeździłyśmy minicarem z Clod. Ale ubaw! Czułam się jak jakiś superlistonosz. Najfajniej było, kiedy nikogo nie zastałam w domu. Jak dla mnie nie ma nic bardziej krępującego, niż kiedy ktoś otwiera przy tobie prezent. Od razu widać, jeżeli mu się nie podoba. Roześmiany wyraz twarzy nagle, jakby to powiedzieć... zastyga. Są ludzie, którzy po prostu nie potrafią niczego ukryć. A tak wchodzę, zostawiam prezent z bilecikami na portierni i jadę dalej.

Jedyną osobą, której musiałam wręczyć prezent osobiście, była Clod. No jasne, przecież siedziałam z nią w samochodzie.

- Trzymaj... To ostatni, dla ciebie!

- Ale czad! Jest piękny!

- Clod, jeszcze go nie otworzyłaś!

- Tak, wiem, ale i tak już mi się podoba! Ja też mam coś dla ciebie. - Otwiera skrytkę w samochodzie i podaje lekką paczuszkę.

- Otworzymy je jednocześnie, co, Caro?

I jak jej odmówić? Zaczynamy odpakowywać nasze prezenty w: samochodzie. Potrzebuję chwili. Clod widzi, co się dzieje.

- Podoba ci się? To składanka.

- Tak, bardzo. - Obracam ją w rękach, potem otwieram. To płyta z różnymi piosenkami, które sama wybrała. Są tytuły i ładny rysunek na okładce.

- Nagrałaś też *Rise Your Hand!* Uwielbiam ją!

Ciekawe, czy widziała moją zastygłą twarz, czy zauważyła. Nie wiem

dlatego, ale oczekiwałam od niej czegoś więcej. Poza tym tak świetnie

radzi sobie z komputerem. A to jest klasyczna płyta seryjna. Czyli zrobiła takie dla wszystkich, nie tylko dla mnie! Jak ci, którzy wysyłają SMS-y z życzeniami do wszystkich. Nie znoszę tego! Okay, widać, że w tym roku Clod wydała wszystko i nic jej nie zostało. Ale dlaczego oszczędzasz właśnie na mnie? Moim zdaniem to właśnie w takim momencie, kiedy trzeba kupić dla kogoś prezent, okazuje się, jak bardzo zależy nam na danej osobie. Twoja miłość jest wprost proporcjonalna do pieniędzy, które starasz się zaoszczędzić! Niemniej jednak obawiam się, że nie udało mi się tego ukryć!

- Co się dzieje, nie podoba ci się?

- No, nie żartuj... Nie widzę tylko nic Elisy... jak *Un senso di te*.

- Och, wiesz, tak myślałam, że będziesz ją chciała. Ale za późno ściągnęłam i już się nie zmieściła!

- W porządku, dzięki, jest super!

Clod uśmiecha się uszczęśliwiona. Kończy rozpakowywać swój prezent.

- Neeee! Ale czad! Strasznie się cieszę! *Czekoiadal* Strasznie chciałam go zobaczyć, ale nie udało mi się. Mama powiedziała, że przytyję od samego oglądania tego filmu. - Wybucham śmiechem. - A to, co to jest? - Czyta bilecik. - Zamiast popcornu podczas oglądania filmu, by lepiej zanurzyć się w opowieści. - Rozpakowuje do końca.

- Czekoladki! Hm, pycha! - Obraca w rękach pudełko. - Siedemdziesiąt procent gorzkiej czekolady! Bomba! Dziś wieczorem obejrzę film i wsunę je wszystkie! Dzięki! - Obejmuje mnie i całuje. Clod jest miękka i pachnąca jak żywy pluszak. Przytulam ją uszczęśliwiona i też chciałabym wykrzesać tyle entuzjazmu dla jej płyty. Ale nie potrafię i jest mi trochę przykro. Co mogę na to poradzić? Przynajmniej jestem szczerą.

- Dziękuję. Twoja płyta też mi się bardzo podoba. - Nie zdążyłam jeszcze sformułować myśli, a już sama sobie przeczę!

Prezenty od Gibba, Fila i nawet od Alis, co nie mieści się w głowie, również nie były niczym nadzwyczajnym. Jakby wszyscy chcieli zaoszczędzić. Gibbo podarował mi album z naszą wspólną fotką z pierwszej klasy. Tak na marginesie, bardzo smutną. Filo dał mi spinkę do włosów, a Alis małą torebkę na suwak, która, szczerze mówiąc, nie wiem, do czego mi się przyda. I zrobiło mi się bardzo przykro, naprawdę

przykro i nie wiem, ile udało mi się ukryć. Wydaje mi się, że trochę się zorientowali. Bo kiedy rozpakowywałam prezent od Alis, z którym wiązałam największe nadzieje, miałam chyba dziwny wyraz twarzy, a ponieważ byli przy tym Filo, Gibbo i Clod, wydawało mi się, że się śmieją. Po chwili przestali.

- Co jest? Nie podoba ci się?

- Nie, nie, jest bardzo ładna...

I tak wszystko wróciło do normalności. Ale zauważyłam, że trochę dziwnie na mnie patrzyli. Musiałam wyglądać na kompletnie rozczarowaną, skoro tak jasno to odczytali. A tymczasem kryło się za tym coś zupełnie innego. I to z innego powodu wcześniej się śmiali. Ale w życiu bym tego nie podejrzewała. W życiu.

Wieczór Bożego Narodzenia. Siedzimy wszyscy przy stole. Przyszedł też Rusty James i babcia Luci, i dziadek Tom, i mama taty, babcia Virginia. Jest Ale, mama i tata. Jemy fantastyczne dania. Mama przygotowała ekstra jedzenie: pieczony makaron, krewetki i wszelkiego rodzaju ryby, wielkiego labraksa i majonez, który jest wyśmienity. Przede wszystkim zrobiony przez mamę, a nie kupiony, trochę słony, z dużą ilością cytryny. Wiesz, jak to jest, kiedy tyle jesz, że już myślisz, ile się będziesz musiała gimnastykować, żeby to wszystko spalić? No właśnie, nawet więcej. I wtedy niespodziewanie ktoś dzwoni do drzwi. Mama jest naprawdę zaskoczona.

- Kto to może być?

- Która jest godzina?

- Prawie północ.

Moja siostra zachowuje się jak to zwykle ona. - W takim razie to musi być Święty Mikołaj. Rusty James się śmieje. - Ja się nikogo nie spodziewam.

Jestem trochę rozbawiona.

- Ja też nie. - Nie wiem jeszcze, że się mylę.

Tata idzie otworzyć i chwilę później razem wchodzi do naszego małego salonu. Są wszyscy: Gibbo, Filo, Clod i Alis. Nagle Gibbo się odsuwa i pojawia się on, niepewnie stojąc na nogach.

- Nie wierzę! - Wrzeszczę i podrywam się z krzesła. - Joey!
przeciskam się między przyjaciółmi i przytulam psiaczka, pulchniutkiego i troszkę przestraszonego.

- Malutki! - Przyciskam go do piersi i mierzwię mu sierść na łebku, wącham go i mocno ściskam. - Co on tu robi, uciekł z domu twojej kuzynki, nie? Przyszedł do mnie. Koniecznie chciał tu przyjść! - Odsuwam go trochę od siebie. - Jest prześliczny!

Przyjaciele uśmiechają się zadowoleni z mojego entuzjazmu, tym razem szczerego. A potem wszyscy razem mówią:

- Wesołych świąt, Caro!

I nagle zaczynam rozumieć.

- Ale... naprawdę? Nie mogę w to uwierzyć!

Gibbo go głaszcze i przytula. - Tak, no jaka kuzynka, ja nawet nie rozmawiam z moją kuzynką... On od początku był dla ciebie. Wesołych świąt, Caro.

- Tak, wesołych świąt.

- Wszystkiego najlepszego dla naszej Caro!

Najpierw przytula mnie Filo, potem Clod i na końcu podchodzi Alis. Uśmiecha się do mnie, chowa głowę w ramiona i wydaje się trochę zmieszana, ale potem bardzo mocno mnie przytula i szepcze mi do ucha: - Od nas, bo bardzo cię kochamy. - Zbiera mi się na płacz, klękam koło Joeya. To moje marzenie, to, czego zawsze pragnęłam. Joey, wreszcie tu jesteś. A on, jakby rozumiał, że jest tym wyśnionym i wymarzonym, opiera mi łapkę na kolanie. Prawie wstydzę się swojego wzruszenia. No właśnie, wiedziałam, zaczynają kapać mi łzy... Mama to widzi i jak zwykle ratuje sytuację.

- Kochani, chcecie coś? Mogę zaproponować wam colę, a może coś do jedzenia? Są ciasteczka...

- Nie, nie, dziękuję pani, ale ja muszę wracać.

- Ja też.

- Ja również. Rodzice czekają na mnie na dole, jedziemy na mszę. Moi przyjaciele, tak jak zjawili się piękni i uśmiechnięci, teraz znikają na schodach, biegną, trochę się przepychają i hałasują. I jeszcze ostatnia uwaga od Gibba: - Aha, i pamiętaj, dobrze go traktuj. Weź pod uwagę, że będzie potrzebował przynajmniej tygodnia, żeby przyzwycząić się do

nowego domu. Na początku psy, żeby zaznaczyć swoje miejsce, siusiają na każdym kroku!

I on też pędem zbiega po schodach. Spoko. Mój dom jest tak mały, że szybko się przyzwyczai. Ależ oni wszyscy są cudowni!

Babcia Luci i dziadek Tom patrzą na mnie, jak trzymam mocno Joeya w ramionach. Nawet Ale podchodzi do mnie i go głaszcze.

- Naprawdę jest śliczny... Sama go wybrałaś?

- Gibbo pozwolił mi go wybrać w schronisku, udawał, że to dla jego kuzynki. A ja dałam się na to nabrać!

A mój tata mówi najgorszą rzecz, jaką mogłam usłyszeć.

- Tak, ale ja nie chcę tego kundla w domu.

- Tato, ale dlaczego, to jest mój prezent...

- Rozumiem, ale sama powiedziałaś, że jest ze schroniska. Może być chory.

Włącza się mama. - W porządku, zaprowadzimy go do weterynarza i zrobimy mu wszystkie potrzebne szczepienia.

- No jasne, już jest nam tu ciasno, brakuje tylko psa.

Zbiera mi się na płacz, ale nie chcę tego dać po sobie poznać, więc uciekam z Joeyem do mojego pokoju. Słyszę, jak się kłócą. Ktoś krzyczy. Słyszę mamę i tatę, i również Rusty'ego Jamesa, każdy coś mówi, ale nie rozumiem co. Przytulam Joeya i jestem szczęśliwa, ale zaraz znowu chce mi się płakać.

Chciałabym już być dużo starsza i mieć własny dom, daleko stąd, gdzie mogłabym robić to, na co mam ochotę, zapraszać swoich przyjaciół i zatrzymać Joeya, i na pewno mój ojciec nie byłby mile widzianym gościem. Nigdy. Nienawidzę go. Nie może być aż tak okrutny. I z tą myślą zasypiam.

Budzę się następnego dnia rano i jestem w piżamie. Mama musiała mnie przebrać. Nic nie pamiętam. Od razu szukam go w moim pokoju, na szczęście tu jest, leży w rogu, w małym koszyku wyłożonym ciemnoniebieskim kocykiem, którego, co pamiętam, sama używałam, jak byłam dzieckiem. Joey jeszcze śpi albo raczej drzemie, bo otworzył jedno oko i spogląda na mnie.

Rozmawiałam z mamą. Tata był nieprzejednany. Powiedział, że jak wróci, Joeya ma nie być.

- Mamo, mam go oddać do schroniska? Ale to jest prezent od moich przyjaciół! Wpłacili za niego nawet datek.

Mama uśmiecha się do mnie i dalej zmywa naczynia. - Może jest jakieś rozwiązanie. Rusty James, jak sama go nazywasz, powiedział, że go weźmie do siebie. Odpowiada ci to?

Nie. Nie odpowiada. Ale lepsze to niż nic. Tego jednak jej nie mówię. Milczę i wracam do swojego pokoju.

Dzisiaj jest pierwszy i ostatni dzień Joeya w domu i chcę go spędzić z nim sama. Popołudnie. Byłam u R.J.-a. Kupił ekstra psią budę, nad wejściem napisał JOEY drewnianymi czerwonymi literkami z niebieskim brzegiem. Do środka włożył kocyk, a na zewnątrz postawił miseczkę. Kupił różne ciasteczka dla psów. Pomyślał o wszystkim. Prawie o wszystkim. Bo ja w ogóle nie chciałabym rozstawać się z Joeyem.

- Ale, Caro, możesz przychodzić, kiedy chcesz, on zawsze będzie tu ze mną. Ma tu więcej miejsca, może sobie chodzić na spacer, tu jest zielono, w domu byłoby mu za ciasno. Pomyśl, o ile mu tu lepiej...

- Wiem, ale już za nim tęsknię.

Rusty uśmiecha się do mnie, bierze do ręki telefon i wciska klawisz. Chwila na odebranie telefonu. - Mamo, czy Caro może zostać u mnie na kolacji? - Cisza. - Tak, oczywiście... Odwiozę ją... Okay... Dobrze... Nie... Nie za późno...

Odkłada słuchawkę i się uśmiecha. Rusty potrafi załatwiać sprawy w taki sposób, że czasami wszystko wydaje się banalnie proste. R.J. klęka i głaszcze Joeya, mierzwi mu sierść, a on wygląda na bardzo zadowolonego. No właśnie, wiedziałam, już się do siebie przywiązali. I trochę jestem zazdrosna. Może jednak R.J. jest właściwą osobą, z którą mogę porozmawiać. Dobra, spróbuję. - Mogę cię o coś spytać?

R-J. przestaje głaszczyć Joeya i patrzy na mnie. - Słucham...

- Jeżeli jedna laska całowała się z czterema chłopakami, ale na żadnym jej nie zależy, to co byś o niej pomyślał?

- Ile ma lat?

- Eee, jest trochę starsza ode mnie, około piętnastu.

R.J. się uśmiecha. Nie wiem, czy zrozumiał.

- No cóż, powiedzmy, że to raczej... łatwa dziewczyna.

- Naprawdę? Naprawdę tak myślisz? Ale zrobiła to częściowo dla zabawy.

- Niektórych rzeczy nie robi się dla zabawy.

Zastanawiam się przez chwilę. - Fakt. - Milczę. - A ty byś się w takiej zakochał?

- Mam nadzieję, że nie, ale niestety to dla takich dziewczyn traci się głowę. Do mnie, Joey, idziemy! - Zaczyna biec i przechodzi przez kładkę. - Do mnie, chodź, do mnie! - Joey natychmiast podąża za nim wzdłuż nabrzeża i szczeka, i skacze, i biegnie, i kręci się wokół niego. R.J. ma rację. Mam nadzieję, że nie pocałuję już nikogo oprócz Massiego, o ile go odnajdę. Patrzę na nich. Wyglądają jak dwoje idealnych przyjaciół. Chciałabym się z tego cieszyć, ale trochę mi smutno. Dlaczego nie można być szczęśliwą od dziecka? Czy trzeba być dorosłym, żeby realizować swoje marzenia? Czy to właśnie dlatego moje przyjaciółki chcą szybko dorosnąć? Koniec końców wiem, że nie potrafię znaleźć odpowiedzi na żadne z tych pytań. I też biegnę za R.J.-em i Joeyem. Wyglądamy jak trójka wariatów, ale przez moment jestem naprawdę szczęśliwa. - Chodź tu, chodź, Joey! - Biegnę i śmieję się, skaczę z Joeyem, bawimy się i ganiamy też z Rustym, czuję się taka wolna, że nie myślę już o niczym. Może właśnie tak czuje się człowiek, kiedy jest dorosły.

Zabieram się za odrabianie lekcji. Zaczynam od włoskiego: refleksja i krótka notatka o filmie *Persepolis*, który widzieliśmy przed świętami. To nie *High School Musical*, co nie? Tymczasem słucham *La distanza* Syrii. I dedykuję ją Joeyowi... Później na zajęcia z antologii prozy muszę napisać komentarz *doAHa sera* Foscolone, jak nazywa go Gibbo. Juuhu! Łatwizna...

W końcu wszystko się układa, ale czasami sama nie wiem, dlaczego pewne sprawy odchodzą bezpowrotnie. Na przykład historia z Lelem pozostaje dla mnie tajemnicą. Po tym jak się całowaliśmy przed wejściem, kiedy przyłapała nas pani Marinelli, więcej się nie zobaczyliśmy. Jednak nie dlatego, że nie wiadomo co się wydarzyło czy że musieliśmy coś sobie wyjaśnić, a chcieliśmy tego uniknąć. Po prostu jego rodzice są z Belluno i całą rodziną pojechali tam na święta, ale dwudziestego ósmego już wrócił i podarował mi dwa piękne prezenty.

- Trzymaj, Caro, otwórz.

Rozpakowuję pomarańczową paczkę z o ton jaśniejszą kokardą i piękną gwiazdą betlejemską na wierzchu.

- Niece... przesadziłeś. - To strój do tenisa, oglądam go. Sukienka tenisowa Nike, cała biała w jasnoniebieskie pionowe paski. Przykładam

do siebie. - Jest super! I rozmiar chyba też dobry. - Patrzą na metkę. A niech to! Zapomniał oderwać ceny, a zapłacił fortunę. Ale tego mu nie mówię. Ogarnęły mnie natomiast wątpliwości. I tego już nie potrafię zatrzymać dla siebie.

- Ale dlaczego właśnie strój do tenisa? Nie podobał ci się ten, w którym grałam?

Widzę, że jest trochę zmieszany i zaczyna się płatać.

- Nie, to znaczy tak, to znaczy nie...

- No to tak czy nie?

- Podobał mi się, ale ten będzie lepszy na cieplejsze dni.

- Aha... - Postanawiam mu uwierzyć. Choć to nie w moim stylu. Nie uważam, żeby posiadanie markowych ubrań było aż tak ważne. Cieszę się, że to odróżnia mnie od Alis, która oczywiście może pozwolić sobie na wszystko. Nie jestem też jak Clod, która nie może sobie na nic pozwolić, ale zmusza rodziców do nie wiadomo jakich poświęceń, żeby mieć firmowe ubrania. Ja lubię być sobą i koniec. Chyba, żeby coś wymyślić! Ale nie obciążać mamy. Zresztą ona i tak potem zgadza się i kupuje mi to, co chcę. Nagle mam w rękach kolejny prezent.

- A to?

- To kupiłem tuż po naszym telefonie... - I uśmiecha się. Jest zadowolony ze swojego pomysłu. To mała paczuszka i nie mam pojęcia, co to może być. Więc otwieram ją, żeby zaspokoić ciekawość. Małe czarne pudełeczko z dziwną rączką, pod spodem znajduje się krótki sznurek z kółeczkiem na końcu.

- Co to jest?

- Popatrz... - Odwraca je. Pod spodem napis żółtymi literami JOEY. - To taka smycz, którą można wydłużać, a potem skracać. Możesz trzymać psa i pozwalać mu iść, dokąd chce, a potem, jednym przyciskiem, przyciągasz do siebie.

- Och, jest cudowna! Faktycznie, widziałam takie w parku. - Sprawiam wrażenie zachwyconej prezentem. W rzeczywistości wcale nie jestem. Nie znoszę obroży. Moja siostra też podarowała mi obrożę, ale ona mnie w ogóle nie zna. Lele jest jednak uszczęśliwiony. On też mnie nie zna. Alis, Clod, Filo i Gibbo od razu zorientowałyby się, że kłamię. Widzę, że Lele dziwnie się do mnie uśmiecha. Z początku nie bardzo to rozumiem. Po chwili... No jasne! Chce swój prezent.

- Ja też coś dla ciebie mam... - Podaję mu paczuszkę, którą trzymam w plecaku.

- To taki drobiazg... - Staram się zabezpieczyć.

- Moje też były niewielkie.

Rozpakowuje go, chciałabym mu powiedzieć: „Drobiazg w sensie, że nie mogłam wydać tylu pieniędzy!”. Tak naprawdę przygotowałam dla niego inny prezent, ale w końcu sama nie wiem dlaczego, nie zdecydowałam się mu go podarować. Była to błękitna bluza z moim zdjęciem wydrukowanym z przodu. Sama znalazłam miejsce, gdzie robią takie rzeczy, a potem, kiedy wszystko było gotowe, nawet moje imię wyszyte nad zdjęciem, nie zrobiłam tego. Nie wiem dlaczego, a może wiem.

- Caro, dziękuję! Jest czadowa! - Otwiera książkę o najsłynniejszych tenisistach. Od Johna McEnroe do Nadafa. Patrzy na ostatnią stronę. - Super! - Jest tam jego zdjęcie, które zrobiłam podczas meczu. Wydrukowałam je powiększone i wykadrowane. Pod spodem napis: PRAWDZIWYM MISTRZEM JESTEŚ TY.

- Dzięki, Caro! - Podchodzi, obejmuje mnie i całuje. Pozwalam na to. Jestem załamana. Całuję go z zamkniętymi oczami. Chciałabym uciec. Dotarło to do mnie. Może i jest prawdziwym mistrzem. Ale tenisa. Z pewnością nie mojego serca. Źle się z tym czuję i powinnam podziękować bluzie! Kiedy była gotowa, wyobraziłam ją sobie na nim i wtedy wszystko zrozumiałam. Lele w ogóle mnie nie interesuje. No i teraz mam dylemat: jak mu o tym powiedzieć? W naszej szkole takich historii, które zaczęły się i skończyły w jednej chwili, było tysiące. Jedne oparte tylko na słowach: „Będziemy się spotykać?”. Inne bardziej klasyczne: „Będziemy ze sobą chodzić, co ty na to?”. I wszystkie te laski, które przychodziły do klasy i mówiły: „Wiesz, ja jestem z tym” albo „A ja spotykam się z tamym”. Ale koniec końców większość tych strasznie zakochanych nawet się nie całowała! A te nieliczne związki, które przetrwały i przekształciły się w prawdziwe relacje, takie z całowaniem i całą resztą, trwały najwyżej tydzień lub dwa. Co więcej, wiele takich par rozstało się za pomocą SMS-a. Nawet nie przez telefon! Klasyczny es: *Cześć, odchodzę*. Jakie to smutne. Nie mogłam tego zrobić Lelemu. Nie. To była także kwestia mojej dumy, godności, odwagi... Z drugiej strony, jakby to było dobrze wysłać SMS-a! Wszystko byłoby prostsze. Nawet taka dłuższa wiadomość, ładnie napisana, w której można wyjaśnić, dlaczego to nie ma sensu, albo powiedzieć, że jeszcze

jest za wcześnie, że to stało się zbyt poważne, napisać o strachu przed

cierpieniem z powodu miłości... Ale jak na razie jest to dla mnie osobiste wyzwanie.

Pamiętny dzień: dwudziesty dziewiąty grudnia.

- Co robisz, Caro?
- Nic. Później może odwiedzę Joeya.
- Ale teraz jesteś w domu?
- Tak.
- Ktoś jeszcze jest?
- Jestem sama. Zaraz powinna wrócić Ale.
- Okay... Cześć!

Dziwny ten jego telefon. Jednak nie zastanawiam się nad tym zbyt długo. Po chwili domofon. Idę odebrać. - Kto tam?

- Niespodzianka! To ja!
- Lele!
- Dzwoniłem z komórki i właśnie do ciebie jechałem. Mogę wejść?
- Nie, ja zejdę.
- No co ty.
- Mama nie chce, żebym kogokolwiek wpuszczała na górę, kiedy jestem sama. Słyszę, jak wzdycha. - Okay.
- Poczekaj, już schodzę.

Pędzę jak szalona do łazienki i spoglądam w lustro. Jestem blada jak ściana. Biorę z kosmetyczki Ale tusz i nakładam go trochę, kreska eyelinerem, żeby bardziej się podmalować, i niebieska kredka pod oczy. Gotowe. Patrę w lustro. Trochę lepiej. Zaczynam się śmiać. Chcę go zostawić... a robię się na bóstwo. To zaprzeczenie samo w sobie. A właściwie nie, co to ma do rzeczy, chcę zostawić dobre wspomnienia. No tak, tylko po co? Może już go nigdy więcej nie zobaczę? Zadając sobie te pytania, biorę klucze, zamykam za sobą drzwi i zbiegam po schodach.

Powtarzam sobie to zdanie, żeby się nie pomylić. Jeden raz, drugi, trzeci. Znowu. Jeszcze raz. Kilka razy. Już go widzę. Idę mu naprze-

ciw. Zdecydowana, pewna, zdeterminowana. I dopiero w ostatniej chwili zauważam, że trzyma dla mnie paczkę. Uśmiecha się i daje mi ją.

- Proszę, to mały upominek dla Joeya.

Za późno. Już nie mogę się zatrzymać. To jak zwolnienie sprzęgła w ferrari na pole position, jak puszczenie cyngła w naładowanej śrutem strzelbie, jak podpalenie lontu pod sylwestrową racą. I tak zamiast podziękować, wypalam wszystko jednym tchem.

- Wybacz, ale będzie lepiej, jeżeli się rozstaniemy. Myślę, że za bardzo się różnimy...

Zrobiłam to! Powiedziałam! Powiedziałam wszystko! Nie mogę w to uwierzyć. Wszystko jednym tchem! Bez zatrzymania! A Lele zamiera, z paczką w wyciągniętej ręce, z otwartą buzią, niezdolny wydobyć z siebie choćby słowa. Po chwili zamyka usta. I mówi coś, o czym sam wie, że nie ma żadnego sensu.

- Ale jak to... tak po prostu?

Trochę chce mi się śmiać. Nie wiem, co robić. Chciałabym powiedzieć: „A jak inaczej?”. Ale to wydaje mi się nieładne. W końcu mówię coś innego, na osłodę.

- Lepiej, że od razu ci to powiedziałam... Chciałabym, żebyśmy zostali przyjaciółmi.

Ale co to za osłoda. Lele się krzywi. Myślę, że to naprawdę najbardziej przygnębiające zdanie ze wszystkich, które można powiedzieć! Jednak nic innego nie przyszło mi do głowy! Lele kładzie paczkę na murku obok i siada. I zaczyna mówić.

- Ale jak to, wydawało mi się, że do siebie pasowaliśmy, dobrze się bawiliśmy, zgadzaliśmy się. Lubiliśmy grać razem w tenisa. - Milknie i nagle staje się poważny, baczny, jakby wszystko rozumiał i nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego nie rozumiał tego wcześniej.

- Aa... Nie powinienem był wyjeżdżać, tak?

To absurdalne. Nie wierzę, że jeżeli z kimś się rozstajesz, coś, co zresztą nigdy wcześniej mi się nie zdarzyło, to musi to mieć takie praktyczne wytłumaczenie. Chodzi o całą masę rzeczy, które nie pasują! Jeżeli ktoś cię zostawia tylko dlatego, że wyjechałeś z rodziną na kilka dni na święta, hm, no cóż, to niewiele tracisz. Następnie Lele zaciska

oczy, jakby nagle wyczuł inne rzeczy, ważniejsze, coś, co w rzeczywistości przed nim ukrywam.

- Powiedz prawdę, jest ktoś inny!

I mówię najsmutniejsze zdanie, jakie można sobie wyobrazić: - Niestety nie.

Być może jest ono też najprawdziwsze. Ale Lele zachowuje się jak zaślepiony.

- Ale dlaczego... ale ja... - zaczyna całą litanię, która w końcu przyprawia mnie o ból głowy.

- Dosyć, Lele. Długo o tym myślałam i koniec.

- Okay. - Schodzi z murka. Wydaje się pokonany. - Trzymaj. To dla ciebie.

- Może lepiej, żebyś to zatrzymał, skoro już nie jesteśmy razem. - I tego nie powinnam w ogóle mówić. Znowu wybucha w nim entuzjizm.

- Ale jesteś pewna? Dobrze się nad tym zastanowiłaś?

- Nawet nie wiesz ile... Nie spałam przez całą noc.

W rzeczywistości, kiedy przyszło mi to do głowy, kiedy wszystko stało się jasne, kiedy zrozumiałam, że nie podaruję mu bluzy, natychmiast zdecydowałam udawać decyzję, że to to rozważałam i okupiłam cierpieniem, w przeciwnym razie zaczniesz od nowa.

- Okay. Skoro dobrze to przemyślałaś... Jednak weź to. To może być tylko dla Joeya.

Z tego powodu decyduję się przyjąć prezent.

- Jeszcze tylko jedno, Caro.

- Co?

- Ostatni pocałunek.

O Boże, wydaje mi się, że już to gdzieś słyszałam. No jasne! To tytuł filmu. Ale jaki ostatni pocałunek? Co to ma być? Nie da rady, po prostu nie da rady, nic już nie czuję. Nie mogę. Ale jak zwykle moje usta robią to, czego on chce. A nawet więcej.

- Okay, ale nie za długo!

Nie wierzę. Nie za długo! Skąd przychodzą mi do głowy takie rzeczy? Nie mam czasu o tym pomyśleć. Lele, niczym polip, rzuca się na mnie i całuje jak wariat. Lepiej niż kiedykolwiek, dłużej niż kiedykolwiek.

jest jak akrobata języka, artysta głębokiego pocałunku, szaleniec o opętanych wargach... Może chce, żebym coś jeszcze poczuła, chce, żebym zrozumiała, jak bardzo się myślę, chce...

- Ehm, ehm.

Odsuwamy się od siebie. Nie do wiary...

- Przepraszam. - To znowu pani Marinelli. Tym razem jednak to opatrność.

- Nie, nie, to ja przepraszam... Już wchodzę. - Korzystam z tego, że otwiera drzwi, i szybko się wślizguję.

- Cześć, Lele. Do usłyszenia!

Widzę, że chciałby coś jeszcze powiedzieć. Ale nie może, już nie.

- Caro... to... zadzwonię później!

- Tak, tak, dobrze. - I wchodzę do windy z panią Marinelli. Podróż nie jest długa, jest baaaardzo długa. Ona na mnie nie patrzy, ona przebija mnie wzrokiem! Doskonale wiem, o czym myśli! No pewnie... W końcu, kiedy dojeżdżamy do jej piętra i wysiada, ja nie wytrzymuję.

- Wie pani, że powiedziałam o tym mamie.

- Ach tak?

- Tak. I mi pozwoliła!

I naciskam guzik windy. A Marinelli zostawiam tak na podeście. Drzwi zamykają się przed jej osłupiałą twarzą, ma otwarte usta. Gdy tylko winda rusza, zaczynam tańczyć uszczęśliwiona swoim zwycięstwem. Wchodzę do domu i od razu odpakowuję prezent. Nieee, to przesada. To rodzaj sweterka dla psa z napisem JOEY. Czerwono-niebieski, jak napis na jego pośłaniu. Jak się robi zimno. Taki ładny upominek. Już, już prawie... Ale to tylko moment. Nie. Nie zadzwonię do niego. W przeciwnym razie znowu zacznę te swoje rozważania: „Jesteś tego pewna, Caro? Ale zobacz, mylisz się, na pewno dobrze to przemyślałaś?”. Nigdy wcześniej nie byłam tak zestresowana jak w te dni, kiedy podjęłam decyzję o zerwaniu z nim. Chciałam móc cieszyć się z tego pocałunków i z faktu, że po mnie przyjedzie, i na myśl, że znów się zobaczymy, że zagramy razem w tenisa, ale gdy zbliżał się moment spotkania, wszystko stawało się uciążliwe, nieznośne, duszne... To straszne. Czy to jest druga strona miłości? Co to w ogóle jest miłość? Taka byłam szczęśliwa na początku z Rickym, potem z Lorem, za którym

szalałam, i teraz z Lelem też wszystko skończone, chociaż on również bardzo mi się na początku podobał. Czy w takim razie... to ze mną jest coś nie tak? Dlaczego po jakimś czasie niczego już nie czuję? I w jednej chwili, sama nie wiem dlaczego, uspokajam się. Nie. Ze mną wszystko okay. Ja jestem zakochana w miłości. A to nie była miłość. To było moje pragnienie zakochania się, bycia zakochaną. Ale do tego potrzebny jest on. Ten, z którym wszystko pójdzie dobrze. I za chwilę przychodzi uśmiech i pewność. Massi jest miłością. A zaraz potem pojawia się desperacja, że nie wiem jak go odnaleźć.

W ostatnich dniach grudnia Lele ciągle do mnie wydzwaniał. Nie odpowiadam. Jak na razie. Wysłałam mu wyjątkowego SMS-a. *Wybacz, ale na razie tak będzie lepiej.*

Można go zinterpretować na wiele sposobów. I dlatego tak jest dobrze. Chciałabym mu napisać *Wybacz, ale byłeś pomyłką.* Jednak nie wiem, czy by zrozumiał. A już na pewno by się tym nie ubawił.

Wieczór trzydziestego pierwszego. Fantastyczny, superimpreza, na którą zostali zaproszeni wszyscy moi przyjaciele. Wiadomość dnia? Rodzice mnie puścili! A potem idę na noc do Alis.

Jestem z Gibbem w samochodzie. Wariacka impreza w domu niejakiego Nobiloni. Fantastyczny didżej. Boska muzyka, na początku Finley, potem Tokio Hotel, potem całe lata osiemdziesiąte. Po raz pierwszy... się upiłam. Piwo, szampan, znowu piwo, znowu szampan. W końcu poszliśmy na Ponte Milvio oglądać fajerwerki. Megaspektakl! Lekko prószył śnieg, a fajerwerki eksplodowały w powietrzu! Ktoś przyniósł małe stereo, ale z mocnymi głośnikami, czadowa muzyka, tańczyliśmy pod gwiazdami. Potem przyszła para. Ona miała zasłonięte oczy, on podprowadził ją do trzeciej latarni, zdjął jej opaskę z oczu i ona, kiedy zobaczyła, gdzie są, rzuciła mu się na szyję z okrzykiem: „Tak, tak, tak! Kocham cię!”.

Kocham cię? Nie mogę uwierzyć! Ale czad, co za zdanie! A ja? Kiedy powiem „kocham cię”? Następnie chłopak wyjął z kieszeni kłódkę,

razem przypięli ją do łańcucha okalającego latarnię i wrzucili klucze do rzeki. „Brawo!!!”, rozległy się wokół oklaski, a oni się całowali. A my? jyy, biedaczki? My, które od miesięcy nosimy w kieszeni kłódkę i nie mamy żadnego imienia, żadnej nadziei, żadnego marzenia, dla którego mogłybyśmy ją zawiesić? Dlaczego nie ma tu na Ponte Milvio latarni dla nas? Latarnia singli! I z tą ostatnią myślą... Żegnaj, Stary Roku! Ciauuu!

Oto mniej więcej, co wydarzyło się w pierwszych miesiącach szkoły. Moim zdaniem najpiękniejsza w życiu jest możliwość spojrzenia wstecz i uświadomienia sobie, jak źle nam było z powodu różnych rzeczy,

O których potem zupełnie zapominamy, oraz jak bardzo byliśmy szczęśliwi dzięki tym, które zapamiętamy na zawsze. Zwłaszcza że, rozpatrując ponownie swoje czyny, można dojść do wniosku, że to powinno dać nam do myślenia. I wtedy chce się wrócić do tej chwili i zmienić swój wybór, podjąć inną decyzję, trochę jak w *Przypadkowej dziewczynie*, tym pięknym filmie z Gwyneth Paltrow, czy w *Family Manie* z Nicolasem Cage'em. W obu można zobaczyć, jak bohaterowie, w jednym dziewczyna, w drugim chłopak, mogliby przeżyć dwa różne życia. Ale to, jak wiemy, nie licząc tych dwóch filmów, jest niemożliwe.

Oto dlaczego czasami mamy tylko jedną możliwość, jeden instynktowny wybór serca, oparty na zaufaniu, czasami bez możliwości odwrotu. A ja i tak mam nadzieję, że dokonałam właściwego wyboru. Ale która jest godzina? Nie wierzę, jest dopiero wpół do dziesiątej.

Pewnie jeszcze śpi. Powiedział „o jedenastej”, a jeśli obudzi się w południe? Spróbowałam wcześniej tylko dlatego, że miałam wątpliwości. Komórka była wyłączona. To jasne. Sam w domu, sobota rano, rodziców nie ma od tygodnia, sprzątaczką dziś nie przychodzi, czego chcieć więcej od życia? Spać. Sen to czasami fantastyczna sprawa. Kiedy jest ci dobrze na świecie, starannie odrobiłaś lekcje, w domu obyło się bez awantur i do tego niewiele zjadłaś. Wtedy nie pozostaje nic innego, jak iść spać... I śnić. To także jest super - być w takim stanie. Właściwie to nie ma innego wyjścia. To jak wejść do kina z zamkniętymi oczami. Ktoś zapłacił za twój bilet, ale wiesz, że to nie pic na wodę, że to nie gniot, że będziesz się uśmiechać, dobrze bawić i wyjdiesz stamtąd wzruszona...

Ach, kolorowych snów, Massi, do zobaczenia później. I tak w lipcu pije zimne cappuccino, a jeśli chodzi o rogaliki, no cóż, ważne, żeby były świeże.

- Dzień dobry, Erminio!

Uśmiecha się do mnie, ale nie pamięta, jak się nazywam. Przychodzimy tu do niej od czasu do czasu z mamą i kupuję bukiet kwiatów, jeden z tych wystawionych, za dziesięć euro. Czasami przy okazji świąt mama mówi, że fajnie jest mieć w domu trochę koloru. Na rogu tej ulicy Erminia jest od zawsze. Na początku miała tylko mały skrawek ziemi, kilka kwiatków, które trzymała przed fontanną, i jednego chłopca do pomocy. Teraz chłopców jest trzech, kwiatków mnóstwo, a skrawek ziemi zamienił się w sklep.

- Mogę ci jakoś pomóc?

- Nie... Dziękuję.

I zaraz zastanawiam się nad tym chwilę. Jednak... Wiem, że raczej nie daje się kwiatów mężczyźnie. Przeważnie to oni nam je ofiarowują. Ale czemu nie. To dziwactwo. Ale to fajne dziwactwo, z okazji wyjątkowego dnia, specjalnego, który nie ma... Który nie będzie miał sobie równych. Czyli, że nic nie będzie już nigdy takie samo po tym, jak to zrobię. Po tym, jak będę się kochać.

- Tak! Już wiem! - Erminia uśmiecha się rozbawiona moim nagłym entuzjazmem.

- Dobrze, skończę obsługiwać tego pana i potem jestem do twojej dyspozycji.

- Okay, dzięki. -

- Czego pan sobie życzy?

- Hm, róże, ale nie za wielkie, to znaczy, takie w sam raz, z nie za długą łodygą. Normalne.

Erminia marszczy brwi i bierze bukiet z pobliskiego wazonu. - Te Panu odpowiadają? ~ Hm... - Mężczyzna ogląda je, kręcąc głową. - Ile kosztują? Dwadzieścia osiem. To bukiet pstrych róż o średniej łodydze. Piękne. Ale strasznie ich dużo. - Mężczyzna trochę się waha. - Dwadzieścia pięć? Wahanie nie dotyczy róż, ale ceny. A może jego dziewczyny.

Erminia się uśmiecha. - No dobrze. - Z zaciekawieniem przyglądam się różnym rodzajom kwiatów, podczas gdy ona przygotowuje mu bukiet. Mężczyzna bierze bilecik ze znajdującego się obok pudełka, potem płaci. - Proszę... Dziękuję.

- A więc - Erminia podchodzi - jak mogę ci pomóc?

- Hm, chciałabym coś prostego. - Erminia na mnie patrzy. - Ale pięknego...

A ja się do niej uśmiecham. - Tak, ale pięknego.

- A co ma wyrażać? - Widzi moje wahanie.

- To nie są urodziny. Ale to taka data, która będzie datą...

- Rozumiem.

Patrzę na nią w milczeniu. Po tym co powiedziałam, naprawdę nie wiem, co mogła zrozumieć.

- Podobają ci się te? - Bierze bukiet pięknych drobnutkich błękitnych kwiatków, jakże promiennych.

- Co to za kwiaty?

- Niezapominajki. To kwiaty młodszej miłości.

- To znaczy?

Erminia patrzy na mnie. - Każdy kwiat opowiada jakąś historię, jego wybór czasami ją zdradza, to znaczy, że opowiada o tym momencie miłości, który dana para właśnie przeżywa. Na przykład w tych, które przed chwilą sprzedałam, nie ma już namiętności.

- Naprawdę?

- Jasne, jeżeli ktoś pyta, ile kosztują kwiaty, to znaczy, że nie jest już zakochany.

- A może jest bardzo zakochany, ale nie ma zbyt dużo pieniędzy? Erminia się śmieje. - Podobają ci się te, prawda? Zapłać mi tyle, ile uważasz.

Chwilę później stoję na ulicy z tymi pięknymi kwiatami. Są śliczne. Patrzę na nie, owinięte delikatną błękitną bibułką, przewiazaną szafirową wstążką. Dzięki tej dekoracji wydają się ciemniejsze i bardziej widoczne.

- Caro! - O, Boże, *ten* głos. Rozpoznaję go. Odwracam się. To Rusty James na motorze.

Zatrzymuje się krok przede mną i się uśmiecha. - Co tu robisz...?

- Ja...?

- Tak, ty! Kto, jeśli nie...

Chowam kwiaty za plecami, wiem, że Rusty to zauważa, ale udaje, że nic się nie stało, i mówi dalej. _ Szukałem cię wcześniej, ale twój telefon nie odpowiadał...

Dokąd

idziesz?

- Do koleżanki.

Rusty uśmiecha się do mnie i wzrusza ramionami. Jakby się zorientował. Moje pierwsze kłamstwo. To znaczy, pierwsze kłamstwo, które mówię jemu. Rusty kiwa głową i zapala motor. - W porządku... W takim razie nic. Szkoda, miałem dla ciebie niespodziankę.

Znowu wydaje się wesoły. Może w ogóle nie zauważył. Potem będzie się nad tym zastanawiać.

- Ej, Caro, zadzwonię do ciebie po południu, co? Albo jutro. Tak, lepiej jutro, w niedzielę, dobrze?

Uśmiecham się do niego. - Okay.

- W takim razie rezerwuję moją siostrzyczkę na tę cudowną niespodziankę, którą chcę się z nią podzielić. - I tak po prostu odjeżdża, z włosami wystającymi spod kasku, w ciemnych okularach i z pięknym uśmiechem. I trochę czuję się winna. To pierwszy raz, kiedy mu skłamałam. A już jest daleko. Sam. Bez Debbie.

Tak bardzo podobali mi się jako para. Wygłupiali się, śmiali. Dałam mu tamten list i nawet go nie przeczytałam. Miejmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Miałam też inną ulubioną parę, Francesca i Paolę. Byli w Anzio. Widziałam ich każdego roku, zawsze, od kiedy zaczęłam tam jeździć. Pamiętam, że przyjeżdżali na plażę na skuterze. Ona za nim, przytulona. Mieli szarą vespę metalik i kiedy przyjeżdżali, on gasił silnik, w przeciwnym razie babcia klozetowa się złościła. Tak, Donatella. Babcia klozetowa. Była starszą kobietą i zawsze miała coś do powiedzenia. Łazienki znajdowały się dokładnie przy wejściu do budynku i można tam było umyć nogi, otrzepać się z piasku i załatwić potrzebę. Ale było tam strasznie brudno, jak wchodziłam na bosaka, czułam pod stopami taki okropny muł... Brrr. Na samą myśl przechodzą mnie ciarki. To mi przeszkadzało. I tak Francesco wyłączał vespę, zsiadał w mig i przytrzymując ręką z tyłu, obok tablicy rejestracyjnej, sprowadzał ją po trzech schodkach.

Nie mógł korzystać z pochylni, ponieważ jednego razu Donatella na niego nakrzyczała: - Ona jest za cienka. Tylko dla rowerów. Nie dla tego twojego skuterzyska! - A Francesco jedynie się roześmiał. Rozumiecie? Zamiast się wkurzyć, roześmiał się. I sam przestawił skuter, jakby to był rower. Miał, jakby to powiedzieć, kosmiczną budowę ciała. Gdy tylko zaparkowali vespę, na dole, przy piasku, szli z Paolą pod pobliski parasol i grali raketkami, byli super. Bawili się w płytkiej wodzie, w miejscu, gdzie osadzał się muł, uderzali piłkę z siłą i zaciętrzewieniem.

Paola zawsze nosiła skąpe kostiumy, pomarańczowe, czereśniowe albo w ciepłym odcieniu żółtego, nigdy za jasne. Miała małe piersi, jasnobrązowe włosy, które opadały jej na plecy, delikatnie umięśnioną, szczupłą, opaloną sylwetkę. Francesco miał kręcone włosy, odrobinę orli nos, szerokie ramiona i długie nogi, był szczupły z umięśnionym brzuchem i delikatnymi piegami pod niebieskimi oczami, miał pełne usta i piękne białe zęby. I często się śmiał. O tak, bo potem się wygłupiali. Ale tak fajnie. Co jakiś czas wchodził pod parasol z wiaderkiem pełnym wody i gdy ona czytała, opróżniał je powoli na oparcie leżaka.

- W ten sposób nie zamoczę twojej gazety!

- Aaa, jest lodowata! Ty draniu! - I goniła go jak szalona, a on uskakiwał raz w lewo, raz w prawo i znika! między katamaranami. Potem zaczęli ganiać się wokół natrysków, aż do parasoli nad brzegiem. Aż w którymś momencie ona wskakiwała na katamaran i rzucała się na niego i dalej szarpali się na piasku. Jednego razu Paoli porwała się góra od kostiumu, ale nie zwróciła na to uwagi. Walczyła dalej z odsłoniętymi piersiami. A ludzie przystawali i się uśmiechali. Właśnie tacy byli, piękni i dzicy, stanowili atrakcję plaży. Teraz nie pamiętam już, co jeszcze się działo. Ach, tak, czasami to ona robiła żarty jemu. Kiedyś podkopała jego leżak na całej długości. Wydrążyła strasznie głęboką dziurę i kiedy leżak się przewrócił, zapadł się do środka. Francesco zakleszczył się w dziurze i śmiał się, podczas gdy ona zasypywała go gorącym piaskiem.

- Aaa, Paola, to parzy! - I cały czas się śmiali.

Jednak tego roku latem przyjechał sam. Stale przesiadywał pod parasolem i czytał książki. Różne. Nie wiem dlaczego, ale pomyślałam, że były nudne. Może dlatego, że zawsze siedział ze skwaszoną miną-

Nie słyszałam, żeby ktokolwiek pytał go o Paolę. Ale ktoś na plaży musiał coś wiedzieć, bo dał znać naszemu ratownikowi Walterowi, a ten z kolei opowiedział to koleżance mamy, Gabrieli, która nie potrafi siedzieć cicho. I tak następnego dnia... - Tak, tak, wiem to od Waltera, rozstali się.

I zrobiło mi się przykro. Bardzo. Teraz wydaje mi się, że nasza plaża się zmieniała. Tak jakby czegoś brakowało. Jakby nie było już czerwonego ratunkowego katamaranu, chłopaczka z gazetami przechodzącego od czasu do czasu ze swoim wózcikiem czy tego opalonego chłopaka w białej koszulce bez rękawków i niebieskich kąpielówek, który sprzedaje kokosy.

Francesco i Paola byli moi. Być może nigdy nie zwrócili na mnie uwagi, bo byłam mała i niczym się nie wyróżniałam, ale ich historia - to jak przyjeżdżali na skuterze i grali raketkami, ich żarty, ganianie się i pocałunki wypełniały każde moje wakacje. I nawet jeśli tego nie wiedzą, to i tak brakuje mi tej zakochanej pary.

Zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy, jestem już przed kościołem. Wchodzę powoli po schodkach, trochę spięta, sama nie wiem z jakiego powodu. Otwieram potężne drzwi. Cisza. Wielka nawa, pusta, wysprzątana. W drewnianych ławkach nikt nie siedzi. Tylko jedna starsza pani daleko w głębi. Odkurza niektóre świece ustawione wokół małego ołtarza. Tam, jak pamiętam, odbywają się chrzty. Kiedyś uczestniczyłam w jednym. Było pięknie. Dziecko spoglądało na rodziców szeroko otwartymi oczami. Nie płakało. Czekало zaciekawione i trochę przestraszone tym, co miało je spotkać. Uśmiecham się. Dlaczego przypomniało mi się to dziecko? Właśnie dziś. Marszczę brwi. Nie mam odwagi wyobrazić sobie, co się może wydarzyć. Dom. Szkoła. Życie. Moi rodzice, brat, babcia Luci. A co powiedziałyby Ale? Nawet nie chcę o tym myśleć...

- Carolina?

Odwracam się.

- Cześć... Nie pamiętasz mnie?

To oczywiście ksiądz. Jest wysoki. Ma krótkie włosy i piękną, łagodną, szczerą twarz.

- Jestem ojciec Roberto. Poznaliśmy się w zeszłym roku, podczas przygotowań do bierzmowania... A ty pokłóciłaś się...

No oczywiście. Jakżeby inaczej? Uśmiecha się, następnie przechyla głowę na bok, z lekkim zaciekawieniem, ale spokojnym, dobrym i łagodnym.

- Co cię tu sprowadza? - Robi się poważny. - Mogę ci pomóc? - Wydaje się trochę zaniepokojony. A ja zupełnie nie wiem, co mu odpowiedzieć.

- Przyszłam się pomodlić... Tak, to jest wiarygodne.

Uśmiecha się do mnie. - Chodź, wyjdźmy na zewnątrz...

Spacerujemy po dziedzińcu. Przypomina to trochę sceny, które czytał nam psor Leone, o ojcu Abbondio, rozmawiającym z Lucią. O Boże, ależ to są *Narzeczeni*. No jasne... Oby! Ale jeszcze ciut za wcześnie. Ojciec Roberto mówi po trochu o wszystkim, może chce, abym poczuła się swobodniej.

- Wiem, że rozmawialiście w klasie z ojcem Giannim.

- Tak, a skąd ksiądz wie?

- On sam mi powiedział.

- Aha, no tak, to lepiej. - *Jasne*, że to lepiej, niż myślałam, ojciec Gianni. Jednak kto wie, jak mu to opowiedział. Ojciec Roberto patrzy na mnie i prawie czyta w moich myślach.

- Mówił, że to on popełnił błąd, że chciał, byście poczuli się swobodnie, i że być może nie powinien opowiadać o osobistych sprawach waszej koleżanki...

- No jasne!

- A teraz jest przekonany, że już nam nie ufasz. , - Nie wam, tylko jemu.

- Czyli mnie trochę tak? - Spogląda w moją stronę, uśmiecha się, chce mi przekazać swój spokój.

- Tak, jasne... Dlaczego nie.

- W takim razie zdradzisz mi, po co przyszłaś do kościoła?

- Już powiedziałam, żeby się pomodlić.

- Oczywiście, ale taka nagła potrzeba modlitwy pojawia się przeważnie wtedy, kiedy musimy stawić czoła delikatnym sprawom i boimy się błędu.

A jaj. On ma za dobrą intuicję.

Czekam trochę. Robię głęboki wdech. I myślę o nim. - Yyy, mój brat wyniósł się z domu. Niewiele jeszcze osiągnął, tyle że nie dogadywał się z moim tatą i...

- Twój brat wykazał się odwagą. Niewielu jest dzisiaj chłopaków, którzy odchodzą z domu i szukają własnej drogi.

_ No tak. - Zapada dziwna cisza. Rusty James przyszedł mi w sukurs również i tym razem. Oczywiście, to nie z jego powodu weszłam do kościoła, niemniej jednak zależy mi, aby i jemu wszystko się ułożyło. Jedna modlitwa nigdy nie zaszkodzi, prawda?

- Teraz muszę już iść.

- Dobrze, Caroline Pomódl się, jeżeli chcesz. Zobacysz, wszystko się ułoży.

- Dziękuję ojcze. - Wychodzę przez bramę z jego błogosławieństwem i mam nadzieję, że nie tylko jego. W końcu On wie wszystko najlepiej, nawet to, o co chciałam się pomodlić... Przecież Jemu nie mogę kłamać, prawda?

Idę dalej. Każdy zakątek pachnie, każdy kwiat, każda roślina zdaje się zaznaczać swoją obecność. Moje miasto wydaje mi się piękniejsze niż kiedykolwiek. A może to miłość? Już samo wypowiedzenie tych słów napawa mnie strachem. Czy to pora na powrót do kościoła i wyspowiedzenie się ze wszystkiego? Chce mi się śmiać. Nie. Jak brzmiało to zdanie? *Miłość sprawia, że zwykli ludzie stają się niezwykli.*

A miasta stają się piękniejsze. Wszystko staje się piękniejsze. To tak, jakby mieć okulary ze szklami miłości. Okulary Love. Moje właśnie takie są. Nawet jeśli ja ich nie noszę, to nosi je moje serce. Dzisiaj jestem w twórczym nastroju.

Która to godzina? Za kwadrans dziesiąta. No tak, jeszcze śpi. Ale Jamiro może być już na nogach. Biorę komórkę i wybieram numer. Śmiać mi się chce. Tak naprawdę nazywa się Pasquale. Pamiętam, jak go poznałam. Piazza Navona. Rok temu.

- Chodźcie, powrózimy sobie!

Alis jest zawsze bardzo szczęśliwa, kiedy można zrobić coś nowego, a zwłaszcza gdy można wydać pieniądze.

- No chodźcie, ja stawiam!

Clod nie ma wątpliwości. - Ja chcę wróżbę.
- Okay. - Nie będę niegrzeczna. - Ja też.
- Siadajcie, powróżę wam razem i dostaniecie zniżkę. Jestem Jamiro.
- Podaje nam wszystkim rękę, a Alis, której nic nie umyka, mówi:
- Ale nazywasz się Pasquale.
Zastyga zdumiony.
- Skąd wiesz?
- Tak jest napisane na kartce, która wystaje z twojej torby. Jamiro się śmieje. -
To mój pseudonim artystyczny. Ja jestem Jamiro.
Przez chwilę mnie zaniepokoiłaś. Myślałem, że to ty jesteś wróżką...
- Jasne, medium!
- Ta... - Alis wskazuje na Clod i nie odpuszcza sobie. - A ona king size! -
Kretynka! - Ostatecznie Clod się nie wkurza, tylko śmieje. Jamiro zaczyna czytać
nam z rąk i później stawia nam też karty. Potem patrzy na mnie i rzuca
niewiarygodny tekst: - Spotkasz słońce.
- Czyli?
- Nie wiem, to widzę. Spotkasz słońce.
- Miejmy nadzieję, że nie skończysz jak Ikar... - Alis i te jej niekończące się
żarty. Clod nie kuma. Mnie nie mieści się to w głowie. Ale wkrótce zrozumie.
W końcu Jamiro odbiera telefon. , .
- I jak? Nadal jesteś w świecie snów?
- Co jest rzeczywistością, a co snem...? - Zawsze tak odpowiada. Śmieję się.
Jamiro kontynuuje. - A ty kim jesteś?
- No jak to, nie poznajesz mnie? Jestem twoją zmorą. "
- Caro!
- Zgadza się, brawo. Widzisz?
- Co się dzieje? Dlaczego dzwonisz do mnie tak wcześnie? O tej porze, w
sobotę rano? To nie w twoim stylu. Coś się stało?
- Nie wiem... Ale to ważne, bardzo ważne, co mówią twoje karty?
- Już patrzę. - Cisza. Słyszę tylko delikatne ruchy, jak liście, które opadają na
ziemię... Jak karty, które ktoś układa na stole.
- Jamiro...

- O co chodzi?
- Mam się martwić?
- Nie sądzę... A może tak.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Widzę tylko trochę deszczu. Nie... nie... Jest też słońce. Tak. Kiedy pojawi się słońce, wszystko stanie się jasne. Słoneczne...
- Juuhuu! Dzięki, jesteś skarbem.

Kończę rozmowę i zmykam. Biegnę jak szalona. Nie mam już wątpliwości. Moje modlitwy zostały wysłuchane.

Chwilę później w innym miejscu. Ta sama godzina, to samo miasto. Jamiro kręci głową. Patrzy na milczący telefon. Potem na te karty. Tak, teraz widzę. To nie był deszcz. Jamiro czuje ucisk w sercu. To łyzy.

Styczeń

Witaj w nowym roku, który, liczę na to, będzie pełen cudownych rzeczy! Przynajmniej ja wiąże z nim duże nadzieje! *Happy New Year! Ein gutes neues Jahr! Eliz Año Nuevo. Bonne Année! Szczęśliwego Nowego Goda.* Oto one, znam je! Widzicie, drodzy nauczyciele, pamiętam je wszystkie!

Podsumowanie na koniec roku:

Największe rozrabiaki wśród przyjaciół? Gibbo i Cudini!

Najprawdziwsze przyjaciółki? Clod i Alis!

Piosenka z końca grudnia? *Resta qui Tormento.*

Czy zmieniłaś coś w swoim życiu? Tak, rozstałam się z Lelem!

Z kim się najczęściej kłóciłaś? Jak zwykle, z moją siostrą.

Motto minionego roku? *Ad ma jo ra*, początkowo nie wiedziałam, co znaczy, ale wytłumaczył mi to mój brat.

Motto nadchodzącego roku? *Ad maior!* Bo już wiem, co znaczy. Filmy, które chcę zobaczyć: *Wszystko za życie, Kuskus i ryby, Choć goni nas czas, Pana Magorlum cudowne emporium, PS Kocham Cię.* Dzisiejsza myśl: chcę, aby nowy rok był fantastyczny. Czego będę nienawidziła w nowym roku: egzaminów, chamstwa, pani Marinelli, kiedy zapyta, czy mam chłopaka, Clod, kiedy będzie obgryzać paznokcie, i Alis, kiedy uczesze się jak lafirynda, taty, kiedy nie nakrzyczy na Ale, zetpetów, zwłaszcza przewodników i izolatorów, wstawania do szkoły o siódmej rano, szukania kapci, tych, które będą mówić: „Jestem chuda, ale jem wszystko, mam dobry metabolizm”.

Co będę uwielbiać w nowym roku: *Tajemnice Smallville, High Schoot Musical, Seks w wielkim mieście, I liceali, którzy lecą na kanale Sky* i można oglądać ich tylko u Alis, *Zabójcze umysły, Parla con me, Zelig, Wściekłe*

psy, przejażdżki na skuterze, nawet jeśli jeszcze go nie mam, balerinki, Miss Ribellinę, czekoladę.

Ciuchy: džinsy, podkoszulek z dekoltem w łódkę, szeroki pasek, trampki. Cytat: *Odwróciliśmy się po dwunastu krokach, bo miłość jest jak pojedynek, i spojrzeliśmy na siebie po raz ostatni.* Jack Kerouac, *W drodze*. piosenka: *Hey, there Delilah*, Plain White T's. Aha, zapomniałam. Być szczęśliwa.

Styczeń to wyjątkowy miesiąc! Kiedy zaczyna się nowy rok, zawsze mamy tysiące pomysłów na to, jak rozpocząć kolejny tydzień albo jak zabrać się za nowe rzeczy. Nawet w sprawach miłości snujemy plany, ale czasami nie wszystko zależy od nas. A zatem nie jest idealnie! Ja jednak założyłam nowy blog, zmieniłam zdjęcia na MySpace i ściągnęłam nowe emotikony dla MSN. Najważniejsze, jak we wszystkim, to umieć zachować ten sam entuzjazm.

Pojutrze powrót do szkoły! Za dobrze mi w domu w ferie. Zbyt długie poranne przewalanie się w łóżku. Potem popołudniowe wyjścia z Alis i Clod. Rzym. Ulice. Sklepy. Wszystkie wystawy przygotowane na zbliżające się wyprzedaje. Nasza trójka żartująca z siebie nawzajem z tych samych, co zawsze, rzeczy. Mnóstwo wolnego czasu, nawet jeśli zadano nam strasznie dużo do domu. Ostatnie filmy w telewizji, trochę świąteczne, oglądane przez pięć minut, spacer z Joeyem, zwariowane SMS-y od Clod - moim zdaniem przepisuje je z Internetu - na przykład ten: *Wchodzi koń do kina, udaje się do bileterki i mówi: poproszę jeden bilet, a bileterka: Aaal Koń, który mówi! A koń: niech się pani nie martwi, w sali będę cicho.* Nie wiem nawet, czy wysyła je tylko do mnie, czy do wszystkich. Nieważne, do mnie je wysyła! A potem Befana! Chciałabym znaleźć skarpetę wypchaną cukierkami pomarańczowymi, które tak lubię, właściwą odpowiedź dotyczącą Massiego oraz podjętą już decyzję co do wyboru szkoły średniej. Trzeba się zapisać! Alis zastanawia się nad liceum humanistycznym, Clod chciałaby pójść do szkoły plastycznej lub językowej, a ja do humanistycznej. Tak naprawdę to nie chciałabym się z nimi rozstawać... Och! Mój boski brachol powiedział mi, że powinnam dokonać wyboru na podstawie tego, co czuję, a nie dokąd idą moje przyjaciółki, ponieważ przyjaźń i tak pozostanie, a za wybranie złej szkoły trzeba

potem płacić. Ma rację... Jak zwykle, zresztą! Ostatecznie dostałam wy-pasioną skarpetę: małe marsy, lukrecjowe sznurówki i cukierki, kolorowe żelki w kształcie zwierząt, różne mleczne czekoladki. Chciałabym, żeby przetrwały przynajmniej do Wielkanocy! Postanowiłam, że będę je jadła po trochu w każdą sobotę. A potem będzie czekolada wielkanocna... I tak aż do lata! Najważniejsze - nie przytyję. To rzecz podstawowa. Może jak spotkam Massiego, zapyta: „Kim jesteś? Kim? Carolina? Tak, dwadzieścia kilo temu!”.

Podstawą jest gimnastyka. Ta w szkole mega mi się podoba, człowiek się męczy, poci i bawi.

Dzyń. To moja komórka. Patrzę na ekran. Alis. Nie może wytrzymać. Tęskni za mną. Między MSN-em i komórką zadzwoniła do mnie chyba ze sto razy. Odbieram i nie daję jej dojść do głosu.

- Okay, jestem w stanie cię zrozumieć... Nie możesz wytrzymać, co? Przecież pojutrze znowu wracamy do szkoły.

- Wariatka... Siedzisz, Caro? Mam bombową wiadomość!

- Mów.

- Zostałyśmy zaproszone na imprezę do Borzilli!

- Nieee!

- Taaak!

- Alis, jesteś wielka!

- Wpadnę po ciebie za pół godziny, okay?

- PO CO?

- Na megazakupy!

I rozłącza się. Nigdy nie daje mi czasu na odpowiedź. A jeśli miałabym coś innego do roboty? Jakies zobowiązanie, wyjście z mamą, z inną przyjaciółką, z... chłopakiem! Alis taka jest. Albo na to idziesz, albo dajesz spokój. A raczej idziesz na to i się temu poddajesz. Tak czy inaczej to cudowna wiadomość. Jestem pewna, że Borzilli zaprosiła nas tylko dzięki niej.

Stefania Borzilli. Piętnaście lat, raz oblała drugą klasę. Legenda szkoły. Nie wiadomo, czy to prawda, ale mówią, że uprawiała już seks, to podstawa jej legendy. Podobno latem, tuż po tym, jak skończyła czternaście lat, zamknęła się w sypialni swojego wiejskiego domu w Bracciano, w wielkim pokoju, z którego widać jezioro, z przystojnym koleśkiem,

jakimś Piere'em Frerym, Francuzem mówiącym po włosku, który na początku chodził do naszej szkoły, a potem w końcu wrócił do Paryża. I tyle wiadomo. Tamtej nocy wybiegli z pokoju i wskoczyli do basenu, w samym środku świetnej imprezy. On w czarnych kąpielówkach, ona miała na sobie tylko majtki, i pewne jest to, co wszyscy widzieli, czyli tylko tyle, że całowali się w wodzie.

Któregoś dnia wchodziłam na salę gimnastyczną. To było w zeszłym roku. Druga klasa właśnie skończyła lekcję, a my mieliśmy grać w siatkówkę. Borzilli też wtedy była i kiedy wychodziła, spadła jej bluza, którą miała przewiązaną w pasie.

- Hej, zgubiłaś to. - Dogoniłam ją i oddałam jej bluzę.

- Dzięki. - Niesamowicie się do mnie uśmiechnęła. Piękna, szczerza, beztroska buzia, kilka piegów, duże niebieskie oczy, jasnobrązowe włosy, lekko kręcone, rozpuszczone i nieujarzmione. Wzięła bluzę, odwróciła się i odeszła niemal w podskokach. Tak więc nie wiem, czy jej historia jest prawdziwa, ale Alis od tamtej pory z nią rywalizuje i kiedy powiedziałam jej, że „wydaje mi się miła...”, odpowiedziała: „Nie. Nie może być, taka jak ona nie może wydawać ci się miła”. I ostatecznie zostawiłam ten temat i nigdy więcej go nie podjęłam. Nie wiem, co Alis ma do Stefanii Borzilli, a tym bardziej dlaczego aż tak upiera się, by chodzić na jej imprezy.

Ale mam przeczucie, że to będzie szalony wieczór, i absolutnie nie chcę go opuścić.

- Weź ten, zobacz, jaki ekstra.

Alis wyciąga spośród wieszaków granatowy cekinowy top.

- Ale on jest tycki!

- A co byś chciała, dres? Pamiętaj, że impreza odbywa się pod hasłem Tokio Hotel.

- I co z tego?

- I to z tego, że musimy być jak szalone kubistki.

- Tak. Ja chcę być zwariowana. - Clod wyłania się zza ubrań. - I jak Wyglądam? Alis i ja równocześnie: - Ale to jest tyccie!

- Same tak powiedziałyście!
- Tak, jednak ciebie to nie dotyczy! - Wybuchamy śmiechem. Od Catenella do via del Corso dajemy przedstawienie, przymierzamy dużo i wszystko. Cekinowe spódnice, boa, najróżniejsze topy, krótkie kamizelki z metalowymi sprzączkami, paski i przewiązki z czarnej gumy. Bosko. A potem...
- Adelo, dopisz wszystko do mojego rachunku. - Alis jest tu u siebie. Następnie ciągnie nas na zewnątrz wraz ze wszystkimi możliwymi ciuchami.
- Będziemy superboskie!
- Chodźmy do Cióccolati. Pasuje wam? - Clod i te jej stałe miejsca.
- Dobrze... - Rozkłada ręce i natychmiast wyjaśniam jedną kwestię: - Ale ja zapraszam!
- Okay.
- Nie, Alis, mówię poważnie. Jeżeli nie, to nie idę, do cholery! Chwilę później jesteście już przy naszym ulubionym stoliku.
- Co wam przynieść, dziewczyny? - Wszystkie trzy siedzimy z rozdziawionymi buziami. Bo na miejscu powolnej panienci, tej co zawsze, trochę antypatycznej i, szczerze mówiąc upierdliwej, jest on: Dodo. Przynajmniej tak ma napisane na plakietce na marynarce. Macie przed oczami to dziwne połączenie Zaca Efrona z Jesse'em McCartneyem i odrobiną Scamarcio i Raoula Bovy? No właśnie, wymieszajcie wszystkich i trach! Jak wyczarowany wyłania się on. Idealny uśmiech, ciemna karnacja, gęste czarne włosy, orzechowe oczy, wydaje się ciemny jak tubylec i słodki jak bounty. Gdzie był do tej pory? Patrzy na nas trzy, siedzące z rozdziawionymi buziami, lekko beznamiętnym spojrzeniem. Zrezygnowany rozkłada ręce.
- Nie jesteście jeszcze gotowe? Mam przyjść później?
- Eh... - Clod naprawdę wariuje i robi to specjalnie. Daję jej kuksańca. - Aa!
- Dodo się śmieje. - Dobra, wrócę za chwilę, tak będzie lepiej. - Oddała się. Z pewnością wszystkie o tym pomyślałyśmy, ale Alis mówi to pierwsza.
- Nawet tyłek ma ładny!
- Alis!

- No co? O co chodzi, co powiedziałam nie tak? To nieprawda? Clod się uśmiecha. - On mi przypomina klasyczne magnum, to pierwsze i najlepsze...

Ona wszystko widzi przez pryzmat jedzenia. Alis kładzie nam dłonie na ramionach.

- Słuchajcie, przyszedł mi do głowy zajebisty pomysł... Założymy się?

- O co?

- O to, która pierwsza go poderwie!

- NO CO ty...

- Boicie się, co? - Alis patrzy na nas i wyzywająco unosi brwi.

- Ja się nie boję. - Mówię z uśmiechem. - Wcale się ciebie nie obawiam. Clod unosi brwi. - Ale mnie podoba się Aldo.

- Jakoś wcale cię nie podrywa! Właśnie, może zobaczy, że lecisz na kogoś innego, i zamiast udawać... przejdzie do rzeczy!

Śmiałyśmy się i żartowałyśmy, dopóki nie wrócił.

- I jak, dziewczyny, co zamawiacie?

Przyglądamy mu się i zachowujemy jak kretynki. Tak rozpoczynamy absurdalny wyścig, który mnie trochę krępuje, natomiast Alis jest wzbudzającą strach bezwstydnicą.

- Ja poproszę... ptysia, no wiesz, takiego z bitą śmietaną, smacznego, z czekoladą ciemną... jak ty?

- Alis! - Szepczę do niej. A ona się śmieje i zasłania sobie usta. Dodo natomiast jest niewzruszony. - Przykro mi, ale nie mamy.

- A tiramisu?

- Też nie.

W końcu ja i Clod zamawiamy. - Dla nas czekolada... z papryczką.

Kiedy odchodzi, wszystkie trzy wybuchamy śmiechem i czujemy się komicznie. Koniec końców, już się nie wstydzę, przeciwnie, świetnie się bawię i nie wiem dlaczego, ale pierwszy raz w życiu odnoszę wrażenie, jakbym przekraczała jakąś granicę. I to napawa mnie dumą, patrzę na mego, jak szykuje za ladą naszą czekoladę. I nagle czuję ulotność. Tych rzeczy, których nie rozumiem. Ułamek sekundy i on podnosi wzrok, napotyka mój i zastyga. Zostaje tak trochę zbyt długo i w końcu się Poddaję, opuszczam głowę, czerwienię się i lekko zawstydzam. A kiedy znow patrzę w tamtą stronę, jego już nie ma. Zniknął.

- Alis...

- Tak, co jest?

- Mam problem.

Patrzy na mnie poważnie zaniepokojona. - O co chodzi? Co się dzieje? A ja się do niej uśmiecham. - On mi się podoba na maksa...

- Przestraszyłaś mnie! - Daje mi kuksańca w plecy i prawie spadam z krzesła.

- Alis!

- Mnie też się cholernie podoba.

-I tak rozpoczynamy wyścig.

- Widzę, że jesteś w dobrym nastroju, Caro.

- Tak, babciu, to prawda!

- W bardzo dobrym nastroju.

- Tak, babciu, to prawda!

I śmiejemy się. Trochę mnie przejrzała. Towarzyszę jej, kiedy przygotowuje jedzenie. Fajnie, że mieszkamy blisko babci, bo bez problemu mogę tu przychodzić, kiedy chcę i kiedy czuję się samotnie albo kiedy rodzice się kłóca, Ale jest nieznośna lub nagle zabraknie mi Rusty'ego. Wtedy uciekam właśnie tu...

- Co robią moje ukochane kobiety?!

Dziadek Tom jest cudowny. Ma zawsze rozczochrane siwe włosy, jest wysoki i trochę gruby, ma wielkie dłonie, ale szczupłe palce. Kocha budować, tworzyć, malować, rysować. A ja, kiedy go widzę, zawsze się śmieję.

- Plotkujemy!

- Nie ruszajcie się w takim razie! - Bierze aparat fotograficzny, zawieszony na szyi, cyfrową yashicę, i robi nam zdjęcia. Siedzimy na kanapie, ja zdejmuję szybko buty, podciągam nogi, sadowię się i pozuję, podnoszę obiema rękami włosy, zbieram je na głowie, jakby były związane.

- Kim jesteś? Brigitte Bardot?

- Kim? Kto o niej słyszał?

Opuszcza aparat. - Swego czasu żaden prawdziwy mężczyzna nie mógł o niej zapomnieć.

- W takim razie, tak. Jestem do niej bardzo podobna! - I uśmiecham się odsłaniając wszystkie zęby. A dziadek dalej robi zdjęcia.

~ Od razu idę je wydrukować! Chcę zobaczyć, jak wyszłaś...

Jest przeszczęśliwy, ma długie nogi i trochę niezdarnie porusza się po małym salonie, prawie potyka się o dywan i uderza w róg stolika, srebrna szkatułka spada i dziadek Tom ją podnosi. Odkłada na miejsce, przesuwając trochę dalej, sprawdza nawet, czy jest ustawiona w tę samą stronę co wcześniej. Potem uśmiecha się do babci Luci i znika w głębi korytarza. A babcia dalej za nim patrzy. Nigdy nie gniewa się na dziadka za to, że przewraca przedmioty. Nigdy tego nie komentuje. A jej oczy nadal są wesołe, kiedy spogląda w jego kierunku. Mama nigdy nie patrzy tak na tatę. Potem odwraca się do mnie. - O czym to mówiłaś, Caro?

Opowiadam jej o miejscu, do którego zawsze chodzimy, o Cioccolati, o nowym chłopaku Dodo i o naszym zakładzie.

- Ale uważaj, dobrze...?
- Dlaczego tak mówisz, babciu?
- Bo jedna z was mogłaby się zakochać i potem będzie jej przykro.
- Ależ skąd, to tylko zabawa!
- Miłości nie można kupić.

Wzruszam ramionami i się uśmiecham. Nie wiem, co odpowiedzieć. Niby podoba mi się to zdanie, ale w jakimś sensie słowa babci wzbudzają we mnie dziwne uczucie.

- Zobacz... zobacz, jak ładnie wyszłaś! Jesteś nową B.B. Dziadek wchodzi z wydrukowanymi czarno-białymi zdjęciami. Jestem na nich, roześmiana z podniesionymi włosami, jak spadam z kanapy, dowcipkuję, wtulam się w babcię. I w tej samej chwili podejmuję decyzję.

- Chcę być fotografem!
- Super... Zaczynaj od tego - Zawiesza mi na szyi aparat.
- Dziadku... Jest ciężki...
- Przystaw go do twarzy i ustaw... Ustaw mnie! - Podnoszę go i kadruję dziadka. Następnie otwieram drugie oko, to poza aparatem. Dziadek się śmieje.
- Dobrze, teraz naciśnij na górze. Widzisz, tu po prawej stronie jest przycisk.
- Ten?
- Tak, ten.

- Okay... - Staram się zmieścić całego dziadka, ale jest za duży. Jednak w końcu daję radę. - Już... nie ruszaj się... zrobione!

- Pokaż. - Dziadek zdejmuję mi z szyi aparat. Ogląda zdjęcie. Przez moment wydaje się zmieszany, ale po chwili jego twarz rozjaśnia uśmiech. - Będziesz świetna.

Nigdy wcześniej nie chodziłyśmy tak często do Cióccolati jak w tych dniach i to każda na własny rachunek. Dla Clod to była prawdziwa uczta, bo miała za wymówkę poderwanie Dodo, a moim zdaniem spróbowała tam każdego rodzaju ciastka. W końcu stało się to dla nas prawdziwym wyzwaniem. Aż do dnia, kiedy zwycięstwo mogło być moje.

- Cześć, a twoje przyjaciółki? Gdzie zostawiłaś swoich bodyguardów?

- Aaa! - Uśmiecham się. - Zaraz przyjdą.

- Czy coś ci tymczasem przynieść?

- Tak, gorącą czekoladę light.

- Jesteś przeciwieństwem Clod, co nie?

- Całkowitym. - Zna nawet imię mojej przyjaciółki! Z pewnością wie także, jak nazywa się Alis. Spokojnie. Alis powiedziała mu pewnie, jak ma na nazwisko, gdzie mieszka i co robi jej ojciec. Prawdopodobnie nie zna tylko mojego imienia. To nawet lepiej, nie pomyli mnie z innymi.

- Proszę, twoja czekolada. Przyniosłem też dwa nowe ciasteczka, które właśnie testujemy. Jedno jest kokosowe, a drugie pomarańczowe, są bardzo delikatne. Spróbuj.

Od razu próbuję tego pierwszego. - Mmm, to jest pyszne. - Próbuję drugiego.

- I to też! Naprawdę świetnie tutaj pieką...

- No jasne, a poza tym, oprócz czekolady, zdarzają się tu czasami wyjątkowe niespodzianki...

Patrzy na mnie i czuję się trochę zmieszana. Rzucam więc okiem na telefon.

- Hm, nie zadzwoniły do mnie, chyba już nie przyjdą. Poproszę o rachunek, wypiję czekoladę i spadam. - Dodo przysuwa się bliżej i mówi szeptem:

- Okay, wszystko załatwione. Firma stawia...

- Nie, nie trzeba.

- Ależ tak. - Prostuje się i staje poważny. - Wypróbowałam nowe ciasteczka, nie jesteś pierwszą lepszą klientką, tylko testową dziewczyną!

I puszcza do mnie oczko.

- No, cóż, dziękuję.

Widzę, jak stoi za ladą i od czasu do czasu na mnie spogląda. Udaję, że nic nie dostrzegam, co chwila rzucam okiem na telefon, jakbym naprawdę czekała na wiadomość od Alis czy Clod. W rzeczywistości ustaliłyśmy sobie dokładne terminy. Jedno popołudnie dla każdej, żeby zobaczyć, która pierwsza poderwie Dodo. Niezłe z niego ciacho. Kiedy się do mnie uśmiecha... Szybciej bije mi serce. Ale to może bardziej z powodu tego zakładu z przyjaciółkami, choć trochę też z chęci przewyciężenia nieśmiałości... Hm, bo ja wiem. Jest przystojny, to nie ulega wątpliwości, ale nie w moim typie. Rozglądam się, dokąd polazł? Okay, dosyć. Idę stąd. Wychodzę z cukierni.

- Carolina, mogę cię odprowadzić?

Odwracam się. Nie wierzę! To on. Bez fartucha. I wie, jak mam na imię!

- Jasne, ale co oni na to? - I pokazuję cukiernię.

- Aaa, pozwolili mi.

- To bardzo miłe.

- Tak, dbają o mnie.

- Aż tak? Taki jesteś oddany?

- No, zacząłem pracować, bo postanowiłem zmienić motor i chcę odłożyć trochę pieniędzy.

- I ot tak cię zatrudnili?

- No, cóż, właścicielka ma do mnie pewną słabość...

- Akurat! - Naprawdę... Jestem jej synem!

Powrót upłynął nam na rozmowie i muszę przyznać, że się nawet ubawiłam. Jest dowcipny i kocha grać w piłkę.

- W mojej drużynie grają modele... Znasz Centocelle Nightmare? To właśnie, jesteśmy lepsi. Lubimy piłkę nożną, gdyby nie to, zawsze Możemy założyć drużynę striptizerów!

Śmieję się. Faktycznie, kiedy lepiej mu się przyjrzeć, ma bardzo ładną sylwetkę. Rozmawiamy trochę o tym i owym. Naprawdę jest bardzo miły.

- Dziewiętnaście lat. A ty?

- Czternaście. - Prawdę mówiąc, niewiele mi już brakuje.

- Aha.

Nie wiem dlaczego, ale za każdym razem, kiedy mówię, ile mam lat, spotykam się z tego typu reakcją. Rozczarowanie, zaskoczenie, nagła ucieczka? Co tam... Pomyśleć, co by było, gdybym powiedziała, że mam trzynaście!

- O czym myślisz?

- O niczym! To zabawne, nigdy nie pomyślałabym, że jesteś synem właścicielki Cióccolati.

- Tak naprawdę wolałbym nie pracować z mamą, ale z drugiej strony robię to, na co mam ochotę, a kiedy potrzebuję trochę wolności...

Patrzy na mnie rozbawiony.

- No, oczywiście.

- Przeczytałem *ostatnio* książkę, która bardzo mi się podobała, *Dziennik Bridget Jones*.

Nie! Nie chce mi się wierzyć. To ta sama, którą polecił mi Sandro z Feltrinelli, ale jeszcze jej nie przeczytałam. Mogłabym się popisać, a tu nic. Znowu się kompromituję.

- Znasz?

Jeśli powiem, że mam ją w domu i muszę przeczytać, wyjdę na taką, co opowiada bujdy.

- Tak, słyszałam o niej.

- Przeczytaj. Zobaczysz. Jestem pewien, że ci się spodoba. Dochodzimy do moich drzwi. Zatrzymuję się. Zapada niezręczna cisza.

Dodo patrzy na mnie. Uśmiecha się.

- Cieszę się, że przyszedłaś dzisiaj sama.

Milczę.

- Dzięki temu mogłem cię odprowadzić.

Znowu cisza. Potem Dodo zbiera się na odwagę. Powoli nachyla się nad moimi ustami. Zmierza do celu, cały czas się uśmiechając. Moim zdaniem są takie chwile, które o wszystkim przesądzają. To ułamek

sekundy, po którym nic nie będzie już takie jak wcześniej. Dodo przysuwa się coraz bliżej i bliżej, patrzy mi w oczy roześmiany. Jego zęby są nieskazitelne, uśmiech przepiękny. Oczy ciemne, głębokie, intensywne. A jednak... Już wam mówiłam, sama nie wiem... W ostatniej chwili niespodziewanie się odwracam, nadstawiając mu policzek. Daje mi delikatnego całusa, trochę smutnego, rozczarowanego, gorzkiego. Następnie się odsuwa.

- Ale...

- Cześć, muszę iść. - I uciekam bez słowa. Otwieram drzwi, wchodzę, zamykam je za sobą. Widzę go jeszcze, jak na mnie patrzy. Potem wzrusza ramionami, kręci głową i odchodzi. Domyślam się, jakie pytanie sobie zadaje: „Dlaczego taka dziewczyna jak ona, czternastolatka, dała mi całusa?”. Kto wie, jak długo będzie to roztrząsał. A może ta myśl, niczym delikatna mgiełka, za chwilę się ulotni? Kto wie. Ja natomiast się śmieję. Nie mam wątpliwości. To była tylko zabawa, zwykła zabawa z moimi przyjaciółkami. Ale ten pocałunek do mnie nie przemawiał, niczego nie wniósł ani nie wzbudził.

Słyszę hałas. Otwierają się za mną drzwi i wchodzi... niewiarygodne! Pani Marinelli! Ściągałam windę, ale rezygnuję z niej.

- Dzień dobry. - I pędzę po schodach. Tylko tego brakowało. Jej, będącej świadkiem kolejnego pocałunku... I to z innym! Tego by nie wytrzymała. Od razu porozwieszałyby informacje na drzwiach!

Nic nie powiedziałam Clod i Alis. Sama nie wiem dlaczego. Tylko raz wróciłyśmy do Cióccolati i we trójkę żartowałyśmy z Dodo, jak gdyby nic się nie stało.

- Dzięki, wszystkie trzy chcemy tego samego.

Alis i te jej aluzje. On się śmieje, gdy tylko odchodzi od stolika, Alis wyciąga z torebki komórkę.

- Patrzcie. - Na zdjęciu Dodo w stroju do piłki nożnej. - Przesłał mi je razem z numerem telefonu.

Clod zaczyna się śmiać. - Ach tak? Spójrz tu. Wyciąga z kieszeni swój telefon. To samo zdjęcie. - Co za gnojek! - Alis już nie patrzy. Podnosi podbródek i mnie pyta. - Ty też masz to samo zdjęcie? - Nie... Ja mam, jak pływa... bez kąpielówek!

- Ach tak? - Alis wstaje, bierze nas obie za ramię i wyciąga z cukierni. - W takim razie on funduje!

Uciekamy bez płacenia, cały czas się śmiejąc. Alis zerka co chwila, żeby sprawdzić, czy nie wyszedł z cukierni. - Dobrze mu tak, dostanie nauczkę za to, że zachował się jak kretyn!

Kolejne dni są bardzo spokojne. Zaczęłam czytać *Dziennik Bridget Jones*. Podoba mi się, ale kiedy czytam wieczorem, zawsze zasypiam!

Poszłam odwiedzić Joeya. Spacerowaliśmy wzdłuż rzeki, a Rusty James pisał na barce. Ładnie tu jest, dużo zieleni, kwiatów, a Tyber nie tak brudny jak w innych miejscach. Po rzece ciągle płyną kajakarze. Mają niebieskie koszulki i wyglądają na jakąś drużynę. Zbliżają się i znikają błyskawicznie, nie mając nawet czasu, żeby odpowiedzieć na pozdrowienia. To musi być męczący sport.

Tamtego dnia Alis prawie nas porwała po wyjściu ze szkoły.

- Chodźcie ze mną.

- Dokąd jedziemy?

- Chodźmy! Wylądowałyśmy w przedziwnym miejscu. Ja w minibryce z Clod,

ona przed nami.

- Mamo, nie wrócę do domu.

- Dokąd idziesz?

- Na obiad z Alis. Clod też będzie. Potem chcemy się pouczyć.

- Nie wracajcie za późno!

- Okay...

- Obiecujesz?

- Tak.

Idziemy do japońskiej knajpy. Clod nie chce wejść.

- Ja nie lubię. Mają same surowe ryby.

- To to samo, co jesz ugotowane, tylko że nie tuczy.

- Wiecie... Miałam kiedyś rybkę.

- I co?

- Nazywała się Aurora i któregoś ranka po prostu już jej nie było. Wyskoczyła z akwarium do umywalki i znalazła drogę do morza...

Clod i te jej fantazje.

- Aha, tak jak ta z bajki Disneya, jak się nazywała? Nemo.

- Właśnie, Caro, świetnie. Sama rozumiesz, widziałam ten film cztery razy. -
Entuzjazm Clod, cynizm Alis.

- Co ty opowiadasz, Aurora nie żyje, twoi starzy wyrzucili ją do kubła na śmieci... Nie powiedzieli ci tego, bo nie chcieli, żeby ci było przykro.

Clod chwilę się zastanawia. - Hm, jeden raz ja zmieniłam wodę i potem przez jakiś czas leżała na wznak i z trudem łąpała powietrze.

- No jasne! Musiała jakoś pływać, była wyziębiona. Prawie zabiłaś ją na miejscu. Daj spokój, na pewno nie żyje.

- A jeśli żyje i dopiero co ją złowili i to właśnie ja ją zjem w tej knajpie?

- Ale nudzisz, jesteś kompletnie wyoutowana.

Niemająca końca dyskusja. Ostatecznie poszliśmy do japońskiej restauracji na via Ostia, gdzie serwowali też dania tajskie, chińskie i wietnamskie. I tak nie było żadnych wątpliwości co do tego, co zamówić.

- Mmm, dobre te wieprzowe żeberka.

Clod je po prostu zmiata. Jest jak pokarmowy karabin maszynowy. Alis czeka, aż Clod skończy jeść, a potem mówi: - Smakowały ci, co nie?

- Tak, pycha. - Ta jak zwykle oblizuje palce.

- Wiesz, że prawie zawsze kawałki mięsa, które jesz u Chińczyków, to koty... złapane na ulicy?

- Co ty opowiadasz?

- To prawda, wyglądają tak samo, zabijają je i przekształcają w... kawałki mięsa.

Clod patrzy na nas i prawie wybucha płaczem. - Miałam kota, Tramonto, zaginął mi trzy miesiące temu...

- Przykro mi, nic nam nie powiedziałaś!

- Miałam nadzieję, że się odnajdzie.

- A w zamian za to go zjadłaś!

Na te słowa Clod gwałtownie się podnosi i krzyczy: - Aaa! Co za ohydztwo! Cała restauracja na nas patrzy. Proszę jej wybaczyć... Zupełnie nieświadomie zjadła Tramonto.

Alis jest naprawdę okrutna. Jednak czasami doprowadza nas do totalnego śmiechu. No a poza tym ma jeszcze inną podstawową zaletę: zawsze funduje.

Ale misja Alis jeszcze się nie skończyła.

- Chodźcie ze mną!

- Dokąd jedziemy?

- Jedźcie za mną. - Wsiada do swojego microcara i znika w via delia Giuliana. Śmieję się razem z Clod. - Jedź za tamtym minicarem!

Bierzemy ostry zakręt w stronę Muru Aureliana. My za nią. Nasza minibryka za jej. Wyglądamy jak bohaterki *Mission: Impossible* z Tomem Cruise'em. Gdyby tak go spotkać, ale nie ze względu na niego, tylko na nas, bo wtedy byłoby jasne, że jesteśmy naprawdę super. Ach, w tych filmach grają wyłącznie piękne kobiety! Alis prowadzi jak marzenie. W prawo, w lewo, śmiga między samochodami, jakby to były bramki slalomowe. Następnie skręca w lewo bez kierunkowskazu. Clod jedzie za nią.

- Uważaj! - Prawie się rozbiłyśmy. Oba prawe koła unoszą się i Clod puszcza kierownicę, za chwilę znowu ją chwyta, samochód ląduje na pozostałych dwóch kołach, kołysze się trochę i następnie na pełnym gazie zjeżdżamy w dół. W prawo, w lewo i znowu w prawo.

- Daniel Craig w Jamesie Bondzie by się nie powstydział!

Clod jest bardzo skupiona. - Nie mogę jej zgubić. Jedzie jak szalona.

- Ty też super sobie radzisz - mówię i mocno się trzymam, żeby nie stracić równowagi. - Jak to robisz? Nigdy tak nie prowadziłaś!

Clod spogląda na mnie i bierze nosem głęboki wdech, wygląda jak wściekły byk. - Myślę o mojej rybce Aurorze, a przede wszystkim o Tramonto, skoro ta suka Alis mówi, że go zjadłam! Im dedykuję ten wyścig.

Powiedziawszy to, przyspiesza jeszcze i na pełnym gazie wjeżdżamy w via Aurelia, wyprzedzając Alis, która patrzy na nas i śmieje się oszołomiona.

Chwilę później. W stronę Fregene, pośród zielonych i mrocznych pól odległej Aurelii.

- Gdzie jesteśmy? Dlaczego zajechałyśmy aż tutaj?

- Palmy...
- A co to, Niedziela Palmowa?
- Daj spokój, żarty na bok, co to jest?
- Klub.
- Alis, zechciałybyś powiedzieć nam coś więcej?

Ale ona jest spokojna. Wyciąga z torebki papierosa i zapala jednego. Tak naprawdę wcale nie lubi palić. Robi to, kiedy chce kogoś udawać albo kiedy ma coś ważnego do powiedzenia. Patrzy na mnie.

- Która godzina?
- Dochodzi szósta.

Alis rzuca na ziemię papierosa, którego dopiero co zapaliła, i gasi go butem. -
Idziemy! Ruszamy za nią, nie wiedząc dokąd. Spoglądamy na siebie z Clod.

- Phi - mówię cicho, Clod kręci głową. - Ona jest szalona.
- Chodźcie, tędy! - Idziemy korytarzem wzdłuż klubu i nagle znajdujemy się na wprost wielkiego boiska piłkarskiego.
- Usiądźmy tutaj.

Nie zdążyłyśmy jeszcze zająć miejsc na widowni, gdy z tunelu pod nami wychodzą piłkarze.

- Jest... Jest, to on!

Alis wstaje i podskakuje, wymachując rękami, cała w euforii.

- Dodo, Dodo! Tu jesteśmy! Tutaj! - To śmieszne, bo na trybunach nie ma nikogo innego, więc to tylko my możemy go wołać.

Dodo odłącza się od grupy i podchodzi do nas.

- Cśśś! - Uśmiecha się, przykładając palec do ust. - Widziałem was!
- Podchodzi do siatki. - Co za niespodzianka... Cieszę się, że przyszłyście. Potem przedstawię wam chłopaków z mojej drużyny. Może pójdziemy na pizzę...
- Patrzę na Alis, potem na Clod.
- Nie wiem, czy mogę, jednak...
- Alis wzrusza ramionami.
- Ale przynudzasz.

Nie odzywam się, ale wkurza mnie, kiedy tak mówi, doskonale wie, Jaki jest mój ojciec.

Dodo spogląda na mnie. Przechyla na bok głowę. - Nadal jesteś zła za tamten wieczór?

- Nie, nie... - Patrzę na Alis i Clod, usiłuję to zbagatelizować. Fiuuu! Słychać gwizdy. Dodo się odwraca. - Wybaczcie, ale muszę iść. Zaczynają.

I wraca na środek boiska.

- Zobacz, mają nawet sędziego.

Alis patrzy na mnie z ukosa. - Ale dlaczego... Co się stało tamtego wieczoru?

- Och, nic.

- Żadne nic, gdyby tak było, nie pytałby, czy nadal jesteś zła.

- Ale to nic.

- Opowiadaj!

Wzdycham. I tak nic już nie mogę zrobić. - No, poszłam do Cióccolati, i Dodo odprowadził mnie, i potem pod domem...

- Potem pod domem...

- Chciał...

- Chciał? - Alis na nic już nie patrzy.

- Próbował się ze mną umówić, ale ja nie chciałam. Mama mi nie pozwoliła.

- Jasne, i do tego martwi go, że jesteś taką nudziarą...

Alis zaczyna oglądać mecz. Clod patrzy na mnie i śmiesznie wykrzywia usta, jakby chciała powiedzieć: „Wiesz, ona już taka jest”. Alis zapala kolejnego papierosa i spogląda na mnie niespodziewanie.

- Coś mi mówi, że nie powiedziałaś całej prawdy, tak?

- No coś ty, Alis! - Wybucham śmiechem, w nadziei że to ją zmyli i na dobre ukryje prawdę. - Zapewniam cię, że tak było.

- Jeśli wciskasz mi kit...

- Tak było, dlaczego miałabym kłamać? Poza tym to zakład, co nie? Wcale jeszcze nie wygrałaś.

- Jeżeli zaczniemy wciskać sobie kit, to tak, jakbyśmy wypierały się naszej przyjaźni.

I znów patrzy na boisko. Zaczęli grać. Jest jak zagorzały kibic. Wstaje i krzyczy: - Dawaj, Dodo, dawaj! Jesteś super! Jesteś nasz! - My też wstajemy. - Dawaj, Dodo! Dodo! Dodo! - Po chwili śpiewamy jak chórek. - Strzelaj dla nas, Dodo Giuliani! - Obejmujemy się i niemal spadamy z trybun i czujemy się jak przyjaciółki... Śmiejemy się i... jesteśmy przyjaciółkami! Cieszę się, że nie powiedziałam im prawdy.

Clod nie wytrzymała i wzięła ze sobą opakowanie smarties.

- Po co je oglądasz, wybierasz, a potem niektóre wrzucasz z powrotem?

- Bo lubię tylko czekoladowe!

- Wszystkie są czekoladowe...

- Te brązowe są bardziej czekoladowe. - Clod i te jej fiksacje. Wszystkie dotyczą jedzenia. Zostawiam ją w spokoju.

Piłkarze skończyli.

- Idą do szatni. - Alis patrzy na nich kątem oka. Czekają, aż zniknie ostatni. - Chodźcie ze mną! - Ciągnie nas za ręce. Clod wypadają smarties.

- Nieee! Przez ciebie je upuściłam.

- Odkupię ci je, idziemy! A poza tym widziałam, że zostały ci same żółte.

- Nieprawda, były też niebieskie, które są bardzo dobre!

- No chodźcie już. - Ciągnie nas i popycha. Prowadzi dziwną ścieżką. Okrążamy budynek klubu i lądujemy na tyłach, gdzie jest tylko zielone pole, pełne drzew i zarośli.

- To jest prawdziwa wieś.

- Boję się...

- Ćśśś! Czego się boisz?

- Zwierząt. <

- Tu nie ma zwierząt! Z wyjątkiem ciebie!

Clod wzdycha. Idziemy na środek wysokiej trawy.

- Patrzcie...

Kładziemy się na brzegu małego pagórka. Tuż pod nami znajdują się wąskie i długie okienka budynku na tyłach boiska.

- Oto oni... Oto oni. ' » Schodzą się. Widzę, jak wchodzi piłkarze, a potem Dodo.

- Nieee. Przecież to są przebieralnie.

- Tak. - Alis śmieje się zadowolona. - A oni zaraz będą się przebierać. Patrzę zaskoczona na Alis.

- Skąd o tym wiedziałaś?

- Moja mama chodzi do tego klubu. Tam po lewej stronie znajduje się damska przebieralnia. Byłam tutaj latem, na basenie.

Patrzę na nią. Nie wiem, czy kłamie. Ale szczerze mówiąc, niewiele mnie to obchodzi.

- Patrzcie... - Niektórzy są tylko w majtkach. Inni nie mają na sobie niczego. Wchodzą pod prysznic, namydłają się. Śmieją się, żartują, ale nie słyszymy rozmów, tylko urywane zdania niknące w tej nocnej ciszy, niemogące przebić się przez małe okienka i ginące między ławkami, między porzucanymi sportowymi torbami.

I krok po kroku wszyscy rozbierają się na naszych oczach.

- Zobacz... Zobacz, jakie tamten ma ciało...

- A ten? - Alis pokazuje innego. Jest nagi i trzyma rękę tam. - Widzicie, jakiego ma?

- Alis!

- Ale ma niesamowitego!

- Wiem, ale...

- Ćśśś.

Siedzimy w ciszy i patrzymy na nich. Słyszymy, jak się śmieją z oddali i rozmawiają, nasze oczy są jak nie nasze. Spoglądam poniżej, między ich nogi. Nieco się rumienię i trochę nie chciałabym patrzeć, a trochę tak. Dziwnie się czuję. I jest mi gorąco. Jest gorąco? Hm, może nie...

Clod patrzy na nas zaniepokojona. - Wiem jedno... Moim zdaniem to będzie strasznie bolało...

- Tak... Kiedy już będzie!

Nagle...

- Hej, wy! Co wy tam robicie?!

Głos, prawie krzyk, w środku nocy. Sylwetka mężczyzny jakieś dwieście metrów dalej. Cała czarna na tle jasnej poświaty. Alis wstaje pierwsza.

- Dalej, przyskamy! - Puszczą się biegiem w dół pagórka, przez zieloną i ciemną wieś. Biegnę za nią, a tuż za nami Clod.

- Hej, poczekajcie na mnie! - Wiejemy szybko z duszą na ramieniu, do utraty tchu, przez wysoką trawę, pośród coraz ciemniejszych zarośli. Alis jest obok mnie, dogoniłam ją. Clod wlecze się za nami.

- Nie daję rady. Zaraz zwymiotuję.

- Nic nie mów! Biegnij!

A z tyłu strażnik, to znaczy ten facet, leci za nami. Ale jest jeszcze daleko. Dobiegamy do podnóża pagórka, tu rozciąga się parkan.

- Nie... Tylko nie to!

- Tutaj, zobacz!

W rogu stoi mała niska budka z narzędziami ogrodniczymi, a obok murek. Alis natychmiast się na niego wdrapuje, a potem wyżej, na dach. Następnie chwytając rękami siatkę, przerzuca nogi na drugą stronę i zeskakuje. Robię tak samo i za chwilę stoję obok niej.

_ Przydaje się gimnastyka artystyczna, co nie?

- Jasne, zwłaszcza do takich uciezek!

Wreszcie dobiega Clod, z tyłu niewiele dalej idzie strażnik. Jest zadyszana, z językiem na wierzchu i czerwonymi policzkami.

- Już przeszłyście? Nie dam rady. - Wchodzi na murek powoli i z wielkim trudem, dociera na samą górę.

- Co teraz?

- Teraz oprzyj nogę w górze i przerzuć się. - Podskakuje dwa razy, ale nie jest w stanie tego zrobić. Strażnik jest coraz bliżej. Patrzymy na nią, na niego i znowu na nią.

Alis nie ma wątpliwości. - Musimy iść!

- Nie! - Clod jest zrozpaczona. - Ale jak... Zostawicie mnie tutaj? Mnie, waszą przyjaciółkę?

„Tak, i wszystkie twoje smarties”, mam ochotę jej powiedzieć. Ale zamiast tego przychodzi mi do głowy inny pomysł.

- Rzuć się na ziemię. Może cię nie zauważy.

I puszcza się biegiem drogą wzdłuż parkanu. Strażnik zmienia kierunek. Biegne równoległe z nami.

- Stójcie! Stójcie! Chcę wasze nazwiska. - Jest starszy i z trudem łapie powietrze. Biegniemy szybko w stronę minicarów. O Boże, mam nadzieję, że nie dostanie zawału. No i przede wszystkim, że nie odnajdzie Clod! Docieramy do parkingu.

- Szybko, do samochodu! - Alis wkłada kluczyk. Strażnik jest już przy wyjściu. Wreszcie Alis otwiera drzwiczki. Siadam obok niej. Wkłada kluczyk do stacyjki. Strażnik minął wyjście. Alis zapala minibrykę, zbyt gwałtownie naciska pedał i skaczemy do przodu, potem ruszamy na pełnym gazie z wyłączonymi światłami.

- Dawaj, dawaj, szybko!

Patrzę w lusterko. Strażnik robi jeszcze parę kroków, biegnąc za nami Po białej drodze. Potem się zatrzymuje. Znika w tumanach kurzu i przepada w ciemnościach.

Alis oddycha głęboko.

- Uff... Już myślałam, że to się źle skończy...

- Ja też! Biedna Clod, kto wie, jak sobie poradzi...

Alis patrzy na mnie, potem wzrusza ramionami. - Daj spokój, takie jak ona zawsze sobie radzą.

- Tak myślisz?

- No jasne...

Udaję, że mnie przekonała, ale wcale nie jestem pewna. Inna sprawa, że nie miałyśmy wyjścia.

Trochę później. Jestem już w łóżku, kiedy dostaję esa. Od Clod.

Wszystko okay, udało mi się uciec dopiero teraz. Musiałam poczekać na zamknięcie klubu. Dzięki, przyjaciółki!

W następnych dniach pogodziłyśmy się. Ale przez tydzień fundowałyśmy jej podwieczorki. Nie muszę mówić, że płaciła Alis. Poza tym to ona wplątała nas w „mission” nie tyle „impossible”, ile „erotic”!

Miałam trzy cudowne dni. Bawiłam się super! Mama zgodziła się, żebym spała u Rusty'ego. Siedziałam na zewnątrz na leżaku i patrzyłam na płynącą w blasku księżycyca rzekę. Jak tam cicho. Nic nie słyhać, nawet samochodów przejeżdżających nad nami po Lungotevere. Rusty ustawił mi taki grzejnik w kształcie grzyba, gorący, zwieńczony kopułą, ma jakby ogień w środku i w ogóle nie czuje się zimna. Włączył go i przysunął bliżej mnie. A potem zaczął przechadzać się przede mną z kartkami w ręku.

- I jak... Jesteś gotowa? Tobie pierwszej to czytam... *Dzień jak co dzień, ale od tej pory nie będzie już taki sam. Już nie, od chwili, kiedy się spotkali...*

Patrzy na mnie i się uśmiecha. To jego powieść.

- Podoba mi się! Czytaj dalej.

On, zamknięty w sobie chłopak, szorstki, z długimi włosami, jego ręce naznaczone ciężką codzienną pracą... - czyta, przechadzając się powoli, wkłada pasję w słowa i porusza prawą ręką, jakby wybijał rytm. Patrę na niego i podoba mi się ta historia. Opowiedział mi ją wcześniej, ale niczego jeszcze nie przeczytał. To historia o miłości. Słucham. - *Podobała mu się ta dziewczyna, chuda, prawie koścista, ale o spojrzeniu pełnym żądzy i ciekawości...*

- Od razu lubię tę dziewczynę, słuchając go, wyobrażam ją sobie, ale potem, otulona ciepłem grzejnika, zasypiam. Z oddali słyszę głos Rusty'ego, który dalej czyta. - *A ich spojrzenie było tak intensywne, że...* Caro!

- Otwieram instynktownie oczy, może dlatego, że usłyszałam swoje imię, czuję się dziwnie, jak wtedy, kiedy wydaje nam się, że ktoś nas obserwuje. - *Zasnąłaś...*

- Ojej, przepraszam... Ale bardzo mi się podobało... - Tak, tak, bardzo, kładź się spać... Chodź ze mną. -1 odkłada swoją Powieść na stolik. Na wierzchu kładzie książkę, chociaż nie ma wiatru.

Nie zdążyłam się ruszyć, gdy mnie obejmuje i podnosi. Zabiera mnie stąd, a ja trzymam go mocno za szyję obiema rękami.

- Tylko nie szukaj zemsty... Nie wrzuć mnie do wody.

Rusty wybuchła śmiechem. - Jasne, to by ci dobrze zrobiło! Wiesz, jak byś się obudziła?

Obejmuję go mocniej. Spogląda na mnie, nie ma w nim złości. On taki już jest. Czuję się kochana.

- To dlatego, że jestem trochę zmęczona... Ale chcę przeczytać twoją powieść.

- Dobrze, dobrze, jeszcze jest czas... Muszę ją trochę poprawić, a potem roześlę do różnych wydawnictw. Dlatego chciałem usłyszeć, co o tym myślisz.

- Kobiety najpierw będą płakać, a potem się cieszyć.

- To znaczy?

- Będą płakać podczas lektury ze wzruszenia, a cieszyć się, gdy cię poznają, bo każda zapagnie się z tobą umówić!

- Wariatka... - Kładzie mnie na łóżko i otula kołdrą. Cała się nią przykrywam i zanurzam, zęby na szczęście już umyłam.

- Rusty...

- Tak?

- Naprawdę chcę ją przeczytać. - Jeszcze jeden uśmiech.

- Dobranoc, Caro. Śpij dobrze.

Gasi światło, a ja odwracam się na drugi bok. Mimo że jestem na rzece, nie boję się. Wręcz przeciwnie. Słyszę, jak pode mną woda płynie powoli. I zasypiam głęboko.

Następnego dnia poszłam do dziadków. Dziadek Tom tłumaczył mi różne rzeczy dotyczące fotografii. Zrobiliśmy zdjęcia i wydrukowaliśmy je.

- Podobają ci się, babciu Luci? Popatrz, jakie ładne... Zgadnij, które zrobiłam ja, a które dziadek Tom.

Roześmiała się.

- To zrobiłaś ty...

- Nie, pudło! Moje jest to z kwiatami. - **I** wybiegłam.

Kiedy wróciłam do kuchni, zobaczyłam, że jest smutna, cicha, nie zorientowała się, że na nią patrzę. Płakała. Niepostrzeżenie, po cichu się wycofałam. Zatrzymałam się przy drzwiach i jeszcze raz na nią spojrzałam. Odbijała się w szybie, patrzyła na mnie. Na sekundę nasze spojrzenia się spotkały. Poczułam się, jakbym ją nakryła. Więc szybko zwałam.

Później w czasie kolacji uśmiechała się do mnie.

- Babciu, zrobiłaś mięso, które najbardziej lubię, kotlet z pomidorami.

- Tak, chociaż dziadek za nim nie przepada.

Spojrzała na niego takim wzrokiem, sama nie wiem, a potem się uśmiechnęła, tak, to było spojrzenie pełne miłości. Przynajmniej takie odniosłam wrażenie. Dziadek udawał, że się gniewa.

- A czegoż to można się po was obu spodziewać... Idę umyć ręce. Wyszedł z kuchni, a babcia spoważniała. Popatrzyła na mnie z uśmiechem, trochę smutnym, trochę zaniepokojonym.

- Nic nie powiesz, prawda? To będzie nasza tajemnica.

Nalewam sobie wody, nie patrzę na babcię, potem wypijam duszkiem i ze szklanką w zębach potakuję głową. Babcia się śmieje. Tak naprawdę nie chciało mi się pić, ale jeśli miałabym rozmawiać i powiedzieć to na głos, wiem, że wybuchnęłabym płaczem. Wraca dziadek. - No to co jemy? Czy już wszystko sprzątnęłyście? - I siada u szczytu stołu, między nami, i ściska mi rękę, jego jest duża i wilgotna, dopiero co umyta.

- Jesteś potworem, ale tak pięknym, że ci ją zjem! - I udaje, że gryzie moją rękę i wsadza całą do buzi. Ja próbuję mu ją wyrwać, ale chce mi się śmiać. Babcia też jest w dobrym nastroju i w końcu zapominam o naszej tajemnicy.

Jeszcze dwa dni! Jutro wieczorem mega impreza Borzilli w Supper. Rozpoczynamy przygotowania w domu.

- Mamo, Alis zaprosiła nas na jutro do domu na noc.

- Kto będzie?

- Clod, ja i Alis.

I to wszyscy? - Unosi z powątpiewaniem brew.

- Jasne, że tak. Chcesz do niej zadzwonić? Będzie oczywiście mania.

Mama kręci głową. - Dziwna ta rodzina.

- Ale nie Alis, Alis jest moją przyjaciółką, nie ma nic wspólnego z tym całym burdelem wokół rodziców.

- Caro! Uspokój się, nie podoba mi się, kiedy tak mówisz... Czyżbyś już była częścią tej rodziny? Czyżby cię adoptowali?

Przywołuję się do porządku. - Nie, nie, przepraszam, mamo.

- Dobrze. Porozmawiam z twoim ojcem. Jak dla mnie możesz iść.

- Dzięki, ale jego też przekonaj. Bo jeśli nie, to po co to wszystko! Proszę, uda się, jeśli tylko tego zechcesz.

Obejmuję ją i mocno ściskam. Mama na początku podnosi ręce. Jakby się poddawała. Potem je opuszcza. I mnie przytula.

- Jesteś okropna. Leć do szkoły, bo się spóźnisz, a potem, mówię poważnie, nigdzie nie chodź.

- Dobrze, dobrze. - Zmykam, nie daję powtarzać sobie tego dwa razy. Udaję na serio niepokój, że się spóźnię.

Jestem jak Raffaelli, jedna z tych, które żyją tylko dla szkoły, które kochają się uczyć i wcale się tego nie wstydzą! A gram to tak dobrze, że powinnam dostać Oscara dla najlepszej aktorki. I tuż po powrocie ze szkoły zdobywam pozwolenie.

- Tata powiedział, że możesz iść!

Mama jest super. Ściskam ją jeszcze mocniej.

- Przestań, przestań, przewrócisz mnie! Co to za radość? Czy mam się niepokoić?

O kurczę, to prawda. Byłam głupia. Mityguję się.

- Nie, tylko się cieszę, że rozumiesz, jak bardzo zależy mi na przyjaźni... z Alis i Clod...

Mama patrzy na mnie. - Kiedy byłam w twoim wieku, miałam przyjaciółkę, Simone. Któregoś dnia, ot tak, po prostu, nie chciała mnie więcej widzieć.

- Może byłaś od niej dużo ładniejsza.

Uśmiecha się i kiwa głową. - Nie żartuję. Odszukałam ją i poprosiłam o wyjaśnienia, czy zrobiłam coś źle. A ona odpowiedziała mi po prostu: „To nie tak, mylisz się. Może byłam trochę zajęta”. Ale od tamtego dnia więcej się do mnie nie odezwała. Patrzę na nią zmieszana. - Co chcesz przez to powiedzieć, mamo?

- Że dla mnie Simone była moją najlepszą przyjaciółką. Natomiast ja dla niej nic nie znaczyłam, tylko że tego nie rozumiałam.

- Tak, mamó, ale Alis, Clod i ja jesteśmy przyjaciółkami, powiedziałyśmy to sobie, wszystko sobie opowiadamy, jesteśmy nierozłączne, to co innego... Nie ma cię z nami, więc nie możesz tego zrozumieć.

_ No jasne, ja nigdy niczego nie zrozumieję. Wiesz, co zawsze mówiła mi moja mama? Czasami, żeby zobaczyć ścianę, musisz na nią wpaść.

- Od razu widać, że babcia o niczym nie miała pojęcia... Nie to co ja. I zmykam.

- Zadzwoń, jak będziesz na miejscu.

- Dobrze, mamó. - Schodzę szybko po schodach i według ustaleń Clod czeka przed wejściem. - Ciauuu!

Wsiadam do samochodu, ale najpierw macham mamie, która oczywiście stoi w oknie.

- Jedziemy. Dawaj, Clod, dawaj!

Rusza na pełnym gazie.

- Nie tak szybko, mama patrzy przez okno!

- Najpierw szybko... potem nie... Z wami dwiema nie można się w ogóle dogadać!

- Co się dzieje? Co cię gryzie?

- Mnie?

- A kogo?

- Nie, nic.

- Nieprawda!

- No, dobra. Mogłam iść z Aldem, rozmawialiśmy i też ma przyjść, został zaproszony!

- Naprawdę? Skąd zna Borzilli?

- Jest koleżanką jego kolegi. Będzie mnóstwo ludzi dziś wieczorem...

- To nawet lepiej. Spotkasz go na miejscu.

- Jasne... Jedyna okazja pobyć z nim poza siłownią... Spotkam go na miejscu! A jeśli go nie znajdę?

- Ale marudzisz... Tak jest nawet lepiej. Zapragnie cię. - A jeśli nie?

- Jeśli wychodzisz z takim nastawieniem, to już po tobie... Tak się "ie robi.

Clod wzrusza ramionami. - Skoro tak mówisz...

- Zaufaj mi! - Patrzę na nią, jest trochę strapiona. Staram się zmienić temat.

- Przyniosłaś towar? - Te siowa przywodzą na myśl filmy, w których wszyscy strzelają, biegają, uciekają, są niesamowicie zbudowani, ciemnoskórzy, a wszystko kręci się wokół narkotyków.

- Tak, jest z tyłu... - Odwracam się. W siatkach Catenella leżą nasze superciuchy. Cekinowe topy, spódniczki mini, botki ze stretchu.

- Wow! To będzie czadowy wieczór.

Clod patrzy na mnie i na moment się uśmiecha. - Tak, będzie szalony!

Po chwili *jesteśmy u Alis*. Otwiera drzwi i rzuca się na nas z krzykiem. - No! Jesteście wreszcie! Gazem, zaczynamy przygotowania!

Zaprasza nas do środka i ciągnie za sobą. W drzwiach korytarza pojawia się jej mama.

- Alis, nie biegaj tak, bo coś stłuczesz!

- Mamo, ale nudzisz, powiedziałaś, że zostawisz nas same.

Alis odprowadza mamę do drzwi salonu, gdzie czeka na nią przyjaciółka. Prawie wypycha ją ze „swojego” domu.

- Dobrze, dobrze, już wychodzę... Tylko nie zniszczcie niczego...

- A co cię to obchodzi! Kupi się nowe. Lepiej przynieś mi jakąś niespodziankę, bo jeszcze się nie pogodziłyśmy!

I mówiąc to, wyrzuca je obie z domu i zamyka drzwi. Przyjaciółka kręci głową.

- Twoja córka zawsze taka?

- Wyobraź sobie, że teraz jest lepiej! - Chwilę później Alis jest już w salonie i włącza Tokio Hotel. - Jazda! - Tańczy jak szalona, skacze po kanapach, przed nami, szarpie raz mnie, raz Clod.

- Dziś wieczorem będzie *odlotowo! Chodźcie*.

Ogromny pokój ze ścianami wyłożonymi lustrami. Przymierzamy ubrania, jedno, drugie i kolejne, i jeszcze inne.

- Zobaczysz, w tym będziesz świetnie wyglądać!

Alis ma ich mnóstwo, wzięła też niespodziewanie różne ciuchy dla nas. To nie pokaz mody, to coś więcej. Lokaj ubrany jak spod igły wchodzi cicho na palcach.

- Panienko, przygotowałem zieloną herbatę, napar i czekoladę.

- Postaw tam i znikaj. - Widzi, że besztam ją wzrokiem. Poprawia się. - Poproszę.

Staramy się umalować, wypróbujemy każdy kolor, szminkę i cienie do powiek. - Ten... Ten ciemniejszy! Zobacz kredkę, tę granatową.

- W srebrnej jest mi dobrze.

Alis podchodzi bliżej. - Masz rację... Rozjaśnij trochę tu na górze, jeszcze trochę... Patrzę na swoje odbicie w lustrze.

- Dodałabym jeszcze trochę błękitnego, potem niebieskiego i białego dla rozjaśnienia...

- Jesteś wariatka!

- Jestem!

Alis podkręca muzykę, śmiejemy się, szturchamy, malujemy, tańczymy, trzy prawdziwe wariatki.

Godzina ósma. Jesteśmy gotowe.

- Wyglądamy bosko!

Inne zdanie na ten temat ma portier, który widząc, jak wychodzimy, przykłada rękę do czoła.

- Super! Jesteśmy najlepsze! - Alis i jej sposób działania. Przynajmniej żartuje, śmieje się i nie traktuje go obraźliwie.

Schodzimy do minicarów. Clod wygląda naprawdę zabawnie w swojej krótkiej sukience. Ma w sobie, jakby to powiedzieć, taką sympatyczną elegancję.

- Którędy jedziemy?

Alis unosi brew. - Ja muszę jeszcze pojechać w jedno miejsce. Zobaczymy się w Supper.

- A jeśli nas nie wpuszczą?

- Daj spokój, jesteście na liście. To w centrum, niedaleko kina Barberini: w dół i na prawo... Wszyscy znają to miejsce.

Znika w swoim różowym, super wypasionym minicarze Hello Kitty i odjeżdża prawie z piskiem opon.

- Kto wie, dokąd jedzie.

- Phi... Zawsze ma jakieś dziwne niespodzianki.

: Clod jest bardziej bezwzględna. - Jak dla mnie jest pomyłona.
- Dla mnie to po prostu Alis, i koniec.
- Dobra, okay, daj spokój. - Odpuszcza mi. - Poszukajmy tego Supper. W drodze od piazza Barberini.
- Powinnaś pojechać tamtędy.
- Nie, Alis powiedziała, że w prawo. Clod staje.
- Co robisz?
- Spytam się...
- Marokańczyka?
- Przepraszam, wie pan, gdzie jest Supper? Marokańczyk podchodzi do samochodu. - Gdzie jest co?
- Widzisz - wzruszam ramionami. - Przecież mówiłam. Clod się nie poddaje. - Supper.
- A, przepraszam, nie zrozumieć wcześniej! Świetny lokal, druga w prawo i jesteś na miejscu.
- Dziękuję!
Marokańczyk się oddala. Clod patrzy na mnie z satysfakcją. - Widzisz?
- Tak, ale było po prawej!
Znajdujemy miejsce parkingowe, potem lokal, jesteśmy na liście i chwilę później wchodzimy do środka.
Niewiarygodne! Są wszystkie Szczury... I Cudini ze swoim przyjacielem.
- Cześć! - Ktoś przechodzi obok mnie. To Matt.
- Cześć. - Witam się z nim chłodno.
- Jesteś zła?
- Ja? Dlaczego?
- No, za ten wieczór wtedy na imprezie, kiedy poszliśmy na górę... i nie powiedziałem ci, że mam dziewczynę.
- Daj spokój... Dlaczego miałabym być zła? Nie. Przepraszam, ale chcę się przywitać z przyjaciółmi. O, są tam. Chodź, Clod. -1 tak wymykam się i zostawiamy go.

Cioci rozgląda się dookoła.

- Caro, kogo widziałaś?

- Nikogo, nie chciałam z nim stać. Zaraz jednak widzę ich naprawdę.

- Patrz. Gibbo i Filo!

- Cześć, chłopaki! - Podchodzimy do nich. Stoją przy didżeju. Gibbo ma na uszach ogromne słuchawki. Puszczą do mnie oczko i się śmieje. Filo bierze do ręki mikrofon, ścisza muzykę, puszcza kawałek i zaczyna śpiewać *When Did Your Heart Go Missing?* Rooney.

Clod i ja patrzymy na siebie.

- A niech mnie, śpiewa super...

- No, od zawsze!

Filo rapuje i mówi coś na temat wieczoru. Zaczynamy tańczyć jak wariatki, skaczymy, przepychamy się, obejmujemy. Nagle Clod przerywa szaleństwo.

- Co jest?

- Aldo... - Oto i on. Idzie przez tłum z dziewczyną, która trzyma go za rękę i ciągnie za sobą.

- To on z kimś jest? - Clod nie odpowiada na moje pytanie, pędem schodzi z podestu didżeja i idzie na środek parkietu. Zaczyna tańczyć między ludźmi. Jest dokładnie na jego szlaku i właśnie mija ją dziewczyna prowadząca za sobą Aldo. Jak tylko przechodzi, Clod zaczyna tańczyć tuż przed Aldo, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. Ten zauważa ją i pozdrawia. - Cześć!

- O, cześć! - Poważna i uśmiechnięta. - Już jesteś?

- Tak, widziałaś, ile ludzi?

- Tak. - Dziewczyna zawróciła. - A... to jest Serena, a to Claudia. Potem zwraca się do Clod. - Wiesz, że ona też potrafi naśladować innych? Bardzo by ci się spodobało! Clod odwraca się i zostawia go w rogu.

- Claudia... - Aldo rozkłada ręce. Dziewczyna znowu bierze go za rękę i ciągnie za sobą.

Clod podchodzi do mnie i zaczyna tańczyć, ma zmrużone oczy i prawie zgrzyta zębami, taka jest wściekła.

- O co chodzi?

- O to, że to gnojek!

- No, tak, oczywiście.

I niby nagle wszystko staje się jasne. I właśnie wtedy ją widzę.

- Patrz, jest Alis.

Idzie pośród ludzi, ma podniesioną głowę. Uśmiecha się, wita, macha ręką, kogoś całuje. A za nią... Nie mogę uwierzyć: Dodo Giuliani! Oto i niespodzianka. Zauważa nas, kiwa głową roześmiana, jakby mówiła: „Nie spodziewałyście się tego, co nie? Widzicie, kogo wam przyprowadziłam?”.

I zaczyna przed nim tańczyć. Dodo patrzy na nią, nas jeszcze nie zauważył. Coś mówi jej na ucho. Ona się śmieje, odrzuca do tyłu głowę. Śmieje się jeszcze głośniej, jakby chciała dać do zrozumienia nam, wszystkim, każdemu, kto miałby jakieś wątpliwości co do tego, że to, co właśnie powiedział jej na ucho, to najbardziej niesamowity komplement. Teraz Alis tańczy jeszcze pewniej, porusza się wokół niego, przysuwa, ociera

O niego, w końcu jej usta znajdują się naprzeciw jego, blisko, zbyt blisko. Patrzy mu w oczy, uśmiecha się, porusza powoli. Alis ma zawsze usta lekko rozchylone, idealne zęby, delikatny uśmiech. Dodo nie może się jej oprzeć, to oczywiste, i w końcu ją całuje. Jak eksplozja leci następny kawałek. Alis odsuwa się od niego, tańczy, wznosi ręce do nieba i patrzy na nas. Śmieje się, krzyczy „Yeah!” i unosi dwa palce lewej ręki, środkowy

I wskazujący, na znak zwycięstwa. Clod i ja patrzymy na siebie.

- Wygrała...

Udaję, że jest mi przykro, chociaż sama wiem najlepiej, jak mogły potoczyć się sprawy z tym Giulianim. Clod wydaje się bardziej zasmucona. Próbuję ją pocieszyć.

- Daj spokój... Alis była po prostu lepsza.

- A co mnie to obchodzi! Dodo wcale mnie nie interesuje. To znaczy jest przystojny, ale zupełnie mi niepotrzebny. Mnie się podoba Aldo!

Ta historia jest kompletnie zwariowana, w końcu Alis go poderwała i jest cała szczęśliwa, że wygrała... A my jesteśmy szczęśliwe, że nas tym samym uratowała.

- Hm... Może Aldo wcale nie jest zainteresowany tą kolubryną? - Patrzymy obie w tym samym kierunku. Aldo siedzi w rogu i pije sok, a ona, niczym tłusta odaliska, tańczy przed nim.

- Ej, Clod, moim zdaniem on jest znudzony!
- A moim zdaniem ona jest tłściochem!
- Hej, dziewczyny, trzymajcie. Łapiemy w locie dwa słoiczki z nutellą.
- O co chodzi?
- Jak to? Nie wiesz? Czas na Tuca Tuca sweet!
- To znaczy? - Staramy się dowiedzieć, o co chodzi, ale dziewczyna w przebraniu Supper Cow-girl, z ogromną liczbą słoiczków nutelli, przyczepionych do dziwnego rodzaju paska znika w tłumie.

- A to po co?
Clod się uśmiecha. - Nie wiem, ale przynajmniej można je zjeść!
Właśnie w tym momencie zaczyna lecieć kawałek Tiziano Ferro.
A Raffaella śpiewa u mnie w domu, i Raffaella jest moja, moja, moja. Moja. Tylko moja. A Raffaella... Wszyscy tańczą jak szaleni, podczas gdy na ekranach leci teledysk.

- Jesteście gotowi? Dobierzcie sobie partnera!
Błyskawicznie tworzy się mnóstwo par. Didżej od razu zaczyna świetnie mikсовать i wchodzi z kawałkiem Raffa *Nazywa się uhm... tuca tuca tuca! Ja to wymyśliłem...*

Chłopaki i dziewczyny mają wielkie plastikowe łyżki i zaczynają rozsmarowywać nutellę na swoim partnerze. Na nogach, na szyi, na ramionach, na brzuchu, wszędzie, gdzie się da, a następnie w rytm muzyki zaczynają lizać i gryźć, zbierając nutellę z powrotem.

- Ale ohyda!
- Ale super! '
- Od tego się tyje!

W jednej chwili wybucha czekoladowa wojna. W ułamku sekundy, ciągle w takt *Tuca Tuca*, wszyscy rozsmarowują nutellę na sobie i liżą. To niczym rejon siódmego kręgu łakomczuchów w czyścicu Dantego. I w środku tego całego przedziwnego Tuca Tuca sweet pojawia się ona.

- Clod, Caro! Wygrałam... Widziałyście?
- Tak, jesteś świetna!

Alis znika na parkiecie, gdzie jest Dodo, Clod widzi, że Aldo jest sam, i idzie do niego. Didżej znowu miksuje, a ja zaczynam tańczyć *Happy Ending* Miki. Zamykam oczy, rozpościeram ramiona i obracam się wokół

własnej osi, rozwiewa mi włosy i trzymam rytm, wszyscy się boją i nikt do mnie nie podchodzi. I zaczynam się śmiać, sama do siebie, bo nawet jeśli nie ma nikogo, kto chciałby rozsmarować na mnie nutellę, czuję się ogromnie szczęśliwa. Otwieram oczy. Również tutaj, na suficie Supper, są gwiazdy.

- To była mega impreza!

Clod bierze mnie pod rękę przy wyjściu z Supper. Opuszczający lokal ludzie strasznie hałasują, jedni idą pod rękę, inni kopią puszkę, udając mecz piłki nożnej.

- Tak... Gdyby nie to, że stałam się żywą czekoladą! Ktoś zaczął smarować mi ramię, kiedy tańczyłam, a potem chciał to zlizać! Tak się wkurzyłam, że jeszcze chwila, a bym mu dokopała!

- Nie miałaś humoru. To było widać...

- A ty? Aldo zepsuł ci wieczór...

- Ależ skąd, potem rozmawialiśmy. Ale zrozumiałam, o co chodziło tobie, Caro, jest ci przykro z powodu Alis i Dodo.

- Mnie? Co ty opowiadasz... O wilku mowa!

Właśnie podbiegają do nas, trzymając się za ręce.

- Cześć, widzimy się w domu! I znikają za rogiem.

- Wariaci! Daj spokój! Cieszę się z jej powodu.

- Jasne... .

- O co chodzi, Clod?

- O nic!

- Jesteś jakaś dziwna.

- Powiedziałam, że nic.

- Jak to, mówiłaś, że wyjaśniłaś wszystko z Aldem.

- No właśnie...

- I?

- I nic... - Nie odzywa się przez całą drogę do minibryki. Następnie przystaje. Rozglądam się dookoła.

- Nie ma twojego auta! Odholowali je albo, co gorsza, ukradli! Oto, dlaczego byłaś w takim nastroju. Przeczywałaś to! Clod, zdajesz sobie

z tego sprawę, jakie masz siły nadprzyrodzone?! - Potrząsam ją za ramiona. - Rozumiesz, przeczuwałaś to... Jesteś... jesteś medium! Clod patrzy na mnie strapiona.

- Ależ skąd. Pożyczyłam je Aldowi.

- Aldowi?!

- Tak, żeby mógł odwieźć tę dziewczynę, z którą był.

- W takim razie nie masz żadnych sił nadprzyrodzonych, po prostu zwariowałaś!

- Słuchaj, nie mów do mnie w taki sposób! Minibryka jest moja i mogę ją pożyczać, komu chcę. Jesteś jak moja matka!

- Ale twoja matka przynajmniej ma własny samochód! My miałyśmy tylko ten. I co teraz?

- Teraz czekamy. Wróci. -

- Ale kiedy? Zadzwoń do niego na komórkę.

- Już to zrobiłam. Jest wyłączona.

- Spróbuj jeszcze raz!

- Od godziny próbuję.

- W takim razie to on ma siły nadprzyrodzone, jest wyjątkowym... idiotą!

Zaczynam iść.

- Dokąd idziesz?

- W stronę domu Alis.

- I zostawisz mnie tutaj?

- To ty mnie tu zostawiłaś! Idę do domu.

- Poczekaj na mnie! - Dobiega do mnie lekko przekrzywiona na wysokich obcasach. - Że też właśnie dzisiaj wieczorem musiałam je włożyć!

Patrzę na nią z niechęcią. - Zobacz, wszystko było super, dopóki nie pożyczyłaś swojej minibryki.

- Jeśli bym o nią poprosił, a ja bym mu nie pożyczyła, to mógłby Pomyśleć, że jestem zazdrosna, a tego bym nie chciała!

- Ale za to wyszłaś na kretynkę!

Idziemy w milczeniu. Słyszę, jak utyka obok mnie, spoglądam na nią kątem oka. Ma cierpiący wyraz twarzy. Uwierają ją buty. Byłam dla niej zbyt surowa. Odwracam się, patrzę na nią i uśmiecham się.

- Przepraszam, Clod...

Odwzajemnia uśmiech. - Daj spokój... Masz rację. Biorę ją pod rękę. Puszczam do mnie oczko.

- Poza tym ja wiem, Caro, jesteś zdenerwowana.

- Dlaczego?

- W głębi duszy podobał ci się Dodo, co nie? Nic nie ujdzie mojej uwagi! Potrząsam głową i spoglądam w górę. Nie ma rady, wzdycham, jak Clod coś sobie wbije do głowy, to przepadło.

- Chodźmy.

Trochę później. Wlecemy się wzdłuż ulicy przez Piazza Venezia.

- Ile jeszcze... Już nie daję rady! - Clod jest z tyłu. Ma zadyszkę.

- Dawaj, jeszcze trochę i jesteśmy!

Z trąbiącego samochodu przez okno z tylnego siedzenia wychyla się chłopak.

- Ślicznotki! Ile chcecie?

Jak szaleni naciskają klakson i oddalają się. Od razu podjeżdża następny samochód.

- Przepraszam.

- Tak? - mówi niczego nieświadoma Clod. Biorę ją za ramię. - Chodź, idziemy na drugą stronę.

- Ale chciał o coś zapytać...

- Tak, jasne! Chcieli wiedzieć, co jesteś gotowa dla nich zrobić!

Przechodzimy przez środek ulicy. Samochody trąbią i stają przed pasami. Jeden z nich zatrzymuje się prawie na nas. Stoimy jak wryte. To psor Leone z panią Bellini.

- Ależ Carolina, Claudia...

Uśmiechamy się niewyraźnie.

- Byłyśmy na przyjęciu. Pani Bellini wygląda przez okienko i patrzy na nas rozbawiona.

- Przebrane... jak fajnie!

- Tak. No to do zobaczenia jutro. Ciągnę Clod i przechodzimy na drugą stronę.

- Bellini ma naprawdę nierówno pod sufitem... Przebrane na imprezę!

- No wiesz, Caro, jesteśmy trochę dziwnie ubrane...

- Dziwnie? Ale taka jest moda!
- Skoro tak mówisz. Ale to fajnie, że wychodzą razem!
- Są razem!
- Nie! To szaleństwo! Dwoje psorów, którzy są razem! To absurdalne! Wydaje mi się, że to jest zabronione! Poza tym w życiu bym nie powiedziała, Alis będzie załamana.
- Dlaczego?
- Podoba jej się profesor Leone!
- Jej też?
- No tak... A tobie się nie podoba?
- Mnie?! Powiedziałam tylko, że jest bardzo przystojny i miły...
- Aha... Tak czy inaczej za każdym razem, gdy ktoś się spodoba tobie, automatycznie, sama nie wiem czemu, podoba się również jej!
- Daj spokój, oszczędzaj oddech, prawie jesteśmy na miejscu. Idziemy dalej w milczeniu. To dziwne. Nigdy o tym wcześniej nie pomyślałam. A jednak tak jest. Może dlatego, że tak bardzo się przyjaźnimy, mamy podobny gust... Pamiętam, jak kiedyś Alis spotykała się z chłopakiem, który wkurzał mnie na maksa. Był cały w wiekach i nosił podarte spodnie. Jednak to nie za to jak wyglądał go nie znosiłam. Każdy ubiera się jak chce. Denerwowało mnie jego zachowanie. Chodził do III E i był starszym kuzynem jednego ze Szczurów. Miał na imię Gianni, ale wszyscy mówili do niego Giagua, bo był Sardyńczykiem i nazywał się Degiu. W każdym razie, zawsze, kiedy mnie widział, śmiał się ze mnie, spychał ze schodów i ciągnął za włosy, a Clod mówił, że powinna iść na superdietę. Och, ale o co mu chodziło? A Alis nic, wręcz przeciwnie, czasami odnosiłam wrażenie, że w głębi duszy ją to bawi. Jak mogła się z nim spotykać? Mówiła, że jest alternatywny. Alternatywny w stosunku do czego? Odstawia! sceny na korytarzu podczas dużej przerwy, przychodził i podnosił ją, ale nie w taki fajny sposób, raczej jak buldożer, a Alis piszczała. Robiła z siebie słodką idiotkę. Nigdy tego nie zrozumieć. Wiem tylko, że dla mnie chłopak jest w porządku wtedy, kiedy szanuje także moje przyjaciółki, a już na pewno nie robi sobie z nich żartów. Poza tym jak ktoś przychodzi do mnie na przerwie, żeby być blisko i mnie pocałować, to nie robi tego po to, by pokazać się Przed wszystkimi, tylko dlatego, że ma na to ochotę.

Alis powiedziała mi, że chciał się z nią kochać, to znaczy, on na pewno nie nazwał tego miłością, tylko seksem. Alis była trochę niezdecydowana. Ja powiedziałam jej, że moim zdaniem to trochę za wcześnie. Miała trzynaście lat! Czy my mówimy poważnie? Kochać się z kimś takim, kto od razu opowie o tym całemu Rzymowi? Niemniej jednak nawet jeśli czuję się bliżej związana z Clod, to jednak Alis wie o mnie wszystko, przed nią mogę się otworzyć. I z takimi myślami wreszcie docieramy do domu. Alis wybiega nam naprzeciw, jest już bez makijażu, w megaszykowej piżamie. A jakżeby inaczej.

- Gdzie byliście! Co robiłyście? Była jakaś inna impreza? I nic mi nie powiedziałyście, tak? Wyrwałyście kogoś? Ale to ja wygrałam! Ja wygrałam!

Tańczy na łóżku, podrzuca poduszki i bałagani. Zdejmujemy buty i skaczemy razem z nią. Nic nie mówię o minibryce Clod, o Aldzie i całej reszcie. Nie mówię, że Dodo najpierw próbował poderwać mnie. Już o tym nie myślę. Skaczę i śmieję się, śmieję się i skaczę. Obejmujemy się i w końcu padamy na łóżko. Na szczęście...

- Aaaa!

Lądujemy na Clod. Coś ją zabolalo i nie może się od nas uwolnić, a im bardziej próbuje, tym bardziej obie turlamy się po niej. I przysięgam, że nigdy tyle się nie śmiałam.

Luci, babcia Caroliny

Jestem babcią Caroliny. Mam na imię Lucilla, ale ona nazwała mnie babcią Luci. Kocham swój taras, kwiaty, które rankiem witają mnie, gdy tylko podniosę rolety, i swoją filiżankę herbaty, tym razem z owoców leśnych. Jak ja kocham tu przebywać, zwłaszcza późnym popołudniem, kiedy niebo barwi się na pomarańczowo i zaczyna wiać leciutki wiaterek... Dom, pokoje, kuchnia, w której lubię przygotowywać coś dobrego do jedzenia. Obrazy na ścianach, zdjęcia moje i Toma, mojego Toma. Moje zwyczaje i punkty odniesienia. Kiedy się starzejemy, dojrzewamy czy stajemy się ludźmi trzeciego wieku, jak to się dzisiaj mówi, istota rzeczy pozostaje niezmienną. To ważne, aby móc rozejrzeć się wokół i poczuć się dobrze wśród tego, co znamy najlepiej. W taki sposób milej wspominamy swoje życie i wszystko to, co nam podarowało. A w szczególności miłość, tę prawdziwą. Ja miałam szczęście, gdyż ją znalazłam. Teraz bawi mnie moja ukochana wnuczka Carolina, która przypomina mi moją młodość. Niestety nie odwiedza mnie zbyt często. Chciałabym ją mieć zawsze przy sobie, ale rozumiem: jest młoda, w wieku, kiedy wszystko dzieje się po raz pierwszy, kiedy na odkrywanie nowych aspektów życia ciągle brakuje czasu i przestrzeni. Jest zabawna, miła, naprawdę mądra. I słucha mnie z zaciekawieniem. Kiedy ma się siwe włosy jak ja, to takie rzeczy sprawiają przyjemność. Czasami, kiedy odnoszę wrażenie, że ją nudzę, mówię: „No, zmykaj, leć do przyjaciółek, lepiej się będziesz bawić z nimi, niż siedząc tutaj¹ wysłuchując tych starych historii”. Ale ona nie chce, zostaje, przynajmniej do czasu, kiedy powinna już wracać do domu, w przeciwnym razie co powie jej ojciec? Przykro mi trochę, że jest taki nieprzystępny¹ nieufny, wydaje mi się, że Carolina trochę cierpi z tego powodu, Giovanni także, to znaczy Rusty James, jak go nazywa. Oboje są bardzo

wrażliwi i czuję, że potrzebują rozmowy, mówienia o sobie w taki sposób, jak wtedy, gdy czujemy się dobrze w swojej skórze i kiedy nie wydaje nam się, że mówimy same bzdury. Ale czasami, mając takiego, szorstkiego ojca, wstydzimy się i staramy mówić tylko to, co on sam chce usłyszeć. Moja córka jest inna, wiem, że Carolina i Giovanni rozmawiali z nią trochę więcej, chociaż nie mają takiej nici porozumienia, jaka wytworzyła się między nami, dziadkami. Dlatego cieszę się, kiedy ich widzę. Czuję się trochę jak wicemama. Bardzo lubię wspólne gotowanie z Caroliną. Zwłaszcza gdy pieczemy focaccię. Ona ją uwielbia. Nasze gotowanie to magiczne chwile, ponieważ w odmierzaniu składników, w przygotowywaniu ich i samym oczekiwaniu na rezultat czuć harmonię. Tworzymy coś, co potem razem będziemy jeść. Cudowne. Trzysta gramów mąki, opakowanie suszonych drożdży, trochę rozmarynu i oliwy. Carolina zaczyna od rozsypania mąki na stolnicy, ja dodaję rozpuszczone wcześniej w letniej wodzie drożdże, szczyptę soli, a ona wszystko dobrze miesza. Kiedy przychodzi do podzielenia ciasta na cztery części i do rozwałkowania go, Carolina oddaje mi pałeczkę, bo mówi, że sama nie potrafi tego dobrze zrobić. Smaruję zatem ciasto oliwą, posypuję na wierzchu rozmarynem i szczyptą soli. A potem pieczenie. Focaccia jest dobra sama w sobie. Bez żadnego nadzienia ani innych przypraw. Trochę jak miłość, surowa i obnażona. Tak, może jestem zbyt szczerą jak na babcię, a może to właśnie dzięki temu tak dobrze dogaduję się ze swoją wnuczką. Kiedy focaccie są gotowe, zabieramy się wspólnie za jedzenie, czasami z Giovannim, bo Carolina wysyła mu zawsze SMS-a, a on, jeśli tylko może, przychodzi i siedzi z nami. Giovanni ze swoim marzeniem o pisaniu. Jakżebyśmy chciała, żeby je zrealizował, żeby był szczęśliwy. Czasami daje mi coś do przeczytania, jest naprawdę dobry, mocny, zdolny. Ale jego ojciec go nie rozumie, chce dla niego innej przyszłości, pewniejszej, bezpieczniejszej. Chce, żeby był lekarzem. Dlatego też Giovanni postanowił nie ukrywać dłużej swojej prawdziwej pasji i odszedł z domu. Co za odwaga. Podziwiam go, ale też bardzo się o niego boję. Nie chciałabym, żeby cierpiał. Mam nadzieję, że będzie robił to, o czym marzy, niewątpliwie na to zasługuje. Natomiast moja wnuczka Alessandra stanowi mały znak zapytania w tej rodzinie. Nie rozumiem jej zbyt dobrze. Ale oczywiście ją kocham. Za-

wsze powtarzam, że każdy zachowuje się, jak umie, nie ma więc sensu mieć o to pretensji. Każdy idzie własną drogą, ma własny sposób na życie i nawet jeśli się z tym nie zgadzamy, nie należy tego osądzać. Skąd mamy wiedzieć, jak naprawdę zachowywalibyśmy się, będąc kimś innym? Mam więc nadzieję, że Alessandra również odnajdzie swoje miejsce, to, które jej będzie najbardziej odpowiadać. Takie samo podejście ma Tom, mój Tom. Miłość mojego życia. Osoba, z którą wszystko dzielę, która mnie rozumie, rozśmiesza i sprawia, że potrafię marzyć. Żyć z nim, budzić się codziennie rano, patrząc sobie w oczy, dzielić radości i smutki, trudy i niespodzianki i tę chęć, żeby tak było dalej, przez wszystkie lata, zawsze razem. Poszczyło mi się. Kocham i jestem kochana. A codzienność niczego nie zniszczyła, nie odebrała nam magii. Nasza miłość zmieniła się w ciągu lat, dojrzewała wraz z nami. Bo związek przetrwa tylko wtedy, kiedy jest zaangażowanie, uczucie i współpraca. Nie wystarczą motyle w brzuchu, o których często mówi Carolina. Od tego się zaczyna. Potem trzeba chcieć stworzyć cały projekt. Nam się udało. I życzę swoim wnukom, aby doświadczyły takiego samego piękna i szczęścia.

Mam teraz jeden problem, ale nie chcę o nim myśleć. Wierzę, że wszystko będzie dobrze. Chcę, żeby tak było, bo i tak nie ma alternatywy.

Luty

Gdybyś była piosenkarką, jak byś się nazywała? *Caro X*.
Jak zwraca się do ciebie twoja mama? Mała.
Ile chciałabyś mieć lat? Osiemnaście.
Kim będziesz, jak dorośniesz? Mam nadzieję, że sobą.
Czy to, co lubisz, przekłada się na to, co robisz? Prawie nigdy.
Marzysz o czymś skrycie? Tak, chcę być fotografem.
Myślisz że to się spełni? Jeśli się postaram...
Masz chłopaka? Nie.
Jesteś zakochana? Tak myślę.
U lubiona piosenka w tym miesiącu? *Goodbye Philadelphia* Petera Cincotti.
On jest (blondynem, szatynem...)? Przystojnym szatynem.
Masz fart z chłopakami? Z tymi, którzy mnie nie interesują, tak.
Ostatni zakup? Srebrny mięciutki paseczek.
Przymiotnik, który najlepiej cię opisuje? *Nice*.
Masz w domu zwierzęta? Tak, siostrę.
Za miesiąc wiosna. Jak ja lubię tę porę roku... Pierwsze kolory, sama myśl, że lato już nie jest tak odległe! Wszystko coraz lżejsze! Pierwsze niedzielne wycieczki za Rzym minibrykami Alis i Clod, a zwłaszcza na motorze Rusty'ego Jamesa. Czasami aż nie wierzę, że on, mój superbrat, poświęca mi całą niedzielę! Wtedy po obiedzie, o ile nie jestem umówiona z Clod i Alis, a wokół niego nie kręcą się żadne dziewczyny, proponuje mi, żebyśmy pojechali gdzieś na godzinkę wypróbować motor. Ale czad! Obejmuję go mocno i czuję się bezpiecznie. Jedziemy drogą, która prowadzi na wieś w stronę jeziora Bracciano, pędzimy szybko jak strzała, a krajobraz przemyka nam przed oczami. Kiedy przyspieszamy, pochylam głowę, bo wydaje mi się, że kask zaraz odfrunie, i wtulam się

w niego, a wszystko przesuwają się błyskawicznie. Dziś jest piękny słoneczny dzień, pierwszy taki w tym miesiącu. Cudini rozbawił nas do łez. Nie było Triello, megakujona, jeszcze gorszego od Raffaelli. A skoro nie przyszedł, to znaczy, że naprawdę był chory! W każdym razie wchodzi psor Pozzi, od historii sztuki, ma rozrysowany cały rozkład sali, uporządkowany, superprzygotowany. Jak w grze w statki. No więc, on ma to zrobione jeszcze lepiej. Każda ławka ma swój numer: 1A, IB, 2A, 2B i tak dalej, do niej przypisane jest imię i nazwisko oraz to, ile razy uczeń był pytany. Okay, no to posłuchajcie.

- Dzieciaki, do sali... Proszę zająć swoje miejsca. Ty też, Liccardi!

- Ja jestem Pieri!

- Ach, tak, idź na miejsce, Pieri.

No właśnie, psor Pozzi ma jedną nieprawdopodobną wadę. Nikogo nie rozpoznaje! A może to zaleta. Tak czy inaczej to było niesamowicie zabawne. Psor siada za biurkiem. Wyciąga z torby dziennik i otwiera go.

- Dzisiaj pytamy, pytamy... Triello!

Nie zdążył jeszcze podnieść wzroku znad dziennika, jak Cudini usiadł już na miejscu Triello: ławka 6A. Raffaelli, druga kujonka, od razu interweniuje i podnosi rękę.

- Przepraszam, panie psorze...

Ale Bettoni, wielki przyjaciel Cudiniego, powstrzymuje ją.

- Ani mi się waż... Bo oberwiesz na przerwie. Profesor Pozzi sprawdza na swoim planie, czyja to ręka.

- Tak, Raffaelli, słucham.

- Nie, nic. Myślałam, że to mnie pan będzie pytać.

- Nie, ty już masz wszystko, to właśnie Triellemu brakuje oceny. Dobrze, powiedz mi w takim razie...

Cudini stoi w pełnej gotowości, trzyma ręce z tyłu za plecami, jest wyprostowany i spokojny, i przygotowany na wszelkie pytania.

- Opowiedz mi o sztuce romańskiej... - Cudini śmieje się, jakby ^mówił „No dalej, wiem to!”.

Bettoni wyjmuje komórkę i oczywiście zaczyna nagrywać. ~ Sztuka romańska została praktycznie skradziona starożytnej Syrii, autorami pierwszych malowideł byli Babilończycy... i Sumeryjczycy!

Profesor Pozzi zdejmuje okulary, jakby dzięki temu miał lepszy słuch.

- Kto?

- A nie, przepraszam, Egipcjanie.

- Egipcjanie?

- Ależ, co ja mówię, Francuzi.

- Francuzi...

- Nie, nie... eee, Bułgarzy!

Litania absurdów oczywiście doprowadza nas wszystkich do śmiechu, rechoczymy jak wariaci, myślimy o Triello, który na bank znałby odpowiedź na każde pytanie, a tymczasem nagle staje się jednym z największych nieuków w klasie. I to podczas swojej nieobecności!

- Nie chce mi się wierzyć, Triello! Co się dzieje, postradałeś rozum?

Psor Pozzi uderza dziennikiem w biurko.

- A wy z czego się śmiejecie? Z jego niewiedzy? Świetnie! Świetnie! Nie powinno was to bawić. Co się dzieje, Triello, zakochałeś się? Twoja drużyna przegrała? Piorun uderzył cię w głowę? Miałeś same piątki! I co ci teraz postawię? Wiesz, co ci postawię? Jasne, że nie wiesz... Nic nie wiesz! Postawię ci niedostateczny!

I dalej śmiejemy się do rozpuku.

Cudini nie odpuszcza.

- Psorze, jest pan niesprawiedliwy, coś jednak wiedziałem.

- Co?

- Jak to co? To dlatego, że pan nie słuchał, wymieniłem mnóstwo narodów.

- Tak, również te, które nastąpiły po Rzymianach! Triello! Przynosisz wstyd tej szkole!

- To pan jest osłem, który nic nie rozumie!

I zaczyna się kłótnia, która przybiera takie rozmiary, że Cudini-Triello zostaje wyrzucony z jedyneką z klasy. Następnego dnia prawdziwy Triello, już zdrowy, wchodzi do klasy.

- Cześć, co słychać?

- Dobrze się czujesz?

- Wszystko w porządku?

Triello patrzy na nas osłupiały. Wszyscy pytają go o zdrowie. Nigdy nie cieszył się takim zainteresowaniem nikogo z klasy.

- Martwiliśmy się! - Triello idzie na swoje miejsce. Oczywiście nikt mu o niczym nie powiedział. Ale jak tylko na niego spojrzeliśmy, ciągle się śmialiśmy.

Po południu Cudini wysłał mu SMS-a: *Wejź na www.scuolazoo.com. I... dzięki!* Kiedy Triello podłączył się do Internetu i zobaczył, jak przepytuje go profesor Pozzi, chociaż tego dnia był nieobecny, no cóż, omal nie dostał zawału.

- O mamó...

Nie muszę mówić, że ocena Triella ostatecznie została wpisana Cudiniemu, który jednak utrzymał się w zestawieniu na www.scuolazoo.com przez dobrych dziesięć tygodni. To jego absolutny rekord.

Dla mnie luty to najfajniejszy miesiąc w roku. Po pierwsze dlatego, że wtedy się urodziłam, dokładnie trzeciego, a po drugie dlatego, że jest święto zakochanych. Już sam fakt, że jakiś miesiąc został wybrany jako czas, kiedy świętują zakochani, jest ważny, prawda? Poza tym zrozumiałam, że trzeci lutego to wyjątkowy dzień. Tego dnia urodziło się wielu wybitnych ludzi: pisarz Paul Auster, kompozytor Felix Mendelssohn, francuska socjolog Simone Weil. Nie jest bardzo znana, ale to, co o niej czytałam, zrobiło na mnie wielkie wrażenie. Miała silny charakter, ale była wrażliwa, i w tym widzę nasze podobieństwo, zaniepokoiło mnie natomiast to, że gdy miała czternaście lat, przeszła kryzys wieku młodzieńczego, co doprowadziło ją niemal do samobójstwa. Kiedy o tym przeczytałam, zatkało mnie. Muszę przyznać, że ja też parę razy o tym myślałam. Potem rozmawiałam na ten temat z moimi przyjaciółkami.

- Naprawdę? Ale dlaczego? - Clod patrzy na mnie bez słowa.

- To absurdalne... Dlaczego coś takiego przychodzi ci do głowy?

- No, nie wiem, może dlatego, że wszystko wydaje mi się takie skomplikowane, sprawy dorosłych są takie... takie nieosiągalne, że gdy stajesz naprzeciw tego nieznanego, co się zbliża i czemu przyjdzie ci stawić czoło, wolisz tego nie doczekać.

Alis milczy przez chwilę. Potem patrzy na nas i uśmiecha się.

- Mnie często to przychodzi do głowy. - Przerzywa i po chwili kontynuuje: - Może dlatego, że się nudzę. - Przygląda się nam uważnie w sposób, który doprowadza nas obie do szału.

- Któregoś razu naprawdę spróbowałam!

- I co zrobiłaś?

- Napiłam się dżinu dla kurażu.

- A potem?

- Potem nie wiedziałam co robić, kręciło mi się w głowie, czułam się ohydnie. I w końcu strasznie się porzygałam. Mama się wkurzyła, bo pobrudziłam jej ukochany dywan... Teraz już mi przeszło, ale dżinu nie znoszę. Jak również dywanu mojej mamy... Idziemy?

Tamtego dnia kupiła sobie i nam mnóstwo rzeczy. Dostała kartę kredytową, sama nie wiem, z jakiego powodu. Może także mamie opowiedziała tę historię, a ona, nie wiedząc, co powiedzieć czy zrobić, podarowała jej tę kartę. Tak czy inaczej fakt, że także Simone Weil brała pod uwagę takie rozwiązanie, sprawia, że czuję się lepiej. Myślmy sobie mnóstwo rzeczy i wydaje nam się, że jesteśmy zdziwaczałymi odludkami w tych swoich przemyśleniach, a tymczasem wcale tak nie jest. Wszyscy zastanawiamy się nad pewnymi sprawami. Ale niewielu jest takich, co potrafią o tym opowiedzieć. W takim razie Simone Weil musiała się komuś wygadać, bo inaczej nie byłoby tych informacji w jej biografii, prawda? A jednak strasznie polubiłam tę Simone! Najpierw była wykładowcą, potem porzuciła nauczanie i została robotnicą, wydała *Wybór pism* z całą swoją poezją, refleksjami o, jak pisze, „wyjątkowej spójności egzystencjalnej”. No właśnie, podoba mi się to, bo nawet jeśli, być może, nie do końca ją rozumiem, to jednak jest wyjątkowa. Myślę, że chciała przez to powiedzieć, że zawsze starała się być w porządku, co wtedy nie było takie łatwe, a fakt, że urodziła się tego samego dnia co ja, a raczej ja tego samego co ona, no bo przecież przyszła na świat dużo wcześniej ode mnie, sprawia, że jesteśmy do siebie podobne, nawet bardzo. Tak samo powinnam mieć wiele wspólnego z pisarzem Paulem Austerem i kompozytorem Mendelssohnem, dwiema silnymi i wrażliwymi osobami, znanymi na świecie, właśnie dlatego, że potrafili za pomocą słów i muzyki wyrazić swoje uczucia.

Natomiast człowiek, z którym nie potrafię się identyfikować, to reżyser Ferzan Özpetek. On też urodził się tego samego dnia co ja, ale gdyby Rusty, który go uwielbia, nie zabrał mnie na jego film, najpewniej nigdy bym go nie obejrzała. Jego filmy są, jakby to powiedzieć, bolesne. Tyle jest bólu na świecie, że nie mam ochoty płacić siedem i pół euro za bilet, żeby oglądać przez dwie godziny bez przerwy, jak wiele jest cierpienia. Sama to wiem... i nikt mi za to nie płaci! Ale skoro kino stawia Rusty i bardzo mu na tym zależało, to w końcu po dwóch dniach przetrzymałam film *Saturno contro. Pod dobrą gwiazdą* i nawet nie zapisałam go w swoim dzienniku jako „negatywne wspomnienie”. Może Rusty miał rację, kiedy powiedział: „Och, Caro... pewnego dnia zrozumiesz”.

Ale nie mówił jak tata, który zdaje się traktować mnie jak niedorozwiniętą umysłowo, powiedział to w taki ładny sposób, jak dziadek Tom. Dają mi po prostu do zrozumienia, że z pewnymi sprawami nie ma się co spieszyć, że pewne uczucia, emocje dojrzewają z czasem, jak niektóre owoce, a kiedy nadchodzi właściwy moment, wtedy, dokładnie tak - można się w nie wgryźć. Natomiast o zawrót głowy przyprawia mnie fakt, że przyszłam na świat tego samego dnia co *Carosello*. Nie jest to coś, co dobrze znam czy oglądałam, ale mama mi mówiła, że było fantastyczne. Babcia Luci zwykła mawiać: „Położę cię spać po *Carosello*”.

Mamie bardzo się podobało. Po kolacji myła szybko zęby i zasiadała przed telewizorem. To był zbiór reklam, podobnych do dzisiejszych, tylko że wtedy, jak mówiła mama, brali w nich udział wszyscy ówcześni aktorzy, także ci najwięksi. W programie przedstawiano same zabawne spoty, z wesołymi piosenkami, często animowane, w każdym razie mama zawsze powtarza: „Jestem córką *Carosello* i jego dobrego poczucia humoru!”.

Może właśnie stąd bierze się jej podejście do życia, jest zawsze uśmiechnięta, nawet kiedy ma tyle spraw na głowie, kolejny monotony dzień ^w pracy, potem biegiem wraca do domu, stoi w korkach, a na końcu Przygotowuje dla nas kolację i wszystko to robi z uśmiechem na ustach.

Ale mama jest córką *Carosello*... A ja jestem córką mamy... Może właśnie dlatego chciała, żebym miała na imię Carolina? Czasami popadam w jakieś absurdalne paranoje! Do tego jutro są moje urodziny

i już nie będę musiała kłamać różnym Lorem, Lelem i wszystkim innym, którzy są zdania, że tak ważne jest mieć czternaście lat! Ale co ja mówię... Czy nagle moje postrzeganie świata, to, co myślę o tacie, o Rustym, o szkole, o mężczyznach w ogóle i o czymkolwiek innym, co przyszło mi na myśl do dzisiaj, jutro będzie inne? A skąd! Ja będę zawsze sobą, mając czternaście lat zamiast trzynastu, a przyniesie mi to wyłącznie szczęście.

I tylko jedno nie daje mi spokoju: Dakota Fanning. Czy ktoś wie, kto to jest? Młodziutka amerykańska aktorka, która skończy czternaście lat dwudziestego trzeciego... No cóż, ona jest dużo bardziej znana ode mnie, nawet jeśli urodziła się dwadzieścia dni później, i to ja jestem od niej starsza. Nauczyła się czytać, gdy miała dwa lata, ale mama powiedziała mi, że zaczęłam pisać, gdy skończyłam cztery, mogłybyśmy tu rywalizować, co nie? Ale to i tak nie ma znaczenia, bo ona miała szczęście bardzo wcześnie poznać tych, których ja mogę nie spotkać przez całe swoje życie: Seana Penna, Roberta De Niro, Denzela Washingtona, Toma Cruise'a, Stevena Spielberga, Paris Hilton, Michelle Pfeiffer... Przeważnie już sam fakt obcowania ze starszymi ludźmi czegoś uczy. A jeśli obcujesz z tymi tu wymienionymi, nic dziwnego, że potrafisz czytać w wieku dwóch lat!

Jednak muszę przyznać, że ona jest naprawdę świetna. Któregoś wieczoru Rusty, jak jeszcze mieszkał z nami, przyniósł *Człowieka w ogniu*

i chociaż mama nie chciała, żebym oglądała ten film, to udałam, że idę spać, i z bratem obejrzałam go w całości.

Cudowny! Rusty powiedział, że Dakota Fanning jest tam przejmująca, a Denzel wyjątkowy, co potwierdzam, natomiast mamy nie rozumiem.

Film mnie zupełnie nie wystraszył. Był trochę brutalny, to prawda, ale z Alis i Clod widziałyśmy gorsze. Relacja między Dakotą a Denzelem jest podobna do tej, która łączy mnie z Rustym, oboje czujemy się chronieni. I może dlatego, chociaż ona ma czternaście lat i jest taka sławna, nie miałabym nic przeciwko temu, żeby została moją przyjaciółką, i jestem pewna, że byśmy się świetnie dogadywały.

No dobra, idę spać.

Dziadek Tom zawsze mi powtarza: „Śmiech i marzenia są sekretem lepszego życia”.

Nie wiem, czy będę się śmiać, czy marzyć o pięknych rzeczach, wiem, że teraz idę do łóżka. Jak dla mnie nie ma nic lepszego niż spędzanie czasu w oczekiwaniu na dzień, o którym z góry wiesz, że cię uszczęśliwi. A jutrzejszy taki będzie. Już to, że z trzynastolatki stanę się czternastolatką i nie będę musiała nikogo okłamywać, jest osiągnięciem. To znaczy, nie muszę już kłamać... na temat wieku! Dobranoc.

Ranek. Czuję bajeczny zapach.

- Nie wierzę! Mamo! Zrobiłaś mi pączka z kremem i czekoladą... Pycha, to najlepszy początek dnia! Dziękuję! - Jem fantastyczne śniadanie.

- Wszystkiego najlepszego, Caro! - Nawet Ale wydaje się miłsza. Dała mi całusa, obejmując mnie mocno od tyłu, i muszę przyznać, że tego się po niej nie spodziewałam. Jednak najlepsze czeka mnie po wyjściu z domu.

- Nieee! - Są wszyscy: dziadek Tom, babcia Luci, Rusty, a za mną idą mama, tata i Ale.

- Podoba ci się?

- Jest piękna...

Idę ze łzami w oczach, wzruszona tym, co dla mnie zrobili. Czarna vespa 50 special, najnowszy model.

O rany, oglądam ją dokładniej, ma kilka zarysowań, siedzenie jest jasnobezowe, jak dla mnie kolor jest trochę wieśniacki. Musieli kupić używaną. Obchodzę ją dookoła, no właśnie, jest też trochę wgnieciona... Oczywiście, szczerze mówiąc, wolałabym minibrykę, zwłaszcza na wypadek deszczu, aixam albo ciemnoszarą chatenet z przyciemnianymi szybami, taką jak ma Raffaelli... Ale zdaję sobie sprawę, że nawet używany, kosztuje zbyt dużo.

Po obejrzeniu całego skutera przystaję i jak rasowa aktorka zamykam oczy ze wzruszenia.

- Jest po prostu piękny... Naprawdę.

- To dobrze, Caro, cieszę się... - Mama całuje mnie w czoło. - Muszę lecieć do pracy.

- Ja też, uprzedziłem, że się godzinę spóźnię, żeby być przy tej niespodziance, ale teraz muszę już iść.

- Dzięki, tato. Zrobiłeś mi naprawdę super prezent.
- Ach. - I macha ręką, jakby chciał powiedzieć: „Nie ma sprawy...”. Tak mniej więcej zachowuje się ktoś, kto nie za bardzo wie, jaki prezent wręczył.

- Proszę, to dla ciebie.

Siostra podaje mi paczkę, otwieram ją. Ciemnoróżowy kask z numerem na górze.

- „14”! Ale czad...

Potem podchodzi Rusty i daje mi następny prezent.

- A to na wypadek, gdybyś miała przewieźć z tyłu swoją przyjaciółkę... - i trochę aluzyjnie - albo swojego przyjaciela.

- Ale wypas, taki sam kask z napisem „14bis”!

- My mamy dla ciebie łańcuch, żeby ci go nie ukradli...

- Dziadku, nie mów tego nawet żartem. To przynosi cholernego pecha!

- Carolina!

- A to breloczek...

- Jaki ładny! Od razu przypnę klucze.

Wybrali z metalową literą K, właśnie tak jak lubię, Karolina przez K, jak Krnąbrna! Tak jak wtedy, kiedy staram się być nieprzejednana i zdeterminowana, a potem... potem w ogóle mi się to nie udaje! Babcia Luci dobrze o tym wie.

Mama próbuje zaprowadzić porządek.

- Rusty, odwieź siostrę do szkoły, bo się spóźni. .

- Super! Mogę pojechać vespą.

- Prowadzi Giovanni, już to mówiłam... Nie masz jeszcze karty motorowerowej i jesteś trochę zaspana!

- Ale, mamo, ja już umiem świetnie prowadzić. Policja mnie nie złapie na odcinku stąd do szkoły, to strasznie blisko!

- Właśnie, więc zaraz wyślę cię tam na piechotę. Daj spokój, Carolina, nie przesadzaj, daj się odwieźć bratu.

Prycham. Ale syf, myślę sobie w duchu. Nawet dzisiaj, w moje urodziny, traktują mnie jak małe dziecko. Ale tuż za rogiem Rusty się zatrzymuje.

- Trzymaj vespę... - Każe mi zsiąść. Potem sam schodzi i wrzuca swój kask „14bis” do bagażnika z tyłu.

- Co robisz?

- Idę do domu. Cześć, powodzenia w szkole... i wszystkiego najlepszego!

I tak po prostu, poprawiwszy kurtkę, z rękami w kieszeniach, odchodzi z tym swoim zabójczym uśmiechem.

- Dzięki, Rusty James! - drę się wniebogłosy i odjeżdżam powoli moją Luną 9! Tak ją nazwałam. A to dlatego, że kiedy sprawdzałam, co jeszcze wydarzyło się trzeciego lutego, znalazłam informację, że właśnie tego dnia sześćdziesiątego szóstego roku radziecki prom kosmiczny wylądował na Księżycu. I jak się nazywał? Luna 9! Nie mieli może zbyt dużej fantazji ci Sowieci, ale do mojej vespy pasuje idealnie. I faktycznie dzięki Lunie robię kosmiczne wejście, lądując przed szkołą.

- Niemożliwe! Skąd ją zwinęłaś?

Gibbo, Filo, Clod biegną mi naprzeciw, również Alis i kilka innych dziewczyn z klasy wiwatuje na mój widok. Alis zawsze jest świetnie zorientowana.

- Jakie zwinęłaś, dzisiaj są jej urodziny, idioto! - I przytula mnie. - Proszę, to dla ciebie. - Podaje mi paczuszkę, którą rozpakowuję z niecierpliwością. - Ale super! To iPod Touch! Alis... On jest czadowy!

- Teraz, jadąc swoją nową vespą, będziesz mogła słuchać wszystkich piosenek... Wgrałam ci Finley, Linkin Park, Amy Winehouse, Alicię Keys, możesz więc zacząć używać go od razu.

Jest boski, kiedy dotykam, przesuwają się wszystkie okładki płyt. Puszczam piosenkę Rihanny i zakładam słuchawki. Zaczynam śpiewać jak wariatka, tańczy, śmieję się, skaczę i krzyczę, jestem przeszczęśliwa i wtedy... wpadam na wystający brzuch, typowo profesorski, znaczący. W rzeczy samej. Zdejmuję słuchawki.

- Pan profesor Leone...

- Tak, Carolina?

- Nic... Tylko dzisiaj są moje urodziny! i

Czekam chwilę. A potem również on robi mi cudowny prezent: uśmiecha się!

- W takim razie wszystkiego najlepszego! A wy, dzieciaki? Dzisiaj nie macie urodzin, prawda? Do klasy, no już... - Idealny poranek.

Wszyscy nauczyciele dowiedzieli się, że są moje urodziny, i w ten oto sposób ominęło mnie jakiegokolwiek odpytywanie.

Wpół do dwunastej. Dzwonek na długą przerwę.

- Poczekajcie, nie wychodźcie jeszcze.

- Ale, psorze, jesteśmy głodni, to długa przerwa.

- Jeżeli proszę, żebyście nie wychodzili, to chyba mam ku temu powód, prawda?

Słucham przez chwilę, ale nie przywiązuję do tego dużej wagi. Tak naprawdę bawię się iPodem... Nagle do klasy wchodzi babcia Luci i dziadek Tom.

- Oto dlaczego mieliście pozostać na swoich miejscach - mówi psor.

- Dzisiaj, to do tych, którzy nie wiedzą, są urodziny naszej wnuczki! Wszystkiego najlepszego, Caro. - Babcia Luci i dziadek Tom wypełniają całą klasę tacami z gorącymi, czerwonymi minipizzami! I przepyszными kanapeczkami! I okrągłymi, pikantnymi, pieczonymi bułeczkami, które pachną tak, że aż ślinka cieknie.

- Dziadku, babciu, nie trzeba było. Po porannej niespodziance... - Podbiegam do każdego z osobna i mocno obejmuję. I nie myślę o niczym innym, tylko o nich. Również dlatego, że wszyscy moi przyjaciele rzucili się na tace z jedzeniem i wcale na mnie nie patrzą. Odsuwam się od nich.

- Dziękuję, jesteście za dobrzy. - I też biegnę do tac. - Hej, zostawcie coś dla mnie.

Patrzę na nich* w głębi, dziadek ma siwe włosy, babcia nie. Dziadek jest wysoki, babcia nie. Stoją przytuleni, ściskają się, patrzą na siebie w taki sposób, że nie potrafię tego opisać, wydają się szczęśliwsi ode mnie. Babcia zamyka oczy i widzę, jak trzyma go mocno za rękę, mam wrażenie, że coś ją wzruszyło, że za chwilę się rozpłacze. Ale potem skupiam się na Clod.

- Wzięłaś wszystkie rodzaje bułeczek!

~ Och, ja je tak lubię...

- Rozumiem, ale zostaw też coś dla innych.

~ Oni i tak wolą minipizze. - Wzruszam ramionami, z nią i tak nie ma sensu dyskutować o jedzeniu. Kiedy się odwracam, dziadków już

nie ma. Oto dlaczego są tacy cudowni. Bo zjawiają się i znikają z uśmiechem na twarzy, bo czuję się kochana, nigdy nie zbesztana, jakby znali moje myśli, ale tego nie okazywali. Mają w sobie jakąś taką magię, ^ która znika w tej samej chwili, w której usiłuję ją wytłumaczyć.

Wczesnym popołudniem czeka mnie dziwna niespodzianka. Dzwoni komórka. Filo? Czego może chcieć o tej porze? Jest trzecia.

- O co chodzi, Filo?

- Mam problem, proszę cię, nie mogę teraz nic więcej powiedzieć... Możesz przyjechać na dworzec?

. - Na dworzec? Uczę się!

- Daj spokój, masz całe życie na naukę. Proszę cię, mam kłopoty.

- Sorry, a Gibbo? Nie możesz zadzwonić do niego?

- Ma wyłączony telefon.

- Jasne, już w to wierzę.

- Caro, czy naprawdę myślisz, że zawracałabym ci głowę w twoje urodziny? Tylko ty możesz mi pomóc!

Milczę przez chwilę. Ale syf.

- Proszę. Cisza. Moim zdaniem zbyt długa.

i - Jesteś moją przyjaciółką. : - Dobrze, przyjadę.

- Dzięki, Caro! - I rozłącza się.

No właśnie, Filo to wariat, zawsze potrafi znaleźć odpowiednie słowa i przekonać do zrobienia czegoś, czego nigdy normalnie bym nie zrobiła. Prosi w taki sposób, że w końcu jeżelibym odmówiła, to, no nie wiem... \ miałabym poczucie winy! A on wie, jak wiele znaczy dla mnie przyjaźń. Przed wyjściem sprawdzam jeszcze jedną rzecz.

Wybieram numer. Tak, to prawda. Gibbo ma wyłączony telefon.

Dworzec. Wyłączam silnik, wrzucam kask do bagażnika i, chociaż będę tu krótko, zakładam łańcuch podarowany przez dziadka. Bo nigdy nie wiadomo. Nawet parę minut może być brzemienne w skutki.

Zapinam porządnie kurtkę, wciskam na głowę czapkę i chowam pod spód włosy, żeby się trochę zakamuflować, nie dlatego, że jestem tak

sławna jak moja przyjaciółka Dakota, ale tu na dworcu samotna dziewczyna... Wiecie, jak to jest, kiedy nagle w ułamku sekundy przypominamy sobie wszystko to, co mówiono nam od dziecka: „Uważaj, nie chodź w niebezpieczne miejsca sama, nie rozmawiaj z nieznajomymi, nie otwieraj nikomu...”.

A efekt jest taki, że jak ktoś zapyta cię o godzinę, masz ochotę od razu go zastrzelić! Naciągam jeszcze bardziej czapkę, jestem trochę jak Matt Damon w *Tożsamości Bourne'a*... To znaczy, prawie, ja nie mam problemów z pamięcią. Chciałabym natomiast wiedzieć, gdzie, do cholery, jest Filo! Dzwonię do niego.

- Halo, gdzie jesteś? '
- A ty?
- Przed dworcem.
- Wejdź do środka.
- Mam wejść do środka?
- Tak, pospiesz się, bo nikt nie może mnie zobaczyć.
- Co ty kombinujesz?
- Caro, proszę, o nic nie pytaj, tylko ty możesz mi pomóc. Peron siódmy.
- Naprawdę muszę iść aż tak daleko?
- Tak, sam nie dam rady.
- Słuchaj, jeśli nie powiesz mi, o co chodzi, nie przyjdę.
- Proszę cię, nie bądź' teka, za minutę wszystkiego się dowiesz.
- Dobrze, rozłączam się.
- Nie, nie, bądźmy w kontakcie.
- Okay, no to idę... - I jeszcze płacę za to mnóstwo kasy, mam ochotę dodać, ale to wydaje mi się nie na miejscu, może naprawdę ma kłopoty.
- Dobra, idź teraz w stronę peronów...
- Właśnie tu jestem.
- Idź prosto, w kierunku siódmego peronu...
- Okay.

Patrzę na tablicę z rozkładem jazdy. Peron siódmy. Odjazd za niecałe Piętnaście minut, docelowe miasto - Wenecja. Niestety, informacja, skąd przyjechał pociąg, już się nie wyświetla. Dobrze, może to w ogóle nijak ma się do tego, że Filo tam jest.

O, Caro, widzę cię, idź dalej...

- Gdzie jesteś? Ja cię nie widzę.
- A ja ciebie tak. Masz granatową czapkę, żeby nikt cię nie rozpoznał!
Fukam. - Słuchaj, robię to ostatni raz, tylko ty zawsze pakujesz mnie w jakiś syf. Gibbo nigdy czegoś takiego...
- Tak naprawdę to on też maczał w tym palce! - I obaj wyskakują zza kolumny.
- Wszystkiego najlepszego! - Filo i Gibbo skaczą wokół, obejmują mnie i całują. Przechodnie patrzą na nas rozbawieni.
- No, już, przestańcie! Jesteście wariaci! Musieliście sprowadzić mnie aż tutaj, żeby zrobić mi tę niespodziankę?
Puszczają mnie.
- Tak. - Filo się uśmiecha. - A to dlatego, że... - Rozwija różową bluzę, jest na niej zdjęcie i napis z imieniem.
- Nieee! Czadowe! Biagio Antonacci! Mój ulubiony wykonawca!
- A tutaj... - Gibbo wyciąga coś z kieszeni - są trzy bilety na jego koncert w Wenecji.
- W Wenecji?
- Tak! Natomiast tu... - teraz Filo sięga do kieszeni - są trzy bilety na pociąg do Wenecji. Zatem... gazem, bo zaraz odjeżdża!
Biorą mnie obaj za ręce i ciągną za sobą. Prawie upadam, potykam się.
- Zwariowaliście! Co powiem rodzicom?
Gibbo patrzy na mnie roześmiany. - Daj spokój... O wszystkim pomyśleliśmy! Zostajesz na noc u Alis, która w ostatniej chwili zrobiła ci przyjęcie niespodziankę.
- Właśnie, twoje przyjaciółki przygotowały ci nawet ubranie na zmianę na jutro.
- I stamtąd pójdziesz od razu do szkoły.
Patrzę na nich i kręcę głową.
- No tak!
- Oczywiście. Nie ma potrzeby opuszczania nawet jednego dnia w szkole...
- Jesteśmy odpowiedzialni... W tym roku mamy egzaminy. Nie możemy tego olewać!
Wsiadamy do pociągu w ostatniej chwili. Czuję, jak rusza i to wszystko wydaje mi się nierealne, wkładam bluzę, całe szczęście, że przypięłam skuter! Wchodzimy do przedziału.

- To są nasze miejsca. Siadaj tu, jak chcesz. Nie spodziewałaś się tego, prawda?

- Nic a nic. Myślałam, że Filo jak zwykle wpakował się w nie wiadomo jakie kłopoty... - Pociąg pomału nabiera prędkości. Wyglądam przez okno. Wielkie marmurowe ściany, asfaltowe ulice, następnie żelazne pręty, dookoła perony i stare opuszczone pokryte rdzą pociągi.

Ciuch, ciuch. Dudum, dudum. Nabiera prędkości, coraz szybciej. Dudum, dudum... I nagle wszędzie zieleń, wilgotne pola, drzewa, przyroda zimną, świeżą, zdrową, harmonijną. Biorę bardzo głęboki oddech.

- Chłopaki, to moje najlepsze czternaście lat życia!

Filo i Gibbo wybuchają śmiechem i tak zaczyna się przygoda. Wchodzi konduktor i pokazujemy bilety. Gdy chce mi się pić, Gibbo wyciąga z plecaka trzy butelki wody, gdy chce mi się jeść, wydobywa także dwa kokosowe bouny, których czekolada strasznie mi smakuje. Tak czy inaczej *Krucjata Bournea* to przy tym pestka!

Chwilę później, godzina osiemnasta, już po rozmowie z Alis, która oczywiście musiała dodać swoje trzy grosze.

- Niemożliwe! Ja też chciałam jechać... Co za cudowna niespodzianka... Zżera mnie zazdrość!

- Daj spokój... To moje urodziny! Śpię u ciebie, okay?

- Okay!

Dzwonię do domu. Na szczęście odbiera Ale. Bywa męcząca, ale czasami jest wręcz idealna, okłamywanie jej to żaden problem.

- Zrozumiałaś? Zostaję na noc u Alis, a potem idę do szkoły.

- Okay.

- Powtórz...

- Och... Zostajesz na noc u Alis, a potem idziesz do szkoły.

- A jeśli będzie chciała ze mną porozmawiać...

- Zadzwoń do ciebie na komórkę.

- Brawo! Robisz postępy, gdy już prawie dojeżdżamy, dzwoni telefon. - To mama. Co mam robić?

Poczekaj.

- Gibbo wstaje i zamyka przedział.

- Okay... - Biorę głęboki oddech. - Cześć, mamó!

- Cześć, Caro, wszystko w porządku?

- Tak, świetnie, Alis z przyjaciółkami zrobiły mi super niespodziankę. Ale właśnie w tym momencie niespodziankę robią mi Koleje Państwowe. Metaliczny głos mówi: „Uwaga, podróżni, wagon restauracyjny...”.

Nie czekam na ciąg dalszy i się rozłączam.

- Cholera jasna. Tylko tego brakowało! Akurat teraz! - Czekam, aż komunikat się skończy, i od razu oddzwaniam do mamy.

- Co się stało?

- Nic, bateria była na wyczerpaniu... I się wyłączył.

- Aha.

Próbuję ją uspokoić. - Jedna z moich koleżanek miała ładowarkę i teraz podłączyła mi go do gniazdka.

- No dobrze. Ale co zrobisz jutro ze szkołą?

- Dostałam od nich w prezencie podkoszulek i bieliznę...

- O wszystkim pomyślały te twoje przyjaciółki...

- Tak... - Patrzą na Gibba i Fila. - Bardzo dobrze przygotowały tę niespodziankę...

- W porządku. Wytłumaczę cię przed ojcem.

- Dzięki, mamó.

- Caro, nie idźcie spać za późno...

- Nic się nie martw. Widzimy się jutro na obiedzie.

Rozłączam się i oddycham z ulgą.

- Juhuu! Poszło świetnie!

Obejmuję ich i skaczymy razem przeszczęśliwi. Czuję się lekko, jakby spadł ze mnie ogromny ciężar. I właśnie wtedy pociąg się zatrzymuje.

- Wenecja.

Tym razem to ja biorę ich za ręce.

- Chodźcie, wysiadamy! - Ciągnę ich i wychodzimy z dworca. Idziemy wzdłuż kanałów Wenecji. Wszędzie jest woda. Przechodzimy po małych mostkach. W mieście pełno turystów. Wydaje mi się, że jest trochę chłodniej niż w Rzymie, może dlatego, że robi się późno. Mamy niezły ubaw na myśl o przejażdżce gondolą.

- Udawajmy, że jesteśmy trójką narzeczonych... Ale zdaje się, że to będzie trochę kosztować.

- Dobra, ja spróbuję.

Filo taki właśnie jest. Ma tupet. Idzie porozmawiać z gondolierem. Mężczyzna wygląda na sympatycznego, ma wielkie wąsy i rzadkie blond włosy. Obserwujemy go razem z Gibbem. Nic nie da się zrobić, gondolier potrząsa głową. Wraca Filo.

- I co? '

- Chce dwustu pięćdziesięciu euro!

- Ile? Chyba za całą gondolę! Tylko co my z nią potem zrobimy! Śmieje się. - Ja nawet nie wiem, jak ją nosić!

- Poczekajcie... - Postanawiam spróbować. - Ile mamy?

- Ja mam dwadzieścia.

- Ja trzydzieści.

- Ja pięćdziesiąt.

Dla Gibba to łatwizna. - Mamy równiutkie sto euro.

- Okay... Ale jeśli nam czegoś zabraknie, będziemy głodni lub nam się zachce... W tym samym momencie obaj dotykają się tam. \”

- Pomijając fart, na który się powołujecie, musimy mieć to na uwadze... Niemniej jednak próbuję. Idę do gondoliera. Y

- Dzień dobry... Wiem, że może pan w to nie uwierzyć, ale dzisiaj są moje urodziny, a ci dwaj zabrali mnie do Wenecji. Tylko że tamtem chłopak... -I zaczynam opowieść, która sama nie wiem, skąd mi przychodzi. Ale opowiadam tak dobrze i przekonująco, że pod koniec gondolier jest prawie wzruszony.

- Okay... Dobrze. . Wracam uszczęśliwiona do Gibba i Fila.

- Weźmie nas na krótszą przejażdżkę, ale wiecie, ile chce?

- Powiedz. .

- Czterdzieści euro!

- Jak to zrobiłaś?

- W pewnym sensie to twoja zasługa, Gibbo.

- Dlaczego?

- Chodź, wsiadamy, potem ci wytłumaczę.

- Dzień dobry... - Gondolier zaprasza nas i na końcu pomaga wsiąść Gibbowi. - Witaj... - mówi to trochę przygnębiwym głosem, co Gibbo

zauważa, i dołącza do nas. Siadamy we trójkę na wygodnej kanapce wyłożonej dziwnym włochatym sukniem. Gibbo upewnia się, czy gondolier na nas nie patrzy.

- Co mu powiedziałaś?
- Dlaczego pytasz?
- Przyjął mnie, jakby to była moja ostatnia przejażdżka gondolą!
- W pewnym sensie tak właśnie jest.
- Proszę, żarty na bok...
- Nic takiego. Twój rodzice właśnie powiedzieli ci, że się rozstają.
- Gdyby to było możliwe... Ciągłe się kłóć.
- I że wylądujesz w szkole z internatem.
- Ach, tak? Mam nadzieję, że przynajmniej wybrałaś jakieś fajne miejsce.
- Och, ale i tak tam nie dotrzesz.
- A to dlaczego?
- Bo uciekłeś.
- A starzy mnie nie szukają?
- Nie. Nie są nawet zaniepokojeni. Natomiast twój ojciec dowiedział się, że nie jest twoim prawdziwym ojcem...
- Neeee!

Filo się śmieje.

- Nic dziwnego, że z takim popaprańcem na pokładzie... zaproponował nam przejażdżkę gratis!

Płyniemy pod małymi mostami, które łączą uliczki Wenecji, gondolier ma na imię Marino, jest miły, a jego gęste wąsy skrywają piękny uśmiech, wydaje mi się dobrym człowiekiem i chyba taki właśnie jest.

Po przejażdżce Gibbo, który trzyma naszą wspólną kasę, płaci. Już odchodzimy, kiedy Marino mnie woła.

- Carolina, historia o tym chłopaku była naprawdę smutna... Tak smutna, że koniec końców... wcale w nią nie uwierzyłem, wiesz?!

Popatrzyliśmy na siebie i on wybuchnął śmiechem. - Bawcie się dobrze! - A potem powiedział w dialekcie weneckim: „Chi no le fa de carneval, le fa de quaresema”, co oznacza „Kto nie szaleje w młodości, szaleje na starość”. Miły facet, chociaż nie do końca się z nim zgadzam.

Dlaczego jedno ma wykluczać drugie? Chcę szaleć, nawet jak będę babcią! I z myślą o przyszłych szaleństwach dołączam do Gibba. Słyszę, jak czyta coś w przewodniku, który kupił za dwanaście euro. Filo go słucha i zadaje pytania, jak to on, raz głupie, a raz nie... Jestem z tyłu, idę za nimi i słucham, i tak jak powiedział Marino, dla mnie to trochę karnawał, a trochę Wielki Post. Czuję się bardzo dorosła, spacerując tak po Wenecji, i jestem pewna, że to jedna z tych rzeczy, które pewnego dnia, chociaż upłynie mnóstwo czasu, będę doskonale pamiętała. I mam nadzieję, że wtedy nadal będą obecni w moim życiu Filo i Gibbo, że wszystko będzie jak dzisiaj, że nic się nie zmieni, ani odrobinę. Po chwili robi mi się trochę smutno. Sama nie wiem dlaczego. Może dlatego, że w głębi duszy wiem, że tak nie będzie. Gibbo odwraca się do mnie.

- Przyszedł mi do głowy pewien pomysł... - Patrzy na mnie i zauważa mój nastrój.

- Caro, co się dzieje?

- Nic, dlaczego?

- Sam nie wiem, miałaś taki wyraz twarzy...

- Ależ skąd, mylisz się... Co chciałaś powiedzieć, co za pomysł przyszedł ci do głowy?

Uśmiecham się i udaję, że nic się nie stało, a Gibbo jest w porządku, bo albo kupuje to, czyli ja tym samym staję się coraz lepszą aktorką, albo udaję, że nic się nie stało, i puszcza to w niepamięć.

- Popatrzcie. Przeczytałem tu... - Wskazuje na przewodnik. - W lokalach *bacari* o tej porze dnia zamawia się aperitif „Cień”, do tego suszonego solonego dorsza, oliwki, małe rybki, *suppti*, krokiety... I całe mnóstwo innych dobrych rzeczy. Idziemy?

Chwilę później siedzimy na wysokich drewnianych taboretach przy małych stolikach zastawionych pysznym odjechanym jedzeniem... Suszony i solony dorsz w maśle, sardynki w sosie słodko-kwaśnym, małże, ślimaki morskie, gotowane ośmiorniczki i sałatka mięsno-warzywna z kawałkami cielęciny, octem i oliwą. To ostatnie nie bardzo mi smakuje, jest trochę za twarde, ale reszta jest przepyszna! I tak... zapominam o diecie. Poza tym tylko raz kończy się czternaście lat, prawda? Przy okazji odkrywamy, że nazwa aperitif u bierze się stąd, że o tej porze

słońce zachodzi i tym samym wypija się... cień. W takim razie zamawiamy również *spritz*.

- To odrobina bittera albo aperola, woda mineralna i białe wino, jest bardzo słabe...

Gibbo i ten jego przewodnik, nic mu nie umknie.

Tylko że ten *spritz* wcale nie jest taki słaby. I w końcu lekko oszołomieni, praktycznie rzecz biorąc, upojeni, sama nie wiem jak, docieramy do Mestre na koncert Biagia. Ale czad!

Rozpoczął od *Sappi amore mio*, potem *Le cose che hai amato di pili* i *L'impossibile* oraz *Se e vero che xi sei* i *Iris*. Przy tej ostatniej naprawdę się wzruszyłam. Wiecie, jak to jest, kiedy czuje się takie dziwne dreszcze i chciałoby się, żeby ktoś nas przytulił, i chociaż byłam tam z chłopakami, moimi najlepszymi przyjaciółmi, to w tamtej chwili zatęskniłam za Massim. A raczej za miłością w ogóle. Za smakiem pocałunków, za nieopisanym szczęściem, za dotknięciem jednym palcem trzech metrów nad niebem! Za tym wszystkim, czego tylko miłość szalona, nagła, magiczna, niewytłumaczalna, wyjątkowa pozwoli ci doświadczyć. W tej sytuacji objęłam Gibba i Fila.

- Chodźcie, zatańczymy razem...

- Mam pomysł, wyślijmy MMS-a do Clod i Alis, proszę! Chciałabym, żeby one też wiedziały, co właśnie tutaj przeżywamy! Gibbo, nagrzasz mnie?

Tańczę, mając za sobą scenę, a Biagio śpiewa *In una stanza quasi rosa*, uśmiecham się do przyjaciółek i przesyłam im całusa, czuję się wśród tych wszystkich ludzi jak jakiś didżej, śpiewam: *Zobacz, jak ta miłość rośnie i sprawia, że jesteśmy blisko siebie w tym pokoju, a kiedyś byliśmy na zewnątrz, ubierzmy się znowu i chodźmy tam, niech nasze wszystkie marzenia ujrzą światło dzienne*. Na końcu zamykam wzruszona oczy.

- Gotowe! - Gibbo podaje mi telefon i oglądam nagranie.

- Jest boskie! Widać z tyłu światła i Biagia! Chwilę później wysyłam go do Alis i zaraz potem do Cloda oba na numer 488, obciążający ich konta!

Nie mija sekunda, a dostaję odpowiedź od Alis. *Umieram z zazdrości*.

A potem od Clod, a raczej od operatora sieci: *Wiadomość została odrzucona!* Zaraz jednak przychodzi od niej SMS.

Nie mam ani euro! Dobrze się bawisz? Mam nadzieję, że tak! Pokażesz mi jutro w szkole, dobrze?

I dalej śpiewam pod gwiazdami, pod wolno płynącymi chmurami. Tańczę z zamkniętymi oczami, tuż przy scenie, pośród ludzi na stadionie w Mestre i zatracam się w dźwiękach muzyki, czuję się dorosła i szczęśliwa i przez chwilę rozważam, czy w ogóle chcę wracać do domu. Ale to tylko chwila. A trochę później, w pociągu, sama się z tego śmieję.

- Co robi Gibbo? Śpi?

Filo patrzy na niego i kiwa głową. Patrzymy przez okno w przemykającą przed naszymi oczami noc, gdzieś w domach palą się jeszcze światła. Tu i ówdzie widać odbijające się w oknach refleksy włączonych telewizorów. Ciemne pokoje, ktoś pali papierosa na balkonie. Nie wiedzą, że na nich patrzę, że coś z ich życia przenika do mojego. Filo znalazł kawałek sznurka i macha nim nad nosem Gibba, który natychmiast się drapie, a potem śpi dalej, oboje wybuchamy śmiechem. - *Ćśśś...* - Przykładam palec do ust w obawie, że go obudzimy. Ale Filo znowu robi to samo, jak gdyby nigdy nic... Pociąg nigdzie nie staje i prawie frunie do Rzymu. Ledwo zdążamy wysiąść.

- Która jest godzina? - Gibbo jako jedyny spał. Filo popycha go do wyjścia.

- Powinieneś być najbardziej przytomny, a tymczasem marudzisz za wszystkich!

- Daj spokój, jest wpół do ósmej... W sam raz na dotarcie do szkoły.

- Nie jemy śniadania?

- W barku naprzeciwno!

- Okay.

Idziemy do naszych pojazdów. Na szczęście skuter nadal jest na swoim miejscu. Zakładam kask i słuchawki od iPod'a. Włączam *Iris Biagia*¹ gdy jadę do szkoły, wydaje mi się, jakbym nadal była na koncercie. Ledwo zsiadam ze skutera, a już dopadają mnie Alis i Clod.

- I jak? Ale czad! Dobrze się bawiłaś? Co wymyśliście? Gdzie zjedliście kolację? Widzieliście jakieś supermiejsca?

- Dlaczego nie zostaliście w Wenecji? Pokaż filmik, który mi wysłałaś. Alis ją przytrzymuje.

- Widziałam go... Jest czadowy!

- Nie miałam już kredytu w telefonie!

- Jak zwykle.

I prawie zaczynamy się kłócić.

- Dziewczyny, do klasy! - Tym razem ratuje nas pani od matematyki. I nawet nie zdążyłam zjeść śniadania! Ale to była najbardziej szalona rzecz, jaką w życiu zrobiłam.

Dostaję wiadomość od mamy.

Wszystko w porządku? Jesteś w szkole?

Oczywiście, odpowiadam.

I chce mi się śmiać. Gdyby tylko wiedziała, że pojechałam pociągiem do Wenecji, potem do Mestre, że byłam na koncercie Biagia, spędziłam noc w pociągu i wróciłam, umarłaby. Odwracam się. Filo padł, śpi na ławce, podczas gdy psorka coś tłumaczy. Natomiast Gibbo jest rześki jak poranek i gdy matematyczka pisze na tablicy, wychyla się ze swojej ławki i kawałkiem kartki łaskocze Fila w ucho.

Filo się wierci, raptem budzi się i szybko drapie. Cała klasa się śmieje. Cudini oczywiście wszystko nagrał, nauczycielka patrzy na nas.

- Zachowujcie się... Co w was dzisiaj wstąpiło?!

Gibbo siedzi nieruchomo w swojej ławce. Uśmiecha się. Odegrał się.

Jestem genialna! Zdałam egzamin na kartę motorowerową! Zrobiłam dwa błędy, ale zdałam! Mama się ucieszyła, brat też, tata... trochę mniej. Pewnie we mnie nie wierzył. Ja zresztą też nie wierzę! Faktycznie tych kilka prób z nim na skuterze Alessandry na dziedzińcu nie poszło mi najlepiej. Omal nie uderzyłam w samochód Marca, który mieszka na naszym pięttrze, ale na szczęście zręcznie się z tego wykaraskałam. Bez żadnych obrażeń. Zatem wreszcie mogę prowadzić moją vespę całkiem legalnie! I tak nią jeździłam przez cały czas.

Teraz jestem szybka jak błyskawica. Nie mam żadnych problemów. Wręcz bawi mnie poznawanie na nowo ulic. Oczywiście, żeby wybrać się do dziadków, dokąd nigdy wcześniej nie jechałam sama, musiałam sprawdzić mapę w Internecie, która jest super, bo natychmiast znajduje ulice, podaje odległość i w sekundę wszystko drukuje. Wsadzasz to sobie do kieszeni i gotowe! Faktycznie, po ośmiu minutach, o dwie szybciej niż podawał serwis Google Maps, byłam już na miejscu. Tylko raz zatrzymałam się, żeby sprawdzić ulicę, w którą miałam skręcić i której nie pamiętałam. Babcia wyszła po zakupy. W niedzielę chce zaprosić parę osób, bo są jej urodziny. Natomiast dziadek rysuje w swoim gabinecie. Jest naprawdę dobry. W jednej chwili kilkoma pociągnięciami potrafi stworzyć całą sytuację, pejzaż, dom, osobę.

- Co robisz, dziadku? Uśmiecha się do mnie, nie patrząc.
- Bilecik dla twojej babci... Jutro jest czternasty lutego, święto zakochanych.
- No tak.

Rysuje dalej. Używa flamastrów w różnych kolorach, otwiera je, koloruje, nakłada skuwkę i odkłada na biurko, potem bierze kolejny i jeszcze kolejny.

- Podoba ci się?
- Pokażesz? Bardzo!
- Rozpoznaję babcię, jak gotuje, w tle jest stół, a przy nim ludzie.
- Ależ ta w rogu to ja!
- Tak... A tu obok twój brat. Jak go nazywasz? Rusty John...
- James!
- Ach tak... Rusty James, Alessandra... A to jestem ja!
- Tak, rozpoznałam.
- A ona gotuje dla nas te wszystkie smakołyki, które potrafi przyrządzić...
- A jak...

Teraz dziadek trzyma wielkie czerwone serce z napisem: DLA CIEBIE, KTÓRA KARMISZ MOJE SERCE!

- Jest przepiękne, dziadku!

Spogląda usatysfakcjonowany na swój rysunek i uśmiecha się z zadowoleniem. Patrzy jeszcze raz. A potem słyszy odgłos windy i klucza w drzwiach.

- Ćśśś... To ona!

- Jesteście?

Dziadek szybko chowa rysunek pod teczkę, zbiera wszystkie flamastry i wkłada je do dużego kubka. Potem spogląda na mnie sprytnie i puszcza oczko.

- Tak, jesteśmy tu!

Babcia Luci wchodzi do gabinetu.

- Cześć... Co tu kombinujecie? - Unosi brew i się śmieje.

- Nic, rozmawialiśmy.

- Taak! - Patrzę na niego wesoło. - Chcę przewieźć dziadka na swojej vespie.

- Ależ nie możesz. Wlepią ci mandat.

- Lucillo, co ty o tym możesz wiedzieć?

- Czytałam... Musisz poczekać, aż skończysz szesnaście lat. Podchodzi do dziadka i delikatnie całuje go w usta z uśmiechem tak pełnym miłości, że ja sama to czuję.

- Kupiłam to, o co prosiłeś.

- To, co lubię? - W jednej chwili dziadek zamienia się w dziecko mniejsze ode mnie.

- Tak, właśnie to! Idę przygotować wam coś do jedzenia, dobrze?

- Super, babciu, pomogę ci!

I tak rozkładamy się w kuchni. Babcia otwiera chipsy i przesypuje je na duży talerz.

- Właśnie o nie mnie prosił... Chipsy paprykowe.

- Aha...

A ja nie wiadomo jakich tajemniczych rzeczy się spodziewałam. Kręcimy się po kuchni, przygotowujemy jedzenie, serwetki, szklanki i całą resztę i rozmawiamy o wszystkim i o niczym. Babcia zadaje mi mnóstwo pytań, a ja swobodnie na nie odpowiadam, czuję przyjemność bycia z nią i zapach miłości, który unosi się w całym mieszkaniu. I wszystko wydaje mi się takie proste, mówię jej o rzeczach, o których czasami, nawet jeśli bardzo się angażujesz czy starasz, nie jesteś w stanie nikomu powiedzieć.

Nauczyciele zaczęli przypominać nam o końcowych egzaminach, ale mnie wydają się one tak odległe, że nie chcę o nich nawet słyszeć! Poza tym w kwietniu odbędzie się zebranie dla rodziców, ostatnie, końcowe, najważniejsze, o rany, nie mogę się zbłaźnić. Czy przypadkiem nie mieli z niego zrezygnować?! Ściągnęłam z Internetu całe mnóstwo testów, ale nie jestem pewna, czy to wystarczy. Moja siostra powiedziała mi kiedyś, że to przerabane, i nie wiem, czy jej wierzyć, jest taka inna ode mnie. No więc, moim zdaniem, z historii będą Włochy po drugiej wojnie światowej, z geografii Oceania, z włoskiego Svevo albo Calvino, a z nauk przyrodniczych? Nie wiem. Można połączyć Oceanie z trzęsieniami ziemi i wulkanami, to jest chyba obszar bardzo na te zjawiska podatny? Nie jestem pewna. Z francuskiego i ze sztuki chciałabym przygotować Plennego Matisse'a. Chyba będzie pasować do zadanej epoki? Z angielskiego przygotuję Australię, co do muzyki to nie wiem, czy jest na egzaminie, ale myślę, że do historii wplotę muzykę jazzową, zetpety - nie mam Pojęcia. Poza tym nie wiem, czy lepiej jest powtórzyć cały program z Poszczególnych przedmiotów? Czy koniec końców jest to przydatne, czy całkowicie zbędne? Uff, nie mam siły. Zamyślona nad tymi pytaniami, wyciągam pod ławką kanapkę, schylam się, chowając za plecami

tego, kto siedzi przede mną, i próbuję oblizać nutellę, która wycieka z boku kanapki. Słyszę Clod, która widzi mnie ze swojej ławki. Już jest gotowa mi pomóc. Jakby na moją prośbę dzwoni dzwonek na długą przerwę... I od razu jak bomba wybucha wiadomość.

- Rozstałam się z Dodo.

- Czyli?

- Czyli to koniec... Miałam dość. Milczymy z Clod.

Rozkładałam ręce. - Przykro mi... Może pomalutku mogło wyjść z tego coś poważnego. Ciekawska Clod pyta: - Czy to dlatego, że chciał zbyt wiele?

- Gdyby! - Alis zapala papierosa, za wszelką cenę chce być buntowniczką. - Nic kompletnie go nie obchodziło, nawet to... Myślał tylko o grze w piłkę, ciągle ze swoimi przyjaciółmi, na drinka ze swoimi przyjaciółmi, spotykać się ze swoimi przyjaciółmi, a jeśli nie, to był w kawiarni swojej mamy... Dajcie spokój, dziewczyny, tak nie można żyć!

- No tak... - Tak naprawdę nie wiemy, co powiedzieć, tyle zrobiła, żeby go poderwać, przez moment wydawała się nawet zakochana. Chociaż może zrobiła to tylko dlatego, że się założyłyśmy, chciała być jak zawsze najlepsza i pierwsza. Ale to ja tak myślę i koniec. Na pewno nie mogę jej tego powiedzieć.

- Rozstaliście się właśnie dzisiaj, w walentynki...

- Wczoraj. Kupiłam mu nawet prezent, ale na samą myśl o spędzeniu z nim wieczoru... Nie dałam rady.

- Co mu kupiłaś? - Clod czasami jest naprawdę niemożliwa, zamiast siedzieć cicho, mówi, i to za dużo.

- Aparat cyfrowy. Nie dałam mu. Mam go ze sobą, poczekajcie, zrobię wam zdjęcie.

Ustawiamy się, Alis na wyciągniętej ręce robi zdjęcie nam trzem w momencie, kiedy stroimy głupie miny. Potem sprawdza, jak wyszło.

- Świetnie! Posłuchajcie, zrobimy tak...

- Co?

- Dziś wieczorem, na oczach wszystkich zakochanych, zjemy kolację we trójkę, pasuje wam? Ja zapraszam... Wiecie co, chodźmy do Wild West na Giustiniana! To czadowe miejsce.

- Okay! - Popołudnie upływa na szczęście spokojnie, nie ma nawet dużo pracy domowej do zrobienia. Wyciągam się na łóżku, z nogami w górze, i włączam iPoda. Słucham muzyki wyrywkowo. Nie mam nic do roboty. Czasami, kiedy słucham niektórych piosenek, wydaje mi się, jakby ci, którzy je napisali, mieszkali z nami i mogli słyszeć wszystko to, o czym myślimy. W tych tekstach jest dokładnie to, co czuję i co chciałabym powiedzieć na przykład Massiemu. Tak bym chciała... Nic dodać nic ująć. Trzeba by podziękować i zespołom, i piosenkarzom, bo mówią za nas. Na przykład, gdy kochasz kogoś, ale jesteś nieśmiała albo myślisz, że robisz błąd, i gotowe! Wystarczy, zadedykować odpowiedni utwór. A przy odrobinie szczęścia ta osoba zrozumie wszystko to, czego nie potrafiłaś powiedzieć, i może zadedykuje ci jakąś inną. Piosenki do śpiewania, do ponownego słuchania i do tańczenia razem na imprezie. Piosenki do przytulania, do wpisania do pamiętnika... Massi, my już mamy naszą piosenkę. Zabawne, nie mamy wspólnej historii, ale mamy wspólną piosenkę.

- Mamo, wychodzę wieczorem.
- Ale czy nie za mało się uczyłaś?
- Nie było zbyt dużo na jutro.
- Dobrze, ale o jedenastej masz być z powrotem,.. - Zastanawia się przez chwilę.
- Dlaczego wychodzisz właśnie dziś? W walentynki... Z kim idziesz?
- No co ty! - Chciałabym móc powiedzieć jej: oby tak było! - Idę z Alis i Clod.
- Nie kłamiesz?
- Oczywiście, że nie! Powiedziałabym ci, nie?! - Myślę o Biagiu Antonaccim i wcale nie jestem tego taka pewna.

Właśnie w tej chwili wchodzi Ale. - Jasne, mamo... Kto ją tam wie!

- Miła jesteś. A ty co robisz... Idziesz z Giorgiem czy z Faustem?

- Z żadnym, zostawiłam obu.

- A no właśnie... Dobrze zrobiłaś! ~ Tak, ale umówiłam się z Luçą...

Na twarzy mamy maluje się wyraz załamania. Staram się ją pocieszyć.

- Ona specjalnie tak mówi. Wiesz, jaka jest. To wcale nieprawda. Chce, żeby było ci przykro. - Mama nabiera otuchy. Ale mnie to nie przekonuje.

Dwudziesta trzydzieści. Dzwoni domofon.

- Czy ktoś odbierze? Kogo niesie o tej porze?

- To do mnie, tato. Halo?

- Jestem na dole... - Właśnie. To Clod.

- Idę.

- Wychodzisz codziennie...

- No co ty, tato... Ani razu nie wyszłam w tygodniu. Poza tym uprzedziłam mamę. - Wchodzi mama z talerzami w rękę.

- Tak, to prawda.

Tata na to nie idzie. Jak zawsze jest zdenerwowany.

- To, że cię uprzedziła, nic jeszcze nie znaczy.

- Ale ona wychodzi tylko ze swoimi dwiema przyjaciółkami.

- Nie o to chodzi.

- Ale...

I zaczynają się kłócić. Robi mi się przykro, ale na dole czeka Clod. Poza tym mam ochotę wyjść. Przytłacza mnie ten dom. Zwłaszcza kiedy dochodzi do takich kłótni. Takich głupich i niepotrzebnych. Takich... że nie mogę ich wytrzymać! Trzaskam drzwiami od salonu. Specjalnie. Następnie zbiegam szybko po schodach, za każdym razem skacząc z ostatnich stopni. Dwóch. Potem trzech. Nawet z czterech. Jestem wściekła. Bardzo. Tata zawsze źle traktuje mamę. Dlaczego ona nadal z nim jest? Może ze względu na nas, dzieci. W jakimś sensie to także nasza wina. Nienawidzę mojego ojca. Nienawidzę jego zamachu na moje szczęście.

- Dawaj, jedź!

- Hej, co się dzieje? - Clod rusza gazem zgodnie z moimi wskazówkami

- Nic. Nic się nie dzieje. - Walę pięścią w deskę rozdzielczą jej samochodu.

- Nie wyżywaj się na nim, on nie ma z tym nic wspólnego... Ale ja też pokłóciłam się z mamą. Nie chciała, żebym wychodziła... Czasami chciałabym być Alis...

- Mowa.

Nie odzywamy się przez większość drogi, mówię tylko, jak jechać.

- Na końcu skręć w prawo. Potem prosto.

Clod prowadzi skoncentrowana, w ciszy, nie rozmawiamy. Jednak po chwili, ot tak, niespodziewanie, przechodzi mi. Już nawet o tym nie myślę.

- Daj spokój, jest super... - Biorę do ręki płytę i oglądam ją.

- To najnowsza Maroon 5... Skąd masz?

- Aldo zrobił mi kopię.

- Naprawdę? To świetnie. Spoglądam na nią. Ona na mnie. Uśmiecha się.

- Pożyczysz mi, zrzucę na iTunes, a potem na iPoda?

- Jasne! ;

- Dobra. - I podryguję sobie aż do Wild West. 7 Alis czeka na zewnątrz.

- Co jest? Co się dzieje?

- Nic, są tylko trzy pary i do tego same staruchy! - Zaglądam do środka.

- Daj spokój, wygląda fajnie... A poza tym jeden z tych, o których tak mówisz, jest podobny do mojego brata!

- No co ty, gdyby tak było, od razu bym na niego poleciała... Zobacz to spojrzenie. Jest stary! Chodźcie, uciekamy stąd...

I wsiada do swojego minicara.

- Ale przecież zarezerwowałam stolik!

- Tak, ale podałam nazwisko Clod! Za mną! - I odjeżdża z maksymalną prędkością.

Jedziemy za nią na pełnym gazie i w końcu podjeżdżamy do Celestina w dzielnicy Parioli. Alis zostawia minibrykę parkingowemu.

- Nie zarysuj mi go, bo cię zabiję... - mówi do niego, śmiejąc się, ale moim zdaniem wcale nie żartuje. W końcu wszystkie trzy wchodzimy do środka.

Podchodzi kelner.

- Czym mogę służyć?

- Zarezerwowałyśmy stolik dla trzech osób. Sereni.

Alis musiała zadzwonić z samochodu, tym razem podała prawdziwe nazwisko. Była pewna, że tu przyjdziemy.

- Cześć Alis.

- Dobry wieczór.

Pozdrawia ją jedna pani, która je kolację z dziwnym facetem. Oboje trochę nowobogaccy. Może to znajomi jej mamy. Sądząc po tym, jak są ubrani, to wcale niewykluczone.

- Proszę, to wasz stół.

Siadamy. Alis rozgląda się wokół.

- Tutaj znacznie lepiej.

- Tak, zdecydowanie.

- Jest też trochę bliżej...

- Ale nie ma fajnych ludzi.

Przy stolikach siedzą pary w różnym wieku.

- Hej, czy tamta laska, to nie... Jak ona się nazywa? - Patrzę uważniej w kierunku, który brodą wskazuje mi Alis. Tak, to ona. I jest z innym, w dzień świętego Walentego, to nie byle jaka kolacja.

- Kto to jest... Nie pamiętam jej imienia. Alis nie odpuszcza. - Dziewczyna Matta!

- Melissa...

- Ha, no właśnie, Melissa! - Dziewczyna, która siedzi dość daleko, jakby nas usłyszała. Spogląda w naszym kierunku. Ja i Clod od razu odwracamy się w drugą stronę.

Natomiast Alis twardo wytrzymuje spojrzenie. Co więcej, widzę, jak *unos* brew, jakby mówiła: „Hej, ślicznotko, co robisz na kolacji z innym?”. Następnie Alis odwraca się do nas. Pojedynek na spojrzenia zakończony.

- Nie do wiary. Wziął ją za rękę. Pieści ją...

- W takim razie...

- Matt i ona rozstali się!

- Jutro do niego dzwonię!

- Alis! On momentami nie pamiętał nawet mnie, ciebie widział może raz w życiu...

- Tak, ale sądząc po tym, jak na mnie patrzył... Zobaczysz, że będzie pamiętać. Będzie pamiętać...

- W porządku...

Otwieram menu. Kiedy Alis tak się zachowuje, działa mi na nerwy. Jest taka pewna siebie! A poza tym, przepraszam bardzo, ale może to

ja mam pierwszeństwo? No właśnie, wkurzam się nie na nią, tylko na siebie! Ponieważ powinnam powiedzieć jej to, co myślę. Musimy o tym porozmawiać, żeby wreszcie do niej dotarło, zwłaszcza że wiem, kto ma rację. No dobra, może kiedy indziej. I to też mnie złości, bo zawsze przekładam wszystko na kiedy indziej. Czasami, kiedy chcę się jej odgryźć, nie mogę znaleźć właściwych słów i odpuszczam. Potem wracam do domu i przychodzi mi do głowy genialna riposta... Ale jest już za późno!

- O czym myślisz?

- Och, o niczym...

No właśnie, idealny przykład.

- Zamawiamy? Idzie kelner.

Alis patrzy na nas w oczekiwaniu na decyzje.

- Ja poproszę przystawkę warzywną, a na drugie makaron amatriciana.

- Lekkie jedzenie, co... Clod, a ty? Clod zamyka menu. - Dla mnie sałatka.

- CO?

Alis i ja spoglądamy na siebie i prawie mdlejemy.

- Niemożliwe...

- Co się stało?

- Czyżby pojawiło się w twojej głowie to słowo, którego tak nienawidzisz...

Dieta?

- Bardzo dowcipne. Nie jestem po prostu głodna.

Już na poważnie składamy zamówienie. Alis bierze pieczeń po katalońsku, której kiedyś spróbowałam i jak dla mnie była zbyt ostra, ale jej bardzo smakuje, cóż, tak to już jest. Po odejściu kelnera wracamy do naszego psychoanalitycznego przesłuchania.

- Chcemy znać przyczynę tej diety!

- Tak, co cię skłoniło do pomyślenia o...

- Co się stało?

- Ktoś ci coś powiedział?

- Starzy? Jakiś chłopak? - Film?

- Sen?

Setnie się bawimy, zadając jej coraz więcej pytań, aż w końcu Clod się poddaje.
- Okay, okay... Wystarczy. - Przez chwilę nic nie mówi. My też. - Chodzi o to, że...

- Chodzi o to, że?

Clod spogląda na nas po raz ostatni i wybucha śmiechem.

- Zaczęłam spotykać się z Aldem.

- Nieee!

- Nie wierzę! - Alis odchyła się na krześle tak, że prawie spada. Jestem przeschęśliwa, ale nie mogę w to uwierzyć.

- Nie żartujesz, prawda?

- Czy wyglądam na osobę, która żartuje z tych rzeczy?

- Opowiadaj...

I tak powolutku nad naszym stolikiem zapada cisza, którą tylko słowo miłość może wywołać. Ponieważ miłość, czyli to, jak dwie osoby się poznają, spotykają, dzwonią do siebie, zaczynają ze sobą być albo się rozstają, tak już jest, interesuje wszystkich. A jeżeli opowiada ci o tym ktoś taki jak Clod, wzbudza to w tobie jeszcze większe emocje.

- No więc skończył się wuef. Wzięłam prysznic i miałam jeszcze trochę mokre włosy. Wyszłam na zewnątrz, a on tam był, przed wejściem na siłownię. Padało, krople deszczu widoczne były w snopie światła, bo przepaliła się żarówka w latarni.

- No! To nawet lepiej...

Clod uśmiecha się do Alis. - O dziwo nie zamierzał nikogo naśladować. .. Milczeliśmy, a potem powiedział mi coś pięknego: „Wiesz, wcześniej nie znośmę chodzić na wuef...”.

- A ty na to co?

- Powiedziałam, że ja nadal nie znoszę... Ale i tak chodzę. Zaczęliśmy się śmiać. Potem tuż przy krawężniku przejechał szybko samochód. Kierowca nas nie zauważył i prawie ochlapał...

- Pięknie, jak w filmach!

- Niewiele brakowało, więc przysunęliśmy się do siebie... I sama nie wiem jak, ale zaczęliśmy się całować.

- Jak dwa szczęścia, które przyciągają się jak magnesy...

- Tak, albo jak dwa nieszczęścia!

Alis zawsze musi wszystko zepsuć.

- Więc co w takim razie robisz tutaj... Dzisiaj powinnaś świętować z nim!
- No właśnie, wysłał mi wiadomość, może zobaczymy się później.
- Idź teraz! - Clod patrzy na Alis, jakby pytała: „Czy mogę?”. Ale ja się nie zastanawiam, tylko nalegam.
- Leć! Leć! Alis mnie odwiezie.
- Oczywiście... Ja ją odwiozę! - Jeszcze nie dokończyła zdania, a Clod prawie przewraca stół.
- Dzięki. Wymyśliłyśmy tę kolację i w ogóle. Nie wiedziałam, jak wam o tym powiedzieć... - I znika z lokalu. Zostajemy same, jemy i dużo gadamy, komentujemy tę niewiarygodną wiadomość.
- Zdajesz sobie z tego sprawę... Clod ma chłopaka, a my nie!
- Jednak jestem szczęśliwa. Ona była tą, która teoretycznie miała najmniejsze szanse. Przez moment Alis wydaje się smutna i w ogóle tego nie rozumiem. Powinnyśmy się cieszyć ze szczęścia naszej przyjaciółki. Zrealizowała swoje marzenie! Oczywiście dla mnie spotkanie się z Aldem i znoszenie codziennie tych jego niezrozumiałych parodii byłoby traumatyczne. Ale skoro ona jest szczęśliwa... Mówię o tym Alis, jednak ona zdaje się być myślami gdzie indziej.
- Przepraszam, czy jest tort czekoladowy?
- Oczywiście.
- Przyniesie mi pan jedną dużą porcję? Potem patrzy na mnie i się uśmiecha.
- Może w przyszłym roku to my będziemy miały chłopaków, a ona znowu będzie sama...
- Nooo... To niewykluczone, ale może wszystkie trzy będziemy... z chłopakami!
- Alis dziwnie na mnie spogląda i wzrusza ramionami.
- Tak, pewnie...
- Według mnie to dziwne, że taka możliwość w ogóle nie przyszła jej do głowy.

Tom, dziadek Caroliny

Jestem Tommaso, dziadek Caroliny. Mój wnuk Giovanni, czy, jak nazywa go Carolina, Rusty James, utrwała świat na papierze. Ja również. Tylko że używam innego rodzaju papieru - fotograficznego. W obiektywie mieści się cała przestrzeń, którą chcę uwiecznić. To małe kółeczko może zatrzymać magiczne, niepowtarzalne chwile. Fotografia zatrzymuje czas, zabija obawę, że wszystko zniknie. Wystarczy jedno kliknięcie. Ten obraz, a zwłaszcza myśli, które on przywołuje, na zawsze pozostaną nasze. To właśnie najbardziej podobało mi się zawsze w fotografii. Chwile, które mogę dzielić z innymi, na przykład z moją Lucillą. Dla mnie jest piękną modelką. Twarz, która często zmienia wyraz i jest punktem wyjścia dla wielu fotografii. Powinniście ją zobaczyć. Ma takie oczy, że nie potrafię wam ich opisać. Zatracam się w nich każdego dnia. Kiedy na nią patrzę, czuję się bezpieczny. Przechadza się spokojna po mieszkaniu. Porządkuje, czyta, robi sobie herbatę, rozmawia ze mną. A ja jestem szczęśliwy. Wiem, że gdybym umarł dzisiaj, i tak wszystko byłoby w porządku, bo dostałem w życiu to, czego chciałem. A właściwie nie. Dostałem to, czego nie wiedziałem, że chciałem. Bo często sami nie wiemy, czego pragniemy. Myślimy, że wiemy, co jest dla nas najlepsze, ale w rzeczywistości sami to sobie narzucamy. To ryzyko, które podejmujemy, jeżeli nie słuchamy samych siebie. Przy mojej Lucilli nauczyłem się szukać tego, czego pragnęło moje serce. Kiedy więc odgrzebuję wszystkie moje zdjęcia, mogę odtworzyć każdy etap naszej wspólnej podróży. Ona, która nauczyła mnie, jak żyć, i sprawiła, że stałem się lepszym człowiekiem. Ona, która nigdy się nie poddała, nawet wtedy, gdy nie mieliśmy żadnych pieniędzy i nie wiedzieliśmy co robić. Zakasała rękawy i spokojnie krok po kroku zaczęła, z tego minimum, które zo-

stało, wszystko budować. Na tych fotografiach utrwalone jest całe życie, można poczuć chwile, które starałem się zatrzymać. Nic z nich nie tracąc. Nawet kiedy nas już nie będzie, przetrwa to, co ważne. A kto kocha, będzie potrafił uchwycić te drobnostki, umykające w ferworze dnia codziennego. Fotografuję od lat. Trzymam zdjęcia w albumach, które stoją w salonie, i czasami wieczorem siadamy na kanapie i je przeglądamy. Ileż to wspomnień i śmiechu, a czasami trochę żalu za tym, co już nie wróci. A jednak największa przyjemność tkwi w ich ciągłym oglądaniu. Zwłaszcza kiedy wszędzie widzimy nas samych i obserwujemy, jak strona po stronie się zmieniamy. Ja i ona. Co za miłość. Miłość. Nadal pamiętam, kiedy spotkałem ją po raz pierwszy. Oboje byliśmy bardzo młodzi, a ja trochę niezdarny. Jechałem na rowerze i zobaczyłem ją... Szła w taki sposób, że do dziś pamiętam. Pięknie się poruszała, lekko i pewnie jednocześnie. To mi dodało odwagi. Pamiętam, jak przeraziła mnie myśl, że mógłbym ją stracić, że jeżeli nie zrobiłbym wtedy nic, to więcej bym jej nie zobaczył. Musiałem ją zatrzymać, w jakiś sposób uwiecznić. Ale nie miałem czym. Byłem tylko ja. Więc zsiadłem z roweru i się przedstawiłem. Najpierw się wystraszyła, ale po chwili wybuchnęła śmiechem. Wybuchnęła śmiechem... W tamtych czasach nie wypadało zaczepiać ot tak, na ulicy, a dziewczyny udawały nieśmiałe, również w obawie przed tym, co inni mogliby powiedzieć. Ale nie ona. Mimo że był środek dnia, ona się śmiała. I odezwała się do mnie. A ja wiedziałem, że bez niej nic nie będzie miało sensu. I tak to się zaczęło. Poznałem wiele kobiet, ale żadna nigdy nie wydała mi się równie wspaniała co moja żona. Kiedy tak wybuchnęła śmiechem, zrozumiałem, że za wszelką cenę muszę zdobyć aparat. Żeby móc ją fotografować. Żeby uwiecznić ten śmiech. I wszystkie inne... Kupiłem go tak szybko, jak to było możliwe, na raty, za pieniądze ze swojej pierwszej pracy. Ale kupiłem. I ciągle robiłem jej zdjęcia, a ona się krygowała. Była przepiękna, nawet wtedy, kiedy stroiła miny. A potem zacząłem fotografować krajobrazy, przedmioty, inne swoje pasje, naszą córkę, wnuki, wszystko to, co mnie otaczało, znajdowało się w moim obiektywie. Określam się ¹ Przemawiam za pomocą fotografii. Również poprzez rysunek, moje drugie zainteresowanie, ale to jednak nie to samo, co robienie zdjęć.

Kiedy na nie patrzę, widzę fragment swojego życia i dokładnie pamiętam dany dzień. Uśmiecham się. Wiem, że one mnie przeżyją. Może ktoś, przeglądając je uważnie, zobaczy uśmiech mojej duszy. Jeżeli tak się stanie, to będzie to moja prawdziwa spuścizna.

Marzec

Ile czasu udało ci się mieć wyłączoną komórkę? Nigdy!

Czego żałujesz w minionym miesiącu? Nadal nie odnalazłam Massiego.

Czym dla ciebie jest wiosna? Lekkością.

Najgorszy SMS, jaki dostałaś w tym miesiącu: *Które zwierzę, po dodaniu przedrostka, pozwoli ci się utrzymać na powierzchni? Ka-jak*. Wysłał mi go Filo!

Włosy długie czy krótkie? Długie.

Najładniejszy film, jaki widziałaś? Czy najładniejszy nie wiem... ale za to najśłodszy to *Ratatuj*.

Biały czy czarny? Biały.

Paznokcie zadbane czy obgryzione? Ani takie, ani takie. . Twój ulubiony komplement? Jesteś ładna. Ten, którego nie znosisz? Jesteś laska.

Pamiętam, że od dziecka zawsze mówiono mi: „W marcu jak w garncu”. Nie bardzo rozumiałam, co to znaczy, nawet się dobrze nie rymuje. Już lepiej: „W marcu jak w skarbcu”. Wtedy byłby to ulubiony miesiąc Alis! Albo: „W marcu jak w karcu”. Pasowałoby do Clod i jej diety.

Poza tym na dobrą sprawę w każdym miesiącu może być jak w garncu. Zależy od tego, co się będzie działo. A jednak nie przyszło mi na myśli, że marzec tak bardzo odmieni moje życie. Nie. Nie w ten sposób. Ale zacznijmy od początku.

Nico jest bardzo zabawny. Jest dużo wyższy ode mnie, mocno zbudowany, przystojny, z kręconymi włosami i niebieskimi oczami. Wszyscy są zgodni, że na motorze jest szybki jak błyskawica. On się śmieje, Jedzie na tylnym kole i rozpiera go radość. Ma mocną czarną hondę ornet. Całkiem długo potrafi jechać na niej na tylnym kole.

- Chcesz pojechać na przejażdżkę? No dalej, Carolina, wskakuj z tyłu... Rzucimy wyzwanie wiatrowi.

Spogląda na mnie tymi swoimi niebieskimi oczami, które są jak spokojne morze kiedy patrzysz z oddali i nie widzisz, gdzie kończy się, a gdzie zaczyna niebo, zatracasz się w tym błękitcie. Podoba mi się, nie mogę powiedzieć, że nie. Ale przejażdżka na jednym tylko kole...

- Nie, Nico, dzięki.

- Jak chcesz... - Rusza z piskiem i obraca motor na tylnym kole, hamuje przednim i znowu obraca, a spod tylnego koła unosi się biała chmura, jakby dymu. Ale zaraz pojawia się gruba kobieta w kombinezonie i krzyczy na niego.

- Hej, Nico, uspokój się! Wszystko mi tu zapaskudzisz! Tu się pracuje! Nico zatrzymuje się, wyłącza silnik i parkuje motor. Potem wkłada

z powrotem na głowę czapkę i podchodzi do dystrybutora. Robi się trochę smutny i przybity. Już nie jest taki zuchwały jak przed chwilą.

- Ach, Carolina, musisz zatankować.

- Nie, nie, dziękuję, już to zrobiłam. - No właśnie, bo Nico jest synem pracownika stacji benzynowej. Ale to nie dlatego odmówiłam mu przejażdżki. Ja naprawdę się boję! Niemniej jednak odkąd go znalazłam, zawsze tankuję tutaj. To znaczy, nie odkąd znalazłam Nica, jego poznałam później, tylko jego ojca, Luigiego. To niski mężczyzna z wielkimi wąsami, pod kombinezonem nosi zawsze krawat, jest uśmiechnięty i miły, również dla mnie, chociaż płacę najwyżej pięć euro. Czasami pracownicy stacji, gdy widzą, jak mało tankujesz, i że muszą zdjąć pompę za „jedyne” pięć euro, źle cię traktują, nie patrzą na ciebie, gdy im płacisz, a w końcu nawet nie mówią do widzenia. Natomiast on i jego żona Tina są zawsze bardzo mili.

Tina jest gruba, masywna, ma duży biust i ciemne wzburzone włosy. To ona wcześniej pokrzykiwała na Nica, i chyba do niej jest właśnie podobny, chociaż oczy ma po tacie. Ta kobieta bardzo ciężko pracuje, często widzę, jak myje samochody, które jej zostawiają. Zajmuje się nimi, czyści je, a potem, po wyjeździe z automyjni, osusza. Rozkłada szmaty na masce i stara się wysuszyć przednią szybę, a potem dach, ale z takim biustem ledwo jej się to udaje. Zabawnie wygląda, bo piersi z trudem mieszczą jej się w kombinezonie, a ona dalej szoruje, włosy opadają

na twarz, jest spocona, sapie, ale wykonuje swoją pracę z wielkim zaangażowaniem. A Nico dalej robi te swoje ewolucje na tylnym kole, podczas gdy jego mama tak ciężko pracuje... Eh. Nie moja sprawa.

Pewnego dnia wracam ze szkoły, gdy jakiś motocyklista zajeżdża mi drogę. Chwyta mnie i prawie się przewracam, jestem zmuszona hamować i nie wiem, kim jest, dopóki nie zdejmuje kasku.

- Nico! Przestraszyłeś mnie!

- Przepraszam... - Milczy przez chwilę. - Dlaczego nie chcesz się ze mną umówić? Dlatego że mój tata nalewa benzynę? - Prawie mnie zatyka. Patrzę na niego, jak stoi przede mną z tymi kręconymi włosami, z zaciętym, ale w głębi duszy dobrym wyrazem twarzy, trochę skrępowany.

- Dlaczego tak mówisz? To nie ma nic do rzeczy.

- Na pewno?

- Oczywiście.

- Udowodnij mi to.

- Po pierwsze, niczego nie muszę ci udowadniać. A po drugie, nie umówię się z tobą, bo chcesz mnie wsadzić na ten motor, którym jeździsz jak wariat... Niewiele brakowało, a przewróciłbyś mnie przed chwilą, jak pomyślę, że miałbyś mnie przewieźć na jednym tylko kole... Nigdy nie pojedę.

Nico się uśmiecha. - A jeśli obiecuję, że będę jechał wolno... i nie na tylnym kole?

- Jeśli mi to obiecasz.

- Obiecuję.

Przez chwilę nic nie mówimy.

- Przejedziemy się?

- Nie mogę.

- No widzisz? Wiedziałem.

Nie mogę, bo muszę się uczyć. Dzisiaj jeszcze nic nie zrobiłam.

- Jutro po południu? - Widzę, jak patrzy z uniesioną brwią. Sprawdza mnie.

- Okay. Około piątej, o ile nie będzie padać.

Nico jest przeszczęśliwy. Jest jak rozkapryszony dziecko, które dostało o co prosiło. - Daj mi swój adres, to po ciebie pojedę.

- Nie, spotkamy się przed moją szkołą. Farnesina.

- Dlaczego? - Znowu staje się podejrzliwy.
- Ponieważ rodzice nie pozwolą mi jechać z kimś na motorze. I nie uwierzyliby w twoją obietnicę.

- Słowo, że jej dotrzymam.

- Dobrze. Cześć... Do jutra.

Cofa swój motor i pozwala mi przejechać. - Cześć.

Ale w drodze do domu zaczynam się denerwować. A niech to szlag. Nie powinnam się była zgadzać. Przymusił mnie. Nie czuję się swobodnie. Wiecie, jak to jest, kiedy czujecie, że musicie coś zrobić na siłę? Ze nawet jak na początku ma się ochotę coś zrobić, to potem już nie! Zawsze sama decydowałam, z kim się spotykać, a Nicowi chciałam po prostu pokazać, że historia z jego tatą nie ma nic do rzeczy... No cóż, sama się w to wpakowałam. A niech to szlag raz jeszcze. Wieczorem nadal jestem zdenerwowana i całe szczęście, że Ale poszła gdzieś na kolację, bo inaczej na pewno strasznie byśmy się pokłóciły. Na domiar złego nie mam do niego telefonu, już nawet nie mogę nazywać go po imieniu, taka jestem zdenerwowana, nie mogę wysłać SMS-a i wymyślić jakiejś wymówki... Ale koszmar!

- Co się dzieje, Caro? Widzę, że jesteś jakaś zdenerwowana...

- Nie, mam, wszystko w porządku.

- Na pewno? - Patrzy mi w oczy i mruży odrobinę swoje, jakby próbowała zajrzeć w głąb mnie. Niestety trochę się jej udaje, ale nie chcę jej niepokoić.

- Nie, mam, wszystko w porządku... Pokłóciłam się trochę z Alis.

- Tyle razy ci mówiłam, że ta dziewczyna jest dziwna, jesteście zbyt różne...

- Tak, wiem... Masz rację. Ale już mi przechodzi.

Faktycznie po umyciu zębów i zagrzebaniu się w łóżku trochę mi przechodzi. No dobra, co mi szkodzi. Spotkam się z nim jutro po południu i na tym koniec. Może nawet będę się dobrze bawić. W końcu to niezłe ciacho, zobaczymy, dokąd mnie zabierze. Te ostatnie myśli trochę mnie uspokajają i zasypiam.

Ale kiedy budzę się rano, wszystko wraca. Znowu jestem podenerwowana. Odczuwam dziwny niepokój. Taki jak wtedy, gdy przypomi

nasz sobie, że miałaś zły sen, ale nie pamiętasz jaki, chce się zjeść coś na śniadanie, ale nie wiadomo co, chcesz siedzieć spokojnie w ławce, ale to wyciągasz długopisy z piórnika, to znów szukasz czegoś w plecaku, aż w końcu...

- Caro, co się dzieje?

- Dlaczego?

- Przez sekundę nie siedzisz spokojnie...

- Och, przestań!

I nawet twoja przyjaciółka ci to mówi, a ty wiesz, że ma rację, i właśnie dlatego, że ma rację, tak bardzo cię to wkurza. Niemniej jednak po południu, po skończonej nauce, stoję przed lustrem. Przymierzam różne ubrania i w końcu wkładam to, co wydaje mi się najbardziej odpowiednie. Dżinsy, granatowa koszula w biało-niebieską kratkę, niebieska bluza Abercrombie, czarne buty Nike, szeroki pasek D&G, ciemnoniebieska kurtka Moncler. Nie jestem ani za bardzo, ani za mało odstawiona. Uczesałam się nawet, siedzę na łóżku i patrzę na stojący na biurku radiobudzik, przy którym normalnie o tej porze bym się uczyła.

16:10.

16:15.

16:18.

Przypomina mi się historia, którą opowiedział mi kiedyś Rusty James. Gdy odbywał służbę wojskową, wstawał bardzo wcześnie rano i cały dzień miał wypełniony obowiązkami, a godzinę przed wyjściem na przepustkę nie miał już nic więcej do zrobienia.

I tak wszyscy czekali na godzinę piątą, kiedy to otwarta zostanie brama, a oni będą mogli wyjść na przepustkę. Czas zdawał się stać w miejscu. Jeden żołnierz siedział z opuszczonymi nogami na murku, drugi przechadzał się tam i z powrotem, trzeci palił papierosa, a ktoś jeszcze przeglądał po raz dziesiąty ten sam magazyn, z którego zostały już same strzepy. I wreszcie dźwięk trąbki! Wszyscy biegiem pędzili w stronę małej furtki, która była jedyną drogą wyjścia z koszar. I właśnie ja czuję się podobnie. Z tą tylko różnicą, że nie wychodzę na przepustkę. Jestem umówiona z pułkownikiem Nico! Czuję się tak, jakby tylko ze względu na mnie przywrócono obowiązek służby wojskowej. No cóż,

tak czy inaczej wreszcie dochodzi szesnasta pięćdziesiąt, więc, po kolejnym uładzeniu pokoju, wychodzę.

Zostawiam mamie kartkę: „Niedługo wrócę... Caro”. To chyba jedyny raz, kiedy napisałam prawdę. Przynajmniej taki mam zamiar. Podjeżdżam pod szkołę, a on już czeka, stoi oparty o motor i ma ze sobą dwa identyczne kaski, jeden na baku, drugi na siedzeniu. - Cześć! - Jest wesoły i szczęśliwy.

- Cześć... - Mam nadzieję, że ton mojego głosu mnie nie zdradził. Nie. Nie włącza silnika i nie odjeżdża, zatem nie odgadł tego, co myślę.

- Przypnę skuter i już idę...

- Fajnie.

By zapiąć łańcuch, kucam przy przednim kole i między gaźnikiem a stojakiem widzę jego buty: zamszowe z zaczesanymi do przodu frędzelkami i klamerką z boku. O Boże, skąd on je wytrzasnął? Nawet jeśli szukasz w Internecie, może na eBayu, w kategorii „najbrzydsza rzecz na świecie”, trudno jest znaleźć coś takiego. Nawet tam nie są w stanie sobie czegoś takiego wyobrazić! Zresztą to już nieważne. Stało się.

Chwilę później siedzę za nim na motorze. Przynajmniej wolno prowadzi i dotrzymuje obietnicy.

- Dokąd jedziemy? - pytam z zaciekawieniem.

- Ach... To niespodzianka... - I lewą ręką klepie mnie po nodze tak jak klepie się psy, żeby je uspokoić. Mam ochotę zawyć wysoko do nieba i do swojej przeklętej zdolności pakowania się w kłopoty. Ale odpuszczam i obserwuję drogę, jednocześnie zdejmując jego rękę z mojej nogi.

- Prowadź obiema rękami, bo się boję... - I wszystko wydaje się zmierzać ku lepszemu.

Chwilę później.

Zwalnia, wjeżdża między dwa samochody i parkuje motor.

- Jesteśmy na miejscu! - Zsiada i zdejmuje kask.

- Podoba ci się?

To Luneur. Lunapark.

Patrzy na mnie uśmiechnięty, jest szczęśliwy, jakby to on sam go zbudował.

- Byłaś już tu kiedyś?

- Och... jeden raz. - Tak naprawdę przychodziłam tu z rodzicami, gdy byłam młodsza, i zawsze świetnie się bawiłam. Może dlatego, że mama wszystkiego się bała, a tata ciągle ją nabierał i straszył. Pamiętam, jak pojechaliśmy do Domu Strachów i mama nie chciała wsiąść do wagonika, który miał nas zawieźć do środka. W końcu poszliśmy razem we dwie, siedziałyśmy w pierwszym wagoniku i tak się darłyśmy, że te strachy były chyba bardziej przestraszone niż my.

- Chodź tutaj. - Bierze mnie za rękę i prowadzi do labiryntu z lustrami.

- Zaczniemy od tego, może być?

- Okay.

- Dwa bilety. Dziękuję.

Wchodzimy. Poruszanie się w środku nie jest zbyt trudne. Po kilku minutach jesteśmy z powrotem na zewnątrz.

- Podobało ci się?

- Eee, tak. Tylko przez moment nie wiedziałam, którądy iść.

- Ale byłaś świetna.

Tak naprawdę to dwa razy uderzyłam głową w lustro, którego nie zauważyłam. Wybuchnęłam śmiechem. Na szczęście tego nie dostrzegł.

- Postrzelamy trochę?

- Super!

Dają nam dwie strzelby, przytrzymuję palcem cyngiel, jakby to był karabin.

- Nie! Złe - krzyczy na mnie pan. - Jeden strzał na raz...

Robię, jak mówi, ale Nico i tak musi zapłacić kolejne dziesięć euro. Sporo go kosztuje. Ale w końcu to on chciał przyjść do lunaparku. Potem wsiadamy na tabatę i kiedy przyspiesza, skaczemy we wszystkich kierunkach, a Nico odsuwa się od krawędzi i próbuje dostać się do środka.

To samo stara się zrobić inny chłopak. Stoją tak sami pośrodku z szeroko rozpostartymi ramionami, jakby to było ich osobiste wyzwanie, który dłużej utrzyma się na nogach. Ja i dziewczyna tego chłopaka spoglądamy na siebie, ona kręci głową na znak solidarności, jakby mówiła: "Widzisz, na co nam przyszło". A ja mam ochotę jej odpowiedzieć: „Tak, ale w przeciwieństwie do ciebie, ja nie jestem jego laską!". Jednak nic nie mówię.

Chwilę później stoimy przed rzędem szklanych kulistych pojemników, jestem dość blisko nich i oboje próbujemy wrzucić do środka piłeczkę pingpongową. Nico w końcu się złości i bierze pięć naraz. Odbijają się od ścianek i lądują poza pojemnikami, nic dodać, nic ująć. Jest do bani. Ja biorę jedną i celnie wrzucam.

- Brawo, Carolina! Świetnie! Jesteś super!

Starszy pan staje przede mną z przezroczystą torebką, którą trzyma za dwa sznureczki, w środku jest woda, a w niej czerwona rybka.

- Gratuluję, brawo. To dla ciebie.

- Dziękuję. - Patrzę na tę biedną rybkę w torebce. Z trudem łapie powietrze. Jest unieruchomiona, może poruszać się tylko w jednym kierunku. Robi mi się smutno, ale już lepiej tak, niż ją tam zostawić.

- Chodź, masz ochotę coś zjeść?

Stajemy przed dziwnym Marokańczykiem, jest kolorowowo ubrany, wesoły, dużo mówi i zupełnie nie można go zrozumieć.

- Okay, co ma być do środka, tzatziki? Jak chcesz, wrzucę pomidor, cebula, poza tym kebab i świeża sałata. Czysta. Ty nic się mnie nie bój. Ja przygotowałam moimi rękami, wszystko świeże i umyte, okay? - I pokazuje Nicowi swoje ręce brudasas... Moja mama kazałaby mu umyć je ze czterdzieści razy.

- O tak, dla mnie dużo cebuli... Dla ciebie, Carolina?

- Nie, ja poproszę loda... w papierku, dziękuję. Marokańczyk otwiera drzwi znajdującej się obok lodówki.

- Wybierz sama, weź to, na co masz ochotę. - W końcu wybieram dużego loda o smaku miętowym. Nico zamówił sobie piłę z ogromną ilością kebabu, cebuli, majonezu, kwaśnej śmietany, pomidorów i sałaty. Siadamy przy stalowym stoliku na żelaznych krzeselkach, trochę odrapanych. Obok stoi wyblakły, czerwony plastikowy pojemnik ze zbyt dużą ilością upchniętych w środku serwetek.

Nico je zachłannie. - Hmm, dobre... - mruczy z zadowoleniem, uśmiecha się, ma pełną buzię jedzenia, ale na szczęście zamkniętą. - Zna się facet na rzeczy...

Nic nie mówię. Nawet papierek od loda wydaje mi się brudny. Chwilę później jesteśmy na Diabelskim Młynie Luneur. Jest bardzo wysoki. Nasz odkryty wagonik pnie się w górę i niebezpiecznie kołysze.

Siedzimy blisko siebie. Ja z moją lekko ogłuszoną rybką w torebce i Nico, od którego czuć cebulę. Niespodziewanie młyn zwalnia. Brrrum. Zimny, głuchy łoskot głównego mechanizmu. Wagonik buja się w przód i w tył. Po chwili, pomalutku, staje. Nico się wychyla.

- Oho, jesteśmy tylko my... - Patrzy na mnie z uśmiechem. - Chcieli zrobić nam przyjemność, zatrzymując karuzelę...

Tak... Też mi przyjemność. Ale nic nie mówię.

- Popatrz. Zobacz, jak tam ładnie w dole, widać zachodzące słońce. Daleko za domami, w stronę morza w Ostii, widać ostatni czerwony promyczek. Tak, to musi być słońce. Na niektórych kamienicach w dali odbijają się pomarańczowe refleksy.

Nico wskazuje w lewo. - Tam chyba jest Ołtarz Ojczyzny...

Wszystko zasłania wysoka sosna.

- A tam... - odwraca się w moją stronę - jest Koloseum... A dalej w głębi stadion olimpijski... Gdzie w niedzielę Magica zagra przeciwko Juve... Miejmy nadzieję, że wygra...

Cóż, mówię wam, cisza. Ale rozumiecie? Totalna cisza. Nic nie przychodzi mi do głowy, żadne słowo, żaden komentarz czy zdanie. Myślę tylko o jednym. Mam nadzieję, że ten facet na dole zaraz uruchomi młyn. Nico patrzy na mnie, poprawia sobie kurtkę.

- Wiesz, bardzo się cieszę, że się ze mną umówiłaś... Przepraszam, że pomyślałem, że jesteś... no, że jesteś inna, chodzi mi o tę historię z moim tatą, że pracuje na stacji benzynowej...

- Daj spokój. - Uśmiecham się do niego. - Nawet o tym nie myśl... Chciałabym zobaczyć, jak to samo mówi Alis, ciekawe co ona by mu na to odpowiedziała. Następnie Nico przysuwa się powoli.

- Jesteś bardzo ładna... - Bliżej, coraz bliżej. O Boże... czuję cebulę. Pomocy. Co ja teraz zrobię?

- Przepraszam, Nico... - Odsuwam się i odwracam w drugą stronę. - Nie bierz tego do siebie. Chodzi o to, że dopiero co się poznaliśmy...

- Masz rację...

Carolina! Mówiąc to, jawnie proponujesz mu ponowne spotkanie, a potem, drogi Nico, zobaczymy, kto wie... No właśnie.

Nico uśmiecha się z nadzieją. - W najbliższych dniach umówimy się na kolację... - Patrzy na mnie pewny siebie. O nie. Dostyc tego. Już mu

udowodniłam, że nie ma znaczenia, że jego ojciec pracuje na stacji benzynowej. Na tym koniec.

- Przykro mi... - Przebłysk geniuszu. - Ale spotykam się z kimś...

- Jak to? - No tak, punkt dla mnie, teraz może powiedzieć mi cokolwiek. Dlaczego wcześniej na to nie wpadłam?

- To znaczy, rozstaliśmy się... ale ja ciągle o nim myślę... Chciałam zobaczyć, jak to będzie umówić się z tobą... Myślałam, że już jestem gotowa...

Przychodzi mi do głowy to kretyńskie powiedzenie, które ciągle gdzieś słyszę. - Wiesz... klin klinem...

Zapada cisza. Nico się uśmiecha, nadal ma nadzieję. Nagle widzę siebie dużą, grubą, z ogromnym biustem, w kombinezonie pracownika stacji, myję szyby samochodów razem z mamą Nica! I zaraz, jak w technice morfingu, błyskawicznie chudnę, wkładam swoje ciuchy, wracam do swojej postaci, teraz, znowu jestem sobą, jestem wolna... Jednak nic z tego, bo nadal siedzę uwięziona tutaj z nim...

Znowu cisza.

- Rozumiesz, Nico? Tak już jest... Przykro mi.

Chwilę później jesteśmy na ziemi. Wsiadamy.

Odwozi mnie bez słowa.

- Dzięki, dobrze się bawiłam. - Czasami po prostu trzeba skłamać.

-To... do usłyszenia.

- Tak, cześć... - odpowiada półgębkiem, ma spuszczone ramiona, jest mu przykro. Odjeżdża powoli na motorze, zostawia mnie ot tak, z rybką w ręku.

Na końcu ulicy podnosi motor i jedzie na tylnym kole, co chwila dodając i odejmując gazu. Może musi się wyładować. A może jest po prostu stuknięty. Ale na szczęście się nie wywraca. W przeciwnym razie musiałabym go jeszcze zawieźć do szpitala.

Amy Winehouse. *Me & Mr Jones*. Wesoła, piękna, orzeźwiająca. Jadę na skuterze, rybka zdaje się tańczyć w rytm piosenki, tak podskakuje w wypełnionej wodą torebce zawieszzonej na podpórce szyby. O rany, co za popołudnie. Nigdy więcej. Mówię poważnie, nigdy więcej nie

chciałabym powtórzyć takiej randki, ale tak naprawdę, to nie wiesz, czy jeśli przytrafi się znowu coś takiego, odmówisz tak samo jasno i zdecydowanie. Właśnie. Cebula. To będzie Dzień Cebuli. Ciekawa jestem, czy będę o tym pamiętać, kiedy ktoś znowu zaproponuje mi Dzień Cebuli.

W drodze powrotnej przejeżdżam przez Valle Giulia. Uliczka jest bardzo kręta i muszę uważać, żeby nie wjechać skuterem na szyny tramwajowe... W przeciwnym razie chyba bym odleciała! Docieram do Narodowej Galerii Sztuki Nowoczesnej, skręcam w prawo i wspinam się do Villa Borghese.

Zsiadam ze skutera i zdejmuję kask. Już prawie wieczór, ale mała fontanna jest oświetlona.

- W tej wodzie mieszka całe mnóstwo twoich przyjaciół... Zobacysz, że będzie ci tu bardzo dobrze... Sam! Nadaję jej takie imię chociaż nie wiem czy to samiec, czy samiczka. Wiem tylko, że Dzień Cebuli kogoś uratował, przynajmniej na razie.

Wylewam z torebki wodę wraz z Samem. Plusk. Daje nura, idzie na dno, zatrzymuje się na chwilę, jest jak dziecko, potem jakby zrzuca z siebie ograniczenie plastikowego więzienia, porusza główką i pomału zaczyna płynąć bardzo zadowolony.

- Świetnie, Sam. Baw się dobrze... Wkrótce cię odwiedzę. - Nie wiem, czy to zrobię w najbliższych dniach, czy w tym miesiącu albo chociaż w ciągu tego roku, ale podoba mi się sam fakt posiadania rybki przyjaciela, znowu na wolności, w tej fontannie. Rozpoznam ją, ponieważ jest czerwona i ma małą czarną plamkę na grzbiecie, pod płetwą. Chciałabym przyjść i powiedzieć jej: „Cześć, Sam Cebula, co słyhać?”. I zobaczyć, jak pod pływa do mnie z drugiego końca fontanny, merdając płetwą, chociaż nie jest psem. Tak, wiem, że tak się nigdy nie stanie, ale podoba mi się ta myśl... Poza tym, jeśli sami nie wierzymy w swoje marzenia, to jak możemy oczekiwać, że zrobią to za nas inni?

Jadę do domu zadowolona, jestem nawet trochę głodna. Ale kiedy wchodzę, nikogo nie zastaję. Tylko karteczkę.

Przyjdź zaraz do dziadków. Jesteśmy tam wszyscy. Twoja mama. Ten podpis, te skąpe informacje, to „przyjdź zaraz” i pospieszny charakter pisma. I to wzmocnione *twoja* mama. Tak jakby czternastoletnia dziewczynka

nie była jeszcze gotowa, nie rozwinęła w sobie emocji, uczuć, jest tylko niepokój o nią, strach przed jej reakcją. Jadę na skuterze i myślę, rozważam, staram się zrozumieć. Ale nic nie przychodzi mi do głowy.

Nie sądziłam, że w jednej chwili poczuję niemy krzyk rozpadających się marzeń.

Dziwne. Drzwi są otwarte. - Hej... Jestem... Mamo?

Widzę ją na końcu korytarza. Patrzy w głąb pokoju. Potem zauważa mnie, odwraca się i uśmiecha. Ten uśmiech jest niewyraźny. Lekki. Smutny. Speszony. Przepełniony bólem. Na granicy płaczu. Uśmiech, który opowiada całą historię. Której nie rozumiem. Której nie chcę zrozumieć. Idzie w moją stronę, najpierw pomału. Po chwili trochę szybciej. Potem coraz szybciej, prawie biegnie, obejmuje mnie i zderza się ze mną, zamyka oczy wtulona, bierze głęboki oddech, bardzo głęboki. Chce stanąć na wysokości zadania, być matką i być silna. Ale jest tylko córką, z oczami pełnymi łez.

- Dziadek nie żyje.

- Jak to... - Chce mi się krzyczeć, wybucham płaczem i jest mi wstyd.

- Ćśśś... no... już dobrze...

Mama głaszcze mnie po głowie, przytula, potem prowadzi korytarzem, cały czas obejmując, do ostatniego pokoju, tam gdzie wcześniej stała. Dziadek leży na łóżku, ma spokojny wyraz twarzy, ale już nic więcej nie może powiedzieć. Boję się trochę. Nie wiem, co robić. Podnoszę wzrok. Mam oczy pełne łez. Zamglone. Jakbym miała soczewki, które zmieniły mój sposób patrzenia.

Jacyś ludzie. Krewni. Krewni, których nie widziałam od dawna. Alessandra. Rusty James w kącie. Po drugiej stronie tata rozmawia z siostrą. Odsuwam się od mamy. Uwalniam się z jej objęć i podchodzę do dziadka. Zatrzymuję się przy brzegu łóżka. Nabieram odwagi i podchodzę bliżej, coraz bliżej. Czuję na sobie wzrok obserwujących mnie ludzi. Nie patrzę na nich. Tylko na dziadka.

Jest mi smutno. Będzie mi ciebie brakowało. Zawsze mnie rozśmieszałeś, a jak dobrze rysowałeś. Chciałabym być taka dobra jak ty, uczyć się od ciebie, zawsze byłeś cierpliwy, spokojny, zrównoważony, nigdy nie podnosiłeś głosu, za to opowiadałeś mi o rzeczach, dzięki którym zobaczyłam to, czego nie znałam. I ta twoja wielka miłość, wielka jak

ten rysunek, który wykonałeś parę dni temu. Twoja miłość do babci. Podnoszę wzrok. Jest tam, siedzi naprzeciwko mnie. Na małym krzeselku. Ma opuszczone ramiona, twarz bez śladu makijażu, jest bledziutka, milcząca. Patrzy na mnie, ale nic nie mówi. Potem znowu spogląda na dziadka. A ja na nią. Najpierw ona, potem on, potem oboje. O czym myśli teraz babcia? O jakim wydarzeniu, które tylko oni sami przeżyli? Gdzie teraz jest? W którym miejscu, kiedy? W jakiej chwili z tych wszystkich, w których była kochana? Chciałabym jej powiedzieć: „Babciu, to było piękne! Byliście cudowni, zawsze ręka w rękę, wasza miłość ani trochę się nie zestarzała! Wasze pocałunki przyprawiały mnie czasami o zawrót głowy! Wdycham zapach tej miłości. A teraz nie wiem, jak sobie poradzisz”. Czuję, jak ściska mi się serce. Nabieram odwagi, wyciągam rękę, i kładę ją na dłoni dziadka. Jest zimna. I nagle czuję się strasznie sama. W jednej chwili widzę, jak moje marzenie leży w gruzach. To, w którym wiozę go na tylnym siedzeniu mojego skutera. Dziadek obejmuje mnie i się śmieje, ma długie nogi i kolana na takiej wysokości, że mogłabym podczas jazdy oprzeć sobie na nich łokcie. Obiecaliśmy to sobie. To była obietnica, obietnica, dziadku. Co za niefart. I wybucham spazmatycznym płaczem.

Kwiecień

Ulubiony napój bezalkoholowy? Sok jabłkowy.

Kogo chciałabyś spotkać? Powiedziałabym, że Massiego, gdyby nie dziadek. W takim razie pierwszeństwo ma on, bo chciałabym mu powiedzieć jedną rzecz.

Dla ciebie szklanka jest do połowy pełna czy do połowy pusta? Cała pełna! Jeżeli mogłabyś wybrać zawód, to jaki? Fotograf. Na jaki kolor ufarbowałabyś włosy? Na niebiesko. Potrafisz strzelać wszystkimi palcami? Tak.

Kto dał ci coś ostatnio? Psor od włoskiego z wypracowania. Dał mi piątkę!

Czy kiedyś kogoś rozpaczliwie kochałaś? Tak, ale nigdy o tym nie mówiłam.

Koc czy kołdra? I jedno, i drugie.

Ulubione dania? Zawsze i tylko makaron. I pizza.

Wolisz dawać czy dostawać? Dawać.

Porzucić czy być porzucona? Przedwczesne pytanie.

Nie miałam pojęcia, co się wydarzy. Ale już pierwszego kwietnia, tego dnia, kiedy wszyscy robią sobie mniejsze lub większe żarty, zrozumiałam, że będzie to wyjątkowy miesiąc... Najbardziej wyjątkowy w moim życiu.

- I co dalej? Dawaj, Rusty James. - Siedzę wtulona w czerwonym fotelu, moim fotelu. Joey leży spokojnie obok mnie przy nogach, od czasu do czasu merda ogonem i razem słuchamy uważnie tego, co czyta nam mój brat. Swoją pierwszą powieść. .

Chmury. Nie jest jeszcze pewny tego tytułu.

- Bardzo mi się podoba... Czytaj dalej.

Rusty bierze głęboki oddech i kontynuuje: *Miałam bardzo mało czasu, żeby go dogonić. Patrzyłam, jak biegnie dalej z rozwianymi na wietrze włosami.*

Śledzę jego słowa, patrzę na niego przez drewniany stół, na którym leży parę przedmiotów. Siedzi na wyplatanej krześle i przewraca jedną kartkę za drugą, a jego opowieść nabiera życia. Obserwuję go, jak czyta, jak porusza rękami, bawi się tym, wchodzi w to, co napisał, przekazując mi więcej niż same słowa. Słucham go z zamkniętymi oczami, wzruszam się i sama nie wiem dlaczego, ale chce mi się płakać. Może ostatnio jestem bardziej wrażliwa. To pewnie dlatego, że tęsknię za dziadkiem. Tak bardzo mi żal, że nie ma go tu z nami na kanapie i nie słucha tej historii. Po chwili uśmiecham się, ale nadal mam zamknięte oczy. A może jednak jej słucha...

I obejmuję ją mocno. A ona zagląda mi w oczy.

- Ale...

- *Ćśśś... - Kładę palec na jej ustach.*

- *Cicho... Nie czujesz mojej miłości?*

Na to ona uśmiecha się. Ja także.

- *Nigdy więcej mnie nie zostawiaj.*

Rusty przewraca ostatnią kartkę. Kładzie ręce na stole. Otwieram oczy.

- Caro! Znowu spałaś!

- Nie... - Śmieję się. Mam błyszczące z emocji oczy. - Słuchałam... Nigdy więcej mnie nie zostawiaj! To piękne... Skąd bierzesz niektóre zdania?

- Sam nie wiem... Tak po prostu...

- Jest w tym trochę Debbie?

- A skąd... - Rusty odrobinę spłoszował. Po raz pierwszy widzę go nieco zmieszanego, tak, naprawdę się zarumienił. Potem patrzy na mnie z uśmiechem.

- Jasne, jest tu trochę z niej. - Znowu staje się poważny. - Ale jest i trochę z ciebie... W życiu pisarza każdy zostawia coś z siebie, słowo, sygnał, uśmiech, wyraz twarzy, który pozostaje w pamięci, jak rysunek,

którego nikt nie może zmazać... Dryń.

Caro, jesteś?

Proszę z zewnątrz krzyki moich przyjaciółek.

- To one, przyjechały!

Biegnę z Joeyem na dwór. Clod i Alis już są, Joey zaczyna skakać wokół Clod.
- Dobry piesek... Chodź do mnie! - Pochyliła się i głaszcze go. Joey skacze uszczęśliwiony, a ja jestem troszeczkę zazdrosna.

- No, to dotarliście!

- Były straszne korki...

Zamykają microcary zaparkowane obok mojego skutera.

- Rowery są tu na zewnątrz.

- Ja biorę biały... Jest najładniejszy.

Alis, mówiąc to, śmieje się. Ale i tak bierze go pierwsza i od razu wsiada. Clod wsiada na drugi, a ja na ten, który zostaje.

- Jest dla mnie za wysoki...

- To opuść siodełko, Clod, jaki problem...! - Już marudzi.

- Ale nie jedźcie za szybko, dobrze... - Rusty staje w drzwiach. - Zrozumiałyście? Jedźcie pomału... Już widzę, jak się ścigacie. I nie wyjeżdżajcie za przyczepy, które są na końcu ścieżki, jak do nich dojedziecie, zawróćcie.....

Alis już ruszyła.

- Ale to za blisko...

Twarz Rusty'ego tężeje. Potem zwraca się do mnie: - Caro, to są cztery kilometry... W sam raz. Nie skarżcie mi się potem, że ukradli wam rowery... - Pomaga Clod obniżyć siodełko. - Teraz powinno być dobrze. Spróbuj!

Clod wsiada. - Tak, świetnie.

I ruszamy wzdłuż Tybru, jedziemy czerwoną ścieżką rowerową, jest cicho, tuż obok płynie rzeka, z oddali słychać odgłosy ulicy. Staję na pedałach i po chwili błyskawicznie doganiam Alis.

- Fajnie tu, co nie...

- Fajny twój brat... - Patrzy na mnie. Ma rozwiane na wietrze włosy i szelmowski wyraz twarzy.

- Będzie ci przeszkadzać, jeśli go poderwę?

Uśmiecham się. - Nie, wcale nie. - I tak Rusty nigdy nie związałby się z tak młodą dziewczyną. Alis mówi dalej: - Kiedyś powiedział mi, że przypominam mu jego pierwszą dziewczynę... Carlę. Co chciał twoim zdaniem przez to powiedzieć?

- Dokładnie to, co powiedział... _ Ja myślę, że coś więcej.

_ Jak dla mnie nie za bardzo jesteś do niej podobna. Może coś mu się pomyliło...

- Jeśli jest tak, jak mówisz, to rację mam ja. W ten sposób chciał mi powiedzieć, że mu się podobam. - Alis wzrusza ramionami, staje na pedałach i zaczyna jechać bardzo szybko. W takim razie ja też przyspieszam. I ruszamy jak w wyścigu, jedna za drugą, jakby to był ostatni zryw przed wirażem i metą.

- Wiedziałałam, że tak będzie! Poczekajcie na mnie... - Clod nie przejmuje się tym za bardzo i jedzie dalej swoim tempem.

Chwilę później. Słońce już prawie zachodzi, nie ma nikogo na ścieżce, przejechałyśmy prawie cztery kilometry. Odwracam się do koleżanek.

- Dziewczyny, wracamy...

Clod od razu się zgadza. - Tak, ja jestem zmęczona. - Patrzy na mnie. - Jeździmy już ponad pół godziny. Ale Alis nalega.

- A ja nie, chcę jeszcze pojeździć piętnaście minut i potem wracamy.

- Ale wtedy będziemy musiały pojechać za przyczepy.

- Daj spokój, nikogo nie ma. Muszę trochę schudnąć.

Wkłada słuchawki od iPoda, jakby nikogo więcej nie chciała już słuchać, znowu staje na pedałach i odjeżdża z niezwykłym zacięciem, frunie nieomal jak na ostatnim zrywie.

- Poczekaj... poczekaj... - Ale już nas nie słyszy.

- Chodź, Clod, jedziemy...

- Ale ja już nie dam rady...

- Nie możemy jej tak zostawić... - Naciskam znowu na pedały. Tak naprawdę też jestem zmęczona, ale po chwili doganiam Alis. Uśmiecha się do mnie.

- Musimy wracać! - Żadnej reakcji, ma słuchawki, nie słyszy mnie. Krzyczę głośniej. - Musimy wracać, nie możemy jechać tak daleko...! - Wydaje się, że robi to specjalnie. Palcem wskazującym i kciukiem Pokazuje na uszy, jakby chciała powiedzieć, że mnie nie słyszy. Przyspiesza, zaczyna mocniej pedałowac i szybko się oddala. Z coraz większą Prędkością pokonuje ostatni prosty odcinek i znika za zakrętem.

Zwalniam, czekam na Clod, która w końcu do mnie dojeżdża.

- A niech to... Dokąd jedzie ta wariatka? Czy ona nie wie, że potem musimy wykonać tę samą drogę, żeby wrócić?

- Zamierza dojechać...

- Nie... Zamierza schudnąć!

- Chude wyszło z mody... Aldo zawsze to powtarza... Podobam mu się, bo jestem trochę zaokrąglona... - Widzi moje skonsternowanie. - Nie rób takiej miny... Nie tylko Aldo tak mówi! Czytałam o tym w gazecie, gdzie pisali o modzie w Paryżu... .

Clod szybko odjeżdża.

- W jakiej gazecie?

- Nie pamiętam... - Clod i ta jej ogólnikowość. Zbyt duża. Za zakrętem czeka na nas „niespodzianka”. Alis stoi pomiędzy trzema kolesiami. Mają po jakieś siedemnaście, osiemnaście lat. Jeden z nich jest trochę starszy i wydaje się najgroźniejszy.

- Są i twoje przyjaciółeczki... - mówi z dziwnym, nieprzyjemnym uśmiechem na twarzy. Jest cudzoziemcem. Ma szramę na brwi. Od razu zatrzymują nasze rowery. Widzę, że jeden z nich ma w ręku iPoda Alis. Wkłada słuchawki.

- Fajne... Co to jest? - Patrzy na iPoda i czyta: - Irenę Grandi? Nigdy o niej nie słyszałem.

Alis unosi brew. Już samo to, że ten facet wziął jej słuchawki, wystarczy, żeby nigdy więcej nie tknęła tego iPoda, nawet, jak je wymieni.

Drugi chłopak podchodzi do Clod.

- Złaż... - I bez wahania wyszarpuje jej rower. Trzeci wsadza ręce do kieszeni jej spodni.

- Hej, co robisz? - Clod próbuje się wyswobodzić, ale podchodzi ten drugi i razem ją przeszukują.

- Jest... - Znajdują telefon. - Co to... Zobacz, jaki sprzęt, ma starą motorolę.

- Daj mi ją...

Najstarszy chłopak daje głową znak. - Rzuć ją gdzieś daleko... To szmelc.

- Dobra, ale najpierw wyjmij baterię.

Bierze ją do ręki i po chwili odrzuca daleko obie części. Bateria ląduje w jeżynach.

Szybkim ruchem rzucam za siebie, poniżej ścieżki, moją nokię. W ostatniej chwili.

- A ty? Dawaj swoją komórkę...

- Moja jest w serwisie. Nie mam jej... Możecie sprawdzić. - Podnoszę ręce, upuszczając na ziemię rower. Od razu tych dwóch podchodzi do mnie i przeszukują moje spodnie, z tyłu, z przodu, ich ręce są brudne, plugawe, spocone. Czuję się z tym fatalnie. Zamykam oczy. Biorę głęboki oddech.

- Nic nie ma... - Zostawiają mnie. - Tylko ten mały portfelik...

- Ile tu masz?

- Dwadzieścia euro...

- Dobra, lepsze to niż nic. - Potem zdejmują nam zegarki i łańcuszki Alis i Clod.

- Ale ten jest od Pierwszej Komunii.

Nawet jej nie odpowiadają. Wsiadają na nasze rowery, z naszymi rzeczami w kieszeniach. Ten najstarszy, z iPodem Alis, wkłada do uszu słuchawki. - Już was nie ma... - I zaczynają pedałować, oddalając się od nas, jadą ścieżką w powrotną stronę, kto wie dokąd. Może do tych przyczep. Schodzę ze ścieżki i nurkuję w wysokiej trawie. Jest, moja komórka! Od razu wybieram numer.

- Halo, Rusty...

- O co chodzi? Co się stało? - Opowiadam mu wszystko i ze złości zbiera mi się na płacz, ale Rusty niczego nie komentuje. Nie mówi: „Prosiłem, żebyście nie jechały za przyczepy...

Przez chwilę się nie odzywa.

- A twoje przyjaciółki? Wszystko okay?

- Tak... Nic im nie jest.

- Dobra. Wracajcie w stronę barki.

- Okay... - Milczę przez chwilę. - Rusty James...

- Tak?

- Przepraszam...

Dobra, w porządku...

Idźcie już, zanim zrobi się ciemno.

Rozłączamy się.

- Chodźcie, ruszmy się... Mamy wracać na barkę...
- Nie przyjedzie po nas? - Alis ma czelność jeszcze narzekać.
- Nie... Powiedział, żebyśmy już szły, najwyżej wyjdzie nam naprzeciw.
- Nie mógł przyjechać od razu, co?
- Słuchaj, wylądowałyśmy tutaj wyłącznie z twojej winy.

Alis nic mi nie odpowiada i zaczyna szybko maszerować. Dawaj, Clod, idziemy.

- Nie mogę znaleźć baterii!
- Kupię ci nową. Teraz musimy już iść. Idziemy z wawym krokiem wzdłuż ścieżki rowerowej.: Pięć minut.

Dziesięć. Dwadzieścia. - Gorąco mi... - Clod marudzi.

- Chodź, już niewiele zostało...
- Szkoda mi roweru. Będziesz też musiała pożyczyć mi telefon, żebym zadzwoniła do domu...
- Oczywiście...

Alis idzie przed nami, udaje, że nie słyszy, o czym rozmawiamy. Ma wysoko podniesioną głowę, zadartą brodę, jakby była zmęczona całą tą historią. Która... sama dobrze wie, wydarzyła się z jej winy. Ale niech ktoś spróbuje jej to powiedzieć. Podstawowa i najbardziej absurdalna rzecz dotycząca Alis, to to, że ona nigdy nie ma z niczym nic wspólnego. Jeżeli coś idzie nie tak, to dlatego, że tak było pisane, i wtedy zawsze przywołuje zdanie, które usłyszała kiedyś od swojej kalabryjskiej babki: „Znaczy się, tak miało być...”.

Ale za zakrętem czeka nas kolejna meganiespodzianka. Obok małej furgonetki stoi dwóch wielkich dryblasów, a na niej nasze rowery. A dalej...

- Rusty James! - Biegnę do niego i obejmuję, rzucając mu się na szyję i oplątam w pasie nogami, tak wysoko podskoczyłam.

- Tak, tak. Zawsze, jak ci przyjdzie ochota, możesz tak robić... Trzymaj.

Schodzę z Rusty'ego, a on oddaje mi łańcuszek Clod, iPoda Alis i inne nasze rzeczy, które ci trzej zabrali.

- To są chyba wasze pieniądze...
- Sześćdziesiąt euro? Miałam tylko dwadzieścia...

- Aha... - Rusty James patrzy na pieniądze i nie bardzo wie, co z nimi zrobić. - Trzymaj... - Daje je jednemu chłopakowi z ape. - Napijcie się kawy.

Ten śmieje się, ale chowa pieniądze do kieszeni. Następnie spoglądają w dół w stronę ścieżki rowerowej. W oddali pośród krzewów w pobliżu rzeki idą ci kolesie którzy nas okradli, też ich teraz widzę. Najstarszy z nich powłóczy nogą, jakby kulał. Drugi trzyma rękę przy twarzy i co chwila odrywa ją i patrzy, jakby sprawdzał, czy nie leci krew. Co jakiś czas spoglądają w naszą stronę, ale starają się jak najszybciej oddalić...

- Oto i wasze rowery.

Jeden z chłopaków uderza mocno w koło, stawia go na ziemi i podaje Rusty'emu.

- Ciro, uważaj, dobra...

- Okay, same się tak odbijają...

To chyba neapolitańczycy. Drugi chłopak mu pomaga.

- Ten jest mój... - Podchodzę do furgonetki, kiedy zdejmują rower, na którym jechałam. Pomaga mi Rusty.

- Prawdę mówiąc, to one są moje... I pomyśleć, że wziąłem je tylko po to, żebyście mogły przejechać się ścieżką rowerową, ale nie za przyczepy...

- Masz rację... - Clod poprawia łańcuszek, który zawiesiła na szyi. Potem bierze rower. W bagażniku na tyłach furgonetki leżą różne rzeczy. Clod patrzy na nie i się uśmiecha.

- Hej, gracie w baseball? Bardzo mi się podoba ten sport... Złożyłam podanie o przyjęcie do drużyny softballowej w klubie przy Aniene...

Ciro odwraca się do drugiego chłopaka. - Giuliano, przykryj kije... bo się poniszczą... - Potem uśmiecha się do Clod. - Nie gramy za często... Tylko jeśli jakiś przyjaciel jest w potrzebie... - Patrzy na Rusty'ego. Obaj się śmieją.

- Wracamy na bazę... Jakby co, wiesz, gdzie nas znaleźć...

Odjeżdżają tą śmieszną wielokolorową furgonetką, na której wymalowana jest do połowy zjedzona pizza i napis *Gennarie*. Wracamy pomału na barkę. Rusty na swoim rowerze, my przed nim. Docieramy na miejsce i odstawiamy rowery. Rusty przypina je wszystkie długim łańcutem do słupa.

- Dobrze, że wszystko udało się załatwić.
- No tak... - Stoję z rękami w kieszeniach spodni. Czuję się trochę winna.
- No, lećcie już, bo się pospóźniacie... Caro, pozdrów ode mnie mamę.
- Dobrze, Rusty...
- Cześć! - *Alis* też się żegna. - Do zobaczenia. - Potem wsiada do swojego minicara, uruchamia go i szybko odjeżdża. Wsiadam obok Clod.
- Zobacz... - Uśmiecha się i pokazuje mi go.
- Podarowała mi...
Clod trzyma w ręku iPoda Alis.
- To dobrze... Super.
Clod kładzie iPoda na desce rozdzielczej. Patrzy na mnie trochę zakłopotana. - Uważasz, że nie powinnam była tego przyjąć? Powiedziała, że jeśli się nie zgodzę, wyrzuci go...
- Nie, wcale nie... Chodzi o to, że nigdy jej nie zrozumieć.
Clod się uśmiecha. - Ale przyjaźń to również coś takiego, nie? Lubisz kogoś, troszczysz się o niego i koniec... Wcale nie musisz go rozumieć... I rusza.
Tak. To prawda. Może tak właśnie jest. Są rzeczy, które ci umykają, a ktoś tak nieskomplikowany jak Clod potrafi ująć je w sposób jak najbardziej naturalny. Spoglądam na nią i się uśmiecham. Ona odwzajemnia uśmiech. Biorę głęboki oddech, a potem cichutko wzdycham. Mimo wszystko to był piękny dzień, a książka Rusty'ego strasznie mi się podobała. Jak się kończy? Ach, tak. *Nigdy więcej mnie nie zostawiaj.*

Wpadłam do babci. Upiekła mi ciasto.

- Dziękuję, moje ulubione... Babcia uśmiecha się do mnie. - Daj kawałek swojej siostrze.

- Dobrze, ale odkroję jej jedną porcję, bo inaczej zje wszystko sama!

- Zrób jak chcesz... - Nie mówimy nic więcej, wychodzimy na taras, żeby się przejść. Babcia postawiła mnóstwo nowych donic z różnymi kwiatami.

- Oto i ona... - Podchodzi do pnącej się po ścianie rośliny, prawdziwej kaskady pachnącej zieleni. - To jest glicynia... - Bierze ją w wychudzoną, pomarszczoną dłoń i przybliża do twarzy. Zanurza się w tym fioletowym kwiecie, zamyka oczy i wdycha jego zapach, jakby zawarta w nim była cała wiosna, fragment jej życia, miłość, która odeszła...

- Powąchaj, powąchaj, jak pachnie... - Ledwo dosięgam, babcia obejmuje mnie od tyłu i pomaga się wspiąć. Zapach jest delikatny i lekki. I zanurzam się w tych maleńkich listkach. Spoglądam w oczy babci, które z zaciekawieniem mi się przyglądają.

- Tak, jest cudowny... - Idziemy dalej po tarasie, ona opiera mi dłoń na przedramieniu, odchylam je lekko, a babcia wsuwa swoją rękę i spacerujemy dalej, pod rękę, w ciszy, każda ze swoimi myślami, i chociaż chyba wiem, o czym myśli, nic nie mówię. Patrzę na nią kątem oka i widzę, jak szuka czegoś w swoich wspomnieniach, odnajduje to i się uśmiecha. Wtedy zamyka oczy. Czuję, jak ściska mi się serce, bo to niewyraźne wspomnienie, ot tak, ulatuje. Głaszczę ją więc delikatnie po dłoni, którą trzyma mnie pod rękę, nie chcę przeszkadzać, wsłuchuję się w ten ból, który, taki rzeczywisty, idzie obok.

Kilka dni później wieczorem.

- Przecież wysłałam ci SMS-a!

Siedzę na łóżku i się uczę, nie miałam w pobliżu komórki, aż do chwili, kiedy zadzwoniła.

- Ach, tak, Clod, widzę go...

- Chciałam wiedzieć, co zdecydowałaś. Caro, idziesz?

- No nie wiem... Nie mam za bardzo ochoty.

- Będzie super... Proszę, Aldo nie może. Wpadnę po ciebie, będzie czadowa muzyka.

Właściwie to skończyłam się już uczyć.

- No, chodź, to wieczór zamknięcia Piper, musisz tam być...

- No, nie wiem. Oddzwonię do ciebie później. - Rozłączam się. Dalej leżę na łóżku, z lekko zgiętymi nogami na ścianie. Przesuwam je złączone w prawo i lewo, moje łydki, tańcząc, rozluźniają mięśnie.

Znowu dzwoni telefon. Alis. Odbieram.

- Właśnie rozmawiałam z Clod, nie ma mowy... Bądź na dole za dwadzieścia minut, jak nie, to wejdę na górę i rozniosę ci dom.

- Dobrze, dobrze. - Śmieję się. Wiem, że żartuje, ale naprawdę byłaby do tego zdolna.

- Mówię serio, za dwadzieścia minut jestem pod twoim domem. Nie każ mi czekać...

- Tak jest, szefowo! - Słyszę jej śmiech po drugiej stronie. Rozłączam się.

Po szybkich, ale taktycznie poprawnych negocjacjach z mamą uzyskuję jej pozwolenie. Co za męka! Ani razu nie wyszłam w tym tygodniu. Zaczynam się szykować. Po chwili znowu dzwoni telefon. To Clod.

- Naprawdę nie rozumiem, ja mówię, zero reakcji... Potem dzwoni ona, a ty od razu się zgadzasz.

Uśmiecham się. - To nieprawda... Najpierw odmówiłam... Potem powiedziała, że jest ci tak sobie, że prawie rozstałaś się z Aldo! Że powinniśmy dotrzymać ci towarzystwa.

- To wcale nieprawda! Czy musicie zapeszać?

- Och, tak mi powiedziała. I dlatego się zgodziłam.

- Tak, tak, sama nie wiem, która z was dwóch jest bardziej zadowolona! Wiedzmy! Znajdźcie sobie chłopaków, to potem ja się będę na

was odgrywać. Dobra, do zobaczenia przed wejściem. Tylko się nie spóźnijcie!
Rozłączam się, wybucham śmiechem i zaczynam się szykować.

Jak fajnie być samej w domu. Moja siostra jest chyba u swojego nowego chłopaka albo zeszła się z byłym. Z nią nigdy nic nie wiadomo. Nie mam pojęcia, jak ona to robi. Powinno być oczywiste, czy podoba ci się ta osoba, czy inna, nie można mieć tego rodzaju wątpliwości! Natomiast ona kończy jeden związek, natychmiast zaczyna następny, a potem porównuje, znowu myśli o tym poprzednim. Coś sobie wspomina, wydaje jej się, że z tamtym było jej lepiej, i tak wraca do swojego byłego. I jak już się schodzą, wystarczy coś niewielkiego, no nie wiem, zupełnie mała sprzeczka: „Idziemy do twoich przyjaciół? Nie, do moich...” albo: „Kino? Nie, pizza!” i gotowe, od razu tęskni za tym drugim! Moja siostra... Wiem wszystko, bo rozmawia o tym przez telefon ze swoją najlepszą przyjaciółką, Ilą. Przede mną ściemnia, udaje osobę o sprecyzowanych poglądach! Śmiać mi się chce.

Maluję się przed lustrem. Nakładam odrobinę tuszu, naprawdę odrobinę... Robię delikatną kreskę niebieskim ołówkiem. W radio leci *Mercy Duffy*. Podryguję. Robię krok, obrót i znowu jestem przed lustrem. Uśmiecham się. Tak, w końcu nabrałam ochoty na imprezę. I całe szczęście, że podjęłam taką decyzję. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, ale za chwilę moje życie kompletnie się zmieni!

- Jest tam, tam, Clod! - Parkujemy metr od niej.

- Zobacz, jak się odstawiła! - Ma kolorową kurtkę w odcieniu czerwonej czereśni i jeansowy kaszkiet.

- Wyglądasz super!

- Jesteście wreszcie! - Patrzy poirytowana na zegarek. Wsiadam z samochodu.

- Och, ja byłam gotowa od razu...

Alis daje mi kuksańca. - Tak, oczywiście... Żeby iść do łóżka! Chodźcie jesteście na liście. - Wita się z facetem przy wejściu. - Edo, one są ze mną.

- Okay, wchodźcie! Alis ciągnie nas po schodach na dół.

- Dziewczyny, gazem, jest boska muzyka!

Idzie do szatni i rzuca na ladę swoją kurtkę. - Weź mój numer, albo i nie, nie ma znaczenia...

I znika w tłumie ludzi. Zdejmuje kurtkę i kładę ją razem z ubraniami Alis i Clod.

- Wszystkie trzy razem? - pyta dziewczyna z szatni. Ładna, ma ciemne włosy, wystrzępioną grzywkę, kolczyk w nosie i z otwartymi ustami żuje ogromną gumę.

- Nie, nie, osobno.

- Okay, piętnaście euro...

Clod wytrzeszcza oczy. - Rany...

- Daj, ja zapłacę. - Na szczęście mam pieniądze.

Dziewczyna podaje nam trzy karteczki. - Masz, ta jest twoja... - Wkładam swoją do tylnej kieszeni spodni, a dla Alis trzymam w ręku.

Jest i ona. Tańczy jak szalona na środku parkietu.

Podchodzę do niej. - Trzymaj...

- Co to jest?

- Twój numer do szatni - krzyczę jej do ucha.

- O, dzięki! - Składa go i wsadza do przedniej kieszeni.

- Słyszysz to, Caro! Ale czad! - Zamyka oczy i obraca się wokół własnej osi. Podnosi ręce i tańczy, tańczy jak szalona, skacze, śpiewa, idealnie do rytmu, ma na wpół przymknięte oczy i krzyczy z całych sił, z radością, całą sobą. Tańczę naprzeciwko niej, wiję się, a niesforne włosy opadają mi na twarz, po chwili dołącza Clod i ona też zaczyna się gibać. Tańczy rozbawiona, dalej, dziewczyny, jesteśmy super, ach, jak to dobrze, że przyszłam na tę imprezę. Didżej jest boski, świetnie miksuje! Zaczyna od Finley, przechodzi przez Battisti do Tiziano Ferro i potem znowu Pausini. Rewelacyjny didżej, megamuzyka, wszyscy tańczą, światła migoczą, a nad nami kręci się błyszcząca lustrzana kula. Są lasery, dym, dźwięki i rytm, a my zatracamy się w mroku disco. Jesteśmy jak nagły przypływ, roztańczone morze, fale muzyki, błyski uśmiechów w ciemnościach, rytmicznie unoszone ręce. To szaleństwo i zabawa, bez alkoholu, bez papierosów, bez żadnego wspomaganie, zwariowane i naturalne,

mamy odwagę żyć, jesteśmy wolne, bez obciążeń, zatopione w tych dźwiękach.
A teraz wchodzi oni!

- *Macho, macho man! Village People!*

- Czadowo!

Tańczymy we trójkę blisko siebie, wykonujemy te same ruchy, precyzyjne, dokładne, idealnie do rytmu.

Macho, macho man, I've got to be, a macho man! Macho, macho man, I've got to be a macho! Hey!

Szczęśliwe jak nigdy. Nagle muzyka niespodziewanie cichnie. Słysząc ciepły, miękki głos didżeja, mówi, jakby się skradał.

- A teraz specjalna dedykacja. Od niego dla niej. Dla tej, której ciągle szukał. - Didżej się śmieje. - Ten facet musi być naprawdę zakochany. Dla tej, którą wreszcie odnalazł. - I tyle, ostatnie słowa nikną w ciemności sali wraz z pierwszymi taktami *Shine on*.

Nie, to niemożliwe. Moja piosenka. Ta, którą podarował mi Massi. Pary w dyskotecce przytulają się. Chłopaki i dziewczyny zatracają się w pocałunkach. Pomału, do taktu, w rytmie miękkich dźwięków.

Are they calling for our last dance? I see it in your eyes. In your eyes. Same old moves for a new romance. I could use the same old lies, but I'll sing, shine on, just shine on!

Przede mną tańczy przytulona para. Ich pocałunek przerywają tylko refleksy światła. On głaszcze ją po twarzy i uśmiecha się. Obok inna para... Tańczą wolno, on co chwila bierze do ręki jej włosy, podnosi je i puszcza, a potem z uśmiechem ją całuje. Kawalek dalej jeszcze jedna para, tańczą, patrzą sobie w oczy, tak jakby wokół nie było nikogo, jakby nikogo z nas tu nie było, tylko oni i ich miłość. Nagle słyszę głos za moimi plecami.

- To ciebie ciągle szukałem... - I czuję ramiona obejmujące mnie od tyłu.

- To ciebie dziś wieczorem odnalazłem. - Zamykam oczy. Nie wierzę w to. Po chwili jego głos.

- Znowu cię o to spytam. Powiedz, że nie jesteś snem. Odwracam się. A on się śmieje. - Massi!

Patrzymy sobie w oczy. Chyba zaraz zwariuję.

- To niemożliwe... To niemożliwe...

- Csss...

Uśmiecha się. Kładzie mi palec na ustach. A potem pokazuje na górę, na naszą piosenkę...

Close your eyes and they'll all be gone. They can scream and shout that they've been sold out, but it paid for the cloud that we're dancing on. So shine on. Just shine on!

- Widzisz... - Przysuwa się. I całuje mnie. Wydaje mi się, że świat stanął w miejscu. Czuję jego wargi, jego język i zatracam się w tym magicznym smaku. Boję się otworzyć oczy... Powiedzcie, że to nie sen... Proszę was, powiedzcie mi to! A kiedy otwieram oczy, on tam jest, naprzeciw mnie. Uśmiecha się. Wydaje mi się przystojniejszy niż wtedy, niż gdy go zapamiętałam, niż kiedykolwiek. Brak mi słów, nie potrafię niczego z siebie wydusić! Chciałabym mu wszystko opowiedzieć: wiesz, zgubiłam twój numer, zapisałam go w komórce, ale ukradli mi ją w autobusie, więc wróciłam tam, gdzie mi go zostawiłeś, ale umyli już witrynę, prawie codziennie chodziłam do Feltrinelli, no, przynajmniej raz na tydzień, byłam tam nawet w ubiegłym tygodniu, ale po tobie... ani śladu. Chciałabym mu to wszystko wyjaśnić i o wiele, wiele więcej. Ale nie potrafię nic powiedzieć. Patrzę mu w oczy i uśmiecham się. Jestem jak o ciężała umysłowo, w stanie, w który tylko miłość może nas wprowadzić. I naprawdę nic nie przychodzi mi do głowy, tylko uśmiecham się jak głupia i mówię: - Massi...

I za chwilę znowu: - Massi...

Pomyśli, że naprawdę jestem głupia albo pomyłona, albo że coś paliłam lub piłam, albo że od dawna nie chodzę do szkoły, skoro nie potrafię sformułować jednego zdania!

- Massi...

- Carolina... Co jest... Powiedz...

- Daj mi znowu swój numer... I powiedz mi też, gdzie mieszkasz, gdzie chodzisz do szkoły i na siłownię...

Zaczyna się śmiać, bierze mnie za rękę i ciągnie przez tłum. Chwilę później jestem już w szatni, wyjmuję numerek i w locie odbieram kurtkę, potem pędem po schodach i już jesteśmy na ulicy, przed Piper. Wysyłam esa do Clod i Alis i wsiadam z tyłu na jego motor. I jazda stąd. Zapala i odjeżdża, pochylam się, obejmuję go i zatracam się szczęś-

liwa w wietrze nocy. Jest trochę chłodno, więc jeszcze mocniej się do niego przytulam. Nie mogę w to uwierzyć. A więc cuda naprawdę się zdarzają! Chciałam go znowu spotkać. I przez te dni zrobiłabym cokolwiek, zrezygnowałabym ze wszystkiego, żeby tylko tak się stało. A teraz? Teraz siedzę za nim. I jeszcze mocniej go obejmuję. Spoglądamy na siebie w lusterku, uśmiecha się do mnie i patrzy zdziwiony, jakby mówił: „Dlaczego tak mocno?”. A ja nie odpowiadam. Obserwuję go i czuję, jak w moich oczach maluje się miłość. Zamykam je i pozwalam nieść się moim westchnieniom... i wiatrowi.

.....

Chwilę później. Wszystko stoi w miejscu. Nawet liście na drzewach zdają się nie szeleścić, zawieszane w ciszy magicznej nocy. Stoimy na ogromnej łące, nad nami księżyc. - Popatrz tam... - Massi wskazuje krzaki na wzgórzu. - Teraz nie widać, ale jest tam zamek, ta droga nazywa się Acqua Traversa. Przychodziłem tu biegać, kiedy byłem młodszy, mieszkam tam za zakrętem, na via Giornalisti.

Uśmiecham się. Nawet jeśli ktoś ukradnie mi komórkę, zawsze będę mogła go odnaleźć. Biorę głęboki oddech. Teraz jestem pewna tylko jednego. Od dziś możemy się stracić, tylko jeśli sami będziemy tego chcieli. I mam nadzieję, że to nigdy nie nastąpi.

- O czym myślisz? Spuszczam wzrok. - O niczym...

- To nieprawda. - Uśmiecha się i przechyla na bok głowę. - Powiedz prawdę, nakłamałaś mi trochę, co nie?

- O czym?

- O skradzionym telefonie, o szybie... O tym, że chodziłaś często tam gdzie się poznaliśmy! Nie ma w tym ani krzty prawdy? Na początku nawet mnie nie poznałaś...

Przysuwam się. Spoglądam mu w oczy. I nagle czuję się kimś innym. Mam szesnaście, siedemnaście, o rany... może nawet osiemnaście lat! Przekonana, pewna siebie, spokojna, zdecydowana. Kobieta. W którą tylko miłość może cię zmienić.

- Nigdy nie przestałam o tobie myśleć. - Całuję go. Długo. Namiętnie. Gorąco. Miękko. Z miłością. Zachłannie. Marzycielsko. Wygłodniałe.

Gwałtownie. Zmysłowo. Z niepokojem... Z niepokojem? Odsuwam się i patrzę mu w oczy.

- Nigdy więcej mnie nie zostawiaj...

To prawda, ukradłam to Rusty'emu, ale kto wie, czy książka w ogóle się ukaze... A poza tym... To takie piękne zdanie, prawda? Massi patrzy na mnie. Uśmiecha się. Potem delikatnie głaszcząc mnie po głowie i zanurza swoją dłoń w moich włosach. Wtulam się w nią, jakby to była mała poduszczyk, i zatracam się, przykładając do niej usta. Moje na wpół otwarte usta na jego dłoni. Jak delikatne skrzydła motyla wdychają jego zapach, jego ukryty kwiat... Mężczyzna, którego szukałam. Mężczyzna mojego życia. Co za wielkie słowa...

- Chodź, wskakuj... - Wkładam kask i siadam za nim. Motor jedzie w górę coraz węższej drogi, podskakuje, ślizga się na okrągłych kamieniach, które umykają spod kół i spadają ze ścieżki w rosnące wokół wysokie trawy. Księżyc na niebie jest naszym przewodnikiem. Motor mknie po dróżce wyżej, coraz wyżej, pośród zarośli. Jego mocne duże koła łamią krzewy lawendy, zieleń i dzikie rośliny, a ja trzymam się mocno Massiego podczas tej wspinaczki na szczyt wzgórza.

- Jesteśmy.

Massi opuszcza boczny stojak. Opiera motor i pomaga mi zsiąść. Zdejmuję kask i kładę go na siedzeniu.

- Chodź... - Bierze mnie za rękę. Idę za nim. Za wielkim drzewem znajduje się placik. Rozkopana czerwona ziemia, a pośrodku stoi studnia ze starych cegieł. Jest okrągła, obok zniszczone cynowe wiadro, na górze do starego, żelaznego, wygiętego w łuk pręta nadal umocowany jest krążek. Łuk jest czarny, wygląda jak tęcza, ale pozbawiona kolorów, zrobiona tylko z żelaza, i znika w ścianach tejże studni.

- Spójrz w dół. - Pochyliam się i trochę się boję. Massi to wyczuwa i obejmuje mnie.

- Zobacz, widzisz wodę w dole... Jest w niej księżyc.

- Tak widzę... Odbija się.

- Kiedy księżyc jest tak wysoko, to znaczy, że mamy pełnię, a to najlepszy czas na... Jest taka stara legenda...

- Jaka?

- Musisz pomyśleć marzenie i jeśli trafisz monetą w odbicie księżyca, twoje życzenie się spełni. To jest legenda o księżycu w studni.

Nic nie mówi, patrzy na mnie i się uśmiecha. Z oddali słychać odgłosy nocy. Jakiś świetlik błyska i gaśnie w trawie obok nas. A potem cisza. Massi chowa rękę do kieszeni i wyciąga dwie monety.

- Trzymaj. - Podaje mi jedną, całuje mnie i szepcze do ucha. - Weź księżyc...

Nachylam się nad studnią i nie czuję. Zginam się jeszcze bardziej i wyciągam rękę. Jest na samym środku studni, równiutko nad księżycem. Zamykam oczy i myślę życzenie. Raz, dwa... otwieram oczy. Wypuszczam w ciemność monetę. Spada coraz szybciej w otchłań szybu. Przez chwilę widzę, jak wiruje, jak frunie. A potem tracę ją z oczu. Obserwuję dokładnie księżyc na dnie studni, odbijający się w ciemnościach tej czarnej jak smoła wody. I nagle... Plusk! Widzę, jak moneta wpada dokładnie w środek jasnego księżyca.

- Trafiłam! Trafiłam! - Skaczę z radości, przytulam się do Massiego i mocno go obejmuję, całuję w usta. A on się śmieje.

- Brawo! Teraz moja kolej. - Czeka, aż ciemna woda na dnie znieruchomieje. Już. Cisza. Wirtualny księżyc znów świeci na dnie studni. Massi wyciąga rękę, zamyka oczy i myśli życzenie. Ja też zamykam oczy, trzymam kciuki i chciałabym, żeby to życzenie było takie samo jak moje. A potem widzę, jak jednym ruchem otwiera dłoń. Moneta leci w ciemną studnię. Wychyłam się odrobinę, żeby śledzić ją, aż do chwili, kiedy... Plusk!

- Jest! Też trafiłem!!! - I przytulamy się ot tak. Całujemy się raz i jeszcze raz, i jeszcze, patrzymy sobie w oczy, spragnieni miłości. Potem na chwilę odsuwamy się od siebie. Cisza. Spoglądam na niego.

- Szkoda, że nie można powiedzieć swojego życzenia.

- Bo... inaczej się nie spełni.

Massi śmieje się w mroku nocy. Szuka mojego wzroku.

- Tak... Tak to już jest.

Teraz przysuwa się do mnie i całuje po raz ostatni, tak pięknie, naprawdę pięknie, jakby chciał wyszeptać: „To prawda, nasze życzenia są takie same...”.

Maj

Film do obejrzenia w maju: *Aspettando U sole*.

Majowa piosenka: *Tre minuti* Negramaro.

Najbardziej romantyczna pora? Maj, z pewnością, między siódmą a ósmą wieczorem, kiedy się ściemnia i słońce zachodzi na czerwono. Jesteś teraz zakochana? Boję się powiedzieć, że zakochana, ale przeszcześliwa na pewno!

Wierzysz w duchy? Wierzę, że czasami wspomnienia są duchami. Wybaczysz zdradę? Zdrada oznacza, że nie ma już miłości. Wybaczanie nie ma tu nic do rzeczy, coś się po prostu kończy... Jesteś mściwa? Nie.

Wierzysz w prawdziwą miłość? Bardzo.

Twój ulubiony kwiat? Cyklamen. Ten, który ma moja mama, jest przepiękny. Wierzysz w grom z jasnego nieba? Tak! Ale w miłości, prawda? No bo nie w czasie burzy!

Nie mogę w to uwierzyć. To miłość. Miłość przez duże M, miłość zwariowana, szaleństwo absolutne, gdzie nic innego się nie liczy, jakie to piękne. Miłość nieskończona. Miłość nieograniczona. Miłość planetarna. Miłość, miłość, miłość. Po trzykroć miłość. Chciałoby się powtarzać to słowo w nieskończoność i pisać je na kartkach. Gryzmolić Jego imię, chociaż tak naprawdę nic o nim nie wiesz. Widzimy się codziennie, nawet na dziesięć minut, przed domem czy ot tak, na ulicy.

- Zobaczymy się na chwilę?

- Caro, minutę temu rozstaliśmy się pod twoim domem.

- Muszę ci coś powiedzieć...

- Okay. - Massi się śmieje. Chwilę później stoimy na środku ulicy, między samochodami i autobusami, wszystko wokół nas się przemiesz-

cza, ale zdaje się nie robić żadnego hałasu. Jesteśmy tu, stoimy bez ruchu, podczas gdy cały świat wiruje.

- Tak? O co chodzi? - Patrzy na mnie. I śmieje się. Unosi zaciekawiony brew, chciałby wyczytać to z moich oczu, chciałby wyczytać to z mojego serca. Nie mogę. Nie potrafię. W końcu wybieram najłatwiejsze rozwiązanie.

- Chodzi o to, że... jestem szczęśliwa. - Massi obejmuje mnie i mocno przytula. Następnie odsuwa się odrobinę, kręci głową i patrzy na mnie rozbawiony moją szaloną miłością.

- Kompletnie zwariowałaś...

- Tak... Zwariowałam na twoim punkcie...

Kolejne dni. Spokojne. W szkole na egzaminach idzie mi świetnie! To szaleństwo, niewiarygodne, ale naprawdę niewiele mi trzeba, żeby się przygotować. Uczę się trochę i za chwilę wszystko już umiem. Jakbym była czarodziejką. Clod i Alis nie mogą w to uwierzyć.

- Dlatego tak nagle zniknęłaś... To był on! No cóż, nam się podoba na maksa...

- Tak, jest naprawdę boski...

- Alis, on jest zajęty...

- Ale przy tym boski! Nie znam go zbyt dobrze, widziałam go wtedy wieczorem i dwa razy, kiedy po ciebie przyszedł... I jak dla mnie jest boski...

Alis... W końcu udaje jej się mnie rozśmieszyć.

- Kochaliście się już?

- No co ty!

- Miej tylko na uwadze, że jeśli nie pójdziesz z nim do łóżka, to go stracisz...

„Dlaczego musisz tak zapeszać?“, chciałabym dodać. Mam dopiero czternaście lat! Kilka pocałunków, nie do końca zrozumiałe wyjaśnienia rysunków w Cióccolati... Potem Lorenzo i jego ręka... Łaskotanie. I nic ponadto.

- Dobra, dzisiaj po południu u mnie! - Alis jest zdecydowana. - Obydwie. Powtórka z anatomii. Czyli edukacja seksualna... Niech moje doświadczenia z Dodo nie pójdą na marne!

- Alis!

- Nic nam nie powiedziałaś...

Patrzy na nas z uśmiechem. - Do niczego nie doszło. Różnych rzeczy próbowaliśmy, ale nie wszystkiego... Chcę po prostu, żebyście też coś z tego zrozumiały! Teraz to wy macie chłopaków...

Clod i ja patrzemy na siebie. Clod rozkłada ręce. - Teraz nasza kolej!

Alis bierze nas pod ramię.

- Ma rację.

- Dobrze. W takim razie dziś po południu uczymy się u mnie w domu! Właśnie w tym momencie przechodzi psor Leone. - Świetnie, dziewczyny, to mi się podoba!

Alis się odwraca. - Zrobię z nich dwie przykładowe uczennice! A potem znowu do nas. - Gdyby tylko wiedział, czego będziecie się uczyć!

Popołudnie u Alis: bajka! Kazała wstawić do salonu tablicę.

- No to zaczynamy... to jest, jak widzicie... - rysuje białą kredą

- ich sprzęt... Może być mniejszy lub większy... Dodo miał takiego... -1 pokazuje rozmiar, unosząc naprzeciwko siebie dłonie w odpowiedniej odległości. Clod nie może się powstrzymać.

- Dobrze go pamiętasz, co nie!

Alis się śmieje. - Kto by nie pamiętał! No więc musicie delikatnie obchodzić się z tym sprzętem, nie szarpać go, pieścić miękko, w dół i w górę, nie naciskać zbyt mocno... I nie ciągnąć za bardzo w swoją stronę... Inaczej mu go urwiecie!

Clod uderza w typowy dla siebie ton. - Jasne... I zabiorę go sobie do domu! Co ja jestem, bohaterka *Piły*?

Właśnie wtedy wchodzi mama Alis.

- Dziewczyny, ja wychodzę... - Patrzy na tablicę. - Ależ... Alis!

- Mamo, jutro mamy edukację seksualną! Nie chciałabyś chyba przecież, żebym wróciła z dwójką, prawda?

Mama znowu patrzy na tablicę. - No cóż... Jeżeli to do szkoły.

- I wychodzi. A my kontynuujemy. Alis jest świetną nauczycielką, a ja odkrywam rzeczy, o których nawet mi się nie śniło.

- Zdajecie sobie sprawę, że nasi rodzice wszystko to robili...

- A może i więcej!

Wyobrażam sobie mamę i tatę. Jakoś dziwnie. Potem siebie i Mas-siego... i nagle wydaje mi się to całkiem naturalne. Ratunku. Nadchodzi ten moment. Co to będzie?

Wracam do domu. - Jestem!

Mama, tata, Ale, są wszyscy. Idę do łazienki, zamykam drzwi na klucz i się rozbieram. Nalewam wody do wanny, wsypuję sól, którą kupiłam. Wkładam szlafrok i idę do pokoju. Spotykam mamę.

- Co robisz?

- Chciałam się wykąpać. Jest jeszcze czas do kolacji, prawda?

- Tak. - I się uśmiecha. Zabieram z pokoju iPoda, dwie kolumny i wracam do łazienki. Zamykam drzwi i podłączam iPoda. Gotowe. Woda jest bardzo gorąca. Zdejmuję szlafrok i pomału wchodzę do wanny. Zanurzam się powoli. Trochę mnie parzy, ale gdy tylko się przyzwyczajam, jest idealnie.

Zaczyna grać muzyka. Ustawiłam losowe wybieranie. Trafiło na Alicię Keys. Strasznie ją lubię. Powoli wślizguję się jeszcze głębiej. Zanurzam głowę w wodzie. Jest gorąca. Cudowna. Odprężająca. Delikatny zapach soli. Massi. Chciałabym, żebyś tu był. I tak, myśląc o nim, prawie bezwiednie, głaszczę się po nodze. Wyobrażam go sobie. Wyobrażam sobie, że to jego ręka. Czuję jego pocałunki, jego zapach. Przesuwam rękę odrobinę w górę. Jego rękę. I nagle idę za wskazówkami Alis. Uśmiecham się do połowy zanurzona w wodzie. Rozluźniona. Już nie czuję łaskotek. Massi... Gdybyś tu był. Zrobiłabym to. Zrobiłabym wszystko. Gorąca woda jest cudowna, odchylam głowę jeszcze bardziej do tyłu i pieszczę się, wyginam w łuk plecy, rozchylam nogi. Kładę stopy na zakolach wanny, dalej nie można... Dotykam się lekko, delikatnie, miękko, Alis wszystko dokładnie wytłumaczyła. Podoba mi się. I nie czuję wstydu. Zero wstydu, jeszcze, o tak...

Puk, puk, puk. Ktoś stuka do drzwi. v Podnoszę się.

Kto tam? - Próbuje otworzyć. Są zamknięte. Na szczęście.

- To ja, Ale! Ile jeszcze będziesz siedziała, Caro?

- Słuchaj, teraz ja tu jestem, jasne? Poczekaj.

- Rozwalę ci te drzwi!

Bum. Słyszę, jak je kopie. Mocno.

- Dobra, dobra... Wyłaż stamtąd!

Bum. Jeszcze raz. Moja siostra. Co za obciach. Dochodzę do siebie. Spłukuję pianę, wycieram się. Wkładam turkusową piżamę. Otwieram łazienkę i wychodzę pachnąca i lekka. Czuję się czysta. Spokojna. Zrelaksowana.

- No, wreszcie...

Ale prześlizguje się za moimi plecami. Olewam ją. Dzięki, Alis. Wszystko świetnie wytłumaczyłaś. Uśmiecham się. W jakimś sensie to był mój pierwszy raz. Siadam na kanapie. Kolacja jeszcze niegotowa. Włączam telewizor. Canale 5. Zaczęli się *Amid*. Chciałabym być jedną z nich, ale nie brać udziału w rywalizacji, o nie. Wszyscy się rozchodzą, opuszczają studio, wypychają także prowadzącą program Marię, a ja jestem tam, w swojej turkusowej piżamie, z mikrofonem w rękę. Świetnie śpiewam. A na stopniach stoi tylko on, Massi. Śpiewam dla ciebie, Massi.

Biorę do ręki telefon i staję na kanapie.

Iris.

I śpiewam do zderzenia gardła.

- Caro! - Odwracam się. To mama. - Zwariowałaś? Uśmiecham się do niej. - Ale to jest moja ulubiona piosenka!

- Brakuje tylko, żebyś wylądowała w San Remo... Chodź do stołu, kolacja gotowa.

- Dobrze, mam... - Uśmiecham się do niej. I odrobinę rumienię. Nagła myśl. Gdyby tylko mogła sobie wyobrazić, gdyby wiedziała, co wydarzyło się w łazience. I w ogóle, co się u mnie dzieje. Jakby to było fajnie czasami nie mieć problemów i móc o wszystkim opowiedzieć, zwłaszcza jej. Siadam naprzeciwko mamy, uśmiecham się do niej i rozkładam serwetkę. - Hmm, co za zapach... Chyba dobre. - Nic nie mówi i zaczyna mi nakładać. Spuszczam wzrok i myślę tylko o jednym. Często, mimo że jesteśmy blisko siebie, tak naprawdę jesteśmy daleko.

Odwiedziłam babcię. Dawno u niej nie byłam. Czułam się trochę winna. Jakby moje szczęście i jej ból były nie na miejscu. Jednak dzisiaj Massi nie mógł przyjść pod szkołę. Pomyślałam, że powinnam do niej wpaść. Za to wszystko, co babcia Luci i dziadek Tom dla mnie zrobili. Cudowna para.

- A to, co to jest?

- Morela. Ale owoce są jeszcze kwaśne.

- Nazywa się morela? Nigdy wcześniej o tym nie słyszałam.

Babcia uśmiecha się, chodzi w swoich granatowych kapciach po wielkim tarasie, podchodzi do roślin i głaszcze je. Zmieniła się. Jest bardziej milcząca.

- Dzisiaj w szkole bardzo dobrze mi poszło...

- Ach tak? To się pochwal...

Opowiadam jej o teście, o temacie, o dobrych ocenach, o tym, jak mi generalnie idzie. Co jakiś czas spogląda na mnie, rzuca okiem i wraca do swoich kwiatów. Słucha i potakuje, ale potem patrzy na mnie uważniej, napotyka mój wzrok, obserwuje, jakby szukała czegoś nowego. Musiała się zorientować. Jestem taka szczęśliwa... Tak bardzo chciałabym opowiedzieć jej o Massim, ale nie mogę, nie potrafię, nie jestem w stanie.

- Świetnie, naprawdę bardzo dobrze ci poszło...

- Tak, a teraz muszę rozpocząć przygotowania do egzaminu końcowego...

- Nadal przyjaźnisz się z Alis i Clod, prawda?

- Oczywiście.

- Wydaje mi się, że masz teraz bardzo dobry okres...

- Tak, babciu, tak właśnie jest. - Uśmiecham się do niej i już mam opowiedzieć o Massim, ale kiedy otwieram usta, odwraca się w drugą stronę, zabiera z oczu kosmyk włosów, odgarnia go, zaczesuje do góry, jakby chciała zarzucić na plecy.

I nagle smutnieje, szuka czegoś nie wiadomo gdzie, w powietrzu, we wspomnieniach, w dalszej lub bliższej przeszłości, w swoim prywatnym ogrodzie, pełnym kwiatów, wypielęgowanych krzewów, pogrzebanych Pamiątek i skarbów, w tym zacienionym miejscu, które ma każdy z nas i w którym co jakiś czas się chowamy, w tym miejscu, do którego tylko

my mamy klucze. Po chwili, jakby sobie o mnie nagle przypomniała, odwraca się i pięknie uśmiecha.

- Ach, Caro... Możesz powiedzieć mi jedną rzecz... Tamten chłopak, ten, który tak ci się spodobał... Jak on miał na imię... - Spogląda w niebo, jakby szukała inspiracji. Potem uśmiecha się, niespodziewanie zadowolona. - Massi! - Sama sobie przypomniała, a ja prawie się czerwienię. - Tak na niego mówiłaś, prawda?

- Tak.

- No właśnie. Spotkałaś go jeszcze?

Chciałabym wszystko jej opowiedzieć, o tej imprezie, na którą nie chciałam iść, o naszej piosence, o nim, kiedy stanął za mną, i o pocałunku... Ale czuję, że ściska mi się serce, jest mi głupio. Ona przeżyła najpiękniejszą historię miłosną na świecie, która nagle dobiegła końca, chociaż nikt nikogo nie porzucił. Czyli się nie skończyła. Spoglądam na nią i zdaję sobie sprawę, że już nie potrafię jej uszczęśliwić, że nic nie może jej zaspokoić, nadać sensu jej życiu, jej szczęściu. Co ja mogę jej opowiedzieć? Chce mi się płakać, strasznie.

- Nie, babciu. Niestety nie, nie spotkałam go więcej...

Rozkłada ręce. - Szkoda... - I wchodzi do mieszkania. - Chcesz coś do picia, Carolina?

- Nie, babciu, dziękuję. Muszę zmykać.

Daję jej szybkiego buziaka, obejmuję i mocno przytulam, zamykam oczy i opieram głowę na jej ramieniu.

Kiedy otwieram oczy, widzę, że tamten rysunek leży na stole niedaleko mnie. Rysunek, który zrobił dla niej dziadek z okazji święta zakochanych, wielkie czerwone serce z napisem na górze: DLA CIEBIE, KTÓRA KARMISZ MOJE SERCE. Biorę bardzo głęboki wdech. Mam łzy w oczach.

- Przepraszam, babciu, ale jestem już spóźniona. I zmykam.

Schodzę szybko po schodach, wybiegam na ulicę, oddycham głęboko, jeszcze raz. On. Tylko on. Teraz, natychmiast, zaraz. Wyciągam z kieszeni telefon. Wybieram numer.

- Gdzie jesteś?

- W domu.

- Proszę, nie ruszaj się stamtąd.

Chwilę później jestem pod jego domem. Domofon. Na szczęście odbiera On.

- Kto tam? -To ja.

- Chyba frunęłaś!

„Tak”, chciałabym mu powiedzieć. Musiałam do ciebie przyfrunąć. Nie mogłam inaczej. - Proszę cię, możesz zejść na chwilę?

- Już idę...

Kiedy czekam na dole, nagle się błyska. Niebo robi się momentalnie czarne. Z oddali słychać grzmot. Boję się. Ale właśnie wtedy on wychodzi z klatki.

- Co się dzieje, Carolina?

Nic nie mówię. Obejmuję go. Opieram głowę na jego piersi i mocno przytulam. Mocniej. Ściskam go. Jeszcze jeden grzmot i zaczyna padać. Na początku delikatnie. Po chwili bardziej. Coraz bardziej.

- Carolina, chodź do środka, bo inaczej zmokniemy...

Usiłuję się wyswobodzić. Ale ja trzymam go mocno w ramionach.

- Zostań tu.

Tak lepiej. W deszczu nie widać moich łez. Podnoszę głowę, jesteśmy przemoczeni. Uśmiecha się.

- Jesteś szalona...

Woda spływa nam po twarzach. Całujemy się. Piękny, niekończący się pocałunek. Wieczny. Boże, jak chciałabym, żeby był wieczny. Nic nie jest w stanie mnie powstrzymać, całuję go, gryzę jego wargi, jestem spragniona jego, życia, bólu, brakuje mi dziadka, którego już nie ma, i babci, która jest taka nieszczęśliwa.

Ciągle deszcz, deszcz i deszcz. Jestem przemoknięta. To płacz aniołów. Tak, chociaż to maj, leje jak z cebra. Spoglądam w dal. Promyk słońca przedarł się przez ten mrok i prześwieca zza chmur. Oświeśla w oddali Peryferie miasta.

Kocham cię, Massi. Kocham cię. Chciałabym to wykrzyczeć. Chciałabym powiedzieć mu to prosto w twarz, patrząc z uśmiechem w jego oczy. Kochaaaaaaaam cię... Tylko jak, nawet nie potrafię tego wyszeptać. Wycieram sobie dłonią twarz, zaczesuję włosy do tyłu, jakby to miało ^{czemuś} służyć. Ależ ze mnie idiotka, stoimy w deszczu.

- Co się dzieje, o czym myślisz? - Uśmiecha się.

Znowu zaszywam się w jego piersi, w zagłębieniu blisko ramienia, chowam się przed wszystkim i wszystkimi. W głębi duszy jestem tylko z nim, podczas gdy deszcz dalej pada. - Chciałabym z tobą uciec... - I znowu się całujemy, tak świeżo jak nigdy wcześniej. Długo. Nad nami to niebo. I te chmury. I ten deszcz, chociaż z oddali wraca spokój i wyłania się idealnie czerwone słońce, czyste, zachodzące. A ja go obejmuję i się uśmiecham. I jestem szczęśliwa. Biorę głęboki oddech. Już mi lepiej. Jak na razie. Jak na razie, bo zrozumiałam, że go Kocham. I jest cudownie. Pewnego dnia będę potrafiła mu to powiedzieć.

W następnych dniach robiliśmy niesamowite rzeczy.

Spędziliśmy całe popołudnie na jednej ławce pod figurą Matki Boskiej na Monte Mario. Jest piękna, ogromna, widać ją z daleka. Cała poślaczona. Ale nie to jest ważne. Massi chciał się dowiedzieć wszystkiego o moim życiu, jeśli chodzi o chłopaków. Opowiedziałam mu o moich nielicznych znajomościach. Tak naprawdę to przyznałam się, że nigdy nic nie robiłam. Na początku był zaniepokojony, potem mniej, a w końcu się uśmiechnął. Potem zmylił mnie, mówiąc: - To nawet lepiej...

Nie zrozumiałam, czy miał coś konkretnego na myśli. Ale nic mnie to nie obchodzi, nie niepokoję się, jestem spokojna. Chcę poznać jego, siebie, odkryć i zostać odkryta. Rozumiem. Powinnam się zaniepokoić. Dlaczego faceci muszą wiedzieć, z kim była wcześniej ich dziewczyna? Co to zmienia względem ich uczuć do niej? A jeśli bym mu powiedziała: „Massi, nie jestem już dziewicą, miałam trzech chłopaków, nie, poczekaj, czterech, robiłam to i to, i tamto też...”, jaka byłaby jego reakcja? A niech to, że też nie pomyślałam o tym wcześniej. Teraz już za późno. Mogłabym co najwyżej powiedzieć mu, że go okłamałam w jednej kwestii. Tak, to niezły pomysł.

- Massi... - Uśmiecham się do niego. - W jednej kwestii cię okłamałam. Kompletnie zmienia mu się wyraz twarzy.

- W jakiej?

- Nie powiem ci. Wiedz, że byłam szczerą... ale w jednej kwestii cię okłamałam.

Przez chwilę jest zakłopotany, nie wie, co o tym myśleć. Potem, może uznając to za żart, śmieje się i całuje mnie.

- W takim razie nie byłaś szczerą...

- Ależ nie, byłam... - Odsuwam się od niego. - Byłam bardzo szczerą, okłamałam cię tylko w jednej kwestii.

Massi kręci głową i wzrusza ramionami. Patrzy mi w oczy zaciekawiony, bada mnie, jakby chciał zrozumieć, co w tym wszystkim jest prawdą, a co nie. Uśmiecham się do niego i odwracam w drugą stronę. Już nie jest taki pewny siebie. I dobrze.

W kolejnych dniach chodziliśmy jeść w różne miejsca.

Byliśmy w japońskiej knajpie na via Ostia, pycha, w pizzeri Est Est Est niedaleko via Nazionale, marzenie, i na via Panisperna 56 w La Carbonara, palce lizać. We wszystkich trzech miejscach bardzo mało zjadłam! Massi za każdym razem patrzył na mnie zaniepokojony.

- Nie podoba ci się to miejsce? Nie lubisz japońskiej kuchni? Zbyt tłusta carbonara?

A ja chichotałam jak wariatka i nic nie mówiłam.

- Aha, rozumiem, jest gorzej... Jesteś na diecie!

- No co ty, skąd! Czuję się świetnie, podoba mi się miejsce i wszystko jest przepyszne.

- To co w takim razie?

- Nie jestem jakoś szczególnie głodna...

- Ach, tak po prostu? To dobrze! - Zabiera mój talerz i wcina to co zostało, wpycha sobie zachłannie do buzi. - Tym samym oszczędzam!

Chcę mu dać kuksańca. - Wariat! Jesteś prostak... Specjalnie je z otwartą buzią.

- Przestań, niedobrze mi się robi! Nie będę się z tobą więcej całować! A on je dalej w taki sposób, jeszcze bardziej kiwa głową, w górę i w dół, jakby chciał powiedzieć: „A właśnie, że będę!”.

Zaczynamy rozrabiać, ciągnę go za rękaw koszuli, żeby przestał, on usiłuje mnie łaskotać, żartujemy, kłócimy się na niby i śmiejemy. Prawdą jest, że kiedy jestem z nim, w ogóle nie czuję głodu.

- Zawieszenie broni, zgoda? - Już dłużej nie mogę i w końcu się poddam.

- Okay. - Uśmiecha się, nalewa mi trochę wody, potem sobie. Patrzymy na siebie, popijając wodę, i przychodzi nam do głowy ten sam pomysł, żeby ochlapać się wodą, którą mamy w buzi. Przybieram zaniepokojony wyraz twarzy. W końcu Massi nachyla się w moją stronę i już-już chce mnie opryskać, ale na szczęście nie ma czym. Kręcę z uśmiechem głową i pomału wszystko wraca do normy. Patrzę na niego wzruszona, serce mi wali. W moich oczach maluje się miłość. Co ja o tym wiem, co się ze mną dzieje? Patrzę na swoje odbicie obok w lustrze. To coś więcej niż dieta... To miłość! To miłość, miłość, miłość. Trzy razy miłość. Jestem załamana!

Dziś idziemy obejrzeć *Juno*.

Rewelacja! Historię napisała Diablo Cody, młoda blogerka, która zdobyła Oscara za swój pierwszy scenariusz. Amerykanie są niesamowici. To naprawdę kraj wielkich możliwości. Kiedy ktoś wygrywa u nich w totka albo w kasynie, od razu pokazują zdjęcia z ogromnym czekiem i wypisaną na nim kwotą wygranej. A zwycięzców widzisz naprawdę, na żywo! Ludzie z krwi i kości, z wymalowanym uśmiechem na twarzy. U nas nigdy nic nie wiadomo, z kasyna dociera wiadomość tylko jeśli wygra Emilio Fede, dziennikarz Retequattro. Natomiast tam ta blogerka Diablo Cody, kompletnie nieznana dziewczyna, dostała Oscara. Pomyśleć, że coś takiego mogłoby się przydarzyć Rustyemu Jamesowi! Odstawiłabym się i pojechała z nim do Los Angeles na rozdanie nagród i zrobiła jak Benigni: wskoczyłabym na fotel z okrzykiem: „Rusty James! Rusty James jest moim bratem!”.

Już to widzę, ślizgam się i padam na ziemię!

Właśnie skończyła się pierwsza część. Świetny film, dowcipny i bardzo zabawny. Rewelacyjna młodziutka aktorka. Jeżeli się nie mylę, nazywa się Ellen Page. *Juno* to historia o niej. Chodzi o to, że ona postanawia zrobić to ze swoim chłopakiem, trochę ciapowatym, ale zabawnym i przystojnym, delikatnym... i zachodzi w ciążę!

- Jasne, że jeśli coś takiego się zdarza, to...

Massi czyta w moich myślach. - Niezły pasztet. Nie wiem, jak ona może tak spokojnie do tego podchodzić... Może dlatego, że to film...

Massi dotyka mojego brzucha. - Co byś zrobiła?

Zamykam oczy... - Pewnie, że strasznie chciałabym mieć dzieci, ale mam dopiero czternaście lat! - Otwieram je. - Pomijam fakt, że ona piętnaście! Miałabym więc jeszcze rok wolności...

- Jeżeli od razu postrzegasz to jako niewolę, to nie ma sensu. Naprawdę byś nie chciała?

- Posłuchaj, byłoby idealnie, gdybym miała je za tyle lat, ile właśnie przeżyłam... czyli w wieku dwudziestu ośmiu...

- Okay, to wydaje się rozsądne. Piszę się na to... Uśmiecha się i bierze mnie za rękę.

Ma dziewiętnaście lat, rok mniej od mojego brata. Co powiedziałby Rusty, gdyby go poznał? Byłby zazdrosny? Kiedy tak rozmyślam, opieram mu głowę *na* ramieniu. Moje blond włosy rozrzucone na jego granatowym golfie. Jestem spokojna, zaraz zacznie się druga połowa.

- Carolina, masz ochotę na popcorn, colę, coś do picia?

Myślę przez chwilę i patrzę na chłopaka z jedzeniem, który stoi na dole, w rogu przy ekranie, i na tych wszystkich ludzi wokół niego.

Nie! Nie wierzę własnym oczom! Widzę, jak z rzędu poniżej wstaje Filo, a potem Gibbo, jest też kilka osób z klasy, Raffaelli, Cudini i również Alis, i Clod z Aldem.

- Nie, nie, dzięki, nic nie chcę. - I zsuwam się odrobinę z mojego fotela. Sama nie wiem dlaczego. Przeszkadza mi to. Nie chcę, żeby mnie widzieli. Nie z nim. Massi jest mój. Nie chcę się nim z nikim dzielić. To nawet nie o to chodzi. Jestem bardzo szczęśliwa, ale mam wrażenie, że moje szczęście jest zbyt kruche, trochę jak pajęczyna. Utkane z cieniutkich kryształowych nitczek, ja znajduję się pośrodku, uwięziona, z rozsypanymi na ramionach blond włosami, a Massi nadchodzi, idzie na czterech łapach i patrzy na mnie, cudowny człowiek-pająk, Spiderman w czerni... I niewiele trzeba, żeby nasza magiczna pajęczyna pękła, trach... i spadam w otchłań.

Opadam jeszcze niżej w fotelu, prawie znikam. Po chwili na szczęście gasną światła. Oglądam dalej *Juno*, ale nie bawię się już tak dobrze jak na początku. Widzę ich z daleka, rozpoznaję w cieniu sali ich sylwetki. Co pewien czas jaśniejsza scena z filmu oświetla ten rząd i wtedy widzę ich jeszcze lepiej. Z drugiej strony, przecież znam tych ludzi na pamięć! Od trzech lat widuję ich codziennie. W każdej możliwej odsłonie. Dlaczego tak się zachowuję? To moi przyjaciele. Po tym stwierdzeniu uspokajam się trochę, nie jestem już taka wzburzona, siadam wygodniej w fotelu. Oglądam spokojnie film, znowu śmieję się jak wszyscy, w tych

samych momentach, wyluzowana, wmieszana w widownię, jak oni, jak moi przyjaciele, ot tak, nie zaprzatając sobie głowy żadnymi myślami.

Seans dobiegł końca. Wstaję od razu, chociaż zazwyczaj lubię oglądać napisy końcowe, by zobaczyć, jak nazywa się dany aktor albo jaki jest tytuł piosenki, która zapadła mi w pamięć. Odwracam się plecami do swoich przyjaciół i idę do wyjścia. Massi jest za mną. Jego szerokie ramiona dobrze mnie kryją.

Chwilę później jesteśmy na zewnątrz, ale tuż za rogiem...

- Carolina... Odwracam się, to Gibbo.

- Ty też byłeś w kinie? Nie widziałem cię! - Podchodzi, a po chwili są już wszyscy.

- Podobało ci się?

- Tak, na maksa. i.

- I pomyśleć, że mogłabym zajść w ciążę w tym wieku! Tobie to nie mogłoby się przytrafić!

- Dlaczego nie? Może w przyszłym roku...

- Aha, chyba że z pomocą Ducha Świętego.

- No co ty, a skąd! Nawet nie z pomocą cudu!

- No chyba, że cudu...

Niektórzy się śmieją, bo co można na to poradzić, Cudini jak zawsze jest nieokrzesany. I rozmawiamy dalej w tym duchu, dowcipkujemy, żartujemy, popychamy się lekko, jak to bywa, gdy jest się w grupie. Po chwili widzę, że niektórzy patrzą na mnie z zaciekawieniem.

- Aaa, to jest Massimiliano.

- Cześć! - Kiwa głową na znak powitania.

- To jest Clod, Aldo... to Cudini, dalej Filo, Gibbo, a to moja przyjaciółka Alis. Pamiętasz ją? Opowiadałam ci o Clod i Alis...

Podają sobie ręce, patrzą w oczy, a ja czuję się jakoś dziwnie.

- Tak, tak, o wszystkich mi opowiadałaś... - Massi jest wyjątkowy, wypowiada te super słowa i momentalnie wszystko mi odpuszcza. Patrzą z rozbawieniem na wyraz ich twarzy, gdy na niego zerkają. Przyglądają mu się badawczo i zachowują się, jak gdyby nigdy nic, ale wyglądają na zdezorientowanych, a może naprawdę są, w końcu pozwalają nam odejść.

- Mili ci twoi przyjaciele...

- Tak, to prawda. Jesteśmy w jednej klasie już od bardzo dawna...
- Ładna ta twoja przyjaciółka...
- Tak... - Mam ochotę go uderzyć, ale zachowuję kamienną twarz. - Ma chłopaka.

Massi się uśmiecha. - Wcale nie jestem zazdrosny.

Już słyszałam ten żart. Kiedyś powiedział tak Paolo, chłopak Ale... Wtedy zrobiło mi się nieprzyjemnie. Spoglądam na Massiego. No cóż, przy nim odnoszę zupełnie inne wrażenie. Widzi to, wybucha śmiechem i obejmuje mnie od tyłu. - Daj spokój, specjalnie tak powiedziałem, żeby cię trochę wkurzyć...

Nadal zachowuję dystans. - No to przykro mi... Ale ci się nie udało!

Próbuje mnie pocałować, trochę się droczymy, ale w końcu z przyjemnością mu ulegam.

Jednak najpiękniejsza rzecz spotkała mnie pod koniec maja.

Wczesny ranek. No, nie tak bardzo wczesny. Przyjeżdżam zaspana do szkoły. Przypinam łańcuchem skuter i podnoszę z ziemi swój plecak. Kiedy wstaję, widzę Massiego z paczką w ręku.

- Cześć! Co tu robisz?

Uśmiecha się. - Chcę iść z tobą dziś do szkoły.

- Wariat, wiesz, że nie można... Nie musisz się uczyć?

- Przesunęli egzamin z prawa na połowę lipca.

- To chyba lepiej? Nie wchodziło ci zbyt dobrze do głowy. - Patrzę na niego zaciekawiona. - A ta paczka?

- To dla ciebie!

- Jaka miła niespodzianka, naprawdę? Dzięki! - Trochę się krępuję, żeby go pocałować i rzucić mu się na szyję tu, przed szkołą, ale bardzo chętnie bym to zrobiła... Co, jeśli ktoś mnie zobaczy? Nie daliby mi spokoju. Jestem bardzo przejęta, chociaż staram się nie dać tego po sobie poznać. Szybko rozpakowuję prezent.

- Ale... to jest kostium kąpielowy!

Wyjmuję go, szaro-granatowy z niebieskim, prześliczny.

- Nawet rozmiar trafiłeś. - Patrzę na niego zakłopotana. - Jesteś pewien, że to dla mnie?

- Oczywiście. - Bierze mnie za rękę. - Byłem przekonany, że nie masz.

- Takiego nie... Ale inne tak.

- Że nie masz go przy sobie. Ponieważ teraz... - Podchodzi do motoru, wyciąga spod spodu zapasowy kask i wsiada. - Jedziemy nad morze. _ w jednej chwili widzę panią od włoskiego, potem od matematyki, potem na trzeciej lekcji historia, a potem długa przerwa i angielski... jestem zaniepokojona nie dlatego, żebym miała kłopoty z językiem, nie, tylko dlatego że tak po prostu nie pójdę do szkoły, nie pomyślawszy o tym wcześniej, nie rozważywszy tego, nie wymyśliwszy jakiejś wymówki, tak na wszelki wypadek... Patrzę na niego, a on z taką miękkością w głosie, której nie potrafię wam opisać, mówi: - I jak? - Jest taki subtelny, niewinny, robi się smutny na myśl o mojej ewentualnej odmowie. - Jedziemy? - Uśmiecha się do mnie i nie mam żadnych wątpliwości. Biorę kask, wkładam go szybko i chwilę potem już siedzę za nim, obejmuję go mocno oparta na jego plecach. Patrzę w niebo i ze zdumienia otwieram szeroko oczy. Idę na węgry! Nie mogę w to uwierzyć. Nie zastanawiałam się ani chwili dłużej, żadne wahanie, strach, podejrzenie, niepewność czy wątpliwość nie przyszły mi do głowy. Poszłam na węgry! Powtarzam sobie, ale już mnie to nie dotyczy...

Miasto miga mi przed oczami. Ulica za ulicą, coraz szybciej, ściany, żaluzje, sklepy, kamienice. A potem pustka. Zielone dopiero co zakwitłe pola, suche kłosa zboża tańczące na wietrze, wielkie żółte kwiaty i te niezliczone, które wypełniają skwery. Jedziemy dalej, mijamy Raccordo, a potem coraz niżej i niżej, w stronę Ostii.

Las piniowy. Nie ma nikogo. Zwalniamy. Motor lekko mruczy, wioząc nas w kierunku ostatniej plaży, przy ujściu małej rzeczki. Zatrzymujemy się. Massi zdejmuje kask.

- Jesteśmy na miejscu.

Tabliczka. Capocotta. Czy to nie jest ta plaża nudystów? Nic nie mówi. Słońce jest już wysoko, przepiękne, jest ciepło, ale nie za bardzo. Massi wyjmuje z bagażnika ręczniki, o wszystkim pomyślał.

- Chodź! - Bierze mnie za rękę i ciągnie, biegnę uszczęśliwiona, roześmiana w stronę bezkresnego niebieskiego morza, które zdaje się czekać tylko na nas.

- Zostańmy tutaj.

Pomagam mu rozłożyć ręczniki. Jeden obok drugiego. Nie ma wiatru. Plaża jest pusta.

- Wiesz, to jest miejsce, gdzie zazwyczaj przychodzą nudyści. .

- A, no właśnie, dobrze pamiętałam tę nazwę.

- Jednak dzisiaj mamy szczęście, nie ma nikogo. Rozglądam się dookoła. - To prawda...

- My możemy robić za nudystów.

- Wariat! Idę się przebrać.

Na szczęście kilka metrów dalej stoi na wpół zburzony dom, resztki świetności jakiejś starej rzymskiej willi. Robię szybki obchód, wreszcie znajduję niewidoczny z plaży kąt i przebieram się. Ale super. Całe szczęście, że naprawdę nikogo nie ma.

Kostium dobrze na mnie leży, przynajmniej tak mi się wydaje, niestety nigdzie nie ma lustra. Wkładam na wierzch koszulę i wychodzę z tych ruin.

Massi już się przebrał. Stoi obok ręczników. Jest ładnie zbudowany, szczupły, umięśniony, ale nie za chudy. I nie ma zbyt dużo włosów. Ma czarne, szerokie kąpielówki, nie za długie. Kiedy dociera do mnie, że to właśnie na nie zerkam, zawstydzam się trochę i czerwienię. Ale co tam, on o tym nie wie.

- Dobrze zgadłem rozmiar?

- Tak. - Uśmiecham się. - I wcale mnie to nie cieszy.

- Dlaczego?

- Wolałabym, żebyś się pomylił... To znaczy, że masz za dobre oko. I że już to przerabiałeś!

- Wariatka... - Przyciąga mnie do siebie. Całuje. Fakt, że jesteśmy tak blisko, nie mając na sobie prawie nic, sprawia, że dziwnie się czuję, ale nie jestem zawstydzona. Wręcz przeciwnie.

Chwilę później leżymy na ręcznikach. Śledzę go. Obserwuję. Podziwiam. Pragnę. Leży na plecach i się opala. Bawi się moją nogą, głaszcze mnie. Gładzi kolano i przesuwając rękę w górę i w dół. Po chwili znowu wyżej, coraz wyżej. Słońce. Cisza. Szum morza. Sama nie wiem. Ogarnia mnie podniecenie. Robi mi się w środku gorąco. Co za dziwne uczucie.

Nic już nie rozumiem. W pewnym momencie Massi odwraca się do mnie. Mam zamknięte oczy, ale czuję to. Kieruję więc powoli głowę w jego stronę i otwieram oczy. Dokładnie tak. Patrzy na mnie. Uśmiecha się. Ja także.

- Chodź! - Wstaje gwałtownie. Pomaga mi się podnieść i już stoję w piasku. Biegnę za nim. Piasek nie jest gorący. W sekundę docieramy do zrujnowanego domu. Rozglądamy się wokół. Nikogo nie ma. Odsuwa mnie, jakby chciał lepiej widzieć.

- Naprawdę super wyglądasz w tym kostiumie.

Czuję, jak na mnie patrzy, i krępię się. Jestem biała. Za bardzo.

- Chciałabym być chociaż trochę opalona. Wyglądałabym lepiej...

- Co ty mówisz, jesteś śliczna... - Przyciąga mnie do siebie. Stoimy w zaułku między dwiema ścianami, schowani przed resztą plaży. Tylko morze jest naszym jedynym zaciekawionym widzem. Ale jest dobrze wychowane. Oddycha cichutko, co jakiś czas wypuszczając falę. Czuję rękę Massiego na biodrze. Przyciąga mnie do siebie. Całuje. Obejmuję go. Czuję go na sobie. Czuję, że jest podniecony. Bardzo. Za bardzo. To nic, tylko że naprawdę nie wiem, co robić. Natomiast on tak, wie, jak się poruszać. Po chwili czuję jego rękę na moim kostiumie. Powolną, miękką, subtelną, miłą. Zatrzymuje się na lamówce kostiumu, podnosi odrobinę gumkę i plusk, daje delikatnego nurka. Jego ręka w moim kostiumie. Schodzi coraz niżej między moje nogi, ale nie łaskocze mnie, pieści powoli i zatracam się w jego pocałunku, jakby to było schronienie dla tego wszystkiego, co czuję, co mnie zaskakuje, zdumiewa, co chciałabym zatrzymać, zaklepać na zawsze, bez zażenowania, z miłością.

Całujemy się dalej, ale mój oddech jest coraz krótszy, przyspieszony, spragniony jego, jego pocałunków, tej ręki, która mną zawładnęła, która nadal porusza się we mnie. Mam ochotę krzyknąć... Na końcu przygryzam górną wargę i zastygam na wpół wykończona, z otwartymi ustami, jakby zawieszona w tym pocałunku. Mija kilka chwil. Teraz jego ręka, znacznie wolniejsza, jak ostatnia pieśczęta, niczym na paluszkach, uważnie, wysuwa się z mojego kostiumu. Widzę, jak na mnie patrzy, jakby mnie badał i szukał w moich zamkniętych oczach śladów tej rozkoszy. Nadal przejęta, z na wpół przymkniętymi powiekami, uśmiecham się. Kiedy po chwili czuję coś, wzdragam się. Nie, nie. Spokojnie.

To jego dłoń, gładzi moje prawe ramię, schodzi niżej wzdłuż przedramienia, potem dotyka nadgarstka. Bierze mnie za rękę. Przez chwilę trzyma ją nieruchomo, zawieszoną w górze, jakby dawał znak. Ale ja nie rozumiem. Słyszę, jak oddycha coraz szybciej, ściska moją dłoń i pomalutku kieruje ją w stronę swoich kąpielówek. Teraz rozumiem. Idiotka. Co dalej? Co mam robić dalej? Nie chodzi o to, że nie chcę... Tylko że naprawdę nie wiem, jak to się robi! W ułamku sekundy wszystko sobie przypominam. Wyjaśnienia Alis. Ale czy są wiarygodne? Czy są prawdziwe? Powtarzam sobie szybko wszystko to, co zapamiętałam, i po chwili już zostaję sam na sam z jego kąpielówkami, moja ręka samiuteńka, porzucona przez tę, którą zabrał.

Przez chwilę stoję w miejscu, ale tylko przez chwilę. Następnie powoli zaczynam się poruszać, pomału, bez pośpiechu, bez lęku, wkładam rękę do jego kąpielówek, szukam w dole, poniżej, aż go znajduję. W tym samym momencie napotykam też jego usta i całuję Massiego, chcę się schować, uciec przed zawstydzeniem. Jednocześnie poruszam ręką, w górę i w dół, najpierw powoli, potem coraz szybciej. Słyszę, jak jego oddech przyspiesza. Podobnie jak pocałunki, spragnione, niespodziewanie urywane i znowu zaborcze. Nie przerywam, teraz jestem bardziej zdecydowana, pewna siebie, szybsza, jeszcze mocniej, i słyszę, jak jego oddech staje się coraz bardziej pożądliwy. I nagle ta niespodziewana gorąca eksplozja łąduje w moim ręku, pieczęć go jeszcze chwilę, a jego pocałunki zwalniają, są spokojniejsze, łagodniejsze, prawie zatrzymują się w moich ustach. Następnie Massi kładzie przez majtki swoją rękę na mojej, jakby chciał mnie zatrzymać.

Uśmiecham się. - Chyba trochę nabałaganiłam...

Massi wzrusza ramionami. - Nic nie szkodzi... Chodź.

Bierze mnie za rękę i wyciąga na bezludną, opuszczoną plażę, muśniętą tylko delikatnie przez wiatr, jałową i pustą. Tylko my spacerujemy po tym piasku, miękkim, białym, gorącym jak to, co właśnie przeżyliśmy. Dochodzimy do brzegu. Massi biegnie do morza, ja przystaję.

- Jest zimna! Lodowata!

- No co ty! Jest zbyt pięknie...

Bierze rozbieg, żeby nadać sens swojej decyzji, i hop! Znika pod wodą i gdy tylko się wynurza, zaczyna szybko płynąć, żeby pozbyć się gęsiej skórki. Następnie zwalnia i patrzy w moją stronę.

- Brrr! Ale jak już jesteś w środku, jest super.

Przekonuje mnie i robię to samo. Biegnę bez zatrzymania i wskakuję do wody, wynurzam się i płynę jeszcze szybciej, coraz szybciej, aż dołączam do niego. Od razu mnie przytula. Całujemy się, pocałunek jest słodki, chociaż ma słony posmak, miękki i gorący, morski i miłosny. Odsuwa się ode mnie, uśmiecha w blasku otaczającego nas słońca.

- Dobrze ci było?

- Bardzo.

- Mnie też...

- Naprawdę? Nigdy wcześniej tego nie robiłam. Patrzy na mnie w poszukiwaniu cienia kłamstwa. Pamiętam, że nie powinien czuć się zbyt pewnie.

- C aro, mówisz prawdę?

- Oczywiście...

Odwracam się i szybko odpływam. Zatrzymuję się i patrzę na niego, jest taki przystojny na środku naszego morza. - Zawsze mówię ci prawdę, z wyjątkiem drobnych kłamstw...

Czerwiec

Łatwe czy trudne? Łatwe. ..

Przyjaźń czy miłość? Wszystko.

Skuter czy minibryka? Jak na razie jestem zadowolona z mojej vespy Łyna 9, potem się zobaczy!

Komórka czy karta telefoniczna? Komórka.

Z makijażem czy mydło i woda? To zależy, według Alis powinnam trochę więcej się malować.

Dziwne uczucie? Czuć się tak, jak się czuję teraz.

Piękne uczucie? Massi.

Brzydkie uczucie? Massi, kiedy go nie ma.

Powód, dla którego wstajesz z łóżka? Massi!

Powód, dla którego zostajesz w łóżku? Massi, którego nie ma...

Czego teraz słuchasz? Ciszy.

Czego słuchasz przed zaśnięciem? Teraz Elisy.

Przyzwyczajenie, bez którego nie możesz się obejść? Czekolada.

Cytat, który zawsze pasuje? *Musimy, najlepiej jak można, wykorzystywać wolny czas.* Gandhi.

Słowo, które zawsze dobrze brzmi? Miłość.

Zdarzają wam się czasami takie poranki, kiedy nie macie ochoty wstać, a łóżko wydaje wam się najwygodniejszym i najprzytulniejszym miejscem na świecie? Właśnie, i ja dzisiaj mam taki dzień. Ale nie mogę zastrajkować. Jestem zła. Wszystko jest takie ospałe. Męczące. Krzywe. Kapcie nie na swoim miejscu. Trochę boli mnie głowa. W soboty i niedziele, kiedy wreszcie jest weekend i można spać dłużej, nigdy tak się nie czuję. Wręcz przeciwnie, często właśnie wtedy zdarza mi się wcześniej wstać, chociaż wcale nie muszę. Czy tylko wtedy, kiedy trzeba iść do szkoły, łóżko wydaje się takie fajne? Uff.

Wstaję, mama już wyszła. Tata też. Jest tylko Ale, która jak zawsze je rogalika z kremem, a potem narzeka, że tyje. Co mnie wcale nie dziwi. Później zanurza go w ogromnym kubku mleka.

- Dzień dobry, he?

Cisza, nie odzywa się. Wydaje z siebie dziwne charknięcia jak zarzynana świnia. Tego ranka Ale jest bardziej nieprzystępna niż zwykle. Coś odburkuje! Szykuję się do wyjścia, ale nie mam siły myśleć, w co się ubrać, wkładam więc dzinsy z bocznym haftem i niebieską koszulkę. Przeglądam się w dużym lustrze w pokoju. Gdybym była kimś obcym na ulicy, nie obejrzałabym się dzisiaj za sobą. Są takie poranki, kiedy po prostu się sobie nie podobamy i jeżeli ktoś powiedziałby nam komplement, nie uwierzylibyśmy. Nagle przychodzi mi do głowy... *Prawdziwe piękno i tak tkwi w czystości serca*. Dziadek zawsze mi to powtarzał. A jemu powiedział tak Gandhi. Oczywiście nie osobiście, dziadek przeczytał to w książce z jego cytatami. Czy moje serce jest czyste, czy nie, tego nie wiem, ale bardzo lubiłam, kiedy mówił mi tak dziadek. Przez chwilę czuję dziwną pustkę w środku, coś nieokreślonego, jakiś rodzaj zawrotu głowy. Powiedzmy, że dzisiaj piękne jest moje serce, a nie twarz.

Bip, bip.

To chyba Alis. Pewnie chce, żebym na nią poczekała przed wejściem, bo musi coś ode mnie przepisać. Może matematykę, która wczoraj faktycznie była trudna. Niewiele zrozumiałam z tego równania algebraicznego. No bo i po co pisać litery tam, gdzie chodzi o liczby? Już i tak niewiele rozumiem z tych cyfr, dorzucicie mi jeszcze alfabet. Poza tym dowiedziałam się, że to wchodzi w zakres materiału pierwszej klasy liceum, ale psorka postanowiła wprowadzić ten temat wcześniej, żebyśmy byli lepiej przygotowani. No tak, jeśli czeka z tym na mnie... Ale czy nie mogła poprosić o to Clod?

Otwieram wiadomość. To od R.J.-a! Dziwne, o tej porze. *Cześć, Caro... Idziesz do szkoły czy coś kombinujesz? Idę, idę, chciałabym mieć taką fantazję. Potowarzyszysz mi po południu? Muszę pojechać w jedno miejsce. Wyślij OK, jeśli ci pasuje i możesz, i wpadnę po ciebie o trzeciej.*

Nic na to nie poradzę. Z Rustym zawsze tak jest. Nie powie ci, dokąd idzie, później się dowiesz. Albo zgodzisz się w ciemno, albo nic z tego.

Wysyłam OK. Jem szybkie śniadanie, myję zęby, przygotowuję się i wychodzę. Moja siostra nawet mnie żegna. Niewiarygodne. Dzień przybiera lepszy obrót, wraca mi dobry nastrój. Teraz gdy o tym pomyślę, to jednak lubię niespodzianki R.J.-a właśnie dlatego, że są w ciemno. Ale nie wiedziałam, że tym razem poczuję się naprawdę dorosła. To jedna z tych niespodzianek, o których wiadomo, że kiedyś będą i że prędzej czy później nastąpią, ale i tak nigdy nie zdołasz się na nie przygotować.

W szkole to ja musiałam przepisać równanie od Clod. Ale wszystko dobrze poszło. Kolejne godziny minęły błyskawicznie i teraz siedzę za R.J.-em.

- Można wiedzieć, dokąd jedziemy? - krzyczę spod kasku.

- Niedaleko. - I włącza się do ruchu.

Rusty James przyjechał po mnie do domu, puścił mi sygnał, żeby nie dzwonić i nie słyszeć się z mamą. Teraz jedziemy zygzakiem przez Rzym i nadal nie mam pojęcia dokąd. Widzę, że Rusty ma pod pupą żółtą kopertę.

- Nie zgubisz jej?

- Nie, poza tym jakby co, to zauważysz. Po co bym cię inaczej zabierał? No i mam jeszcze inny powód...

-Jaki?

- Potem ci powiem.

Po kilku kolejnych zakrętach zatrzymujemy się. R.J. parkuje motor i bierze kopertę. Schodzę jak zwykle, zeskakując z pedałów. Rozglądam się. Stara kamienica z ogromnymi drewnianymi drzwiami i mnóstwem tabliczek umieszczonych obok.

- Gdzie jesteśmy? -

- Wejdę na chwilę. Poczekaaj na mnie.

- A dlaczego ja nie mogę?

- Żeby nie zapeszać.

- Przynoszę pecha?

- Nigdy nie wiadomo. - I zostawia mnie samą, wchodząc biegiem do środka. Podchodzę bliżej do tabliczek. Wszystko tu jest: specjalista do spraw zatrudnienia, biuro handlowe, adwokat, notariusz, wydawca, biuro bazy danych, agencja nieruchomości, krawcowa i ostatnia, najbardziej rzucająca się w oczy tabliczka, studio urody, depilacja również dla

mężczyzn. Do kogo poszedł? Wchodzę do środka, widzę schody i windę, ale R.J.-a już nie ma. Po dziesięciu minutach schodzi, przeskakując po trzy stopnie. Podchodzi do mnie i mnie obraca.

- Powiesz mi w końcu? U kogo byłeś?
- Zgadnij! Jak cię znam, przeczytałaś już wszystkie tabliczki!
- Hmm... Wydepilowałeś się i nie chcesz mi tego powiedzieć! Rusty podnosi nogawkę dzinsów i pokazuje mi swoje piszczele, niezbyt owłosione, ale i nie gładkie.

- W takim razie narozrabiałeś i byłeś u adwokata!
- Nie, moja kartoteka jest czysta.
- Zamówiłeś uszycie garnituru, jak to robią poważni ludzie! Marynarka i spodnie!

- Może kiedyś...
- Poddaję się!
- Chodzi o to, o czym rozmawialiśmy wcześniej.
- O pupie?
- Tak! Siedziałem na kopercie, bo to przynosi... szczęście!
- Aha, a co było w środku?
- Moja książka...
- Nieee! Mogłeś powiedzieć!

- I co by to zmieniło? Jeszcze byś poprosiła, żebym ci ją przeczytał! A tak przyjechałaś tu razem ze mną, żeby dostarczyć ją do wydawnictwa, i może tym samym przyniosłaś mi szczęście! Przejdziemy się trochę? Nie chcę wsiadać od razu na motor.

- Dobrze. I tak z Alis i Clod jestem umówiona dopiero za dwie godziny.
- Czy wy się nigdy nie uczycie?
- No jak to, właśnie będziemy się uczyć!
- O szóstej po południu?
- Właśnie tak, wtedy mój biorytm jest najbardziej aktywny! Powiedział mi to Jamiro!

- Bez niego nie ruszasz się na krok, co nie?
- Nigdy!

Śmiejemy się i spacerujemy. Słońce stoi wysoko, jest bardzo ładny dzień i jest mi o niebo lepiej niż rano. To zasługa R.J.-a. Zjawia się jak

tajfun i przegania nudę. Przechodzimy koło wystawy. Sklep fotograficzny. Oboje w tym samym momencie przystajemy. Za szybą leżą najnowocześniejsze aparaty cyfrowe, kilka lustrzanek, obiektywy, zdjęcia roześmianych kobiet. Patrzymy na siebie. Ułamek sekundy. Znaczący uśmiech, cisza, która nie wymaga słów. Mamy te same myśli. Dziadek. Nasz ukochany dziadek. Cudowny, wielki, dobry dziadek, którego nam brakuje, dzięki któremu czuliśmy się bezpiecznie, przynajmniej ja. I znów jestem tam, w tamtych okropnych dniach. Dom pełen milczących ludzi. Babcia na krześle obok niego. I on, wygląda, jakby spał. To wydaje mi się niemożliwe. Śmierć wydaje mi się niemożliwa. Nawet nie wiem, co to jest. Czasami chciałabym móc o tym zapomnieć, wsiąść na skuter i pojechać jak zawsze do nich do domu, a tam niespodzianka, dziadek Tom siedzi za biurkiem i jest czymś zajęty. I jego zapach. Nie jestem w stanie o tym myśleć. Nie potrafię nad tym zapanować i moje oczy robią się wilgotne. Rusty to zauważyła.

- Uspokój się...

- Co: uspokój się... Co teraz będzie? - Pociągam nosem. - Tęsknię za nim. I wiem, że nie ma na to lekarstwa. Nawet z mamą nie mogę o tym porozmawiać, bo od razu zaczyna płakać i wydaje mi się, że cierpi jeszcze bardziej...

- Ja też za nim bardzo tęsknię i nie wiem, co powiedzieć, ciągle myślę o tym, jak musi czuć się babcia... I kiedy tak patrzę na nią, wydaje mi się, że nawet nie mam prawa...

- Tak. To niesprawiedliwe.

Naprawdę myślę, że to niesprawiedliwe. Jak to, ktoś taki jak dziadek, taki dobry, ciekawy świata, ze swoją chęcią życia, jak chłopczyk... I właśnie on, ot tak, odchodzi. Nie rozumiem śmierci. Zabiera bliskich, nie dając nic w zamian. Już nigdy więcej z nimi nie porozmawiasz, nie dotkniesz ich, nie zobaczysz, nie pośmiejesz się z nimi. Nigdy ich nie usłyszysz, nie kupisz im prezentu ani nie powiesz tego, czego wcześniej nie miałaś odwagi powiedzieć. Naprawdę ostatni raz, proszę, tylko jeden ostatni raz, chciałabym móc mu powiedzieć: „Kocham cię, dziadku”.

- O czym myślisz?

- Sama nie wiem... Mam mętlik w głowie. - Patrzę na niego. - R-J myślisz czasami o śmierci?

- Nie... Raczej nie. - Uśmiecha się do mnie. - Wiesz, uważam, że trzeba brać to, co los nam daje, i cieszyć się z tego, co było.

- Brzmi tak, jakbyś to gdzieś przeczytał, albo mówisz już jak pisarz.

- No cóż, tak jest o wiele prościej, dziadek zawsze mi to powtarzał.

- Rozmawiałeś z dziadkiem o śmierci?

- Nie, o życiu. Mówił, że gdyby nie było śmierci, życie nie mogłoby się toczyć dalej. Że życie broni się śmiercią. Kiedyś przeczytał mi piękny fragment utworu jednego poety, Pabla Nerudy. - Idziemy dalej, Rusty szuka w myślach, nagle jego głos staje się miększy.

- Pomału umiera ten, kto unika namiętności, kto woli mieć czarno na białym i kropki nad „i” zamiast ogółu emocji, od których błyszczą oczy, które zamieniają ziewanie w uśmiech, od których mocniej bije serce w obliczu błędów i uczuć...

- To jest przepiękne...

- Owszem, jest. A poza tym to prawda. Caro, naprawdę umierają ci, którzy nie potrafią żyć. Ci, którzy krygują się, bo myślą o tym, co powiedzą inni. Ci, którzy odpuszczają szczęście. Ci, którzy cały czas postępują w ten sam sposób, bo myślą, że nie potrafią zrobić niczego innego, którzy wierzą, że miłość jest więzieniem, którzy nigdy nie pozwalają sobie na drobne szaleństwa ku ucieście własnej lub innych. Nie żyją ci, którzy nie potrafią poprosić o pomoc ani tym bardziej jej zaoferować.

- To też Neruda?

- Nie, to jest to, co myślę dzisiaj dzięki dziadkowi...

Wsiadamy na motor i odjeżdżamy, pośród ruchu ulicznego, przechodniów, życia. Ludzie idą po chodniku, niektórzy czekają na wejście do baru czy sklepu, inni aż zmieni się światło, żeby przejść na drugą stronę, ktoś się śmieje, ktoś rozmawia, ktoś się całuje. Ludzie. Mnóstwo ludzi. Przez chwilę czuję się lepiej i już nie chce mi się płakać. Jestem spokojna, trochę doroślejsza, wydaje mi się, że widzę przez chwilę dziadka. Już mi go tak nie brakuje, bo był wśród nas i zostawił nam tak wiele, że nigdy mu tego nie zapomnę.

To już koniec. Trochę mi smutno. Za dwadzieścia dni zaczynają się egzaminy pisemne, potem ustne, a później koniec nas jako klasy. Jakie to dziwne. Wszystko wydaje się takie odległe, a potem nagle bach, i już po wszystkim. Ciągłe sobie żartuję, ale tak naprawdę mam pietra przed egzaminami. Cała się im poświęcam.

Na przykład dzisiaj wyjątkowo dobrze szła nam nauka w domu Alis. Clod jest bardzo szczęśliwa, że tak wspaniale układa jej się z Aldem. Strasznie nas bawi swoimi opowieściami i zwierza się ze wszystkiego, co jej się przytrafia. Ja bym tak nie mogła. Przynajmniej nie w takim stylu. Ale ona jest spokojna. Może czuje się z nami bezpiecznie. Nie wiem. Do moich myśli wkrada się niespodziewanie Alis.

- Spotykam się z kimś...

- Naprawdę?

Alis odpala tę bombę podczas podwieczorku.

- Nic nam nie powiedziałaś!

- Teraz wam mówię... Spotkaliśmy się ponownie w ubiegłym tygodniu u mojej kuzynki, jest z Mediolanu, ma dwadzieścia jeden lat i jest bardzo przystojny...

- Dwadzieścia jeden? Nie za stary? - Mówiąc to, myślę o Massim i jego dziewiętnastu latach. No tak, to tylko dwa lata więcej, czy to robi różnicę? Jednak fakt, że jest w tym samym przedziale wiekowym, daje poczucie normalności, bliskości. Czuję się głupio, stawiając takie pytania, trochę jak moja mama. Nie, żeby ona była głupia... Ale takie rzeczy mówią zazwyczaj matki! Uwagi z początku niemające sensu, ale z biegiem czasu... Och, jak ja czasami przynudzam.

- Jaki jest? Jaki? - Clod i ta jej ciekawość. Alis uśmiecha się i wydaje się bardzo zadowolona z jej zainteresowania.

- Wysoki brunet, bosko zbudowany, pracuje w modzie, jego ojciec jest znanym biznesmenem, sprzedaje włoskie ubrania za granicą, w Japonii. Na początku powiedział, że świetnie nadawałabym się na modelkę ich wzorcowej kolekcji...

- Naprawdę? Ale czad!

- A potem?

- Potem chciał mnie zobaczyć nago!

- Nie!

- Aha... - Alis potakuje głową. - Byliśmy w salonie mojej ciotki, zaczynała się kolacja i wszyscy już poszli, zdjęłam ramiączko sukienki i pozwoliłam jej spaść na podłogę. Spiekł raka, rozumiecie?

- No myślę!

- Co chwila zerkał w stronę jadalni, czy ktoś po nas nie idzie. Potem powiedział: „Okay, świetnie. Byłabyś idealna. W czasie kolacji ciągle na niego patrzyłam. Uciekał wzrokiem.

- Wystraszyłaś go...

- Ma dwadzieścia jeden lat!

- Może nigdy wcześniej nie spotkał kogoś takiego jak ty.

- No może... - Alis wzrusza ramionami. - Kolacja była bardzo krótka, pod koniec zaczęłam się nudzić. Zapytałam, czy mnie odprowadzi...

- A on?

- Zrobił to. - Uśmiecha się i patrzy na nas. - U mnie w domu nikogo nie było... Zaprosiłam go na górę. - Przez chwilę nic nie mówi. - Zaczęliśmy się całować, poszliśmy do mojego pokoju i kochaliśmy się...

- Akurat! - Wymsknęło mi się.

Alis odwraca się gwałtownie w moją stronę. - Nie wierzysz, Caro? Dlaczego miałabym ci wciskać kit? Myślisz, że się przechwalam? Ze nie byłabym do tego zdolna?

- Nie, to znaczy... Tak, tak, co to ma do rzeczy... Te pytania wywołują mój popłoch.

- Oczywiście... Tylko że wydaje mi się to dziwne, dopiero co go poznałaś...

- Każdego roku spotykaliśmy się nad morzem, ale wcześniej nie zaiskrzyło. Od zawsze mi się podobał. Chyba jestem zakochana. Ciągle o nim myślę i co chwila się słyszymy. Może nawet za często... Zaczynam mieć obsesję. - Wybucham śmiechem. - Teraz poleciał do Mediolanu... Chcę zrobić mu niespodziankę i jadę go odwiedzić. Może wybierzecie się ze mną...

No jasne, myślę w duchu, samolotem i za zgodą naszych starych. Czasami Alis nie zdaje sobie sprawy z naszego wieku.

- Tak, tak, koniecznie... Byłoby super... - Clod nie podziela moich myśli. Poza tym tam robi się megazakupy, sklepy są niesamowite, cała moda jest tam. Kiedy Paris Hilton przyjeżdża do Włoch, najpierw zatrzymuje się właśnie w Mediolanie. To absolutnie obowiązkowe.

- Alis... - Patrzę na nią, starając się lepiej zrozumieć. - Jak było?

- Cudownie... Na początku trochę bolało... Ale potem było cudownie. Ale kazałam mu założyć prezerwatywę.

- No co ty! Nie wstydziałaś się?

- Chyba żartujesz? Inaczej skończyłabym jak Juno... I potem... potem trzymałabym na ręku dziecko, czego z jednej strony bardzo bym chciała, ale z drugiej, w tak młodym wieku, byłyby z tego same problemy...

- Tak, tak, no oczywiście... - Chociaż przy pieniądzach, którymi dysponuje, trudno jest mi wyobrazić sobie te problemy. Spoglądam na nią. Nie wiem, czy mnie okłamała. Alis jest do wszystkiego zdolna, naprawdę, jest nieprzewidywalna. Czasami zupełnie jej nie rozumiem. Bardzo ją lubię, jest moją przyjaciółką, to fakt, ale cały czas jest w niej coś takiego, co mi umyka.

- Wyobraźcie sobie, że nie miał przy sobie prezerwatywy...

- I co?

- Na szczęście ja miałam!

- Naprawdę?

- Tak. - Podchodzi do szuflady i wyjmuje otwarte pudełeczko. „Control”. A więc to prawda.

- Kupiłam je, bo wiedziałam, że prędzej czy później to nastąpi... I że „on” nie będzie ich miał przy sobie! Więc, żeby nie ryzykować, że tego nie zrobię... Kupiłam je i trzymałam tu! Proszę... - Podaje jedną Clod. -1 proszę... -1 jedną mnie. Potem uśmiecha się do nas. - Dziewczyny, to jest cudowne... Na ten dzień, kiedy was to spotka... Jak już będziecie gotowe!

Clod oddaje jej prezerwatywę. - Jeśli chodzi o mnie, przed szesnastym rokiem życia nawet nie ma mowy... Zatrzymaj ją, bo minie termin przydatności.

- Dlaczego nie przed szesnastymi urodzinami?

- Nie wiem... Tak zdecydowałam...

W rzeczywistości Clod ciągle boi się wszelkich nowości. Alis patrzy na mnie wyzywająco. - A ty?

- A ja... bardzo ci dziękuję. - I chowam ją do kieszeni. - Nie wyznaczyłam żadnego dnia... Kiedy będzie, to będzie. Chcę mieć tylko pewność co do jednego...

Alis patrzy na mnie z zaciekawioną. - Co do czego?

- Co do miłości. Jego miłości... Swojej jestem pewna. Clod się uśmiecha. -
Naprawdę? To piękne, co czujesz.

- Tak. -I trochę się tego wstydzę. Prawie boję się swojego szczęścia. -
Wybaczcie, ale muszę iść.

- Dokąd? Do Massiego?

- Tak.

- Podsunęłam ci to i owo, co nie?

- Taak... - Uśmiecham się i wychodzę z domu Alis. Uruchamiam skuter, zdejmuję łańcuch, wkładam kask i odjeżdżam. Zatrzymuję się koło kosza na śmieci. Wkładam rękę do kieszeni, wyjmuję prezerwatywę, którą podarowała mi Alis, i wyrzucam ją. Odjeżdżam. Nic mi po tym. Moim zdaniem trzymanie prezerwatywy w kieszeni, dopóki tego nie robisz, przynosi pecha. A poza tym kto wie, kiedy to nastąpi. A jeśli zapomnę jej schować i znajdzie ją moja mama albo tata? Wolne żarty. Za duże ryzyko. I tak, znacznie lżejsza na duchu, jadę spokojnie ulicami. Staję na światłach i zakładam słuchawki od iPod'a. Włączam. Losowe wybieranie. Jestem ciekawa, jaka będzie pierwsza piosenka... Muzyka. Słyszę pierwsze takty. Nieee! Nie mogę w to uwierzyć! Vasco. *Chcę ryzykownego życia... chcę życia pełnego kłopotów...* Śmieję się. Jasne, że po tym, jak wyrzuciłam prezerwatywę w obawie przed starymi, to naprawdę jest się z czego śmiać, ach... Takie jest życie. Czasami robi to specjalnie, żartuje z nas albo sprawia, że czujemy się ważni. Właściwie sama nie wiem, dlaczego skłamałam Alis i Clod. Wcale nie jadę do Massiego, ale do babci. Obiecałam, że ją odwiedzę, a akurat jej nie chciałabym wystawiać. Ha, właśnie wpadłam na świetny pomysł.

- Cześć!

- Carolina! Co za niespodzianka! Przepraszam na chwilę... - Sandro zostawia starszego mężczyznę i podchodzi do mnie, żeby się przywitać. Podaje mi rękę. Zawsze chce mi się śmiać, gdy tak robi. Kilka dni po tym, jak spotkałam Massiego, poszłam do Sandra i od razu wszystko mu opowiedziałam, w końcu pierwszy raz zobaczyliśmy się z Massim właśnie tutaj, a potem w jakimś sensie Sandro pomagał mi go szukać. Ale od tamtej wizyty, za każdym razem, gdy mnie widzi, wydaje się zaniepokojony moją historią z Massim.

- Co tu robisz? - Patrzy mi w oczy. - Wszystko w porządku, prawda?
- Jasne! Świetnie... A u ciebie? Jak idzie z Chiarą, nadal jest taka zazdrosna o naszą przyjaźń?
- Hm, tak sobie... - Sandro wzrusza ramionami. - Zaproponowałem, żebyśmy po pracy poszli na drinka, i zgodziła się.
- To dobrze.
- Powiedziała również, że nie może wrócić zbyt późno, bo jej chłopak jest bardzo zazdrosny...
- To trochę gorzej...
- Ale mówiąc to, śmiała się. Jakby chciała dać mi do zrozumienia, że ta relacja zaczyna ją nużyć.
- To świetnie!
- Tak, nie należy się tylko spieszyć. - Uśmiecha się.
- Przepraszam, czy to jest to? To, o czym pan mówił...? - Starszy pan trzyma w ręku książkę. Z oddali widzę tytuł. *Mała handlarka prozą* Daniela Pennaca.
- Nie, to się panu nie spodoba.
- Mężczyzna wzrusza ramionami, odkłada książkę na półkę i szuka dalej. Sandro spogląda na mnie i wznosi oczy do nieba. - Chodź, przesunmy się trochę dalej... To trudny klient. Wybiera książki przypadkowo, każe je sobie opowiadać, chce znać wszelkie szczegóły... a potem prawie nigdy ich nie kupuje! Zatem? - Znowu się uśmiecha. - Co robisz w tych stronach?
- Chciałam kupić książkę dla babci...
- Ach, tak, dla babci Luci. - Milknie.
- Opowiadałam ci, co się stało...
- Tak, oczywiście. Pamiętam.
- Kiedy tylko mogę, odwiedzam ją, zwłaszcza że moja mama, ich jedyna córka, całymi dniami pracuje...
- Patrzy na mnie i czule się uśmiecha, jakbym była wyjątkowa. Dla mnie to wszystko jest takie zwyczajne.
- Niech pomyślę... O, już wiem. - Bierze do ręki książkę. - To mogłoby się jej spodobać: *Samotność liczb pierwszych*. To historia dwojga samotnych ludzi, którzy się kochają, ale w końcu zostają sami...
- Sandro! To jest strasznie smutne!

- Trochę tak. Mimo wszystko to bardzo piękna historia!

- Rozumiem, ale to babci teraz nie poprawi nastroju!

- Masz rację. No to może to... *Elegancja jeża*. Jest lżejsze, zabawne, ale równie piękne.

- Hm... - Biorę książkę do ręki. - O czym to jest?

- To historia inteligentnej odźwiernej, która udaje, że jest nierozgar-nięta, w przeciwnym razie mieszkańcy kamienicy by jej nie polubili... I zaprzyjaźnia się z jedną dziewczynką...

- Ta wydaje mi się bardziej odpowiednia, chociaż my nie mamy portiera!

Niespodziewanie słyszymy obcy głos.

- Och, oczywiście, że to się nadaje! Poza tym ta dziewczynka postanawia popełnić samobójstwo w dniu swoich urodzin, a przyjaźń z odźwierną pomaga jej w samotności i... - Śmieszny pan, ubrany w szarą kratkę Prince de Galles, kamizelkę i muchę, zauważa, że oboje z Sandrem na niego patrzymy. Słowa więzną mu w gardle. - Eee, może lepiej, żebym nie opowiadał wszystkiego... Tak czy inaczej mnie się bardzo podobało. - Odwraca się, jakby trochę zawstydzony naszym milczeniem, i odchodzi.

Sandro patrzy na niego. - Chciał pogadać...

- Tak, i zdradzić mi zakończenie.

- Ale on i tak tego nie czytał! To wszystko zapamiętał z tego, co mu opowiadałem... Wiesz, on jest bardzo samotny. Przychodzi tu, żeby pogadać, a pod koniec miesiąca kupuje w końcu jakąś najtańszą książkę, żeby pokazać, że moje wszystkie streszczenia nie idą na marne! - Spoglądam na starszego pana. Stoi kawałek dalej i przegląda książki. Otwiera jedną, kartkuje, czyta fragment, ale w rzeczywistości tylko udaje i kątem oka spogląda na nas, wie, że rozmawiamy o nim. Potem odwraca się. Uśmiecha. W sumie jest chyba miły. On i babcia Luci. Kto wie, może któregoś dnia mogliby się spotkać, napić herbaty i porozmawiać o różnych rzeczach, dotrzymać sobie towarzystwa. Babcia zna mnóstwo historii, opowiadałaby mu jedną dziennie do końca jego dni. Nie. Babcia już nigdy nie zechce rozmawiać z żadnym innym mężczyzną. Codziennie rozmawia z dziadkiem. Tylko my nie możemy ich usłyszeć.

- Carolina! Co za niespodzianka...

Babcia wpuszcza mnie, całuje w policzek z miłością i długo przytula. Potem kładzie mi ręce na ramionach i przygląda mi się, jakby czegoś we mnie szukała.

- Naprawdę się ciebie nie spodziewałam...

Nie wiem, czy jej wierzyć. Moim zdaniem to nieprawda. Byłoby jej przykro, gdybym nie przyszła. I to bardzo. Oddycha z ulgą i po chwili znów staje się taka jak zawsze. :

- Co u ciebie słyhać... Każdego dnia wydajesz się inna...

- Jak to inna, babciu?

Zamyka za mną drzwi. - Doroślejsza. Bardziej kobieca. Lub dziewczęca...

- Ależ ja jestem dziewczyną! - Śmieję się i odwracam, żeby na nią spojrzeć.

- Tak, tak, wiem... - Po chwili pyta zaciekawiona: - Czy jest coś, co powinnam wiedzieć?

- Nie, babciu. - Rozumiem jej ewentualne aluzje. - Możesz być spokojna, babciu.

Siadamy w salonie przy stoliku, w cieniu moreli.

- Wypuszcza pierwsze kwiaty.

- Tak... - Siedzimy i obserwujemy dopiero co rozwinięte pączki, które wyginają się na wietrze, leciutkie i delikatne. Kto wie, jakie wspomnienia przywołują. Widzę, jak w oczach babci malują się emocje. Pojawiają się drobne, matowe łzy. Siedzi tak bez ruchu, zamyślona, przeniesiona w czasie. Ta doniczka. To drzewo. Pocałunek, który miał miejsce w tym zakątku. Podarunek. Obietnica. Milczę, a ona wraca pamięcią do tego, co było, nieobecna poddaje się wspomnieniom. Nagle powraca. Długie westchnienie. Spogląda na mnie ponownie z łagodnym uśmiechem. Już nie wstydzi się swojego bólu. Odwzajemniam uśmiech.

- Masz ochotę na herbatę?

- Tak, babciu! Może zieloną, jeśli masz...

- Oczywiście, że mam. Odkąd wiem, że ją lubisz, nigdy jej u mnie nie brakuje...
- I wychodzi.

Siedzę przy drewnianym stoliku w rogu, w pobliżu jaśminu i dzikiej róży pnącej się po ścianie. Pamiętam, że dziadek zrobił mi piękne

zdjęcia wśród tych róż. Zamykam oczy, wdycham delikatny zapach kwiatów. Jestem zrelaksowana, odpoczywam, chociaż nie mam powodu być zmęczona. No, może trochę za dużo się uczyłam. Opuściłam wuef. To już ostatnie lekcje, egzaminy są tuż-tuż. Siedzę zatopiona w różnych myślach i nagle przypominam sobie, co powiedziała mi mama. Niedługo po pogrzebie dziadka, kiedy wróciliśmy do domu. Nie mogłam spać i przez przypadek natknęłam się na nią w salonie, gdy siedziała z podkulonymi nogami na kanapie, tak jak zazwyczaj ja lubię przesiadywać.

Tamten wieczór. , .

- O, Caro, chodź tutaj... Siadam na krzesło, naprzeciw niej.

- Nie, chodź tu, obok... Robi mi miejsce na kanapie, a ja siadam w taki sam sposób jak ona. Jesteśmy niczym dwie krople wody, różni nas tylko wiek.

- O czym myślisz, mamó?

- O jednej rzeczy, którą zawsze sobie wyobrażałam, ale się nie spełniła... - Milknie, jej zagubione spojrzenie krąży po wyłączonym telewizorze, po kanapie w głębi pokoju, po zniszczonym dywanie i po antycznym lustrze.

- Mogę wiedzieć, co to było?

Powraca myślami. Odwraca się powoli w moją stronę. Uśmiecha.

- Oczywiście. Tak bardzo się kochają... To znaczy, tak bardzo się kochali, zawsze chciałam, żeby odeszli jednocześnie, w tej samej chwili... Chociaż dla mnie byłby to ogromny ból.

Przysuwam się bliżej i opieram głowę na jej ramieniu. I prawie szepczę:

- Nadal się kochają, mamó.

Głaszcz mnie po włosach, potem po buzi i znowu po włosach. - Tak. Nadal się kochają.

Słyszę, jak płacze. Cichutko, nie potrafi pohamować łez, powstrzymać szlochu, który staje się coraz gwałtowniejszy. Ja też płaczę w ciszy, obejmuję ją mocno, ale nie jestem w stanie nic powiedzieć, nawet nie

wyobrażam sobie, co by to mogło być, jakie słowa otuchy, prócz: „Przykro mi, mamo...”. I płaczemy tak dalej, jak dwie dziewczynki z dwóch różnych matek.

- Już jestem, a to twoja herbata. - Stawia ją trochę chwiejnym ruchem na drewnianym stoliku. Otwieram oczy i szybko je wycieram, żeby nie zobaczyła, że znowu płakałam.

- Hmm, jaka dobra... Nawet, babciu, nie wiesz, jaką miałam na nią ochotę! - Nalewam wody do mojej filiżanki, wydaję herbatę z torebki i od razu zanurzam.

- Nie chcesz spróbować?

- Nie, dziękuję. - Babcia siada naprzeciwko mnie. - Wolę tradycyjną, *english*. - I mówiąc to, uśmiecha się zadowolona ze swojej wymowy.

Wzruszam ramionami. - Jak sobie chcesz, babciu... Kończę parzyć herbatę i próbuję herbatnika.

- Babciu! Ależ one są z masłem...

Uśmiecha się. - I właśnie dlatego są takie smaczne! Kręcę głową. Nie chce słyszeć o mojej diecie, w ogóle mi w tym nie pomaga, wręcz przeciwnie.

- Z kilkoma kilogramami więcej będziesz lepiej wyglądać!

- Dobra, dobra... Zamiast mnie wspierać...

- Ależ ja cię wspieram... żebyś była jeszcze ładniejsza! Zanurzam rękę w mojej torbie pod stołem.

- Cieszę się, że w to wierzysz, babciu... Proszę, mam coś dla ciebie. Kładę na stole zapakowany prezent.

- Co to jest?

- Otwórz...

Babcia odstawia filiżankę i bierze paczuszkę. Rozpakowuje ją. Jest przejęta.

- Dziękuję! - Obraca w rękach książkę. *Podwójne gry*.

- Mam nadzieję, że ci się spodoba. To powieść napisana przez bardzo młodego chłopaka, ale jest taka romantyczna...

Patrzy na mnie wzruszonymi oczami, zbiera jej się na płacz.

- No, przynajmniej tak mi powiedzieli, babciu.

- Ależ na pewno tak jest... Nie przejmuj się. Ja też coś dla ciebie mam. Poczekaj chwilę...

Siedzę zaciekawiona, popijając herbatę, która trochę wystygła, ale jest równie dobra, i nagle w drzwiach staje babcia z prezentem.

- Proszę, pewnego dnia na spacerze zobaczyliśmy go... Chcieliśmy poczekać do Bożego Narodzenia... - Milknie. Nie kończy: „Niestety czekanie nie ma już sensu...” albo: „Nie ma już dziadka”.

Po prostu milczy. A wydaje się, że powiedziała to wszystko, a nawet więcej. Staram się ją zrozumieć. Zbiera mi się na płacz. Jej też. Więc specjalnie robię zamieszanie.

- Jak fajnie, co za niespodzianka! Nie mam pojęcia, co to może być!

Szybko odpakowuję, drę papier na kawałki i śmieję się, potem zbieram je i próbuję wrzucić do kosza nieopodal. Ale nie trafiam. Babcia patrzy na mnie i kręci głową, a ja się do niej uśmiecham. - Potem posprzątam... -1 przyglądam się uważniej pudełku. - Och, jaki piękny! To aparat fotograficzny!

- Podoba ci się? Mówił, że masz talent, że bardzo ci się spodoba, bo to taki aparat... Taki, którym możesz zrobić mnóstwo zdjęć bez kliszy...

- Cyfrowy!

- O, właśnie, cyfrowy.

- Strasznie mi się podoba... - Otwieram pudełko, wydaję go i obracam w rękach, próbując zrozumieć jak działa. Włączam go.

- Jest naładowany... Super... - Widzę przycisk do robienia zdjęć. Pstrykam jedno babci. - Uśmiechnij się! - I gotowe! Robię błyskawicznie. Obok jest przycisk samowyzwalacza. Włączam i sekundy zaczynają się odmierzać. Trzydzieści. Dwadzieścia dziewięć. Dwadzieścia osiem. Stawiam aparat na stoliku obok dzbanka z herbatą. - Chodź, babciu! Zrobimy sobie zdjęcie razem! - Prowadzę ją przed obiektyw, pośród róż, i obejmuję. Czekaemy gotowe, opiera głowę na moim ramieniu i właśnie wtedy... - Flash! Już, zrobione!

Podbiegam do aparatu i sprawdzam. - Zobacz, babciu. Wyszłyśmy Pięknie! Jesteśmy jak dwie modelki.,,

~ Tak, tak! - Śmieje się, zerkając mi przez ramię. Biorę aparat do ręki i zaczynam przeglądać. Idę do menu, żeby się więcej dowiedzieć. Pozostałych zdjęć: czterysta trzydzieści. Jak to? Było napisane czterysta

pięćdziesiąt. Przyciskam. Cofam się i nagle pojawia się on. Dziadek. Dziadek, jak się uśmiecha. Dziadek, jak robi miny. Dziadek ze skrzyżowanymi na piersi rękami, a dalej dziadek i babcia przytuleni, przepiękne zdjęcie. Ona uśmiechnięta opiera się o dziadka na tle moreli. Może to o tym wcześniej myślała. Przywołała tamten dzień, to zdjęcie, ten uśmiech, jej szczęście. Spoglądam na nią. Babcia uśmiecha się do mnie.

- Tam są nasze zdjęcia, prawda?

Potakuję głową. Nie mogę nic powiedzieć. Mam gulę w gardle. Chce mi się płakać. Uff. Dlaczego jestem tak skonstruowana? Już nie mogę. Babcia mnie głaszcze. Wszystko rozumie i chce być silna ze względu na mnie.

- Mogłabyś mi je wydrukować? Jeśli się nie uda, to nie szkodzi... Nie przejmuję się.

Biorę głęboki oddech i odzyskuję kontrolę. - Oczywiście, babciu. Na pewno ci je wydrukuję... Dziękuję. Zrobiliście mi piękny prezent. I przytulam ją.

Kilka dni później.

- Cześć, Caro!

Obejmuje mnie i całuje tak, że braknie mi tchu, serce podchodzi mi do gardła i jestem tak podekscytowana jak pierwszego dnia, kiedy skrzyżowały się nasze spojrzenia w lustrze księgarni. Massi. Ma na sobie niebieski podkoszulek i jest już trochę opalony. To niesamowite, mamy dopiero połowę czerwca. Pachnie morzem. Tak, ten niebieski kolor, jego uśmiech, oczy i opalenizna pachną morzem... i miłością. Plaża na samotnej wyspie, otoczona rozbijającymi się o skały falami, jego włosy, uśmiech i on sam... jak mnie przytula.

- Caro, o czym myślisz? Masz taki wyraz twarzy...

- O tym, że niebawem zaczynają się egzaminy. Kłamię.

- Naprawdę? Uśmiechałaś się!

Wzruszam ramionami i idę w zaparte.

- Oczywiście, na myśl o egzaminach zawsze chce mi się śmiać...

Bierze mnie w ramiona i bez trudu podnosi.

- Ej, poczekaj! Upuszczę je!

- Co mi przyniosłaś?

- Minipizze Mondzi.

- Hmm... dobre... ale później.

Wyjmuje mi je z ręki, kładzie na stole w kuchni i ciągnie mnie przez korytarz i salon do swojego pokoju.

- Proszę... - Prawie rzuca mnie na łóżko i skacze, spada tuż obok, odsuwam się w porę, żeby nie wylądować pod nim.

- Jesteś wariat, omal mi nie zrobiłeś...

- Chcę ci to zrobić teraz...

Zmaga się z moim paskiem, jest jak wygłodniały, szybko go rozpina. Przytrzymuję jego rękę.

- Massi, zamknąłeś drzwi?

- Nie... - I śmieje się.

- A jeśli przyjdą twoi starzy?

- Niemożliwe. Są nad morzem, wrócą dopiero pod koniec lipca...

- Jesteś pewny?

- Oczywiście... To dlatego będę jadł cię po kawałeczku... Mniam! - Gryzie mi dzinsy, między nogami, niemal sprawia mi ból.

- Aua.

Następnie udaje zwierzę. - Jestem wilkiem... Jaką masz gładką skórę... - Rozpina mi dzinsy, delikatnie gryzie i liże skórę tuż nad górną lamówką majtek.

- Aj! Gryziesz mnie... - O.

- Tak, żeby lepiej cię zjeść! - I wydaje dziwny odgłos.

- Bardziej niż wilka przypominasz wieprza...

- O, to mi się podoba, jestem nowym gatunkiem, wieprzowym wilkiem... - Ściąga mi spodnie. Zdejmuje również buty, skarpetki i leżę tak, w jego ramionach.

- Jest za dużo światła...

Wstaje szybko i opuszcza rolety. Półmrok. - Teraz lepiej, prawda? - Tak... - Uśmiecham się.

- Widzę twoje śliczne białe zęby... I błyszczące, błękitne oczy! Rozbiera się, zdejmując wszystko i wyciąga się obok mnie. Ma tylko Majtki, ale po chwili szybko je ściąga. Teraz jest kompletnie nagi.

Zaczyna mnie pieścić wsadza rękę między nogi, obejmuję go mocno i prawie się w niego wczepiam, kiedy daje mi rozkosz, coraz więcej i więcej, jeszcze i jeszcze.

- Pragnę się z tobą kochać - szepcze mi do ucha.

Zamieram. Nie wiem, co powiedzieć. Mam ochotę. Boję się. Nie wiem, co robić. Przypominam sobie Juno. Jestem wystraszona. Może lepiej wziąć na wstrzymanie.

- Jeszcze trochę za wcześnie... - mówię, mając nadzieję, że się nie zdenerwuje. Zastyga. Po chwili się uśmiecha.

- Masz rację...

I delikatnie bierze moją dłoń. Całuje ją po wewnętrznej stronie i kładzie sobie na brzuchu. Pomału przesuwam ją w dół, powolutku, subtelnie. Wśród gęstych włosów znajduję go. Biorę w dłoń, ściskam powoli i zaczynam poruszać w górę i w dół. Słyszę jego oddech. Następnie on kładzie swoją rękę na mojej i przesuwa ją odrobinę wyżej. Uśmiecha się. - O, właśnie tak... - Znowu zaczynam nią ruszać. Mówi urywanymi słowami: - Och, tak... Jeszcze... Szybciej... - Robię tak, jak mówi, przyspieszam coraz bardziej. Nagle, niespodziewanie sztywnieje i po chwili jego soki lądują w mojej dłoni i na jego brzuchu. Uśmiecha się i miękko mnie całuje, zapadając się w moich wargach. Pomału bicie jego serca staje się wolniejsze, bierze jeden oddech, i kolejny głębszy. Leżymy objęci w półmroku, między nami unosi się ten jeszcze nowy dla nas zapach, zapach rozkoszy, który jest jak orzeszki piniowe, jak żywica, jak świeża trawa. Tak... Jest jak miłość.

Później bierzemy wspólnie prysznic, muzyka gra na cały dom, jesteśmy wolni i dorośli.

- Trzymaj... - Podaje mi świeżutki, pachnący blad różowy szlafrok, wkładam go, ma za długie rękawy, i spoglądam w lustro. Moje włosy są mokre, w oczach maluje się szczęście. Nagle obok pojawia się on i mnie obejmuje.

- To mojej mamy...

- Nie będzie się gniewać, prawda?

- Nie dowie się.

Zamykam oczy, zastygam w jego objęciach i odchylam głowę, opierając mu ją na ramieniu, czuję jego miękkie policzki, zapach, rozchylone usta, które delikatnie mnie całują, jego oddech, uśmiecham się. Otwieram oczy i patrzę na niego. Nasze spojrzenia w lustrze, jak wtedy, za pierwszym razem. Jestem pobudzona, obserwuję go w milczeniu i nie mogę wydusić z siebie słowa, ale moje usta już cichutko, na paluszkach, trochę zawstydzone chciałyby wykrzyknąć „kocham cię”. Ale nie mogę.

Znowu leżę na łóżku. Mam rozchylone nogi. Delikatnie głaszczę jego kręcone włosy. Uległa i poddana, czuję ruchy jego języka. Widzę rozbawione, bystre spojrzenie, jego uśmiech w ukryciu, gdy bez chwili wytchnienia daje mi rozkosz. Naciera. Głębiej, z werwą, z impetem, z pragnieniem: czuję go, jestem zachwycona, zatracona, zdobyta... i na końcu krzyczę. Potem wyczerpana szybko oddycham. Pomału wracam do siebie. Jeszcze jeden oddech. Głaszczę go po włosach. Podnosi się i kładzie obok mnie. Całuje, uśmiecha się i ja też, upojona swoją rozkoszą. Czuję ją wszędzie, pomiędzy nami, na pościeli, w naszych pocałunkach i w powietrzu. Jakże chciałabym mieć odwagę się kochać.

- Zaraz wracam...

- Dobrze... - Uśmiecham się, obserwując go, jak wychodzi ze swojego pokoju. Z naszego pokoju. Nagi. Na bosaka. Wolny od wszystkich i wszystkiego. Tylko mój. Przewracam się w rozwiązanym szlafroku. Przyciskam poduszkę. Mocno ją przytulam i w ułamku sekundy odpływam w słodką drzemkę. Unoszę się lekko. Zamykam oczy. Otwieram je. Oszołomiona dalekimi odgłosami leżę bez sił i tak śniąc i wspominając dopiero co przeżyte chwile, głęboko zasypiam.

Bip, bip.

Otwieram oczy. Nagły dźwięk. Rozglądam się. W jednej chwili jestem obudzona i mam jasny umysł. Wyjątkowo czujna. Bip, bip.

Znowu. Widzę ją. Jego komórkę. Jest na stole. Musiał dostać SMS-a. Błyskawicznie wstaję. Podchodzę na palcach i już stoję przed jego telefonem. Na ekranie, w prawym górnym rogu, mryga kopertka. Nowa wiadomość. Zastygam, nie ruszam się, jestem zawieszona w czasie, Podczas gdy kopertka dalej mryga. Kto mu wysłał SMS-a? Przyjaciół?

Starzy? Dziewczyna? Inna dziewczyna? Na myśl o tym czuję, jak tracę przytomność. Ścisza mnie żołądek, serce, głowa. Wszystko. Jak tylko o tym myślę, mam wrażenie, że wariuję. Inna. Inna dziewczyna. Patrzę w stronę drzwi, potem na komórkę. Potem znowu na drzwi i znowu na komórkę. Już nie mogę, za chwilę zwariuję. Dosyć. Nie potrafię się oprzeć. Biorę do ręki telefon, trzymam go w dłoni i oglądam, mierzę wzrokiem. Potem nic nie będzie już takie jak przedtem, być może wszystko się skończy, nie da się tego odkręcić. A może lepiej nie wiedzieć, dać spokój, nie otwierać tej kopertki, nie czytać tej wiadomości? Nie dam rady. Nie mogę żyć z myślami: „Ach, gdybym jej nie otwierała...”.

Już tu jestem, stało się. A może jednak nie? W takim razie obiecuję sobie, że jeżeli nie ma tu niczego kompromitującego, że jeżeli to przyjaciel, rodzice czy ktoś inny, nigdy więcej nie przeczytam jego wiadomości. Wzmocniona tym ostatnim, desperackim postanowieniem, otwieram wiadomość.

Wszystko okay. Gramy o dwudziestą w Football Club! Niebieska koszulka!

Niebieska koszulka! Nigdy nie przeczytałam niczego, co by mnie tak uszczęśliwiło! Niebieska koszulka!

Kasuję wiadomość, żeby nie zorientował się, że ją przeczytałam, odkładam komórkę na stół i jednym susem wskakuję z powrotem do łóżka. W samą porę.

- Caro... - Wchodzi z tacą w ręku. - Myślałem, że zasnęłaś!

- Na trochę. - Uśmiecham się do niego. - Potem się obudziłam. Patrzy na mnie z ciekawioną. Rozgląda się po pokoju. Wzrusza spokojnie ramionami i kładzie tacę na łóżku.

- Wyłożyłem twoje wyśmienite pizze. Już kilka zjadłem! Mniemam, naprawdę dobre. I zrobiłem ci herbatę. Może być brzoskwińowa?

Uśmiecham się. - Jasne! Super.

- Wiem, że lubisz zieloną, ale się skończyła.

Pamięta, co lubię. Niewiarygodne. Jest idealny. Głaszczę go. Opiera swój policzek na mojej dłoni i szyją prawie ją unieruchamia. Biorę jedną pizzę i daję mu gryzą.

- Hmm... to prawda, są wyśmienite.

Patrzę na niego uśmiechnięta. Ostatni kawałek wkładam mu do buzi.

Gryzie go, odwzajemnia uśmiech i na końcu się całujemy. Pomidorowy

pocałunek. Śmiejemy się, czując ten smak. Opadam na poduszki, on na mnie. Całuje mnie namiętnie. Następnie podnosi się i spogląda mi w oczy roześmiany. Chciałby coś powiedzieć. Ale milczy.

Ja też chciałabym mu coś powiedzieć: „Massi... Wiesz, że grasz w niebieskiej koszulce?!”. Ale nie mogę. Nakryłby mnie. Obejmuję go mocno, przytulam i jestem strasznie szczęśliwa, że przeczytałam tę wiadomość, i przysięgam, że już nigdy tego nie zrobię, przysięgam, przysięgam! Oczywiście... o ile on sam mnie o to nie poprosi.

- Co jest, Caro, dlaczego się tak uśmiechasz?

No jasne, przecież nie może sobie tego nawet wyobrazić.

- Myślałam o tym, że to najpiękniejsze popołudnie w moim życiu.

- Naprawdę? - Patrzy na mnie, przysmykając lekko oko, jak gdyby nie do końca mi wierzył.

- Jasne, słowo.

- Nie wiem dlaczego, ale ciągle myślę, że nie mówisz całej prawdy...

- Już ci przecież kiedyś powiedziałam... Zawsze mówię ci prawdę... Z wyjątkiem kilku rzadkich przypadków!

I cała szczęśliwa gryzę kawałek pizzy, który zamierzał zjeść.

Milion razy byłam u niego w domu w czerwcu. Czasami przynosiłam mu kanapki, *suppli*, krokiety, nawet *calzone*... Wszystkie pyszności, jakie można dostać w Rzymie.

Oglądaliśmy zachód słońca z jego pokoju. Nauczyłam się na pamięć każdego fragmentu jego wspaniałych pleców i gdybym umiała rysować, wystarczyłoby mi zamknąć oczy, żeby przywołać ten obraz, a potem namalować go na kartce w najdrobniejszych szczegółach: jego dłonie, palce, usta, nos, oczy, przystojnego jak tylko ja potrafię go zobaczyć, ja, która znam jego oddech, ja, która czuję, jak zasypia w moich ramionach i budzi się później z uśmiechem na twarzy.

- Co? Co jest...

- Ćśśś...

Ja, która tulę go jak małe dziecko. Ja, która słyszę, jak śmieje się, Przykładając usta do moich piersi, udając, że pije mleko. On, który ponownie zasypia i oddycha moją miłością.

Czasami w te dni, kiedy spotykaliśmy się u niego w domu, przychodziły wiadomości, ale dzielnie, jak sobie obiecałam, nie czytałam ich.

Nieprawda. Wszystkie je przeczytałam. Za każdym razem, gdy przychodził SMS, a ja byłam sama, czytałam go i za każdym razem najpierw czułam bezdech, a potem ulgę.

Przekonała mnie dopiero ostatnia wiadomość:

Dlaczego nie przychodzisz już na treningi? Zakochałeś się czy co?

Tak, przeczytałam to, uśmiechnęłam się i zdecydowałam.

Będę się z nim kochać i dzięki tej decyzji jestem najszczęśliwszą dziewczyną na świecie.

Lipiec

Hektor czy Achilles? Achilles.

Kaczor Donald czy Myszka Miki? Myszka Miki.

Światło czy ciemność? To zależy kiedy.

Jakiego koloru są ściany w twoim pokoju? Niebieskie. Co zawiesiłaś na ścianach swojego pokoju? Plakat z koncertu Biagia w Wenecji, chociaż mama nie wie, że na nim byłam, kalendarz ze zdjęciami zrobionymi przez dziadka, plakat Finley i Tokio Hotel, dużą ramkę z moimi zdjęciami. Pod łóżkiem? Mam nadzieję, że nie potwór. Co chcesz robić, jak będziesz duża? Chcę być duża.

Lipiec. Miesiąc morza. Jeździmy tam i z powrotem minibrykami jak wariatki. Alis i Clod uwielbiają morze.

Na szczęście egzaminy poszły dobrze całej naszej trójce.

Gdy pomyślę, jak bardzo denerwowałam się... na przykład wypracowaniem. W końcu były takie tematy: *Napisz list, artykuł albo jedną stronę z pamiętnika o latach spędzonych w szkole i o swoich oczekiwaniach związanych z przyszłością, Przedstaw jeden z bieżących konfliktów, który twoim zdaniem powinien zostać jak najprędzej rozwiązany oraz Napisz sprawozdanie z zagadnienia, o którym się uczyłeś i które wzbudziło twoje największe zainteresowanie.* Wybrałam pierwszy temat i dobrze zrobiłam. Dostałam piątkę! Nigdy w czasie roku szkolnego nie postawili mi takiej oceny z wypracowania, to znaczy, zawsze miałam ponad trójkę, raz czwórkę z plusem, ale piątki nigdy. Z matematyki było zadanie na graniastosłup czworokątny prosty z nałożonym na niego ostrosłupem, trzeba było policzyć pola i obwody, następnie policzyć dźwignię i rozwiązać cztery równania. Potem było tłumaczenie z angielskiego i test na zrozumienie. Także ustne egzaminy dobrze poszły, tak naprawdę zapytali mnie tylko o wypracowanie.

Psor Leone wszystkie trzy nas pochwalił.

- Świetnie, dziewczyny, naprawdę mnie zaskoczyłyście...

Patrzemy na siebie. Dziwnie jest, kiedy kończy się trzecia klasa gimnazjum, odnoszę wrażenie, że pewien etap naszego życia dobiegł końca, zamyka się jakiś cykl, a potem po prostu odchodzimy. - Do widzenia, panie psorze!

Alis i Clod rozmawiają i ciężko jest mi sobie wyobrazić, jak ma od teraz wyglądać moje życie.

Idą przede mną. Patrzę na nie i się uśmiecham. Clod jest w swoich szerokich spodniach, trochę opuszczonych, ma związane na swój sposób włosy, plecak, który trochę jej ciąży na ramionach, i gestykuluje, usiłując coś wytłumaczyć.

- Rozumiesz, Alis? Nie zgadzasz się ze mną? Weź pod uwagę, że to naprawdę ważne... Fundamentalne...

Fundamentalne. Co za wielkie słowa! Ciekawe, o czym rozmawiają. Alis kręci głową i się śmieje.

- Nie, ja tak nie uważam...

A co myśleliście? Alis i te jej przekonania. Alis zawsze zbuntowana, reakcyjna, w opozycji. Alis w rozpuszczonych włosach, nowych ubraniach, w czymś firmowym.

Dołączam do nich, zarzucam im ręce na szyje i obejmuję od tyłu. Alis z lewej strony, Clod z prawej.

- Dajcie spokój, przestańcie, ciągle się spieracie. : Mocno je ściskam.

- To dlatego, że ma inne spojrzenie na sprawy...

Clod wzdycha. - Ty nie masz spojrzenia. Ty masz swój świat... I jakby chciała pocieszyć się po tym stwierdzeniu, wyciąga z kieszeni spodni czekoladowe cukierki Toffee i zaczyna je rozpakowywać. Dalej obstają przy swoim. Próbuję odwrócić ich uwagę.

- Zdajecie sobie sprawę, że skończyliśmy szkołę? Zamknęliśmy pewien etap... Mogłybyśmy już nigdy się nie spotkać...

Alis wysuwa się z moich objęć i staje naprzeciwko mnie. - Nie mów tego nawet żartem... My zawsze będziemy razem. Nic nie może nas poróżnić, ani szkoła, ani chłopak, ani nic innego.

- Okay, okay... - Niepokoję się, kiedy tak mówi.

- Nie. - Intensywnie świdruje mnie wzrokiem. - Obiecuj mi to. Wzdycham. Potem się uśmiecham. - Obiecuję.

Alis opuszcza ramiona. Jest spokojniejsza. Spogląda na Clod. - Teraz ty.

- Hm... byłoby mi przykro, gdybyś mnie o to nie poprosiła. Obiecanki...

- Co to ma być? Tak się nie liczy! Obiecanki cacanki...

Alis wrywa jej z ręki całą paczkę cukierków i ucieka roześmiana.

- Nie! Nie rób mi tego!

Clod biegnie za nią, usiłując je odzyskać. - O co ci chodzi, obiecanki cacanki... przysięgi jak malowanki! Alis wsiada do swojego minicara i zamyka się od środka.

- No proszę, oddaj mi je...

Wyjmuje dwa, odparowuje i specjalnie wkłada je sobie do buzi. Następnie opuszcza szybę i oddaje jej to, co zostało. - W sobotę u mnie na wsi w Sutri. Kazałam przygotować basen. Pamiętajcie, będą wszyscy.

- Wszyscy, czyli kto?

- Wszyscy... Wszyscy, którzy się liczą... A co byście chciały!

I rusza jak to ona, z piskiem opon. Nadjeżdżający z drugiej strony samochód hamuje i po chwili trąbi, dając tym samym upust złości na jej nagły start.

- Mamo, dostałam czwórkę!

- Brawo! Jesteś genialna! Bardzo się cieszę. - Obejmuje mnie, przytula i obsypuje całusami. I tym razem to mi nie przeszkadza. Jestem zbyt szczęśliwa.

- Słyszałeś, Dario? Widzisz, jak Carolina sobie świetnie poradziła? Z drugiego pokoju wychodzi tata z „Corriere delio Sport” w ręku.

Uśmiecha się. Ale nie za bardzo. Taki już jest. Żeby się za dużo nie wysilić. - To dobrze, w takim razie czekają nas spokojne wakacje, bez problemów... Nie to, co z twoją siostrą Alessandrą. - Podnosi głos, żeby go było słychać w jej pokoju. Potem odchodzi.

Mama uśmiecha się, unosi brwi. - Nie zaliczyła dwóch przedmiotów, czeka ją nauka latem. Będzie musiała wziąć ze sobą książki. A twoje Przyjaciółki? Jak im poszło?

- Też dobrze! - Siadam przy stole. - Clod dostała dostateczny...

- No to nie tak dobrze...

- A jakie to ma znaczenie! I tak zdała. Natomiast Alis dostała piątkę.

- No jasne, wdzięczyła się do wszystkich nauczycieli!

- Mamo, co ty opowiadasz! Za każdym razem jak jest w niej coś dobrego, ty widzisz od razu same negatywy...

- Ona mi się nie podoba. Nie podoba mi się jej rodzina. Matka, której nigdy nie ma w domu, ojciec, który się w ogóle nie odzywa, chyba że w święta...

- Ale co to ma do jej ocen? Skoro umie, znała odpowiedzi i dobrze jej poszło, dlaczego nie miałyby dostać piątki?

- W takim razie przeszkadza mi, że zdała lepiej niż ty...

- Jeżeli to o to chodzi... - podchodzę do zlewu, w którym myje sałatę do kolacji

- to w porządku. - I przytulam ją.

Uśmiecha się, kiedy opieram głowę o jej plecy.

- Nikt nie może być lepszy od mojej córeczki... ,

- Ale, mamo, ja naprawdę jestem noga z matematyki...

- Ale będziesz lepsza... Jestem pewna, że będziesz lepsza, prawda? - Odwraca się do mnie i ściska moje policzki mokrymi rękami.

- Mamo! Całą mnie zamoczysz! - Uwalniam się z jej objęć i idę do drzwi, przystaję i posyłam piękny uśmiech, najpiękniejszy, na jaki mnie stać.

- W sobotę w Sutri jest impreza z okazji zakończenia szkoły. Mogę iść, prawda? Mama patrzy na mnie poirytowana.

- Dowiedziałam się o tym dzisiaj rano, przysięgam!

- Tak, tak... Obiecanki cacanki...

Ona też to zna! Idę szczęśliwa do swojego pokoju, podoba mi się jej odpowiedź, bo tak czy inaczej dostałam pozwolenie.

- Ciauuu!

- Hej, nie spodziewałem się ciebie, Caro...

Rusty James uśmiecha się, widząc mnie na kładce prowadzącej na barkę.

- Chciałam zrobić ci niespodziankę...
 - Dobrze... - mówi to z dziwną nutką w głosie. Słyszę dobiegające z kuchni hałasy i niespodziewanie pojawia się ona.
 - Debbie! Jak fajnie, nie wiedziałam, że tu jesteś...
 - Cześć! - Debbie stawia tacę na stole. Biegnę jej naprzeciw i wyściskuję.
 - Strasznie dawno cię nie widziałam... Urosły ci włosy i jesteś opalona...
 - Ty też świetnie wyglądasz, Caro.
- Rusty James rozkłada ręce. - Czemu nie wymienicie się numerami telefonów? Wyglądacie jak dwie stare przyjaciółki, które od dawna się nie widziały...
- Patrzemy z Debbie na siebie i się śmiejemy.
- No tak... właśnie tak. Poczekaj... Pójdę po szklankę dla ciebie. - I znika w kuchni.
- Patrzę na Rusty'ego Jamesa, który trzyma w ręku jakąś kopertę.
- Super, R.J., cieszę się...
 - Ale z czego...? - Trzyma mnie trochę na dystans. Uśmiecham się i siadam obok niego. - Cieszę się i już... Wiesz, że bardzo ją lubię. Chcę powiedzieć coś jeszcze, ale właśnie wchodzi Debbie.
 - Chcesz mrożoną herbatę cytrynową czy brzoskwiniową?
 - To, co jest...
 - Przyniosłam obie.
 - No to brzoskwiniową...
 - Dobrze, wszystkim nam smakuje to samo... - Debbie nalewa do trzech szklanek brzoskwiniową herbatę. Biorę szklankę i podnoszę ją.
 - Wypijmy za moją czwórkę!
 - Gratulacje, bardzo się cieszę. - Debbie stuka swoją szklanką o moją. R.J. gwizdże. - Fiuuuu... całkiem, całkiem. Myślałem, że oblejesz.
 - Wariat...
 - Albo że będziesz miała poprawki... W końcu, czym się różnisz od Ale?
 - Wszystkim! I od ciebie też...

- Tak, to prawda... - Poważnieje. - Jesteśmy bardzo różni.
- Nie! Nie chcę! - Rzucam się na niego z całych sił. - Chcę być taka jak ty!
- Aua! Caro... - Strąca mnie na drugi fotel. - Pamiętaj, że Debbie jest zazdrosna...

- Ja? - Debbie upija łyk herbaty. - Daj spokój, specjalnie przeciągasz... Otwórz wreszcie ten list...

Rusty James bierze do ręki list, który wcześniej trzymał. Patrzy na niego, obraca, próbuje przeczytać pod światło.

Debbie się niecierpliwi. - No otwórz go wreszcie... Robi tak już od tygodnia...

- Co to jest?

Rusty James patrzy na mnie. - To list z wydawnictwa. Chyba przeczytali moją powieść.

- I piszą do ciebie?

- Tak, mówią, czy im się podobało, czy nie.

- Chcesz, żebym ja go otworzyła?

- Nie. Tylko rozkoszuję się chwilą, w której to zrobię. Popatrz na zegarek, jest piętnaście po siódmej, piękny zachód słońca i dwie cudowne kobiety, które dotrzymują mi towarzystwa.

Uśmiecham się do niego. - I wyborna brzoskwiniowa herbata...

- Właśnie. - Nie zwleka dłużej. Bierze głęboki wdech i zdecydowanym ruchem otwiera kopertę, prawie ją rozrywa. Wyjmuje kartkę, rozwija ją, obraca we właściwym kierunku i zaczyna czytać.

Debbie i ja siedzimy bez ruchu, wstrzymując oddech, zaniepokojone, że cokolwiek, nawet minimalny ruch, może zniszczyć to, co i tak już zostało postanowione. Rusty James składa kartkę. Patrzy na nas. Rozkłada ręce.

- Niestety... Nie przeszła. Szkoda... - Podnosi się. - Idę wziąć coś z lodówki.

Wstaję z fotela i idę z nim. - To nic, będą kolejne listy, aż w końcu nadejdzie ten właściwy... Wysłałeś książkę do różnych wydawnictw, prawda?

- Tak, oczywiście.

- No widzisz!

- Wiem, masz rację...

Pozwalam mu pójść do kuchni i wracam do Debbie.

- Szkoda... Przykro mi, że tak to odebrał... - Biorę kartkę i zaczynam czytać.

- Szanowny Panie Giovanni Bolla, niestety pana powieść nie przystaje do profilu naszego wydawnictwa... - Opuszczam kartkę.

- Tak, dokładnie to jest napisane! Skąd wiedziałaś...

Debbie otwiera szufladę. - Zobacz...

Jest pełna listów z innych wydawnictw. Podchodzę. Biorę jeden. Potem kolejny.

- Przyszło ich już... tak, dziewięć, i we wszystkich jest napisane mniej więcej to samo...

Przyglądam się uważniej. Na górze znajduje się tytuł jego powieści.

- *Jak niebo o zachodzie*. Więc tak ją w końcu zatytułował... Ładnie.

- Tak, mnie też się bardzo podoba.

- Jestem pewna, że prędzej czy później przeczyta to ktoś, kto będzie potrafił docenić... i że książka odniesie sukces.

Właśnie wtedy wraca Rusty. - Macie, przyniosłem trochę truskawek... Stawia pucharek pełen owoców i lody śmietankowe.

- Słyszałem, co mówiłaś. Szkoda...

- Czego szkoda?

- Że masz dopiero czternaście lat... Gdybyś była trochę starsza, mianowałbym cię swoją agentką!

- Od tego masz Debbie...

- Ona się nie nadaje... Nie jest obiektywna. Jest zbyt podatna na wpływy... - Rusty James obejmuje ją i mocno przytula. - Jak zobaczy, że komuś nie podoba się książka, to zamiast podkreślić dobre strony tego, co napisałem, rozbija mi szklankę na głowie... To dlatego, że mnie bardzo kocha!

I całuje ją w usta. Debbie odsuwa się i śmieje: - Co do jednej rzeczy się nie mylisz...

- Ze mnie bardzo kochasz?

- Ze rozbiłabym mu szklankę na głowie!

Debbie wywija się i ucieka mu z objęć. Biegnie, a Rusty James za nią.

- Jak cię zaraz wezmę...

- Nie, nie, ratunku... Pomocy! - Debbie śmieje się, ucieka za kanapy, chowa za kolumną, w końcu staje za fotelem. Rusty James skacze w jej kierunku, usiłuje ją złapać, ale ona robi unik do tyłu i on potyka się i przewraca wraz z fotelem.

- Aua! Jak cię złapię...

Próbuje chwycić ją z ziemi, przytrzymać za nogę, ale ona odskakuje i ucieka.

Rusty James wstaje i biegnie za nią.

- Nie! Ratunku! Na pomoc!

I tak lądują w sypialni. Głuchy łoskot.

- Aua! Aua, aua, to boli... Potem cisza. Stłumiony śmiech.

- Przestań... - Głos z oddali, lekko zduszony.

- Przestań, jest twoja siostra...

- Ale już wychodzi.

Świetnie ich słyszę z salonu i łapię w lot, na co się zanosi. Podnoszę głos.

- Cześć, żegnam się z wami...

- Widzisz? Wariat jesteś...

- Na razie, Caro... Dobra dziewczynka...

- A dlaczego? - krzyczę wychodząc.

- Bo dostałaś czwórkę!

- Aha, a myślałam, że dlatego, że wychodzę!

Słyszę, jak się śmieją. Wsiadam na skuter, uruchamiam go i wkładam kask.

Odjeżdżam, czuję delikatny zapach tych żółtych kwiatów, widać przepiękny zachód słońca prześwitujący w łuku odległego mostu.

„Bardzo mocno mnie kochasz”. Potem śmiech. Ucieczka. Upadek. Teraz pewnie się kochają. Uśmiecham się. „Bardzo mocno mnie kochasz”. Jak przezwyciężysz lęk, musi być cudownie.

Massi. A ja? Jeszcze nie powiedziałam ci „kocham cię”. „Kocham cię, kocham cię, kocham cię”. Próbuję różnych intonacji, kiedy tak jadę na skuterze po ścieżce. Jakbym była aktorką. „Kocham cię”. Poważna. „Kocham cię”. Wesoła. „Kocham cię”. Namiętna. „Kocham cię”. Groźna. „Kocham cię”. Lekka. „Kocham cię”. Neapolitańska piosenka. „Ko-

cham cię". Tozziana. „Kocham cię". Wenezuelska opera mydlana. „Ko-chaaaaam cię". Rozwrzeszczana wariatka.

Dwaj kolesie, którzy biegną w przeciwną stronę, odwracają się. Jeden z nich jest szybszy od drugiego.

- Ja ciebie teeeeeeeeeeeeeeeeeez! I biegną dalej, śmiejąc się.

Teraz jestem gotowa i dużo spokojniejsza..

Kiedy wjeżdżamy do jej przepięknego parku, słychać czadową muzykę.

Wszyscy tańczą na brzegu basenu, jedni w kostiumach, inni w ubraniach, stojący na platformie ponad drzewami didżej trzyma jedną rękę uniesioną w górze, jedną słuchawkę ma na szyi, drugą przy uchu, i przygotowany do wejścia z następnym kawałkiem. Jest! *Please Don't Stop the Music*.

- Super ta piosenka! Uwielbiam ją! Massi, zaparkuj tu, jest wolne miejsce. - Podąża za moimi wskazówkami i zatrzymuje na miejscu parkingowym swoje granatowe Cinquecento z brytyjską flagą.

- Chodź. - Wysiadam z samochodu i ciągnę go za sobą.

- Poczekaj, muszę zamknąć!

- Po co! Kto ci go tu ukradnie? -1 biegniemy w stronę wielkiego parkietu znajdującego się na środku trawnika fantastycznej willi Alis w Sutri.

- O, już są! h Kilka osób biegnie nam naprzeciw.

- Ciauuu! To jest Massi.

- Cześć, Virginia.

- Cześć, my już się poznaliśmy, jestem Clod, przyjaciółka Caro.

- Tak, wiem. A to jest twój chłopak Aldo... - Patrzę na niego z dumą. Massi wszystko pamięta.

~ To jest Alis, ta, która tu świętuje. Uśmiechają się do siebie.

~ Tak, ale my też się już spotkaliśmy.

~ Aha, w kinie.

~ Właśnie. Ale to nie ja świętuję! Wszyscy świętujemy! Caro, chodźmy Potańczyć... - Alis ciągnie mnie na środek parkietu. Idzie też Clod

i świetnie się bawimy, tańczymy równo, do rytmu, skacząc i zmieniając kroki, jest idealnie, tak, jesteście idealnymi przyjaciółkami.

- Tu jest fantastycznie!

- Cudownie! - wrzeszczę, żeby przekrzyczeć muzykę.

- Podoba ci się?

- Strasznie! Zapomniałam, jak tu jest pięknie!

- Niedawno wybudowaliśmy basen i sprowadziliśmy konie. Zobacz. Odwracam się. Za mną Gibbo pędzi jak szalony, odbija się, podciąga kolana do brzucha i skacze na bombę do basenu, rozpryskując wodę.

- Nieee! Zaprosiłaś też nauczycieli?

Psor Leone i pani Boi stoją na brzegu basenu i oglądają swoje ochlapane przez Gibba ubrania.

- Oczywiście... W końcu wszyscy zdaliśmy! To odpowiednia nagroda także dla nich!

Chwilę potem od drugiej strony wpada do basenu na bombę Filo i opryskuje ich jeszcze bardziej.

- Tak, odpowiednia nagroda... Odpowiednia kara!

- Brakuje tylko, żeby Clod wpadła do basenu, a wtedy mieliby prawdziwy prysznic!

- Wariatki!

Tańczymy dalej jak szalone, popychając się i śmiejąc, a ja kątem oka widzę, jak Massi i Ałdo piją coś razem i rozmawiają.

I tak mijają godziny. Puszczają *Fango* Jovanottiego, *Candy Shop* Madonny, Caparezzę i Giannę Nannini. Księżyc jest wysoko na niebie. Sporo osób kąpie się w podgrzewanym basenie. Nawet psor Leone i pani Bellini są w wodzie i świetnie się bawią. Psor gra w piłkę wodną i co i rusz jakiś uczeń go podtapia, wymawiając się koniecznością strzelenia bramki.

- Przepraszam, Ałdo, widziałeś gdzieś Massiego?

- Kogo?

- Massiego, mojego chłopaka.

- Aaa, Massimiliana. Nie, rozmawialiśmy wcześniej, ale potem poszedł gdzieś tam.

Idę za jego wskazówką. Za rogiem Filo i Gibbo rozmawiają z Clod.

Podchodzę do nich. - Nie kąpałaś się jeszcze?

- Nie.

- Ty też nie, Clod?

- Nie mogę... - Przybiera dziwny wyraz twarzy, jakby chciała podkreślić jakąś kobiecą niedyspozycję. Moim zdaniem wstydzi się rozebrać i już. Okay, nic nie mówię.

- Słuchaj, widziałaś Massiego?

Clod uśmiecha się. - Oczywiście... jest tam. - I odwraca się w stronę dużego drzewa. Na okalających je ławkach chłopaki i dziewczyny palą i podają sobie piwo. Jedni siedzą, inni stoją. A na ławce w samym środku są Massi i Alis. On stoi i popija piwo, ona siedzi na oparciu, z nogami na ławce. Śmieje się. Słucha tego, co jej opowiada. Zaczesała wszystkie włosy na jeden bok i głaszcze je sobie. Jest skupiona, rozbawiona, zatracona. Zatracona? Cholera, nie!

Ale co to, jestem zazdrosna o swoją przyjaciółkę? W końcu nas zaprosiła, jest gospodynią i zamiast cieszyć się, że ze wszystkimi rozmawia, w tym także z moim chłopakiem, wymyślam sobie problemy? Nie do wiary. Clod podchodzi do mnie.

- Już wiesz, gdzie jest?

- Tak, tak... tam. To dobrze.

Filo i Gibbo się śmieją. - Co dobrze? Myślałaś, że go zgubiłaś?

- To już nie jest mały chłopiec...

- Jak będzie chciał, znajdzie drogę do domu!

- Mili jesteście... Clod, jestem głodna, pójdziesz ze mną?

- Jasne.

Idziemy do stołów z jedzeniem i proszę o talerz.

- Tak, poproszę ten... makaron.

Kelner wskazuje. - Ten? Makaron *alla checca*?

- Jaki?

- Z pomidorami i mozzarellą.

- O tak, świetnie. - Clod się oczywiście przyłącza. - Mnie też pan może nałożyć?

- Jak najbardziej...

Po chwili podaje nam dwa talerze. Bierzymy widelce i serwetki i siadamy w pobliżu.

- Hmm, dobre...

- Pycha.
- Zdziwiłabym się, gdybyś miała inne zdanie...
- Naprawdę jest dobry, al dente.

Patrzę w stronę dużego drzewa. Massi nadal tam jest. Teraz, on też siedzi na oparciu ławki, są bliżej siebie i nadal rozmawiają.

- Co się dzieje? Przeszkadza ci to?

Odwracam się do Clod. - Co?

Bierze jeszcze jeden kęs i pustym widelcem pokazuje na Massiego i Alis. - Oni.

Spoglądam na nich raz jeszcze i także zabieram się za jedzenie. - Nie, żartujesz chyba, tylko na nich patrzyłam.

- A na co?

- Na to, co mówią. Jak by razem wyglądali, gdyby spotkał wtedy Alis, a nie mnie...

- I nadal ci to nie przeszkadza?

- Nie. Ona z nim rozmawia, ale on jest mój. - Odwracam się do niej i uśmiecham. - I pozostanie mój. - I spokojnie kończę jedzenie.

Właśnie wtedy do drzewa i ławek podchodzi Edoardo, chłopak Alis. Staje przed nimi i zaczyna się z nią spierać. Clod też to zauważa.

- Caro... Zobacz.

Odwracam się i widzę całą scenę. Następnie Massi wstaje z ławki i odchodzi. Clod kręci głową.

- Chłopak Alis nie wytrzymał... Nie myśli tak jak ty.

Jem dalej, nie patrząc na nią. - No jasne. Brakuje mu pewności siebie. Zjadam ostatni kęs i odstawiam talerz.

- Nigdy nie pokazuj, że brakuje ci pewności siebie... Idziesz się wykapać?

- Mówiłam ci, że nie mogę.

- Dopiero co ci powiedziałam: nigdy nie pokazuj, że brakuje ci pewności siebie...

Clod zastanawia się nad tym przez chwilę, potem się uśmiecha. - Wezmę tylko ręcznik i idę.

Rozgrywamy szalony mecz w piłkę wodną.

- Rzucaj, rzucaj!

Mam piłkę i próbuję strzelić gola. Pudło! Psor Leone broni i znowu naciera do ataku. Gramy tak dalej przez jakiś czas.

- Dawaj, Clod, podaj! - Rzuca do mnie piłkę. Massi próbuje mnie powstrzymać, ale udaje mi się go ominąć i celuję.

- Gool!

Trochę później pod świecącym w pełni księżycem. Dostojne konie poruszają się wolno w wysokiej trawie, unosząc nas na sobie. Ktoś z przodu prowadzi ten spacer.

- Tędy, tędy, jedźcie za mną...

Siedzę za Massim, jesteśmy już przebrani. Czuję skórę jego i konia. Obejmuję Massiego i chciałabym być dzika. Teraz. Dotykać go tak od tyłu, w ciemnościach lasu piniowego. Ale nie potrafię. Obejmuję go i całuję po plecach, ogrzewając swoim oddechem. Odwraca się, uśmiecha i szepcze w ciemnościach.

- Kiedy tak robisz, przyprawiasz mnie o dreszcze...

- Chcę przyprawić cię o dreszcze... - Znowu go całuję. Broni się. Roześmiana całuję go dalej. Obok przejeżdża Alis. Patrzy na nas i oddala się. Za nią jej chłopak. Są na dwóch różnych koniach. On na nas nie patrzy. Obejmuję mocniej Massiego. Odchyła do tyłu głowę i opiera się na mnie, jest teraz bliżej. Widzę jego usta.

- Byłaś zazdrosna, kiedy rozmawiałem z Alis? Zamieram. - A powinnam?

- Tak. Ale bez powodu...

- W takim razie nie byłam zazdrosna.

Jedziemy dalej, nad nami świeci księżyc, wokół cisza lasu i inne konie w ciemnościach. Massi gładzi mnie po nodze. - To dobrze. Uśmiecham się i wreszcie jestem gotowa.

- Massi...?

- Tak?

- Kocham cię. - I jeszcze mocniej go obejmuję. Słyszę jego śmiech, odchyła rękę do tyłu, żeby mnie mocniej do siebie przytulić, żebym

poczuła się poważnie potraktowana, kochana... i szczęśliwa. Potem zerka na mnie roześmiany. - *Idem...*

Nie! Nie do wiary! Powiedział mi dokładnie to samo, co Patrick Swayze w *Uwierz w ducha*. W najpiękniejszej historii miłosnej na świecie. Płakałam na tym filmie jak bóbr. Ale ja chcę być z nim szczęśliwa. Jestem szczęśliwa. I gdy zanurzamy się w noc, obejmuję go mocniej i powtarzam to sobie w duchu: „Kocham cię, kocham cię, kocham cię...”.

I tak oto nadszedł ten dzień.

Ten poranek.

Oto wydarzenia minionego roku. Jestem szczęśliwa. Czasami bardzo trudno to przyznać.

Jadę na skuterze z kwiatami między nogami, chronię je, żeby nie straciły zapachu na wietrze. Słucham muzyki z iPod'a. *Solo per te*. Negra-maró. Jest piękna. Jadę powoli wśród niemrawo poruszających się samochodów w rześki lipcowy poranek. Jest osiemnasty. Ta data wydaje mi się fajna. Może dlatego, że w pewnym sensie oznacza dojrzałość. A ja dzisiaj czuję się tak słodko niedojrzała.

Kupiłam sobie sukienkę, jest z delikatnego materiału i teraz powiewa między moimi nogami. Zawsze tak robię: wkładam nowe ubrania na specjalne okazje. Jakies wydarzenie, egzamin, święto. Dzisiaj jest po trochu wszystkiego.

Mam tylko nadzieję, że nie obleję!

Dojeżdżam pod dom Massiego. Parkuję vespę, gaszę silnik, zakładam łańcuch, bo nie wiem, jak długo potrwa ten dzień... I jak wariatka wybucham śmiechem, rumienię się na samą myśl o tym. Następnie siadam na pobliskiej ławce. Kładę kwiaty, torebkę z cappuccino w buteleczce, rogaliki i gazety. Siedzę tak, lekko senna, szczęśliwa i rozmarzona, wygrzewając się w łagodnym słońcu. Nic. Nie mogę usiedzieć spokojnie. Jestem trochę zdenerwowana. No cóż, znowu się uśmiecham, to normalne, że jestem zaniepokojona. Wszystkiego, czego nie znasz, pragniesz^z odrobiną lęku. Podoba mi się to zdanie. Pasuje do tej chwili. Może ktoś to już kiedyś powiedział. Ale wierzę, że sama je wymyśliłam.

Otwieram torbę i zapisuję w notesie. Potem biorę komórkę. Dzwolę do niego. Jest wyłączona. Uśmiecham się. No jasne. Pewnie poszedł

późno spać. Spoglądam na zegarek. Dziesiąta dwadzieścia. Powiedział, żebym nie dzwoniła przed jedenastą. Jeśli o to chodzi, jest superdokładny. W innych sprawach niekoniecznie, ale w kwestiach spania czasami nie przyjmuje żadnych argumentów.

Wyjmuję z torby okrągłe lusterko. Otwieram je i zerkam. Sprawdzam swój delikatny makijaż, czy przypadkiem się nie rozmazałam, w końcu od ósmej jestem na nogach. I gdy tak się przeglądam, odnoszę wrażenie, że słyszę z oddali łoskot otwieranych drzwi jego domu. Rozpoznaję go, bo trochę zgrzytają. Zamykam lusterko i spoglądam w tamtym kierunku.

Plac jest pusty. Kilka zaparkowanych samochodów, ale żaden nie rusza, nie ma nikogo, tylko pobliski kioskarz układający gazety. Nic poza tym.

Siadam wygodniej na ławce, prostuję się i patrzę w dal. Wydawało mi się, że słyszałam odgłos otwieranych drzwi. Jestem schowana za samochodem, który zaparkował przede mną. Może się przesłyszałam. I kiedy to pomyślałam, widzę go. Massi. Pojawia się przed drzwiami wejściowymi, otwiera bramę, jakby chciał wyjść. Ale się zatrzymuje, spogląda w prawo i uśmiecha. Czeka, aż wyjdzie ktoś jeszcze. Jest spokojny, zrelaksowany, szczęśliwy. Ktoś z kamienicy? Przyjaciel? No bo kto inny. Ułamek sekundy. Moje serce zaczyna bić mocniej, coraz mocniej... Oddech staje się nerwowy. Jestem zaniepokojona, muszę stąd iść, chcę stąd iść... Nie, muszę zostać. Wydaje mi się, że śnię, to niemożliwe. Tam stoi Massi, kompletnie obudzony. Przytrzymuje otwartą bramę i ten uśmiech, do kogo jest skierowany, do kogo? I chociaż to tylko parę sekund, dla mnie to wieczność, nieskończenie długie oczekiwanie. Potem pojawia się ona. Idzie powoli, jakby szła w zwolnionym tempie. Alis. Przystaje obok niego, przy bramie. Posyła mu uśmiech, poprawia włosy w sposób, jaki widziałam z tysiąc razy, lekko przechyla głowę i zbliża się do niego wolno, wolniutko. I chciałabym ją powstrzymać, powiedzieć coś, krzyknąć. Ale nie. Nic nie mówię, ani słowa. Mogę tylko patrzeć. W końcu się całują-Czuję, jak umieram. Mdleję. Znikam. Rozpływam się na wietrze. Siedzę bez ruchu. Bez słowa, z otwartymi ustami i zniszczonym sercem-Unicestwiona. Jakby nagle niebo przysłoniły ciemne chmury, słońce znikło, drzewa straciły liście, domy pomalowano na szaro. Ciemność

Całkowity mrok.

Staram się łapczywie złapać oddech. Nie mogę. Brakuje mi powietrza. Nie mogę oddychać. Czuję, że znikam, tracę przytomność, oczy zachodzą mi mgłą. Opieram ręce na ławce obok, żeby poczuć twardy grunt.

Nadal żyję.

Niestety znajduję jeszcze siły, żeby popatrzeć w ich kierunku. Widzę, jak się do niego uśmiecha. Jak odchodzi, ot tak, potrząsając włosami, wesoła, taka jaką zawsze ją widywałam, ale ze mną albo z Clod. Na tysiącu imprez, przy niezliczonych okazjach, wycieczkach, w szkole, na ulicy. My, tylko my, zawsze my, trzy najlepsze przyjaciółki.

Alis wsiada do swojego microcara. Jak mogłam nie zobaczyć go wcześniej? Jak mogłam go nie zauważyć? Wystarczyłoby, żeby zrozumieć, żeby odejść, żeby uniknąć tej sceny, tego pocałunku, tego ogromnego bólu, którego nigdy nie zapomnę. Ale czasami nie zauważasz takich rzeczy. Kiedy szukasz jedynie szczęścia, nie widzisz tego, co masz przed oczami. Szczęście mydli ci oczy, rozkojarza, szczęście wysysa cię jak gąbka. Jesteś zaślepiona. Widzisz tylko to, czego pragniesz, czego potrzebujesz i co chcesz widzieć. Siedzę bez ruchu, jakbym była pomnikiem stawianym dla upamiętnienia czegoś. Tak. Moje pierwsze, prawdziwe, największe rozczarowanie.

Widzę, jak Alis znika w swojej minibryce, którą tysiące razy odwoziła mnie do domu, w której spędziłyśmy tysiące wieczorów i wypraw nad morze, tam i z powrotem przez miasto, śmiejąc się, żartując, rozmawiając o wszystkim i co więcej, o naszych miłościach...

Nasze miłości.

Nasza obietnica.

Nasza przysięga.

Nigdy nic nas nie rozdzieli...

Przyrzeknij, że nigdy się nie stracimy. -Przyrzeknij, że na zawsze będziesz moją przyjaciółką. Patrzę w stronę bramy. Massiego już nie ma. Wszedł do środka.¹ zupełnie tego nie rozumiejąc, jak automat, zaczynam iść. Zostawiam na ławce gazety razem z cappuccino i rogalikami. Nie myślę o tym, żeby dać je jakiemuś bezdomnemu, komuś, kto jest głodny, kto naprawdę tego potrzebuje. Nie dzisiaj.

Dzisiaj nie chcę być dobra.

Tak po prostu odchodzę, błękitne niezapominajki leżą porzucone na ziemi. Wyglądają jak kwiaty położone na ulicy w hołdzie komuś, kto zginął w tym miejscu. Upamiętniają śmieć, będącą skutkiem tragicznego, bezmyślnego wypadku, może spowodowanego przez czyjąś nieuwagę. Nie. Te kwiaty leżą tam dla mnie.

To moja śmierć. To z winy Alis. I Massiego. Kiedy się oddalam, przypominam sobie jego pocałunki, tamten wypad nad morze, przejażdżki po plaży w blasku zachodzącego słońca, ja z tyłu, przytulona, ze spojrzeniem pełnym szczęścia utkwionym w odległych morskich falach i w jego miłości. Zaczynam płakać. Po cichutku. Czuję, jak łzy płyną po policzkach, pomalą, nieubłagane, jedna po drugiej, a ja nie mogę nic zrobić, żeby je powstrzymać. Tak po prostu spływają, tworząc na mojej twarzy smugi z makijażu i bólu, wycieram się wierzchem dłoni i szlocham, idę dalej. Nie potrafię powstrzymać drżenia klatki piersiowej, unosi się i opada, hałaśliwie, niespokojnie, nierównomiernie, dając upust całemu bólowi, którego doświadczam. Wielkiemu. Ogromnemu. To niemożliwe. Nie wierzę w to. Nagle słyszę, jak dzwoni telefon. Ocieram łzy i wyjmuję go z torby. Widzę jego imię na wyświetlaczu. Massi. Patrzę na zegarek. Jedenasta. Kutas. Oto, dlaczego nie chciał, by go budzono wcześniej.

Niech dzwoni, przełączam na milczący. Potem, jak połączenie zostanie przerwane, wyłączę telefon. Na razie. Do jutra. Na cały miesiąc. Na zawsze. Zmienię numer. Ale mój ból się nie zmieni. Nic nie wymaże ich twarzy. Tego uśmiechu, oczekiwania i pocałunku, który widziałam. Idę dalej. To musiało stać się tamtego wieczoru na imprezie, kiedy rozmawiali na ławce pod drzewem. Pewnie wzięli swoje numery telefonów. Potem się zdzwonili. Czuję nagłą wściekłość. Znowu mam przyspieszony oddech. Za bardzo. Czuję straszne klucie w żołądku. Ale nie mogę przestać, wyobrażam sobie, rozmyślam, rozważam, sprawiam sobie ból. Musieli widzieć się wcześniej, jeszcze innego dnia, w innym miejscu, potem podjęli decyzję. Ale kto wykonał pierwszy krok? Kto pierwszy coś powiedział, zrobił aluzję, kto pierwszy pocałował, kto pierwszy pieścił? To i tak niewiele zmienia. Właściwie nic. Jaki ma sens szukanie pośród dwojga winnych tego mniej winnego?

Ale nie przestaję, dalej zadreczam się, niszczę, unicestwiam, cierpię, mam ochotę krzyknąć. Nie ruszać się. Rozłożyć się na ziemi. Uciec. Nic już nie mówić. Biec. Potrzebuję czegokolwiek, co mnie uwolni z tej pętli, która mnie dusi. Które z nich powiedziało: „Widzimy się u ciebie jutro wczesnym rankiem” albo, co gorsza, „wpadnij na noc”? Tak, spotkali się wczoraj wieczorem. Musieli spać ze sobą. Wraz z tą ostatnią myślą czuję, że słabnę. Wszystko widzę zamglone, w głowie czuję dziwne mrowienie, uszy zdają się być wypchane watą. Czuję, że mdleję. Nieomal upadam na ziemię. Opieram się o pobliski słup i tak stoję, a świat wokół wiruje jak moja głowa, a łzy, niestety, już się skończyły.

- Caro...

Słyszę głos. Odwracam głowę. Przedemną staje zabytkowy blado-niebieski mercedes, cały odkryty, nowiutki, prześliczny. Uśmiecham się, ale nic nie rozumiem. - O co chodzi? Co jest? - Widzę, jak wysiada.

- Caro, co się z tobą dzieje?

To Rusty James. Podbiega do mnie, łapie mnie w locie, zanim upadnę na ziemię. Uśmiecham się w jego ramionach.

- Nic. Mało spałam... Trochę kręci mi się w głowie. Musiało mi coś zaszkodzić...

- Ćśśś... - Kładzie mi rękę na ustach. - Już dobrze... - Uśmiecha się do mnie, a ja mocno go obejmuję i przytulam.

- Och, Rusty James... dlaczego? - I zaczynam szlochać na jego ramieniu.

- No już, Caro... Nie martw się. Cokolwiek to jest, rozwiążemy ten problem. - Pomaga mi wsiąść do samochodu, sadza mnie, wkłada moje nogi do środka i zamyka drzwiczki. Potem wsiada obok mnie i odjeżdżamy. Co chwila na mnie spogląda. Jest zaniepokojony, wiem, wyczuwam to. Próbuje odciągnąć moją uwagę.

- Wiesz, szukałem cię. Chciałem pokazać ci prezent, który sobie sprawiłem... Podoba ci się?

Kiwam głową bez słowa. Nie chce, żebym o tym myślała, wiem... znam go. Ale nie mogę. Opowiada i nadal na mnie spogląda, stara się uśmiechać, ale ja czuję, że on cierpi z mojego powodu.

~ Przyjęli moje *Jak niebo o zachodzie!* Miałaś rację! Dlatego postanowieni to uczcić, szukałem cię... Bo chciałem cieszyć się tą chwilą z tobą.

Chciałabym być szczęśliwa razem z nim, jak na to w tej chwili zasługuje, ale nie potrafię. Nie jestem w stanie. Wybacz mi, Rusty James. Kładę swoją dłoń na jego.

- Przepraszam...

Uśmiecha się do mnie. Mruży oczy, jakby mówił: „Nie martw się, dobrze to znam, nic mi nie musisz mówić, też przez to przeszedłem”. Kto wie, co jeszcze zawarte jest w tym spojrzeniu. Ale zamiast tego mówi tylko: - Dokąd chcesz jechać?

- Pokaż mi morze...

Wrzuca bieg i przyspiesza odrobinę, prowadzi spokojnie, czuję, jak wiatr pieści mi włosy. Opieram głowę w fotelu i pozwalam się wieść. Chwilę później jesteśmy poza miastem. Zakładam wielkie okulary, a on włącza muzykę. Zamykam oczy. A kiedy je otwieram ponownie, nie wiem, ile czasu minęło. Wiem, że przede mną rozpościera się morze. Jest spokojne. Małe fale rozbijają się na brzegu, piaszczyste wydmy przeplatają się z zielenią. Oddycham głęboko i na asfalcie wokół nas czuję zapach sosen, morza i słońca. Czytam tabliczkę, jesteśmy na wydmach Sabaudii.

Jakaś para na plaży. On biegnie, ciągnąc za sobą latawiec. Ona stoi z rękami na biodrach, patrzy na niego. On biegnie, biegnie i biegnie. Ale nie ma wiatru i latawiec w końcu zatacza mały łuk, potem szybko spada i wbija się w piach. Ona się śmieje, on mozolnie do niej dołącza, pokonany przez tę nieudaną próbę lotu. Ona śmieje się jeszcze bardziej, żartuje sobie z niego. On ją obejmuje i przyciąga do siebie, ona szamocze się, ale w końcu ulega. Całują się ot tak, po prostu, nad morzem, na tej opustoszałej plaży, gdzie czas stoi w miejscu, gdzie niebo jest nie-skończenie niebieskie, słońce wysoko, a daleko na horyzoncie morze i niebo zlewają się w jedną całość. Znowu zaczynam płakać. Łzy zatrzymują się w dolnej części okularów. Podnoszę je i pozwalam łzom płynąć. Zaczynam się śmiać. Patrzę na niego. Nie zauważył. Spogląda na mnie i z uśmiechem głaszcze po ramieniu, ale nic nie mówi. Przysuwam się i opieram na nim. Gładzi mnie po plecach i obejmuje, w jednej chwili czuję się spokojniejsza i przestaję płakać. Ależ tak. Jutro jest nowy dzień. Głupio mi. Chce mi się śmiać i jestem trochę zmęczona.

Ale się śmieję. Po chwili znowu płaczę i pociągam nosem, tym razem

to zauważyła i jeszcze mocniej mnie obejmuje, a ja zamykam oczy. Przykro mi, ale nic nie mogę na to poradzić. Trochę mi wstyd. Ale byłam taka zakochana. Ale jestem taka zakochana. Biorę głęboki oddech, i kolejny, głębszy. Otwieram oczy. Teraz słońce jest tuż przed nami. Nad morzem latają mewy. Delikatnie dotykają wody i ponownie wznoszą się do góry, do nieba.

Muszę sobie poradzić. Już brakuje mi miłości. Czuję się samotna. Strasznie samotna. Ale znowu będę szczęśliwa, prawda? Może zajmie to trochę czasu, ale mnie się nigdzie nie spieszy. Patrzymy na siebie z Rustym Jamesem i się uśmiechamy. Biorę głęboki oddech i odzyskuję odrobinę pewności siebie.

Tak, dam radę. W końcu mam dopiero czternaście lat, prawda?

Podziękowania

Dziękuję Giulii i jej opowieściom. Niektóre z nich były naprawdę zabawne i chociaż nie brałem udziału w wydarzeniach, których dotyczyły, to tak mnie ubawiły, że mam wrażenie, jakbym był przy tym obecny.

Dziękuję Albertowi Rollo, który ze szczególną uwagą przeczytał tę książkę oraz zobaczył i odnalazł na jej stronach to wszystko, o czym dyskutowaliśmy, i potrafił wskazać mi właściwe rozwiązania.

Dziękuję Maddy za jej pasję i zaraźliwy entuzjizm oraz za wielki profesjonalizm.

Dziękuję Giulii Maldifassi za jej ciekawość i zabawne usposobienie, tak rzadko już spotykane, oraz całemu jej biur prasowemu.

Dziękuję Ked, Kylee Doust, za jej pasję i wszystkie przydatne wskazówki.

Dziękuję Francesce za to, że wszędzie mi towarzyszy z uśmiechem i mądrością, mimo że ostatnio zmieniła skuter.

Dziękuję Inge i Carlowi za to, że wprowadzają uśmiech do naszej wspólnej pracy.

Dziękuję Luce, ponieważ jej miłość widoczna jest na każdej stronie.

Dziękuję Fabi i Vale, moim uważnym i zabawnym czytelnikom.

Dziękuję Martinie, czasami mam wrażenie, że jestem z nią w tej samej klasie, czasami, że uczestniczę w jej życiu. Chodzi mi o to, że tym razem trochę ci odpuszczę!

Dziękuję prężnie działającym pracownikom działu sprzedaży w Feltrinelli, dzięki którym już po krótkiej dyskusji wiedziałem, na co chcę położyć szczególny nacisk w mojej historii.

Dziękuję całemu zespołowi zajmującemu się dystrybucją, ci ludzie mają w sobie tyle zaraźliwego entuzjazmu!

Wielkie podziękowania należą się przyjaciołom moich rodziców. Uważam, że każda książka jest odzwierciedleniem naszych przeżyć, a nawet czegoś więcej.

Niewykluczone, że w przeszłości coś mi umknęło, a dzięki pisaniu mogę to odnaleźć, zrozumieć lepiej i nie stracić tych chwil, które jednak przeżyłem. I tu, z całego serca, chciałbym podziękować wszystkim, którzy w moich młodszych latach towarzyszyli mi w Anzio. Tym sympatycznym przyjaciółom moich rodziców, którzy ponad trzydzieści lat temu zapewnili mi piękne wspomnienia dzisiaj.

Szczególne podziękowania należą się mojemu przyjacielowi Giuseppe. Choć często wydaje mi się, że popełniam błędy, nie załamuję się. Wiem, że zawsze będziesz ty, żeby mi pomóc.